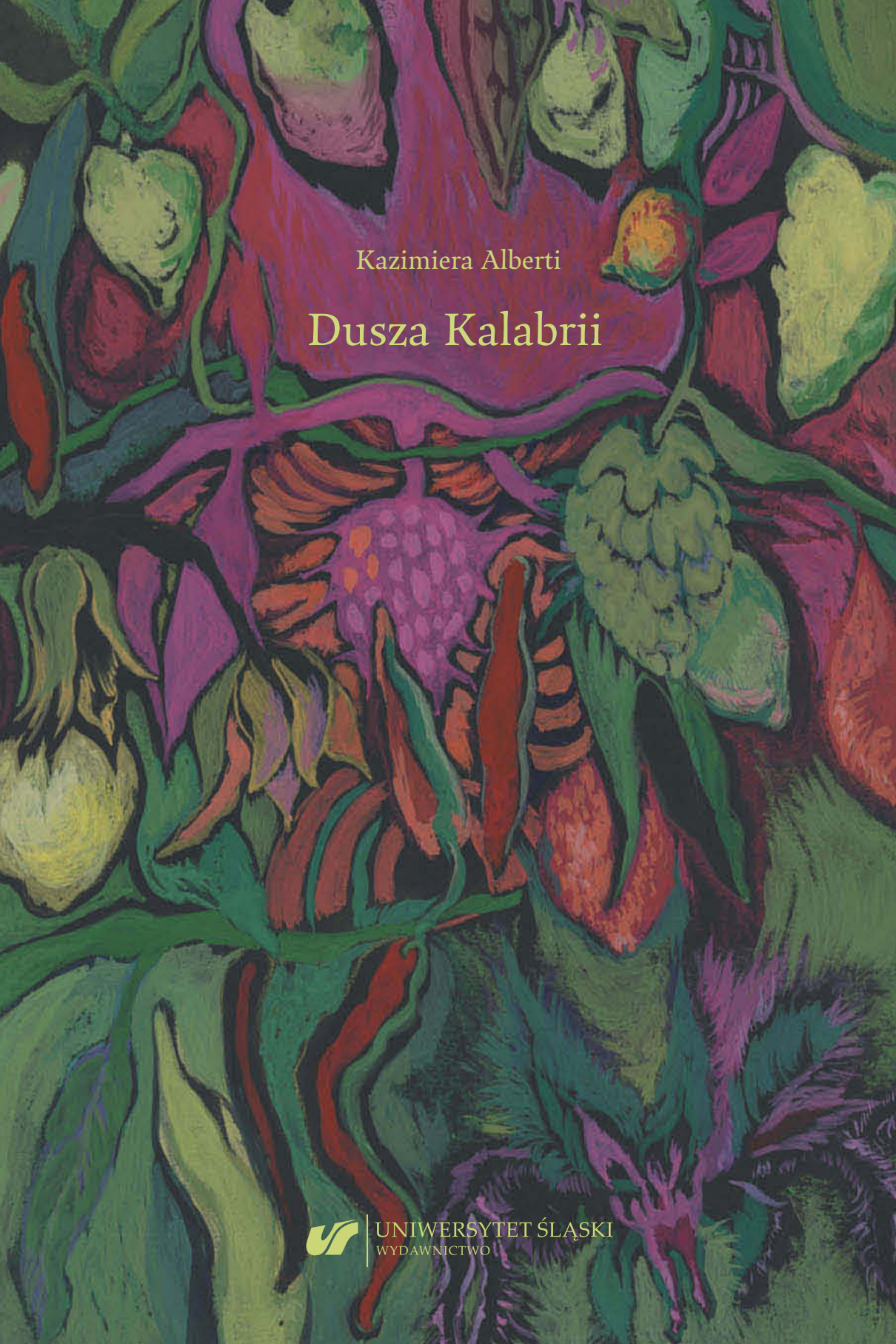




Kazimiera Alberti

Dusza Kalabrii



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
WYDAWNICTWO

DUSZA KALABRII

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

KAZIMIERA ALBERTI

DUSZA KALABRII

Przekład

SANDRA STRUGAŁA, MAŁGORZATA ŚLARZYŃSKA

Tłumaczenie przejrzał

MARCIN WYREMBELSKI

Wstęp, przypisy, indeksy osobowe oraz indeksy nazw geograficznych

MARIUSZ JOCHEMCZYK, MIŁOSZ PIOTROWIAK

przy współudziale

JANINY JANAS

Recenzja
WOJCIECH SOLIŃSKI

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” nr projektu NPRH/U22/SP/OO25/2023/12; kwota dofinansowania 23 508,75 zł; całkowita wartość projektu: 598 423,00 PLN.



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

SPIS TREŚCI

WSTĘP

- 9 · Ekscentryczny żywot Kazimiery Alberti. Depesze z kalabryjskiego wybrzeża
(*Mariusz Jochemczyk, Miłosz Piotrowiak przy współudziale Janiny Janas*)
- 37 · Nota Tłumaczy
- 39 · Nota Redaktorów
- 41 · [Kiedy zgromadziłam w tomie...]

PROLOG

- 49 · Tranzytem przez Kalabrię

WZDŁUŻ WYBRZEŻA ULISSESA I ORESTESA

(przekł. Małgorzata Ślarzyńska)

- 55 · Zemsta cytrynowej tęsknoty
- 60 · Powiedz o niej tylko gwiazdom i fali...
- 63 · Chianalea się kołysze
- 67 · Dwadzieścia kilometrów pod różowym parasolem
- 72 · Trasa cesarzy
- 77 · Świt...
- 79 · ...Dzień...
- 80 · ...Noc w Bagnarze
- 84 · Trzy widoki z Góry św. Eliasza
- 89 · Na Górze Aulinas, wizytówce Demona
- 94 · Linie proste w Palmi
- 98 · Dwóch synów Palmi
- 103 · „Napoleonica” w Pizzo
- 106 · Na łąkach Prozerpiny

- 113 • Bohaterski lot nad Vibo
- 116 • Jedna z najbardziej ludzkich istot
- 124 • Tam, gdzie działały się cuda

POD GWIAZDAMI WIELKIEJ GRECJI

(przekł. Małgorzata Ślarzyńska)

- 131 • Pokłoń się ruinom
- 133 • Oranżada Pitagoras
- 137 • „Alfa” konstelacji „Filozofia”
- 140 • Za kulisami pitagorejskiego laboratorium
- 144 • Dorycka relikwia
- 153 • Bunt przeciwko Eskulapowi
- 155 • Bar Milone
- 159 • W dymie z trójnoga
- 161 • Pod znakiem Bliźniąt
- 165 • Spotkanie z tłumem
- 170 • Gwiazda z granitu
- 174 • Wielkie imię i mała stacja
- 178 • „Sybaryta na pokaz”
- 185 • Kopalnia widmo
- 188 • Mitologiczne arrasy w Reggio
- 192 • Prawo, które śpiewa
- 196 • Na via Palamolla, koń Ibykosa
- 204 • Grecka lektura w Reggio
- 207 • Amerykańskie orzeszki na wybrzeżu Reggio
- 212 • Między rzeczywistością a fatamorganą

WZDŁUŻ MORZA JOŃSKIEGO

(przekł. Sandra Strugała)

- 221 • Siostra bliźniaczka
- 224 • Galeria miniatur w Rossano
- 227 • Piękno(ść) w lustrze
- 230 • Kosz Catanzaro
- 232 • Skarbiec Wieków
- 235 • Dwa krosna w Catanzaro
- 238 • Tajemniczy kolos na jońskiej plaży

- 240 • Kuźnie Kasjodora
- 243 • Kwiat z kamienia i magiczna trawa Consolino
- 250 • Materia wybuchowa
- 253 • Krótka podróż ze Stilo na... Cejlon
- 261 • Gerace, córka i matka Locri
- 267 • Bogactwo smaków w Tiriolo
- 272 • Moda w Tiriolo

WŚRÓD JODEŁ I BERGAMOTEK

(przekł. Sandra Strugała)

- 279 • Humorzasty patriota
- 284 • Wachlarz Aspromonte
- 288 • Okruchy szczęścia w Gambarie
- 291 • Droga młodego psa
- 297 • Teatr Pretiego w Tavernie
- 299 • Kalabryjski Portos
- 307 • Siła w dwóch tomach
- 307 • Tom pierwszy
- 310 • Tom drugi
- 315 • Cień dawnych dni w Camigliatello
- 318 • Bicie serca w San Giovanni in Fiore
- 322 • Święty bez oficjalnej aureoli
- 328 • Na włoskich Bałkanach
- 334 • W cieniu wiekowego wiązu
- 338 • Ludzie dwóch ojczyzn
- 343 • W stolicy Bruttów
- 347 • Starożytna ballada

EPILOG

- 357 • Babciny kuferek

- 365 • Indeks nazw geograficznych
- 375 • Indeks osobowy
- 390 • Summary
- 391 • Riassunto

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

WSTĘP

EKSCENTRYCZNY ŻYWOT KAZIMIERY ALBERTI DEPESZE Z KALABRYJSKIEGO WYBRZEŻA

JAK DZIAŁA PÓŁ/PRZEWODNIK? KŁOPOTY Z „UDOMOWIENIEM” ORYGINAŁU...

Podczas pracy nad pierwszą częścią swego włoskiego tetraloga – *Dusza Kalabrii* – Kazimiera Alberti myślała po polsku, pisała po francusku, a całość tłumaczona była, przez Alfonso Cocolę (męża i współtowarzysza podróży), na język włoski. Swoistość zapisu, w tym przypadku wielopiętrowego aktu translacji, sprawia, że zostaje uruchomiona i otwarta przestrzeń metajęzyka, w której ten wielostopniowy „głuchy telefon” przechodzi ogniową próbę sensu. Z tym większą więc przyjemnością miło jest nam przedstawić polską wersję dzieła Alberti, w którym wszystko wraca do swego początku. Mierzymy się bowiem z radykalnym „sprawdzam”, jak przyległe zostaje pierwotne myślenie „po polsku”, do dokonanego po 70 latach, rodzimego przekładu. Praca translacji odpowie nam na pytanie o wytrzymałość tych syntagm, ich hermeneutyczną kurczliwość wobec czasowej rozciągłości, o klarowność sensu ustabilizowaną niegdyś w języku włoskim i odczytywaną już w naszych czasach – po polsku.

Na wstępie określmy problem prowokacyjnie – czy Alberti pisze w sposób egzaltowany? Czy na dzisiejszej scenie reportażowej, pośród tylu udanych literackich produkcji (licząc również pozostałą, niezmierzoną „masę upadłościową” modnego gatunku *non-fiction*) pisanie Alberti ma szansę zaciekawić czytelnika, zaskarbić sobie jego uwagę, nie tyle jako pamiątka z epoki, ile stającą w szranki z innymi, współczesnymi próbami podróżopisarskimi – reporterska opowieść z dalekiego kraju? Czy to, co dawniej było jedynie stylową inkrustacją, modelowanym zabiegiem z melodramatycznej szkoły uczuć, dzisiaj może powodować odczucie obcości, sztuczności, czasowej nieprzyległości? Czy powinno się ingerować w afektywną strukturę tekstu, regulować przepływy emocjonalnej limfy, tamować jej spiętrzenia i mierzyć wypływy? Te, i wiele innych pytań trzeba było sobie zadać przed przystąpieniem do prac nad tłumaczeniem trawelogów Kazimiera Alberti i przed sporządzeniem ich krytycznej poprawy.

Zimna dociekliwość słyca opowieść, trywializuje prawdę. Potrzeba trochę fantazji, zaplecenia kilku wątków z pogranicza legendy, apokryfu, własnych domysłów utkanych na podstawie fabularnej, by nurt opowiadanej historii nabrał barw, rozniecił zapach wyobrażeń. Kazimiera Alberti, jako uznana i doświadczona pisarka, doskonale wie, „jak to się robi z tekstami”. Zakłócić racjonalny porządek odrobiną szaleństwa, dodać szczyptę osobistej emocjonalności. Zapisać tę krainę własnym charakterem pisma, opowiedzieć i zaznaczyć rozpoznawalną intonacją głosu. Oczywiście nie można się zapomnieć w tej egotycznej egzaltacji, by nie popaść w śmieszność i dziwaczną osobność. Alberti stroni jednak od przesady – barokowość uniesień jest jej obca. Czasami daje się jednak ponieść fali wzburzonej uczuciowości, kiedy napotkany obraz – zdarzenie, rzecz – uaktywniają wspomnienia, lecz z reguły profesjonalnie dba o czystość przekazu, drożność kanału komunikacyjnego. Panuje nad tym: co, kiedy, w jakim czasie, w jakim celu. Funkcja fatyczna reporterskiego zeznania zawsze zabiega o uwagę czytelnika. Kazimiera Alberti, w liście do przyjaciółki – Marii Grabowieckiej, sama podsumowuje charakter tworzonego przez siebie podróżopisarskiego gatunku:

[...] moje książki [...] są to wrażenia z podróży – taki sak, do którego wszystko kładę, myśli polityczne, religijne, artystyczne, zapatrywania i opinie o sztuce. Nigdzie nie wycytane, tylko moje własne. Zdaje się dopiero teraz po wielu latach zaczynam umieć patrzeć na uroki [nieczytelne], gdy starość się zbliża szybkimi krokami i słońce idzie pod zachód¹.

Genua, 16 sierpnia 1956, [k. 35]

Pisanie Alberti stanowi splątana tkaninę, w której pismem supełkowym piętrzy, a nie rozwiązuje ona problemy, zagęszcza, a nie rozluźnia fabularne więzy, przez co potęguje wrażenie egzaltacji i egotyczności. Wiele z tych rzeczy wymagało „wyczyszczenia” w przekładzie, rozsypłania, rozsunięcia tych mrocznych zasłon, poluzowania nerwowo splatanych węzłów. Czytelnik celowo zostaje wprowadzony w rodzaj „błędu lekturowego”, który przesuwając porządek tekstu wyjściowego wobec jego – użyjmy Dukajowej frazy – „spolszczonej” wykładni².

1 Przywołując fragmenty korespondencji pomiędzy Kazimierą Alberti a Marią Grabowiecką, odsyłamy do zbiorów zdeponowanych w warszawskim Muzeum Literatury. Por. *Listy Kazimierzy Alberti do Marii Grabowieckiej*, Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, nr inwentarzewy 5637. Wskazując ten korpus tekstowy, posługujemy się skrótem: KAMG.

2 O korzyściach płynących z „błędu intencjonalnego” opowiada autor „spolszczenia” Conradowskiego *Heart of Darkness*. Por. *Nie zamierzałem zostać „autorem Josepha Conrada”*. Z *Jakiem Dukajem rozmawiał Mikołaj Rajkowski*. „Teologia Polityczna co Tydzień” 2017, nr 87,

Tkwić w tym błędzie nie oznacza nic zdrożnego, nie sprzeniewierza się on również wobec intencji samej Autorki. W istocie ten „błąd lekturowy” stanowi akt naprawczy, podnoszący wymiar tekstu do współczesnego wyglądu polszczyzny. Książka Alberti uzyskuje w ten sposób charakter przekładu eksperymentalnego – przekraczającego tradycyjne *continuum* dawnego i nowego, translacji de-szyfrującej, ale i – co za tym idzie – stabilizującej przesłanie autorskie. Przyjmuje kształt „spolszczenia” uwikłanego w idiolekty konkretnych tłumaczy. Na przecięciu tych dróg tworzy się nowe Albertiańskie itinerarium, książka podróżna o Kalabрії pisana dla odbiorcy XXI wieku.

Wierność słowu może okazać się bardzo zwodnicza. W takich przypadkach w sukurs przychodzi nam hermeneutyczna negocjacja sensu. „Sztuka rozumienia” – hermeneutyka, pojawia się bowiem w momentach trudnych, gdy trzeba okazać szacunek tradycji, a jednocześnie wydarta jej tajemnicę opowiedzieć na współczesną modłę. Kontrabanda sensu na kalabryjskich ścieżkach wydaje się najlepszym semantycznym szlakiem, by Alberti, po latach językowego wydziedziczenia, mogła być wysłuchana i rozumiana w swoim środowisku językowym.

Czy odtworzyć ten głos z patyną dawnego nagrania, wszystkimi chropowatościami, które czas dodał do oryginału, czy jednak dostosować go do współczesnych kryteriów estetycznych i wymodelować tak, by ten pół/przewodnik mógł zaistnieć również w planowaniu wypraw zwyczajnych turystów, niekoniecznie apologetów późnej twórczości Kazimierzy Alberti? Warto zastosować w tym przypadku zasadę złotego środka – bo cóż może się zmienić w osadzonej już tysiące lat temu tradycji Wielkiej Grecji, by unowocześniać jej fundamentalną obecność? Trzeba również zachować ostrożność w posługiwaniu się językiem zbyt zorientowanym na współczesność, by tawolog o niewątpliwych walorach literackich, z powodu zbyt uaktualniającego nastawienia na „tu i teraz”, nie przedawnił się już w następnym sezonie czytelniczym. Jednak taki model praktycznego przewodnika po współczesności obcy był już podówczas samej autorce *Duszy Kalabрії*. Badaczka tej twórczości konstatuje:

Z pewnością zawiedziony będzie poszukiwacz bedekerowskich wskazówek. [...] Po pierwsze, może poczuć się wywiedziony w pole impresyjnym charakterem opowieści, a po wtóre – będzie przytłoczony erudycyjną skrupulatnością wybranych przez autorkę do opisu szczegółów³.

<https://teologiapolityczna.pl/jacek-dukaj-niezamierzalem-zostac-autorem-josepha-conrada-1> [dostęp: 28.05.2025].

3 J. Janas: *Między „Ustami Italji” a brzegiem Nervi. Przypadek Kazimierzy Alberti*. „Fabrica Litterarum Polono-Italica” 2019, nr 1, s. 41.

Cały ten misterny sztafaż – opowieści wyczytane z historycznych książek, wiedza studiowana na potrzeby podróży edukacyjnej, fakty wydobyte z archiwum kulturowej pamięci – to strategia obronna przed inną przeszłością, ledwo zdarzoną, która determinuje każde drgnienie podróżującej „kalabryjskiej duszy”. Dla autorki trawelogu historia i kultura stanowiły nie tyle sferę opanowywania przestrzeni nabytą wiedzą, ile raczej scenę, na której jej pełne emocje wspomnienia mogły uzyskać sublimacyjny kształt, zastygnąć w „przepracowanej terapeutycznie” formie. Zysk był obopólny – Alberti uwalniała się od bolesnych wspomnień czasu Zagłady, a reporterska książka obrastała w erudycyjny woal. Tak powstaje tekstowy świat kalabryjsko-albertiański – w jednym pejzażu, w jednej rzeczy widzi się dzisiejsze i dawne, niesamowite i oswojone, obce i uwewnętrznione. Alberti wznosi wątlą zaporę przeciwko wychylającej się zewsząd nicości – głównie ziejącej z jej pamięci, ale i filtrowanej z surowego krajobrazu i odwróconych plecami ludzi. Takie pół/przewodnikowe światoodczucie współgra z analizami Alaina de Bottona odsłaniającego egzystencjalną, czy wręcz mortalną, naturę intencji człowieka, który podróżuje:

Jeśli spędzimy pośród nich [rozległych przestrzeni natury – Autorzy wstępu] trochę czasu, pomogą nam może pogodzić się bez bólu z niepojętymi wydarzeniami, które kładą się cieniem na naszym życiu i które w końcu, nieuchronnie, doprowadzą nas do grobu⁴.

Przydana podróżopisarstwu kategoria wzniosłości, czyli możliwość doświadczania głębokich uczuć w trakcie bycia-w-podróży, sprawdza się również na kartach trawelogów Alberti. Wielokrotnie przekracza ona ramy widzialności, które są tak charakterystyczne dla spojrzenia turysty, czyli orientowaniu się w eksplorowanej przestrzeni, zapatrzeniu i urzeczaniu ujrzanym pejzażem. Nadmierna introspekcja Alberti może wynikać z operowania w różnych, równoległych przestrzeniach i wymiarach, służyć tasowaniu tych czasoprzestrzeni i zaplataniu ich w fabularne węzły. Skoro podróżowanie wymaga wysokiego stanu skupienia, to pisanie w czasie podróży wymusza najwyższą formę koncentracji. Pisząc z od dali, gra się w stwarzanie pozorów; będąc w miejscu opisu, reportażysta staje się rezonerem danego miejsca, rewelatorem *genius loci*, opowiadaczem z wnętrza chronotopu. Dodatkowo w pisarstwie Alberti, pomimo opisów przemierzania konkretnej przestrzeni – nazwanej, „obmapowanej”, wyznaczonej na przecięciu

4 A. de Botton: *Sztuka podróżowania*. Tłum. H. Pustuła. Wydawnictwo Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2010, s. 165.

osi południków i równoleżników, mamy próbę syntezy, przekroczenia danych geograficznych i znoszenia korelatów kartograficznych – podążania w stronę antropologicznego namysłu czy wręcz filozoficznej definicji. Tadeusz Sławek na podstawie kalabryjskiego zapisu podróży Kazimierzy Alberti pokusił się o podobną wielką kwantyfikację, w duchu Alberti:

Italia to specyficzny węzeł zapleciony między człowiekiem a światem, który umożliwia mądre życie tylko pod warunkiem uobecniania się przeszłości po to, aby można było ocalić teraźniejszość, uprzednio krytycznie na nią spojrzawszy⁵.

Jesteśmy przekonani, że ta humanistycznie czuła definicja włoskiego kraju znakomicie sprawdza się nie tylko w odniesieniu do *Duszy Kalabrii* czy *Sekretów Apulii*, lecz również do pozostałych dwóch trawelogów Alberti: *Kampanii*, *wielkiego teatru* i *Magii Ligurii*. A być może tak przededefiniowane przez literaturoznawcę pojęcie geopolityczne na modłę geopoetycką wyznacza nowe myślenie o krajach starej Europy, w których trzeba zaprojektować na nowo podręczny słowniczek impoderabiliów, upomnieć się o ich „lokalną duszę” czy nową definicję wspólnoty. Najlepiej w ramach radykalnie rozumianego „bycia w relacji” – w ofiarnym oddaniu „dla tego, co mnie otacza”, jakie proponuje Roberto Esposito⁶.

Podróż angażuje bez reszty umysł i ciało. Dlatego organizm reportażystki doznaje stanów granicznych, które trzeba opanować. Przede wszystkim trzeba przekroczyć ograniczenia ciała, by kontrolować wydolność poznawczą. Nieudokumentowana wędrówka nie pozostawia śladów. Dopiero zapis poświadcza dokonanie założonego wyczynu. Perypatetyka człowieka w podróży sprzyja zbieraniu myśli i porządkowaniu doświadczeń. Alberti, wynajdując, wcześniej nieuprawianą przez siebie, formułę reportażu, odkrywa pomocną strategię radzenia sobie z własną traumą.

5 T. Sławek: *Ćwiczenie umysłu. O dwóch trawelogach Kazimierzy Alberti*. „Fabrica Litterarum Polono-Italica” 2019, nr 1, s. 16.

6 Por. R. Esposito: *Wspólnota i nihilizm*. Przeł. M. Surma-Gawłowska. W: R. Esposito: *Pojęcia polityczne. Wspólnota, immunizacja, biopolityka*. Wstęp M. Burzyk. Przeł. M. Burzyk [et al.]. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2015, s. 49–66. Tak rozumiana wspólnota „odsyła do charakteru (czy to w liczbie pojedynczej, czy mnogiej) – egzystencji wolnej lub wolnych od wszelkiego sensu – założonego, nałożonego i przełożonego. Charakteru świata sprowadzonego do siebie samego, zdolnego do bycia tylko tym, czym jest: światem planetarnym, bez kierunku i punktów kardynalnych. Światem-i-niczym-więcej. I to właśnie owo nic-wspólnego, którym jest świat, łączy nas we wspólnotę, w kondycję polegającej na wystawieniu na najbardziej radykalny brak sensu, a równocześnie na otwarciu sensu jeszcze niepomyślanego” (ibidem, s. 66).

Ciało w podróży służbowej – a tak moglibyśmy określić zajęcie pisarsko-podróżne Kazimierzy Alberti – pokonywanie założonej trasy, która potem zostanie przepisana na itinerarium, poddane zostaje presji przemierzania przestrzeni, wysiłkowi wspinania, zdobywania pokarmu, znalezienia schronienia na noc, docierania do kolejnego punktu trasy. Te wszystkie szczegóły, tak ważne dla współczesnego turysty, są przez podróżującą po Kalabrii parę pomijane jako nieistotne, niewarte choćby małego napomnienia przy doniosłych, uniwersalnych, epokowych zdarzeniach minionych i obecnym porażeniu pięknem prze-wijających się pejzaży. Narracyjne obchodzenie rytuałów powszedniości bycia w drodze, kompletowania ekwipunku, organizowania zaopatrzenia w prowiant (w tamtych czasach trudno było liczyć na rozwiniętą sieć restauracji) czy logistyki przemieszczania się, gdy rozkład jazdy autobusów widnieje tylko na jednej przydrożnej tabliczce, wydaje się podświadomym pielęgowaniem dawnych (wręcz dziewiętnastowiecznych) ksiąg podróżnych, w których nie wypadało wspominać o pokonywaniu drogi, liczyły się tylko wrażenia docelowe. Para wojażerów dobrze czuła się w takim anturażu dawno minionych czasów, w którym trwająca tygodniami uciążliwa podróż dyliżansem kwitowana była lapidarnym oznajmieniem: „dojechalśmy na miejsce”. Z pewnością nasze współczesne wydanie *Duszy Kalabrii* nie będzie uzupełnione o niezbędnik turysty informujący o najkrótszym połączeniu, najtańszym noclegu i najlepszym punkcie widokowym. Alberti i Cocola napisali wspaniałą książkę o podróży na południowy skraj Italii, rodzaj, jak to nazwaliśmy, pół/przewodnika, o sile impresywnego doznania niespotykanej w literaturze podróźnej. To, że zabrakło tam utensyliów współczesnego „taniego” turysty, działa tylko na korzyść dawnego tekstu. Pół-przewodniki to struktury krystaliczne, bez żadnych zanieczyszczeń. Pomimo tego, nad wyraz użyteczne i praktyczne.

O TYM, JAK RAJSKA „POZŁOTKA” PŁOWIEJE

Kazimiera Alberti pisała swoje trawelogi z różnych powodów. Jednym z nich z pewnością była chęć ponownego zadowolenia, oswojenia przestrzeni – wydawałoby się – wyjątkowo wdzięcznej i zachwycającej. Choć dziwnym zjawiskiem jest „opowieść znawcy” tworzona przez amatora, ledwo co przybyłego do Italii nuworyszka-imigranta. Ktoś, kto pierwszy raz widzi daną krainę, pisze erudycyjny przewodnik po jej szlakach. Alberti przybiera postać świętej ignorantki. Tak czyni człowiek zakochany w skrawku danej ziemi, w drugim człowieku, w swoim nowym wcieleniu.

Na czym miałyby polegać ten włoski raj, nieodparty czar Italii? Spróbujemy na początku wyliczyć powszechnie uznane walory Włoch, które z pewnością musiały wywrzeć silne, pozytywne wrażenie na pisarce, by potem „oddać jej głos” w zaskakującej kontrapunktowej enuncjacji.

Zaznajomieni z literaturą wojenną wiemy, że pierwszą potrzebą człowieka jest zaspokojenie głodu. Począwszy od *Na nieludzkiej ziemi* Józefa Czapskiego przez *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego po *Opowiadania* Tadeusza Borowskiego wszyscy bohaterowie cierpią straszliwy głód. W piekielnych kręgach literatury obozowej nie było większej kaźni dla jeszcze żyjących niż pozbawienie ich pokarmu, skromnej racji żywnościowej. Odstępujący od zmysłów „muzułmanie” czy autokanibalistyczny gest pieczenia na otwartym ogniu i spożywania własnego ciała to tylko kilka przykładów torturowania głodem. Alberti przeszła przez próbę głodu w powstańczej Warszawie i/lub w popowstaniowym obozie w Pruszkowie (jak koryguje błędne rozpoznania Iwaszkiewicza przyjaciółka pisarki – Maria Grabowiecka⁷). Potem trudna, dwuletnia przeprawa (przez Czechosłowację, Austrię i Szwajcarię) i wydawałoby się wytęsknione Włochy powitane w 1948 roku, które wcale nie okazały się biblijną ziemią obiecaną na tym szlaku. Wielki głód włoskiej ludności opisuje Norman Lewis w reporterskiej książce *Neapol '44*⁸. Alberti pomimo skromnego, wręcz biednego życia (często w listach tak charakteryzuje swoją pozycję), które prowadziła we Włoszech, nie wspomina o klęsce głodu, która spotkałaby ją w Italii. Wszelkie niedostatki egzystencji wynikają z porównywania się do przedwojennej „pani starostowej”, której status wyznaczała małomiasteczkowa elitarność, odpowiedzialność za towarzyską stronę życia – dyplomatyczne rauty, okolicznościowe przyjęcia i własny salon literacki⁹. Drugą przyczyną jej włoskiego

7 „K. Alberti nie była więźniarką Ravensbrück, była tylko w popowstaniowym obozie w Pruszkowie”. Por. M. Grabowiecka: *Sprostowanie do życiorysu Kazimieri Alberti*, „Twórczość” 1978, nr 1, s. 165.

8 Por. N. Lewis: *Neapol '44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch*. Przeł. J. Ruskowski. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022.

9 Ciekawą rekonstrukcję świata przedwojennych towarzyskich kontaktów Alberti przeprowadza Edmund Rosner. Obejmowały one zadzierzgnięte jeszcze w połowie lat dwudziestych przyjaźnie „ze śródowiskiem skupionym wokół Jana Kasprowicza, a potem jego żony Marusi, [...] krótko przed śmiercią pisarza około 1925 roku”. To właśnie tam, „na Harendzie poznała [...] Alberti wielu ciekawych ludzi, w tym kilku znakomitych pisarzy. Częstymi gośćmi [...] byli tu bowiem m.in. Michał Choromański, Karol Ludwik Koniński, Kornel Makuszyński, Wojciech Bąk, Antoni Gołubiew, Karol Irzykowski, Leon Chwistek [...]”. Gdy więc w początku lat trzydziestych małżeństwo Albertich przeprowadziło się na Podbeskidzie, uczyniło w swym mieszkaniu w Białej swoisty artystyczny „punkt spotkań”, stanowiący naturalne przedłużenie tamtych zakopiańskich chwil. Jak zauważa Rosner, „Alberti prowadziła swego rodzaju salon literacki, zapraszając na spotkania

„ubóstwa” była życiowa niezaradność męża, który, będąc potomkiem słynnej arystokratycznej rodziny Ruffo di Calabria, często nie wykazywał mieszczańskiej zapobiegliwości w utrzymywaniu domu. Nie da się jednak ukryć, że wielomiesięczne kwerendy i rekonesanse pisarskie (w Rzymie, Turynie, Neapolu, na Sycylii) opłacane były przez Alfonso Cocolę – który skwapliwie gromadził środki, wyprzedając sukcesywnie aktywa wielopokoleniowego majątku rodzinnego. Praktykę utrzymywania wysokiej stopy życiowej, pomimo nękających rodzinę lub państwo kryzysów, spotyka się w Italii do dzisiaj. Dopiero późniejsze wyprawy małżeństwa Alberti i Cocoli przypominają sztukę „goszczenia się za biesiadnym stolikiem”, poznawania regionalnych smaków i specjałów. Dlatego poszczególne włoskie krainy, do których zagląda pisarka (od strony kuchni), przypominają jej powrót do suto zastawionego stołu w podbeskidzkim domu, z pięknym serwisem i doborowym towarzystwem. Alberti, podróżując po prowincjonalnej Italii, czuje się jak u siebie w Bolechowie czy w Białej. W Rzymie, Neapolu, Mediolanie pomieszkuje, tak jak wcześniej w Warszawie, Krakowie czy we Lwowie. Jednak nigdy nie zdradziła się z planami opisanego stołecznego Lacjum. Jej żywiołem pozostają prowincjonalne rubieże, zapomniane i czekające na swego odkrywcę „krainy uboczne”. Cały cykl reportażowy nosił zresztą tytuł – *Italia celebre e sconosciuta* (*Włochy słynne a nieznane*), co wskazywało założoną decentralizację szlaków turystycznych, zejście z dróg prowadzących do Rzymu i wejście na nieznane trakty wiodące albo na głębokie Południe lub na górzystą Północ.

Kolejnym ważnym argumentem za określeniem Italii jako raju odnalezione-go przez Alberti jest odwzajemnione uczucie do Alfonso Cocoli. Z pewnością było ono gwarantem nowego porządku w życiu pisarki. Wspomina o tym w prywatnej korespondencji Maria Grabowiecka:

Gdy okrężną drogą K.A. dowiedziała się, że mąż tam umarł (był inwalidą woj. bez ręki i chory na serce) – wyjechała do Włoch i tam wyszła za Alfonsa Cocolę, którego znała z poprzednich podróży do Włoch.

[KAMG]

gości z różnych stron Polski oraz przedstawicieli inteligencji miejscowej [...]. Kilkakroć [...] salon w Białej odwiedził też Stanisław Witkiewicz. Przyjeżdżał na Śląsk nie tylko w odwiedziny do Albertich, utrzymywał bowiem także kontakty z Zofią Kossak i z Adamem Bunschem. Efektem tych wizyt były liczne portrety malowane tu przez artystę”. Por. E. Rosner: *Przypomnienie Kazimierzy Alberti*. W: Idem: *Beskidzkie ścieżki pisarzy. Szkice literackie*. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1982, s. 106–107.

W oczach przyjaciółki sytuacja życiowa Alberti zostaje uproszczona do niezbędnego minimum informacji, tak by bez rozterek i jakichkolwiek perypetii przeżywanych po drodze (domniemany romans pisarki trwający w latach 1945–1947) zmierzała ona do poznania kolejnej miłości swojego życia. Jeszcze w 1948 roku znalazła się u boku człowieka, którego żarliwe uczucie spowodowało, że mogła zacząć życie od nowa. Nie bytować na skraju społeczeństwa jako cudzoziemka, w każdej chwili gotowa do powrotu do ojczyzny, lecz w pełni żyć jako naturalizowana Włoszka u boku męża. Często podpisywała się niezobowiązująco jako Kazimiera Cocola – wbrew zwyczajom włoskim (wedle których kobieta zawsze zachowuje swoje nazwisko po wyjściu za mąż!). Po latach wiemy, że bezgranicznego uczucia Alfonso Cocoli do Kazimierzy Alberti nie podzielała jego rodzina, która zawsze traktowała ją obcesowo (szczególnie familia ze strony szwagierki) i nigdy do końca nie zaakceptowała tego małżeństwa (prócz teściowej i siostry męża Wirginii). Jednak sam Cocola, po śmierci Alberti, nie związał się już z żadną kobietą, a jej spuściznę literacką wytrwale tłumaczył i promował.

Następnym nieoczywistym dobrem emigracji do Italii było położenie geograficzne Bari (miasta, w którym pisarka finalnie osiadła), czyli wszechogarniające ciepło śródziemnomorskiego klimatu. Dla znękanego chłodem i przejmującym zimnem obozowego przetrwania pisarki cieszenie się łagodną zimą, piękną wiosną, delikatną jesienią i skwarnym latem było naturalną rekonwalescencją. Na podstawie kolekcji rodzinnych zdjęć widać wyraźnie, że kierunek południowy był często obierany przez Alberti, która świetnie znosiła, a właściwie syciła się upalnym, tropikalnym powietrzem. Tak by się jednak tylko mogło wydawać. Alberti, wbrew obiegowym sądom o dobrostanie śródziemnomorskiego klimatu, nie podzielała (ogłędnie mówiąc) tych opinii:

Ten klimat mnie zabija – wilgotny, paznokcie mi się kruszą, serce cierpi bardzo.

Bari, 5 października 1957, [KAMG]

Życie w Italii w lecie jest niemożliwe! Wszystko na ulicy. Wszyscy wrzeszczą do 2, 3-ciej w nocy, dzieciśka najbardziej. Spocona, zziębnięta („kłębek nerwów”) przewracasz się w gorącym łóżku i nie możesz zasnąć. [...] Mój reumatyzm szaleje, paznokcie mi schodzą i ciągle narastają nowe, odczuwam straszne bóle.

Bari, 30 kwietnia 1957, [KAMG]

Rozżalona i znerwicowana pisarka żyje w kłinczu sprzecznych uczuć. Z jednej strony rozkwita w miłości do Alfa, by z drugiej – być dręczoną zgryzotą niespełnienia oczekiwań familijnego modelu włoskiej rodziny:

W ogóle życie w Italii strasznie mi się nie podoba – kochanie. Tu się wszystko opiera na dzieciach. Wszystko dla dzieci. A te dzieci są niezdolne.

Bari, 30 czerwca 1957, [KAMG]

Dodatkowo, przyzwyczajona przez całe życie do podtrzymywania towarzyskich relacji, teraz, również z racji ekonomicznych, skazana jest na samotność. Zdobywa się nawet na zaskakującą w swym odwróceniu stereotypu włoskiego modelu biesiadowania i pielęgnowania wspólnoty, konstatację:

Życie jest smutne w Italii. Życie towarzyskie nie istnieje.

styczeń 1958?, [KAMG]

Pomimo że Kazimiera Alberti dobrze czuje się w środowisku wielkomiejskim, można zauważyć u niej pewne symptomy nadwrażliwości na hałas, rumor, całą strefę dźwiękową, którą generuje bez przerwy metropolitalne skupisko ludzi. Głośna włoska ulica, która staje się obejściem domostwa, integralnym przedłużeniem jego terytorium, dla Alberti pozostaje nieznośnym polem spoufalania się i teatralną sceną, „obnoszeniem się”, obnażaniem tajemnic. Podobnie podchodzi do rozpędzającego się zjawiska automobilizmu, które w porównaniu do dnia dzisiejszego stanowiło z pewnością znacząco mniejszą skalę, a ilość poruszających się po ulicach samochodów była wyraźnie niższa. Ale już w latach 50. Alberti zauważyła niebezpieczeństwa tej antyekologicznej turystyki:

Nieprzebrana, nieustanna rzeka aut płynie gośćmićcami bez przerwy w stronę Italii. Szwecja, Wiedeń, Niemcy – trzymają prymat. [...] Całą rzeką spływają do Italii. Wiedeń jakby się upił swoją wolnością, wszystkie piątki nad włoskie mo-rze, po włoskie wino, po włoską miłość.

Arnoldstein, 5 lipca 1955, [KAMG]

To, co miało cieszyć znękaną duszę pisarki i odciągać jej uwagę od wiecznego rozpamiętywania na zawsze utraconej w ojczyźnie pozycji towarzyskiej, czyli kwintesencja włoskiej *dolce vita* – metonimizowanej przez „morze, wino i miłość” – jest pasjami przez nią wykpiwane z werwą narzekającej mizantropki. Obietnica włoskiej rekonwalescencji, w której autorka *Ust Italii* dochodzi do pełni sił, stała się pułapką wyobrazonego raju, który w codziennej udręce może utrzymałby się w definicji czyśćca, kwarantanny – „okresu próby”, po którym nadejdzie czas normalnego życia. Kazimiera Alberti zdaje sobie dobrze sprawę, że dla odbiorcy jej listów (pierwotnie Grabowieckiej, obecnie wszystkich zain-

teresowanych) tak ostre słowa wypowiedziane na temat włoskich niedostatków życia mogą wydać się niezrozumiałe, wręcz definiujące ich autorkę jako osobę nieumiejącą docenić darowanej jej przez los życiowej szansy, możliwości trwania w demokratycznym kraju, w warunkach o niebo (sic!) lepszych niż miał do dyspozycji przeciętny obywatel PRL-u. Ta świadomość jeszcze bardziej wzmacnia udręki mieszkanki Bari:

Każdy się jakoś pozbierał, zapomniał, [zaczął?], a ja z tą ogromną miłością, w tym cudownym kraju – jakoś nie mogę!!

Rzym, 21 kwietnia 1958, [KAMG]

Co ciekawe, Kazimiera Alberti narzeka tylko w domowych pieleszach, utyskuje i sarka w kieracie sprawunków i codziennych czynności. Pesymizm pisarki znika na kartach podróżniczego tetralogu – ciągłe zwiedzanie, odkrywanie nowych miejsc wycisza jej zmienne, drażliwe nastroje. Pisarka cierpi na – jeśli tak można to ująć – nerwicę postoju, doskwiera jej trwanie w czasie zatrzymanym, codziennym, zwyczajnym. Wszystko, co zmienne, okazjonalne, odświeżne wprawia ją w dobre samopoczucie, wyzwala w niej wyobraźniowe i dyskursywne moce, buduje poczucie spełnienia i dobrostanu. Tak zdiagnozowana dyspersja osobowości Kazimieri Alberti zostanie potwierdzona przez nią samą:

Ja żyję w Italii tylko dla Alfa, bo sama nigdy bym tego kraju nie wybrała, jak tylko dla turysty. Żyłabym w Austrii, Szwajcarii, na północy.

styczeń 1958?, [KAMG]

PISZĘ, WIĘC JESTEM

Doniosłym faktem, który wskazywałby jednak na dobrostan włoskiego życia Kazimieri Alberti, jest powrót do pisania. Warto zauważyć, że musiało minąć kilka lat od zakończenia wojny, a 10 lat od wydania ostatniego tomu wierszy (*Serce zwierzęce*, rok wyd. 1939), by autorka *Duszy Kalabrii* opublikowała swą kolejną pisarską próbę. Czy ta pauza wymuszona była li tylko okupacyjnym rozbięciem, wieloletnim życiem w drodze lub mozolnym „zagnieżdżaniem się” na włoskiej ziemi: urządzaniem sobie życia od nowa, codzienną krzątaniem, pracą zarobkową? Wydaje się jednak, że za tym zamilknięciem stoi pewna afazja twórcza, która zamknęła na lata „usta (w) Italii”. Jak głęboka musiała być to zapaść, nigdy się nie dowiemy. Autorka przemilcza fakt swojego restartu

pisarskiego, okoliczności tej psychomachii, którą autoagresywnie przepracowywała przez długie lata. Musimy brać pod uwagę również zmianę języka, Alberti już nigdy nic oficjalnie po polsku nie opublikuje. Porzuciła język ojczysty, stając na pasie ziemi niczyjej – bo jeszcze nie była w stanie pisać w języku włoskim, dlatego korzystała ze świetnej znajomości francuskiego. Do końca miała nadzieję na powrót do tłumaczeń z języka bułgarskiego, słowackiego i czeskiego – w latach 50. negocjowała, niestety bezskutecznie, kontrakt na takie translacje. Jakaż to musiała być dla niej udręka – pozostawać pisarką bez języka, być wygnaną z jednego uniwersum znaków, a nie przyjąć jeszcze do następnego. Często taka „bezdomność” kończy się trwałym odejściem od twórczości. Symptomatyczne jest całkowite zaniechanie żywiołu lirycznego, który mozolnie przyrastał dotąd w pisarskim dorobku. Choć pod koniec życia planowała (rzekomo!), bo nie zachował się rękopis, poemat o Krakowie i tom *Kantyczka emigranta*. Podobnie rzecz się ma z wydawaniem powieści, które szczególnie w swym nowatorstwie tematycznym stanowią ciekawy przyczynek dla badaczy spuścizny Kazimierzy Alberti. Jednoczesna rezygnacja z uprawiania liryki, jak i zatrzymanie żywiołu beletrystycznego wyraźnie wskazują na ostrą cezurę w tej twórczości, a wręcz „złamanie pióra” przez uznaną w dwudziestoleciu autorkę. Dlatego zaprogramowanie reporterskiego cyklu *Włochy słynne a nieznane* stanowi nowe otwarcie, z pewnością pełne dramatycznych wahań, lęków i niepewności. I tylko czuła obecność Alfonso Cocoli, który wydatnie pomagał w pisarskim rzemiośle, jak i brał na siebie trud organizacyjny podejmowanych wypraw – rekonesansów badawczych, spowodowały, że dzisiaj możemy trzymać w ręku niejako rewers tej wielkiej historii miłosnej, czyli tłumaczenie *Duszy Kalabrii*, a w przyszłości – kolejnych trzech reporterskich tomów. Jak ważny był to dla niej powrót do literackiego rzemiosła, niech świadczy ta mocna deklaracja:

Jeśli coś zaważy o moim nazwisku literackim w przyszłości, to tylko to, co piszę teraz.

Bari, 16 listopada 1957, [KAMG]

Ważna deklaracja Kazimierzy Alberti, wynikająca z głębokiej świadomości autotematycznej, ogromnego poświęcenia wydawniczego i wiążącego się z tym ryzyka finansowego, mogłaby się stać blurbem na skrzydełku okładki *Duszy Kalabrii*. Skupienie na tym wielkim przedsięwzięciu literackim, które wymagało od małżeńskiego zespołu wręcz katorżniczej pracy, powodowało, że sam akt pisania był czystą przyjemnością. A poza tym trzeba było pełnić obowiązki tragarza, drukarza, doręczyciela, wydawcy, sprzedawcy-kolportera itd. Ta deklaracja ma

w sobie również pewien ładunek smutku, świadomego pozostawienia za sobą wielu dokonań pisarskich, porzucenia dawnej „linii” twórczości¹⁰. Niby żona Lota Alberti musi wytrzymać to bolesne odcięcie od ojczyźnianego Parnasu. Tym bardziej, że dochodzą do niej takie wieści:

Ja teraz do Polski jednak nie mogłabym przyjechać Kochanie z różnych przyczyn [...]. Przede wszystkim, aby nie narażać moich przyjaciół. Miałam wiadomości z Krakowa, że w Związku Literatów bardzo się źle o mnie mówi, jako o burżujce i żonie b. burżuja. Właśnie ci wszyscy, którzy należeli do prawicowej kapliczki, jak Andrzejewski, Gałczyński itd. Ja do prawicowej kapliczki nigdy nie należałam i po zakrystiach nie wycierałam kątów, jak oni. Moje książki były zawsze „lewe” w epoce, gdy „prawi” robili karierę literacką. Teraz oni wszyscy stali się bardzo lewi, a ja zostałam „burżujem”, który zdradził kulturę i „uciekł” z kraju...

Bari, 8 stycznia 1957, [KAMG]

10 Warto zauważyć, iż przybywająca do Włoch Kazimiera Alberti była w pełni ukształtowaną osobowością twórczą, pisarką o dużym dorobku literackim i pełnej ogólnopolskiej rozpoznawalności krytycznej. Wystarczy wymienić siedem tomów poetyckich, dwie sztuki teatralne, teksty pisane do autorskiego, oryginalnego kabaretu, tłumaczenia literatury czeskiej i bułgarskiej, a przede wszystkim trzy powieści – realizujące emancypacyjny wzorzec Nowej Kobiety i otwierające wieloaspektowo dyskusje o społecznych mechanizmach dominacji i wykluczenia. Wymieniona na końcu aktywność prozatorska Alberti zyskuje ostatnio duże zainteresowanie w kręgu badaczek nurtu feministycznego i – szerzej – w środowisku historyków literatury. Monika Świerkosz czyta debiutancką „powieść sportową” Alberti (*Tatry, narty, miłość*; Warszawa 1928) w kontekście procesów pozwalających „dowartościować zmysłowy, biologiczny i fizyczny wymiar życia (nie tylko kobiecego)”, Karolina Pospiszil patrzy przekrojowo – my skierujemy naszą uwagę zwłaszcza w stronę *Ghetta potępionego* (Warszawa 1931) jako przykładu powieści traktującej o „ludziach odrzuconych, zapomnianych czy niechcianych w społecznej pamięci, w mieszczańskim polu widzenia”. I wreszcie wnikliwa lektura książki *Ci, którzy przyjdą* (Warszawa 1934), dokonana przez Aleksandrę Banot, odsłania procesy wyzwalań (się) głównej bohaterki „spod dyktatu mieszczańskich zakazów i nakazów, zerwanie z konserwatywnym światopoglądem, zakwestionowanie sztywnych podziałów klasowych”, co pozwala kobiecie na swobodę „emocjonalną, intelektualną, zawodową, ekonomiczną, a przede wszystkim obyczajową”. Jeszcze inaczej patrzy na dwa ostatnie utwory Eugenja Prokop-Janiec – traktuje oba dzieła jako formy „powieści etnograficznej”. Por. M. Świerkosz: *Uległe czy sprawcze ciała nowoczesności? O fizyczności Nowej Kobiety*. W: *Nowa Kobieta – figury i figuracje*. Red. I. Iwasiów, A. Krukowska, A. Zawiszewska. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2017, s. 275; K. Pospiszil: „Arystokraci nędzy”, czyli Kazimierzy Alberti opowieść o odrzuconych. „Fabrica Litterarum Polono-Italica” 2019, nr 1, s. 74; A.E. Banot: *Emancypacje Heleny Rumiszewskiej w powieści Kazimierzy Alberti „Ci, którzy przyjdą”*. W: Eadem: *Nie(do)czytane. Pisarki nowoczesności przełomu XIX i XX wieku*. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2024, s. 110; E. Prokop-Janiec: *Powieść etnograficzna a kultura mniejszości*. W: *Kulturowa teoria literatury 2. Poetyki, problematyki, interpretacje*. Red. T. Walas, R. Nycz. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2012, s. 541–564.

Z pewnością obraz polskiego, powojennego życia literackiego przyprowadził Alberti o młodości. Zmiany barw, zdrady, koterie i kłótnie to tylko część tej „piekielnej maskarady”. Tym bardziej, że niektórzy literaci płacili życiem lub więzieniem za nieprawomyślność okazaną wobec nowego porządku. Pisarka zdawała sobie sprawę, że jest skazana na dożywotnią emigrację. W związku z tym postawiła wszystko na jedną kartę, a właściwie na jeden wielotomowy cykl, by odbudować swoją pozycję, a przede wszystkim uwierzyć znów w swoją pisarską omnipotencję. Być może małość środowiska literackiego widziana z oddali lub przekonanie o dobrze wykonanej pracy powodowały, że literacki tandem nie promował swoich publikacji, zdawał się na dobry gust ówczesnej publiczności literackiej Włoch. Z pewną dezynwolturą pisarka konstatuje:

[...] w Italii także nie zabiegam o karierę, nie wysyłam książek do recenzji ani na konkursy – nie mam na to po prostu czasu. Książki idą same bez najmniejszej reklamy. Jest to rodzaj, który musi znaleźć swoich amatorów.

Bari, 8 stycznia 1957, [KAMG]

Po latach wiemy, że książki z reporterskiej serii cieszyły się dużą popularnością. Doczekały się również kilkunastu pochlebnych, czasami entuzjastycznych recenzji we włoskiej prasie codziennej. A po latach są wciąż wznawiane¹¹. Warto o tym wspomnieć *a propos* pierwszego polskiego tłumaczenia i premiery literackiej – po ponad siedemdziesięciu latach od włoskiego debiutu.

Alberti, starając się o tłumaczenie trawelogów i negocjując kontrakt z polskimi wydawcami, przekazywała, *via* Maria Grabowiecka, taką charakterystykę swoich dzieł:

[...] nie są to tylko książki tzw. „podróżne”, ale to [...] „książki kultury”, tzn. chciałam przedstawić każdy region Italii w sposób najkompletniejszy: historia, zabytki, sztuka, stroje, zwyczaje i obyczaje, filozofia, muzyka, malarstwo, sławni ludzie i święci, artyści i filozofowie. Wszystko to od strony nie regionalnej, ale od strony ogólnej historii ludzkości.

Bari, 16 listopada 1957, [KAMG]

11 Wymieńmy dla przykładu nowocześnie zaprojektowaną i starannie wydaną propozycję oficyny Rubbettino. Por. K. Alberti: *L'anima della Calabria*. Introduzione di M. Petruszewicz. Rubbettino, Soveria Mannelli 2007.

Wyraźnie widać w tym opisie proces zamazywania tego, co dla czytelnika w każdym czasie jest oczywistym atutem tych książek, a mianowicie wzajemne przenikanie się wielu przestrzeni, czasów, punktów widzenia. Dla Alberti *Dusza Kalabrii*, pierwsza w serii reportaży włoskich, jest swego rodzaju książką rozliczeniową, w której autorka podsumowuje doświadczenia pisarskie, egzystencjalne, stawia w stan likwidacji swoje wielkopańskie życie, testamentalnie żegna się z opuszczoną nagle ojczyzną. W powojennej Polsce takie ekspiacje dawnej członkini elitarnej, sanacyjnej socjety nie mogły być mile widziane. Dlatego Kazimiera Alberti promuje swój tekst jako pełny przewodnik (a nie pół/przewodnik), erudycyjny bedeker konstruowany w duchu „internacjonalistycznej” wymiany dóbr, „książkę kultury” adresowaną do „aspirującego obywatela” ludowej ojczyzny. Dziś już wiemy, że wszystkie te starania były odkładane na półkę „rzeczy nie do druku”. Być może przyczynił się do tego sam Jarosław Iwaszkiewicz, którego Alberti i Cocola parokrotnie podejmowali w swym włoskim domu, który obiecywał pomoc w wydaniu reporterskiego cyklu, a który – *de facto* – z niechęcią pozbywał się monopolu opisywania Italii w krajowym, reglamentowanym przekazie oficjalnym.

Jak szeroki i entuzjastyczny pogłos w rezonansie czytelnicznym uzyskała pierwsza część cyklu *Italia celebre e sconosciuta*, niech świadczy ten wypis z recenzji, które ukazały się we włoskiej prasie codziennej.

Pierwszy fragment to neapolitański „Il Giornale”, z 22 lipca 1950 roku:

Jej książka, *Dusza Kalabrii*, jest głęboko uczuciowym poszukiwaniem treści wspaniałych pejzaży Italii południowej, tak mało znanych nawet nam, którzy ją mamy na wyciągnięcie ręki. Alberti, która publikuje, po raz pierwszy po włosku, zdołała w sześć miesięcy – zrozumieć to, czego nasi wojażerowie nie zrozumieli w ciągu sześćdziesięciu sześciu lat, a mianowicie to, że nie należy się zatrzymywać na powierzchni pejzażu, ale przenikać go aż do głębi. A przede wszystkim nie zapominać, że także ludzie tworzą pejzaż.

Drugi – rzymski „Il Popolo”, z 23 sierpnia 1949 roku:

Styl poetycki, głębokość myśli filozoficznej, psychologiczna przenikliwość, zdolność do syntezy – to tylko niektóre z walorów książki. Należy więc wierzyć, że dzieło Alberti odniesie należny mu sukces, również dzięki znakomitemu przekładowi Alfonso Cocoli.

Trzeci fragment pochodzi z kalabryjskiego pisma „Calabria d’Oggi” (1950, nr 11–12):

Dzieło czyta się z dużym zainteresowaniem i powszechnym zrozumieniem. Stylem przypomina ono najlepsze pisma podróżnicze Edmonda De Amicisa.

Kolejny ustęp – z kalabryjskiego czasopisma „Scrittori Calabresi”, z 1 lutego 1951 roku:

Tom Alberti wypełnia lukę, na którą wielokrotnie narzekaliśmy, a teraz jesteście pewni, że zasłuży on na szerokie uznanie, nie tylko w Kalabrii, ale we Włoszech i za granicą.

I na koniec – baryjska „Gazzetta dell’Mezzogiorno”, z 2 października 1952 roku:

[...] przeczytałem piękny tom Kazimiery Alberti, genialnej polskiej pisarki, zatytułowany *Dusza Kalabrii*, na którego stronach Wielka Grecja ożywa w poetyckich barwach, popularnych tradycjach. Autorka powołuje się na najpoważniejsze źródła, które przeplata komentarzami w swoim niebanalnym i kwiecistym stylu¹².

DUSZA KALABRII, A CO TO TAKIEGO?

W znakomitym eseju wieńczącym przekład pism podróżnych Théophile’a Gautiera autor tłumaczenia – Mateusz Kwaterko – konstatuje:

[...] nawet w Kalabrii trudniej spotkać prawdziwego zbójcę niż na paryskim bulwarze itd. Stąd też zapiski rzetelnych i prawdziwych podróżników są najnudniejszą w świecie lekturą. Nieszczęśnikom tym bowiem nie pozostaje nic innego, jak liczyć przydrożne drzewa, opisywać szyldy zajazdów i przytaczać dane statystyczne¹³.

Kalabryjski przykład został tu użyty jako wyblakła klisza i utarty frazeologizm. Czy nie można uciec od złych skojarzeń wiążących się z regionem rozposzar-

12 Wszystkie cytaty pochodzące z włoskich gazet codziennych – tłumaczenie własne.

13 M. Kwaterko: *Ekscentryczne podróże Théophile’a Gautiera*. W: Th. Gautier: *Kaprysy i zyg-zaki*. Tłum. M. Kwaterko. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 398.

tym od Reggio di Calabria po Crotone? Dla wielu będzie to 'ndrangheta, bezwzględna mafia endemicznie wrosła w ten region. Dla innych trudny górzysty teren, niebezpieczne drogi i niegościnna, zamknięta społeczność¹⁴. W takich przypadkach rzeczywiście pozostaje liczenie drzew, oglądanie ledwo czytelnych szyldów i recytowanie dziennika statystycznego. I Gautier, i Alberti uciekli z tego więzienia stereotypu oraz wszędochyłkiej reporterskiej nudy. Czy to w ekscentryzm zachowań podróżnych (Gautier i jego nieodłączny kompan de Nerval), czy to w ekscentryzm geograficzny, eksplorowanie stref prowincjonalnych (*casus* Alberti). W jednym i drugim przypadku efektownie została złamana konwencja sztamkowego podróżopisarstwa¹⁵.

Alberti doznaje kalabryjskiego zawrotu głowy – to, co ogłuszająco piękne, pejzażowo dostojne i unikatowe, nawet dziś, w swej dzikości i osobności, zdarza się ciągle w jej myśleniu z tym, co traumatyczne, pozostawione w zdewastowanym kraju, nierozwiązane, niepożegnane. Stąpając po niegdysiejszej Wielkiej Grecji, Alberti posługuje się czasem właściwego momentu, kairoutycznym byciem dla danej chwili, wgłębieniem się w moment historyczny, mitologiczną opowieść i ludową legendę. To współistnienie w wielu czasach, stałe ich kontrolowanie powoduje, że czytelnik zostaje uwikłany w sprawy autorki, nie jest tylko biernym obserwatorem, któremu ona pokazuje podkolorowane kalabryjskie przeźrocza. Chcąc zrozumieć Kalabrię, musi poznać los Alberti, musi uznać dyktat jej wrażliwości.

Doprawdy trudno zgadnąć, dlaczego to miejsce upodobało sobie polsko-włoskie małżeństwo? Zaczynać opowieść o Włoszech od Kalabrii to gest iście kontrariański, przekorny w swej wymyślnej oryginalności, zaczepny w swej mądrej prowokacyjności. Senna prowincja, która nic nie wie o swojej

14 Chwalebny wyjątkiem od wykorzystywanej przez wielu praktyki „kliszowania świata” pozostaje niewątpliwie, znakomity literacko i świetnie zaaranżowany kompozycyjnie, „reporterski skan” kalabryjskiej rzeczywistości autorstwa Antonia Talii. Por. Idem: *Droga krajowa numer 106. Na tajnych szlakach kalabryjskiej mafii*. Przeł. M. Salwa. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021.

15 Na ten ostentacyjny gest pisarski zwraca także uwagę warszawska badaczka, porównująca dwa inne tryby kalabryjskiej marszruty: „W tekście Alberti dostrzegamy całkowity brak odniesień do tzw. kwestii południowej, do stereotypów związanych z Południem i Kalabrią, stereotypy są konsekwentnie obalane. Właśnie na przekór stereotypom »dzikiej, biednej i pełnej bandytów« Kalabrii, ukazuje ją z zupełnie innej strony, wręcz personifikując fascynujący ją region: subtelna, intelektualna, estetyczna, pracowita, w inwestycjach skuteczna. W tym świetle, malując poszczególne kalabryjskie obrazy, autorka namawia potencjalnego wędrowca, aby tu przyjechał, zobaczył piękno tego regionu i przekonał się o nim na własne oczy...”. Por. A. Tylusińska-Kowalska: *Dwie polskie pisarki w Kalabrii: Zofia Sokołowska i Kazimiera Alberti*. „Lingue e Linguaggi” 2023, vol. 60, s. 308.

provincjonalności. Dumna, przedwieczna kraina, królowa Południa – Wielka Grecja. W Kalabрії przymioty ducha włoskiego zobaczyć można w sposób nieoczywisty. W majestatycznej scenerii wielkiego górskiego pustkowia Włoch staje się on swoim przeciwieństwem, negatywem zawsze przecież upraszczającego stereotypu. Przypomina to sytuację wschodniego skryby, któremu nakazano opowiedzieć historię carskiego imperium z perspektywy Gruzina, Czeczena czy Kurda.

Kalabria to cypel kulturowy. Helleńskość, hebrajskość, łacińskość, etruskość, arabskość krzyżują się na jej brzegach i w interiorze. Czas płynie tu niczym górską rzeką, która wpada do morza, w sposób pewny, pogodzony z losem, niosący wciąż nowy materiał osadowy. Zdarzają się, owszem, mocne porywy, kiedy wzburzone wody niosą kamienne lawiny, zabierają przyrzeczne domostwa, porywają nadkruszone trzęsieniami ziemi budowle. Potem wszystko jednak wraca do głównego nurtu życia, do swojego rzecznego koryta. I rzeka, i czas płyną dalej. W Kalabрії historia przybiera – jak się wydaje – kształt kolisty, nielinearny. Niewiele się tam zmieniło od wczoraj czy też od przedwczoraj. Tak samo „kręć i wciągaj” wyobraźnię groźne wiry między Scyllą a Charybdą, przydając widokom mitologicznego majestatu. Dziś, prócz kilku górujących nad krajobrazem stalowych konstrukcji energetycznych i wielkich statków forsujących Cieśninę Mesyńską, niewiele się tam zmieniło od czasów starożytnych.

Większość miast, miasteczek, osad ludzkich usytuowanych jest na styku lądu i morza. Kalabryjska linia brzegowa jest wyjątkowo ostra, z dużymi przewyższeniami. Powoduje to znaczne różnice w wysokości usytuowania siedzib ludzkich nad poziomem morza. Topografia terenu niejako dzieli ludzi na rybaków i górali, w obrębie tego samego miasteczka czy wioski. Dawniej do górnej części osady prowadziły strome, wieloetapowe schody, dzisiaj instaluje się bezpłatne windy dla stałych mieszkańców. Doświadczenie pobytu w takim morsko-górskim kurorcie, nawet dla turysty, pozostawia rodzaj podwojonego widzenia, z poziomu plaży i z wysokości klifu. Zdublowany zostaje też pamięciowy zapis, jak gdyby było się w dwóch odległych przestrzeniach jednocześnie. Zjawiony cud bilokacji.

Alberti i Cocola podróżowali po Kalabрії w sposób zwyczajny, niczym prości, niezamożni ludzie. Nie przeciskali się oni przez ciżbę turystów, nie lawirowali między pamiątkarskimi stolikami, nie oglądali krajobrazów przecinanych nagłym błyskiem fleszy. W ich półrocznej ekskursji doznali pewnie zupełnie niecodziennych przeżyć, niby antropolodzy zapuszczający się w dzikie ostępy, podpatrywali Włochy od – jeśli tak można rzec – *arche*-strony, od mitologicznego fundamentu, od kulturowej kuchni. Młodego małżeństwa nie stać wtedy

było na własny samochód, nabędą go dopiero w połowie lat 50. Do tego czasu poruszali się publicznymi środkami transportu – głównie lokalną siecią autobusową, pociągami, autostopem. Słowem: będąc tak blisko kalabryjskiego ekosystemu, wplatali się w, inną niż drogowa, sieć. Chodzi mianowicie o język, a w szczególności bardzo charakterystyczne zamiłowanie Włochów do dialektów. Półwysep Apeniński to najbardziej zróżnicowany pod względem językowym region na Starym Kontynencie i na całym globie. Szczególnie prowincje południowe wyróżniają się na tej mapie dialektów. Bo inaczej mówi się w Reggio di Calabria, inaczej w miejscowości oddalonej o kolejne 20 kilometrów o nazwie Scilla, a zupełnie odmiennie w pachnącej czerwoną cebulą Tropei. Wśród słabo wykształconych Kalabryjczyków znajomość pasywna włoskiego (*Italiano standard*) była znikoma. Dzisiaj, dzięki lepszej komunikacji drogowo-szynowej z resztą kraju i rozwijającej się tam prężnie turystyce, sytuacja stała się diametralnie odmienna. Możemy się tylko domyślać, jak młode małżeństwo porozumiewało się w latach 50. w kalabryjskim kraju. Pewnie trud komunikacji wziął na siebie Alfonso Cocola. Jako autochtonowi i potomkowi kalabryjskiego rodu Ruffo ogólna znajomość dialektu nie była mu zupełnie obca. Dodatkowo, dla lepszego wywiadu z ekspertami, pasjonatami, kustoszami, poruszali się oni między miastami bądź ważnymi ośrodkami życia kulturalnego, po których pozostały już tylko ruiny i muzea. Alberti niejednokrotnie zwraca uwagę na lingwistyczne ostańce przebrzmiałych cywilizacji, których ślady zostały w słowniku dialektycznym danej społeczności. Czy pisarka była wrażliwa na „języki mniejsze”? Stygmatyzacja dialektu jako formy komunikacji klas niższych, wykluczonych, spauperyzowanych z pewnością przeczyłaby pewnego rodzaju elitarności, do której pretendowała Alberti. Jednak ciekawość historii zakłętej w bursztynie wyrazu łamała wielkopańskie przyzwyczajenia pisarki i (dzięki temu) kierowana ciekawością etymologicznych opowieści wsłuchiwała się ona w dziwną mowę Kalabryjczyków. Słowo w dialekcie (słowo dialektyczne – sic!) to wykopalisko tożsamości regionalnej, to pojedyncze stanowisko archeologiczne, w którym układają i odkładają się kolejne warstwy historii: najazdy obcych plemion, podboje wielkich narodów, zamorskie kolonie, międzykontynentalne pożyczki. W etnolekcie kalabryjskim, zależnie od zakątku regionu, fachowe ucho dosłyszysz zapożyczenia łacińskie, greckie, hebrajskie, arabskie, nawet hiszpańskie czy tureckie – a może i pogłosy etruskie. Martwe języki opalizują w ustach prostych ludzi. Na podmiejskim targu w donośnym rozgwarze kupujących można wsłuchać się w mowę prawdziwych, choć nieświadomych tego, poliglotów. Ten śpiew przechodzący w krzyk i pohukiwanie to często mowa emocji. Obcy użytkownik nie jest zdolny do takiej gimnastyki aparatu

artykulacyjnego¹⁶. Pozostaje mu tylko niemy podziw. Alberti często pozostawała w takim nastroju, jak po wysłuchaniu kompozycji muzycznej, w której miłosne szepty mieszają się z bezwzględnością żołnierskich rozkazów i knajacką mową więźniów. Trzeba też pamiętać, że Kalabria to, z racji warunków geograficznych, w większości kraj albo rybaków, żeglarzy, albo górali – pasterzy i rolników. Słowa – pestki wyrzucane przez milkliwych autochtonów, musiały mieć swoją kurczliwość fonetyczną i wyporność semantyczną. Dodatkowo liczne najazdy i okupacje tej krainy potęgowały chłód przekazu, niejako awangardową inwencję w skracaniu komunikatów aż do absolutnego minimum. Dla wrażliwej eksploratorki słownej sfery była to nie lada przygoda. W odciętej od świata enklawie mogła z rozkoszą i zrozumieniem wsłuchiwać się w jego ni to anachroniczną, ni to nowoczesną melodykę, w której słyszeć tysiącletnie opowieści – szcęk oręża, gruchotanie kości, prośbne gesty głodujących, różnoreligijne modły, humanistyczne przesłania. Z dala od katedr, uniwersytetów, wielkich ośrodków myśli, tworzyła się tu i tworzy nadal organiczna tkanka kulturowa, która sama potrafi się wypowiedzieć, dysponuje w pełni niepodległym głosem. I takie artefakty werbalne z kalabryjskiej podróży przemycili w swej opowieści Kazimiera Alberti wraz z Alfonso Cocolą.

Jeśli ktoś wyobraża sobie, że Południe jest samą łagodnością, słodyczą i lekkością bytu, że pod błękitnym baldachimem nieba życie jest nieustającym karnawalem, baletem słonecznych plam na marmurze, zapachem lawendy, urodą mimozy, popełnia błąd. Stereotypy mają twarde życie. Przy bliższym poznaniu, w obcowaniu na co dzień odkrywa się, że Południe jest także twarde, bezlitosne, ksenofobiczne, owinięte jak wąż wokół siebie, przesyccone zmysłowością, macho, impertynenckie...¹⁷

Tako rzeczce wybitny znawca Południa – Adam Wodnicki. Przypadek kalabryjski odbiega jednak od normy stereotypu, który w tym przypadku ma jeszcze tward-

16 O innej „gimnastyce komunikacyjnej”, zwykle nieprzenikliwej dla oka przybysza – w kontekście włoskiego południa – wspomina Walter Benjamin: „Język gestykulacji sięga dalej niż gdziekolwiek indziej we Włoszech. Jego rozmowa jest dla każdego z zewnątrz nieprzenikniona. Uszy, nos, oczy, pierś i ramiona to stacje sygnalizacyjne pod przewodem palców. Ten podział powraca w ich wyspecjalizowanej wybrednej erotyce. Gesty gotowości do pomocy i niecierpliwe potrącania zwracają uwagę cudzoziemca regularnością, która wyklucza przypadek”. Por. W. Benjamin: *Podróż-że wyobraźni*. Wybrał i przełożył B. Baran. Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2021, s. 27–28. Alberti wielokrotnie odbywa taką sensorycznie motywowaną „podróż wyobraźni” – najlepiej obrazuje to „widmowy rozdział” książki: *Spotkanie z tłumem*.

17 A. Wodnicki: *Tryptyk oksytański*. Austeria, Kraków 2014, s. 312.

sze życie – bo wyrócone na nice. Wokół kalabryjskiego południa ugruntowane zostały przekonania o nieprzyjazności tej ziemi i żyjących tam mieszkańców. Owiane złą sławą kalabryjskie ostępy przez dziesięciolecia tkwiły w czystcu ziem ubogich, skorumpowanych przez mafię, nieprzychylnych obcym. Alberti odczarowuje ten kłamliwy wizerunek, przechodzi ponad chędogą doczesnością do żywnych pokładów historii, mitologii, wielobarwnego charakteru tych ziem. Widzi w mieszkańcach protoplastów dawnych opowieści, żyjących na twardych warunkach pośród surowej natury. W momencie gdy uzmysłowimy sobie ten trud kalabryjskiej powszedniości, ujawnimy ogromne zasoby „łagodności, słodyczy i lekkości bytu” – nieoczywistych cech tego skrawka Południa. Kazimiera Alberti i Alfonso Cocola odkrywają Kalabrię na nowo, zdejmują z niej klątwę groźnego zakątka Europy, podnoszą do rangi żywego rezerwatu Historii, a czynią to z wielką empatią do ludzi i dzięki ogromnej pracy przygotowawczej, włożonej, by odbyć tę półroczną ekskursję.

Patrzac na Reggio di Calabria, przechodzac ulicami i zagladajac do sklepów i w zaułki, Alberti dostrzega o wiele więcej niż bieżącą codzienność miast. Można powiedzieć, że ta staje się nie więcej, jak tylko nicią w bogatej tkaninie historii i mitologii¹⁸.

Place w kalabryjskich miastach do złudzenia przypominają teatralne sceny. Na ich „kamiennych deskach” wystawia się sztukę bycia we wspólnocie, która od setek, jeśli nie tysięcy już, lat nie schodzi z kulturowego afisza. Gra się ją za pomocą tych samych gestów, wyśpiewując znajome arie w dialekcie, zachowując się w sposób, na który druga strona zna rytualną odpowiedź. Alberti i Cocola musieli uczestniczyć w tym kalabryjskim wiecowaniu, podpatrywać pogrupowane wedle wieku, ważności, płci i ról: kolokwia i sympozjony. Społeczne, codzienne widowisko wchłonęło w siebie wiele kultur, które zostały przyniesione na te ziemie siłą miecza, kupieckim wozem lub w misyjnej procesji. Przykładowo, w wieczornym wiecowaniu starszozyzny uobecnia się rodzaj greckiej agory, na której w perypatetyckim rytmie rozdyskutowani rozmówcy co rusz zatrzymują się dla podkreślenia wagi wypowiedzi. Nie są oni przepasani togami, lecz ubrani, bez względu na pogodę, w zbite, wełniane pulowery, spodnie zaprasowane w kant, noszą pełne obuwie i obowiązkowe nakrycie głowy. Niby plebejscy Grecy zagubieni gdzieś w ostępach Kalabrii przenieśli w dzisiejsze czasy starożytnie wartości, nie dla chwały historii, nie dla turystycznego święta czy sztucznej

18 T. Sławek: *Ćwiczenie umysłu...*, s. 21.

zabawy w tworzenie grup inscenizacyjnych. Dzieje się to spontanicznie, tradycyjnie, bez myślenia o obserwujących osobach trzecich, bez wszędybylskiej idei monetyzowania każdej możliwej atrakcji turystycznej.

Niemal wszystkie elementy środowiska naturalnego na całej kuli ziemskiej zostały przekształcone w rozmaite spektakle, które można dołączyć do kolekcji podobnych im spektakli, aczkolwiek w wielu wypadkach wstępu na nie bronią „bramki”, przy którym są pobierane opłaty za ich konsumpcję¹⁹.

Na szczęście, Kalabryjczycy uporczywie wywołujący dystans, odmienni od włoskich stereotypów, gnuśni, gwałtowni w złości, powściągliwi w dobroci, ludzie morza i gór w jednym ciele, nie myśleli wtedy (tak pozostaje w większości regionu do dzisiaj) o sobie i swojej ziemi, jako o atrakcji na szlaku turystycznym. Alberti, obserwując te spektakle, pełne temperamentu i dumy, musiała docenić tę tożsamość ulepioną w kulturowym tyglu, tę wytrwałość w przejmowaniu cudzego dziedzictwa, często narzucanego przemocą. Pewnie z racji wrodzonej pańskości, podkreślanej niegdyś wyższości klasowej Alberti nie bratała się z tą wspólnotą, lecz, czego daje często wyraz w swojej książce, zostawała w niemym urzeczeniu, zachwycona niczym samozwańcza antropolożka czy kulturoznawczyni, pracująca w trybie *on the road*. Dusza Kalabrii żyje w ludzkiej ławicy, w idei „społem”, która kulturowym lepikiem brata często niepiśmiennych, słabo wykształconych, nieświadomych rangi podejmowanego dziedzictwa.

Dlaczego celem pierwszej wędrówki Alberti stało się kalabryjskie głębokie południe? W latach 50. miejsce trudno dostępne, niebezpieczne i zapomniane przez samych Włochów. Być może Alberti celowo obiera sobie za cel właśnie taki zakątek kraju, w którym może „odbić” swoje troski, trwogi i nieoswojone lęki. Patrząc na kalabryjski krajobraz, widzi swą skomplikowaną naturę, pogmatwane własne losy, rodzaj zapomnienia, na które się skazała w dawnej ojczyźnie. Kalabria to katabaza, do której schodzi, by potem, z każdą zapisaną kartą, powoli wstępować na powierzchnię, systematyzować swoje doświadczenie, wspomnienia i uczucia²⁰. Krajobraz Kalabrii to włoski żmut, rodzaj freudowskie-

19 J. Urry: *Spojrzenie turysty*. Tłum. A. Szulżycka. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 235.

20 O bardzo podobnym „doświadczeniu miejsca” pisze przejmująco Daniela Hodrová: „Zejszcie do miasta, zejście niemal w sensie inicjacyjnej katabazy, jest dla mnie zejściem w jego przeszłość, ale jednocześnie zejściem w siebie, we własną tożsamość” (por. D. Hodrová: *Miasto widzę...* Przeł. J. Derdowska. Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2015, s. 22). Dla czeskiej pisarki krajobraz najbliższy, „staje się miejscem łaski i miejscem zatracenia” („widziane” i „pamiętne” ściera się w nieustannym agonie myśli!). Por. *ibidem*, s. 8.

go „niesamowitego”, rój mętnych myśli kłębiących się między Scyllą a Charybdą. Kalabria wie więcej o przemierzającej ją podróżnicze niż ona sama o niej i o sobie. To krajobraz, który ją obserwuje. Ale też krajobraz, który się... rozsypuje. Przywołajmy znakomitą intuicję oikologiczną:

To, co następuje w [...] podróży przez miejsca i czasy nagle otwierające się w pozornie tak stabilnym, zamrożonym w aktualnej chwili i obdarzonym dokładną lokalizacją *topos*, jest czymś, co można by nazwać wstrząsem, po którym miejsce staje się konstelacją fragmentów, zbiorem odprysków stałego do tej pory ładu, teraz rozrzuconego na niewiadomym obszarze. Miejsce staje się archipelagiem wysp – *la dérive insulaire*²¹.

Być może dlatego pisarka wybiera obszar Wielkiej Grecji jako teren pierwotnej eksploracji. Być może dyspersyjny, kalejdoskopowy, migotliwy charakter tej południowej uchronii (przypominającej śródlądowy archipelag konkurujących ze sobą wysp), współgra w jakiś szczególny sposób z jej rozsypaną, pokaleczoną, zdeintegrowaną duszą?

NATURA OPISU SPRAWOZDAWCZEGO

Być na szlaku, pozostawać w ruchu, pokonywać przestrzeń, to dla niespokojnej duszy znaczy osiedlać się, wprowadzać w stan bezpiecznego zamieszkiwania, być w danym miejscu i myśleć o nim jako o swoim. Alberti po kilkuletnim pobycie we Włoszech zaczyna swą przygodę przewodniczki po szlakach Kalabrii, Apulii, Kampanii i Ligurii. Przybysz, który czuje się autochtonem, przechodzi, który musi być obcym z miejscem znawcą, obcokrajowcem, który powinien przekonać czytelnika, że oswoił krajobrazy, poznał je lepiej niż dookoła mieszkańcy i może o nich ze znawstwem opowiedzieć. Skąd taki pomysł krajoznawczy i przymus przewodnicki u Kazimierzy Alberti? Czy można taką aktywność nazwać psychogeografią albo kartografią osobistą?²²

21 T. Sławek, *Gdzie? W: T. Sławek, A. Kunce, Z. Kadłubek: Oikologia. Nauka o domu. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych*, Katowice 2013, s. 16.

22 Jeśli przyjmiemy taką perspektywę – relacje podróże Kazimierzy Alberti „czytać można niczym zapisy psychogeografów, raportujących afekty wytwarzane pod wpływem subiektywnej percepcji miejsc, co w zamierzeniu prowadzić [może] do wykreślenia emocjonalnej kartografii” określonego *locus*. Cyt. za: K. Szalewska: *Przestrzeń choroby – miejsce biografii. Kartografia psychosomatyczna w „Opowieści dla przyjaciela” Haliny Poświatowskiej*. W: *Przestrzenie geo(bio)graficzne*

Alberti na włoskich ścieżkach pokazuje, że trzeba zmierzyć się z nową przestrzenią, by prawdziwie zamieszkać w Italii, że trzeba „wychodzić sobie” świadome obywatelstwo, trzeba wejść na pielgrzymi szlak wyznawcy nowej ojczyzny. W latach 30. poetka wydała tomik zatytułowany *Usta Italii*, proroczy, jak się okaże, w projektowaniu jej losów. Zbiór tych wierszy, po latach, stał się jeszcze bardziej papierowy, nieadekwatny, obcy tej Alberti z lat powojennych, która rozumiała, że droga do ejdetycznej „włoskości” nie wiedzie duktem lirycznego wersu, lecz traktem mięśniowo-umysłowego wysiłku, szlakiem, na który wkraça perypatetyk Śródziemnomorza. Albo ktoś, kto – wedle Kennetha White’a – osiąga stan podwyższonej uważności ciała i tym samym podnosi pismo do temperatury geopoetyckiego wrzenia. „Taką wrażliwością na przestrzeń z dala od ekspresji genealogicznej czy upodobania do retoryki zbyt uroczystej charakteryzuje się”²³ – podmieńmy bohatera oryginalnej frazy – włoska twórczość Kazimiery Alberti.

Losy pisarki tuż po przyjeździe do Włoch pozostają tajemnicą, którą potęguje wiele nieudomówień, nieścisłości i białych plam. Gdy w 1947 roku literatka trafia do apulijskiego Bari, wiąże się z poznanym jeszcze przed wojną włoskim dziennikarzem Alfonso Cocolą. W zachowanej korespondencji widać coś więcej niż tylko dzielenie wspólnej pasji, wymianę polsko-włoskich doświadczeń pisarskich. Związek Alberti-Cocola narodził się jeszcze w latach 30., wtedy ukrywany jako romans zamężnej kobiety z młodym obcokrajowcem. Wypadki wojenne spłotyły ich losy. Życie Kazimiery Alberti często było zagrożone (więzienia, obozy). Sanacyjna kariera i katyński los męża pisarki ściągnęły na nią nieprzychylną nową władzę, która dawała jej do zrozumienia, że jest niemiłe widziana w powojennej Polsce. Seria wojennych nieszczęść kończy się melodramatycznym happy endem – autorka *Ust Italii* trafia w ramiona niegdysiejszego kochanka. Czarno-biały świat zaczyna być podretuszowywany w technikolorze. Kolejne lata nie osadzają się w twórczości pisarki żadną publikacją. Para podróżuje po całym świecie, lecz bezsłownie, jak na literatów – bezszelestnie, nie licząc

w literaturze. Red. E. Konończuk, E. Sidoruk. Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2015, s. 211. Uwagi Szalewskiej odsyłają oczywiście do pomysłów sytuacjonisty Guya Deborda, który pojmował psychogeografię jako praktykę badającą wpływ otoczenia geograficznego na emocjonalne uniwersum człowieka. „Wpływu” tego najlepiej zaś doświadczać można, wprowadzając się w „dryf”, w „żeglowny” tryb percepcji wędrowniej. Por. M. Coverley: *Psycho-géographie! Poétique de l'exploration urbaine*. Transl. A.-F. Ruaud. Les Moutons électriques, Lyon 2011.

23 K. White: *Geneza pisania geopoetyckiego*. W: Idem: *Otwarty świat*. Wybór, oprac., przekł. K. Brakoniecki. Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor Warmia i Mazury, Olsztyn 2017, s. 29.

dokumentacji fotograficznej i kolekcji biletów podróży. W roku 1949 rozpoczyna się ich wielka reporterska przygoda.

Alberti używa „przewodnika turystycznego” jako gatunku, pod który się podsztywia, kumuluje tam swoje lęki i obawy, a jednocześnie odnajduje remedium, by odnaleźć utraconą pewność siebie, moc, niezapśredniczonego w przeszłości, poznawania świata. Jaka moc terapeutyczna drzemie w intinerarium? Na to pytanie pośrednio odpowiada Roberto Calasso:

Jest on [rytuał inicjacyjny – Autorzy wstępu] niezbędny, by nawiązać relacje z nieznanym. Ono zaś, w wypadku przeszłości, jest przede wszystkim nieobecnością. Ruiny świadczą właśnie o tym: że przeszłości nie ma. Kiedy opanuje się już ów szok docierający aż do naczyń włosowatych, może się zacząć – powoli, stopniowo – proces poznania. Wielcy historycy są nekromantami – i należą właśnie do tej grupy zwiedzających²⁴.

W powojennych podróżach Alberti natrafia na ruiny sprzed kilku tysięcy lat, na mitologiczne ostańce, normańskie twierdze, greckie posągi, rzymskie świątynie, jak i na „świeże ruiny”: zbombardowane przez aliantów miasta, zniszczone drogi i ludzkie domostwa. Pierwsze opanowuje dyskursem znawcy, drugie zostaje odbudowane na jej oczach, ludzkim wysiłkiem zasklepia się wojenne rany. Sama pisarka wyzna:

Na zakończenie podróży pojechaliśmy do Monachium i byliśmy 2 tygodnie. Ale przy głębszym rozpatrzeniu się Monachium jest ogromnie, ogromnie zniszczone. [...] **Ruiny Kochanie robią teraz na mnie b. deprymujące wrażenie. Kiedyś b. smakowałam ruiny rzymskie, ale po tej wojnie połowę czaru dla mnie straciły** [podkr. – Autorzy wstępu]. [...] Mieliśmy jechać do Norymbergii, ale gdy się dowiedziałam, że tak samo zbombardowana, to mi odleciała ochota, wolę ją we wspomnieniach zachować architektonicznie piękną jak była.

Rzym, 15 grudnia 1953, [KAMG]

Fenomenologia ruin nie zakłada ich dwojakiej etiologii, a jednak człowiek napotykaający ruiny reaguje podobnie – przygląda się im, próbuje wypełnić brakujące części budowli, empatycznie poskładać je w niegdyśjszą całość. Drugorzędne staje się, czy czynnik niszczący działał błyskawicznie, czy długotrwale niczym

24 R. Calasso: *Nienazwana teraźniejszość*. Tłum. J. Ugniewska. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2019, s. 74.

czas. „Pracuje” to na niekorzyść ruin muzealnych, stanowisk archeologicznych – gdyż przez podobieństwo do zburzonych miast mogą wyzwać traumę. Postulowany przez Calasso „proces poznania” również odradza się u pisarki, zaczyna zdawać sobie sprawę, jak lata okupacji głęboko tkwią w jej psychice, sposobie myślenia, percepcji świata. Alberti przechodzi w podróży żmudny proces leczenia, z którego wychodzi częściowo uzdrowiona. Wojenne rany, które dały się jej we znaki, zblizniają się. Podobnie rozumuje angielski perypatetyk, bywalec dawnych szlaków i dzikich miejsc – Robert Macfarlane, kiedy pisze, że „[...] krajobraz od dawna dostarczał nam wygodnych narzędzi pozwalających na odkrywanie siebie przed samym sobą, skutecznych środków kształtowania wspomnień i nadawania form myślom”²⁵. Podróżowanie pokrywa się u Alberti z procesem dochodzenia do siebie, zawieraniem kompromisów, wybieraniem właściwej egzegezy, w końcu byciem integralną częścią światooobrazu.

Czy żywioł deskrypcyjny to prymarny składnik trawelogów Alberti? Pewnie tak, oprócz innych żywiołów: historycznego, społecznego i przede wszystkim autobiograficznego. Czytając wszystkie części po kolei, można wyznaczyć, występującą w nich, intencjonalną dominantę – wartość terapeutyczną osobistego itinerarium. Z każdym tomem wytraca się skupienie na sobie samej, wypowiada się i porzuca mechanizm autoprojekcji, aż wreszcie „dochodzi się” do włoskiej krainy, zaczyna się widzieć świat przed sobą (a nie w sobie). Opowieści kampanijne i liguryjskie są już kartografią świata zobaczonego, a nie jak fabuły kalabrijskie i apulijskie – wypisami z własnej pamięci.

Alberti projektowała swą nową egzystencję w kategoriach ekspansji geograficznej. Szlaki wyznaczone w czterech włoskich regionach to dla niej swoiste linie komunikacyjne (łącza neuronowe), za pomocą których nawiązuje ścisły kontakt z otoczeniem, krajobrazem, samą sobą. Dookolna rzeczywistość, którą przemierza Alberti, rozszerza się u niej o trudne trawersy – głównie historyczne, ale także postpamięciowe, poetyckie, społeczne. Szczególne nadprzewodnictwo, które cechuje świadomość Kazimiery Alberti, pozwala ocalić pisane przez nią trawelogi przed naporem czasu. Uniwersalność i multiproblemowość, przy jednocześnie nowoczesnym wykorzystaniu sposobów percepcji (rzeczywistość rozszerzona), pozwalają nam dziś cieszyć się tą publikacją bez antykwarycznej podpórki.

Pisanie Alberti cechuje cudowna niepraktyczność, rodzaj wytworności w kolekcjonowaniu landszaftów i opatrywaniu ich erudycyjnymi przypisami. Nie odnajdziemy tu cennych wskazówek dla przyszłych eksploratorów, brak tu de-

25 R. Macfarlane: *Szlaki. Opowieści o wędrówkach*. Tłum. J. Konieczny. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018, s. 221.

pozytu wiedzy użytecznej – gdzie?, w jaki sposób? za ile? W zwyczajnym przewodniku profesjonalny podpowiadacz wskaże turyście drogę na skróty, właściwe wejścia i całą serię wyjść awaryjnych. Itinerarium Alberti pozbawione jest takiej praktycznej nadwyżki, wyczyszczone zostało z wszelkich form pożytecznego poradnictwa. Plusem takiej narracji jest nieprzeterminowywanie się wiadomości zawartych w książce. Kiedy Alberti wysiada z autobusu, nie zapisuje, jaką trasę pokonała, ile zapłaciła za bilet i jak daleko jest z przystanku do centrum.

Prowincjonalny salonik literacki w przedwojennej Białej Krakowskiej przeraża się w kolonialne imperium niezaspokojonej w podbojach duszy. Podróżowanie Alberti ma cechy konkwisty, zaborczego oznaczenia terenu przez opisanie go, mocarstwowej aneksji w niby-spokojnej *L'éducation Sentimentale*. Podświadoma, niejasna udręka zmienia się w wyrazisty ból doświadczania nowego świata. Czytając kalabryjski trawelog, zdajemy sobie sprawę z nie-przyjemności odkrywania, z chronicznego powrotu traumy nawet w najbardziej radosnych momentach. Kalabryjskie pejzaże można porównać do farbiarskiej warstwy nakładanej na szybę, by stało się lustrem, inaczej wszystko przeminie, przesączy się bezpowrotnie, nie osadzi się na bolesnych wojennych wspomnieniach. Inscenizacja podróży, prokurowana przez autorkę *Duszy Kalabrii*, dobitnie świadczy o wewnętrznym splątaniu pisarki, nawiedzających ją duchowych kataklizmach. Nim Alberti ruszy z miejsca, pomimo zeznania o przebytych już setkach kilometrów, znajdziemy się w połowie książki. Współ z jej mężem Alfonso Cocolą, uczy się doznawać radości, uczy się stawiać pierwsze kroki w prawdziwej podróży po Rzeczywistości. Zainicjowany proces uczenia się, rodzaj pedagogiki szczęścia nie zostają podporządkowane wyznaczonej trasie podróży, nie pokrywają się również z wyborem zwiedzanych miejsc ani z modelem retrospektywnej historiografii. Można powiedzieć, że na kartach *Duszy Kalabrii* odbywają się równoległe dwie podróże, dwa emigracyjne obejścia. Pierwsze, w ramach emigracji wewnętrznej – pełne dramatyzmu wychodzenie z kazamat wojennej traumy i druga podróż, niezwykła i zwykła zarazem, bo łamiąca uchodźczy stereotyp – nieśpieszne traperstwo.

Ale u ofiar prześladowań wątek czasu ulega zerwaniu, tło i pierwszy plan zlewają się ze sobą, logiczne ugruntowanie w bycie jest zawieszane. Doświadczenie teroru powoduje też przesunięcia w czasie, tej najbardziej abstrakcyjnej ojczyźnie człowieka. Stałymi punktami są jedynie traumatyczne sceny, nawracające z całą bolesną ostrością pamięci i obrazu²⁶.

26 W.G. Sebald: *Oczyrna nocnego ptaka*. W: Idem: *Campo santo*. Tłum. M. Łukasiewicz. W.A.B., Warszawa 2003, s. 174–175.

Uskoki retardacyjne, kaskady enumeracyjne, akty strzeliste pozorowanej (pożą-
danej) radości to tylko niektóre zabiegi fabularne, z pomocą których mniej lub
bardziej świadomie próbuje Alberti wyartykułować traumę. Kalabria, Apulia,
Kampania i Liguria to nazwy włoskich prowincji i jednocześnie zapseudonimo-
wane okresy rekonwalescencji, zaszyfrowane karty choroby, na których pisarka
nadpisuje – już inne – podróże w głąb siebie.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

NOTA TŁUMACZY

Oddając w ręce polskiego Czytelnika przekład niniejszej książki, pragniemy zwrócić uwagę na rozwiązania translatorskie, które przyjęliśmy w toku pracy nad tekstem i które mogą mieć istotne znaczenie dla jego odbioru.

W tłumaczeniu zastosowano hybrydową notację nazw włoskich, łączącą oryginalne brzmienie z polskimi zasadami zapisu – zgodnie z powszechną praktyką przekładu tekstów o charakterze kulturowym. Nazwy geograficzne, historyczne i lokalne pozostawiliśmy zazwyczaj w formie włoskiej, z zachowaniem ich pisowni oryginalnej, o ile w języku polskim nie funkcjonuje ustalony egzonim (np. *Rzym* zamiast *Roma*). W przypadkach, gdy dana nazwa pojawia się zarówno w kontekście historycznym, jak i współczesnym, przyjęto rozróżnienie znaczeniowe – np. *Kroton* (dla antycznego polis) i *Crotone* (dla dzisiejszego miasta).

W odniesieniu do form adresatywnych, zdecydowano się na zastosowanie wielkiej litery. Tam, gdzie Autorka zwraca się do Czytelnika w sposób bezpośredni i nacechowany emocjonalnie lub retorycznie, stosujemy formy („Ty”, „Ciebie”), podkreślając tym samym osobisty ton wypowiedzi.

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

NOTA REDAKTORÓW

Podstawą przygotowanej edycji naukowej jest publikacja autorska Kazimierzy Alberti: *L'anima della Calabria*. Traduzione di Alfo Cocola. Conte Editore, Napoli 1950.

Strona tytułowa oryginału zawiera także dwie dodatkowe informacje. W pierwszej z nich wydawca powiadamia, iż prezentowana książka to pierwszy tom planowanej serii publikacji, zatytułowanej: *Italia celebre e sconosciuta* (*Włochy słynne a nieznane*). W drugiej: poświadcza, iż została ona przygotowana pod auspicjami i przy wsparciu regionalnych organizacji turystycznych, mających swe siedziby w Catanzaro i Reggio Calabria („Sotto gli auspici degli Enti Provinciali per il Turismo di Catanzaro e Reggio Calabria”). Rezygnujemy z przedruku obu not w prezentowanej publikacji.

Komentarza wymaga także zapis (*Traduzione di...*) informujący o translacji dzieła na język włoski, jakiej dokonał Alfo Cocola, mąż Autorki – a także towarzysz jej kolejnych (podejmowanych w latach 40. i 50. XX wieku) ekspedycji po czterech odrębnych regionach Półwyspu Apenińskiego. Trudno dziś ustalić, czy pierwszy, kalabryjski, trawelog Alberti został pierwotnie sporządzony po polsku, czy – co bardziej prawdopodobne – zapisany wstępnie w języku francuskim (znanym Autorce i Cocoli), a dopiero potem (wtórnie) przetłumaczony na język Dantego. Nie udało się nam odnaleźć ani roboczych notatek, na podstawie których powstała finalna postać książki, ani pierwotnej, „rękopiśmiennej” (maszynopisowej?) wersji dzieła.

Wydanie oryginalne *L'anima della Calabria* nie zawierało przypisów ani komentarzy autorskich umieszczonych w odsyłaczach (z jednym wyjątkiem – na stronie 255 pojawia się odosobniony przypis wprowadzony przez Alberti). Przypisy w niniejszym opracowaniu zostały dodane. I jeśli nie zaznaczono inaczej (chodzi o noty sygnowane informacją o autorstwie Tłumaczek) – pochodzą od Redaktorów.

W premierowej edycji neapolitańskiego wydawnictwa Conte tekst reportażu uzupełniony został czterdziestoma czterema czarno-białymi fotografiami,

ilustrującymi kolejne etapy „wędrownego szlaku”, na jaki wkroczył polsko-włoski duet. Zdjęcia mają charakter kompilacyjny: obok autorskiego zestawu, wykonanego przez Alberti oraz Cocolę, znajdziemy fotografie pozyskane przez podróżującą parę od przedstawicieli odwiedzanych, lokalnych instytucji samorządowych, naukowych i kulturalnych (muzeów, starostw, parków archeologicznych, instytutów naukowych itd.). Bardzo słaba jakość materiału graficznego skłoniła nas – Redaktorów tego opracowania – do podjęcia decyzji o „cyfrowej rekonstrukcji” całego zestawu fotograficznego. Przeprowadzona „wizualna rewitalizacja” zgromadzonych dokumentów, a także ich kolorystyczne przekształcenie – dało zdumiewające efekty finalne: ocaliło nie tylko pierwotnego „ducha obrazu”, ale przywróciło także – jak sądzimy – wartość estetyczną (i poznawczą) fotografowanych obiektów.

Jeśli nie odnotowano inaczej – wszelkie translacje cytatów oraz fragmentów dzieł literackich i filozoficznych pochodzą od Tłumaczek niniejszej publikacji.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

.

Kiedy zgromadziłam w tomie *Usta Italii*¹ wybrane moje wiersze inspirowane tą ziemią, pojawił się pomysł, by zebrać w serii książek całą ogromną różnorodność wrażeń, które we mnie budzą słynne i nieznane aspekty Włoch.

Oto pierwszy tom tejże serii – *Włochy słynne a nieznane*.

Jest on owocem sześciu miesięcy podróży przez Kalabrię.

Zaczynam od tego regionu, ponieważ zawsze wydawało mi się dziwne, że ziemia tak słynna może być jednocześnie tak bardzo nieznaną.

Góry i doliny, morza i strumienie, zatoki i grotty, plaże i skały, gaje oliwne i pomarańczowe, miasta i wioski, kościoły i muzea, zamki i fontanny, promenady, parki i ulice, monumentalne budynki i liche rudery, ludzie w „limuzynach” i ludzie z charakterystycznym tobołkiem na głowie, artyści i filozofowie, święci i atleci, legendarni bohaterowie i bohaterowie historyczni, zwierzęta i kwiaty, drzewa i ryby, piosenki i tańce, tradycje i zwyczaje, baśnie i historia, przeszłość i teraźniejszość, wszystko to połączyło się w *Duszy Kalabrii*.

Tytuł książki to zawsze jej wizytówka, dobra lub zła. Nie szukałam tego tytułu. On sam mnie znalazł. Nie szukałam duszy Kalabrii: to ona mnie znalazła

1 Tak przedwojenne, literackie dokonanie artystki charakteryzuje Janina Janas: „Tomik poezji *Usta Italji* wydany w 1936 roku można nazwać punktem zwrotnym w życiu i twórczości Kazimierzy Alberti. Nie przeczuwała wtedy młoda autorka kilku książek poetyckich, że właśnie ten zestaw miejskich widokówek z włoskiej podróży stanie się jej literackim miejscem zamieszkania. Można postawić śmiałą tezę, że wszystkie pozostałe dzieła literackie pisane we Włoszech będą już tylko rozwinięciem tej przedwojennej iluminacji. Brzmi to karkołomnie, ale *Usta Italji* to wydany na siebie wyrok, rodzaj przepowiedni, której wyjaśnienie wymagało od autorki wiele wysiłku i pracy, ale też rodzaj udzielnej krainy, w której mogła odnaleźć azyl w niespokojnych, okołowojskich czasach. *Usta Italji* stanowią zacytowaną ponad tysiąc stron opowieści z »Włoch wspaniałych i nieznanych«. Tomik Kazimierzy Alberti *Usta Italji* tylko tytułarnie zawęży się do zmysłowych poruszeń i sentymentalnych namysłów. Owszem, znajdziemy w nim miłosne gry, afirmatywne opisy i zagadki z romansową pętelką. Na melodramatycznym poziomie lektury ten zbiór wierszy niczym nowym nie zaskakuje, nie odświeża stylistycznych nowości, ale nie burzy też utrwalonego paradygmatu podróży, schadzki. Tytułowe Usta – bezpośrednio związane z pieczęcią pocałunku, rozkoszą miłosnego spotkania, znaczą aż tyle i tylko tyle – jako czułościowy emblemat tomiku i rzewny aspekt poetyckiego wspomnienia. Usta zyskują nową rangę, jeśli wpiszemy je w część aparatu artykulacyjnego, anatomiczny element układu odpowiedzialnego za wydawanie głosu”. Za: J. Janas: *Między „Ustami Italji” a brzegiem Nervi. Przypadek Kazimierzy Alberti*. „Fabrica Litterarum Polono-Italica” 2019, nr 1, s. 41–42.

i towarzyszyła mi od pierwszego dnia podróży, w sanktuarium w Paoli, do jej ostatnich momentów, na lido w Reggio.

Książka ta nie pretenduje w żaden sposób do miana przewodnika. Przeciwnie, unikałam wszystkiego, co mogłoby jej nadać choćby pozory bedekera lub rozbudowanej broszury popularyzatorskiej. Nie miałam też nigdy najmniejszych aspiracji, by odsłaniać białe plamy. Nie chciałam odkryć „nowej Kalabrii”. Chciałam ją smakować taką, jaka jest.

Są to wrażenia z podróży. To gatunek literacki, który pozwala autorowi skondensować wszystkie własne myśli. Taka książka, która opisywałaby nie tylko jakąś krainę, nawet wprawnym, piórem, będzie „zbiorem” dobrze zredagowanych tekstów, albumem fotografii. Tak skonstruowana rzecz nie mogłaby mi przynieść żadnej radości, a książka napisana bez radości nigdy nie przekaże radości innym.

Gatunek, który wybrałam dla *Duszy Kalabrii*, pozwolił mi nie tylko opisać i podzielić się z innymi skromnymi informacjami, jakie zebrałam w tym cudownym zakątku Italii, lecz także naszkicować moje myśli, uczucia i wszystkie ludzkie wibracje, jakie ta ziemia we mnie wzbudziła.

Kalabria to bezcenna szkatułka, pełna szlachetnych kamieni. Trudno opisać je wszystkie. Każdy autor wybierze te, które wywarły na nim największe wrażenie lub które stały się źródłem najbardziej nieoczekiwanych emocji.

Celem każdego autora książki podróżniczej jest dobrać takie struny, które pozwolą jak najdonośniej i jak najlepiej wybrzmieć jego umysłowości, jego uczuciom i jego filozofii. Tylko tak może powstać książka interesująca.

Dlatego też trudno będzie w mojej książce znaleźć zamysł oddający wszystkie tajemnice Kalabrii. Nie taki zresztą był mój zamiar. Znajdą się tu tylko elementy tego portretu, jednak zawsze te, które najgłębiej do mnie przemówiły. Nie znaczy to, że nie zobaczyłam całej Kalabrii (sześć miesięcy przy nowoczesnych środkach transportu to wystarczający czas, by zwiedzić dany region lub kraj) ani że o innych rzeczach nie chciałam pisać lub że mi się nie spodobały. Żeby je wszystkie opisać, potrzeba byłoby wielu woluminów, a nie tego skromnego tomu, który wymusił na mnie jak największą syntezę.

Ktoś mógłby zarzucić mi, że piszę o kalabryjskiej kozie, a nie o słynnym patriocie, o... jaszczurce i o... cytrynach, a nie o średniowiecznym zamku; o lawendzie i o taranteli, a nie o kolejnym muzeum. Jednak każdy autor jest przyzwyczajony do faktu, że krytykuje się zawsze to, czego w książce nie ma, a nie to, co się w niej znajduje.

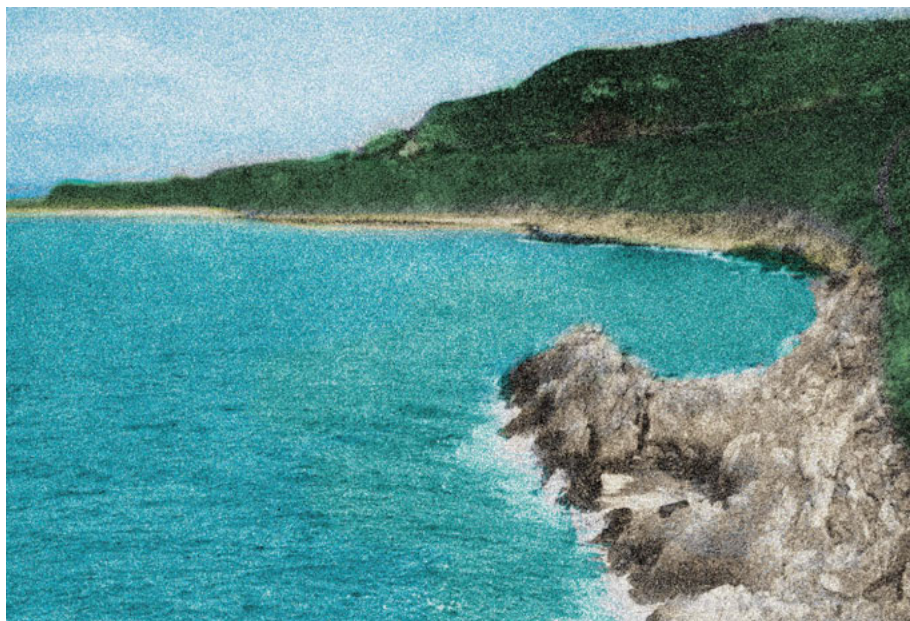
Olśniło mnie bogactwo kolorów i zabrakło mi pędzla van Gogha lub Moneta, jako że inne teksty można pisać piórem, lecz książka o Kalabrii powinna zostać napisana pędzlem, a każdy pisarz dobrze wie, jakie to trudne.

Jeśli mimo wszystko znajdziesz w tej książce szczyptę poezji, z całą pewnością nie będzie to moją zasługą, lecz kalabryjskiego krajobrazu i nieba. Jeśli usłyszysz jakiś muzyczny motyw lub melodyjną strofę, oczywiście stworzyła je morska fala lub wiatr wiejący od masywu Sila. A jeśli któraś ze stronici napęłni twoje nozdrza zapachem, nie będzie to aromat moich słów zawartych w tym lub innym obrazie, lecz woń kwiatów z Aspromonte lub Serra San Bruno. A jeśli któryś z opisów zrobi na Tobie wrażenie „soczystego”, nie będzie to sok z mojego „artystycznego baru”, lecz z pomarańczy z Rosarno lub oliwek z równiny Gioia Tauro.

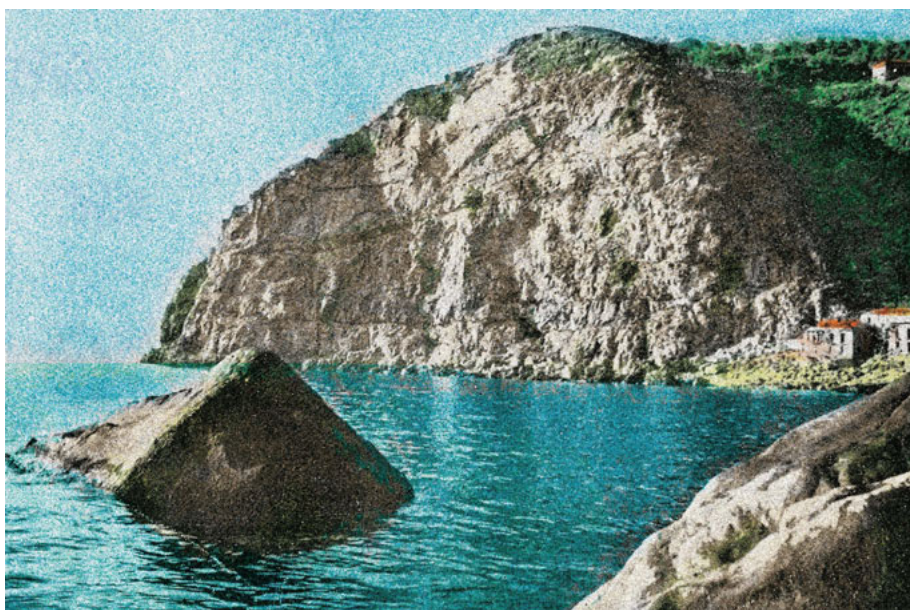
Tę książkę napisała dusza Kalabrii, a nie autorka. Ona była tylko posłusznym „medium”, które w stanie transu przekazało inspirację i rozkazy tego wspaniałego astralnego bóstwa.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•



...fragmenty pejzażu, prawie nierealne...



...skaliste kolosy wpadające pionowo do morza...



...mitologiczny krajobraz Kalabrii...



Skała, na której osadzony jest zamek w Scilli

PROLOG

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

TRANZYTEM PRZEZ KALABRIĘ

Ileż razy wyruszałaś z Neapolu, wieczorem, o dziewiątej?

Jak podekscytowane zwierzę pociąg dudnił w ciemnych tunelach; twoje usta paliło pragnienie, podczas gdy twoją jedyną myślą było: „Och, dotrzeć czym prędzej na Sycylię!”.

Rzuconym w biegu „arrivederci” pożegnałaś się z pięknem Włoch, a opuszczając Neapol, zanuciłaś sobie *Torna a Surriento*¹; spieszyłaś się odnaleźć to piękno ponownie na Sycylii. Kalabria nie była dla ciebie niczym więcej niż mostem, niezbędnym, by porzucić jedno piękno na rzecz drugiego.

Nocą, w przerwach snu, w świetle gwiazd lub w pierwszych blaskach świtu, między jednym tunelem a drugim, jak błyskawice jawiły ci się fragmenty pejzażu, prawie nierealne. Zarysy górskich pasm, przerażających i imponujących, fale morskich wybrzeży zuchwale podpływające pod koła pociągu, góry tak blisko okna, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, żeby ich dotknąć, wioski przyczepione do skał.

Myślałaś: „Teraz przejeżdżamy przez Kalabrię...”, „Przez dziką Kalabrię...”.

I tak, rok za rokiem, tysiące turystów z najróżniejszych krajów przemierzających tę ziemię, nie przeczuwało nawet, ile niebywałego piękna, świeżego, niestandardowego, jeszcze niezniszczonego przez banalne turystyczne schematy, kryje się w tym zakątku Włoch.

Jedna noc!

Dwanaście godzin pośpiechu!

Jeden mały błąd w planie naszej podróży, „zostawić na boku dziką Kalabrię”, i oto za naszymi plecami plaże wycięte na kształt pogodnych i szerokich półksiężyców, wypełnione drobnutkim piaskiem, strzeżone z obu stron przez skaliste kolosy wpadające pionowo do morza. Umknęła nam Wielka Grecja², jeden

1 Pieśń neapolitańska napisana w 1902 roku przez braci De Curtis – Ernesto odpowiedzialny był za muzykę, zaś Giambattista za stronę tekstową. Tematem przewodnim tej pieśni jest miejscowość Sorrento, położona nad Zatoką Neapolitańską. Tytułarne *Torna a Surriento* (oryginalnie w dialekcie neapolitańskim) oznacza: „Wróć do Sorrento”.

2 *Magna Graecia* tak nazwano zespół greckich kolonii założonych w południowych Włoszech i wschodniej Sycylii pomiędzy VIII a VI wiekiem p.n.e. Te najważniejsze to Reggio, Neapol, Syrakuzy, Agrigento, Sibari, Crotone, Metaponto i Taranto. Architektura Wielkiej Grecji, charakteryzująca się imponującą monumentalnością, w której preferowano porządek dorycki, zachowała cechy archaiczne w porównaniu z architekturą Grecji. W czasach rzymskich rozwinął się także

z największych skarbców kulturowych Włoch, świata, ziemia filozofów, gdzie człowiek po raz pierwszy zauważył, że „suma pól kwadratów skonstruowanych na przyprostokątnych równa się polu kwadratu osadzonego na przeciwprostokątnej”.

Z każdym pokonywanym tunelem oddala się od nas to zaczarowane powietrze, które zrodziło filozoficzną fantasmagorię Campanelli, Miasto Słońca, i które natchnęło magiczne słowo świętego Franciszka z Paoli, „Charitas”.

Ignorancja lub lenistwo turysty doprowadziły do zlekceważenia „Bruttium” i wybrzeża dwóch mitologicznych mórz – Jońskiego i Tyrreńskiego – obmywanych przez rytmiczne fale greckich rapsodów; zostawiły za sobą skały wykute przez mity i legendy, przez poezję i historię, przez religię i sztukę; lido, do którego przybili liczni bohaterowie, od Ulissesa i Eneasza po Murata i Garibaldiego; ziemię, która swoimi relikwiami wypełniła wszystkie muzea świata.

W Kalabrii zatrzymywali się zawsze na długo, w grupach, archeolodzy, historycy sztuki, filozofowie, pisarze, poeci. Lecz oni również zbyt często mylili się,

porządek joński i koryncki. Ważna pozostawała produkcja polichromowanych pokryć glinianych (rynny, akroterie, łuki), tablic wotywnych, statuetek z terakoty lub wapienia oraz rzeźb z brązu. Cechą charakterystyczną religijności Wielkiej Grecji było jej archaiczne piętno, które odróżniało ją od ojczyzny; oraz fakt, że wiele pozamiejskich sanktuariów – najstarszych – poświęconych było bóstwom żeńskim. Grecy opuścili swoje miasta pochodzenia, podążając szlakami przebytymi już przez Achajów i Kreteńczyków, i zaczęli zakładać nowe kolonie, kierując się nie tylko względami politycznymi, gospodarczymi, społecznymi i demograficznymi, ale także pobudzani duchem przygody. Jończycy rozpoczęli od założenia Reggio na brzegu cieśniny, a po drugiej stronie miasta na miejscu dzisiejszej Mesyny. Achajowie kontynuowali zakładanie Sibari i Krotonu, a następnie Lokryjczycy – Locri. Kolonizatorzy Jonii, aby ułatwić handel z Etruskami i Kampańczykami, przemieśli się nad Morze Tyrreńskie i założyli kolejne subkolonie (Posejdonia, Laos, Terina). W III wieku p.n.e. w Italii Wielka Grecja obejmowała krainy: Lukania, Kalabria, Apulia i Bruttium. Badacz Wielkiej Grecji tak opisuje tę ekspansję: „Jeszcze bardziej na południe, mniej więcej w tym samym czasie, Lukanowie i Bruttiowie rozpraszają się po obszarze dzisiejszej Basilicaty i Kalabrii i stykają się z koloniami greckimi, zakładanymi tam od w. VIII w Wielkiej Grecji: przykryją tam starsze warstwy ludów miejscowych, przez Greków zwanych Ojnotarami, Chonami, Morgetami, Italami (pierwotnie Italią nazywano wyłącznie przylądek Bruttium)”. Za: T. Rafalski: *Nie tylko Rzym. Wojskowość ludów Italii do pierwszej wojny punickiej*. „Prace Naukowe WSiP” 2018, nr 2, s. 140. Wybór miejsca był ważny, wynikał bowiem ze znajomości terytoriów sprzed kolonizacji (potwierdzonej odkryciem zabytków greckich jeszcze w okresach przed VIII wiekiem p.n.e.), lokalizacji małych punktów handlowych oraz obecności wcześniej wysłanych osadników. Lokacje te zakładano w pobliżu dróg wodnych, na płaskich i żyznych terenach, które dobrze nadawały się do budowy portów. Koloniści zastali w Wielkiej Grecji suchy i łagodny klimat, podobny do tego, który znali z ojczyzny, a także krainę bogatą w lasy i wodne locje. Za: M. Giangiulio: *Magna Grecia. Una storia mediterranea*. Carocci, Roma 2021; M. Bettalli, A.L. D'Agata, A. Magnetto: *Storia greca*. Carocci, Roma 2021; K. Vlassopoulos: *Unthinking the Greek Polis. Ancient Greek History beyond Eurocentrism*. Cambridge University Press, Cambridge 2007.

porównując Kalabrię do innych, bardziej znanych miejsc we Włoszech lub w Europie. „Tu jest jak w Sorrento”, „Skały przypominają Capri”, „Wybrzeże to może być porównane do Riwiery Włoskiej”, „Tamto z kolei wygląda jak w Amalfi albo w Taorminie”. Lub też, najczęstszy błąd: „Tu jest jak w Szwajcarii!”.

Nikt nie chciał lub nie miał odwagi dostrzec indywidualnego piękna tej ziemi, niepodobnej do żadnej innej. Piękna, które nie imituje, nie powtarza, nie jest zaprojektowane zgodnie z obowiązującą gdzie indziej modą, lecz zawsze ma swój spontaniczny charakter, wynikający z jej intymnej, głębokiej oryginalności.

Tranzyt przez Kalabrię sprawił, że jeden z najbardziej oryginalnych regionów Włoch na zawsze stał się obszarem najmniej znanym nie tylko wśród turystów, lecz także wśród samych Włochów.

Gdy wyruszaliśmy z Sorrento, utrwalona na wielu płytach i wygrywana przez sentymentalne orkiestry całego świata pieśń rzuciła swoje pożegnanie: *Torna a Surriento*. Kalabria nie ma takiego swojego szlagieru, którym mogłaby wabić turystów. Lecz może ma coś więcej!

Kiedy będziesz przejeżdżać wzdłuż jej smukłości, wówczas oblekające ją fale dwojga morza, najbardziej uwodzicielskie w całym *Mediterraneum*, zraszając swoją bryzą koła twojego pociągu, przyjaźnie będą szeptać: „Poznaj mnie!”. I jeśli pewnej nocy, podczas pośpiesznej podróży, zrozumiesz ten apel, nie wahaj się.

Wystaw walizkę na pierwszej stacji i zatrac się w ramionach starożytnej ziemi, która wyzwoliła już Orestesa od Erynii. Może ty również, ścigany jak każdy z nas przez jakąś własną Erynię, będziesz mógł znaleźć tu miejsce zapomnienia i odrodzenia.

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

ZEMSTA CYTRYNOWEJ TĘSKNOTY

Powiesz zaraz: „Tylko szaleniec może pomyśleć, że wiatr mógłby mieć kolor”. Przecież nie jest niczym innym jak tylko ruchem!

A jednak szaleńcy mają rację dużo częściej niż zwyczajni ludzie. Na przykład poeta nie jest normalnym człowiekiem! Ów widzi kolor wiatru, słucha zachodu słońca, wacha chmury, smakuje nieba, dotyka śpiewu słowika. Każdy krytyk, który szanuje logikę i klasyczne kanony, dobrze wie, że poeta ma posplatanie zmysły...

A zatem...

Tamtego dnia wiatr miał kolor intensywnego błękitu! Od czasu do czasu uspokajał się, pochylał nad ogromną płaszczyznę cieśniny, podkładał jej odrobinę niezapominajek i uciekał zadowolony jak ptak z pełnym dzióbkiem. Jak szalony nakładał kolor szerokimi pociągnięciami szpachli na niebo, horyzont, szumiące palmy na lido, wysokie szczyty Gór Pelorytańskich¹. Aż w końcu spoczął na naszym planie wycieczki na Sycylię, wyeliminował go, przemienił, zabarwił na niebiesko.

Dzień wcześniej był to najnormalniejszy plan. Wyruszyć z Reggio autobusem i wrócić pociągiem albo na odwrót. Wiatr jednak był silniejszy, krótko walczył z naszym planem i natychmiast go zmienił. I tak oto poszliśmy na piechotę do Scilli.

Nasze oczy, zaraz za Reggio, upiły się cytrynowymi ogrodami.

Poeci, filozofowie, dietetycy wygłosili już pochwały najróżniejszych owoców; opiewali je w pieśniach przez wieki. Wystarczy pomyśleć o jabłku. Ten niewinny owoc poruszył cały świat, pokrzyżował wszystkie cudowne plany Jehowy. Najmarniejszy uczeń wie, jak ogromną moc miało małe jabłko. Ten owoc ma na sumieniu miliony wersów, tysiące traktatów filozoficznych i genialnych fraszek. Albo pomyślmy o złotych jabłkach Hesperyd, które Herakles zdobył dzięki Atlasowi, potrzymawszy przez chwilę w zamian świat na swych barkach. To od zawsze ulubiony temat najznakomitszych pisarzy! Pomyślmy następnie o splendorze czereśni, pierwszy raz przywiezionych

1 Powiew wiatru, który pokrzyżował plany Kazimierza Alberti i Alfonso Cocoli, pochodził z sycylijskiego masywu Gór Pelorytańskich. Stanowią one przedłużenie Apeninów Południowych. Najwyższym szczytem tych gór jest Montagna Grande, wznoszący się na wysokość 1374 m n.p.m.

ze Wschodu do Rzymu przez eleganckiego i łakomego Lukullusa. Wzbudziły one wielki podziw i sensację, a poeci pospieszyli pisać niezliczone ody. Cóż powiedzieć z kolei o królewskich owocach: winogronach?! Obłądnym emblematem Dionizosa – Bachusa! Żaden monografista nie będzie nigdy w stanie ustalić astronomicznej liczby wierszy napisanych ku chwale kiści winogron i ich soku.

Ja dzisiaj pragnę wygłosić pochwałę cytryny.

Chcę opowiedzieć, jak bardzo podczas drugiej wojny światowej, w dalekiej Polsce, była ona pożądana. Z jakim wytęsknieniem czekano na otwarcie granic, by mógł wreszcie dotrzeć jej transport. W tamtych latach głodu, chorób, braku witamin, lekarstw, zastrzyków, cytryna stała się niemal symbolem zdrowia, panaceum na każdego bakcyła, każde zatrucie, każdą słabość. Kiedy miało się kogoś bliskiego w więzieniu lub na polu walki, największym marzeniem było: „Ach, gdybym tak mógł mu wysłać w paczce chociaż jedną cytrynę! Jedną na tydzień! Jedną na miesiąc!”. Marzenie szalone, jako że – nawet gdyby spełniło się podobne życzenie, taki cud nie przeszedłby żadnej kontroli, gdyż cytryna była bardziej pożądana od najczystszej brylantu Blauweiss².

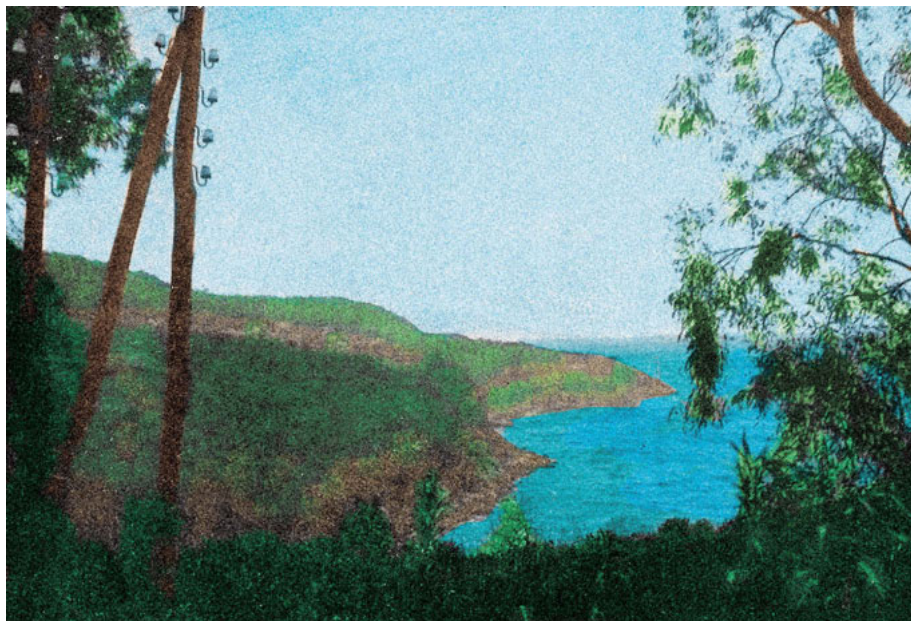
A zatem w paczkach wysyłano kilka... cebul.

Jednak od czasu do czasu cytryny pojawiały się również w Polsce, która podówczas nazywała się Generalną Gubernią. Wychodziły na scenę niczym wielcy aktorzy, dwa lub trzy razy przed wielkimi świętami, w witrynach sklepów Juliusa Meinla w Krakowie³. Jednak były przeznaczone tylko dla nietzscheańskich Übermenschen lub też, mówiąc ściślej, tylko dla chorych dzieci tychże Übermenschen, za okazaniem specjalnej legitymacji medycznej. Polakom wolno było tylko podziwiać ten cud – i tłumy gromadziły się przed witryną.

Dobrze wiecie, jak ludzie czasem zbierają się bez powodu. Pewnego razu przechodziłam obok i zapytałam: „Mój Boże! Co też się tu stało?” – „Jak to, nie wiecie? Cytryny!”. Ja zatem również się zatrzymałam, poczekałam na moją kolej i popatrzyłam na cytryny. Padał śnieg, niemiłosiernie gęsty, lepki. Natychmiast powrócił w mej pamięci cały włoski krajobraz: zielony, pełen słodyczy... gaje cytrynowe tam w Sorrento, na Sycylii; wydawało mi się, że już nigdy nie będzie mi dane ich zobaczyć, jako że na każdego pisarza czyha zawsze jakaś specjalna hydra...

2 Określenie „Blauweiss” to przestarzała nazwa diamentów, którym blasku nadaje niebieska fluorescencja. Uroku przysparza im stary szlif, dziś już niestosowany w sztuce szlifierskiej.

3 Sklepy pod marką Julius Meinl A.G. zlokalizowane były w Krakowie pod dwoma adresami: Rynek Główny 30 oraz plac Szczepański 1.



...kalabryjski wycinek świata, który stanowczo domaga się,
by oddać go pędzlem, nie piórem...



Człowiek siedzący na maszcie... kieruje łódkę śladami wroga

Jednak czasami, również do Polaka, uśmiechała się... cytryna! Dochodziły paczki z Lizbony, po 450 gramów, a w każdej z nich znajdowała się esencja z cytryny, w eleganckich kryształowych butelkach, przywodzących na myśl drogie perfumy. Ja także otrzymałam jeden flakonik z tą boską ambrozją. Dumna ze swojego szczęścia powiedziałam o tym pewnej przyjaciółce. Każdy z was wie, co to znaczy „powiedzieć coś pewnej przyjaciółce”. Natychmiast wszyscy moi znajomi dowiedzieli się o tym cudownym wydarzeniu i zaczęto składać mi wizyty.

– Wiesz, mojej mamie coraz bardziej doskwiera cukrzyca... Nie można dostać insuliny... – (po chwili). – Ale... dostałaś może trochę cytryny?

Zrozumiano! Po odpowiedniej pauzie:

– Tak, poczekaj, dam ci łyżeczkę.

Jak jednak przekazać łyżeczkę płynu? Rozlewa się, osiada na ściankach butelki, marnuje się. Lepiej poczęstować na miejscu filiżanką herbaty z wytęsknioną cytryną.

Ja sama dzień po dniu rozmyślałam o najlepszym sposobie wykorzystania tego nektaru. Marzenia zmieniały się za każdym razem. Użyć go do dobrego sosu? Do sałatki? Do zupy? Zrobić sobie dobrą lemoniadę? Albo wypić go z herbatą? A gdybyśmy tak przygotowali wysmienity cytrynowy likier?

Potem było nieskończenie wiele innych marzeń. Kosmetyk? Każdego dnia dodawać odrobinę do szklanki wody i przemywać twarz albo trzymać w ustach długo kilka kropel, żeby wzmocnić dziąsła i potem połknąć? Lub też może wlać do wody i wetrzeć we włosy po myciu? Jednak te kosmetyczne marzenia były zbyt szalone.

Wizyty tymczasem powtarzały się każdego dnia:

– Wiesz, mojej babci ruszają się wszystkie zęby...

Poczułam od razu, co się święci. Odpowiadam:

– To nic dziwnego, ma ponad siedemdziesiąt lat.

– Nie, to nie o to chodzi, lekarz powiedział „awitaminoza”... – Po chwili. – Dostałaś może trochę cytryny?...

– Tak, dostałam – odpowiadam zdecydowanie – ale nie myśl, że dam ci choć jedną kroplę dla twojej babci. Mogą jej nawet wypaść wszystkie zęby! Wstawi sobie nowe, dużo ładniejsze!

Jednak było wiele innych wizyt, podczas których nie mogłam odmówić. Synek przyjaciela miał pelagrę, kolejny silne bóle reumatyczne... I tak, łyżeczka za łyżeczką. Podczas gdy ja sama nadal marzyłam i przekładałam na później moje osobiste cele. Aż w końcu ujrzałam dno eleganckiej kryształowej butelki. Jeden raz tylko wypiliśmy lemoniadę i jeden raz przemyłam twarz.

Epilog był całkiem komiczny. Po półtora roku zjawia się zdyszana przyjaciółka:

– Mój Boże! Dostałaś cytrynę i nic mi nie mówisz! – Biedaczka, wiadomość dotarła do niej zbyt późno. Wybuchłam śmiechem:

– Spokojnie, dostałam cytrynę półtora roku temu, ale skończyła mi się w niecały tydzień.

– I nic mi nie powiedziałaś? Nie dałaś mi nawet kropli!

– Przepraszam, ale jesteś bezczelna. Osoba, tak zdrowa jak ty, chce cytryny!?

Obrażona, odpowiada:

– Nigdy nie wiadomo, jaką chorobę człowiek w sobie kryje.

Dziś przechadzam się brzegami Cieśniny Mesyńskiej. Cudownym zrządzeniem losu po śniegach, mgłach, wietrze i przeraźliwym mrozie tych wojennych zim (w latach 1940–1941: 20°–32°C poniżej zera) mogę zobaczyć mitologiczny krajobraz Kalabrii, gaje cytrynowe. Owoce połyskują, kryjąc w sobie sekretny świat witamin. Widzę w nich specjalny kolor: ani zielony, ani żółty, tylko – dokładnie – cytrynowy. Wychwalam go w pieśni jak Teofrast i Wergiliusz. Opowiadam mu o wszystkich tęsknotach i smutkach, jakie jego wspomnienie obudziło w milionach ludzi Północy podczas drugiej wojny światowej. Jak bardzo był upragniony, bardziej niż najsmakowitsze owoce na świecie.

I tu, w Kalabrii, należy do najbardziej wyszukanego gatunku, najbardziej soczystego, najbardziej wykwintnego.

Przechodzą miejscowi. Dla nich ten krajobraz jest czymś zwyczajnym, codziennym. Dla moich oczu, osoby z Północy, każde drzewko cytrynowe, ze swoimi lśniącyymi, sztywnymi liśćmi, ze swoimi wielkimi smakowitymi owocami, jest scenerią będącą źródłem rozkoszy.

Idziemy tak wzdłuż, ulicą. Po prawej i lewej stronie cytryny, porastające zbocza okolicznych wzgórz, od samego morza aż po ich szczyty, tworzą między domami arkadyjski pejzaż.

Dziś, wiesz, z jaką przyjemnością zemszczę się za tę niewinną butelkę esencji z Lizbony?! Dokładnie dziś, tego wieczoru! Wypiję lemoniadę z dwóch, nie, zaczekaj, z trzech cytryn! Nie! Zaczekaj, dwie lemoniady!... Potem, na porcję ryby, wycisnę jeszcze dwie cytryny. Dziś wieczorem chcę wsączyć cały owoc do wody i przemyć twarz. Od razu jutro rano chcę umyć włosy czystym sokiem z cytryny.

I zacznę śpiewać na ulicy:

*Kennst du das Land
Wo die Zitronen blühen...*⁴

Kiedy poczuć już rozkosz na podniebieniu, w żyłach, na skórze. Rozkosz zemsty za butelkę z Lizbony. Nasycę się, objem, upiję się cytrynami!

POWIEDZ O NIEJ TYLKO GWIAZDOM I FALI...

Smakując jakże słodką zemstę cytrynowej tęsknoty, udajemy się do Scilli.

Droga, która dotychczas była oddalona od morza, teraz, pod ostrym skalnym wierchołkiem zamykającym cieśninę, zbliża się doń tak bardzo, że morze wydaje się znajdować tuż pod naszymi stopami. Od razu za zakrętem plaża – długa, jasna, pełna czystego piasku, wpada w objęcia fal, podczas gdy domy, z ich czerwonymi kapturami, ogłaszają, że przybyliśmy do Scilli.

Wiele jest miejsc we Włoszech – przede wszystkim na południu, gdzie pobłyszczą „gwiazdy” Wielkiej Grecji – pokrytych pierzem legendy i mitologii, które jeszcze dziś robią na nas, dzieciach jakże prozaicznej epoki, miłe wrażenie. Scilla zajmuje wśród nich jedną z pierwszych lokat. Tutaj miłość miesza się z tragedią, tutaj ludzkie modre oczy nadały kolor morzu, tutaj człowiek przekształcił się w Boga, tutaj potwór, w którym uosobiło się skaliste zagrożenie, wyzwiał ludzką śmiałość i odwagę. Tutaj zazdrość ugasiła pragnienie w źródle zemsty.

Tutaj pionowa skała, daleko wysunięta w morze, pobudziła myśl poety oraz filozofa i, jak każda rzecz piękna i okrutna, natchnęła uczucie, a także obrażnię.

4 Ten fragment wiersza Goethego tak komentuje Olga Płaszczewska: „Kraj, gdzie cytryna dojrzewa (lub, zgodnie z oryginałem, kwitnie), jednoznacznie utożsamiano z Włochami, mimo że w podobnym arkadyjskim krajobrazie można by rozpoznać inne terytoria śródziemnomorskie. [...] Wykorzystany przez Goethego stereotyp nietrudno odnaleźć w większości relacji z podróży do Włoch, jakie kiedykolwiek powstały w literaturze, a są przejawem zjawiska sytuującego się na pograniczu piśmiennictwa i tradycji kultury, określanego mianem italianizmu”. Cyt. za: O. Płaszczewska: *Włoskie divertimento. Szkice komparatystyczne*. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2017, s. 15. Ciekawa jest historia pewnego persyflażu, którego dokonał niemiecki pisarz Erich Kästner. W czasach Republiki Weimarskiej napisał on ironiczny tekst zatytułowany *Kennst du das Land, wo die Kanonen blühen* (Czy znasz ten kraj, gdzie kwitną armaty). Kästner zamiast słowa „Zitronen” (‘cytryny’), użył słowa „Kanonen” (‘armaty’). Autor zaakcentował tym samym swą postawę pacyfistyczną i antymilitarystyczną.

Scylla w ten sposób stała się synonimem niebezpieczeństwa. Tutaj żeglował Ulisses, a jego heroiczna walka między Scyllą a Charybdą stała się ulubionym tematem niezliczonych poetów. I, z Wergiliuszem, „Wpadasz na Scyllę, pragnąc uniknąć Charybdy...”⁵.

Mitologia przedstawiała Scyllę jako istotę, która od góry ma kształt kobiecego ciała, a od pasa w dół ma ciało psa lub wilka. Ten wizerunek został utrwalony na wielu monetach. Zgodnie z tradycją, zanim wzniesiono zamek, skała miała ludzką postać, natomiast poniżej były naturalne zagłębienia, w których uderzenia fal wywoływały odgłosy podobne do wycia psa. Homer w *Odysei* opisuje Scyllę jako potwora z sześcioma głowami i dwunastoma nogami. Walka Odyseusza i jego towarzyszy z burzą, która uderzała statkiem to o skałę Scylli, to w stronę wirów Charybdy, budziła zarówno grozę w słuchaczach, jak i ich szacunek wobec bohaterów. W ten sposób Scylla stała się symbolem wszystkich niebezpieczeństw żegluga, a walka Odyseusza – znakiem wszelkiego ludzkiego bohaterstwa na morzu.

Jest wiele wersji legendy o Scylli. Usiądź tu na brzegu i pozwól falom obmywać twoje stopy. Daj odpocząć swym myślom, zmęczonym filozofią racjonalizmu i materializmu historycznego. Stary Sabińczyk opowie ci bajkę:

„Scylla była piękną córką nimfy rzecznej Kratais⁶ – rzeki, która płynie niedaleko. Glaukos, błękitny syn Antedona, zakochał się w niej i ją poślubił. Oboje byli piękni i mieli zwyczaj kąpania się nago u stóp ogromnej skały. Fale, rozbrzmiewające niczym pełne pasji instrumenty, zasłaniały to wspaniałe widowisko. Trwało to, dopóki czarodziejka Kirke, ta, która zmieniała ludzi w zwierzęta i która uosabiała najgorsze ludzkie instynkty, pewnego dnia zauważyła ich i zakochała się w Glaukosie. Odrzucona, zazdrosna o tę parę i o łączącą ich miłość, zatrąła wodę u podnóża skały, i tak – oboje umarli. Litościwi bogowie zmienili Scyllę w piękną nimfę, Glaukosa – w morskiego boga”.

Lecz jeśli wolisz inną wersję, oto ona:

„Glaukos był synem rybaka z Beocji. Zauważył pewnego razu, jak ryba wyciągnięta z wody łapczywie pochłania pewne ziele rosnące na brzegu. Z miejsca odzyskała siły i w mgnieniu oka wskoczyła z powrotem do wody.

5 „Incidis in Scyllam cupiens vitare Charybdim” / „Wpadasz na Scyllę, pragnąc uniknąć Charybdy”. Za Homerem. Zob. Z. Landowski, K. Woś: *Słownik cytatów łacińskich*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, s. 244. Por. *Thesaurus: skarbiec łacińskich sentencji, przysłów i powiedzeń w literaturze polskiej*. Zebrał i oprac. M. Korolko. Wiedza Powszechna, Warszawa 1997, s. 227–228 [przyp. tłum.].

6 Pisownia według polskiego tłumaczenia *Odysei* Homera (przetł. Lucjan Siemieński, wstępem poprzedziła Z. Abramowiczówna, oprac. i objaśnieniami opatrzył J. Łanowski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, De Agostini, Wrocław–Warszawa 2004) [przyp. tłum.].

Rybak zaczął się zastanawiać: »Jak zareaguje człowiek, gdy zje to ziele?«.

Odważnie zdecydował się spróbować. Natychmiast sam również wskoczył do wody, przemieniony w morskie bóstwo. Sami nieśmiertelni podziwiali tę metamorfozę Glaukosa, który stał się jednym z nich. Entuzjastycznie przyjęli go Okeanos i Tetyda, Posejdon i Amfitryta, a Nereus zaproponował mu przyjaźń i przywilej rozpowszechniania jego wyroczni. Nikander mówi nam, że Apollo był jego uczniem, a Wergiliusz twierdzi, że Sybilla Kumańska była jego córką. A któż z nas ślepo nie ufał Wergiliuszowi?⁷

Przypominacie sobie jeszcze okręt Argo, z wyprawy Argonautów. Każdy trzynastoletni chłopiec marzy o nim do dziś. Starożytni znawcy zapewniali nas, że budowniczym okrętu był Glaukos. Według tej samej wersji zakochał się on w pięknej pasterce; lecz kobiecych kaprysów czasem nie da się wyjaśnić. Scylla nie chciała słyszeć o tak wspańiałym bogu. Ów w akcie rozpaczyny udał się do Kirke i poprosił o magiczny eliksir miłosny. Lecz czarodziejka sama zakochała się w Glaukosie i dała mu w zamian magiczną truciznę. Napojona nią piękna pasterka przemieniła się w potwora”.

Uwierz w legendę, gdyż wszystko w życiu jest kłamstwem. Tylko legenda, ta z dzieciństwa, ta zasłyszana w szkolnej ławce, nigdy cię nie oszuka. Kłamią nam filozofowie i dyktatorzy, wielcy politycy, socjologowie, mężowie, kochankowie; twórcy legend – nigdy.

7 Krzysztof Witczak próbuje rozwiązać zagadkę Nikandra z Kolofonu, który wystawiał Apolla i Glaukosa: „[...] zachowane eposy dydaktyczne (*Theriaka* i *Aleksipharmaka*), wyszły spod pióra poety hellenistycznego Nikandra z Kolofonu. Problem polega na tym, że było prawdopodobnie dwóch poetów o tym imieniu: pierwszy z nich, Nikander, syn Anaksagorasa, żył prawdopodobnie w III wieku, drugi, Nikander, syn Damajosa lub Ksenofanesa, żył przypuszczalnie w drugiej połowie II wieku. [...] Ja osobiście opowiadałbym się raczej za Nikandrem starszym, skoro w Delfach, czyli miejscu kultowym Apollina, boga bądź co bądź znającego się nie tylko na poezji, ale też na sztuce lekarskiej, znaleziono inskrypcję datowaną na drugą połowę III wieku ery przedchrześcijańskiej (ściślej na lata 254–220), która upamiętnia fakt przyznania znaczących przywilejów poecie epickiemu Nikandrowi, synowi Anaksagorasa, z Kolofonu i jego potomkom”. Za: K.T. Witczak: *Uszkodzona pieczęć Nikandra z Kolofonu*. „Meander” 2005, nr 4, s. 401. Wergiliusz, w swojej eposie *Eneida*, wspomina o Sybilli Kumańskiej (znanej także jako Sybilla z Kume), która była słynną wieszczką. Jednakże w *Eneidzie* nie ma bezpośredniego odniesienia do tego, że Sybilla była córką Glaukosa. Co do postaci Glaukosa, mitologia grecka zna kilka różnych postaci o tym imieniu, których wymienia Alberti w swej opowieści. Najważniejszy pozostaje jednak Glaukos, który był pierwotnie zwykłym śmiertelnikiem, rybakim, próbującym pewnego dnia cudownego zioła mającego magiczne właściwości. Po jego spożyciu Glaukos został przemieniony w morskiego boga. Zyskał umiejętność oddychania pod wodą i zamieszkał w odmętach, gdzie opiekował się morskimi stworzeniami. Możliwe, że istnieje inne źródło mitologiczne lub literackie, w którym pojawia się wątek informujący, że Sybilla Kumańska była córką Glaukosa, ale nie jest to temat, który Wergiliusz wyraźnie rozwija w *Eneidzie*.

Jeśli trafisz do Scilli ze swoim Glaukosem, wykąp się pod tą skałą. Ale zrób to tak, żeby nikt nie widział, żeby twoja miłość nie wzbudziła zazdrości jakiejś złośliwej Kirke. Mitologia nie kłamała! Kirke żyje!

Również dziś wiele z nich krąży po świecie i każda chce cię zmienić w potwora. Powie twojemu Glaukosowi, że każdy z twoich zębów jest sztuczny, że kolor twoich włosów nie jest naturalny, że twoje rzęsy są doklejane... Ukryj swoją miłość. Powiedz o niej tylko fali, z którą walczył Odyseusz, i gwiazdom, które widziały tysiące tysięcy okrętów przepływających tymi wodami. Gdyż fala i gwiazdy nigdy nie zdradzą powierzonej tajemnicy.

A bardziej sugestywnego tła dla twojej miłości niż Scylla – nie znajdziesz nigdy!

CHIANALEA SIĘ KOŁYSZE

Skała, na której osadzony jest zamek w Scilli, zdaje się gigantyczną morską falą, znienacka utrwaloną w kamieniu podczas ogromnej burzy – w chwili, gdy inne fale, które miały więcej szczęścia, zdołały uciec. Ulisses wzniósł na tej skaśle pierwszą budowlę: świątynię poświęconą Minerve. I trzeba przyznać, że bogini cieszyła się stąd niepowtarzalnym widokiem.

Anaksylos, tyran z Reggio, ufortyfikował skałę. To dowodzi, jak wybitnym był strategiem. Święty Pankracy, patron klasztoru bazylianów, zajął tu po wielu wiekach miejsce Minerwy. Potem wzniesiono w tym miejscu fortecę aragońską, a w końcu hiszpańską...⁸

8 Ze źródeł historycznych wynika, że miejsce to było wykorzystywane jako pozycja strategiczna już przez Etrusków (VII w. p.n.e.), by następnie stać się obiektem prac fortyfikacyjnych w okresie Wielkiej Grecji, kiedy to zostało wyposażone w konstrukcje obronne, później powiększone w okresie rzymskim. Pierwsze struktury murowe odnalezione podczas wykopalisk pochodzą z układu klasztoru Świętego Pankracego, zbudowanego około połowy IX wieku przez ojców bazylianów w celu obrony przed najazdami Saracenów przybywających z Sycylii. W 1060 roku Scilla została podbita przez Roberta Guiscarda, który założył w twierdzy garnizon wojskowy. W XIII wieku zamek został dodatkowo ufortyfikowany przez Karola z Anjou, a w 1469 roku rycerz bliski dworu aragońskiego, Gutierre De Nava, zlecił nową rozbudowę i renowację. W 1533 roku zamek kupił Paolo Ruffo, który odrestaurował także dołączony do niego pałac magnacki. 5 lutego 1783 roku został uszkodzony przez silne trzęsienie ziemi, a w 1810 roku odrestaurowany. Twierdza poniosła również poważne szkody w wyniku trzęsienia ziemi w 1908 roku. W latach 1970–1980 zamek służył jako schronisko młodzieżowe, a niedawno został ponownie odrestaurowany i jest ważnym ośrodkiem kulturalnym (miejscem wystaw i konferencji). Por. M. Fiorillo: *Il Castello Ruffo di Scilla: da monastero-fortezza a residenza feudale a fortezza militare*. Gangemi Editore, Roma 2004; G. Caridi: *La spada, la seta, la croce: i Ruffo di Calabria dal XIII al XIX secolo*. SEI, Torino 1995.

Poniżej zmieniały się rodzaje statków. Następowały po sobie greckie „triery”, rzymskie „kwinkweremy”, „liburny”, „lusorie”, bizantyjskie „dromony”, normańskie „drakkary”, aż po współczesne „dreadnought”⁹. Zmieniły się mundury, języki dowodzenia. Iluż to walczyło tutaj i poległo... Lecz kolor morza, pozostawiony w spadku przez Glaukosa, nie zmienił się. Cały błękit tego imienia rozpuścił się tutaj, przelał. Ugaślił pragnienie fal!

Od morza brzegi wznoszą się ostro ku górze i na tym wzniesieniu rozlewają się falami domy aż po sam dół. Jeden obok drugiego zalewają całą dolinę aż po plażę wielkiej mariny. Tutaj różnobarwna flota małych łódek zawiadamia nas, że to wioska przede wszystkim rybacka, gdzie podstawowym źródłem dochodu jest złowiona ryba, która z pewnością nie umknie z powrotem do wody jak w epoce Glaukosa...

Z drugiej strony zamku – dzielnica Chianalea. Jeśli chcesz zobaczyć fragment Wenecji, oto ona! Albo fragment Brugii...

Jest tu, u twoich stóp. Tylko że nie tworzą jej kanały. Morze uderza w te stare domy... jedno pokolenie za drugim. Lecz starożytna Chianalea nie zmienia kur-

9 Kwinkwerema to galera o kilku rzędach wioseł, w okresie republiki najczęściej używany typ okrętu wojennego. Od sycylijskich Greków przejęty przez Kartagińczyków, został następnie podczas pierwszej wojny punickiej masowo kopiowany przez Rzymian. Liburna – typ lekkiego okrętu rzymskiego z dwoma rzędami wioseł, o wydłużonym kadłubie i niewielkiej wyporności. Ze względu na małe wymiary i dużą manewrowość liburny stosowano głównie jako jednostki zwiadowcze, choć źródła informują też o ich udziale w wielkich bitwach. Navis lusoria (dosłownie ‘zabawny/tańczący statek’) to rodzaj rzymskiego okrętu wojennego. Lusorie były smukłymi i płytkimi łodziami wiosłowymi napędzanymi przez około trzydziestu mężczyzn siedzących jeden za drugim. Dodatkowo na łodzi istniała możliwość zamontowania masztu. Dromon to okręt wojskowy typu galera, używany przez Wschodnie Cesarstwo Rzymskie od V do XII wieku. Był to główny statek imperium bizantyjskiego. Dromon pochodzi od greckiego słowa *dromos*, które oznacza bieg, z racji szybkości, którą osiągał ten okręt. Drakkar (isl. *Drekki* – ‘smok’) to największy typ spośród okrętów wikingów. Drakkary były pełnomorskimi jednostkami, zdolnymi zarówno do żeglugi oceanicznej, jak i rzecznej. Wyposażone były w jeden duży (ponad 230 m²) rejowy żagiel. Drakkary, jako jednostki duże, a więc drogie, zazwyczaj były własnością wódzów i pełniły w normańskich flotach funkcję okrętów reprezentacyjnych oraz flagowych. Cechą charakterystyczną drakkarów były rzeźby przedstawiające głowy smoków mocowane na dziobie. Dreadnot (*Dreadnought*) – określenie generacji pancerników budowanych od 1906 roku do 1922 roku. Określenie pochodzi od nazwy brytyjskiego pancernika HMS „Dreadnought”, który wszedł do służby w grudniu 1906 roku jako pierwszy okręt zbudowany według nowych koncepcji. Zob. L. Casson: *Starożytni żeglarze basenu Morza Śródziemnego*. Przeł. L. Teliga. Iskry, Warszawa 1965; *Mała encyklopedia kultury antycznej*. Red. Z. Piszczek. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1973; P. Connolly: *Grecja i Rzym na wojnie*. Tłum. W. Brillowski. Wydawnictwo Napoleon V, Oświęcim 2021; *Encyklopedia wojskowa. Dowódcy, i ich armie, historia wojen i bitew, technika wojskowa*. Red. A. Krupa. Wydawnictwo Naukowe PWN, Bellona, Warszawa 2007.

su. Z okalającą ją koroną kąpie się w morzu i zdaje się mówić innym domom: „Siedźcie sobie tam w górze. Ja wolę tutaj, na falach!”.

Gdyż Scilla narodziła się na falach. I takie jest jej przeznaczenie. A Chianalea, oglądana z góry, przypomina mi rząd łodzi, umieszczonych ściśle jedna obok drugiej, gotowych w każdej chwili wypłynąć na otwarte morze i z nim walczyć.

Później, już w wieczornym półmroku, mam wrażenie, że te domy-łódzie kołyszają się. Lecz ty – nie wierz poetom, gdyż każdy z nich jest gotów przyjąć, że dom jest łodzią, a łódź domem. Wszystko zależy od tego, jacy ludzie w nich płyną.

Na moich oczach Chianalea kołysze się... Zbudowana z ruchomej materii, z fali, która przepływa, i z ludzkiego życia, które kołysze się wraz z nią... Chyba że ty znasz coś stałego na tym świecie.

Wchodzimy wieczorem na szczyt zamku, żeby popatrzeć na zachód słońca. Ogromna pomarańcza nasączyła wszystko swoim sokiem i spieszy w kierunku drugiej półkuli. Morze zabarwiło się na różowo i nagle ciepła mgła, dotychczas zawieszona nad horyzontem, otwiera się jak kurtyna, która podnosi się, ukazując przygotowaną niespodziankę. Wyspy Eolskie, których nie zdołaliśmy dostrzec przez cały dzień, teraz – podczas zachodu słońca – wychodzą swobodnie na morze, żeby trochę pooddychać. Widzimy wulkaniczną wyspę Stromboli, wyraźnie wyprofilowaną, która swoim słupem dymu zdaje się podtrzymywać horyzont, żeby nie spadł. Wspierają ją Lipari i Vulcano.

Po kolei odkrywamy pozostałych członków eolskiej rodziny: Panarea i Filicudi, odmalowane na kartonie nieba delikatną akwarelową szarością.

Po lewej długi język Messyny spoczął na fali i, po dusznym dniu, łączywie ją liże. Po prawej, w swej szerokiej i głębokiej kolebce, kąpie się Bagnara, a wysoki i majestatyczny szczyt Sant’Elia zaprasza, by go poznać¹⁰.

10 Góra św. Eliasza (Monte Sant’Elia) w Kalabrii nosi swoją nazwę na cześć proroka Eliasza, ważnej osoby w tradycji chrześcijańskiej, szczególnie celebrowanej we Włoszech. Wzniesienie mierzy 582 m n.p.m. To imponujące wzgórze oferuje niezwykle widoki na Morze Tyrreńskie, Cieśninę Mesyńską oraz wybrzeże Sycylii. „Postać Eliasza [...] funkcjonuje w kontekście solarnym. Tajemniczość biblijnego opisu jego uniesienia do nieba (zob. 2 Krl 2, 11–13) sprzyjała powstaniu przekonania, że został on wniebowzięty wraz z ciałem, a fakt, że odbyło się to na ognistym wozie zaprzęgniętym w ogniste rumaki, ułatwił skojarzenie go z bogiem Heliosem. W wierzeniach ludowych ma więc władzę nad gromem. Żywioł ognia towarzyszy mu również w ikonografii, gdzie za atrybut służy mu iskrzący miecz. Według przekazu kanonicznego Jahwe miał mu się objawić na Górze Horeb, czyli górze słońca (zob. 1 Krl 19, 8–14)”. Cyt. za: E. Drzewiecka: *Podróż Matki Bożej na Athos w bułgarskiej pieśni ludowej*. W: *Święta góra Athos w kulturze Europy. Europa w kulturze Athosu*. Red. M. Kuczyńska. Wydawnictwo Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Gniezno 2009, s. 281. Święty Eliaz odgrywał ważną rolę w historii monastycyzmu, szczególnie na wschodnich

Każdy zachód słońca ma zawsze w sobie coś smutnego i nostalgicznego. I tyśięce poetów porównywało go do kresu życia. Lecz tu, gdzie wybrzeża Kalabrii i Sycylii, z Wyspami Eolskimi naprzeciwnie, wydają się tworzyć jedną wielką zatokę, porównywalną tylko do Zatoki Neapolitańskiej, zachód nie ma w sobie nic smutnego, jest tylko majestatyczny.

Widziałam zachód słońca wśród norweskich fiordów i holenderskich kanałów, na lodowcach Mont Blanc, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na tle piaszków pustyni i alpejskich jezior; lecz ten dzisiejszy, powoli ześlizgujący się spod wulkanu, ma w sobie mitologiczny posmak.

Tak jakby w podziemnej kuźni wulkanu palił się rozżarzony ogień, jakby miał wystrzelić w górę i towarzyszyć słońcu podczas jego zachodu. Posłuchajmy Hefajstosa, który uderza młotem w swej kuźni, rozsypując iskry po niebie. Posłuchajmy zachodu słońca niczym urzeczony poeta.

Pomódlmy się teraz do kulawego boga, zanim skończy swą pracę, żeby ogarnął nas czerwonym światłem i podarował również nam kilka iskier świętego ognia, tak jak niegdyś Pandorze. By ta iskra pomogła nam napisać książkę o Kalabrii...!

Trwamy długo w ciszy. Nad Wyspami Eolskimi wszystko rozplywa się w szarości...

Szybko jednak trzy światła rozpoczynają swój wieczorny dialog. Po lewej latarnia morska Mesyny, po prawej Capo Vaticano, pośrodku nasza latarnia, w Scilli, u której stóp się zatrzymaliśmy.

Ileż statków rozbiło się o Scillę? To była epoka baśni, nie było jeszcze Augusta Fressnela¹¹. Pierwsza latarnia majaczyła pośród mgieł przyszłości. Dziś elek-

terenach chrześcijaństwa, ale także we Włoszech. W Kalabrii, gdzie kultura grecka miała duży wpływ, istniało wiele klasztorów, a Elias był często czczony wśród mnichów. Możliwe, że lokalna tradycja religijna i monastyczna przyczyniły się do nazwania tej góry jego imieniem.

11 Notacja nazwiska zastosowana przez Alberti („Fressnel”) – błędna. Augustin Jean Fresnel (ur. 10 maja 1788 w Broglie, zm. 14 lipca 1827 w Ville-d’Avray) – to francuski inżynier i fizyk. Jeden z pionierów badań w zakresie optyki falowej. W 1822 roku opracował zasady działania i skonstruował tzw. soczewkę schodkową (pierścieniową). Wynalazek zyskał błyskawiczne zastosowanie empiryczne – na przykład w indukowaniu sygnału świetlnego latarni morskiej. Sam Fresnel skłonny był uznawać pierwszeństwo (w tej kwestii) francuskiego matematyka i przyrodnika Georges’a Buffona, który zasady działania soczewki opisał w swojej *Historii naturalnej* (publikowanej w latach 1749–1788). Soczewka Fresnela została zainstalowana po raz pierwszy w latarni morskiej Cordouan (ulożonej siedem kilometrów na morzu, w pobliżu ujścia rzeki Gironde – we Francji) w dniu 25 lipca 1823 roku. Wynalazek upowszechnił się na tyle szybko, że już w roku 1830 John F.W. Herschel mógł podać przykład pomysłu Fresnela, jako żywy dowód „zastosowania wiedzy o przyrodzie do zadań praktycznych”. Por. J.F.W. Herschel: *Wstęp do badań przyrodniczych*. Przeł. T. Pawłowski. Przekład przejrzał, wstępem i przypisami opatrzył M. Wallis. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1955, s. 56.

tryczny potwór zajął miejsce pół kobiety, pół psa i z groźnego – stał się przyjazny człowiekowi.

Schodziliśmy z zamku, wokół rozbłyskiwały już światła wieczoru. Spokojni – chociaż mienia się w dole fale, a w górze gwiazdy, kołyszą się lampy zawieszone przy willach... kołysz się być może cały świat. Również Chianalea jest spokojna...

.

A teraz, kiedy ulegamy złudzeniu, że szczęśliwie mineliśmy Scyllę i Charybdę, możemy wreszcie na poważnie zacząć pisać książkę.

DWADZIEŚCIA KILOMETRÓW POD RÓŻOWYM PARASOLEM

Od zamku Bagnary do Scilli – i z powrotem – jest dokładnie dwadzieścia kilometrów. Jeśli ty, mój drogi Kalabryjczyku, nie przeszedłeś tej trasy nigdy na piechotę, mogę z odwagą stwierdzić, że nie znasz jednego z najbardziej interesujących zakątków tyrreńskiego wybrzeża.

Ja przebyłam tę dwudziestokilometrową trasę pod różowym parasolem: na końcu tego rozdziału wytłumaczę Ci, jaką formę miał ten parasol. To jedna z sepek pułapek, jakie ma do swojej dyspozycji pisarz i które z premedytacją zastawia na naiwnego czytelnika.

Jeśli więc obawiasz się, że wpadniesz w sidła różowego parasola, porzuć ten rozdział i pośpiesz do Bagnary, żeby tam... się wykąpać.

Pewnego razu na tej ziemi rozegrała się heroiczna walka między gigantami i Jowiszem. Pamiętam, jak w szkolnych latach napawała mnie entuzjazmem odwaga, jaką wykazali się giganci w starciu z tak wspaniałym bogiem, atakując jego powietrzne królestwo za pomocą bomb na miarę epoki: ogromnych kamieni, które staczały się i spadały, tworząc góry na ziemi i wyspy na morzu. Wówczas widziałam tę scenę jakby plastycznie i taka geneza ziemskiego krajobrazu budziła we mnie jak najżywszą aprobatę. Na nieszczęście, podczas dalszej nauki w szkole, ten poetycki obraz został bezlitośnie zniszczony przez teorię Kanta i Laplace'a, trochę bardziej skrupulatną od mitologicznego przekazu.

Z pewnością na Kalabrię, w czasie owej walki, musiały spaść kamienie nie tylko najpiękniejsze, ale i w znacznej ilości. I rozmieściły się jeden obok drugiego, tworząc nieregularne pierścienie, szerokie kolumnady, górskie fortece pośrodku mórz.

Na tych tyrreńskich zboczach przybrały bardzo malownicze pozy, tworząc wysokie tło dla morza i opadając pionowo w objęcia fal. Przez wiele wieków ludzie użyźniali swoją pracą te gigantyczne masywy i dzisiaj, idąc wzdłuż tego brzegu od Scilli do Bagnary, nie tylko oczy widzą ten trud, lecz także podniebienie smakuje te góry.

Gęsto ugałęzione figowce obiecują naszym ustom wyrafinowane słodkości, nie mówiąc o winoroślach, które – jak gdyby miały skrzydła – lecą lekko do góry, nie lękając się przepaści.

To krajobraz w pełni starożytny, przesiąknięty światłem i legendą. I gdyby nie słupy telegraficzne, połączone przewodami, po których pędzi mnóstwo wiadomości, i gdyby nie asfalt pod naszymi stopami, to mógłby to być obraz jakiegoś nowego, radosnego świtu rodzaju ludzkiego.

Na przykład w połowie drogi między Scillą i Favazziną jest zakątek arkadii, na klifie tuż nad morzem, odnotowanym przez moje uszy, gdyż inaczej przeszłabym obok, nie zauważając go. Lecz tajemniczy szum wody mnie przyciągnął. I tak się zatrzymałam.

Na skalnym zboczu, wpadającym zuchwale pionowo do morza, znajduje się rodzaj ogródka, trochę sadzonek pomidora, mała winorośl, wszystko razem mikroskopijne: ogródek dla dzieci. Wzdłuż skały biegnie wąski kanał, w którym wesoło szmerze woda.

Nagle zauważam coś, co rusza się między skałami. Kozy! Jedna, dwie, trzy, całe stado; małe, duże, łaciate i jednokolorowe, szare, białe, czarne, brązowe... Kocham zwierzęta, gdyż to jedyne istoty, które pozostają sobą w każdej sytuacji. Lecz od kiedy byłam mała, żywiłam specjalną sympatię do kóz. Hodowla tych zwierząt jest bardzo rozpowszechniona we Włoszech, a szczególnie w Kalabrii.

Przechadzają się teraz w tle krajobrazu niczym poetycka wizja. Ta ostatnia, wielka, tam, złocisto-brązowa, która pije w tak dystyngowany sposób wodę z kanału, i bez jednego rogu, czyż nie mogłaby być Amalteą, karmicielką Jowisza? A ten róg, którego jej brakuje, czyż to nie ten sam, który Jowisz podarował Melissie: róg obfitości? A tamta druga i tamta trzecia – jakże urocze mają ogony!... Jakże poważne bródki i jak połyskliwe rogi... Miałby z nich pociechę Pan!...

Jak przeraźliwie zubożała kariera kozy! Kiedyś karmiła bogów, dawała im swoje mleko, ofiarowywała rogi, swoje eleganckie kopytka; niczym doskonały charakterystyczny teatralny przyczepiała starożytnym aktorom swoje rogi i swoją bródkę. I nawet słynny auriga Erichonios, wielokrotny zwycięzca na hipodromie, wołał kozę od swych eleganckich koni, i do dziś przemierza fir-

mament, niosąc w ramionach nie tylko boską kozę Amalteę, lecz także dwójkę jej młodych¹².

Dzisiaj stała się zwierzęciem dla ubogich. Lecz zdaje się nie odczuwać swojego upadku. Pracuje tak jak w starożytności, na tle antycznego krajobrazu i z pewnością – tak jak niegdyś karmiła Jowisza, tak też dzisiaj żywi swoim mlekiem wielu kalabryjskich bohaterów pochodzących z biednych rodzin.

Legendarna bohaterka, ofiara godna ołtarza Jowisza, bohaterka odzwierciedlona na tysiącach obrazów i poetycznie związana z kalabryjskim pejzażem, wnosi w niego łąty życia, wypełnia go, zagęszcza...

Szmer obfitych wód słychać na każdym kroku. Woda płynie kanałami wzdłuż drogi, spływa między skałami, spoczywa w małych kwadratowych zbiornikach, nawadnia gaje pomarańczowe i cytrynowe. Szumi, bulgocze, osłaniana przez figowce, granaty, które swoim zmysłowym szkarłatem przypominają usta kochanków z orientalnej poezji.

Dzięki tym kanałom i sprzyjającej wilgotności, gdziekolwiek padnie – nawet przypadkiem – twoje spojrzenie, rozkwitają gęste pęki geranium. Sam wiatr je tam zasadził, rozsiał je między skałami niczym odważny dekorator, beztrąsco ignorując najbardziej elementarne zasady geometrii. Margerytki pospadały białymi chmurami na skraj drogi. Możesz ich nazrywać, zapytać o twoją miłość. Na wszystkich innych drogach życia odpowiedzą ci „trochę” lub „może”; tutaj, między Scillą a Bagnarą, zdecydowanie zapewnią cię, że „cię kocha”. Jest może ktoś, kto nie wierzy margerytkom? Uwierzył im nawet uczony Faust!

12 Według przekazu mitologicznego Erichonios to „heros attycki, syn Hefajstosa i Gai albo Attis”. Przypisuje się mu „wynalezienie pługu i czterokonnego zaprzęgu; po śmierci został umieszczony na niebie jako konstelacja”. Por. *Mała encyklopedia kultury antycznej*. Red. Z. Piszczek. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988, s. 236. Wyobrażany podobnie do pierwszego króla ateńskiego Kekropsa, jako częściowo-zwierzęca hybryda. W *Mitologii* Jana Parandowskiego czytamy: „Do pasa miał postać ludzką, a zamiast nóg ogon węża”. Zob. J. Parandowski: *Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990, s. 136. Na ciekawe wątki religioznawcze, wykraczające poza krąg wyobrażeń helleńskich i oplatające figurę „aurigi” nieoczywistymi kontekstami, zwraca uwagę Grzegorz Niedzielski: „Do tej samej idei [weddyjskiego bóstwa: Jednonogiego Kozła – przyp. Redaktorzy] odwołuje się wyobrażenie władającego zimowym przesileniem znaku Koziorożca, pierwotnie w Mezopotamii zwanego Kozą-ryba. Do połowy jest on kozłem, od połowy wijącą się rybą lub wodnym wężem [...]. Podobną ideę ukazuje konstelacja Woźnicy, ukazująca wężonogiego Erichtoniosa, [...] króla Aten, a zarazem syna boga kowala Hefajstosa, niosącego na ramieniu rogatego kozła lub kozę. Główny, najjaśniejszy obiekt konstelacji, gwiazda Capella, zwana jest w ludowej terminologii Gwiazdą Betlejemską, świecącą przy narodzinach Jezusa, w czasie bliskim zimowemu przesileniu”. Cyt. za: G. Niedzielski: *Królowie z gwiazd. Mitologia plemion prapolskich*. Wydawnictwo Armoryka, Sandomierz 2011, s. 24.

Wzdłuż drogi rośnie mnóstwo oleandrów, lecz moje spojrzenie natychmiast pada na coś, czego chyba nie można nazwać oleandrem, gdyż nie ma wcale liści. Jest jak ogromny parasol, wymalowany rozkwitłymi kwiatami. Zasługuje na to, by być wyrwany z ziemi i niesiony wysoko nad głową jakiegoś władcy Orientu!

Zatrzymuję się daleko przed tą rośliną i mam wrażenie, że moje podniebienie napełnia się smakiem muszkatelu. Całą drogę okalają oleandry. Niektóre z nich, niebezpiecznie wychylone ze skały w stronę morza, zatrzymała ręka przeznaczenia i podarowała im skrawek ziemi do życia między skałami. A woda zaraz pomogła przeznaczeniu.

Co dwieście–trzysta metrów przystaję, opierając się o balustradę i obserwuję krajobraz, który zostaje za moimi plecami i za każdym zakrętem zmienia wzór i kolor. To właśnie kalabryjski wycinek świata, który stanowczo domaga się, by oddać go pędzlem, nie piórem. Lecz paleta pisarza jest uboga, tak jak często bywa marne pióro malarza. Mnie brakuje tutaj pędzla van Gogha, z jego najbardziej szalonego okresu z Arles, kiedy kolory wrzały i rozlewały się wbrew wszelkim normom ich przeznaczenia.

Kiedy opieram się o murek, oto zwinna jaszczurka, jakby stworzona przez najwybredniejszego kolorystę, wychodzi spośród bluszczu. Na widok mojej ręki zatrzymuje się. Nie ucieka. I tak w milczeniu spoglądamy na siebie z ciekawością. Bez słów zapraszam ją, by nie bała się i prześlizgnęła się po mojej dłoni, która zapewne zdaje się jej niebezpieczną granicą. Jaką przezornością obdarzyła natura to małe stworzenie! Nie ma ufności!

Mój Boże! Jakże obawia się ręki człowieka cały świat! Zwierzę, ptak, gad, owad... Jakże zła wibracja musi emanować z tej ręki. Zdołała oswoić kilka zwierząt domowych, by zrobić z nich niewolników, lecz ogromny świat rozmaitych stworzeń tylko i zawsze się jej boi!

Patrzę na małą jaszczurkę. Jakież bajeczne ubarwienie! Pawi niebieski i turkusowy, chryzolit i malachit. Rozmaite odcienie zielonego, odważnie wymieszane z szafirem. Ona też patrzy na mnie bez ruchu. Mam życzenie: żeby zastygła i zmieniła się na mojej ręce w bajeczną bransoletkę z chryzolit. Lecz niestety odległa jest już epoka mitologii, kiedy stworzenia używały człowiekowi swego piękna!...

Długo trwa ta idylla z jaszczurką. W końcu, zza zakrętu, znienacka, wyjeżdża samochód i zwierzę, przerażone XX wiekiem, ucieka do swego domu wśród bluszczu. A ja oddalam się, z dziwnym marzeniem o bransoletce z jaszczurki...

Nagle skały się kończą. Ustępują miejsca ogromnemu masywowi zieleni. Brzeg łagodnieje, a góry wycofują się na drugi plan. Droga owija się, niczym wstążka, wokół Favazziny, całej ubranej w zielen drzewek cytrynowych.

Za Favazziną góry stają się dziksze. Bardziej nieustępliwe były tu głazy gigantów. Nie abdykowały przed ludzką ręką, nie ugięły się pod naporem kultury. Wydają się dumne ze swej siły i swej nieugiętości. Robią tylko mały wyjątek dla wody, pozwalając jej płynąć niczym srebrzysta, cienka żyłka.

Słońce zaszło za chmury. Zachód słońca był dziś marny, mimo to na morzu rozpięła się teraz żelazna pajęczyna, w którą zaczynają wpadać pierwsze gwiazdy. Myślę, że zostaną tak do rana, bo będzie im brakować sił, by się wypłatać.

Wszystko szarzeje, potem błękitnieje, potem ciemnieje...

Latarnia morska w Scilli rzuca swój długi, świetlisty okrzyk. Morski neon! I natychmiast widzę inne neony małe, ruchliwe, połączane. Błądzą, wyprzedzają się, krzyżują, cofają. One również plotą pajęczynę, w którą chciałyby mnie owinać. Życie posyła swoje żądze. Robaczki świętojańskie! Wystarczy pobiec za jednym z nich, za drugim, za trzecim, by zgubić właściwą drogę i stracić orientację.

Dziś jednak jestem spokojna. Uśmiecham się do sprytnych świetlików. Nie porzucę dla nich mojego rytmu. I chociaż tysiące osób błądzi, podążając za nimi, pożądliwie próbując zamknąć magię czerwca w dłoni i ugasić pragnienie, ja patrzę na Wóz, który już toczy się po niebie i który prowadzi mnie do pięknej Bagnary, do każdej Bagnary mojego życia...

Widzę już zarysy domów, dym wznosi się z kominów i konkuruje z kalabryjskimi piosenkami pełnymi nostalgii, w których rozpoznaję wiele znanych mi już wschodnich rytmów. Wchodzę do miasta i myślę: „W zasadzie nie wydarzyło się nic na tej drodze między Scillą a Bagnarą. Nie było żadnej katastrofy drogowej, żadnej procesji, żadnego ślubu w karocy, nic z tych rzeczy, które jeszcze dziś poruszają dusze Kalabryjczyków. I nawet strażaków, którzy stanowią tu jedno z najciekawszych widowisk i o których się śpiewa:

*... że kiedy oni przejeżdżają,
serca się rozpłomieniają...,*

nie było.

Co zatem było na tej drodze?

Morze i ogród cytrynowy, kozy i winorośle, geranium i świetliki, wysokie skały i figowce, ogromny maszyn nabrzeżny, o który rozbijały się fale, i „flirt” z jaszczurką. Bardzo niewiele! Mnie jednak wydawało się, że to nie był zwyczajny dzień. Wydawało mi się, że jakaś niewidzialna ręka wyrwała z ziemi najpiękniejszy z oleandrów i niosła go nad moją głowę przez całe dwadzieścia kilometrów, niczym nad głową jakiegoś cesarza.

To jedyne wyróżnienie, na jakie poeta może liczyć!

Ludzie uważają, że parasol powinien służyć człowiekowi, tylko kiedy pada lub kiedy praży wściekłe słońce. Ja natomiast zobaczyłam dziś cały świat spod tego różowego parasola...

TRASA CESARZY

Znamy różnego rodzaju cesarzy. Wśród zwierząt lądowych – lwa. Kiedy ryczy, wszystko milknie, także orkiestra cykad nagle przerywa swoją symfonię.

W powietrzu – to orzeł. Kiedy rozwija skrzydła, pustoszeje całą przestrzeń.

Wśród tysięcy ryb – miecznik, uzbrojony w swoją wspaniałą broń, jest władcym cesarzem.

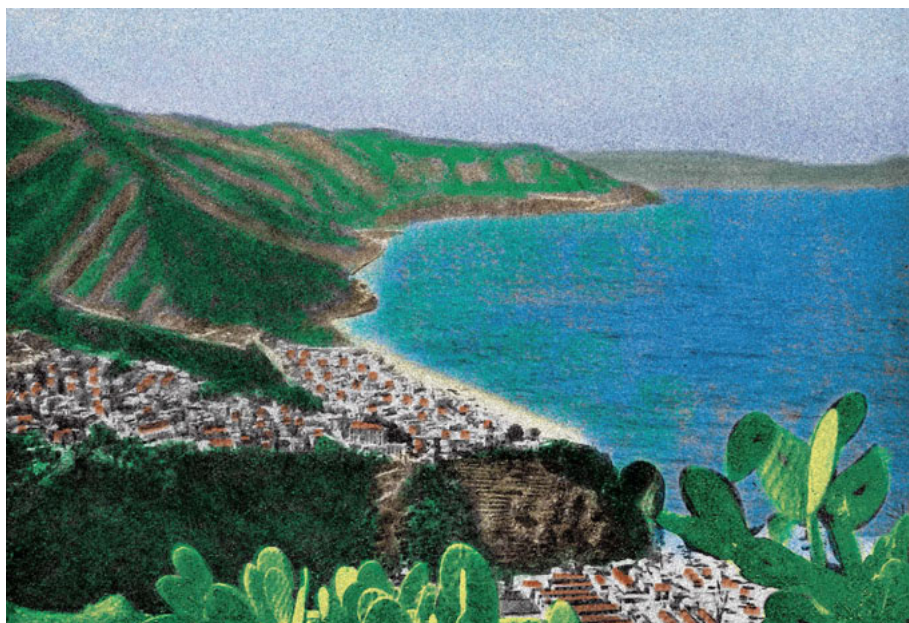
Każdej wiosny brzegami Morza Tyrreńskiego, od Palmi do Cieśniny Mesyńskiej, a dokładniej między Bagnarą, Favazziną i Scillą, przez kilka miesięcy przebiega trasa cesarzy. Miecznik kocha to wybrzeże i przybywa tu – jak głosi tradycja rybaków – z dalekiego Pacyfiku dla odpoczynku.

Wszyscy wiemy, że odpoczynek bez miłości nie jest wytchnieniem. Dlatego, mówiąc precyzyjniej, cesarze przybywają tu w celach miłosnych. Trzymają się brzegu i wychodzą na przechadzkę, tylko kiedy jest ładna pogoda (jak każdy szanujący się cesarz) i kiedy przejrzystej wody nie marszczy najmniejszy podmuch wiatru ani nie mącą kłębki spienionej wody.

Naturalnie, jak wszyscy cesarze, mają oni swoich wrogów: knujących zamachy anarchistów. Panoszą się tu setki rebeliantów, którzy – choć nie wykonują rozkazów z zewnątrz – wewnętrznie są cudownie zorganizowani.

Od strony lądu poustawiane są patrole. I tak, miecznik nie może przewidzieć, że jego największy wróg nie znajduje się wcale w wodzie, lecz na ziemi. Przecho-dząc lub przejeżdżając samochodem tą drogą, w dniach, kiedy morze jest gładkie jak welur, widzimy w górze, na ostrogach skały, tam, gdzie góry najbardziej zbliżają się do morza, dwóch lub trzech leniwych mężczyzn, jakby mieli na celu podziwianie krajobrazu. Typowi anarchiści! Lecz to tylko pozory. W rzeczywistości chodzi o czyhające patrole, które utrudniają znacznie życie morskich osobistości: szpiegują z góry każdy ich ruch; wydając specjalny okrzyk, tymi samymi słowami, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie, sygnalizują upragniony moment.

Nadaje to tej kilkumilowej nadmorskiej panoramie charakterystyczny rys, niespotykany w żadnej innej części włoskiego wybrzeża: podczas wiosennych miesięcy – długi łańcuch łódek, poustawianych w idealnym szyku jedna za drugą. To nie są zwyczajne łódki. Pośrodku każdej z nich, wzniesiony na wysokim maszcie, siedzi człowiek.



Tam, gdzie morze najgłębiej penetruje ląd, znajduje się Bagnara...



...spokój w Bagnarze

Na dziki okrzyk naziemnego patrolu „luntro”¹³ łódka, znajdująca się najbliżej sygnalizowanego miejsca, odpowiada nagłym poruszeniem. Człowiek siedzący na maszcie przebiegle i sprawnie kieruje łódkę śladami wroga. Rozpoczyna się szalony pościg. Kilka razy zdarzyło mi się go podziwiać.

Pewnego razu, między Scillą a cieśniną, pogoń stała się niemal dzika, jakby po sygnale danym z góry łódka rozpoczęła niepohamowany, zawity taniec. Czterech mężczyzn zaczęło krzyczeć, chociaż wiosłowali z piekielną energią jak wprowadzeni w trans. Ten krzyk wzbudza ich zapał, pomaga w wysiłku, potraja ich energię i impet.

Złapanie cesarza zapewnia dobry zarobek, lecz nie tylko to jest motorem ich zawziętości. Jest w tym coś z pewnością atawistycznego, instynkt pozostały w człowieku z epoki jego pierwszych walk z bestiami.

Już Polibiusz i Strabon opisują polowanie na *xiphias*, które wyglądało tak samo, jak opiewa je humanista z Reggio – Diego Vitrioli, w swej łacińskiej pieśni *Xiphias*, i tak jak dzisiaj możemy je obserwować¹⁴.

Widzimy ręce, wyćwiczone do perfekcji, widzimy idealne ruchy, synchroniczne, niemal mechaniczne: rytmicznie pochylające się torsy, do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu, jeden względem drugiego nie ma nawet ułamka sekundy opóźnienia. Można byłoby od razu wyróżnić nuty, metrum 4/4...

A teraz „il falere”¹⁵, ten, który musi zabić wroga, postać, która perfekcyjnie opanowała operowanie tą bronią, rzuca harpunem, który zanurza się w wodzie. Trafił cesarza czy nie?

13 *Luntro* (po sycylijsku *luntru*, nazwa pochodzi prawdopodobnie od łacińskiego *linter* – łódki rybackiej o płaskim dnie, wykorzystywanej już przez Rzymian) – łódź o długości 624 cm i szerokości 165 cm, z kadłubem o wysokości około 80 cm, o wydłużonym kształcie i zaokrąglonym dnie, umożliwiającym mniejsze zanurzenie [przyp. tłum.]. O rytuałach rybackich i technikach połowu miecznika w Cieśninie Mesyńskiej, przy użyciu łodzi większych (*feluka*) i mniejszych (*luntru*) pisze Maurizio D'Atri. Por. Idem: *Sicily and its Fishes*. In: *Sicily and the Sea*. Ed. D. Burgersdijk [et al.]. WBOOKS, Zwolle 2015, s. 194–195.

14 Diego Vitrioli (ur. 20 maja 1819 w Reggio Calabria, zm. 20 maja 1898, tamże) – włoski poeta i latynista. W 1845 roku opublikował łaciński poemat *Xiphias*, za który otrzymał główną nagrodę w prestiżowym konkursie poetyckim, organizowanym przez holenderską Akademię Amsterdamską (Certamen poeticum Hoeufftianum). Utwór napisany heksametrem składał się z trzech oddzielnych pieśni. W kontekście uwag Kazimierzy Alberti najciekawsza wydaje się ostatnia część poematu, w której Vitrioli literacko przetwarza i rekontekstualizuje tradycyjne pieśni i obrzędy rybackie, wykonywane przez kalabryjskich autochtonów po zabiciu miecznika (por. taksonomiczne miano ryby: *Xiphias gladius*). Więcej o recepcji poematu w: X. van Binnebeke, P. de Capua: *Litteratura e antifilologia nello „Xiphias” di Diego Vitrioli*. In: *Una lingua morta per letteratura vive: il dibattito sul latino come lingua letteraria in età moderna e contemporanea*. A cura di V. Sanzotta. Leuven University Press, Leuven 2020, s. 257–348.

15 *Il falere* – specyficzny element tradycyjnej łodzi używanej do połowu miecznika, wysoki maszt z siedziskiem; termin może również odnosić się do osoby siedzącej na owym maszcie, peł-

Jestem na rozdrożu i nie wiem, komu życzyć szczęścia. Tym rybakom tam, w łódce, którzy z takim wysiłkiem i tak umiejętnie polują i których zarobku z niepokojem wyczekują w domu ich biedne rodziny, czy cesarzowi, który przybył tu na wakacje i po miłość?

To moment wielkiego chaosu w moich uczuciach. I kiedy w końcu harpun wynurza się z wody i krzyki podwajają się – bo ryba uciekła: cesarz po mistrzowsku uniknął uderzenia – kiedy wreszcie łódka odpływa w innym kierunku, odycham z ulgą.

I jeszcze raz w moim życiu, może z odrobiną wstydu, muszę wyznać, że jestem zawsze po stronie ściganego, nie ścigającego. Czy to ptak, czy czworonóg, człowiek, czy ryba, każdy osobnik, który żyje i broni swego życia instynktem przyznanym mu przez naturę aż do ostatniego tchu, może liczyć na moją odruchową sympatię.

Jeśli natomiast miecznik zostaje trafiony, strzelec wypuszcza do wody coraz dłuższą linę, aż ryba opadnie z sił. Dopiero wtedy linę powoli zwija się do łódki, i w ten sposób ta osobistość, mierząca ponad dwa metry i ważąca do dwóch kwintali, pada ofiarą polowania.

Odpowiesz mi, że człowiek musi się czymś żywić i że mięso jest niezbędne dla organizmu. Jednak czasem poeci mają swoje szalone marzenia. Anatole France, którego odnotuję tu jako... poetę, napisał, że natura źle zaprojektowała ludzkie życie: powinno się ono zaczynać od starości i kończyć młodością. Tak jak motyle, najpierw gąsienice żarłoczne jak dzieci, potem stare, nieruchome, brzydkie poczwarki w szarym kokonie, na koniec przekształcają się w pięknego fruującego motyla, radosnego i młodego duchem.

Niech również nam będzie wolno, w Bagnarze, wieczorem, na tarasie zamku¹⁶, pomarzyć trochę i pokrytykować naturę, jak to zrobił wcześniej France.

niącej funkcję obserwatora, wypatrując z wysoka miecznika w wodzie i kierując załogą we właściwą stronę [przyp. tłum.].

16 Zamek książęcy Ruffo w Bagnarze, czasami nazywany także zamkiem Emmarita, to starożytna fortyfikacja położona na cyplu Marturano. Twierdza została zbudowana na polecenie hrabiego Rogera II, po latach uległa poważnym zniszczeniom w wyniku trzęsienia ziemi w 1783 roku. Obiekt został jednak odbudowany w formie pałacu. Zamek jest miejscem wydarzeń artystycznych i kulturalnych. Dziś został przekształcony w muzeum, do którego wchodzi się przez duży portal wejściowy, prowadzący na wewnętrzny dziedziniec, gdzie rozpoczyna się trasa zwiedzania. Możemy między innymi dowiedzieć się interesujących rzeczy o władcach twierdzy: czeka nas pasjonująca podróż – od czasów renesansu po okres zjednoczenia Włoch. Historia zamczyska opowiedziana została od Cateriny Sforzy do biskupa Imola Giovanniego Marii Mastai Ferrettiego. Do zamku można również dotrzeć, przechodząc przez słynny most Caravilla. Zob. A. Gioffré: *Storia di Bagnara*. Laruffa Editore, Reggio Calabria 1983, s. 46.

Nie moglibyśmy pobierać pokarmu z powietrza, tak jak połykamy mikroby? Rodzaj powietrznej „zupy nic”?!

Płuca mają więcej szczęścia od żołądka. Wdychają już gotowe powietrze i, jeśli tylko są zdrowe, nie zauważają nawet tej pracy. Żołądek jest w gorszej sytuacji. Musi być karmiony przemocą. I oto tragedia całej ludzkości, najdzikszych i najbardziej pozbawionych honoru wojen. Powód: drapieżny atawizm. Zabijamy zwierzęta, ptaki, ryby i kończymy, zabijając się nawzajem. Ten, kto ma mniej, próbuje zabić tego, kto ma więcej, jeden zjada drugiego. I nie tylko ludzie. Cała natura oparta jest na tym prawie, na tym tragicznym prawie.

To dziecinne pomysły – czy też nie aż tak dziecinne, na jakie mogłyby wyglądać?

Pewnego poranka, kiedy przechodzę przez marinę w Bagnarze, centrum połowu miecznika, widzę kolejkę kobiet, jedna za drugą – które zgodnie z tutejszym zwyczajem niosą na głowach wielkie okrągłe kosze z poćwiartowanymi cesarzami. Wczoraj było dobre branie. Miłosna przechadzka, pełna radości życia i entuzjazmu (pływają zawsze parami), zakończyła się śmiercią. Jakże cienka często jest linia oddzielająca miłość od śmierci.

Jedna wielka głowa, druga, trzecia, wiele. Wspaniale zaostrzone miecze, wykończone maleńkimi zębami, wielkie wybałuszone oczy o szklanym spojrzeniu. W innym koszu część tułowia, w jeszcze innym część tylna z szerokim, podwójnie zakończonym ogonem. Cała procesja koszy. Patrząc na te oczy, przypominam sobie, że człowiek spożytkował wszystko na świecie, również rybnie oczy. Pewien amerykański rzeźbiarz, w Miami na Florydzie, z soczewek z rybich oczu zdołał zrobić zadziwiającą biżuterię – precjoza najczystszej wody.

Polowanie na miecznika jest czymś typowym w tym regionie. Od iluż wieków przybywa tu na swą przechadzkę miecznik, słynący powszechnie z okrucieństwa, gdyż zgodnie z morską tradycją atakuje on tuńczyki i wieloryby, a nawet łodzie. Wiele można usłyszeć o jego okrucieństwie, jak na cesarza przystało.

Gdy nadchodzi wieczór, z tarasu Bagnary obserwuję wybrzeże tyrreńskie, w godzinach, w jakich łodzie rozpoczynają połów i acetylenowymi światłami roztaczają wokół siebie szeroką lunę niewiarygodnie szmaragdowego koloru. Mam złudne wrażenie, że morze jest spokojne, że to tylko piękny pejzaż, a nie ogromny teatr¹⁷, na którym rozgrywają się takie same tragedie jak na ziemi i jak w powietrzu.

17 Por. K.I. Gałczyński: *Szekspir i chryzantemy*: „Morze to teatr z wody i na tym teatrze / pójdzie grać swoją sztukę pośród trąb Szekspira”. Idem: *Poezje*. Czytelnik, Warszawa 1980, s. 10 [przyp. tłum.].

ŚWIT...

Comm. Guglielmowi Mezzettiemu i Jego szacownej małżonce na pamiątkę pięknych dni spędzonych w czarującym zamku Emmarita

Mój pobyt w Bagnarze trwał długo. Tu, na zamku, napisałam wiele rozdziałów tej książki.

Często budziłam się o czwartej, gdy gasły ostatnie gwiazdy i gdy już tylko można się było domyślać wytyczonej na blednym pergaminie nieba Drogi Mlecznej.

O tej porze powietrze było zawsze czyste, gdyż ludzie spali i jeszcze nie zanieczyścili go swoimi zmartwieniami, swoimi złorzeczeniami, szelestem pieńędzy, który wyznacza kurs dnia. Tylko ptaki, jak posłańcy z dobrymi wiadomościami, latają nie wiadomo dokąd i rywalizują o to, który leci lepiej i po prostszej linii.

Z tarasu obserwuję architekturę miasteczka, które o tej porze drzemie jeszcze zastygłe, nawet najdrobniejsze punkty nie poruszają się na tej uśpionej makiecie.

Linia łącząca dwa miejsca, Scillę – albo jeszcze lepiej: wejście do Cieśniny Mesyńskiej z jednej strony, i Górę św. Eliasza, na jej wysokim cokole, z drugiej, tworzy brzeg o kształcie idealnego łuku. Tam, gdzie morze najgłębiej penetruje ląd, znajduje się Bagnara, chroniona od wiatru, z ustami otwartymi na morze, jakby chciała wypić wszystkie posyłane w jej kierunku fale. Od samej plaży zaczynają swój bieg wzwyż, szerokimi półkolami, rzędy domów jeden za drugim, zbudowane z wielkim rozmysłem, by z każdego był widok na morze i na góry. O tej porze i w tym nieruchomym krajobrazie wyczuwa się tylko świeży aromat. Pachnie powietrze, morze w dole, winorośl w górze, ogrody, rośliny, kwiaty.

Zegar kościelny odmierza swe śpiewne, piętnastominutowe kroki i Bagnara zaczyna się budzić. Zaczyna falować woda w dole, poruszają się łódki na brzegu, wietrzyk w winnicach. Pojawiają się kobiety o bosych stopach, w swym charakterystycznym stroju: szeroka spódnica i koszula zebrana pod samym biustem, przypominające modę z czasów dyktatoratu. W koszach na głowach niosą owoce i warzywa: seledynowe cukinie, fioletowe bakłażany, lśniące jak ametysty, tak egzotyczne w swym wyglądzie i smaku dla ludzi Północy, wielkie pomidory, fiołkowe figi, złociste śliwki, różowe brzoskwinie i żółte cytryny.

Minęły wieki, a kobieta, bosa, o wyprostowanym tułowi, nosi na głowie wszystkie rzeczy, tak jak w epoce, w której Bagnara była jeszcze Meduą albo

raczej Balnearią¹⁸, słynną z wód, kiedy na wakacje przybywali tu rzymscy senatorowie, w białych togach, wykończonych purpurą. Bardzo często jedną kobietę poprzedzają dwie inne, niosące wagę, i z zaśpiewem – jakby muzyczną frazą ze starożytnej piosenki – ogłaszają zbliżający się orszak: „Ach, jakże piękne te cukinie!...”.

Kobieta jest tutaj *spiritus movens*, reprezentuje rodzinę; to ona zarabia, przelicza, pobiera i zwraca pieniądze. Niczym pracowita mrówka od samego rana uwija się w pracy, nosząc towary na głowie i starając się sprzedać ryby, warzywa, owoce. To ona zastępuje zwierzęta juczne. Jest siłą napędową, transportuje towary ze stacji do sklepów, jedzie do Reggio, do Gioia Tauro, do Messyny. Sprzedaje, liczy, handluje. Pociągi, na tym obszarze Kalabrii, pełne są tych kobiet, praca w domu ich nie zadowala. Kobieta jest cały dzień poza domem, wraca tylko, żeby przygotować coś szybko i zjeść. Jest sprytna, dynamiczna, energiczna, „bagnarota”: znana w całej okolicy, już z odległości rozpoznawalna w swojej charakterystycznej kurtce.

Mężczyzna żyje w jej cieniu. Zostaje w domu, jest krawcem, szewcem, pracuje w ogrodzie, w winnicy – żyje za kulisami. To kobieta wysuwa się na pierwszy plan.

A trzeba zobaczyć, jak tańczy! Mogłoby się zdawać, że ten styl życia – niemal męski – to ciągłe bycie w ruchu, handlowanie, powinny zabić kobiecość, zalotność. Przeciwnie: tutejsza kobieta potrafi tańczyć godzinę, półtorej godziny bez przerwy, do rytmu szybkiego, prostego, żywego, który tylko tu mógł się narodzić, na tym tle winnic, obiecujących wyzwolenie od wszelkiej troski.

Ten sposób życia sprawił, że „bagnarota” wykształciła w sobie silne poczucie realizmu.

Na tarasie pytam Titiny, siedemnastolatki, która wygląda na dwudziestopięciolatkę, gdyż tutejsze kobiety szybko dorastają i starzeją się podczas tej intensywnej pracy wcześniej niż w innych stronach:

– A więc, Titino, poznałaś już smak miłości? Jesteś zaręczona?

Odpowiada mi rezolutnie:

– Miłość?! Najpierw wyprawka! Potem miłość. Na co miłość bez wyprawki?!

W pierwszej z brzegu polskiej wsi każda siedemnastoletnia Kasia czy Marysia kocha bez wyprawki i nie myśli o tym wcale. Tutaj każda Carmela, Liliana czy Titina najpierw myśli o pościeli, ręcznikach, koszulach, potem o miłości.

18 W tym miejscu Autorka pisze: „Balnearea”, chwilę dalej – „Balnearia”. Nazwa właściwa to: „Balnearia”.

Ślub przede wszystkim poprzedzony jest umową handlową. Zbierają się rodzice i świadkowie dwojga narzeczonych i ustalają, jakie rzeczy każdy z nowożeńców musi otrzymać. A posag potem wyjmowany jest z szafy i poddawany skrupulatnej kontroli. Kiedy następnie celebruje się małżeństwo, wszystko musi zostać dostarczone zgodnie z umową.

Otóż to, właśnie ta kobieta, co w osiemnastej wiośnie nie myśli o miłości, tylko o wyprawce, zaczyna poranek w Bagnarze.

...DZIEŃ...

Kiedy dzień zapowiada się gorący, zamki króla Eola, wysokie konstrukcje na morzu, w niektórych miejscach zniszczone przez wodę, oddalają się lub nawet znikają, jakby jakiś gigantyczny iluzjonista narzucił na nie mgłę, żeby ukryć je przed ludzkim wzrokiem. Lecz prawie nigdy nie znika Capo Vaticano, który oddziela dwie siostrzane mariny kalabryjskie: Zatokę Gioia i Zatokę Sant'Eufemia.

Skończył się poranek, a wraz z nim spokój w Bagnarze. Głosy ptaków zostały zastąpione przez głosy ludzkie i dopiero teraz w parzącym letnim słońcu wchodzi na scenę całe zielone bogactwo Bagnary. Kiedy inne brzegi Włoch, pełne nagich i jałowych skał, tworzą trudny do zniesienia, ciężki klimat, tutaj można mówić o zielonej oazie wśród gór, soczystej, prawie wilgotnej nawet w tym palącym słońcu.

W żadnym innym miejscu na kalabryjskim wybrzeżu nie znajdziesz tak cudownej wody jak w Bagnarze. Nie bez powodu na starożytnym herbie Balnearii widniała kobieta wyłaniająca się z morza, z wodą ociekającą z nabrzmiałych sutków. Jednak źródła wód mineralnych zostały zmiecione przez trzęsienie ziemi w 1783 roku, które zrównało z ziemią niemal całą Kalabrię¹⁹. Ta obfitość wody

19 Trzęsienie ziemi w Kalabrii z roku 1783 to właściwie ciąg kilku następujących po sobie wstrząsów, mających miejsce w lutym i marcu. Wywołały one ogromne zniszczenia w samej Kalabrii (głównie w okolicach Scilli, Palmi, Acquaro, Soriano Calabro), ale też na pobliskiej Sycylii (na przykład w Messynie). Bardzo trudno było oszacować skalę ludzkiej tragedii. Przyjmuje się, iż w trakcie wstrząsów właściwych, wtórnych, a także na skutek niszczycielskiej siły fal tsunami oraz pod gruzami domów i w osuwiskach ziemskich zginęło między trzydzieści a pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Zróżnicowana była także magnituda drgań sejsmicznych (między 7 a 6 stopni w skali Richtera). Katastrofę kalabryjską wspomina Marek Bieńczyk w swym znakomitym „apokaliptycznym szkicu”, gdy zwraca uwagę na fakt wzmożonej refleksji filozofów XVIII wieku nad metafizycznymi i ontologicznymi konsekwencjami światowych katastrof (chodzi tu także o zniszczenie Lizbony w roku 1755). Ujawnia się ona w pismach myślicieli tej miary, co Diderot, Voltaire, Rousseau, Lamarck. Por. M. Bieńczyk: *Pismo katastrofy w XIX wieku. Wstęp do rozważań*. „Wiek XIX” 2015, s. 12.

sprawia, że zieleń Bagnary („bagnarota”) jest zawsze świeża, bardzo intensywna, nigdy zwiędnięta. Chodzi nie tylko o „ilość” zieleni, którą można znaleźć wszędzie, lecz także „jakość”, która czyni ten widok godnym obrazów Claude’a Moneta.

Również w lipcu zieleń tę można nazwać specjalnym słowem, które oferuje paleta malarska: „zielen trawiasta”.

Kiedy patrzę w pełnym słońcu na górskie zbocza, ażurowane winnicami od podnóży do szczytów, mam wrażenie, że oglądam fasadę jakiejś hinduskiej świątyni, jakiejś stupy. To wrażenie jest wywołane przez kontrast obszarów zacienionych w winnicach, można powiedzieć – przez ciemniejsze okna, które oddzielają jeden pień od drugiego. Właśnie, pnie są tutaj żywymi rzeźbami, w których pulsuje pyszny sok.

Piękno, jak każda inna rzecz, gdy jest używane – ubywa go, a zbyt rozpozszecznione – ulega zepsuciu. Współczesny nerwowy człowiek ciągle poszukuje nowości. Wie to każdy właściciel dancingu: jeśli jest dobrym psychologiem, co kilka sezonów zmienia wystrój i oświetlenie, a może nawet nazwę lokalu.

To samo odnosi się do branży turystycznej, zobowiązanej do szukania nowych krajobrazów i zastępowania tych już zbyt dobrze znanych – świeżymi akcentami. Profil Bagnary i jej okolic jest młody, świeży, niewyczerpany jeszcze, niespowszedniały jeszcze i nienadmuchany przez tysiące pocztówek.

To nowe akcje na turystycznej giełdzie, z pewnością skazane na wielką hossę.

...NOC W BAGNARZE

Zbliża się wieczór, po gorącym dniu. Często po zachodzie słońca gigantyczny iluzjonista zdejmuje welon mgły z zamków Eola i odsłania całe królestwo. Jak na jakiejś trywialnej realistycznej pocztówce – dymi Stromboli i na pewno już nie zaśnie, aż do rana. Następnie ów gigant wysypuje pełnymi garściami do morza barwiącą substancję – i tak możemy zobaczyć, jak tafla połyskuje elektrycznym błękitem o niewiarygodnym blasku.

Ptaki powracają do swoich domów, a ludzie do swoich gniazd. Gdyż domy w Bagnarze, szczególnie te w starej, górnej części, przyczepione do górskiej ściany między drzewami, sprawiają wrażenie gniazd.

Przychodzi czerwiec, potem lipiec. Konstelacje na niebie mają moment swego największego splendoru. Kwitną wszystkie razem w ogrodzie nieba. Tam w dole, w Bagnarze, na ulicach, w oknach kwitną konstelacje ziemskie.

To moment, w którym pejzaż jest tu najbardziej sugestywny. Przesuwa się wiele cieni i w tym przedwieczornym mroku jeden staje się jaśniejszy i wyraż-

niejszy. To historia, ta sama, którą trudno było zobaczyć w pełnym blasku dnia, rysuje się teraz na tle wieczoru. Ukazuje się nam stara Bagnara.

W dole, na morzu, migoczą lampy wędkarskie rybaków wyruszających na połów. Silne światła czynią wodę wzdłuż brzegu niebywale fosforyzującą. Na tym samym brzegu schroniła się flota Oktawiana, pobita przez Pompejusza na wodach Scilli²⁰.

Dokładnie tu, gdzie teraz jestem, na tarasie zamku Emmarita, wznoszącego się na zabytkowych murach średniowiecznej fortecy, znajduje się centrum historycznej Bagnary. Tutaj lub w najbliższej okolicy usytuowany był kościół Świętej Maryi Panny i XII Apostołów, tak drogi dynastii normandzkiej.

Była to epoka, kiedy Roger II, normański hrabia Sycylii i Kalabrii²¹, przezornie czynił wysiłki, by skonsolidować owoce tej przygody, która w kilka lat z wojownika bez ojczyzny, którego jedynym bogactwem był jego miecz, zaprowadziła go na szczyty, aż do założenia własnego królestwa²².

20 Chodzi zapewne o bitwę w Cieśninie Mesyńskiej, która miała miejsce w 38 roku p.n.e. Wedle ustaleń historyków do starcia okrętów doszło, gdy jedna z eskadr Oktawiana, płynąc z Tarentu, weszła w przesmyk dzielący ląd od Sycylii. W porcie Messany cumowała wtedy część floty Sekstusa Pompejusza, licząca 40 okrętów, lecz Oktawian nie zaatakował jej, czekając na posiłki ze strony Kalwizjusza i Menodorosa. Postanowił przepłynąć Cieśninę Mesyńską i posuwać się dalej na północ, wzdłuż brzegów Italii. W tym czasie do Messany dotarły okręty Democharesa – dowódcy Pompejusza. Wedle świadectwa Appiana z Aleksandrii: „kiedy już przebył [Oktawian – przyp. Redaktorzy] większą część cieśniny i mijał Styldę, a skręcał ku Scylleum, wypadł z Messany Pompejusz i zaczępił ostatnie okręty, ścigając z kolei płynące za nimi, a wreszcie zaatakował wszystkie, wyzywając je do boju. Ale te mimo zaczepki nie stanęły do walki, gdyż Cezar [Oktawian] nie pozwalał czy to dlatego, że bał się podejmować bitwę morską w cieśninie, czy też że trwał przy swym początkowym postanowieniu nieprzyjmowania bitwy bez Kalwizjusza. Stosownie do jego rozkazu wszystkie okręty cofnęły się ku wybrzeżu i kotływały się na kotwicach, a z przodu odpierały nacierających. Gdy Demochares przeciw każdemu okrętowi wystawił dwa swoje, powstało już zamieszanie. Okręty Cezara rozbijały się o skały lub zderzały ze sobą i nabierały wody; ginęły więc i one bez walki, podobnie jak tamte pod Kymami; stojąc na kotwicy atakowane były przez wrogów to nacierających, to znów cofających się”. Cyt. za: Appian z Aleksandrii: *Historia rzymska*. Przeł., oprac. i wstępem opatrzył L. Piotrowicz. T. 3. Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2004, s. 1171. Oktawiana od całkowitej klęski uratowały... zapadające ciemności i majaczące w oddali okręty spieszących na ratunek: Kalwizjusza i Menodorosa. Rozbite oddziały Oktawiana pozostały na wodach niedaleko wybrzeża Scilli, okręty Sekstusa Pompejusza pożeglowały do Messany. Dzieła zniszczenia w szeregach Oktawiana dokonała nocna burza, która zniszczyła połowę pozostających do jego dyspozycji łodzi. Por. T. Łoposzko: *Starożytne bitwy morskie*. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1992, s. 376–381. Ciekawe informacje o bitwie podaje także Daniel Gazda. Por. Idem: *Wojny domowe w Imperium Rzymskim*. Bellona, Warszawa 2008, s. 157–158.

21 Nieścisłość w tekście wyjściowym: Roger był co prawda hrabią Sycylii, ale księciem (Apulii i) Kalabrii – nie hrabią Kalabrii [przyp. tłum.].

22 W tym miejscu Autorka myli Rogera II z Rogerem I. „Ruggero Normanno” to Roger II, który urodził się już jako syn władcy Rogera I w Palermo i został hrabią Sycylii w wieku 10 lat. Natomiast

Na jego dworze w Melfi gościli przejazdem normańscy duchowni, powracający z Ziemi Świętej. Trudno, by Roger odmówił sobie okazji do poszerzenia grona swych rodaków rezydujących w nowym królestwie, przekonany, że będzie w nich miał wiernych poddanych. Zaproponował więc tej grupie pielgrzymów, pozbawionych wszelkich dóbr, by zbudowali sobie opactwo i odpowiednio je wyposażyli. Propozycja naturalnie została przyjęta; wybór padł na Bagnarę.

Powstał w ten sposób, ukończony w 1085 roku, kościół Świętej Maryi Panny i XII Apostołów. Jego przeor miał jurysdykcję cywilną i sądową, prawo do zamku i kasztelanii, liczne lenna w Kalabrii i na Sycylii, i stał się jednym z największych feudałów w królestwie. Dziś nadal można odczytać listę licznych koncesji na kopii świadectwa założycielskiego, wydanego w Viterbo przez kardynała Cumfredo w 1269 roku²³. Sam Roger II wziął udział w uroczystej konsekracji kościoła 13 października 1117 roku.

Takim wspnianiałym wydarzeniem i pod tak dobrymi auspicjami zaczęła się kariera tego kościoła i tego zamku. By zdać sobie sprawę z bogactwa, do jakiego doszedł przeor-kasztelan z Bagnary, wystarczy pomyśleć, że w epoce Hohenstaufów dochody sięgały czterdziestu tysięcy augustałów rocznie²⁴, sumy

Roger I (Gran Conte Ruggero), o którym zapewne mowa w tej części, nie był hrabią Kalabrii, lecz Sycylii [przyp. tłum.].

23 Fundacja, wyposażona w znaczny roczny dochód, pozostawała przez kolejne lata przedmiotem szczególnej uwagi papieży, a także specjalnej ochrony kolejnych władców świeckich. Papież Celestyn III bullą z 1192 roku ogłosił „duchownego gospodarza” kompleksu sakralnego – praełatem, przyznając mu *quasi*-biskupią jurysdykcję nad 33 kościołami i zezwalając na używanie specjalnych szat papieskich. Kolejny następca św. Piotra – Innocenty III – już na początku swego pontyfikatu, bullą z 1198 roku, nadał kapitule z Bagnary szereg dodatkowych uprawnień. Informacja podana przez Alberti, a dotycząca obszernego zestawu koncesji na rzecz fundacji, potwierdzonych podpisem wysokiego dostojnika kościelnego w Viterbo (1269) – obarczona została małym błędem. Chodzi tu zapewne o kardynała Goffredo da Alatri, bliskiego przyjaciela króla Sycylii Karola I Andegawerskiego. Duchowny należał do gorących popleczników władcy, zasiadających w ówczesnym kolegium kardynałów. Cieszył się także zaufaniem kolejnych papieży (jednego z nich – Honoriusza IV – koronował nawet na urząd w dniu 20 maja 1285 roku). Por. R. Fischer-Wollpert: *Leksykon papieży*. Przeł. B. Białecki. Wydawnictwo Znak, Kraków 1990, s. 99–100, 113–114.

24 Augustalis (augustał) – złota moneta średniowieczna wprowadzona do obiegu przez cesarza Fryderyka II Hohenstaufa. O „praktykach numizmatycznych” wskazanego władcy, określającą nawet precyzyjny kształt monety, treść stempla – a także różnego typu gesty symboliczne, nawiązujące do „wzorów mennictwa rzymskiego” – wspomina Ryszard Kiersnowski. Badacz znakomicie objaśnia fakturę obiektu, „odślaniającą” intencjonalne, imperatorskie imaginarium Fryderyka II, „prezentującego się w wieńcu laurowym, i w chlamidzie na swych złotych augustalisach, bitych na Sycylii (1231 r.), i na groszach bitych w Bergamo”. Por. R. Kiersnowski: *Moneta w kulturze wieków średnich*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 186. Ciekawe informacje na temat znaczenia augustała – także na stronach 85–86, 139 oraz 189 wskazanej edycji.

naprawdę bajecznej nie tylko dla tej epoki. Dowodem osiągniętej siły jest także zachowanie przeora Filipa, wiernego Fryderykowi II, który – w obronie swego przyjaciela – zbuntował się, z sukcesem, przeciwko autorytetowi papieża. Tak, że arcybiskup Messyny – Jan, wysłany przeciwko niemu w 1254 roku, mógł się tylko wycofać, nie zdziaławszy niczego, i zawiadomić papieża, że nie jest możliwe nie tylko usunięcie buntownika, lecz nawet samo zbliżenie się do jego imponującej siedziby.

Za normańskimi duchownymi podążyli augustianie, cystersi, dominikanie. Odłączono signorię i nad zamkiem przejęły kontrolę dynastie świeckie i feudałowie. Groźne gardła wyciągnęło dwanaście potężnych armat, nazywanych XII apostołami, które król Ferdynand II Aragoński uznał za najwłaściwsze do obrony granic królestwa i zamku swego feudała i które przetransportował do Gaety. Trzęsienie ziemi w 1783 roku, które obróciło w ruinę całe miasto, zniszczyło również świątynię, mającą w sobie wszystkie zalety tej normańskiej architektury, która potem miała rozkwitnąć na Sycylii, a w szczególności w słynnej katedrze w Milazzo, w licznych jej mozaikach i freskach. Fundament starego zamku przetrwał także napór sił natury. Jak przed wiekami, budowla dominuje nad dwiema przystaniami wspomagana przez ocalałą wieżę strażniczą, wznoszącą się romantycznie nad nieregularnym wybrzeżem, patrzy na starą wioskę nieśmiało gromadzącą się wokół, pod jej opieką. Być może czeka na nowy wspaniały okres swojego istnienia, choć tak odmienny od poprzednich.

Wśród wielu innych wieczornych cieni znika historia. Z oddali przypląta górą dźwięk harmonijki. Raz jeszcze przekonuję się, że to najbardziej międzynarodowy z instrumentów, będący w stanie połączyć tęsknoty i ludowego ducha każdego kraju. Może wyrażonych innym rytmem, może ujętych w bogatszych lub uboższych frazach, lecz zawsze tych samych dźwięków słuchałam w andaluzyjskie wieczory, w świetle bałkańskiego księżyca, na brzegach holenderskich kanałów, pod polskimi stogami owsa, nad brzegami Złotego Rogu. Żaden inny instrument nie oddaje lepiej uczuć ludu niż harmonijka.

Ta tutejsza, w Bagnarze, rozlega się szczerze każdego wieczoru, aż do późnej nocy.

Daleko na horyzoncie latarnia morska w Messynie odmierza noc swą precyzją świetlnego zegara. Migoczące u sycylijskiego wybrzeża lampiony łódek jakby zapowiadały jakąś baśniową krainę...

Mijają w ten sposób poranek, dzień, noc. Jeden dzień za drugim, aż wreszcie orientujesz się, że upłynęło wiele tygodni, może prawie całe lato, podczas gdy tobie wydawało się, że to tylko jeden krótki dzień.

Pejzaż przeniknął twoją duszę. Przy takiej doniosłości właściwą miarą czasu pozostaje tylko wieczność...

W porównaniu do niej – czymże jest tych twoich kilka tygodni?

TRZY WIDOKI Z GÓRY ŚW. ELIASZA

Panu Pośłowi Italo Greco²⁵

Wyruszamy, przedwieczorną porą, samochodem z Bagnary w stronę Góry św. Eliasza.

Niebo jest bezchmurne. Morze również. Dzień ubrał oboje w ten sam kolor akwamaryny. Barwa jest tak podobna, że można się pomylić i stwierdzić, że niebo to morze, a morze to niebo.

Pierwszą rzeczą, jaką napotyka wzrok, są góry, wypełnione jasną zielenią. Nie myśl, że chodzi o zwykłe drzewa, które zasadzone gęsto jedno obok drugiego nie dopuszczają innych kolorów; to tylko winorośle, które bez wytchnienia biegną na szczyt.

Przemierzyłam pieszo Riwierę Francuską i Riwierę Włoską; znam brzegi Zatoki Neapolitańskiej, Sycylii, Andaluzji, Dalmacji, Grecji. Lecz nigdzie nie widziałam tak wysokich gór pokrytych winoroślą. Ile haftów widziałeś w swoim życiu? Wyobrażałeś sobie, że można wyhaftować góry? A jednak można!

Konsekwentna i cierpliwa praca człowieka uczyniła tu cuda. Wydaje się, jak gdyby legendarna postać wygnana z raju z klątwą, by ziemia odpłacała mu się tylko „cierniami i trucizną”, tutaj dosłownie zdjęła tę klątwę i w pocie swojego czoła, pod tym gorącym niebem, zamiast cierni zbiera obfite kiście winogron. Wygnany z Edenu stworzył sobie własnymi rękami imitację raju.

Droga coraz stromiej pnie się do góry, podczas gdy morze się oddala. Prawie na samym szczycie znajduje się Pellegrina. Tutaj spodobała mi się jedna rzecz.

Starym zwyczajem, rozpowszechnionym w całej Kalabrii, ludzie noszą ciężary na głowach. Kształtuje to zmysł równowagi i elegancki, falujący chód. W Pellegrinie kobiety używają do czerpania wody dzbanów o pięknych kształtach. Mam wrażenie, że dzbany te przypominają okazy przechowywa-

25 Giovanni Italo Greco (ur. 12 maja 1896 roku, zm. 16 sierpnia 1977 roku) – włoski polityk, prawnik, dziennikarz. Członek Izby Deputowanych (wł. *Camera dei Deputati*), niższej izby parlamentu Republiki Włoskiej. Zasiadał tu już w pierwszej kadencji ustawodawczej. W wyborach 18 kwietnia 1948 roku kandydował z listy chrześcijańskich demokratów (w okręgu Catanzaro–Cosenza–Reggio Calabria). W parlamencie uczestniczył zwykle w pracach komisji obrony. Mandat parlamentarny złożył w czerwcu 1953 roku.

ne w muzeach. Oryginalne ucha są w idealnych proporcjach w stosunku do obwodu naczynia; a owo, trzymane na głowie, swoją linią przypomina najpiękniejsze ceramiki Wielkiej Grecji. Kiedy jest puste, kobiety opierają je na głowie bokiem, kiedy jest pełne – dnem. Przechodzimy dokładnie obok źródła. To scena naprawdę klasyczna. Z jednej strony czekają kobiety z pustymi dzbanami, z drugiej te, które już napełniły naczynia, umieszczają je na głowach i idą dalej. Mają wygląd służek Prozerpiny niosących ofiary na głowie, tak bardzo podziwianych na płytkach wotywnych, glinianych tabliczkach jońskich, odnalezionych w Locri²⁶. Minęło prawie dwadzieścia pięć wieków. Niezliczone ludy chodzące po tej ziemi spoczywają w grobach; lecz kobieta kalabryjska niesie nadal swój ciężar w ten sam antyczny sposób i zachowuje szczególną wytworność gestów, chodu, całej postawy – wyprostowanej za wszelką cenę.

Dochodzimy na szczyt, kiedy słońce spuściło na morze długą i szeroką zasłonę w tycjanowskich barwach. Draperia ta zajęła całą przestrzeń między słońcem a ziemią. Połączyła w ten sposób dwa ciała niebieskie odległe od siebie tylko o... 98 milionów kilometrów²⁷.

Zawsze uważałam, że bezbrzeżne krajobrazy mogą być namalowane, nie opisane, gdyż spojrzenie na obraz w jednej sekundzie obejmuje każdy element, każdą barwną plamę, wszystko razem. Natomiast kiedy czytasz zdanie, jeszcze nie wiesz, co pojawi się w następnym. Oglądasz zatem krajobraz kawałek po kawałku, prawie że rozbity na drobne fragmenty. Dziś jednak myślę inaczej: wielkie krajobrazy nie mogą być ani namalowane, ani opisane – trzeba je zobaczyć i ogarnąć pięcioma zmysłami. A może nawet to za mało. Trzeba je objąć umysłem i duszą.

26 Pinaks – (gr. πίναξ *pinax*, lm. gr. πίνακες *pinakes*) – gliniana, kamienna lub drewniana tabliczka wotywna wytwarzana w starożytnej Grecji. Przedstawiała zwykle scenę mitologiczną, religijną albo rodzajową. Największe ilościowo nagromadzenie pinakes – ujawniło znalezisko w świątyni Posejdona w Penteskufii (niedaleko Koryntu). Bardziej szczegółowe informacje o „tabliczkach z Locri” przynosi przypis 47, zamieszczony w podrozdziale *Na łąkach Prozerpiny* w niniejszej książce.

27 Podana przez pisarkę miara dystansowa wymaga korekty. Naukowcy zwykli średnią odległość Ziemi od Słońca określać mianem „jednostki astronomicznej” i oznaczać skrótem „au” (od angielskiego: *astronomical unit*). W obliczeniach szacunkowych przyjmowana jest zazwyczaj wartość przybliżona – 150 milionów kilometrów. Dokładna wartość jednostki to: 149 597 870 700 metrów. Obowiązująca definicja, wyliczenie oraz zalecenie dotyczące postaci oznaczenia – zostały przyjęte podczas posiedzenia Międzynarodowej Unii Astronomicznej w Pekinie (2012). Por. G. Brumfiel: *The astronomical unit gets fixed*. „Nature”, 14.09.2012, <https://doi.org/10.1038/nature.2012.11416>.

Życie spędzone na wędrówkach podarowało mi tysiące widoków. Ten, o którym mówię, może konkurować z najwspanialszymi. Pejzaże, tak jak ludzie, mają swój charakter. Są sentymentalne, heroiczne, romantyczne, groźne, diaboliczne, nostalgiczne...

Widok z Góry św. Eliasza ma charakter legendarny. Nie można uwierzyć w historyczną rzeczywistość tego piękna. Nasycą ono nasz gust artystyczny, porusza naszych pięć zmysłów, karmi naszą wrażliwość filozoficzną i naszą duszę.

Może zdziwisz się, gdy Ci powiem, że widok z Góry św. Eliasza nieopodał Palmi nie jest jednolity. Ma on bowiem trzy wymiary: fizyczny, filozoficzny, moralny.

Fizyczny – to, co każdy widzi. Wchodzimy w kierunku trzech krzyży. Na samej krawędzi, niemal u twoich stóp, czeka na ciebie tycjanowska zasłona i tą pierwszą plamą rozpoczyna malowanie swojego nadmorskiego obrazu. Śpieszy się, ponieważ ma jeszcze tylko, co najwyżej, pół godziny. Po lewej, w upalnej mgle, Cieśnina Mesyńska ustępuje pod naporem Morza Tyrreńskiego. Bardzo wyraźnie ukazuje się pelorytańska płaskorzeźba w niebieskim odcieniu Picassa. Jeszcze bardziej na lewo mitologiczna Etna, samotna jak każde stworzenie, którego serce rozpalone jest ponad wszelką miarę, płonie tajemnym świętym ogniem.

Blżej naszych oczu Scilla wpada do morza ze swoimi pionowymi tarasami. Po prawej brzeg opada aż do szerokiej plaży Gioia Tauro. Tu kończy się albo, jak wolisz, ma swój początek ogromna szmaragdowa muszla: jak inaczej nazwać to wyraźne zagłębienie pełne gajów oliwnych, winnic, ogrodów cytrynowych i figowych?

Starożytna rzeka Metauro²⁸ płynie wzdłuż tej muszli i z pewnością ukrywa jakiś promieniotwórczy sekret, gdyż to tu, w tych wodach, Orestes, ścigany przez Erynie po matkobójstwie, odnalazł remedium i uleczył się z szaleństwa.

28 To rzeka znana dzisiaj pod nazwą Petrace (Fiume Petrace). Wpada do Morza Tyrreńskiego w pobliżu Gioia Tauro. Długość cieku mierzonego w ramach stałego, głównego nurtu wynosi nieco ponad 40 kilometrów, a dorzecze ma powierzchnię 407 kilometrów kwadratowych. O geograficznych zmianach w kształcie koryta rzecznego i hydrograficznych uwarunkowaniach terenu możemy przeczytać w artykule: M.M. Borrello, G. Foti, P. Puntorieri: *Shoreline evolution near the mouth of the Petrace River (Reggio Calabria, Italy)*. „WIT Transactions on Ecology and the Environment” 2017, vol. 221, s. 59–67. Rzeczywiście, w starożytności rzeka nosiła nazwę Metauros (gr. Μεταυρος). Wedle mitycznych przekazów Orestes (po zabiciu Klitajmestry) ściąga na siebie gniew bogów, którzy wysyłają Erynie, by te ustawicznie prześladowały syna Agamemnona. Zdesperowany matkobójca zwraca się o pomoc do wyroczni delfickiej, która wyjawia mu, iż wyzwolenie z udręki może nastąpić jedynie poprzez oczyszczenie w wodach świętej rzeki. Nurt ten miał być zasilany przez siedem niezależnych dopływów. Zgodnie z lokalną kalabryjską tradycją rzeką tą okazał się wspomniany

Widać tu bogactwo ziemi, która uczciwie odpłaca człowiekowi za jego słony pot, za zmartwienia, za pracę. Z tyłu – Aspromonte. Można rozpoznać pierwszą, drugą drogę prowadzącą na wyżynę. W oddali, na ścianach szmaragdowej muszli – wioski. Pierwsza, druga, trzecia. W dole u naszych stóp – Palmi.

Od Gioia Tauro wybrzeże kalabryjskie kieruje się znów ku górze jak gigant, który po chwilowym upadku dumnie wraca na swą drogę. Widzimy tu wszystkie imponujące żebra tego giganta: aż do Capo Vaticano, gdzie olbrzym majacący na horyzoncie znów wpada do morza.

Właśnie. Oto fizyczny krajobraz, którym każdy może się cieszyć.

Oczy mogą zobaczyć jego kształt i kolor. Uszy mogą słuchać głosu jego fal; węch może radować się jego zapachem; podniebienie może rozkoszować się jego owocami; jeśli sprawi ci to przyjemność, możesz stąd rzucić się do morza i doświadczyć twardości tej skały.

Lecz oprócz tego jest „krajobraz filozoficzny”. Nie zauważysz go od razu. Musisz usiąść na chwilę i pomyśleć.

Zaczynam go dostrzegać, kiedy różowy snop światła wyostrza się i, tam gdzie podtrzymuje słońce, żeby jeszcze nie wpadło do morza, Wyspy Eolskie zrzucają swój różowy welon. Jako pierwsza ukazuje się Lipari i zaraz potem, jak na magiczne zaklęcie, horyzont zaczyna wypełniać się mitologicznymi postaciami: Vulcano, Stromboli, Filicudi, Panarea²⁹... Starożytność uznawała siódmkę

Metauros. Po zdjęciu klątwy Orestes założył świątynię Apollina w miejscu ablucji, sadząc drzewo laurowe, na którym powiesił miecz – dowód zabójstwa matki. Miejskowa legenda głosi, że broń Orestesa pozostawała tu aż do czasów wojen punickich, według innych, ustnych przekazów – nawet do średniowiecza. Istnieje także alternatywna wersja „italskich przygód” wspomnianego bohatera. Wedle Jana Parandowskiego, kiedy „Orestes uciekł z Taurydy, uwożąc siostrę i cudowny posąg Artemis, zawędrował do Italii, osiadł w Arycji i tu zaszczerpił kult bogini taurydzkiej. [...] Świątynię Diany w Arycji [...] obsługiwali kapłani, którzy jednocześnie trudnili się sztuką lekarską i utrzymywali szpital. Woda z tamtejszych źródeł była zdrowa, dobra i posiadała lecznicze właściwości. Ludzie, którzy za sprawą bogini odzyskiwali zdrowie składali w świątyni eks-wota z gliny palonej lub jakiegoś metalu. [...] Uroczyste święto Diany przypadało na dzień 13 sierpnia. W tym dniu Rzymianki, uwieńczone kwiatami, odbywały pielgrzymkę do Arycji, aby podziękować bogini za doznane łaski i prosić o nowe”. Por. J. Parandowski: *Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990, s. 223–224.

29 Wyspy Liparyjskie – zgrupowanie siedemnastu wysp pochodzenia wulkanicznego, umiejscowionych na wodach Morza Tyrreńskiego, na północ od brzegów Sycylii. Wszystkie wchodzą w obręb państwa włoskiego. Norbert Szczepara zauważa, iż ziemia ta „bierze swoją nazwę od największej z wysp – Lipari. W wielu innych językach archipelag ten znajdziemy pod nazwą Wyspy Eolskie (Aeolian Islands, Isole Eolie), która pochodzi od Eola, greckiego boga wiatrów. Odizolowanie od Sycylii i Półwyspu Apenińskiego, ciepły morski klimat, bogactwa naturalne oraz dreszcze emocji związane z sąsiedztwem magmowego żywiołu przyciągały i nadal przyciągają tu wielu turystów. Wyspy Liparyjskie od tysięcy są miejscem zamieszkania ludzi o różnym etnicznym

za szczęśliwą cyfrę. Zobaczymy teraz tych siedem wysp, te gigantyczne masy, które spadły do morza w epoce walki z Jowiszem.

Znajdujemy się między dwoma wulkanami. Jeden można nazwać morskim, drugi ziemskim. Znają one sekret wewnętrznego ognia. Może nam go wyjaśnić, może nauczą nas, jak należy wiecznie płonąć, żeby zdołać coś stworzyć. Jeśli bowiem nie masz w sobie świętego ognia, cóż zdoła stworzyć twoje zimne wnętrze? Szmaragdowa muszelka powie ci, że praca – ta, którą kochasz, kreatywna, spontaniczna, nie ta będąca przekleństwem człowieka – da ci nie tylko dobrobyt materialny, lecz także momenty szczęścia, jak każda twórczość, która rozwija się i przynosi owoce. Ten krajobraz dowodzi, jak wiele piękna stara się stworzyć natura. Wskazuje człowiekowi plan, na którym mógłby zbudować swoje wnętrze, harmonię, jaką mógłby się cieszyć, wysokość, na jaką mógłby się wspiąć, różnorodność, jaką mógłby stworzyć.

Słońce zachodzi i tycjanowskie odcienie zmieniają się w kolor truskawki, ale z domieszką cennego antycznego „ducato”, tego, który w dzieciństwie wielokrotnie pokazywała ci matka, w portfeliku podszytym welurem w kolorze szafiru. I tak, teraz dostrzegasz trzeci krajobraz: „moralny”.

Różne są opatrunki, pod którymi goją się ludzkie rany. Grecy wierzyli, że tylko czas może uzdrowić, „Cronos esti antropois lipois hiatros” („Czas jest lekarzem ludzkich smutków”³⁰). Lecz dla niektórych identycznym opatrunkiem będzie religia, dla innych – filozofia, dla jeszcze innych – sztuka. A czasem nawet krajobraz leczy.

Tutaj natura wytworzyła dziwny opatrunek. Utknęła go z zieleni gór, ze srebra skał, z antycznego złota słońca, z dźwięku fal, z zapachu powietrza i sosen...

pochodzeniu. Obecnie, w dobie rozwoju ruchu turystycznego, przybywają tu głównie rzesze ludzi spragnionych malowniczych widoków i rozgrzanych słońcem plaż. Spora część turystów pragnie również skorzystać z atrakcji związanych z wulkaniczną aktywnością”. Por. N. Szczepara: *Wulkany Wysp Liparyjskich*. „Kosmos” 2011, nr 3–4, s. 293. Archipelag gromadzi siedem większych wysp o łącznej powierzchni 117 kilometrów kwadratowych oraz dziesięć innych – mniejszych i niezamieszkałych. Wedle świadectwa cytowanego geologa do kompleksu liparyjskiego zaliczyć możemy także: „dziewięć gór podmorskich, czyli wulkanów, których szczyty nie sięgają ponad poziom morza. Morfologia wysp zdominowana jest przez stratowulkany, wygasłe – Salina, Alicudi, Filicudi, Lipari, Panarea, drzemiące – Vulcano oraz aktywne – Stromboli” (ibidem, s. 294). W 2000 roku cały układ wysp został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Mitologiczną wersję losów Eola-Ajola (syna Hippotesa), władcy zasobnej w bogactwa Eolii referuje Pierre Grimal. Por. Idem: *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*. Red. naukowa J. Łanowski. Hasła przełożyły M. Bronarska, B. Górka [et al.]. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1987, s. 85.

30 Gwoli ścisłości – trzeba podać inną, poprawną lekcję (transkrypcję) greckiego zdania, użytego przez Alberti. Powinno ono przybrać postać: „Chronos esti antropois lipois iatros”.

Oczywiście nasze pokolenie jest ścigane przez Erynie Orestesa. Któż z nas bowiem nie zabił, w jakiś sposób? Ty i ja, my i oni, wszyscy ponosimy odpowiedzialność za ostatnią zbrodnię, którą historia udekoruje może wieńcem wątpliwej chwały. Nasze pokolenie szukało i wciąż szuka najdziwniejszych opatrunków, lecz może Erynie nie ścigają nas jeszcze, zawsze?

Dziś czuję tu spokój, ciszę! Wydaje mi się, że jakaś biała dłoń z miłością opatruje mi zranione serce i jakieś skrzydło przebaczenia, którego wszyscy tak bardzo potrzebujemy, rozpościera się ponad moją głowę.

Oto ten wzniosły krajobraz, ten trzeci – moralny – który uspokaja twój zmęczony oddech i wyrównuje twój nerwowy puls. Jeśli ten opatrunek cię nie uleczy, to cóż innego na świecie by mogło?

Wędrując przez Apulię, szukałam tajemnic tamtej ziemi. Tu w Kalabrii szukam jej duszy. Jednej duszy we wszystkim: w filozofii i w historii, w cieniach wielkich ludzi, którzy tędy przechodzili, i w krajobrazie, w piosenkach i w ludzkiej pracy, a wreszcie w zwyczajach, w owocach, w zwierzętach... Oddechu tej duszy słuchałam na Górze św. Eliasza.

NA GÓRZE AULINAS, WIZYTÓWCE DEMONA

Oczywiście nie istnieje we Włoszech miejsce, którego panorama nie porbrzmiewałaby echem jakiejś starożytnej legendy.

To dziwne!

Jakże często historia i rzeczywistość gubiły wątek, nie mogąc już go odnaleźć, podczas gdy pień mitów i legend zawsze wydawał nowe pędy i nie zgubił najmniejszego zielonego listeczka. Można powiedzieć jeszcze więcej; że niektóre liście historii z upływem lat wyblakły i pokryły się niebezpiecznym mchem apokryfu, podczas gdy mityczne tradycje ustne stały się bardziej subtelne, przechodząc przez coraz czystszy filtr poezji. Apokryf poczynił szkody historii; filtr poezji przyniósł zdrowie legendzie.

Zobaczmy teraz, jak ścisły jest stopień pokrewieństwa między słowem św. Eliasza i antycznym „Aulinasem”³¹.

31 Być może Alberti zbyt hiperbolicznie zestawia oba porządki (chrześcijański oraz antyczny). Faktycznie chyba nie ma tu przeciwstawienia („pokrewieństwa wielkości”), a zachodzi związek ścisły, wynikowy – w ramach jednego tylko członu rzekomej opozycji. Wszak dawne Aulinas (także wymiennie: Salinas) pochodzi wprost od zespołu eremów założonych przez Eliasza z Enna na zboczu góry (lub w jej pobliżu), którym od samego początku nadano nazwę: „le Saline”.

Święty Eliasz żył w epoce, w której mnisi prowadzili aktywne życie, przemierzając ziemie i kraje, niosąc dobre słowo i dobrą radę. Święty Eliasz przez całe życie przemieszczał się, wędrując albo korzystając – jak dziś byśmy powiedzieli – z prowizorycznych środków komunikacji.

Giovanni Rachete wywodził się z Enny, a jego życie zasługuje na pióro Cervantesa. Dwukrotny więzień mahometan. Kuszenie przypominające podstępny żony Putyfara³² w egzotycznym kraju. Ulice dalekiego świata. Syria i Palestyna. Jerozolima i habit bazylianina. Imię Eliasz. Potem Persja. Powrót na Sycylię. Palermo, Reggio, Taormina. Wszędzie głosi kazania do tłumów. Daniele, jego ulubiony uczeń. Oblężenie Taorminy przez muzułmanów. Ucieczka na Peloponez. Potem tragiczne zdarzenia w Epirze. Podejrzenie o szpiegostwo, areszt, więzienie. I, po raz trzeci, wolność. Korfu. Kalabria. Założenie pierwszego zakonu w Saline niedaleko Reggio. Pielgrzymka do Rzymu do grobu apostołów. Audyencja u papieża Stefana VI. Powrót do Saline. Ponowna ucieczka przed muzułmanami. Patras. Powrót do Kalabrii. Huragan wojny. Jeszcze raz ucieczka do Amalfi. W końcu cudowna Góra Aulinas. I założenie zakonu.

Na koniec: zaproszenie do Konstantynopola od cesarza Leona VI – filozofa, chcącego rozmawiać z nadzwyczajnym człowiekiem, o którego życiu i cudach krążą już legendy. Pożegnanie ze współbraćmi. Jako że – zgodnie z widzeniem, jakie miał – zanim spotka się z władcą ziemskim, czeka go spotkanie z Władcą Niebieskim. Śmierć w Tesalonikach, w podróży, w 903 roku.

32 Oczywiście nawiązanie do historii biblijnej (Rdz, rozdziały 37–41), w której egipski urzędnik (Putyfar) kupuje od Madianitów żydowskiego niewolnika Józefa (sprzedanego wcześniej przez zawistnych braci). Gdy sługa faraona poznaje przymioty młodzieńca, mianuje go zarządcą swojego domu i majątku. Żona Putyfara próbuje pod nieobecność męża uwieść gościa, a gdy ten odrzuca jej zaloty, oskarża go o napaść i gwałt. Wzburzony małżonek nakazuje wtrącić Józefa do więzienia. Tu skazaniec trafnie odczytuje znaczenie snów dwóch swoich współtowarzyszy. Za poradą jednego z nich strażę kierują Józefa na dwór faraona, aby tam zinterpretował sen o siedmiu krowach chudych, które zjadły siedem krów tłustych, oraz o siedmiu kłosach pustych, które pochłonęły dorodne i piękne. Objasnienie wizji sennej czyni go rządcą Egiptu i zapewnia wolność. Opowieść starotestamentalna realizuje schematy fabularne znane z innych tradycji i kultur (por. np. historie Bellerofonta i Steneboi, Hipolita i Fedry, Peleusa i Astydami), zyskuje także wiele artystycznych kontynuacji i przetworzeń (por. np. obrazy P. Liberiego, G. Burriniego, J. Victorsa, J. Tintoretto, G. Reniego, A. Gentileschi, B. Murillo, Rembrandta). O malarskich inspiracjach tematem biblijnym wspomina Izabela Bogumił w początkowej części swego szkicu. Zob. Eadem: „*Meus, velis, nolis, meus es*”. Kuszenie starotestamentowego Józefa w szesnastowiecznych dramatach łacińskich. „Roczniki Humanistyczne” 2023, nr 3, s. 7–8. Z kolei „mit o miłości Fedry do Hipolita” i jego „strukturalne odpowiedniki w szeroko rozumianym kręgu śródziemnomorskim” omawia – przywołując także historię Józefa i Zulejki – Mateusz Stróżyński. Por. Idem: *Hipolit jako Edyp: reinterpretacja mitu w powieści Antoniego Libery „Madame”*. „Przestrzenie Teorii” 2018, T. 30, s. 80–88.



...na tarasie zamku Emmarita,
wznoszącego się na zabytkowych murach średniowiecznej fortecy



W dole u naszych stóp – Palmi

Czyż da się w telegraficznym skrócie ująć takie życie?!

Uczniowie odbierają ciało z Tesalonik. Dopływają do Rossano i to tam, z ogromnym orszakiem pogrzebowym cały lud Kalabрії żegna go na kolanach, odprowadza aż do Góry św. Eliasza, gdzie zostaje pochowany³³.

Nad Morzem Tyrreńskim spotkały się dwa wysokie majestaty: człowiek – święty Eliaz, i szczyt górski – Góra Aulinas. Jeden z najsłynniejszych zakonów bazylikańskich znajdował się tutaj aż do 1783 roku – roku trzęsienia ziemi, które zniszczyło niemal całą Kalabrię. W tym miejscu, tak wypełnionym poezją i wspomnieniami, w 1804 roku zostało wzniesione znane do dziś małe i skromne sanktuarium.

Po wielkiej glorii pozostała legenda.

Siadamy na skale. Przed nami, na innym kamieniu, widać ślady legendarnej historii. Tutaj ponoć demon ukazał się św. Eliaszowi.

Kim był ów demon? Może chwilą słabości, chwilą zwątpienia, którą w historii swojego życia miał każdy filozof, każdy posłaniec Boga, każdy twórca wielkiej idei. Nadchodzi ten moment, kiedy najgenialniejsza myśl chwieje się, najwspólniejszy projekt się rozpada: już nie ma wiary w nic – ani w niebo, ani w ziemię, ani w moralność, ani w postęp. Barometr wiary wskazuje niżej, nadchodzi burza!

Kim był ów demon? Uosobieniem anarchii, wrogiem harmonii, zrodzonym z dualizmu ludzkiego charakteru i pod różnymi imionami znanym we wszystkich religiach i wszystkich kodeksach świata. Zaadaptowała go także religia chrześcijańska i nakazała walkę z nim, „świętą wojnę”, tworząc Patrona tej konkwisty: św. Michała Archanioła.

Czy można policzyć, ilu świętych było kuszonych przez demona, który obiecywał im królestwo na ziemi? Ukazał się także św. Eliaszowi, na tej górze. Myślę, że był złym psychologiem i wybrał nieodpowiednie miejsce, gdyż harmonia przyrody wzmacnia tu każdego, kto w tym miejscu obmywany przez fale piękna zaczyna brzydzić się wewnętrznymi okropieństwami i ma siłę, by z nimi walczyć.

33 Alberti dość dobrze i skrupulatnie (mimo zastosowanej, „telegraficznej” formy podawczej) rekonstruuje burzliwe koleje życia św. Eliasza Sycylijskiego (zwanego także Eliaszem Młodszym lub Eliaszem z Enny). Słuszny wydaje się także Cervantesowski trop sugerujący, iż biografia zakonnika to bardziej materiał na klasyczną pikareskę niż przykład nobliwego „żywota świętego”. Por. także: *Święci na każdy dzień*. Oprac. T. Gorłowski. Wydawnictwo Jedność, Kielce 2011, s. 593. O świętych mnichach i ich działalności apostołskiej na terenie Italii Bizantyjskiej pisze ciekawie Hanna Vorozhka. Zwraca przy tym uwagę, jak monasterie wschodniego obrządku (i reprezentujący je zakonnicy) stawały się ośrodkami szerzenia w Italii południowej (w wiekach IX–XII) greckiego kultu, tradycji i języka – wspomagając proces hellenizacji całego obszaru. Zob. H. Vorozhka: *Misja historyczna monastycyzmu greckiego na obszarze Italii Bizantyjskiej*. „Rocznik Teologiczny” 2016, nr 3, s. 326–335.

Ślady tej walki widoczne są jeszcze na skale. Dwa czarne, głębokie odciski stóp i ślad długiego... ogona. Jesteśmy świadkami, jak niewiele zmieniła się poezja chrześcijańska względem starożytnych miar; przyjęła prawie te same monstralne formy, by uosobić niszczycielskie i burzycielskie siły natury czy ludzkiego charakteru.

Widzimy, jak demon uporczywie wczepił się w skały; jak wiele ciężkich masywów oderwał z tej góry, zanim wpadł do morza.

Ale ja nie wierzę, by zatonął. Demon nigdy nie tonie! Zanurzony w wodzie, płynie w kierunku innego miejsca lub innego czasu. I tak, po wiekach, walczył tu będzie ponownie o „ziemskie królestwo”. Jedni ufortyfikowali się tu, by drudzy – na swych czarnych skrzydłach – przyfrunęli i mogli zrzucić bomby. Demon zawsze zostawia ślady...

Na Górze św. Eliasza, w niewielkim lesie pulsującym zapachem sosen, wśród których wiatr rozbrzmiewa niczym cytra, mieściła się piękna i nowoczesna „kolonia” dla dzieci. Przybywały tu z ubogich dzielnic robotniczych, podnosiły głowy, poiły oczy pięknem tego wspaniałego kalabryjskiego krajobrazu, rozwijały się, śpiewały...

Dzisiaj – gruzy! Wchodzę za ciągnące się długo ogrodzenie. Ściany bez dachów, podłogi z zielonych roślin. Czuję gorzki smak w ustach. Tutaj były sypialnie. Tutaj spały dzieci. Oddychały równo przy otwartych oknach.

Oto ślad demona, bardziej niebezpieczny od odcisku ogona, tam na kamieniu. Od wojny minęły cztery lata, a każda ruina budzi we mnie niepokój i żal. Lecz ten niszczycielski ślad ma w sobie coś jeszcze. Człowiek nie uszanował nawet takiego piękna. Jeden ufortyfikował się tu, korzystając ze sprzyjającej pozycji, drugi zniszczył go bombami. Krajobraz między gruzami kolonii i ruinami hotelu, który mieścił się tutaj i zapewniał wypoczynek ludziom po pracy, budzi we mnie nie tylko żal jak na wspomnienie każdej ruiny, lecz także fałę zwątpienia w sens europejskiej kultury. I nie chcę powiedzieć: w moralność człowieka, gdyż to byłoby zbyt odważne, lecz zwątpienie w jego zdrowy rozsądek.

Objawił się nam demon, jak św. Eliaszowi. Z cynicznym uśmiechem, demon dotyka rany, która może nigdy się nie zabił. Będziemy mieli dość siły, tak jak św. Eliasz, by go przegonić?

Słońce już zaszło. Zgasły odcienie pożaru na ruinach. Zaczynają padać cienie szarego popiołu na ten beczelny ślad zostawiony przez demona na Górze Aulinas:

„Ja tędy przeszedłem!”

Stojąc na szczycie, jeszcze raz chcemy uwierzyć w harmonię, w twórcze życie, w oddech pokoju. Lecz nie chcemy już więcej zostać oszukani!

LINIE PROSTE W PALMI

*Dla Nicoli De Rosa*³⁴

Idziemy pieszo, z Góry św. Eliasza do Palmi. Pełna energii, wysoka, falująca na szczycie linia kręgosłupa Aspromonte dziś wydaje się bardzo odległa. Opary upału odsunęły ją na najdalszą część horyzontu.

Kiedy na impresjonistycznych obrazach widzimy zbiór kłosów zboża – ciemnoróżowego albo wręcz czerwonego, uśmiechamy się sceptycznie. A jednak istnieją takie kolory. Zboże zbierane w północnej lub centralnej Europie ma żółto-żłocisty ton. Tu, na południu, złoto przebarwia się w intensywny migdał, z odcieniami czerwonego. Między kasztanami, figowcami i drzewami oliwnymi Kalabryjczycy wykorzystali każdy skrawek ziemi, o najróżniejszych geometrycznych kształtach, by uprawiać zboże, skąpo rosnące na tej ziemi.

Słyszymy szelest tej pracy, zbiórkę zboża i wiązanie snopów. Lipiec, miesiąc greckiej Demeter, przechodzi nad Kalabrią.

Schodzimy wciąż i za którymś zakrętem ukazuje się nam – tam w dole – morze, piasek gładko czesanej plaży, kute wybrzeże Palmi i równina Gioia Tauro.

Od razu widzimy gaj oliwny – masowa uprawa – który zaczyna się w Palmi i ciągnie się kilometrami w stronę Seminary i Cittanova.

Już w Apulii zrobiły na mnie wrażenie drzewa oliwne, lecz tam formują one ogrody; tu natomiast stanowią wielki las. Apulijskie drzewa oliwkowe są bardziej smukłe, elastyczne, niskie i wiotkie. Tutaj – wysokie nawet na 18 metrów, o średnicy 1,5 metra, z rozłożystą koroną, kryją w sobie starożytną majestatyczność. Drzewa oliwkowe w Apulii przypominają bystrych i nerwowych nastolatków. Taki sam kształt, mniej więcej, mają drzewa oliwkowe na Riwierze Włoskiej i Riwierze Francuskiej. Lecz te tutejsze przypominają kształtem dojrzałą kobietę, pełną powabu. A każde z nich jest w stanie zapewnić nawet 140 litrów oliwy.

Również w smaku oliwa apulijska jest delikatniejsza; tutejsza jest bardziej cierpka.

34 Nicola De Rosa (1902–1985), włoski regionalista i działacz społeczny. Przedstawiciel niezwykle aktywnej formacji ludzi urodzonych w kalabryjskim Palmi, do których zaliczyć można osobowości twórcze tej miary, co Francesco Cileà, Leonida Rèpaci, Antonino Basile czy Luigi Lacquanti. Od wczesnych lat 50. XX wieku De Rosa współpracuje z miejscowymi etnografami, historykami, geografami, co doprowadza finalnie do utworzenia Kalabryjskiego Towarzystwa Etnograficznego, a także Muzeum Folklorystycznego. Współtworzy w tym czasie ważne czasopismo, profilowane w stronę studiów kulturowych: „Folklore della Calabria” – periodyk zorientowany na badanie lokalnych tradycji i zwyczajów.

Schodzimy do Palmi. Czerwone dachy domów wesoło kontrastują z błękitem nieba. Palmi jest bardzo przestronne. Zaprojektowane z rozmachem po ostatnim trzęsieniu ziemi w 1908 roku, które zniszczyło całe miasto. Zapewnia ciągle jeszcze dużo przestrzeni, by się rozrastać, i jest położone na wzniesieniu, połączone z dworcem i z morzem znakomitą asfaltową drogą, z której rozciągają się widoki, jeden piękniejszy od drugiego.

Już na początku wyznaczamy linię prostą, która zaczyna się przy antycznej kolumnie z korynckim kapitelem, umieszczonej na wysokim cokole, tak jakby Palmi chciało zaznaczyć, że wywodzi się z grecko-rzymskiej Tauriany, która przez pewien czas miała swój złoty okres na tym wybrzeżu³⁵. Linia prosta, od kolumny, prowadzi do pomnika, który przypomina o ofiarach wojny z lat 1914–1918.

Cała Europa, po pierwszej wojnie światowej, wznosiła pomniki; po długim okresie pokoju pamiętać o zbrodni była wówczas bardzo żywym zjawiskiem. Dziś wojna stała się nazbyt zwyczajna. Nikt już nie myśli o pomnikach.

Ten tutaj w Palmi, zaprojektowany i wykonany przez Guerrisiego, w swym ideologicznym zamyśle obiecywał: „Dosyć!”. Ma dwie strony, jedna zwrócona w kierunku ratusza, druga – w kierunku nowoczesnej szkoły, niestety bardzo zaniedbanej. Od frontu rzeźbiarz umieścił alegorię trzech pokoleń: matkę, żonę i syna poległego żołnierza. Opuszczona głowa i ręce starszej kobiety są bardzo ekspresywne. Dla niej życie się już skończyło. Rozpacz żony jest mniej spetryfikowana, bardziej dynamiczna; ma w sobie już jakiś załazek odrodzenia – podobny do tych fluidów emanujących z dziecka, z nowego pokolenia, które spodziewa się lepszego losu.

Drugą fasadę zajmują dwaj mężczyźni. Jeden symbolizuje „pożegnanie z bronią”, drugi rozpoczyna już pracę na rzecz pokoju; zaczyna siać zboże, obiecując dziecku po drugiej stronie pomnika pokój.

35 Tauriana lub Taureana (łaciński odpowiednik nazwy: Taurianum) była ważnym, starożytnym centrum miejskim położonym na terenie dzisiejszego Palmi. Sporządzając rejestr obiektów geograficznych położonych w Brutium (rozdział *Italia*), nazwę miasta, które wspomina Alberti, wymienia Tytus Pompejusz Mela, rzymski geograf, w swym dziele napisanym w 43 lub 44 roku n.e. Tytuł traktatu: *De situ orbis libri tres* (*O położeniu krajów świata ksiąg trzy*). Studium znane było również jako *De chorographia*. Por. polskie edycje dzieła: *De Situ Orbis*. Przeł. M. Golias. W: *Geografia antyczna*. Zestawił M.S. Bodnarski. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1957, s. 221 oraz *Pomponiusza Mela Chorographia czyli Opis kręgu Ziemi*. Przeł. M. Golias, komentarz S. Szarypkin, K.T. Witczak, wstęp i posłowie S. Szarypkin, indeks imion własnych i nazw geograficznych S. Sołtysiak, S. Szarypkin. Naukowe Wydawnictwo Piotrkowskie, Piotrków Trybunalski 2011.

Pośrodku – symetrycznie umieszczone kolumny tworzą jakby dwa symboliczne „bieguny”: wojnę i pokój³⁶.

To z pewnością szlachetna koncepcja ideologiczna, która aż do 1939 roku dawała jakąś nadzieję. Lecz kiedy patrzymy na ten pomnik dziś, przywodzi on wiele niespokojnych myśli. Jeśli babcia nie umarła, ujrzała swego dwudziestoletniego wnuka znów w mundurze, należącym niegdyś do jej syna. A żona poległego zobaczyła syna, który zostawiał ją, idąc tym samym ciężkim krokiem, wzywany przez śmierć, tak jak przedtem jej mąż!...

Siewca natomiast przygotował grunt pod nową wojnę, nie pokój! Wszyscy rzucaliśmy ziarna na ugor. A jeśli dziś mówimy, że to nie zależało od nas, mylimy się. Próbujemy wybaczyć sami sobie. Pomniki tak spontanicznie wznoszone nie zapobiegły katastrofie. Czy można się dziwić, że dzisiaj nie chcemy już budować nowych monumentów?

Od pomnika prowadzi jeszcze inna linia prosta, aż do wiekowej palmy na dziedzińcu ratusza. Ta jako jedyna nigdy nie oszukuje. Wypuszcza zawsze nowe liście, ma imponującą wysokość, przetrwała trzęsienia ziemi, które obróciły w gruz budynki, kościoły, całe miasto. Chwyciwszy się mocno swymi korzeniami gruntu, nie zachwiała się.

To pierwsza linia prosta, jaką szkicujemy w Palmi: od grecko-rzymskiej kolumny przez nowoczesny pomnik ku czci poległych w wojnie do palmy – żywego herbu miasta.

36 Michele Guerrisi (ur. 23 lutego 1893, zm. 29 kwietnia 1963) – włoski rzeźbiarz, malarz i pisarz. Jako młody chłopiec – wraz z rodzicami – przeprowadził się do Palmi, gdzie skończył gimnazjum i jednocześnie pobierał lekcje w pracowni malarza Domenica Augimeriego. Następnie uczęszczał do szkoły średniej Galileo Galilei we Florencji. Podczas pobytu w Neapolu poznał Vincenza Gemito, który zachęcił go do studiów nad kompozycją rzeźbiarską. W roku 1916 ukończył studia humanistyczne na Uniwersytecie w Neapolu i – równolegle – uzyskał dyplom z rzeźby w rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pozostawał wtedy pod silnym wpływem filozofii Benedetto Crocego. Przez wiele lat wykładał historię sztuki w turyńskiej Albertinie. Laureat wielu nagród w cyklicznie organizowanych konkursach artystycznych (Wenecja, Rzym). Znany przede wszystkim ze swych pomników, obelisków i rzeźb posadowionych w centrach włoskich miast (Neapol, Sidero, Catanzaro, Reggio Calabria, Cittanova). Alberti obserwuje, a później interpretuje, monument Guerrisiego (*Monumento ai Caduti*) odsłonięty w Palmi 3 czerwca 1932 roku, w obecności książąt Piemontu (Umberta Sabaudzkiego i jego żony Marii). Imponująca rzeźba znajduje się na dużym placu miejskim (im. Matteottiego, przed ratuszem) i wznosi się ku niebu jako symbol bohaterstwa ludzi, poległych na frontach Wielkiej Wojny. Składa się u podstawy z bloków granitowych rozmieszczonych na planie krzyża greckiego, na których stoją dwie scharakteryzowane przez Alberti grupy figur z brązu. Dwie wysokie kolumny (o których wspomina pisarka) wykonano z białego marmuru z Carrary. U podstawy obu kolumn wyryte zostały nazwiska 203 mieszkańców Palmi, którzy zginęli w walkach za ojczyznę – w latach 1915–1918.

Kolejna linia prowadzi do najpiękniejszego monumentu, jakim dysponuje Palmi. Nie jest nim ani słynna katedra, ani zamek, ani muzeum. Tym punktem jest miejsce widokowe w parku.

Opiaramy się o balustradę. Nagle przenosimy się na najwyższy pokład ogromnego statku. Dziób, o idealnym kształcie, cały pokryty zielenią drzew pomarańczowych, figowych, oliwnych, kasztanowców, być może za kilka chwil odpłynie w kierunku świata snów. Jednak natura dobrze przycumowała ten statek. Nie kiwa się on, ani nie kołysze.

Z tarasu można objąć wzrokiem częściowo ten sam widok co z wielkiego okna na Górze św. Eliasza, z tą różnicą, że tu wyraźniej objawia się całe wybrzeże Palmi, rzeźba małych skalistych przylądków, niewielkie zatoki wchodzące głęboko w ląd. Na Górze św. Eliasza było za wysoko, żeby zobaczyć całą riwierę tak dokładnie wyrysowaną. Tu natomiast możemy odczytać każdą literę tej czytelnej kaligrafii.

Z góry próbujemy dostrzec i rozpoznać charakterystyczne punkty wybrzeża, które oglądaliśmy z dołu, z morza, na pokładzie wygodnej łódki: XVI-wieczną wieżę Pietre Nere – bliźniaczkę tej, która znajduje się na końcu plaży w Bagnarre – Marinellę, obiekt czekający na swego malarza marynistę, urwisko La Motta, ze swą dziwną nazwą i swymi 130 metrami stromizny, aż do Porto Ravaglioso, domniemanego – wymienianego w legendach – starożytnego Porto Oreste³⁷,

37 Czasem pasja poszukiwawcza bloggerów-zapaleńców, tropiących lokalne zagadki, potrafi zaskakująco odsłonić niejedną tajemnicę. Odsyłamy w tym miejscu do niezwykle ciekawego eseju *Rovaglioso czy Porto Oreste?*: „Porto Oreste (łacińska nazwa: Portus Orestis) to miasto, które podobno istniało w południowej Kalabrii, a miejscowa legenda przypisuje jego założenie Orestesowi. Historycy dopuszczają hipotetyczną lokalizację miejscowości na terenie gminy Palmi. Przekaz głosi, że Orestes założył miasto i port na obszarze zwanym obecnie Rovaglioso, kiedy wylądował na tutejszym wybrzeżu. Rzeczywiście, w XVI wieku mnich Tommaso Aceti w swojej książce *De antiquitatae et situ Calabriae* donosi, że »niedaleko rzeki Metauro znajduje się Porto Oreste, który mieszkańcy tego obszaru nazywają Roccaglioso« (Rovaglioso). Miejsce to było uczęszczane i dobrze znane już od pierwszych wieków ery chrześcijańskiej, choć nie ma tu żadnych ruin ani wyraźnych śladów czegoś, co mogłoby świadczyć o istnieniu miasta w czasach starożytnych. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa istniało tu, co prawda, kilka miasteczek i niewielkich osad, które być może przejściowo między V a VI wiekiem cieszyły się rezydencją biskupią. Niektórzy historycy twierdzą nawet, że miasto Porto Oreste mogło być bardzo starą siedzibą biskupią, a jego biskup (Longinus) uczestniczył w soborze roku 504. Niektórzy historycy spekulują, że Porto Oreste może odpowiadać portowi starożytnego miasta Tauriana. Jeśli tak: obiekt prawdopodobnie znajdował się dalej na północ od Rovaglioso, w obszarze »La Scala«, pomiędzy Pietrenere i Scinà. Wielu jest skłonnych przyjąć takie założenie – zwłaszcza, że mapy lotnicze z lat pięćdziesiątych XX wieku pokazują naturalny »piaszczysty język«, który mógł osłonić kadłuby statków wchodzących do portu przed wiatrami wiejącymi z południa i zachodu. W czasach rzymskich to naturalne miejsce do »lądowania okrętów« mogło zostać przekształcone (poprzez odpowiednie prace murarskie)

otoczonego urwistymi grzbietami skał. I jeszcze bardziej ku górze – charakterystyczny zakątek „skały ptaków” i morskich grot w jej okolicach.

Aż do tego momentu nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda wierzchołek Góry św. Eliasza, gdyż zawsze byliśmy na górze, nigdy u jej stóp. Dzisiaj spotkaliśmy się z nim twarzą w twarz, w całym jego majestacie.

Wielu autorów pisało o „dzikiej Górze św. Eliasza”, lecz ja nie potrafię dostrzec tej „dzikości”, nie czuję jej, nie mogę sobie tego wyobrazić. Widzę tę górę w całości w formie kontemplacyjnej. Zbocza są wysokie i strome, lecz pokryte dużą ilością delikatnej i gęstej roślinności, która połyskuje szmaragdowym refleksem, często też odcień jasnego zielonego koloru, który uspokaja, nie wywołuje lęku. Dzikość zawsze do pewnego stopnia budzi strach, podczas gdy Góra św. Eliasza, oglądana z tarasu parku w Palmi w całym swoim zarysie, choć jest masywna, silna i imponująca, nie ma w sobie nic niepokojącego.

A teraz – prowadzi nas jeszcze jedna linia prosta. Na morzu rysują się okręty wojenne, jeden za drugim. W popołudniowym słońcu, koloru brzoskwini, zaczynamy je liczyć: 2, 4, 7, 9, 12, 14... płynie jedna długa i prosta linia żelastwa.

I wydaje nam się, że nie wyruszyła z jakiegoś portu lub kraju, odłączyła się od cokołu w Palmi ku czci poległych.

Te manewry wojenne wzdłuż jednego z najpiękniejszych wybrzeży Włoch niosą może przypadkiem jakąś nową, straszną obietnicę?

I nagle wszystkie proste, entuzjastycznie wytyczane linie, które wykreśliliśmy niczym uczniaki w naszym notatniku wrażeń, zaczynają tańczyć przed naszymi oczyma, tworząc chaotyczny zygzak.

DWÓCH SYNÓW PALMI

Wielu filozofów i psychologów od dawna medytowało nad sposobem, w jaki krajobraz i klimat wpływają na kulturę danego kraju. I tak, do Grecji, matki wszystkich nauk i sztuk, udali się specjaliści, by stwierdzić tam, na miejscu, ten wpływ na fenomen wielkiej cywilizacji. To, że krajobraz i klimat kształtują człowieka, dyktują mu prawa, pragnienia i działają inspirująco na intelekt oraz fantazję – wszyscy dobrze wiemy. Wielkie dzieło staje się dla nas bardziej zrozumiałe i przyjmuje namacalny kształt, kiedy poznajemy atmosferę, w jakiej artysta się narodził i wychował.

Małe Palmi wydało na świat dwóch wielkich muzyków. Jeśli chcemy zbliżyć się do piękna ich dzieł, pomoże nam bardzo znajomość krajobrazu, w jakim dorastali.

Manfroce zapowiadał się na genialnego artystę i jakąś iskierkę tego świętego ognia pozostawił we włoskiej muzyce.

Greccy filozofowie zapewniali, że natura często bywa zazdrosna o swych wybrańców, naznaczonych piętnem geniuszu. Pokazuje ich światu tylko przez bardzo krótki czas. Błyszczą nadludzkim światłem i znikają. Tak jakby sama natura chciała podać w wątpliwość swoje możliwości tworzenia i dla kaprysu ujawniała tajemnicę, i: „A teraz zgadnijcie! Zachodźcie w głowę, by ustalić, na jaki poziom wzniosłby się taki talent!”.

To jeden z okrutnych żartów, jedno z bezlitosnych zadań, które ona szczególnie uwielbia. Stawia w niezwykłym świetle obietnicę ideału, pozwala na genialny start, by potem pogrążyć ją w ciemności.

Nicola Manfroce, urodzony w Palmi w 1791 roku, zmarł w wieku 22 lat. Już jako dziewiętnastolatek wystawił na scenie swoją pierwszą operę *Alzira*, w Rzymie, i wszyscy krytycy ogłosili zgodnie narodziny geniusza. Dwa lata później, Teatr San Carlo w Neapolu zachwycał się *Ecubą*, kolejną operą wybitnego młodzieńca. Najsurowsi krytycy wychwalali spontaniczność Manfrocego i genialną intuicję twórczą, która nie tylko zastępuje, lecz także wygrywa z doświadczeniem i warsztatem artystycznym dojrzałego kompozytora. Świeżość i oryginalność talentu tego młodzieńca przepowiadały niezwykłą przyszłość, lecz sama natura przykryła z powrotem swoim welonem to zjawisko. W Palmi, wyrzeźbiony w kamieniu, młody Manfroce *ślucha* krajobrazu i go instrumentalizuje: już nie jako kompozytor zamknięty w ludzkim ciele, lecz jako siła, którą zazdrośni bogowie wykradli ludziom, by ubogacić swe królestwo³⁸.

38 Nicola Antonio Manfroce (ur. 21 lutego 1791 w Palmi, zm. 9 lipca 1813 w Neapolu) – włoski kompozytor. Okrzyknięty jednym z największych talentów muzycznych swojej epoki. Bardzo wcześnie wysłany przez ojca do stolicy Kampanii w celu wprowadzenia go w świat studiów klasycznych – wychowanek prestiżowego Conservatorio della Pietà dei Turchini w Neapolu. Zadebiutował kantatą (*Narodziny Alcide’a*) napisaną na cześć Napoleona z okazji jego urodzin, wykonaną w sierpniu 1809 roku. Wielbiciel stylu francuskiego. Autor *Alziry* (dramatu muzycznego w dwóch aktach, z librettem Gaetano Rossiego i Jacopo Ferrettiego), opery, której prawykonanie miało miejsce w Rzymie (w Teatro Valle) 10 października 1810 roku. A także *Ecuby* (tragedii muzycznej w trzech aktach, z librettem Giovanniego Schmidta), której prawykonanie odbyło się w Neapolu (w Teatro San Carlo) 13 grudnia 1812 roku. Młody artysta, mimo kuracji zaordynowanej przez najznakomitszych włoskich lekarzy (polecanych przez samą królową), umiera w wieku zaledwie 22 lat.

Jakże dziwny jest los! Jedną ręką zabiera, drugą daje. Pół wieku później, po śmierci pierwszego muzyka – w tym samym mieście rodzi się kolejny nieprzeciętny artysta i spija z tego krajobrazu ten sam napój co Manfroce: Francesco Cilea.

Cilea w każdym względzie odegrał się na losie za wspianiały finał, jakiego pozbawiony został Manfroce. Długie życie pozwoliło mu ukończyć swe wspianiałe dzieło, które we włoskiej muzyce zajmuje jedno z honorowych miejsc, podziwiane przez wszystkich.

Tak jak Manfroce, on również rozpoczął swą karierę w bardzo młodym wieku. Kiedy miał 20 lat, otrzymał nagrodę za suitę dla orkiestry, napisaną w konserwatorium w Neapolu. W wieku 23 lat zadebiutował operą *Gina*, w której już znajdziemy wszystkie obiecujące cechy późniejszych dzieł. Rok później *Tilde* otwiera mu świat muzyki, obiega sceny włoskie i zagraniczne: Florencję, Mediolan, Wenecję, Ankonę, Wiedeń, Moskwę. Do słynnego Konserwatorium św. Piotra z Majelli zawitał jako nieśmiały uczeń, który porzucił naukę w liceum klasycznym w Palmi, by pójść za swoim bóstwem: muzyką. Teraz widzimy go w tym samym konserwatorium jako nauczyciela fortepianu.

Po okresie nauczania u św. Piotra z Majelli przeprowadził się do Mediolanu, potem do Florencji, gdyż jego niezwykła muzyczna konstrukcja wymaga ciągłego zmian i nowego otoczenia.

W tym czasie stworzył dwie nowe opery. Jedna z nich, *Arlesiana*, z librettem zainspirowanym dramatem Alphonse'a Daudeta³⁹, wyróżnia się szczególnie interesującą historią. Została napisana i wystawiona w Mediolanie, na początku w czterech aktach. Wywołała pełne emocji dyskusje i polemiki. Wiele opinii było jej przeciwnych. Cilea sam ją wycofał. Napisał ją na nowo, w trzech aktach, i w tej formie... krótszej powróciła ona na scenę. Sukces, jaki czekał tę nową muzyczną odstonę *Arlesiany*, był niebywały. Wielokrotnie grana na wszystkich scenach włoskich i zagranicznych stała się nieprzekwitającym kwiatem w repertuarach operowych, a jej delikatny zmysłowy aromat oczarował krytyków i laików.

Od razu jednak narodziła się niebezpieczna rywalka *Arlesiany* – *Adriana Lecouvreur*.

Któż nie zna tego imienia? Któża ambitna aktorka nie marzy o roli Adriany, podobnie jak każdy inteligentny aktor pragnie roli Hamleta? Nie należy się temu dziwić, chociaż Scribe w swojej komedii⁴⁰ nie osiągnął wcale tego nad-

39 Mała korekta w stosunku do tego, co proponuje Alberti: autorem libretta do opery był Leopoldo Marengo, źródłem zaś inspiracji – dramat Alphonse'a Daudeta, o tym samym tytule.

40 Alberti przywołuje sztukę teatralną *Adrienne Lecouvreur* autorstwa Augustina Eugène'a Scribe'a i Ernesta Legouvého. Ten napisany w duecie dramat z 1849 roku to utwór, któ-

zwyczajnego poziomu, do którego teatr francuski przywykł od wieków. To rzecz, co najwyżej, dobrze skrojona przez doświadczonego krawca, lecz na pewno nie jest to oryginalny fason. Coś innego zawsze uwodziło wielkie aktorki, które ambitnie marzyły o tej roli, coś innego przyciągało publiczność i inspirowało kompozytorów pokroju Cilei: postać bohaterki, która faktycznie żyła i osiągnęła we francuskim teatrze mistrzowski poziom, jak dotychczas – niedościgniony. Atmosfera, w jakiej rozwijała swój genialny talent, jej niezwykła inteligencja, jej młodość, tak szybko zakończona, zdołały osiągnąć wyżyny, tworząc zupełnie nowy typ tragiczny, dotychczas nieznany nie tylko w teatrze francuskim, lecz także w całej Europie. Tragiczna miłość do Maurycego Saskiego i w końcu sensacyjna śmierć; trucizna podana jej z rąk rywalki, księżnej de Bouillon; żal, który wzbudziła ta śmierć. Oto sceny, które stworzyło samo życie! Scribe je tylko powtórzył i zaadaptował na potrzeby teatru. Adriana Lecouvreur, która żyła w początkach XVIII wieku (1692–1730), wzniciła ogromny płomień emocji w kreatywnej duszy Cilei. Cała gama kobiecych emocji, od najczulszych afektów Adrianie do najniecierniejszych uczuć księżnej de Bouillon, znalazła swego genialnego tłumacza. W swej *Adrianie* Cilea zaprojektował muzyczne role, w których aktorzy mogą zabłysnąć najcenniejszymi umiejętnościami, tak jak zaprezentowali się na premierze w Mediolanie 6 września 1902 roku Caruso, Pandolfini, De Luca, nagrodzeni entuzjastycznymi oklaskami ogromnej publiczności.

Była to jedna ze sztuk najlepiej przyjętych przez krytykę i publiczność w historii mediolańskiej opery. Dzięki *Adrianie* Cilea osiągnął szczyt kariery. A to, czego Scribe nie potrafił oddać słowami, Cilea rozpałił i oświecił swymi dźwiękami, poezją, tragedią, fantazją i psychologiczną znajomością kobiecego serca.

Tragiczna Adriana, znana za życia, stała się jeszcze słynniejsza po śmierci. W swym osiemnastowiecznym kostiumie i w innym jeszcze – nieporównywalnym – kostiumie swej duszy, którego żadna z bohaterek tragedii w Europie nie zdołała naśladować i który tylko Cilea umiał oddać dzięki instynktowi artysty i maestrii kompozytora, Adriana Lecouvreur przemierzyła i przemierza niezliczone sceny na całym świecie.

regu główną i tytułową bohaterką jest francuska aktorka żyjąca na przełomie XVII i XVIII wieku – kochanka Hermana Maurycego Saskiego (hrabiego i marszałka Francji), wybitna artystka scen parryskich (debiutowała w roku 1717 na deskach Comédie-Française). Adrienne Lecouvreur swą sławę zawdzięczała niezwyklej prostocie scenicznej ekspresji, a także naturalnej, niewymuszonej technice deklamacji. Utwór Scribe’a przedstawia literacko przetworzoną historię gwiazdy francuskiego salonu teatralnego, która – wedle przekazów – została uśmiercona w niezwyklej sposób: zatrutym bukietem fiołków, podanym przez zazdrosną rywalkę (w rzeczywistości artystka zmarła na ostrą, zakaźną chorobę jelit).

Ta, która zazdrościła jej talentu, rozgłosu i miłości, i która pragnęła jej śmierci w sercu ukochanego i w sercu teatru, niczym na mocy mefistofelicznego czaru, wyniosła ją na jeszcze wyższy piedestał. Zamiast się jej pozbyć, przyłgnęła do niej jak czarny cień, z którym tym bardziej kontrastuje dziwne światło Adriany.

Kiedy przyglądamy się krajobrazowi Palmi, wręcz niechcący słyszymy ścisłą zbieżność z muzycznym klimatem *Adriany*. Soki poezji, odcienie niezerównanego światła, szeroka fraza morskich fal, co z oddali uderzały słuch młodzieńca; wszystkie te idealne inspiracje były może trochę zbyt symetryczne w połączeniu, lecz zawsze dotykały najtkliwszych strun uczuć; podsumowując, cały muzyczny pejzaż Palmi znalazł głęboki wyraz w muzyce Cilei.

Po *Adrianie* objawiła się *Gloria*. (Kompozytor chrzci swe dzieła wyłącznie kobiecymi imionami i te kobiety przynoszą mu szczęście). Dyrygentem na premierze w La Scali jest sam Toscanini. Wielki sukces, lecz kompozytor jest niezadowolony. Po przedstawieniach w Rzymie i Neapolu wycofuje operę, tak jak zrobił wcześniej z *Arlesianą*, i pisze ją na nowo. Wystawia ją ponownie w San Carlo w Neapolu. Jeszcze większy sukces. Od tamtego momentu *Gloria* nie schodzi z afisza; i komisja zgromadzona w Konserwatorium Verdiego w Mediolanie, by zdecydować o wynikach konkursu na dyrektora teatru Bellini w Palermo, wybiera jednogłośnie Cileę, uznawszy *Glorię* za najdojrzalszą artystycznie operę, skupiającą w sobie wszystkie muzyczne wartości: zamaszystość linii muzycznej, ludzkie uczucia, logiczną strukturę akcji scenicznej i w końcu formę, która – mimo nowoczesnego charakteru – nie oddala się od pięknej tradycji opery włoskiej.

I tak, Cilea staje się dyrektorem teatru Bellini w Palermo. Jeszcze jeden wielki triumf czeka na kompozytora. Tym razem z pewnością bliższy jego sercu. Schodami Konserwatorium św. Piotra z Majelli wchodzi, by zasiąść w fotelu dyrektorskim były uczeń, który 35 lat wcześniej po raz pierwszy nieśmiało i z biciem serca przekroczył ten próg.

Nie tylko opera, lecz także muzyka kameralna odnalazła w nim wielkiego kompozytora. Chociaż rezydował na stałe w Rzymie, Cilea wracał często do Palmi i z miłością przyglądał się muzycznemu krajobrazowi, który go ukształtował oraz pozostawił w jego sztuce tyle głębokich śladów⁴¹.

41 Uzupełniając poetycki konterfekt kompozytora stworzony ręką Alberti, warto dodać, iż Francesco Cilea urodził się 23 lipca 1866 roku w Palmi, w rodzinie wyższej klasy średniej. Pierwsze lekcje gry na fortepianie pobierał u swojego ojca, muzyka amatora. W wieku 7 lat opuścił Kalabrię i udał się do Neapolu. Uczęszczał do jednej z najsłynniejszych szkół, Królewskiego Konserwatorium San Pietro a Maiella, gdzie zauważył go Francesco Florimo, przyjaciel i biograf Vincenzo Belliniego. Dyrygował szkolną orkiestrą i chórami, co umożliwiło mu bezpłatny wstęp na wszyst-

„NAPOLEONICA” W PIZZO

Z zamku widok rozciąga się na otwarte morze, roztopiając się w oparach nieba, na bezkresną przestrzeń równiny Sant’Eufemia, z jej szerokim brzegiem żółtawego piasku, na zbocza pokryte zielenią, rozgwieżdżone miejscowościami.

Tak jak zamek w Scilli, ten również zanurza się w klifie i sprawia wrażenie, jak gdyby z niego wyrastał. Co więcej, również położenie geograficzne względem linii brzegowej jest niemal identycznym powtórzeniem tego ze Scilli, chociaż bardzo różni się widok wybrzeży Zatoki Sant’Eufemia od tutejszej Zatoki Gioia, którą lubię określać jako Zatokę Bagnary.

Dookoła rozciąga się pełne życia miasteczko, starożytna Napizia; u podnóża – antyczna marina.

Można medytować krajobraz, rozważać jego najpiękniejsze elementy...; zaraz jednak wzrok uparcie powraca, zatrzymuje się na tym kamieniu, który zdaje się – skrzydłem rozegranej tu tragedii – pokrywać cały krajobraz.

To tutaj historia, pazerna księgowa, zażądała od człowieka największej zapłaty, jaką ten mógł jej ofiarować.

Chociaż ta sama historia, już bardziej szczodra, spieszy potem zawsze, by uwieńczyć laurem nieszczęsnego bohatera.

Tutaj owym nieszczęśnikiem okazał się Joachim Murat.

Historycy z pewnością lepiej ode mnie przedstawili liczne sprzeczności charakteru i życia tej dziejowej efemerydy, pięknej acz rzadkiej komety. Lecz mnie wydaje się dzisiaj nie tyle złym politykiem, nie tyle człowiekiem o niepewnym i chwiejnym charakterze, nie tyle „magister equitum”, niezdałym sobie sprawy z właściwej organizacji i skomplikowanego funkcjonowania silnego oddziału kawalerii, ile Achillesem armii francuskiej, genialnym kawalerzystą słynącym z brawurowych szarż, człowiekiem, który uosabiał – jak nikt inny – porywczego ducha, bohaterem, mającym za nic niebezpieczeństwo, podziwianym przez

kie przedstawienia wystawiane w Teatro San Carlo. Po ukończeniu studiów Cilea szukał nowego tematu operowego. Wydawca Edoardo Sonzogno zamówił u niego napisanie nowej wersji *Tildy*, której premiera odbyła się 7 kwietnia 1892 roku w Teatro Pagliano (dziś Teatro Verdi) we Florencji. Od tego momentu zaczyna się wielka kariera kompozytora, która dobiegła końca wraz z niepowodzeniem *Glorii* – opery, której premiera odbyła się 15 lutego 1907 w mediolańskiej La Scali. W 1913 roku Cilea objął kierownictwo Konserwatorium Belliniego w Palermo, a trzy lata później wrócił, aby kierować swoją dawną szkołą, Konserwatorium San Pietro a Maiella w Neapolu. Pozostał tam przez dwadzieścia lat, przeplatając działalność pedagogiczną z komponowaniem małych utworów na fortepian lub orkiestrę. Zmarł 20 listopada 1950 roku w Varazze. Por. R. De Rensis: *Francisco Cilea*. NeoClassica, Roma 2016.

samych przeciwników – tak że car Rosji na widok galopującego w pierwszym szeregu awangardy dał rozkaz, by nie strzelać do króla Neapolu.

Jakże odległy jest ten duch od nowoczesnych wojen masowych, od naszej epoki bomb atomowych i nalotów dywanowych na bezbronne miasta!

Lubię wyobrażać go sobie jako postać energiczną, wyprostowaną w dumnej pozie – tak jak uwiecznił go w marmurze Giovanni Battista Amendola w niszy Palazzo Reale w Neapolu. Być może ta sama poza, którą tu powtarza, towarzyszyła jego ostatniemu zdaniu: „Oszczędźcie głowę, celujcie w serce!”⁴².

Seminarzysta w Tulonie, gwardzista Ludwika XVI, deputowany do Legislatywy, gubernator wojskowy Paryża, marszałek Imperium, wielki książę Bergu, król Neapolu. Człowiek zawsze pewny siebie, w gruncie rzeczy niepoprawny optymistą aż do końca. Zwykł mawiać, komentując katastrofę Waterloo: „Gdybym ja tam był!”

Oto człowiek, który – jako więzień w celi zamku w Pizzo – gdy skrzydła telegrafu, przyćmione przez mgłę i ludzkie odruchy generała, już uderzały, ogłaszając śmiertelny wyrok, jeszcze myślał, że może znaleźć porozumienie z Burbonem, biorąc dla siebie Królestwo Neapolu i zostawiając „swojemu kuzynowi Ferdynandowi” Królestwo Sycylii.

Król nigdy nie był aż tak władczy, jak po utracie swej monarchii. Ścigany, osaczony przez swoich własnych poddanych, z wyrokiem wydanym na jego głowę przez tego samego Markiza de Rivière, którego osobiście uratował w czasach procesu Cadoudala, Joachim Murat potrafił zachować aureolę bohatera, może trochę odrealnionego, czasem wręcz naiwnego, zawsze godnego pióra Cervantesa albo dramatu w rodzaju *Cyda*.

Ścigany przez rzezimieszków, którzy rozbijają jego niewielką flotyllę, niecznie obrabowany przez Barbarà, ekspirata maltańskiego, którego wcześniej mianował dowódcą floty, zaatakowany przez bandę Trentacapillego, Murat pozostaje nadal wierny swojemu sposobowi działania i zabrania podwładnym odpowiadać ogniem, rezygnując z obrony. Przybija do brzegów tego, co jeszcze uważa za swoje królestwo, przekonany o służbie swoim poddanym; nie może pozwolić, by przelała się za niego krew, którą uważa za „braterską”⁴³.

42 Giovanni Battista Amendola (ur. 1848 w Sarno, zm. 1887 w Neapolu) – włoski rzeźbiarz oraz twórca orderów i medali. Studiował w Neapolu w Accademia di Belle Arti. Następnie przeniósł się do Rzymu, a w 1879 do Anglii, gdzie pozostał do 1884 roku. Jest autorem rzeźby Joachima Murata, zdobiącej fasadę Pałacu Królewskiego w Neapolu. Por. N. Acanfora: *Saggio sugli usi, i costumi e la storia dei comuni della città metropolitana di Napoli*. Booksprint Edizioni, Napoli 2019.

43 Znakomite omówienie zjawiska „rozbójnictwa ludowego” na południu Włoch (między wiekiem XVIII a XX) przynosi polskie tłumaczenie rozdziału *Bandyta społeczny* – fragmentu wy-

Jeszcze w obliczu tragicznej rzeczywistości pozostaje bardziej niż kiedykolwiek królem i rzuca w twarz oficerowi – sekretarzowi haniebnego trybunału, który go skaże, słowa: „Ja jestem Joachim Murat, król Obojga Sycylii i wasz; idźcie precz z mojego więzienia”.

Człowiek o innym charakterze niż Murat skorzystałby z paszportu wydanego przez Metternicha (co prawda dopiero po trzech miesiącach, jednak już w jego posiadaniu, gdy wyruszał na tragiczną wyprawę) i dożyłby swych dni w jakimś małym miasteczku w Bawarii, czytając gorzkie wiadomości w „Monitorze”, jak stary dżokej, śledzący biuletyny wyścigów konnych, w których ze względu na artretyzm nie może już startować. Myślę jednak, że każdy z nas woli tragiczny, lecz zawsze chwalebny finał w fosie obleganego zamku, w pełnym słońcu, pośród odgłosów kolb ustawianych do strzału, w przerażającym echu śmiercionośnej salwy. Lepsze to niż drobnomieszczański koniec w półmroku pokoju, obok komódki pełnej leków, w asyście jakiegoś obojętnego dalekiego kuzyna.

Z pewnością duch Murata unosi się z wysokości tej skały i bardzo kontent jest z wiecznego galopu, z widoku na najgwałtowniejsze z mórz, na szlaku Odyseuszy, z towarzystwa cieni wielkich bohaterów, szalonych lub roztropnych, historycznych lub mitologicznych, którzy przez dziesiątki wieków walczyli tutaj, wygrywali lub przegrywali, niż z drzemania w rogu jakiegoś spokojnego podmiejskiego cmentarza, zmuszony dzielić wieczność z duchem farmaceuty lub notariusza⁴⁴.

dobytogo z klasycznego opracowania Erica Hobsbawma (*Primitive Rebels*. Manchester University Press, Manchester 1959). Tutaj także wspomniana zostaje aktywność Joachima Murata jako przywódcy grup rozbójniczych operujących w regionie Capitanaty. Por. E. Hobsbawm: *Bandyta społeczny*. Tłum. M. Pospisyl. „Praktyka Teoretyczna” 2019, nr 3, s. 121.

44 Warto przytoczyć krótki biogram Joachima Murata. Urodzony 25 marca 1767 roku w Labastide-Fortunière (obecnie Labastide-Murat) w Gaskonii, syn oberżysty. W armii od 1787 roku, kiedy to zaciągnął się do pułku strzelców konnych. Związany z Bonapartem, został jego adiutantem, poślubił siostrę Napoleona, Karolinę. Po ustanowieniu cesarstwa mianowany marszałkiem i wielkim admirałem (mimo braku większych związków z marynarką). Uczestnik wszystkich najważniejszych bitew napoleońskich. Na pocieszenie otrzymał tron neapolitański. Jako władca Neapolu dokonał wielu reform na wzór francuski. Planując rozszerzenie własnego władztwa popierał włoski ruch narodowy. Dowódca kawalerii rezerwowej Wielkiej Armii w kampanii rosyjskiej – walczył między innymi pod Smoleńskiem i Możajskiem, gdzie jego kawaleria zdobyła w wyniku szarży Wielką Redutę. W drodze do Paryża dowiedział się o klęsce pod Waterloo. Postanawiając odzyskać władzę w Neapolu wraz z 30 ochotnikami wyładował w Pizzo. Wzięty do niewoli i rozstrzelany. Jego ostatnie słowa rzeczywiście brzmiały: „Oszczędźcie głowę, celujcie w serce”. Sam Napoleon na Wyspie Świętej Heleny miał powiedzieć: „Król Neapolu był wspaniały w ogniu, to był najlepszy oficer jazdy na świecie. W boju był »cezarem«, poza nim stał się prawie niewiastą. Otrzymał w darze ogromną odwagę i bardzo mało rozumu. Zbyt wielka różnica między tymi przymiotami tłumaczy go zupełnie”. Por. R. Bielecki: *Wielka armia Napoleona*. Bellona, Warszawa 2004;

NA ŁĄKACH PROZERPINY

Ileż kobiet ukazało swój urok w tańcu, który podkreśla elegancję ruchów, temperament i uwodzicielski czar! Inne z kolei podczas gry na instrumencie, śpiewu lub tkania jak Penelopa. Niektóre – kiedy prały bieliznę, jak Nauzykaa. Wiele jednak – gdy zbierały kwiaty.

Kobiece ręce z miłością wyciągnięte w kierunku kwiatu są naturalnie czymś innym niż ręce wyciągnięte z pożądaniem w stronę... portmonetki.

Ta chwila została utrwalona przez tysiące malarzy z najróżniejszych szkół. Współcześni artyści również nie zrezygnowali z tego tematu.

Dzisiaj jesteśmy na łąkach Prozerpiny.

W starożytności uważano, że z tego miejsca rozpościera się najpiękniejszy widok na świecie. Dziś nie mogę generalizować w podobny sposób, ponieważ świat bardzo się poszerzył i niestety nie znam go w całości. Lecz bez przesady mogę napisać, że widok greckich ruin w Vibo Valentia należy do najpiękniejszych we Włoszech, a w Kalabрії zaliczam go do czterech, które najbardziej mi się podobały: Góra św. Eliasza niedaleko Palmi, Montalto przy Aspromonte, Casino w Sila Grande i ten – Vibo Valentia.

Wybór tylko czterech widoków, podczas gdy cała Kalabria jest niczym innym niż jednym wielkim tarasem widokowym, to niebezpieczne zadanie. Również pejzaże podziwiane z Reggio, zamku w Scilli, zamku w Bagnarze, parku w Palmi, zamku w Cosenzy, San Severino, Tiriolo (i możemy kontynuować tak w nieskończoność) mogą pretendować do tej roli.

Jeśli wybrałam te cztery miejsca, to na pewno nie ze względu na ich materialną strukturę, lecz z uwagi na pewną filozoficzną tajemnicę, która je otacza. Może właśnie o tym myśleli Grecy, gdy nazwali Hipponion „najpiękniejszym widokiem na świecie”⁴⁵. Mogę powiedzieć tylko jedną rzecz. Dobrze

W. Łysiak: *Napoleoniada*, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1990; A.G. Macdonell: *Napoleon i jego marszałkowie*. Przeł. F. Rutkowski, przedmową opatrzył A. Nieuważny. Przedsięwzięcie Galicja, Arkadiusz Wingert, Kraków–Międzyzdroje 2008; A. Uffindell: *Wielcy generałowie wojen napoleońskich oraz ich bitwy 1805–1815*. Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2007.

⁴⁵ Miasto Vibo Valentia było pierwotnie grecką kolonią Hipponion (gr. Ἰππώνιον). Zostało założone prawdopodobnie pod koniec VII wieku p.n.e. przez mieszkańców Locri, głównego miasta regionu położonego nad Morzem Jońskim. Masywny mur miejski o obwodzie 7 km, którego wielkość można zobaczyć do dziś, otaczał obszar za wzgórzem i schodził w dół do portu. Diodor Sycylijski podaje, że miasto zostało zdobyte w 388 roku p.n.e. przez Dionizego Starszego, tyrana Syrakuz, który deportował całą ludność. Mieszkańcy powrócili na swoje ziemie w 378 roku p.n.e. z pomocą Kartagińczyków. W kolejnych latach Hipponion znalazł się pod panowaniem Brutium, kontrolującego większość dzisiejszej Kalabрії. Po zdobyciu miejscowości przez Rzym nazwę zmie-

poznałam całą Grecję i w żadnym innym miejscu nie znalazłam widoku porównywalnego z opisywanym. A zatem Grecy, których świat był dużo mniejszy, nie pomylili się.

Hipponion słynął nie tylko z widoków, nie tylko ze swego umiejscowienia o walorach strategiczno-militarnych, nie tylko ze stoczni, w której budowano najszybsze statki, lecz także z kwiatów. Od niepamiętnych czasów legenda opiewa nie tylko liczbę, lecz także piękno tychże kwiatów – do tego stopnia, że jedna z legend umiejscowiła tu porwanie Prozerpiny⁴⁶.

Może było to wczesnym rankiem, może dzień chylił się ku zachodowi tak jak teraz. Prozerpina wyszła na szerokie łąki, by nazbierać kwiatów. Oddawała się tej poetycznej czynności, gdy zauważył ją Pluton, bóg władający chtonicznymi siłami natury o najbardziej tajemnych korzeniach. Oczarowała go ta kobieta, te kwiaty, które wyszły z jego królestwa na światło dzienne i przybrały tak oryginalne kształty, kolory i zapachy. Pod ziemią władał on ich ukrytą i życiodajną siłą, lecz na powierzchni to kobieta sprawowała nad nimi pieczę, wytwarzała z nich truciznę, lekarstwo lub balsam. Również to należało do boskiej nauki.

Starożytna religia nie zepchnęła wspomnianej kobiety w cień. Przyznała jej na scenie najlepsze role, ponadto oddała bogini patronat nad miłością, obfitością, polowaniem, nauką, pożywieniem. Również balsamy należały do jej „ménage”.

niono na Hipponium. Miasto stało się kolonią rzymską w 194 roku p.n.e. pod nazwą Vibo Valentia. Por. *The Princeton Encyclopedia of Classical Sites*. Eds. R. Stillwell, W.L. MacDonald, M. Holland McAllister. Princeton University Press, Princeton 1976.

46 O Prozerpinie, bogini świata podziemnego utożsamianej z Persefoną, Kazimiera Alberti rozprawia w aspekcie kwietnych łąk Kalabrii, odchodząc od sedna opowieści o porwanej dziewczynie. Martyna Petry próbuje przedstawić istotę tego mitu: „Mit o Prozerpinie można [...] rozważać jako pewnego rodzaju opowieść o naturalnym porządku, o kosmicznym ładzie natury. Prozerpina także, jako uosobienie tego porządku, ulega transformacji razem z krajobrazem, kiedy jako bogini lata powraca do swojej matki, z drugiej strony, kiedy jako żona Plutona i pani podziemia powraca do męża i nastaje zima”. Zob. M. Petry: *Wprowadzenie*. W: K. Klaudian: *O porwaniu Prozerpiny*. Wstęp, przekład i komentarz M. Petry. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2016, s. 12. Andrzej Borowski, przedstawiając paradygmat posługiwania się figurami Persefony/Prozerpiny, eksponuje dwie zasadnicze funkcje mitu. „Pierwsza dotyczy płodności, »kietkowania«, a także cykliczności pór dnia i pór roku. Druga natomiast funkcja tego mitu, choć jej sens dotyczy doświadczeń egzystencjalnych człowieka, wskazuje kierunek refleksji wykraczający znacznie poza horyzont tych doświadczeń. Sens ten nie jest wyraźny. Zaznacza zaledwie ciemniejącą poza tym widnokręgiem tajemnicę prawa natury, »pełnego krzywdy« i niedającego się pogodzić z podstawowym ludzkim wyobrażeniem o tym, co »być powinno«. Bo ludzkie pojęcie szczęścia i ludzka nadzieja wykraczają daleko poza granice tak zwanego zdrowego rozsądku określane i wyznaczane »niegodziwymi« prawami przyrody”. A. Borowski: *Ciężka Prozerpina, zła Persefona...* W: *Persefona, czyli dwie strony rzeczywistości*. Red. M. Cieśla-Korytowska, M. Sokalska. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009, s. 41.

Prozerpina w tym teatrze grała jedną z bardziej poetycznych ról. Czyż można się dziwić, że Pluton chciał ją porwać?

Do dziś nadal zachowały się precyzyjne informacje o przebiegu tamtych wydarzeń. Jak przystało na wielkiego boga, przybył on rydwanem i przybrał postać młodzieńca, by przypodobać się bogini o tak wyszukany zmysł estetyczny. Na tysiącu fresków i reliefów świat antyczny utrwalił ten moment. Pamiętamy pinakes z Locri⁴⁷. Na jednej z nich widzimy przerażoną Prozerpinę, sztywną jak manekin, z rękami wzniesionymi wysoko, w rydwanie Plutona, którego konie, pełne godności, z wysoko uniesionymi głowami i wyczesanymi ogonami, podążają bojowym krokiem. A jak lubiany był zawsze to temat, potwierdza to fakt, że jeszcze w XVII wieku poważny i religijny malarz Mattia Preti uwiecznił idylliczną scenę w obrazie: *Porwanie Prozerpiny*.

Niewiele brakuje do zachodu słońca. Z Vibo wyszliśmy na łąki Prozerpiny. Legendarne kwiaty przekwitły na przestrzeni wieków. W okresie przed pierwszą wojną światową chciano uhonorować to miejsce i nam je przybliżyć. Chciano przypomnieć naszej uprzemysłowionej epoce poezję tej legendy i wyznaczono kwiecistą aleję od głównej ulicy do świątyni. Szkoda, że aleja ta jest dzisiaj zaniedbana, lecz ogrodnik, który nadal sadi tam kwiaty, tą resztką poezji łączy nowoczesność z czymś, co nie wróci już nigdy. Z poświęconego bogini sanktuarium nic już nie zostało. Była to jedna z najwspanialszych świątyni, którymi szczyliła się Wielka Grecja. Pozostał jej opis, który mówi o trzystu granitowych kolumnach z Numidii. Na osiemnastu porfirowych filarach wznosił się ołtarz ze srebra i alabastru z wizerunkiem Prozerpiny. Za panowania Rogera Normńskiego kolumny porzuciły swe pierwotne miejsce i zostały przeniesione do Mileto, do tamtejszej świątyni.

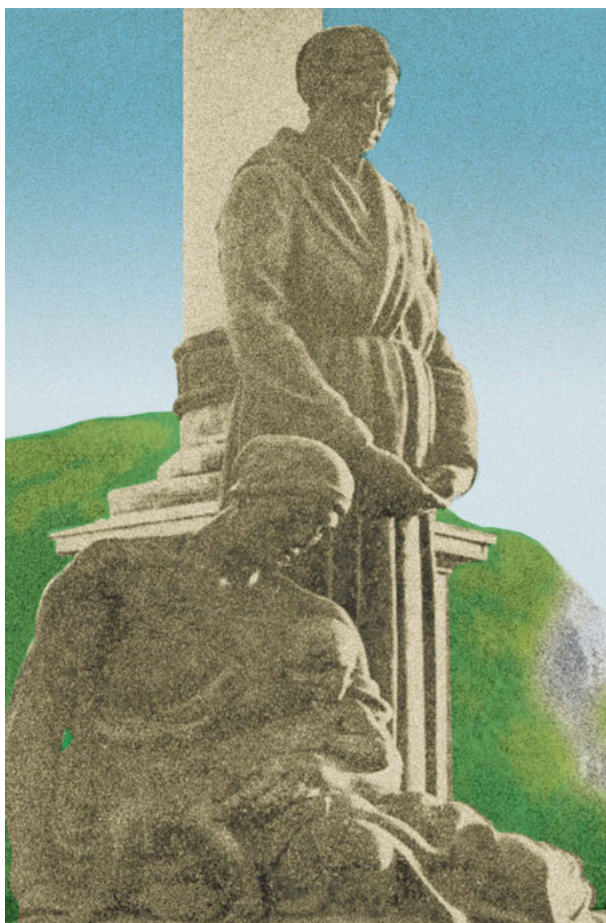
Dziś interesuje nas plac widokowy, jeden z tych czterech punktów krajobrazowych otoczonych filozoficzną aurą. Wznosi się tu pomnik ku czci Garibaldiego, który podziwiał stąd panoramę okolicy. Oglądamy zachód słońca, który dziś nie jest ognisty i czerwony, lecz pożyczył kolor pawiego ogona i puszcza „oczka” o wszystkich odcieniach fioletu i szafiru, lub – mówiąc dokładnie – tonacjach koloru pawiego, tak charakterystycznego, że ma własną nazwę.

47 Miały zwykle postać terakotowych tabliczek pokrytych różnorakimi przedstawieniami. Składano je najczęściej w miejscach kultu, jako wota dla bóstw lub materialną formę prośby o spełnienie określonych łask (np. uzdrowienie). Wielką liczbę pinakes odkryto w Locri (południowe Włochy), w bezpośredniej bliskości świątyni Persefony (odsłonięto tam ponad pięć tysięcy artefaktów i ich fragmentów). Tabliczki z Locri datowane są na VI–IV wiek p.n.e. Przedstawiają one najczęściej sceny mitologiczne (z udziałem Persefony, Hadesa), a także sceny rodzajowe, uroczystości sakralne, fragmenty z życia codziennego i zatrudnienia zwykłych ludzi.



Tutaj – wysokie nawet na 18 metrów, o średnicy 1,5 metra, z rozłożystą koroną,
kryją w sobie starożytną majestatyczność

•
•
•
•
•



Od frontu rzeźbiarz umieścił alegorię trzech pokoleń

-
-
-
-
-

W tym zachodzie odbija się prawie trzy czwarte kalabryjskiego wybrzeża – od skalnej barykady w Pizzo di Capo Palinuro. Cała Zatoka Sant'Eufemia, z San Biase, Nicastro i wieloma innymi miejscowościami, przybrała kolor, w którym połączyły się naraz trzy barwy: fiołka, irysa i niezapominajki. Daleko po lewej, na południowym wschodzie, jakiś bardzo subtelny mistrz naszkicował zarys odległej Etny, pokrytej jeszcze śniegiem.

Tak jak Góra św. Eliasza skłania do odpoczynku i koi wszystkie nasze zmartwienia i rany, tak plac widokowy w Vibo – który otwiera się pomnikiem Garibaldiego i ciągnie się wzdłuż murów okalających starożytne miasto aż do zamku – sprawia wrażenie dynamicznej ekspozycji. Tutaj zaprasza na świat, otwiera nieznane horyzonty w trzech wymiarach: głębokości morza, wysokości nieba, szerokości ziemi. Dla osoby o wędrowniczym temperamentcie jak ja ten widok jest bardzo niebezpieczny, gdyż skłania do podejmowania nowych wypraw, pobudza nomadyczną naturę.

W zachodzie słońca takim jak dzisiaj chciałoby się porzucić wszelką rozpoczętą pracę i tak, bez grosza, bez walizki, tylko z bijącym sercem w tobołku wyruszyć Bóg wie gdzie, bez ograniczeń, na koniec świata, na koniec każdego oceanu, może nawet tam, gdzie kończy się powietrze. Tutaj, gdzie budowano statki, które miały błędzić po wodzie, zostały chyba jeszcze niebezpieczne „bakcyle wędrówki”, gdyż odzywa się w nas bunt przeciwko wszelkim odmianom statycznego życia. Ujawnia się jakaś atawistyczna inklinacja do życia nomady, tego życia, które za jedyny zegar ma słońce i gwiazdy, a za jedyny drogowskaz – wiatr, który prowadzi je, gdzie chce.

Idziemy wzdłuż murów. Oszałamiająco pachnie mięta – ta, która gwiżdże na różnice klimatyczne i jednakowo ofiarowuje ci swój zapach: na północy i na południu.

Dziś trzeba mi niewiele do szczęścia; pocieram jeden z jej listków o dłoń i aromat zastępuje mi wszelki bardziej wyrafinowany zapach Guerlain.

A potem zbieram kwiaty: czerwone dzikie maki, które przypominają mi Polskę, bo czerwony jest kolorem połowy naszej flagi, od wieków skąpanej we krwi. Jedyny Pluton, który mógł mnie uprowadzić, jest ze mną. Porwanie miało miejsce wiele lat temu i to nie w kwadrydze, lecz w dyskretnej weneckiej gondoli. Zbieramy razem kwiaty na łąkach Prozerpiny.

Muzy – odkryte przez znakomitego archeologa Paolo Orsiego, który w albumie kultury kalabryjskiej zapisał się jako jeden z najwybitniejszych badaczy – zbudowane z wielkich kamiennych bloków, pochodzą z VI i połowy V wieku p.n.e. Trzy półokrągłe wieże na kwadratowych podstawach przywodzą na myśl nie tylko walory obronne, lecz także wyrazisty styl

architektoniczny⁴⁸. Z cokołu ostatniej wieży widok jest jeszcze bardziej rozległy i, tak jak wcześniej Zatoka Sant'Eufemia, tak teraz cała dolina Messyny wychodzi nam naprzeciw. Stefanaconi, czerwone, o nowoczesnym projekcie, na pierwszym planie. Dziesiątki innych miejscowości – w tle.

Poprzez kremowe akacje, z których pszczoły spijają swój ulubiony nektar, prześwituje front masywu Serre. Szczyt za szczytem, jeden obok drugiego, jeden za drugim. Bardzo daleko na horyzoncie, jako zabytkowy kompleks, Sila⁴⁹. Trzy kolory rzucane przez słońce: fiołek, irys, niezapominajka przemieniają się w ciemny tusz, który wylewa się z nieba na ziemię.

48 Paolo Orsi urodził się w Rovereto, 17 października 1959, wówczas części Cesarstwa Austro-Węgierskiego, a obecnie w prowincji Trydent we Włoszech. Po ukończeniu gimnazjum w Rovereto, Orsi przeprowadził się do Wiednia, aby studiować historię starożytną i archeologię. Kontynuując studia na Uniwersytecie w Padwie i kończąc je w Rzymie (Reale Scuola Italiana di Archeologia). W 1907 Orsi przeniósł się do Reggio Calabria, gdzie został dyrektorem Sovrintendenza Calabria per gli Scavi. Przyczynił się do powstania Museo Nazionale della Magna Grecia. Pracował w Reggio, Locri i Rossano. Podczas wykopalisk miejskich znalazł świątynię jońską, starożytne mury oraz stanowiska Medmy i Krimisy. W 1924 został mianowany senatorem Królestwa Włoch i powrócił na Sycylię. Chociaż odmówił przyjęcia katedry na uniwersytecie, Orsi na emeryturze kontynuował współpracę z muzeum w Syrakuzach (które obecnie nosi jego imię). Napisał ponad 300 prac, za które otrzymał nagrodę Gran Premio di Archeologia dell'Accademia dei Lincei. Jego ulubionymi obszarami były Syrakuzy, Kalabria, Rovereto i Południowy Tyrol. Był jednym z założycieli Società Italiana di Archeologia w 1909 roku. Por. R. Spadea: *Saggioni di Paolo Orsi a Montelone di Calabria*. „Annali della Scuola Normale Superiore di Pisa. Classe di Lettere e Filosofia” 1989, Serie III, vol. 19, no. 2, s. 517.

49 Początki płaskowyżu Sila sięgają znacznie bardziej odległej epoki geologicznej niż orogeneza Apeninów. Norman Douglas napisał w 1911 roku: „[...] jest to czcigodny granitowy płaskowyż, który stał tutaj, gdy dumni Apenińczycy jeszcze spali na błotnistym dnie oceanów...”. 20 kwietnia 1968 roku utworzono Park Narodowy Kalabrii – Sila. Najstarsze ślady obecności człowieka pochodzą z co najmniej 3500 roku p.n.e., czyli z neolitycznej wioski, której pozostałości archeologiczne odnaleziono kilka lat temu na południowym brzegu jeziora Cecita. W czasach Bizancjum Sila stała się schronieniem dla zastępów mnichów bazylikańskich, przybywających z Bałkanów, Grecji czy samej południowej części Kalabrii; mnichów, którzy zbudowali klasztory, które można zwiedzać do dziś, takie jak Santa Maria del Patire niedaleko Rossano. Po Bizantyjczykach przyszli Normanowie, którzy przeprowadzili potężne dzieło ponownej latynizacji greckiego prawosławnego południa, a następnie Szwabowie, Andegawczycy, Aragończycy i Burbonowie. Stulecia przepłatanie wojnami, głodem, trzęsieniami ziemi i rozbojami, które jednak nie były w stanie wpłynąć na piękno tych miejsc. Na terenie obszaru chronionego znajduje się 25 stref o znaczeniu wspólnotowym, które są obszarami podlegającymi szczególnej ochronie i włączonymi do europejskiej sieci NATURA 2000. To niezwykle terytorium, jedyny masyw górski wznoszący się w sercu Morza Śródziemnego, ze swoimi lasami, dolinami, rzekami, wodospadami, drzewnymi gigantami, klifami, kanionami, wioskami, świadectwami historii, sztuki i tradycji, po raz kolejny odzyskuje sławę, którą słusznie przypisywali mu autorzy klasyczni. Za: <https://parcosila.it/il-parco/la-storia/> [dostęp: 24.10.2024].

Docieramy do zamku, kiedy zaczynają już migotać światła. Z góry tej twierdzy, tak oryginalnej ze swoim kwartetem wież, reprezentującym cztery dominia: normańskie, szwabskie, andegaweńskie i aragońskie, widok rozciąga się jeszcze dość wyraźnie. W dole widzimy jedno z najmocniej tętniących życiem miast Kalabrii, tak ukochane przez Joachima Murata, że uczynił je stolicą regionu.

W ogrodzie zamku kwitną róże. Mamy już ręce pełne mięty, maków, akacji... lecz dla róż zawsze znajdzie się miejsce. Nikt nie widzi. Zbieramy kilka i wracamy radośni z tych łąk Prozerpiny, tak jak każdy, kto miał szczęście móc złamać jakiś zakaz.

BOHATERSKI LOT NAD VIBO

Nie tylko Prozerpina zakochała się w tych miejscach. Już dużo wcześniej człowiek neolityczny zostawił tu swe prymitywne ślady. Później nadal powstawały tu mityczne opowieści.

Wyrocznia Apolla delfickiego poleciła Orestesowi pielgrzymkę do świątyni Persefony w Hipponion. Ten, prześladowany przez Erynie, na granicy szaleństwa, porywczy matkobójca, być może na przekór swojemu stanowi umysłu, przybył tu w pokorze, z pochyloną głową jak pacjent, który próbuje ostatniego remedium, przed ołtarz bogini, mistrzyni ukojenia. Orestes zrozumiał wielką prawdę, z której tysiące ludzi nie zdawało sobie sprawy: jak trudno oczyścić się ze śladów krwi, nawet jeśli została przelana w słusznym celu.

Bogini wskazała remedium w postaci wody. Poleciła bohaterowi sprowadzić do Reggio podobizny Apolla i Diany i podczas podróży wykąpać się w rzece siedmiu źródeł, zidentyfikowanej później jako Metauro. Erynie opuściły Orestesa. Uzdrowiająca woda i spokój płynący z bezkresnego krajobrazu uleczyły tragicznego bohatera. Na łąkach Prozerpiny Orestes zerwał kwiat ukojenia.

Po nim historia sprawdziła w tym zakątku wielu innych bohaterów, którzy przejeżdżali tędy i zbierali kwiaty chwały i kwiaty śmierci, zawsze z miłością do tego dynamicznego krajobrazu i piękną, jakie wzbudzał.

Wyznaczając szlak ku pełnemu morzu, Lokrowie założyli tu swoją kolonię: Hipponion. Być może wcześniej istniał tu jakiś ośrodek Brucjów, Hippo lub Veip, od którego nowe miasto wzięło nazwę. Gelon z Syrakuz zabezpieczał rozwój osady, w roli przeciwnika Rhegionu, władającego cieśniną. W tamtej epoce Hipponion zyskał swój potężny pas umocnień, z których do dziś pozostało kilkaset metrów muru. Rozciągały się one na sześć kilometrów i miały kształt niemal owalny, od strony łatwiejszej do zdobycia były podwójne. Między

zdublowanymi umocnieniami znajdowała się nekropolia. Ten sam plan można dobrze zaobserwować w Mandurii w prowincji Taranto – w tym mieście być może najlepiej zachował się podwójny ciąg murów.

Miasto rozkwitło. Wokół akropolu wyrastały świątynie, których ruiny napotkać można jeszcze na wzgórzu. Wzmacniało się także obywatelskie poczucie niezależności, dzięki któremu miasto uwolniło się od dominacji Lokrów. Stąd wojny i walki przez całą epokę grecką.

I tak pojawiają się na scenie: Dionizjos Starszy i Agatokles z Syrakuz, Aleksander z Molossji⁵⁰, Kartagińczycy, Brucjowie, Syrakuzanie, Lokrowie... wzloty i upadki, rozmaite losy. Wszyscy walczyli o władzę, nie tylko nad „najpiękniejszym miejscem na ziemi”, lecz także zabiegali o zajęcie dobrej pozycji strategicznej, pozwalającej pozyskiwać drewno z pasma Serre i panować nad słynnymi stoczniami.

Wreszcie dotarł tu Rzym. Odnotujemy: wojny z Pyrrusem, a następnie okupację i rzymską kolonizację. Narodziło się lub raczej – zmartwychwstało starożytne Veip, dzisiejsze Vibo. Kolonią była Valentia. Oktawian miał tu swoją kwaterę główną podczas walk z Sekstusem Pompejuszem, władcą Sycylii. Mieszkali tu Cycleron i Oktawian; zatrzymali się tu Alaryk i Autaris⁵¹. W dobie Bizancjum

50 Dionizjos Starszy, tyran Syrakuz żyjący w IV wieku p.n.e. Skorzystajmy z ustaleń specjalistki od obrotów finansowych, by wskazać jeden z wielu talentów władcy: „Ten ambitny i wojowniczy wódz finansował swoje wyprawy wojenne głównie poprzez emisję papierów dłużnych, które (zupełnie dobrowolnie) kupowali jego poddani. Gdy jednak doszedł do punktu, w którym nie miał za co ich wykupić, pozbył się skrupułów i wydał dekret konfiskujący wszystkie monety w kraju. Opornym groziła kara śmierci. Następnie nakazał zmienić stempel na każdym skonfiskowanym pieniądzu. W ten sposób w jednej chwili z monety jednodrachmowej zrobiono dwudrachmową. Po zwiększeniu siły nabywczej pieniądza Dionizjos bez trudu wykupił wszystkie obligacje. W jego ślady szli władcy średniowieczni”. Por. A. Kasperowicz-Stępień: *Problem bankructwa państwa*. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie” 2013, nr 919, s. 68–69. Cóż osiągnął Agatokles – „Sycylińczyk, pochodzący nie tylko z pospolitego stanu, ale wręcz spośród wyrzutków gminu”? Z pewnością nie mało – stał się królem Syrakuz. Działał w sposób bezwzględny – „pędził stale poprzez wszystkie stopnie fortuny żywot zbrodniczy”. Ale ostatecznie nie trafił do panteonu sławy. Mimo iż tak wiele zawdzięczał osobistej odwadze i nieustępliwości. Jak pisał o nim Machiavelli: „Wszelako dzikie jego okrucieństwo oraz nieludzkość tudzież niezliczone zbrodnie nie pozwalają mu stanąć w szeregu ludzi wielkich”. Cyt. za: S. Filipowicz: *Czytając Machiavellego: uwagi na temat granic ludzkiej pomyślności*. „Civitas Hominibus. Rocznik filozoficzno-społeczny” 2008, nr 3, s. 77. Więcej informacji o Aleksandrze z Molossji (Aleksandrze z Epiru) przynosi przypis 34 w podrozdziale *Wśród jodeł i bergamotek*.

51 Najwięcej świadectw zachowało się z licznych pobytów w Vibo – pozostawionych przez Marka Tulliusza Cyclerona. Wibona (Vibo Valentia) staje się – dajmy na to – tymczasowym miejscem schronienia słynnego pisarza i filozofa w kwietniu 58 roku p.n.e., kiedy wydany przez rzymskich triumwirów na łup trybuna ludowego Publiusza Klodiusza Pulchera udaje się Cyclero

znowu rozbrzmiewał wśród tych murów język Homera. W czasach najazdów Saracenów miasto prawie przestało istnieć.

Kwiaty Prozerpiny, cień Orestesa, jak również drewno z Serre i stocznie uchroniły miasto od zapomnienia.

Teraz kolejny bohater przechadza się po tych kwiatnych łąkach. Fryderyk II, cesarz. Staraniami jego sekretarza, Matteo Marcofaby, miasto – które próbowali odrestaurować już Normanowie z Mileto – na powrót odzyskuje swój pierwotny blask. Na miejscu starożytnego akropolu połyskują teraz zamkowe wieże. Miasto zostaje rozmieszczone na planie rzymskim, co można zobaczyć nawet dziś, mimo wielu zniszczeń – czy to wojennych, czy naturalnych. Tylko starożytna nazwa gdzieś się gubi. Dzisiaj to, któż wie dlaczego, Monteleone.

Prozerpina osłania Monteleone, tak jak chroniła Veip, Hipponion, Valentię. Sztuka renesansowa w postaci dzieł Santacroce, Fanzago⁵², Gaginiiego zdobi świątynię San Leoluca, prace Luki Giordano i Massimo Stanzione – wypełniają pozostałe kościoły w mieście. Baldassare Peruzzi zainspirował być może twórców innego renesansowego kościoła, jakim jest świątynia San Michele⁵³. Monteleone ma te same źródła bogactwa co Hipponion i Valentia. Kultuwuje się tutaj sztukę i pielęgnuje naukę. Stąd też zawsze pozostawało w awangardzie walki o wolność.

Może dlatego inny jeszcze bohater uwielbiał jej łąki. Wielbił je tak bardzo, że – wiedziony tęsknotą – próbował powrócić tu w nieszczęściu, poszukując już

na przymusowe wygnanie. Zanim osiadł w Dyrrachium (w północnym Epirze), napisze kilka listów do swego przyjaciela Tytusa Pomponiusza Attyka. W Wibonie przebywa w majątku Syki (zapewne swojego dawnego wyzwolenica). Z jego domu wysłę także list do Attyka z końcem lipca 44 roku p.n.e., gdy – wobec niepewnej sytuacji w Rzymie po zabójstwie Cezara – Cyceron uda się ponownie na Wschód. Por. Marek Tulliusz Cyцерo: *Wybór listów*. Przeł. G. Pianko. Oprac. M. Plezia. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1962, s. 95–103, 397–399.

52 Uściślijmy – Cosimo Fanzago (włoski architekt i rzeźbiarz) – był powszechnie uważany za jednego z najciekawszych artystów (okresu – nie jak twierdzi Alberti renesansu, ale baroku), działających w Neapolu (między rokiem 1615 a 1678).

53 Warto przyrzeć się temu, co jest być może najbardziej godnym uwagi i najbardziej charakterystycznym wyrazem architektury kalabryjskiej XVI wieku: kościół San Michele w Vibo Valentia. Budynek łączony jest ze sławnym Baldassarre Peruzzim, ale który krytyka odnosi również do Giovana Francesco Donadio – być może jednego z najwybitniejszych architektów działających w Neapolu na początku XVI wieku. Jest to kościół jednonawowy, nakryty kolebkowym dachem, z transeptem i półkolistą kopułą, która spoczywa na cylindrycznym bębnie. W międzykolumnach znajdują się wysokie, wąskie okna „wiszące” od belkowania; to znaczy, że ich rama przylega do wnętrza opaski: sprawdzone rozwiązanie poczynszy od lat 60. XIV wieku we Florencji. Te motywy ozdobne i rozwiązania konstrukcyjne nadają San Michele walor niezwyklej lekkości, jakby był cennym relikwiarzem, nie prawdziwą perłą architektury. Za: F.P. Di Teodoro: *Architetture calabresi del Rinascimento. Un cannocchiale verso Napoli e Roma*. „ArchHistor” 2015, no. 3, s. 10–11.

wówczas zatrutego królewskiego kwiatu. Joachim Murat, który wybrał to miasto na stolicę Kalabrii, wyznaczył tu kwatery główną podczas przygotowań do wyprawy z zamiarem odbicia Sycylii.

Jeszcze jednego bohatera spotykamy na łąkach Prozerpiny. Tak jak my dzisiaj, tak też on zatrzymał się, by podziwiać widok. Nie nosi zbroi kartagińskiej ani greckiej tuniki, rzymskiego hełmu ani habitu bazylikańskiego, lśniącej zbroi Fryderyka II ani eleganckiego munduru Joachima Murata. Przywdział tylko swobodną czerwoną koszulę.

Podąża sam ze swoim adiutantem zdezelowaną kolaską. Ma przeciwko sobie wyniosłego burbońskiego generała Ghio, który by ukarać nazbyt liberalne miasto, jako „partyjski strzał” ustanowił trybut i zagroził najazdem. Podąża sam, bo jego żołnierze są zmęczeni.

Nie wiem, co budzi większe zdumienie: pewność Garibaldiego, magiczna siła tego człowieka, którego sama obecność wystarcza, by miasto odzyskało męznego ducha, zorganizowało powstanie i wyгнаło wroga – którego jeszcze przed chwilą tak bardzo się obawiało – czy też mało heroiczna postać owego generała, który w obliczu powstania ucieka, porzuciwszy wraz z odwagą swój bagaż.

W okresie przedwojennym miasto odzyskało starożytną nazwę: Vibo Valentia.

Nie tylko ptaki mają wyznaczone szlaki, którymi latają z północy do ciepłych krajów. Również bohaterowie działają wedle planu, wypełniając swoje przeznaczenie. Jednym z tajemnych punktów na trasie historii często bywało Vibo.

JEDNA Z NAJBARDZIEJ LUDZKICH ISTOT

Jako córka ery przemysłowej, zepsuta (być może wbrew własnej woli) przez merkantylny sposób myślenia, z pewnością nie jestem najwłaściwszą osobą, by przedstawić sylwetkę Franciszka z Paoli jako świętego.

Na pocieszenie dla całej naszej epoki, która jest co najmniej nieświęta, chcę przypomnieć tylko to, co świat zawsze dobrze wiedział i dziś również wie: że istniała, w najróżniejszych czasach i wśród najrozmaitszych ludów, szczególna grupa ludzi, których natura wybrała na potwierdzenie swoich zasad i najszlachetniejszych praw.

Ludzie, którym dała siłę ogrodników, cierpliwość uprawiania własnego wewnętrznego wirydarza w taki sposób, by nie pozostał żaden cierni, żaden chwast zakłócający duchowy rozwój i by zawsze kwitło w nim obfite kwiecie.

Tego rodzaju osoby, rozsiane pośród gminu, można powiedzieć, że ukształtowały cywilizację, kulturę i ocaliły tę odrobinę moralności istniejącej na świecie. Wszystko jedno, czy chodzi o wielkiego filozofa, czy o artystę, o założyciela kultu religijnego czy świętego, o prawodawcę czy krytyka, o socjologa czy pisarza. Można powiedzieć, że ich szkielet osadzono na innym planie albo że materia, z jakiej zostali ulepieni, była odmienna.

Również tu, w życiu jednego z najbardziej interesujących świętych, jakich możemy znaleźć we włoskim kalendarzu, świętego Franciszka z Paoli, będę poszukiwać cech ludzkich, arcyłudzkich. Interesuje mnie przede wszystkim jego człowieczeństwo. O owym świętym napisano już wiele z pewnością bardzo interesujących tomów. O czynionych przez niego cudach ostateczny sąd wydała bulla z 1517 roku. Mimo to każdy poeta czy psycholog wybiera z życia świętego to, co najbardziej mu odpowiada, co robi na nim największe wrażenie. Ja natomiast rozmyślam dzisiaj nad jednym słowem, wokół którego św. Franciszek z Paoli osnuł swoją filozofię, zbudował swoje życie i które posłużyło mu za fundament zakonu i reguły minimitów: „Charitas”, miłosierdzie.

Odpowiesz od razu: „Nic nowego”. Tak, wiem. Lecz św. Franciszek z Paoli wyniósł to słowo do rangi błyszczącego diamentu i obrał je za motto wszelkich swoich czynów.

Powiedział:

„Kto ma miłosierdzie, ma wszystko. Kto jest pozbawiony miłosierdzia, nie posiada żadnego dobra”.

Czym jest owo miłosierdzie? Nie jestże to życiodajny sok, który nasze serce powinno tłoczyć, by nie wyschnąć na wiór w piersi człowieka? „Miłosierdzie” to może być prawdziwa krew, przepływająca przez serce człowieka i pozwalająca mu bić żywo, chłonać zmysłowe uczucia. „Kto jest pozbawiony miłosierdzia, nie posiada żadnego dobra”. Potrzeba innego komentarza?

„Zapomnijcie o doznanych niesprawiedliwościach, bo one zabijają »Miłosierdzie«”. Jeśli przypominamy sobie ciągle „doznane niesprawiedliwości”, będziemy nosić ustawiczne pragnienie zemsty, odpłacenia się w taki sam sposób. Nigdy zatem nie obudzi się w nas miłosierdzie.

„Miłosierdzie zmiękcza i rozpala najtwardsze i najbardziej zlodowaciałe serca”.

Jest zatem czymś podobnym do płomienia, przy którym powinien roztopić się lód serca, lub do małego młotka, którego każde uderzenie kruszy twardą powłokę.

„Kochajcie się nawzajem i czyńcie wszystko, co czynicie, z miłosierdziem”.

Tym zdaniem święty dotknął jednej z najniebezpieczniejszych strun napiętych w umyśle ludzkim. Zarobić, zarobić, zarobić, ile wlezie! Nic za darmo! Płaćcie! Płaćcie! Dwie rękami! Jedna liczy pieniądze! Druga, już wyciągnięta,

czeka! Nie płacisz, więc nie będziesz miał! Naturalnie, organizacja społeczna nie może opierać się tylko na „miłosierdziu”, lecz jest wiele przypadków, w których człowiek nie powinien odwracać się od tego słowa. A jednak jakże często spotykamy merkantylnego potwora tam, gdzie mógłby być zastąpiony przez anioła Miłosierdzia.

Pośród wielu przekazanych nam opowiadań o cudach św. Franciszka dwa można uznać za najbardziej poetyckie. Widzimy tam, jak święty walczy z materialistycznym wężem chciwości, który oplata serca ludzkie.

W drodze na Sycylię św. Franciszek, jak zawsze bez pieniędzy, za całe bogactwo mając swój wierny kij, zobaczył na plaży Catony łódkę handlarza, już załadowaną i gotową do odcumowania. Podszedł i poprosił o podwózkę do Messyny.

– Masz pieniądze – zapytał właściciel – by zapłacić za kurs?

– Nie, nie mam nic. Przepraw mnie jednak w imię miłosierdzia.

Właściciel odmówił. W jego głowie kłębiły się już chciwe myśli.

Cóż więc się stało?

Przypominasz sobie może Liszta, który w języku muzyki wyraził szum fal wygładzonych płaszczem św. Franciszka, idącego po tafli wody, i lekki oddech wiatru, jego steru i marynarza⁵⁴. Ta poetycka legenda zainspirowała niezliczonych artystów, a papież Grzegorz XIII nakazał Dantiemu uwiecznić tę doprawdy niezrównaną scenę na fresku w *Galerii map geograficznych* w Watykanie⁵⁵.

54 Lisztowi patronował Franciszek „kroczący po falach” – bohater słynnej *Legendy*. I jak zastrzeża wrocławski muzykolog, „to właśnie ten kompozytor odegrał istotną rolę w nurcie muzycznego franciszkanizmu jako promotor religijnie inspirowanej muzyki fortepianowej romantyzmu. W jego muzyce, reprezentatywnej dla tego nurtu, łączą się cechy typowe dla estetyki francuskiej: uwydatnianie kolorystyki dzieła i klarowności formy, inklinacja ku ilustracyjności [...]. Zaowocowało to powstaniem nowego typu dzieła światopoglądowego o charakterze muzycznego misterium. [...] Unia kapłana sztuki i zarazem duchownego katolickiego w lisztowskiej biografii stanowiła wymowny symbol radykalizmu ideowego, który miał kontynuatorów tak wśród późniejszych heroldów doktryn teozoficznych i okultystycznych (A. Skriabin), jak i twórców wiernych światopoglądowi chrześcijańskiemu (O. Messiaen). U podłoża nurtu religijno-mistycznego późnego romantyzmu, a następnie modernizmu, leżała lisztowska skrajna subiektywizacja i semantyzacja struktury muzycznej poprzez obdarzanie jej atrybutami znaczeniowości religijnej, poczynając od romantycznej programowości aż po procesy narracyjne w duchu aktów mistycznych”. Cyt. za: B. Raba: *Franciszkanizm w twórczości kompozytorskiej Charles’a Tournemire’a*. „Roczniki Teologiczne” 2018, z. 13, s. 195–196. W apostroficznym zwrocie Autorka odsyła czytelnika oczywiście do drugiej *Legendy* fortepianowej Liszta, napisanej w 1863 roku, gdy kompozytor zamieszkał w klasztorze Madonna del Rosario na Monte Mario. Chodzi o utwór: *Święty Franciszek z Paoli chodzący po falach*.

55 Ikonografia, jaką znamy dzisiaj, zaczęła się upowszechniać pod koniec XVI wieku, być może za sprawą Ignazio Dantiego. Artysta ten na zlecenie Papieża stworzył *Galerię map geograficznych* – którą można zwiedzać w Watykanie. Jest to rozległy, bogato zdobiony korytarz, który prowadzi do Kaplicy Sykstyńskiej: miejsca, w którym papież „wybrał się na spacer po Włoszech,

Święty poradził sobie sam wobec odmowy przewoźnika. Rozwinął płaszcz na wodzie i na nim przeprawił się na drugi brzeg.

Innym razem, kiedy wyjeżdżał z Kalabrii, by udać się do Neapolu, słynny Martinello, osiołek, który od dawna miał zużyte podkowy, cierpiał z powodu kamienistej drogi. Święty Franciszek zatrzymał się przed warsztatem kowala i poprosił go, by zaopatrzył jego towarzysza. Kiedy podkowy były już założone, rzemieślnik wyciągnął rękę po zapłatę.

Widząc ten gest, św. Franciszek wyjaśnił, że nie ma pieniędzy, lecz żywi nadzieję, że kowal miłosiernie daruje mu zapłatę. Lecz raz jeszcze górę wzięła ludzka chciwość. Kowal stanowczo odmówił i zażądał pieniędzy.

Wówczas św. Franciszek rozmówił się z Martinello, może tymi słowami, może innymi, nie wiem: „Jego serce jest bardziej zatwardziałe niż to żelazo. Zdejmij podkowy, Martinello, i oddaj mu”.

I tak oto osioł, jedna noga po drugiej, zdjął sobie podkowy, które upadły na ziemię.

Czytając to, mamy poczucie satysfakcji. Iluż... „kowali” zasługiwałyby na taką samą zapłatę!

Widzimy zatem, że św. Franciszek wraz ze swoją filozofią uderza tam, gdzie jest najtwardszy opór, właśnie od tego najbardziej jałowego kąta duszy chce rozpocząć proces jej odrodzenia.

Inną jeszcze imponującą cechą św. Franciszka jako człowieka jest odwaga, z jaką potrafił sprzeciwić się możnym tego świata.

Kiedy przebywał na dworze króla Ferrante d'Aragona⁵⁶, ten kusił go, oferując misę pełną złotych monet na założenie zakonu minimitów w Neapolu. Lecz

nie wychodząc z Pałacu”. To właśnie w tym dużym pomieszczeniu Danti namalował Franciszka z Paoli – w akcie przeprawy przez morze, stojącego w ciemnym płaszczu, a właściwie używającego go jednocześnie, jako tratwy i żagla. „Nawigacyjna wersja” świętego pojawia się na fresku niedaleko mapy Kalabrii. Por. <https://www.corecalabro.com/francesco-di-paola-e-lo-stretto-di-messina/> [dostęp: 24.10.2024].

56 Ferdynand I – znany w przekazach także jako Ferrante, sprawował władzę (jako król Neapolu) od roku 1458 do 1494. Był nieślubnym synem Alfonsa V, neapolitańskiego króla, który jednak uznał jego sukcesję. Rządy nowego władcy obfitowały w liczne konflikty wewnętrzne. Musiał zmagać się ze zbrojnym powstaniem możnowładztwa neapolitańskiego, które zostało podburzone przez Andegawenów. W 1464 roku udało się królowi stłumić rebelię w sposób krwawy i bezwzględny. Nieposłuszni baronowie zostali srodze ukarani. Doprowadziło to do kolejnego buntu, który przez jakiś czas pozbawił go tronu na rzecz księcia Lotaryngii. W jawnym konflikcie z królem pozostawał również Franciszek z Paoli. Krytykował ciemnienie mieszkańców Neapolu, nawet w sposób zgodny z prawem. Franciszek uznawał to za czyn skrajnie naganny z ludzkiego punktu widzenia, który dla niego stanowił grzech śmiertelny, naruszający boskie przykazania. Por. G. Caridi: *Il controverso rapporto tra Francesco di Paola e Ferrante D'Aragona*. „Mediterranea – Ricerche Storiche” 2015, no. 12, s. 14.

święty, który już wiele razy odważnie upominał księcia z powodu prowadzonej przez niego polityki, zbyt surowej wobec ludu, a raz nawet przepowiedział upadek Korony Aragońskiej na skutek jego niebezpiecznego postępowania, tym razem również skorzystał z okazji, by dać władcy lekcję sprawiedliwości społecznej.

– To złoto nie jest wasze i wam się nie należy, gdyż zostało zbrukane krwią poddanych, torturowanych waszymi wygórowanymi podatkami – stwierdził.

A kiedy książę zaprotestował, św. Franciszek odpowiedział w niebywale elokwentny sposób. Wziął monetę z tacy, złamał ją w dłoni i wypłynęła z niej krew...

Innym razem odwaga cywilna św. Franciszka przybrała osobliwą poetyczną formę. Kiedy otrzymał od księcia talerz smażonych ryb, przywrócił im życie i odesłał do władcy, połyskujące w naczyniu z wodą, z prośbą, by „zechciał uwolnić wszystkich nieszczęśników, którzy dogorywają w lochach więzień, tak jak on zwrócił życie tym rybom”. Oto kolejna scena, w której skontrastowane są dwa tak różne światy.

I można byłoby przytoczyć wiele tego typu anegdot, gdyż w swoim życiu św. Franciszek miał sposobność rozmawiać twarzą w twarz z największymi możliwymi tego świata. Z papieżami i ministrami, królami i ambasadorami, zachowując zawsze godność i odwagę do wyrażania własnych myśli i opinii.

Na prośbę króla Ludwika XI papież Sykstus IV rozkazał świętemu udać się do Tours, by uzdrowić tamtejszego władcę. Święty Franciszek był bardzo dziwnym taumaturgiem. Czynił cuda zawsze „z miłosierdzia”, nie na rozkaz lub dla wygody. Mogło stać się to, o czym nigdy nie śniłby biedny pstrąg wykradziony i ugotowany przez łakomego księdza: powstać raz jeszcze z ości i podskakiwać w bystrej wodzie. Mogło zdarzyć się to, o czym nigdy nie śniłby biedny baranek, który – upieczony przez żarłocznych robotników – mógł znowu zobaczyć boski świat i skubać sobie trawę, becząc na cały głos. Nie mogło ziścić się to, o czym tak bardzo marzył wielki król Francji, która podówczas dominowała nad całą Europą.

I chociaż papież ponowił grzecznie, acz stanowczo, w liście „z Rzymu 11 czerwca 1483 roku”, swoją prośbę, by „uleczyć i zachować w dobrym zdrowiu Jego Królewską Mość”, św. Franciszek nie uczynił tego cudu. Odpowiedział, że nie czuje w tej sprawie woli Bożej.

Mogę sobie wyobrazić postawę św. Franciszka z Paoli. Jego osobowość wzbudza we mnie szacunek! Jeden cud uczyniony w Tours, na królewskim dworze, mówiąc dosadnie, zagwarantowałby św. Franciszkowi niewiarygodną pozycję. Lecz na szczęście świętego nie interesowała taka kariera. Udał się tam bowiem wbrew własnej woli.

Wyobrażam sobie cud tak jak każde wielkie dzieło duchowe, jako spontaniczną twórczość. Istota człowieka musi zostać poruszona jakąś sytuacją lub tragedią w taki sposób, że – reagując natychmiast każdym swoim włóknom – sprzeciwia się jej i dokonuje jej przemiany. To rozkaz twórczego impulsu, płynący z najgłębszego i tajemnego wnętrza człowieka, tak jak napisanie *Boskiej komedii* czy skomponowanie *Eroiki*. Żadne wielkie dzieło nie powstało nigdy na zamówienie.

Jaką cechę wspólną mają cuda św. Franciszka przekazywane przez tradycję i poświadczane bullą kanonizacyjną z 1517 roku? Otóż były zawsze reakcją na głębokie impulsy duchowe. Wynikały one z iluminacji i święty Franciszek natychmiast odpowiadał „światłem”. Jak on sam nazywał ten impuls? Wolą Bożą!

Natomiast w Tours nie mógł uczynić cudu w sposób wyrachowany. Nic go tam nie uderzyło. Nic nie poruszyło do głębi. Inaczej niż w historii z barankiem i pstrągiem, żadna inspiracja nie zadziałała. Zainteresowany cudem był tylko... król, wobec którego św. Franciszek d'Alessio zachował swą pryncypialną postawę.

Pewnego razu otrzymał od króla figurkę Maryi Panny z litego złota. Od razu ją zwrócił, odpowiadając, że „jego kult Matki Bożej nie opiera się na złocie”. Ludwik XI nalegał na przyjęcie daru, wskazując, że statuetkę można sprzedać, a dochód przeznaczyć na jałmużnę.

Natychmiast padła odpowiedź świętego:

– Nie do mnie należy rozdzielanie jałmużny władcy: ma on swoich jałmużników, niech się nimi posłuży.

Obserwujemy tu niezwykle interesujący konflikt racji – tak dzieje się zawsze, gdy spotykają się dwa przeciwne światy, dwie silne indywidualności, stworzone z odmiennej materii, przeniknięte inną energią.

Osobowość św. Franciszka, dzisiaj, w epoce nierówności klasowych, emanuje imponującym światłem i dodaje nam otuchy. Franciszek d'Alessio bierze odwet na wszystkich pochlebcach i „lizusach”.

Wobec postępującej choroby Ludwik XI wezwał świętego i zapytał:

– Oczekuję od ciebie jasnej i precyzyjnej odpowiedzi. Wyzdrowieję z tej choroby czy nie?

Minęły cztery miesiące, odkąd święty przybył do Tours. Odpowiedź wybrzmiała klarownie:

– Otóż, królu, muszę wam powiedzieć, że nie wyzdrowiejecie i że trzeba uporządkować niezwłocznie wasze sprawy, gdyż pozostaje wam niewiele czasu.

Po tej odpowiedzi konflikt został zażegnany. Jeden z dwóch musiał wygrać. Ile razy w historii przegrywali królowie! Ponosząc jednak klęskę, uzyskiwali

coś więcej. Piękna śmierć Ludwika XI stanowiła jednocześnie jego koniec i jego zwycięstwo.

Święty Franciszek nie uleczył ciała, lecz przygotował króla na dobre odejście z tej ziemi. Pocałunek złożony przez świętego na czole umierającego władcy był pierwszym wiatykiem na tę nieznaną drogę, którą musiała przebyć „boska osoba” monarchy.

Odwaga cywilna! Jakże rzadka i godna szacunku cecha!

Krajobraz, chociaż nie kształtuje człowieka w całości, z pewnością zostawia głęboki ślad w strukturze jego uczuć.

Wybrzeża z wcięciami zatok, solenność samotności, bogactwo kolorów, słońce, które tu nie gaśnie prawie nigdy lub co najwyżej gaśnie tylko po to, by obudzić się po kilku godzinach z nowymi siłami, zapach kwiatów, owoców, spokój, wielki nauczyciel kontemplacji – wszystko to z pewnością kształtuje nieprzeciętne charaktery.

Gdyż, jak już powiedziałam, od czasu do czasu natura modeluje wrażliwe naczynia, w których umieszcza swoje najszlachetniejsze dzieła. Z całą pewnością św. Franciszek był jednym z tych naczyń, w których powstawał najsmaczniejszy nektar.

I niemożliwe, by kalabryjski krajobraz nie wpłynął na koleje życia św. Franciszka i formę jego filozofii. Mając przed sobą tak cudowny widok, wydawało mi się nierealne – tu, gdzie twarda skała łagodnieje i robi miejsce winoroślom – by jednostka ludzka mogła pozostać nieelastyczna i zatwardziała. Krajobraz wpłynął na rozumienie miłosierdzia. Święty Franciszek zaprosił człowieka, by ten stał się harmonijną częścią tego pejzażu, godną częsteczką Jedności.

Światło, jakim emanował, nie jaśniało tylko jemu współczesnym. Jeszcze dziś, po wielu wiekach, możemy zobaczyć jego całkowicie czystą aureolę. Pewien francuski krytyk, może zbyt egzaltowany, powiedział o tej osobowości: „Nie Bóg, bo więcej niż Bóg”. Do imponującego wieńca definicji ja też pragnę dołożyć mój dopisek: „Jedna z najbardziej ludzkich istot” (naturalnie spośród tych, którzy zostali stworzeni na Boże podobieństwo!).

Wszystkie słynne podobizny ukazują św. Franciszka z Paoli jako postać surową, ascetyczną, otoczoną nimbem niezwykłości. Tak wygląda na portrecie w Zakonie Minitów w Lyonie, podobnie na portrecie Bourdichona, nadwornego malarza Ludwika XI, przyjaciela świętego, konterfekcie podarowanym przez Franciszka papieżowi Leonowi X. Ten sam wyraz odnalazł w postaci świętego Jacopo Vignali, przedstawiając go w momencie, gdy rozmnaża chleb – obraz znajduje się w kościele Minitów we Florencji. Wychudzona twarz, w ekstazie, jak na płótnie bolońskiego malarza Gandolfiego, na

którym Archanioł pokazuje mu herb minimitów „Charitas”. Lecz najbardziej znaczące na każdym z portretów św. Franciszka z Paoli są dłonie, giętkie, chude, pełne magnetycznej siły. Każdy artysta chciał zawrzeć w układzie tych dłoni pewien rodzaj mocy, świadczącej o panowaniu nad światem niewidzialnym, ujawnić hipnotyczną siłę, której nie mają ludzie stworzeni wyłącznie z krwi i kości⁵⁷.

Moja wyobraźnia idzie w zupełnie innym kierunku. Postać świętego jawi mi się zawsze uśmiechnięta, tak jakby był jakimś... Pestalozzim⁵⁸. Takim, jakiego widzimy na obrazach, freskach, pomnikach, mógłby być na tle krajobrazu – na przykład – niemieckiego. Lecz pejzaż kalabryjski z pewnością stworzył ten czuły, filozoficzny uśmiech na twarzy Franciszka. Pojawia się on nie tylko na ustach, lecz zobaczyć możemy go także na czole, w oczach, rozpoznać w owalu twarzy, w profilu, w całej postaci.

Jak bowiem człowiek, który zdecydował się walczyć tak dziwnym orężem jak „Charitas”, mógłby być pozbawiony uśmiechu?! To właśnie uśmiechem człowiek może dotknąć serca!

Podsumowując: niech każdy wyobraża sobie tę postać tak, jak chce. Może nawet tak, jak na genialnym portrecie Murilla, tam, gdzie św. Franciszek z podniesioną głową zdaje się połączony z niebem jakimiś tajemnymi fluidami. Nie chcę narzucać nikomu mojego wyobrażenia... z uśmiechem.

57 Oto poczet artystów, którzy sportretowali Franciszka z Paoli: Jean Bourdichon (1457 lub 1459–1521) był francuskim malarzem i iluminatorem rękopisów na dworze francuskim od końca XV do początku XVI wieku. Urodził się prawdopodobnie w Tours; Jacopo Vignali (5 września 1592–3 sierpnia 1664) był włoskim malarzem wczesnego baroku; Ubaldo Gandolfi (1728–1781) był włoskim malarzem, rysownikiem i rzeźbiarzem okresu późnego baroku, działającym głównie w Bolonii i jej okolicach. Znany przede wszystkim z obrazów opracowujących tematy biblijne, mitologiczne i alegoryczne, a także z wykonywania portretów i aktów.

58 Być może ten tajemniczy uśmiech należy do Johanna Heinricha Pestalozziego – szwajcarskiego pedagoga i pisarza, twórcę teorii nauczania początkowego. O tyle zaskakujące jest porównanie Franciszka z Paoli do Pestalozziego, że ten drugi wyznawał dość postępowe poglądy, poparł Rewolucję Francuską, a także potępiał apsycho logiczne szkółki „katechizmu”. Uznawał on zasadę pogładowości polegającą na nauczaniu opartym na rozwijaniu spostrzegawczości, uszczegółowieniu i uogólnieniu cech poznawczych przedmiotów, ale także na nauce logicznego myślenia. Słynął również z wielkiej empatii. Oto próbką jego słów: „Ręka ich spoczywała w moim ręku, ich oko odbijało się w mojem. Łzy moje płynęły z ich łzami; uśmiechałem się, gdy one się uśmiechały. Ich jadło było moim jadłem, ich napój moim napojem”. Wypowiedź Pestalozziego pochodzi z okresu, gdy prowadził dom dla sierot w Saintz. Przygarniane dzieci były schorowane, skrajnie wyczerpane, często ze zmienioną przez los psychiką. Pestalozzi sam siebie określał jako „ojca sierot”, co streszcza jego postawę życiową. Por. S. Sztobryn: *Polskie badania nad myślą pedagogiczną w latach 1900–1939 w świetle czasopiśmiennictwa. Ujęcie metahistoryczne*. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2000.

TAM, GDZIE DZIAŁY SIĘ CUDA

Oczywiście widziałam już wiele świątyń pod wezwaniem św. Franciszka d'Alessio wspanialszych niż ta w Paoli. Na przykład Bazylika Królewska w Neapolu pod wezwaniem Divo Francisco de Paulo – Ferdinandus I – ex voto – MDCCCXVI, w centrum miasta, naprzeciwko Pałacu Królewskiego, cała z cennego marmuru, osadzona na neoklasycystycznych kolumnach, z pewnością jest bardziej majestatyczna od tej. Lecz sanktuarium oraz klasztor w Paoli mają zupełnie wyjątkowe walory.

Być może dlatego, że wszystkie pozostałe kościoły znajdują się w mieście, blisko zwykłych ludzkich spraw; i dlatego człowiek, przechodząc obok nich, nie może się skoncentrować, czując zbyt wyraźnie wpływ otoczenia. Podczas gdy świątynia w Paoli wydaje się być wpisana, niezwykle sugestywnie, w krajobraz. Otoczenie, w jakim się znajduje, wpływa na sanktuarium, zdaje się, jakby wymiary fizyczne faktycznie rozmywały się w nim, by mogły jaśnieć wyłącznie wymiary duchowe.

I nie tylko dlatego, jak sądzę, ma ono w sobie ten oryginalny czar. Wyłania się z głębi legendy, spoczywa na „wzniosłych fundamentach”. Cała historia jego budowy naznaczona jest elementami cudu. I może również dlatego, że już w swym załączku przechowuje zapowiedź przyszłej wielkości. Lub też dlatego, że wszystko zostało zbudowane na chwałę miłosierdzia, bo tu, jako murarz, pracował sam św. Franciszek, ze swoimi pierwszymi współbraćmi, bo siłę pieniądza zwyciężyły tu dobra wola i pracowitość. Lub jeszcze też dlatego, że pojawił się tu raz dziwny człowiek, w habicie zakonnym, nigdy wcześniej przez nikogo niewidziany. Dostrzegłszy małe rozmiary wznoszonej świątyni, zapytał:

– Co tu budujecie, mój drogi?

– Dom Boży – odpowiedział św. Franciszek.

– Taki mały? – zdziwił się nieznajomy.

– A jak miałby być większy, jeśli budowany jest wyłącznie za pomocą miłosierdzia?

Lecz nieznajomy naszkicował nowy, większy projekt budynku i zniknął. Franciszek d'Alessio nie zawahał się zburzyć tego, co zostało zbudowane, i zmierzyć się z większym przedsięwzięciem. Zgodnie z legendą nieznajomym był Święty z Asyżu, któremu od dzieciństwa powierzony był mały mieszkaniowiec Paoli. Zrealizowała się tu niemalże szalona filozofia Mickiewicza – największego polskiego poety okresu romantyzmu – „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił!”.

Bardzo szybko dojeżdżamy do Paoli. Miasto jeszcze śpi, lecz światło na morskich falach już się przebudziło i obiecuje jeden z tych kalabryjskich dni, pogodnych, z niebem bez chmur, o których z nostalgią marzy w jesienne wieczory człowiek Północy. Dzień ten wyłania się spomiędzy białych płatków, gdyż jest kwiecień i drzewa kwitną, wszystkie naraz. Rozsiane po wzgórzach, zamknięte w ogrodach, ściśnięte przy murkach, tak, że i one zdają się zatracać w walce o przestrzeń życiową. Są niczym magiczna efemeryda, biały festiwal niosący radość – bardziej niż oczom – podniebieniu, gdyż w tych zalążkach można już wyczuć słodycz przyszłych owoców. Jakże różne mogą być wrażenia spoglądających na ten biały festiwal natury. Jest w nim coś z muzyki, co można percypować w formie tonów i zatrzymać w sercu: każdy kwiatek – jeden ton. Któż mógłby zatem wyobrazić sobie koncert tej monochromatycznej powodzi?

Biała magia towarzyszy nam wciąż w śpiącym jeszcze mieście. Nie przełamie jej nawet średniowieczny herold, który dźwiękiem tamburynu i okropnym głosem, niemal z okrucieństwem, ogłasza... może desant korsarzy na wybrzeże? Nie, minęła już ich epoka. W ten starodawny sposób ogłasza tylko, że „o 10 przy Salita Rocchetta, za jedyne 350 lirów za kilogram będzie sprzedawana jagnięcina”.

Jest rok pański 1949, lecz wiadomość wypuszczona z tego średniowiecznego głośnika rozprzestrzenia się szybciej niż transmisja radiowa. To okrutne obwieszczenie budzi miasto, sprawia, że zaczynają się otwierać drzwi, okna, okiennice, ogrody... a posłaniec, dumny ze swej misji, otoczony rojem dzieciaków, już nie człowiek, lecz symbol znaczący, przemierza ulice.

By umilić sobie początek dnia, pijemy trochę wina. Chwilę potem udajemy się do sanktuarium. Od wejścia wita nas pierwszy cud Franciszka d'Alessio. Dwanaście filarów, ozdobionych majolikami, z których każda przedstawia osobną scenę. Oto nasz Martinello, który radośnie wychodzi z kuźni i wesołym rykiem pozdrawia kalabryjski krajobraz. Oto spotworniałe dziecko, któremu święty przywraca ludzki wygląd... Szkoda tylko, że to wszystko nie zostało wykonane w sposób bardziej artystyczny, lecz zgodnie z gustem gawiedzi. Żałuję, że forma nie potrafiła się tu dostosować do poetycznej zawartości. Lecz lud kalabryjski, który tłumnie udaje się tu każdego roku na pielgrzymkę, nie troszczy się, jak my, o formę. Chce zadowolić przede wszystkim własną fantazję, pragnie się nasycić treścią cudu. Być może nie istnieje bowiem w Europie lud tak głęboko pragnący objawień i gotowy je docenić, jak lud zamieszkujący Półwysep Apeniński.

Bazylika zbudowana jest w wąwozie potoku Isca i przeszła wiele zmian, zawsze jednak pod osłoną legendy. Samotność, która ją otacza, malownicze położenie – z daleka przypominają mi siedziby licznych klasztorów w Bułgarii, które odwiedziłam – oddalone od świata, odcięte wśród gór.

Najbardziej artystyczną część świątyni, ogłoszonej bazyliką w 1928 roku, stanowi z pewnością renesansowa fasada, wyżej wzbogacona o formy barokowe. W kościele, trzykrotnie przebudowywanym, nie ma ciała Świętego, zmarłego w Tours w 1507 roku i pochowanego w tamtejszym klasztorze. Później hugonoci sprofanowali grób i podpalili ciało, które, zgodnie z opowieściami, po 50 latach od śmierci było jeszcze nienaruszone. W kaplicy w Paoli – z pewnością najbardziej intrygującym zakątku świątyni, surowej stylistycznie – w biało-czarnym marmurze, zachowany jest relikwiarz, w którym złożono: płaszcz związany z cudem, którego pewnego razu dokonał podczas przeprawy przez Cieśninę Mesyńską, chodaki, kaptur, garnek, w którym Święty gotował bez użycia ognia. Wieczne światło lampy, która się tu pali, wskazuje na niecodzienność tego miejsca, gdzie przechowywane są najdroższe pamiątki po wielkim mieszkańcu Paoli.

Ale nie tylko w tej kaplicy przechowuje się relikwie św. Franciszka. Już samo oryginalne położenie całego kompleksu budowli, z których duża część rozpięta jest na odważnie przerzuconym przez strumień moście – świadczy o niezwykłym procesie powstawania tego sanktuarium, które musiało zmieścić się na niewielkiej przestrzeni między szumiącą wodą strumienia a skałą wąwozu, która otacza je ze wszystkich stron. Wszystko to wydaje się kontynuacją cudów Świętego, tych znaków, które towarzyszyły krok po kroku powstawaniu świątyni – od pierwszego załążka tej budowli.

Być może żadne sanktuarium nie miało tak osobliwych początków. Tajemniczy nieznajomy – pierwszy architekt, który zdecydował o powiększeniu projektu i naszkicował nowy plan; dziwni robotnicy, pracujący dla jedynej, nie-spotykanej łaski, słowa „Charitas”; kuriozalne metamorfozy bezwładnej materii przeznaczonej na budowę.

Oto „strefa cudów”..., oto kilka metrów kwadratowych, na których materia odmówiła posłuszeństwa wszelkim prawom fizyki, by pozostać posłuszna wyłącznie jednej regule, jednemu słowu: „Charitas”! Tam widać kuźnię, gdzie Święty wyszedł bez szwanku i z której – w czystym kwietniowym powietrzu – zdaje się, że widzimy, jak wyskakuje ożywiony Martinello. Oto woda „z kukułczego gniazda”, źródło, które doświadczyło tu powtórki cudu Mojżesza, jeszcze dalej widzimy wiszący głaz, do dziś podtrzymywany – wbrew prawom grawitacji – przez wszechmogące słowo Świętego. I kolumna, która jakby zrezygnowała z własnego ciężaru, żeby Nicola Picardi, naśladowca atlety Milona, mógł osobiście wnieść swój niezwykły wkład w budowę świątyni.

W romantycznych krążgankach klasztoru zdaje się, jakby czas się zatrzymał. Tutaj żyje się bowiem według tej samej reguły, według której żyli bracia pięć wieków temu. I ta surowa zasada, poskramiająca wszystkie najniebez-

pieczniejsze ludzkie instynkty, przetrwała jako najpiękniejsza żywa relikwia, jaką pozostawił Święty.

Coś, co żyje od pięciuset lat, musi być obdarzone dużą wewnętrzną siłą. Przez ten spokojny klasztor, pełen boskiego światła, przeszło wiele wysublimowanych ludzkich myśli, dokonało się wiele dzieł, które za swój początek miały skromne słowo „Charitas”...

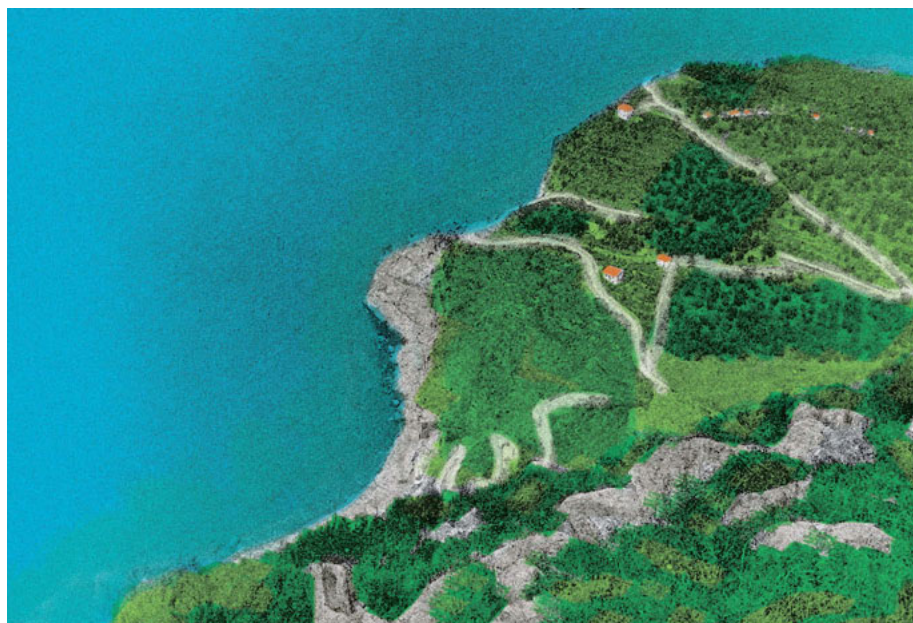
Z tyłu sanktuarium – most, Ponte del Diavolo zuchwale przerzucony ponad wodami potoku Isca, podczas gdy drugą woltę wykonuje legenda opowiadana o nim.

W końcu schodzimy do groty. Jeszcze jedno dziwne miejsce, wskazane przez młodość, która lubi się przemieszczać, która kocha zmiany. Wybrała ona ten mały kąt i ochoczo się w nim zamknęła bez żadnej presji ze strony otoczenia. Postanowiła w małej jamie prowadzić bogate życie kontemplacyjne. Tak upłynęło pięć lat: od 14. do 19. roku życia. Dokładnie wtedy, gdy kształtują się fundamenty ludzkiej natury, które potem będą modelować całe życie. Oto pięć najniebezpieczniejszych lat, kiedy człowiek zmagą się sam ze sobą, minęło w tej samotności, w której młodzieniec skazany był na solilokwium lub monolog wobec milczącego świata.

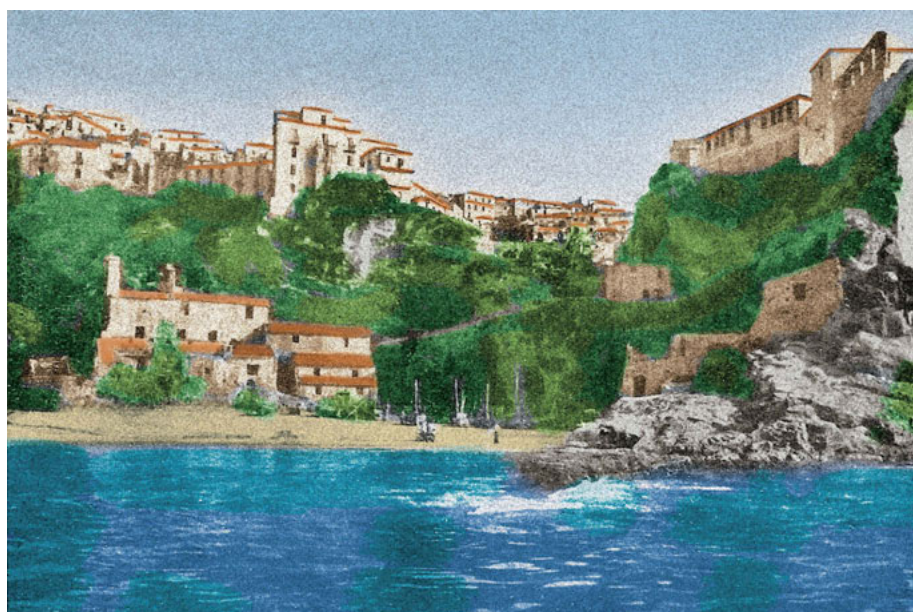
Oto czas i miejsce, kształtujące św. Franciszka z Paoli. Z tej groty wyszedł silny, na szeroką drogę – gotowy na trudy życia.

Wróćmy do sanktuarium. Tej świątyni, która – jak nam się wydaje – nie jest zbudowana z materii, z kamienia, z marmuru, z cementu, lecz tylko z substancji wiary.

•
•
•
•
•



...rzeźba małych skalistych przylądków, niewielkie zatoki...



Tak jak zamek w Scilli, ten również zanurza się w klifie i sprawia wrażenie,
jak gdyby z niego wyrastał

POD GWIAZDAMI WIELKIEJ GRECJI

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

POKŁOŃ SIĘ RUINOM

Kiedy Rzymianie byli jeszcze biednymi pasterzami zamieszkującymi słomiane szałasysy wsparte na palach, kiedy Rzym przecinały wąskie, kręte uliczki z rozmieszczonymi przy nich chatami z błota, kiedy obywatele nie używali jeszcze pieniądza, a za środek wymiany wystarczały fragmenty zbroi umieszczone na wadze, kiedy żywili się oni ciemnym chlebem orkiszowym i wino stosowali tylko jako lekarstwo, a kobiecie nie wolno było w ogóle go pić, kiedy rzymskim matronom zabroniono użycia pudru i nie znały one biżuterii, „jako że nawet obrączki ślubne były z żelaza”, kiedy tysiące biedaków w gospodach jadało bób z octem i „chleb plebejski”, tutaj, pod niebem Kalabrii, na wybrzeżach jej dwóch mórz: Jońskiego i Tyrreńskiego, kwitła bogata, zmysłowa, jedna z najbardziej wyrafinowanych kultur ludzkości: Wielka Grecja!

Eleganckie ubrania ze szlachetnych tkanin, domy pełne marmurów i dzieł sztuki, artystyczna biżuteria i ceramika, naczynia i statuetki, meble i freski, kultura ciała i spektakle teatralne, wyszukane dania i wspaniałe wina, piękne kobiety i sportowcy, miasta liczące pół miliona mieszkańców, obfitujące w świątynie, kolumny, akropole, termy, teatry, procesje religijne, sporty, poezję.

Podczas gdy Rzymianin żyje jeszcze pogrążony w ciemnych przesądach, nie wychodzi z domu, zanim nie zasięgnie porady augura wywiedzionej z lotu ptaków, która może okazać się dla niego złym omenem, i nie podejmuje żadnej decyzji, zanim nie sprawdzi trajektorii błyskawicy, tutaj, w Wielkiej Grecji, filozoficzne dysputy służą podważaniu dogmatów, a intelekt walczy z religijnymi przesądami; edukacja zaczyna opierać się na krytyce rozumu, myśl góruje nad tradycją. Jednym zdaniem: podczas gdy w Rzymie panują jeszcze ciemności, tutaj słońce kultury zaowocowało już wysokim standardem życia i wyniosło sztukę oraz rzemiosło na poziom perfekcji, który jeszcze dziś podziwiamy w ruinach, jakie na szczęście nam pozostały.

Wciąż jeszcze filozofia i medycyna, astronomia i matematyka, rzeźba i sport, wywodzące się z Wielkiej Grecji, są przyjmowane z pełną świadomością ich użyteczności.

Tutaj na brzegach Morza Jońskiego jaśniały: Kroton, Lokry, Sybaris. Trochę wyżej – Metaponto, a w głębi słynnej zatoki – Taranto. W cieśninie – Rhegion, a nad Morzem Tyrreńskim: Hipponium, Medma, Tauriana, Metauro... Miasta, które do dziś budzą podziw historyków sztuki i archeologów, artystów i socjo-

logów, gdyż nie tylko sztuka szczyliła się wysokim poziomem, lecz także zasady prawne, przepisy, to samo ustawodawstwo, które stworzyło małe republiki, dając im za podstawę solidny porządek i miłość ojczyzny.

Po śmierci tych republik – cała ich limfa została wchłonięta przez Rzym: edukacja i przemysł, filozofia i sztuka. W ten sposób hellenizm nie zaginął, lecz podzielał jak nawóz dla rzymskiej ziemi.

Można zatem stwierdzić, że Wielka Grecja nigdy nie zanikła, zmieniła tylko kształt polityczny i geograficzny. Korzystając z tradycji, stała się „nauczycielką” ogromnego ludu, który ją przyswoił, naśladował i – po zdobyciu hegemonii nad całym starożytnym światem – przekazał ją potomnym. Być może mylą się historycy, deklarując, że wraz z założeniem Rzymu upadły Grecja i Wielka Grecja. Jaśniej bowiem wówczas mocniej niż kiedykolwiek te dwa słońca i im bardziej czas Rzymu zbliżał się ku końcowi, tym głębiej przenikały one dusze, kształtując codzienny sposób życia. I właśnie za to należy podziwiać Rzym – za jego jasną wizję uniwersalności, za to, że nigdy nie pozwolił bezmyślnemu nacjonalizmowi przyćmić rozsądku, za to, że zawsze składał hołd innym kulturom.

Nigdy później żaden inny lud, również współczesny, nie przyjął takiego sposobu działania. Wszystkie chcą się nawzajem niszczyć, z zazdrości o bogactwo konkurencyjnej kultury; i nie tyle w pogardliwej obojętności, ile w barbarzyńskiej wrogości wobec cywilizacji rywala, chcą zniweczyć jego język, prawo i uczynić z niego wyłącznie politycznego lub ekonomicznego niewolnika.

Oto jak współczesna rzeczywistość niegodziwie odróżnia się od świata antycznego, który przyjmował: bogów, filozofów, artystów; szanował ich; traktował jako wspólne dobro. Nowoczesność niszczy w sposób całkowity, nieludzki. Nacjonalistyczna nietolerancja, krwawe wojny religijne... oto, co świat wyhodował po upadku Rzymu.

Jesteśmy na terenie Wielkiej Grecji. Nie powiem Ci: „Zdejmij kapelusz i ukłoń się”. Rób, jak chcesz; gdyż również tutaj, jak w każdym miejscu na świecie, gdzie pojawił się człowiek, pleniły się nienawiść, duma, zazdrość, rywalizacja, duch destrukcji. Być może nawet w formie bardziej skondensowanej niż w innych miejscach! Jeśli jednak chcesz, zatrzymaj się tutaj, wśród tych ruin, i postój w ciszy. Może również Ty coś zyskasz. A jeśli tak się stanie, nie wstydź się i pokłoń się im, po tylu wiekach.

To bowiem był świat, w którym bogowie nie wstydzili się być ludźmi, a filozofowie, artyści, sportowcy nie krępowali się być bogami. Był to świat, który nie tylko obiecał piękno, lecz także – podług swych ubogich zasobów ludzkich – kultywował je i osiągnął. Był to świat, który mimo braku sprzętu i przyrządów naukowych pozostawał bliżej dzisiejszych rezultatów niż – na przykład –

średniowiecze i bardzo często dostarczał podstaw, bez których nic byśmy nie stworzyli. Był to świat, w którym ciało i dusza miały jednakowe prawo do szacunku i do szczęścia.

A zatem pod tym zawsze młodym niebem, na tej ziemi pulsującej zarówno dziś, jak i wówczas sokami Bachusa, ziemi jeszcze nie całkiem ostygłej, wstrząsanej silnymi i częstymi trzęsieniami, pokłoń się ruinom...

Pokłoń się temu, co z niej zostało. Nie tylko pozostałościom architektonicznym lub rzeźbom i ceramice w muzeach. Pokłoń się także resztkom traktatów filozoficznych pełnych mądrości, ruinom wierszy, rozbitym kolumnom prawa, które niegdyś tętniły życiem na brzegach tych dwóch mórz i nad niezwykłą cieśniną, w cieniu masywu Sila i Aspromonte.

Pewien pisarz stwierdził, że po Wielkiej Grecji pozostał tylko „cudowny cień na niebie i echo na morzu”. To naprawdę poetycka wizja, mnie jednak wydaje się, że pozostało coś więcej. Że przetrwały jej żywotne kielki w każdym obszarze cywilizacji, z którego dziś korzysta człowiek.

ORANŻADA PITAGORAS

Profesorowi Gaetano Napoletano

Gdy wysiadamy z autobusu, w samym centrum Crotone, trafiamy na kiosk. Oto pierwsza krotońska inskrypcja. Wywołuje uśmiech na naszych twarzach: „Oranżada Pitagoras”.

– Napijemy się tej oranżady? – proponuję mojemu towarzyszowi.

Nie odpowiada mi.

– To jak, napijemy się? – nalegam.

– Nie tak od razu – odpowiada. – Przejdźmy się brzegiem morza i potem wrócimy do tematu. Sprawdźmy najpierw, czy mamy siłę napić się tej oranżady.

– Żartujesz?!

– Ani trochę. Myślę po prostu, że to może być niezwykła oranżada.

I tak, idziemy w kierunku nabrzeża. Pośród nowych domów i willi, pośród ogrodów, z których – poprzez listowie – obserwują nas ciekawskie oczy kotów, konkurując magnetyczną zielenią z najciemniejszymi liśćmi.

Nie ma ani trochę cienia. Szeroka, otwarta plaża schodzi do morza wieloma łagodnymi krętymi liniami. Na samym brzegu, tam gdzie wzbierają fale, by zaraz się cofnąć, ukształtował się pas ciemniejszego piasku w intensywnym kolorze migdałowca, pośredniczący między gładkim atramentem zatoki i jasnobieżowym brzegiem.

Po lewej wznoszą się zabudowania portowe, po prawej natomiast znajduje się Capo Colonna, miejsce owiane wielowiekową legendą i otoczone skrzydłami mitologii¹. W słonecznej poświacie majowego dnia wygląda niemal nierealnie, jak pośpiesznie wykonany akwarelą malunek na papierze.

– Siadamy?

– Tu, w słońcu?

– Tak. Jeśli mamy napić się tamtej oranżady, lepiej wzniecić pragnienie.

Siadamy na czymś, co przypomina murek i – niech wybaczą nam wszyscy mieszkańcy dzisiejszego Crotone – odwracamy się plecami do ich domów, ich codziennych spraw, życia i zajęć. Odwracamy się plecami do całej współczesności.

Fale atramentu zaczynają podchodzić nam do stóp z wieczystym echem i układają się najpierw w jakieś słowo, potem w znajome już zdanie, z ciekawością analizowane.

Dopływają pierwsze frazy:

„Zasługuje na miano barbarzyńcy ten, kto wdziera się uzbrojony do kraju, który nie jest jego ojczyzną”.

A zatem zawsze byliśmy tylko barbarzyńcami?

Pitagoras dotarł do Krotonu (dzisiejszego Crotone) około 532 roku p.n.e. Dziś mamy rok Pański 1949. W 1945 roku nasze pokolenie, uzbrojone w amunicję nieznaną jeszcze ludzkości, skończyło odgrywać ostatni akt krwawego przedstawienia. Czyżby aktorzy nie przemienili się z barbarzyńców w szaleńców?

Pierwszy łyk oranżady Pitagoras wydaje nam się bardzo gorzki.

Lecz oto od morza nadchodzi kolejna fala:

„Barbarzyńcami i szaleńcami są ci, którzy posługują się tym samym językiem, a nie umieją żyć w pokoju i wzywają pomocy cudzoziemców w rozwiązywaniu sporów”.

Och!

„Pokój można zbudować tylko na gruncie cnoty: bez niej pokój nie może być trwały”.

1 Jak zauważyła Marta Korczyńska-Zdąbłarz: „W Krotonie nie odkryto wiele antycznych pozostałości. W odległości 10 km od miasta, na Capo Colonna, zlokalizowano sanktuarium Hery Lacinii (por. przypis 10 w niniejszym rozdziale). Temenos zaliczał się do jednych z najbogatszych i najczęściej odwiedzanych greckich sanktuariów na południu Italii”. Por. Eadem: *Kyme 474 p.n.e.* Bellona, Warszawa 2010, s. 29. Później Rzymianie zbudowali na tym terenie ufortyfikowane miasto Lacinium (a cypel nazywano Promunturium Lacinium). Cały półwysep znajduje się obecnie na terenie Parku Archeologicznego Capo Colonna, a w pobliskim muzeum znajdują się ważne znaleziska (znacznie wzbogacone po wykopaliskach przeprowadzonych w roku 2014).

O jakiej cnocie mówi Pitagoras? Pierwsza zasada moralności, na jakiej opiera się współistnienie ludzi? Prawo mówione, pisane czy tylko instynktowne? Cóż w niej jest tak kwaśnego, że ludzkość nie odważyła się nigdy spróbować łyku oranżady Pitagoras?

– Nie wiem, czy odważymy się jej skosztować – zauważa mój towarzysz.

– Ależ, kto wie! Może kropla po kropli, pod postacią zastrzyków.

– Ale kiedy?

Odpowiada tylko Pitagoras:

„Trzeba kształcić ludzi. Lud trwający w niewiedzy jest jak gwałtowny wiatr, który ogołaca pola. Trzeba kształcić klasę sprawującą władzę, gdyż lud o stu tysiącach stóp i stu tysiącach rąk potrzebuje umysłu, by chodzić i działać”.

Zacznijmy od przełknięcia tej kropki! Miliony milionów stóp maszerowało od prawa do lewa, posunęło się naprzód, wycofało się. Tysiące głów przyozdobionych laurem i koronami myślało i zarządzało... Jakże ciężka jest ta kropla!

A ta, co przypływa teraz, nie jest może jeszcze bardziej cierpka?

„Całe wasze zło jest w was samych”.

Pitagoras, genialny diagnostyk, odkrył chorobę; my – przeciwnie, zawsze upieraliśmy się, by szukać zarazków nie wiadomo gdzie. Przypłynęły w wodzie, spadły z nieba, wykiełkowały z ziemi..., a chora głowa pomyślała: „Ja jestem zdrowa” i zatwardziałe serce zabiło: „Ja jestem silne”.

Oranżada zaczyna się burzyć.

„Nie przechylaj wagi”.

Czyż nie znaczy to: „Szanuj sprawiedliwość”? Lecz któż ją kiedykolwiek szanował? Garść ludzi, którzy zawsze byli traktowani jak głupcy lub szaleńcy i kończyli zasadniczo źle!

„Nie noś zbyt ciasnego pierścienia”.

Może dlatego, że nie jest wygodny dla twojego palca i uwiera? Oczywiście nie o tym pomyślał patron tego napoju, który wymagał od człowieka tylu wyrzeczeń i wybrał dla swojego podniebienia jeden z najtwardszych kęsów całej filozofii.

Ów „zbyt ciasny pierścień” nie byłby może bogactwem, o które boimy się zawsze, że spadnie nam z palca? Czyż Pitagoras nie zachęca nas do noszenia szerokiego pierścienia, który może w każdej chwili zsunąć się i ulotnić? Dziwna kropla, która wiele wieków później ozdobi romantyczny *Pierścień Polikratesa* Schillera, *Ring des Polikrates*².

2 Utwór, który przywołuje Alberti, to wydana w 1797 roku ballada Friedricha Schillera zgrabnie opisująca, przybliżoną przez Herodota (w trzeciej księdze *Dziejów*), historię słynnego tyrana z Samos. „Kompleks Polikratesa” zobrażowany w geście odrzucenia cennego pierścienia i bezwzruszającym powrocie „tego, co nieuchronne” w życiu bogatego i szczęśliwego człowieka – dobrze

„Nie chodź publicznymi drogami”.

Nie oznacza to być może, że każdy powinien umieć znaleźć własną drogę i nie dać się porwać falom beztróskiego powtarzania błędów ogółu?

Lecz czyż ci wybrańcy, którzy znaleźli indywidualną drogę, nie byli zawsze traktowani jak maniacy i pyszałkowie? Tłum wszystko może wybaczyć, lecz nie wybaczy indywidualizmu i wyobcowania. Pingwin albinos z bajki, skazany bez litości na wygnanie!

„Nie noś wizerunku Boga na pierścieniu”.

Nie lepiej, by nosić go ukrytego w sercu?

„Nałóż na człowieka ciężar, nie pomagaj mu go zrzucić”.

Jakże gorzka kropla! Każdy z nas woli słodycz pomocy. Pitagoras wymaga od nas indywidualnej siły i uporu w znoszeniu ciężarów życia...

„Nie krusz chleba”.

Co to znaczy? Nie niszczyć jedności? Nie rozdzielać przyjaciół? Nie rozbijać cnoty na małe cząsteczki? Czy też może wszystko to naraz?

„Nie przeglądaj się w lustrze nieopodal lampy”.

Ale dlaczego? Może filozof radzi ci, by mieć odwagę spojrzeć w twarz sobie i przyrzeć się wszystkim swoim planom, myślom, w pełnym świetle dnia, nie w półmroku? To bowiem, co w słabym świetle może wydawać ci się piękne i doskonałe, wyostrome promieniem słońca autokrytyki, może ukazać zmarszczki, plamy i surowy profil.

„Nie sięgaj po jedzenie lewą ręką”.

Przemieńmy to w dwa słowa, wszystkim dobrze znane: „Nie kradnij”. Ludzie natomiast bezczelnie okradają się nawzajem od wieków. Przestrzeń, praca, pomniki kultury, doczesne skarby. Jeden lud rabuje drugi, jeden człowiek – drugiego człowieka. Szacunek do własności był zawsze tylko niezrozumiałym przez wieki hieroglifem.

„Nie pożeraj własnego serca”.

Jak można zanalizować tę kroplę w nowoczesnym chemicznym laboratorium? Bardzo prosto: „Nie zazdrość innym!”.

„Nie śpij na grobie”.

Co znaczy: „Ukształtuj sam swoje życie, a nie żyj z dziedzictwa przodków!”.

„Nie wrzucaj całego snopa do ognia”.

koresponduje (jako przestroga!) ze „ścieżką pokory” zalecaną przez Pitagorasa. Por. polskie wydanie utworu: F. Schiller: *Pierścień Polikratesa*. Przeł. W. Chłędowski. W: F. Schiller: *Wiersze*. Tower Press, Gdańsk 2000, s. 36–38.

Cóż za roztropność! Jaki zmysł przewidywania! Nie zużywaj wszystkich zapasów w życiu, gdyż chłód może srogo ci się jeszcze odpłacić. W młodości nie trwój całego swojego entuzjazmu, zachowaj trochę na lata dojrzałe i na starość.

I tak, kropla po kropli, oranżada musuje, łącząc wiele rozmaitych smaków. Morskie fale kłębią się u naszych stóp i niosą na swych grzywach różne sentencje, aforyzmy, przyjacielskie porady, roztropne zachęty. Może to właśnie ten napój byłby w stanie ukoić pragnienie każdego człowieka i przynieść mu spokój.

Siedzimy długo, w milczeniu, bez słów, na tym brzegu Morza Jońskiego, gdzie najpierw gościły sztuka i chwała, a potem przeszły: zniszczenie i śmierć.

„Bandyta – czas” i „bandyta – człowiek” „pokruszyli” nie tylko „chleb”, lecz wszystko: świątynie, teatry, akropole. Starożytni bogowie pograżyli się wśród gwałtownych morskich fal. Pozostała oranżada Pitagoras!

Oddalamy się, zostawiając za nami brzeg i nasz murek. Z twarzą zwróconą ku współczesności idziemy w kierunku ratusza. Nad naszymi głowami pochylają się mury zamku. Jakieś miejsce widokowe, drzewo, rozkoszny zaułek...

Kroki robią się ciężkie. Być może przez ostatnią godzinę oglądaliśmy nasze życie w pełnym słońcu, jak radził Pitagoras, i zobaczyliśmy, jak bardzo jest ono dalekie od perfekcji. I niewykluczone, że jest dalekie nie tylko od perfekcji, lecz nawet od najzwyczajniejszej przeciętności!

Chce nam się pić.

Jest gorący majowy dzień i prawdziwy tłum – kobiet, mężczyzn, młodych, starych – otacza na placu kiosk z oranżadą Pitagoras.

„Pijcie! Pijcie! Oranżada po 30 lirów za butelkę! Tylko 30 lirów! Oranżada! Pijcie! Oranżada!”.

Beztroski tłum pije. Osusza butelkę jednym haustem. Prawie że słyszać gulgotanie. To oczywiście, że nikt nie czuje cierpkiego smaku tej oranżady.

– Chcesz skosztować tego specjału z Crotone?

– Miałeś rację dziś rano, mówiąc: „Poczekaj”. Być może nasze gardła są jeszcze zbyt pospolite, by przeanalizować ten smak.

Oddalamy się w smutku od tego kiosku, którego dziwna nazwa podąża za nami: oranżada Pitagoras!

„ALFA” KONSTELACJI „FILOZOFIA”

Przyjrzyjmy się teraz patronowi tej oranżady.

Niewielu było ludzi, którzy mieliby odwagę złorzeczyć tyranowi przed ucieczką z kraju. Zazwyczaj pojawia się lęk, strach przed prześladowaniami.

Dobrze zna to uczucie pokolenie drugiej wojny światowej, które poznało siłę uwiedzionych mas.

Możemy jeszcze raz przeczytać to, co Pitagoras napisał do tyrana Polikratesa, zanim opuścił Samos, swoją ojczyznę. Przyjmując autentyczność tych słów, zachowanych dla nas przez historię, od razu czujemy szacunek wobec takiej odwagi.

Wędrując, poznawał świat. Dotarł do brzegów Nilu i Eufratu. Przystudiował wszystkie systemy religijne i nie poprzestał na tym, został także wtajemniczony w różne ich arkana.

Zgodnie z anegdotą, po przyjeździe do Krotonu³ Pitagoras przechadzał się brzegiem morza i w samotności, pogrążony w medytacji, słuchał fal. Pewien obcokrajowiec podszedł do niego i zagadnął:

– Powiedz, którą bramą można wejść do miasta?

Pitagoras zastanowił się chwilę i w końcu zapytał:

– Kim jesteś, cudzoziemcze? Złodziejem czy uczciwym człowiekiem?

Być może każdy z nas, bez wyjątku, był w swoim życiu chociaż raz złodziejem i chociaż raz zachował się uczciwie. Dlatego cudzoziemiec milczał.

– Jeśli jesteś złodziejem, wejdź śmiało przez tę bramę. Wejdź przez każdą bramę. Będiesz powitany z szacunkiem. Lecz jeśli jesteś człowiekiem uczciwym, uciekaj stąd i szukaj samotności nad brzegiem morza.

Myślę, że może dlatego nasze współczesne miasta są tak zatłoczone, podczas gdy brzegi morza – tak wyludnione.

Pewnego razu Pitagoras został zapytany, co myśli o życiu:

„Życie jest jak igrzyska olimpijskie. Wielu ma tam swoje stoiska, nie troszczy się o nic i tylko zarabia. Jest garść takich, którzy walczą. Nieliczni zdobywają chwałę. Wszyscy inni to zwykli widzowie”.

Od razu po jego przybyciu – trzeba zaznaczyć, że był jednym z najciekawszych ludzi swojej epoki – zachwycił mieszkańców doskonałym pięknem, postawą i przede wszystkim nadzwyczajną inteligencją oraz elokwencją. Dyskutował ze wszystkimi. A potrafił nie tylko rozmawiać. Miał bardzo rzadki talent umiejętnego słuchania. W ten sposób sformułował jeden z najistotniejszych postu-

3 Na podstawie licznych świadectw rekonstruujących zasady życia wspólnoty o charakterze kultowo-religijnym (w duchu bractwa orfickiego) możemy dziś sporo powiedzieć o dorobku szkoły Pitagorasa założonej w Krotonie, po opuszczeniu przez filozofa wyspy Samos. Por. publikacje: J. Gajda: *Pitagorejczycy*. Wiedza Powszechna, Warszawa 1996; D. Dembińska-Siury: *Z problematyki pitagoreizmu*. „Collectanea Philologica” 1999, nr 3, s. 13–26; J. Gajda-Krynica: *Pitagoras z Samos*. W: *Powszechna encyklopedia filozofii*. <https://www.ptta.pl/pef/pdf/p/pitagoras.pdf> [dostęp: 12.12.2024].

latów. Wedle tego zalecenia („Umieć słuchać!”) prowadził pierwszą na włoskiej ziemi szkołę.

Racjonalne przesłanki jego filozofii bliskie są współczesnemu człowiekowi. Wiele wieków temu Pitagoras swoją „teorię liczb” – za pomocą której chciał wyjaśnić wszystkie tajemnice wszechświata – zawarł w matematycznych wzorach, uważanych za precyzyjną busolę, która ma doprowadzić ludzkość do morza odkryć. „Teoria liczb” ma w sobie wszystkie załączki naszych współczesnych dogmatów matematycznych. Pitagoras jest nam bliższy niż Tales, Heraklit i Demokryt.

Zgodnie z doktryną wszystko na świecie było liczbą, a liczby były nie tylko źródłem i początkiem wszystkich rzeczy, lecz także zwierciadłem nagiej prawdy. Kosmos pozostaje harmonią linii i proporcją wymiarów. Nie jest wieczny, gdyż wszystko ma początek i musi mieć koniec.

Jak w muzyce – porządek łączy elementy, harmonia tkwi w jedności. Jedyńka, jako absolutne dobro i doskonałość, pozostaje źródłem liczb, zasadą wszystkich rzeczy – jest Boskością.

Pitagoras w sposób klarowny potrafił wejrzeć w naturę rzeczy; na przykład był pewien istnienia antypodów. Zrozumiał to, czego nie zdołali pojąć najświatlejsi profesorowie Uniwersytetu w Salamance, kiedy Kolumb przedstawił im swój pomysł opłynięcia kuli ziemskiej, wiele wieków później. Uczni z Salamanki zgłaszali poważne obiekcje: „Kiedy statki dopłyną do linii horyzontu, nie spadną w przepaść? Założmy zatem, że ziemia jest okrągła. Nawet jeśli nie runą w przepaść, jak można tam przeżyć, z głową skierowaną do dołu? A kiedy mży, deszcz pada w dół czy do góry?”.

Wyśmiewali Krzysztofa Kolumba niczym szaleńca. Pitagoras, w swoich czasach, z pewnością nie miałby tych samych obiekcji.

Grecki filozof był pewien istnienia komet. Astronomia należała do jego ulubionych dziedzin. Zajmował się także fizyką i odkrył działanie sił: odśrodkowej i dośrodkowej.

A jakież to był geniusz geometrii! Upadły ludy i cywilizacje, religie i systemy polityczne, lecz dziś, podobnie jak wtedy, „Suma kwadratów długości przeciwprostokątnych trójkąta prostokątnego jest równa kwadratowi długości przeciwprostokątnej tego kwadratu”. Rozbijemy jeszcze niezliczone atomy, lecz tego matematycznego twierdzenia nie zdołamy nigdy obalić.

A cóż można rzec o tablicy Pitagorasa?

Pewnego razu matematyk przechodził nieopodal pracowni kowala. Posłyszawszy pracę młotów, jak przystało na filozofa przyzwyczajonego do nieustannego nasłuchu rzeczywistości, zauważył, że uderzenia niosły za sobą różny

oddźwięk. Wszedł do kuźni, bez słowa chwycił za młot i zaczął eksperymentować, najpierw sam, potem z pomocą wszystkich kowali. Z tej akustycznej zabawy narodziła się teoria dźwięków muzycznych.

Również Newton miał w Pitagorasie swojego poprzednika, gdyż pierwszy przeczuł to, co drugi wyraził naukowo: teorię kolorów.

Jak już powiedziano, przedmiotem jego fascynacji był nieboskłon. To temu filozofowi zawdzięcza się podział sklepienia nieba na pasma równikowe, ekliptyczne etc.

Metempsychoza pitagorejska należała do pierwszych schematów, które miały przedstawiać wędrówkę dusz. Po śmierci ciała bowiem dusza nie może się zgubić. Doświadcza nieustającej przemiany, przekształca się, przechodzi przez ciała zwierzęce i ludzkie i w ten sposób się oczyszcza.

Cała sfera peregrynacji duszy, według Pitagorasa, przypomina nam w dziwny sposób „koło życia” prawie współczesnego mu Gautamy Buddy.

Pitagoras, pierwszy myśliciel, który starał się ująć w systemie całą wiedzę, twórca doktryny w pełni spontanicznej i oryginalnej (z jednym wyjątkiem metempsychozy), był pionierem analizy naukowej – kimś, kogo określić można mianem filozofa.

Ten rozdział opatrzyłam tytułem: Pod gwiazdami Wielkiej Grecji. Widziałam tu niebo pełne jaśniejących konstelacji, pomników, fragmentów wierszy, tekstów filozoficznych, żywotów geniuszy.

Możemy nazwać Pitagorasa „alfą” konstelacji „Filozofia”.

ZA KULISAMI PITAGOREJSKIEGO LABORATORIUM

Pitagoras założył w Krotonie bardzo dziwne laboratorium!

Wchodzimy za kulisy tej pracowni, w której filozof pragnął zmyć z człowieka cały niepotrzebny brud i nieznośną gorycz, postawić go na nogi i wzmocnić dawkami leczniczych substancji.

W epoce największego rozkwitu laboratorium terminowało w nim trzystu uczniów. Sześć wieków przed Chrystusem Pitagoras stworzył to, co miało osiągnąć swój szczyt w średniowieczu pod nazwą zakonu religijnego.

Niemniej z jedną różnicą.

Zakon średniowieczny narzucił ograniczenia na ludzki instynkt; zwycięstwo nad pragnieniami i złymi popędami miało być wynagrodzone po drugiej stronie istnienia przez bank „Wieczność”, przy okienku, w którym pracował genialny kasjer „Śmierć”. Pitagoras, jak wszyscy starożytni filozofowie, opanował

namiętności przede wszystkim dzięki kształceniu myśli. Narzucił ludzkiemu umysłowi najtwardszą z dyscyplin, kształtował charakter nie poprzez tłumienie instynktów, lecz w wyniku samopoznania i autokrytyki, zrodzonych na drodze filozoficznej medytacji.

Możemy zgodzić się, że każda szkoła, która walczy z łajdactwem ukrytym w ludzkiej duszy, jest dobra i że wszystkie systemy należy szanować. Dyscyplina średniowieczna umieściła zbieranie plonów nie na ziemi, lecz w świecie nieznanym człowiekowi, starając się za pomocą wyobraźni i poezji uczynić ów świat namacalnym i konkretnym, czasem wręcz rzeczywistym. Pitagoras wyznaczył ziemię jako miejsce zbierania owoców istnienia, a zapłata przewidziana była po wędrówce dusz w ramach metempsychozy.

Dobra materialne wszystkich uczniów były wspólne. Jeszcze raz widzimy, że każdy filozof czy twórca religii, każdy reformator czy socjolog zwracał uwagę przede wszystkim na ten punkt zapalny w ludzkiej konstrukcji: ograniczenie apetytów materialnych i ich zaspokojenie w odpowiedniej mierze. Oto kwestia, którą chcieli z pasją rozwiązać myśliciele i naukowcy, twórcy praw lub systemów politycznych. Nauka wyliczyła wagę gwiazd, lecz nie była w stanie zważyć żądz posiadania, którą człowiek hołubił przez wieki i którą wciąż przekazuje swym spadkobiercom.

Kiedy uczeń Pitagorasa wyrzekł się już swoich dóbr materialnych, otrzymywał zwykłe okrycie z białego lnu.

Każda epoka miała swoje ulubione kolory, które z pewnością wpływały nie tylko na powszechny sposób życia, lecz także na sztukę, filozofię, mentalność. Biały kolor Pitagorasa wywoływał spokój, a len, pierwsza roślina, z której człowiek robił swe ubrania; tkanina miększa od jedwabiu, chroniła skórę przed podrażnieniami. Miała zadanie dokładnie odwrotne od funkcji średniowiecznej włosiennicy.

Uczeń, przyodziany w biały len, musiał przejść pięć lat terminowania, z których dwa początkowe były szczególnie ciężkie. Próba milczenia!

Zanim filozof nauczył się mówić i dyskutować, by potem potrafić przekonywać i nauczać innych, musiał doświadczyć najwyższej mądrości ciszy. Pitagoras nałożył blokadę na „pogawędkę” – jeden z najbardziej niebezpiecznych młynów ludzkich, który przez wieki produkował otręby zamiast mąki. Każdy musiał zacząć od pozbycia się tej zbyt głośnej młocarni.

Miliony książek, które potem ukształtowały ludzkość, to właśnie „pogawędki”. Gdyby każdy pisarz zmuszony był spędzić dwa lata w milczeniu, na pewno nie napisałby wielu z tych utworów, nadwerężających ludzką cierpliwość. Po-
wiem więcej: z pewnością stworzyłyby doskonalsze dzieła.

Pitagoras musiał długo medytować, zanim ogłosił swoje zdanie na jakiś temat, potem musiał przedyskutować je sam ze sobą, przewidzieć wszystkie możliwe zarzuty i być w stanie obronić swój pogląd. Obserwując filozofa, każdy uczył się oddzielać ziarno od plew. Na początku należało wrzucić nasiona w najlepszym gatunku, potem praca postępowała pod uważną kontrolą autokrytyki, by na końcu młyn przesiał prawdziwie białą mąkę.

Spontaniczność i impuls były obłożone najsurowszym zakazem.

Po przejściu próby milczenia uczeń mógł rozmawiać tylko z innymi adeptami, przechadzając się na brzegu morza przy akompaniamencie cytry. W ten sposób przygotowywano się do podjęcia dyskusji z innymi.

Synedrion fundowano ze wspólnej kasy. Zalecano trzy kąpiele dziennie. Obowiązek czystości, tak bardzo przestrzegany przez pitagorejczyków ze szkoły italskiej, podupadł potem wyrażnie w naszych „regułach” średniowiecznych.

Jedzenie, najprostsze – ser, ryba, owoce, chleb – także konsumowane było trzy razy dziennie. Rano studiowanie filozofii, potem obowiązkowy sport i przechadzka. Po południu zgłębianie nauk politycznych, o zachodzie słońca kolejna przechadzka, na koniec zimna kąpiel. Dzień kończył się zawsze „rachunkiem sumienia”. Uczniowie, razem, na głos, oceniali samych siebie. „Co zrobiłem złego?”; „Jaka myśl byłaby właściwsza?”; „W czym muszę się poprawić?”; „Dzisiaj poczyniłem postępy czy cofnąłem się?”.

To była godzina poświęcona obowiązkom wobec zasady życia.

Pitagoras powiedział wszystko to, co po nim ludzkość nadal wiedziała przez wieki, lecz celowo z tego rezygnowała.

Nie bądźcie zazdrośni, nie bądźcie zawistni, rozmawiajcie ze sobą i próbujcie się nawzajem zrozumieć. Wzajemna sympatia pojawi się sama. Jak może narodzić się przyjaźń, jeśli jeszcze zanim się dobrze poznacie, już obgadujecie jeden drugiego i się nienawidzicie? Zastąpcie łagodnością i życzliwością waszą niecierpliwość, nieufność i złośliwość.

Oto laboratorium, w którym pracowały „głosy Boga”, składając przysięgę na liczbę cztery, która symbolizowała duszę złożoną z czterech elementów: umysłu, nauki, opinii i sensu.

Z tego laboratorium wyszły niezwykle osobowości, chwała i kultura Wielkiej Grecji. Filozofowie i lekarze, artyści i astronomowie, muzycy i prawodawcy. Ludzie tacy jak Empedokles z Akragas⁴, Ocellus Luca-

4 Empedokles z Akragas (ur. ok. 490, zm. ok. 430 roku p.n.e.) – starogrecki filozof (ale także poeta, polityk i uzdrowiciel) pochodzący z doryckiej kolonii, umiejscowionej na południowym wybrzeżu Sycylii. Należał do szkoły eleatów. Wedle ustaleń encyklopedycznych: „W dziele poetycko-filozoficznym [...] *O przyrodzie*, jak również w poemacie [...] *Oczyszczenia* stwierdzał wieczność

nus⁵, Archytas z Tarentu⁶, którego filozofii Arystoteles poświęcił trzytomowy traktat, Filolaos z Krotonu⁷, który już w 264 roku p.n.e. nauczał, że ziemia kręci się wokół słońca, i Timajos z Lokrów⁸. Żeby odwiedzić dwóch ostatnich z wymienionych Platon specjalnie wybrał się w podróż do Wielkiej Grecji i Timajosowi poświęcił jeden ze swych najsłynniejszych dialogów. Traktat Timajosa *O duszy świata i natury* jest wykładem doktryny pitagorejskiej.

Szkoła pitagorejska „wielbicieli nauki” nie zajmowała się wyłącznie filozofią w aktualnym sensie tego słowa, lecz także geografią, astronomią, fizyką, geometrią, poezją, muzyką, medycyną... Pewien krytyk dla zabawy porównał „syndrion” pitagorejski z pierwszymi „wspólnotami” chrześcijańskimi, ujawniając podobieństwa występujące między nimi.

Takie było laboratorium Pitagorasa. Umysł był jedynym urządzeniem, którym filozof filtrował rzeczywistość.

przyrody, a jej cechy jakościowe i różnorodność jej zjawisk sprowadzał do czterech elementów: ziemi, wody, powietrza, ognia. Wszystko, co istnieje, było według Empedoklesa wynikiem odpowiedniej mieszaniny elementów, których rozkład powoduje śmierć. O [jego] życiu krążyło wiele anegdot; uważany był za cudotwórcę i proroka; według legendy miał zakończyć życie wskoczywszy do Etny czy też jako łuna miał się rozpuścić na niebie”. Por. *Mała encyklopedia kultury antycznej*. Red. Z. Piszczek. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 224.

5 Ocellus Lucanus – filozof kojarzony z tradycją pitagorejską, urodzony w Lukanii w Wielkiej Grecji (wedle jednych w VI wieku – wedle innych w V wieku p.n.e.). Cytuje go Diogenes Laertios w (fałszywym) liście Archytasa z Tarentu do Platona, w którym mówi o swoich potomkach, co prowadzi do umieszczenia go, jeśli nie w epoce pitagorejskiej, to przynajmniej w następnym pokoleniu.

6 Archytas z Tarentu (ur. 428 r. p.n.e., zm. 347 r. p.n.e.) – grecki uczony, filozof, matematyk, astronom, polityk i strateg. Wedle zgodnej opinii specjalistów: „jeden z najwybitniejszych młodo-pitagorejczyków, przyjaciel Platona, nauczyciel Eudoksosa z Knidos. [...] Stosował matematykę do zagadnień mechaniki; opracował teorię krążków, śrub i dźwigni; konstruował pomysłowe mechanizmy; znalazł [...] rozwiązanie słynnego problemu podwojenia sześciannu (por. problem delijski). Autor prac z akustyki, a także matematycznych podstaw teorii muzyki; z dzieł Archytasa zachowały się jedynie fragmenty”. Por. *Encyklopedia PWN*. <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/;3870838> [dostęp: 12.12.2024].

7 Filolaos z Krotonu (ur. ok. 470 r. p.n.e., zm. ok. 399 r. p.n.e.) – filozof i astronom, uznawany za ucznia Pitagorasa. Pierwszy przedstawiciel szkoły, który ujawnił poglądy Mistrza, łamiąc żelazne zasady bractwa (przybliżył i opublikował szczegóły doktryny). Data wskazana przez Alberty jako punkt ogłoszenia heliocentrycznej rewelacji – błędna. Choć – dodajmy – Mikołaj Kopernik docenił pitagorejczyka w przedmowie do swego najważniejszego dzieła: wymienił jego nazwisko obok Heraklidesa z Pontu.

8 Timajos z Lokrów – filozof pitagorejski. Co ciekawe, „fałszywie przypisywano mu autorstwo pisma *peri psychás, kósmō kaj fysios* (o duszy, świecie i przyrodzie), stanowiącego wyciąg z dialogu Platona *Timajos*”. Por. *Mała encyklopedia kultury antycznej...*, s. 746.

DORYCKA RELIKWIA

Gdy tylko wychodzimy z pitagorejskiego laboratorium, napotykamy jeden z najpiękniejszych relikwiarzy, jaki kiedykolwiek mogliśmy kontemplować. Nie jest wykonany ani ze złota, ani ze srebra, ani z kości słoniowej. Sama natura stworzyła go z turkusu nieba i morza, i ze szmaragdu ziemi. W istocie zawiera tylko jedną relikwię, gdyż tych mniejszych można zasadniczo nie uwzględniać.

Lecz nawet pojedyncza budzi niepowszednie emocje.

To kolumna dorycka, jedyna pozostałość wielkiej greckiej świątyni na włoskiej ziemi: świątyni Hery.

Płyniemy łodzią z Crotone w kierunku owego relikwiarza; już z daleka dostrzegamy kolumnę, pojedynczy maszt – tragicznie smutny – okaleczonego okrętu.

W naszym życiu widzieliśmy cały zbiór relikwiarzy, pełnych sprawczości, budzących podziw tłumów: zęb czerwieniący się krwią; włosy, które urosły po oderwaniu z głowy; resztki płótna lub wełny, które nie zgniły przez wieki zakopane w ziemi; kości badane przez najznamienitszych medyków na świecie; ciernie, z których ściekają krople krwi... A potem relikwie militarne: od resztek chwalebnej lub nieszczęsnej chorągwi po guziki z munduru jakiegoś słynnego bohatera.

Nie ma kraju ani ludu, który nie posiadałby swoich relikwii. Widziałam ich mnóstwo podczas różnych moich wędrówek. Jednak wszystkie one były tak słynne, tak pełne sprawczości, dokonały już tylu cudów, że stałam przed nimi kompletnie przytłoczona, rozbrojona. Nie wniknęły do mej świadomości, nic nie zdołałam o nich pomyśleć.

Natomiast ta dzisiejsza dorycka świętość, która może pochwalić się tylko dwiema cnotami – autentycznością i wyzwaniem rzuconym wiekom – ta jedna dorycka kolumna, która z pewnością nie była ani najtrwalsza, ani nie wyróżniała się sposobem budowy spośród innych jej 47 towarzyszek z kamienia; ta kolumna, której kaprysowi lub woli przeznaczenia przypisano rolę wiarygodnego dokumentu starożytnej sztuki, budzi we mnie całą gamę wyjątkowych emocji. I prawie nie patrzę na nią jak na każdy inny artefakt architektoniczny, lecz zaczynam czytać ją niczym filozoficzną teorię, która zamyka w sobie cały obraz epoki. To nie jakaś rzecz o wysokości 5,6 metra, średnicy 1,75 metra i szesnastu kanelurach, lecz coś niematerialnego, idea przedstawiająca mentalność i powagę twórczego geniuszu.

Odpoczywałam w cieniu wielu greckich świątyń. Niektóre, zachowane w doskonałym stanie, mogły dostarczyć pełnego obrazu tamtego świata: Hefajstejon

i Partenon w Atenach, Paestum i Agrigento, Segesta i Selinunt⁹. Jednak ta dzisiejsza samotna kolumna, porzucona nad brzegiem, na tym skraju ziemi wysuniętym w głąb Morza Jońskiego robi całkowicie zaskakujące wrażenie. Tak jakby nie człowiek, lecz sama natura chciała zachować jedno zdanie, by dać świadectwo temu, co się tutaj wydarzyło.

Sto lat po założeniu Crotone Achajowie z Peloponezu zbudowali tę świątynię. Miała największe rozmiary ze wszystkich zrealizowanych przez Greków budowli. Był to perypter heksastylos o 48 kolumnach, na krótszych bokach ustawionych w dwóch rzędach. Lecz samo miejsce było święte już od legendarnych czasów. Tutaj znajdowało się sanktuarium bogini Vitellii lub Vitulii, siły życiowej symbolizowanej przez krowę¹⁰.

9 O ile cztery początkowe z wymienionych formacje architektoniczne wydają się dobrze znane, o tyle dwie kolejne budowle sakralne wymagają krótkiego komentarza. Położona nieco na uboczu, na zachodnich stokach Monte Barbaro, dorycka świątynia w Segestie (zachodnia Sycylia) stanowi przykład jednej z najlepiej zachowanych hellenistycznych budowli tego typu. Wniesiona została prawdopodobnie w ostatnich dekadach V wieku p.n.e., niestety nigdy nieukończona. Wedle odwiedzających miejsce – to imponujący przykład sztuki architektonicznej: „Uważa się, że prace nad budowlą mogły się rozpocząć ok. 430-420 roku przed Chrystusem, lecz niestety budowa musiała zostać przerwana wskutek wojen prowadzonych z Selinunte. Kolejno po przejęciu wpływów w Segestie przez Kartaginę, miano nigdy [jej] nie wznowić [...]. Świątynię charakteryzuje jeden rząd 36 ogromnych kolumn (14 kolumn ma bok długi, a 6 bok krótki). Kolumny są wysokie na 10 metrów, oddalone od siebie o ok. 2,4 metra oraz mają średnicę od 1,5 metra do 2 metrów”. Ostatnie ustalenia archeologów (2020) sugerują świątynny kult Afrodyty Uranii. Por. <https://pau.saitalia.blogspot.com/202%4/segesta-dotknij-starozytosci.html> [dostęp: 10.12.2024]. Podobnie otoczony niegdyś murami akropol w Selinuncie (wszczynającym – jak zauważono – nieustanne wojny z Segestą), skrywa ruiny kilku olbrzymich *peripterosów* doryckich, świadczących o potęgę tego, założonego w VII wieku p.n.e. (przez kolonistów z Megary), dumnego miasta.

10 Już w chwili, kiedy Alberti odwiedzała to miejsce, zastać mogła jedynie ruiny dawnego sanktuarium poświęconego Herze Lacinii i ledwie pojedynczą kolumnę dorycką z kapitelem, o wysokości około ośmiu metrów. W czasach świetności najważniejszym budynkiem sanktuarium była duża świątynia dorycka, zbudowana w pobliżu krawędzi klifu około 480-470 roku p.n.e., na miejscu poprzedniej archaicznej świątyni z VII wieku p.n.e. *Via sacra* (wielka droga procesyjna) o długości 60 metrów i szerokości ponad 8 metrów powstała w IV wieku p.n.e., po czym wzniesiono dwa rozległe budynki użyteczności publicznej, przeznaczone dla pielgrzymów. Posiadały symetryczne plany z wewnętrznymi dziedzińcami i perystylami. Były to: *katagogion* (hotel dla pielgrzymów) i *hestiatorion* (budynek przeznaczony do spożywania posiłków). Ściana *temenosu* (obrzeń sanktuarium) pochodziła prawdopodobnie z IV wieku p.n.e. Szeroka „boska droga” łączyła sanktuarium ze świętym gajem i z przybrzeżnymi miejscami lądowania okrętów. Musiała biec także dalej na wschód, kończąc się na czymś w rodzaju placu, na którym zbiegały się procesje religijne wijące się wokół tej majestatycznej arterii i gdzie – być może – znajdował się ołtarz (wspominany w źródłach). Jednak silna erozja krawędzi cypla zniszczyła tę część „świętego miejsca”. Por. G. Celisi: *Il Santuario di Hera Lacinia*. <https://www.gruppoarcheologicokr.it/il-santuario-di-hera-lacinia/> [dostęp: 10.12.2024].

Oto jeden z wielu przekazów dowodzących niezwyklej przebiegłości i umiejętności politycznych, właściwych stanowi duchownemu. Każdego kultu, każdej religii, każdego rytu. W historii żołnierz niszczył; kapłan zazwyczaj przysposabiał, wchłaniał, oswajał wszystkie elementy, które poprzedzały jego epokę. Ów nigdy brutalnie nie odcinał, zawsze preferował podejście ewolucyjne. W tym tkwiła jego siła i mądrość.

Grecja wchłonęła bogów Orientu, Rzym przysposobił bóstwa greckie, chrześcijaństwo przyswoiło hebrajskie dziedzictwo – w pełni i bez zmian *Stary Testament* – i uczyniło łacinę swym oficjalnym językiem. Dlatego dziś to prawdopodobnie religia, lepiej niż jakakolwiek gałąź kultury, ukazuje pełny obraz ewolucji.

Przybyli Grecy i nie usunęli... krowy Vitellii. Natychmiast umieścili ją pod opieką Hery, która w ten sposób stała się Herą Karmicielką. Zmieniło się imię patronki, zmienił się styl architektoniczny świątyni, lecz w tym samym niezwykłym miejscu pozostał ten sam symbol.

Minęły wieki. Po Herze Karmicielce została tylko poetyczna mgła, nasączona aromatem legend. Symbol krowy przeminął. Lecz w tym samym miejscu, obmywanym wodami Morza Jońskiego, zatrzymuje się na jedną noc co siedem lat 2 maja, po podróży z katedry w Crotone, bizantyńska Madonna, za którą kroczy ogromna procesja, pośród światła, kwiatów, chorągwi, pieśni. Madonna błogosławi tłumom reprezentującym współczesną siłę życiową. Różni się całkowicie od Hery Karmicielki, której profil jeszcze dziś można ujrzeć, otoczony bujną fryzurą, na niektórych monetach. Różni się nie tylko zewnątrz, lecz przede wszystkim swym wewnętrznym pięknem. Przedstawia pewien sens filozoficzny, ach! jakże podobny.

Gromadzi się wielki tłum, z całej Kalabrii. Łodzie, zmienione tylko w kształcie, radzą sobie dobrze na tym kursie, tak jak... dwa tysiące pięćset lat temu!

Z całej Wielkiej Grecji przybywały do sanktuarium Hery Karmicielki tysiące osób, niosąc wota z terakoty. Obecni byli oficjalni przedstawiciele wszystkich miast. Wczoraj widzieliśmy tłum: ożywiony, spocony, podekscytowany; procesję, która wśród dźwięków dzwonów, pod girlandami elektrycznych lampek towarzyszyła cudownemu wizerunkowi do Capo Colonna, gdyż przypadkiem trafiliśmy tu w siódmą rocznicę.

Sanktuarium Hery w Capo Lacinio nie tylko było jednym z najstarszych greckich monumentów (koniec VII wieku), i największym w całej Grecji, lecz także najbogatszym. Kapłani dysponowali ogromnymi posiadłościami i pogłowiem bydła liczonego w tysiącach sztuk – stada poświęconego bogini. W tamtej epoce świątynie pełniły funkcję dzisiejszych banków. Pomysł był doskonały. W ten sposób banki znajdowały się pod najlepszą opieką z możliwych: chroniła je boska nietykalność.



Wszystkie słynne podobizny ukazują św. Franciszka z Paoli jako postać surową,
ascetyczną, otoczoną nimbem niezwykłości

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•



W romantycznych krużgankach klasztoru zdaje się, jakby czas się zatrzymał

•
•
•
•
•
•
•
•
•

Istnieją w przekazach dziesiątki legend o natychmiastowej karze spadającej na śmiałka, który odważyłby się pogwałcić „tabu” świątyni.

I tak, w świątyni Hery Karmicielki, dokładnie przy pomniku bogini, wznosiła się wysoka i masywna kolumna z litego złota. W niej kapłani przechowywali dochody ze świątych stad: profity gromadzone przez setki lat.

Kiedy Hannibal, pod koniec drugiej wojny punickiej, spędzał większość czasu w Krotonie, dostrzegł ten naprawdę wyjątkowy skarb. Wojsko nie było opłacone... Jako dobry Semita pojął od razu, jaka była wartość tej kolumny. Na mocy starego prawa... postanowił ją zarekwirować, jako trofeum. Jednak jego fenicki zmysł zadziałał roztropnie. Najpierw chciał przekonać się, że kolumna naprawdę również w środku jest ze złota i polecił ją przewiercić. Ku jego zadowoleniu dowód był jednoznaczny.

Hera jednak czuwała. W nocy Hannibal miał sen. Ukazała mu się bogini, otoczona mistycznym światłem i ostrzegła go spokojnie, lecz kategorycznie, że jeśli dotknie choćby uncji złota z jej skarbów, ona pozbawi go jedyne go oka, które mu pozostało. Wódz, który przeszedł ze swymi słoniami przez przepaście Pirenejów i groźne lodowce Alp, zadrżał przed tą krótką groźbą wypowiedzianą harmonijnym kobiecym głosem.

I któż, straciwszy jedno oko, nie troszczyłby się o drugie? Hera Karmicielka okazała się genialnym psychologiem. Umiała wybrać najczulszy punkt, by dotknąć bohatera. Następnego poranka Hannibal polecił wytopić ze złota – ukruzonego z wiertniczej próby – małą krowę, którą jako wotum osobiście i z pełną pokorą umieścił na szczycie kolumny.

Świątynia nie tylko była narodowym sanktuarium południowych Włoch, lecz także ośrodkiem sztuki. By ją ozdobić, wysłano nie kogo innego jak Zeuksisa z Heraklei. Był najśłynniejszym malarzem epoki – mógł się z nim równać tylko Parrasjos – otoczony jeszcze za życia legendą i powszechnym podziwem¹¹.

11 Tak o spadkobiercach Apollodora, słynnego „malarza cieni”, wspomina znawca kultury starożytnej: „W ślady Apollodora, posługując się nową techniką, wstępowała w Atenach w czasie wojny peloponeskiej trójka wielkich malarzy (z których żaden nie był urodzonym Ateńczykiem): Zeuksis z Heraklei, Parrasjos z Efezu i Timantes z Kytos. Tylko częściowo czerpali oni tematykę z mitologii; zamiłowanie do martwej natury, do scen rodzajowych i erotycznych ujawnia nowe tendencje, tak znamienne później dla sztuki hellenistycznej. Przedstawienie przez Zeuksisa Lato-ny grającej w kości z Niobe jest wyrazem nowego, żartobliwego stosunku do mitologii. Dodać trzeba, że rzemiosło malarzkie znali oni doskonale: realizm, z jakim Zeuksis przedstawiał winogrona, sławny był w całej starożytności”. Uzupełnijmy, iż pomysł Apollodora polegał na „wynalezieniu nowej techniki w przyrządzaniu farby na żółtku, odpowiednika naszej tempery”, co pozwalało „na wydobywanie cieniów i półtonów oraz na wprowadzenie perspektywy malarzkiej”. Por. K. Kumaniecki: *Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1964, s. 199–201.

Malował bardzo powoli, a kiedy go pytano o powód, odpowiadał: „Mam czas. Ja bowiem maluję dla wieczności”.

Jako przedstawiciel szkoły jońskiej Zeuksis zrewolucjonizował greckie malarstwo. Ożywił kolory, których gama była przedtem bardzo ograniczona, doprowadził technikę rysunku do doskonałości. Nie okazywał nigdy zadowolenia z efektów swojej pracy jak niemal każdy grecki artysta. Podobieństwo i realizm jego prac charakteryzowały się dotychczas jeszcze nieznanym poziomem.

Pewnego razu namalował młodzieńca z kiścią winogron w dłoni. Pracował długo w skupieniu nad owym wyobrażeniem owocu, cyzelując jedno winogrono za drugim. Kiedy wreszcie wyniósł obraz na zewnątrz, by pokazać go przyjaciołom, kiść winogron okazała się tak doskonałą imitacją natury, że ptaki chmurą przyleciały na posiłek. Przyjaciele klaskali entuzjastycznie. Lecz Zeuksis był smutny:

– Obraz jest nieudany! – wykrzyknął.

– Dlaczego? – zaprotestowali przyjaciele. – Same ptaki dały ci odpowiedź.

– Właśnie dlatego – odrzekł mistrz. – Co mi z tego, że kiść winogron może i dobrze wyszła? Kiedy chłopiec jest zupełnie nieudany! Gdyby bowiem był autentyczny, ptaki by się go wystraszyły i nie przyleciałyby wydziobywać owoców.

I tak oto Zeuksis niezadowolony był z siebie, z obrazu, z przyjaciół.

Historycy sztuki utrzymują, że grecka starożytność stworzyła tylko dwa cudowne portrety kobiet: *Afrodytę Anadyomene* Apellesa i *Helenę Trojańską* Zeuksisa¹².

12 Podążając za ciekawą rekonstrukcją specjalisty: „[...] wiemy o tym dziele niewiele. Obraz przedstawiał nagą boginię wychodzącą z kąpieli, gdy zręcznym gestem wyciska wodę z mokrych włosów. Urodę i piękne kształty bogini wyjaśniała anegdota, według której do obrazu pozować miała słynna hetera ateńska Fryne, kochanka rzeźbiarza Praksytelesa, sportretowana przez niego w słynnej rzeźbie Afrodyty z wyspy Knidos. Ziarno prawdy tkwi być może także w opowieści przekazanej przez Pliniusza. Opowiadano mianowicie, że przebywając na dworze Aleksandra Wielkiego, otrzymał Apelles zadanie namalowania nagiego wizerunku ulubionej nałożnicy króla imieniem Pankaspe. Malarz wywiązał się z zadania znakomicie. W czasie pracy nad obrazem, oczarowany pięknymi kształtami Pankaspe, zapłonął jednak do niej miłością. Gdy Aleksander zauważył, co się stało, podarował swoją nałożnicę malarzowi, wyrzekając się swego uczucia do niej. Według niektórych to właśnie Pankaspe miała być pierwowzorem pięknej postaci Afrodyty”. W przypadku drugiego obrazu – sprawa nie jest oczywista. Zeuksis namalował oczywiście Helenę Trojańską, uosabiającą wedle tradycji ideał kobiecego piękna, i podarował go kapłanom świątyni Hery Karmicelki w Krotonie. Wedle Pliniusza „skontaminował urodę” kilku kobiet modelek, by osiągnąć efekt „sumarycznego piękna”. Równocześnie jednak „sławny był [...] obraz Zeuksa przedstawiający Helenę, wystawiony w spichrzu zbożowym w Atenach. Ateńczycy zwali go *Heleną kurtyzaną* i była to zapewne replika słynnego obrazu z sanktuarium Hery Lacyńskiej, nieopodal Krotonu, greckiego miasta w południowej Italii”. Por. M. Barwik: *Zaginione arcydzieła sztuki starogrec-*

Kiedy Zeuksis przybył do Krotonu, postanowił namalować – w hołdzie Herze Lacinii – klasyczny, idealny wizerunek kobiecej nagości. Lecz nie sądził, że uda mu się znaleźć w Krotonie, słynącym co prawda z pięknych kobiet, model, który łączyłby w sobie elementy pozwalające osiągnąć perfekcyjną całość. Nie wierzył, że natura mogłaby stworzyć bezbłędny egzemplarz.

W mieście zebrano zatem wszystkie najpiękniejsze dziewice. W tamtych czasach było to głośnie wydarzenie. Głośniejsze niż współczesny konkurs piękności. Zeuksis wybrał z nich pięć, które potem sławiło wielu poetów. Możemy wyobrazić sobie karierę tych kobiet! Najdoskonalsze części ciała tych dziewcząt stopiły się pod pędzlem Zeuksisa w dzieło sztuki: nagą *Helenę*, wyidealizowaną na drewnianej fakturze!

Dach świątyni pokrywały rzędy marmurowych płytek. Jak przekazuje tradycja, był to cud architektury. Jedyna rzecz, która przez wieki nie doświadczyła zniszczenia, to właśnie... ludzki głód destrukcji. Dach został zdemontowany w roku 173 p.n.e. przez bohatera Fulwiusa Flaccusa, który planował – jako wotum dziękczynne za swe słynne zwycięstwo nad Celtyberami w Hiszpanii – budowę świątyni Fortuny Ekwickiej¹³.

Kiedy zaczęto montować marmurowe dachówki przywiezione z Krotonu, cały Rzym trwał w podziwieniu dla bogactw i wspaniałości pretora. Nie wiedziano, że dach został zwiadczyjnie skradziony.

My jednak wiemy już, w jaki sposób Hera pilnowała swoich skarbów. Ustami posłańców podniosła wielki alarm w rzymskim senacie i sprytny pretor musiał odesłać do Krotonu zrabowane dobra, dodając do nich odpowiednią przebłągalną ofiarę. Lecz chociaż Hera zręcznie wymogła zwrot swojego dachu, ludzie nie potrafili równie umiejętnie na powrót go ułożyć.

kiej (1). *Apelles z Kolofonu i jego „Afrodyta Anadyomene”*. „Cenne, Bezcenne, Utracone” 2002, nr 2, s. 30 oraz Idem: *Zaginione arcydzieła sztuki starogreckiej (6). Nadworny malarz króla Archelaosa*. „Cenne, Bezcenne, Utracone” 2006, nr 1, s. 42–43.

13 Tak obrazoburczy gest butnego rzymskiego konsula komentuje współczesny filolog klasyczny: „W dziele Liwiusza nie brak też przykładów świętokradczego rabunku świątyń. Rzecz ciekawa, za świętokradztwo odpowiedzialni są głównie Rzymianie. I tak cenzor Kwintus Fulwiusz Flakkus został w roku 173 p.n.e. oskarżony o to, że do świątyni Junony Lacyńskiej koło Krotony, której nie odważył się zbzezcześcić ani Pyrrus, ani Hannibal, nie tylko wtargnął, lecz pozbawił ją dachu i niemal obrócił w ruinę. Zrobił to cenzor, mający strzec moralności obywateli!”. W zgodnej opinii ludu – zapłacił za to najwyższą cenę, a ofiara przebłągalna nie została przyjęta: „pontyfik Fulwiusz Flakkus popadł w szaleństwo i popełnił samobójstwo. Mówiono powszechnie, że gniew Junony Lacyńskiej z powodu ograbienia jej świątyni pozbawił go zdrowego rozsądku”. Por. S. Śnieżewski: *Koncepcja historii rzymskiej w „Ab Urbe Condita” Liwiusza. Aspekt filozoficzno-polityczny*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Kraków 2000, s. 94–95.

Zdeponowane na terenie sakralnego obiektu, marmurowe dachówki przetrwały wieki. W XIX stuleciu, połamane, posłużyły za podłogę w prywatnym pałacu!

W ten sposób marmur, który niegdyś był wywyższony i osłaniał wspaniałą głowę bogini, chroniąc ją od upału i wiatru, teraz – upokorzony – skończył pod brudnymi butami! Jakże często los marmuru przypomina ludzką dolę!

Jeszcze jedna zastanawiająca ciekawostka kryje się w świątyni. Hannibal, opuszczając Włochy, gdzie przez trzy lata przebywał ze swym wojskiem w Wielkiej Grecji, w obawie, że historia wojen punickich zostanie zafałszowana przez Rzym, postanowił zostawić autentyczny dokument tych walk. Na tablicy z brązu nakazał wyryć w dwóch językach – fenickim i greckim – całą historię swych wojen z Rzymem: daty, lata, miesiące, dni, miejscowości, potyczki, potencjał bojowy w ludziach i uzbrojeniu, liczbę zabitych, rannych, uwięzionych. Powstał bardzo precyzyjny pomnik, dopracowany artystycznie.

Gdzie przechować taką pamiątkę? Komu powierzyć ten prawdziwy dokument wojenny tak, by nie został zniszczony?

Poczuł nad sobą moc bogini, cudownie strzegącej swoich skarbów. I tak, po zawarciu porozumienia z Herą, dedykuje jej on swoje najdroższe świadectwo wojenne. Uwierzył, że Hera znajdzie sposób, by ukarać profanatora, który odważyłby się dotknąć brązowej tablicy tak, jak został powstrzymany on sam, gdy chciał zbeczczyć złotą kolumnę. Widzimy także, jak dobrym psychologiem był Hannibal. Wiedział, że w przypadku definitywnej porażki historia zmieniłaby cały obraz jego militarnej chwały, że historia pisana jest przez zwycięzcę i dlatego zawsze jest po stronie tego, kto wygrywa, nigdy po stronie pokonanego.

Polibiusz widział te Hannibalowe zapisy i posłużył się nimi w swych *Dziejach*.

Jeszcze w kolejnych wiekach po narodzeniu Chrystusa sanktuarium zadziwiało swym bogactwem. Podczas całego średniowiecza kolumny stały prosto. W czasach renesansu zaczęto używać ich do konstrukcji portu w Crotone...

Dlaczego pozostała ta jedna kolumna? Trzeba byłoby zapytać o to kapryśny los. Wszak to on strzeże swoich sekretów i nigdy nie wyjawia, dlaczego kieruje w taki czy inny sposób biegiem życia zabytków i ludzi.

Pokłońmy się Capo Colonna, tej dziwnej relikwii, którą Hera Karmicielka pozostawiła po sobie.

Wśród tysięcznych tłumów ludzi, którzy przez wieki tędy przeszli, dziś była tu para, która przybyła z pielgrzymką, nie prosząc o nic, nic nie składając w ofierze, nie mając nadziei na nic i nic nie przysięgając.

A jednak nie oddaliła się stąd smutna ani rozczarowana!

Łódź pospiesznie odpływa. Crotone wydawało nam się takie małe ze swym dziwnym kioskiem z oranżadą, ku naszemu zdziwieniu jednak się powiększyło i szykuje nam ciągle nowe niespodzianki. Nie możemy wyruszyć stąd, nie złożywszy wizyty twórcy medycyny: Alkmeonowi.

BUNT PRZECIWKO ESKULAPOWI

Z biciem serca przekraczamy próg należący do owego dziwnego człowieka. Na drzwiach nie ma ani napisu „Hiatros” (lekarz), ani godzin przyjęć, lecz tylko jedno imię – bardzo piękne i melodyjne: Alkmeon.

Odpowiesz mi, że teraz od dwudziestu pięciu wieków Alkmeon już nie żyje! Nie masz jednak racji. Nigdy nie uobecniał się tak intensywnie jak dziś – cytowany, studiowany i podziwiany przez najnowocześniejszych profesorów medycyny eksperymentalnej.

Był uczniem Pitagorasa¹⁴. Jako pierwszy w medycynie zerwał kontakty z boską opatrnością. Jego bunt miał wpływ na późniejszą historię medycyny. Znikła nagle sława centaury Chirona, który ziołowymi preparatami leczył swych uczniów: Achillesa, Tezeusza, Herkulesa, zdradzając im arkana sekretnej mocy trucizn i balsamów. Tak samo Eskulap, jego najlepszy uczeń, zaopatrzony w okrutnego węża, syn Apolla i nimfy, musiał wyrzec się swej starożytnej nauki.

Zaczął się zmierzch kapłanów, którzy w cieniu świątyń poświęconych Eskulapowi trudnili się swym lukratywnym zajęciem. Ofiary składane bogom przestały się im podobać. Nie wystarczyło już powiesić na drzwiach chorego gałązki oliwnej, która miała sprowadzić pomoc Minerwy, ani laurowych liści, by wezwać Apolla. Ludzka myśl poszukała innej drogi. Jak zaczęła meandrować ta idea, jakimi sekretnymi ścieżkami się przechadzała – nowoczesna nauka może to sprawdzić w książce, w której Alkmeon zgromadził swoje obserwacje.

Niestety, ze słynnego traktatu *De natura* pozostały tylko fragmenty. Choć nawet te wycinki dostarczają obrazu szalonego skoku, jakiego człowiek nie bał się

14 Alkmeon z Krotonu (VI–V wiek p.n.e.) – starogrecki lekarz i filozof. Wedle świadectwa Diogenesa Laertiosa „był [...] uczniem Pitagorasa: wykładał głównie medycynę, ale [w swych naukach – Redaktorzy] nieraz traktował również o filozofii przyrody. [...] Był chyba pierwszym pitagorejczykiem, który napisał *Traktat o przyrodzie*, jak podaje Favorinus w *Historiach rozmaitych*, oraz twierdził, że księżyc, i w ogóle ciała niebieskie, mają naturę wieczną”. Przekonywał, że „dusza jest nieśmiertelna i że jest w ciągłym ruchu, podobnie jak słońce”. Por. D. Laertios: *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*. Tłum. I. Krońska [et al.]. Wstęp K. Leśniak. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988, s. 508–509.

zrobić, wyzwalając się tym samym od jarzma boskości, które aż do tamtej chwili krępowało swobodę prowadzenia badań.

Wpływ pitagorejskiej harmonii jest w doktrynie Alkmeona bardzo widoczny. Czymże jest bowiem owo zdrowie? To harmonijne funkcjonowanie wszystkich części ludzkiego ciała. Jeśli choćby jeden element zmieni swoje działanie, od razu zaburza się równowaga w całym organizmie. Bez synergii układów nic nie pracuje prawidłowo. By odzyskać zdrowie, trzeba naprawić tę część, która wymknęła się spod prawa rytmu wspólnej pracy.

Aż do tamtego czasu uważano, że serce jest rezerwuarem każdego uczucia i inteligencji. Alkmeon był pierwszym, który z talii medycznych kart wyciągnął mózg i radził stawiać na tę kartę. Potraktował ten organ jako klucz, którym można uruchomić całą życiową maszynę.

Jako pierwszy odkrył trąbkę Eustachiusza. Badał nerwy oczne i zgłębił tajemnice widzenia. Pioniersko przeprowadził sekcję zwłok w celach naukowych, co postrzegane było nierzadko jako skandaliczne przez jemu współczesnych, którzy jeszcze umieszczali koronę na głowie umarłego i monety w ustach, żeby mógł opłacić Charona przy przeprawie przez Styks. Alkmeon przeciwnie – wbrew religijnym przesądom – od razu przeprowadzał sekcję zwłok umarłego...

Stąd pochodzi inspiracja słynnej *Lekcji anatomii* Rembrandta.

Alkmeon zajmował się także krążeniem krwi. W kwestii wszystkiego, co dotyczy mózgu i układu krążenia, miał on niemalże genialną intuicję. Wzniósł się on ponad całą masę średniowiecznych szarlatanów, wyznaczył ścieżkę dla takich medyków, jak Servet¹⁵.

Prowadząc sekcje zwłok, Alkmeon odkrył różnicę między żyłami i tętnicami, które określił jako „żyły puste” i „żyły pełne”.

Nie dysponował żadnym mikroskopem, lecz natura podarowała mu jedno z najdokładniejszych i najbardziej przenikliwych narzędzi: intuicję geniusza, jeszcze do dziś budzącą podziw przedstawicieli nauk medycznych. To wszystko w V wieku p.n.e.

W starożytnym Crotone otworzyła się droga dla geniusza Morgagniego, giganta, który położył fundamenty współczesnej medycyny, dla Jennera, Bernarda, Kocha, Behringa, Wassermann, Golgiego, Pasteura, by przypomnieć tylko największych rewolucjonistów.

15 Miguel Servet (także: Michał Serwet; ur. 29 września 1511 roku w Villanueva de Sigüenza, zm. 27 października 1553 roku w Genewie) – hiszpański teolog unitariański, astronom, prawnik i lekarz. Zwolennik przeprowadzania sekcji zwłok dla lepszego poznania mechaniki działania ludzkiego organizmu. Odkrywcą płucnego (małego) krążenia krwi, pionier farmakologii. Por. *Michał Servet (1511–1553). Wybór pism i dokumentów*. Red. L. Szczucki. Książka i Wiedza, Warszawa 1967.

Kiedy będziesz w Crotone, zapukaj do drzwi Alkmeona. To człowiek, który nie umiera. Zapytaj go o tradycję Eskulapa:

– Doktorze, chodzi o coś poważnego?

– Owszem, dość poważnego – przypuszczalnie odpowie ci z uśmiechem.

A dialog z rewolucjonistą na polu nauki i sztuki przyniesie ci, oprócz wielkiej przyjemności, korzyść i wiedzę.

W ten sposób poznasz nie tylko duszę, lecz także antyczne ciało Kalabrii.

BAR MILONE

Jak dobrze wiesz, nie ma miasta, w którym nie byłoby baru sportowców. Jest wytapetowany ogłoszeniami Totip lub Totocalcio. Właścicielem zawsze jest dawny medalista, który teraz już wycofał się z aktywności sportowej i który nadal realizuje swoją życiową pasję, opowiadaniem o niegdysiejszych zwycięstwach wzniesając płomień rywalizacji wśród młodych słuchaczy. I przy tym dobrze zarabiając na klientach, których nie brakuje dzięki jego dawnej sławie i zdobytym trofeom.

Naturalnie tutaj w Crotone musimy koniecznie wejść, chociaż na kilka chwil, do baru Milone, żeby poznać właściciela. To trochę niebezpieczna wizyta, gdyż ów jest wręcz zbyt sławnym sportowcem. Jednak być w Crotone i nie poznać Milona to tak jakby być w Rzymie i nie zobaczyć papieża.

Pamiętajmy, że poeci i atleci zawsze żyli w zgodzie. Jedni zawsze potrzebowali drugich. Poeci poszukiwali tematów, które poruszyłyby tłumy; atleci – pragnęli być uwiecznieni w wierszach. Mieli dobre przeczucie, gdyż większość słynnych pomników się zagubiła, lecz ciało atletów na przykład w odach Pindara jeszcze dziś cieszy nasze oczy.

Dawny Kroton słynął nie tylko z pięknych kobiet, lecz także z zapaśników, najsłynniejszych w starożytności. Jego mieszkańcy uznawani byli za rasę uprzywilejowaną, na tyle że można powiedzieć, że funkcjonowała tu prawdziwa szkoła dietetyczna.

O tutejszych sportowcach mówiło się, że „ostatni z krotończyków jest najlepszym z Greków”; powiedzenie to powstało, kiedy na olimpiadzie wszystkie pierwsze miejsca zajęte zostały przez atletów z Krotonu. Klimat był tu doskonały do tego stopnia, że krążyło inne przysłowie: „Nic zdrowszego nad Kroton”. Miasto stało się prawdziwą kuźnią talentów, z której wyszło najwięcej sportowców zwycięzców.

W jednej olimpiadzie aż siedmiu sportowców z Krotonu wróciło do swego miasta na białym koniu i z laurowym wieńcem na głowie. Historia przekazała nam imiona wielu z nich: Filip, zmarły w Segeście i tam wręcz czczony jako bohater; Fayllos, bohater z Salaminy...

Dziś jednak – to my spotykamy niepokonanego bohatera, który przywiózł palmę zwycięstwa sześć razy z igrzysk olimpijskich, siedem razy – z pytyjskich, dziesięć – z istmijskich, dziewięć – z nemejskich.

Milon!

Tylko pomyśl! Najpiękniejsze dziewczę, z najszlachetniejszych rodzin, zgodnie z szanowaną przez wieki tradycją trzydzieści dwa razy cięły złotym sierpem święte drzewo oliwne na koronę chwały dla niego! Mnóstwo zacnych atletów marzyło, że choć raz w życiu ich czoło będzie ocenione świętym triumfalnym laurem...

Krążyły o nim legendy jak o jakimś mitologicznym bohaterze. Był ubóstwiany za życia i po śmierci. Mówiło się, że własnymi rękami przeniósł pomnik z brązu wykonany na jego cześć z Olimpii do Altis, gdzie miał stanąć.

Trwał na naoliwionym dysku i nawet najsilniejszy przeciwnik nie był w stanie zsunąć go z tak śliskiego piedestału. Zwykłym uniesieniem brwi zrywał ciasną opaskę wokół czoła¹⁶.

Pewnego razu mocnym ciosem zabił byka i w ciągu jednego dnia sam zjadł całe mięso, popijając je odpowiednią ilością wina.

W jego domu, w Krotonie, mieszkał Pitagoras. Tam też zmarł. Milon należał do ulubionych uczniów mistrza, do tego stopnia, że oddał mu swoją córkę za żonę. Podziwiamy czasy, gdy sportowcy byli również filozofami. Nigdy pitagorejska harmonia między ciałem a myślą nie była ubrana w doskonalsze i silniejsze formy cielesne.

Dziś atleta pozostawia w swoim życiu niewiele miejsca na... filozofię.

16 Alberti skrupulatnie powtarza tu wersję Pausaniasza: „Mówią, że swój posąg wniósł Milon do Altis na własnych ramionach. W związku z nim opowiadają jeszcze anegdotę o jabłku i o dysku. Jabłko granatu umiał trzymać w sposób tak szczególny, że nikomu go nie oddał, choćby użyto nie wiem jakiej siły, ani też sam ściskając nie naruszył w najmniejszym stopniu. Potrafił też stanąć na dysku, posmarowanym tłuszczem, śmiejąc się z tych, którzy usiłowali na niego wpaść i zepchnąć z dysku. Wyprawiał jeszcze inne takie sztuczki na pokaz. Oto na przykład obwiązywał sobie czoło struną w ten sposób, jakby opasywał je przepaską lub wieńcem. Następnie zatrzymywał oddech wewnątrz ust, żyły głowy napinał tak silnie, iż pęczniały od krwi. Wreszcie struna pękała od ich napięcia”. Por. *Na olimpijskiej bieżni i w boju. Z Pausaniasza „Wędrówki po Helladzie” księgi V, VI i IV*. Przełożyła z języka greckiego i oprac. J. Niemirska-Pliszczyńska. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1968, s. 171.

Piękno Milona to nie tylko siła, lecz także wspaniałomyślność. Dotarła do nas pewna anegdota.

Gdy pitagorejczycy zebrali się pewnego razu w sali, której dach spoczywał na jednym centralnym filarze, nagle zauważono, że ten zaczął się chwiać. Wszyscy przeczuwali nadchodzącą katastrofę. Ale wśród obecnych był Milon, który nie stracił zimnej krwi. Rozkazał zebranych uciekać, podczas gdy on sam, dzięki ogromnej sile, podtrzymywał walącą się kolumnę, dopóki wszyscy nie byli bezpieczni. Sam potem ledwo zdołał się uratować.

Widzimy zatem wzruszający przykład wykorzystania ludzkiej siły, nie tylko na stadionie, gdzie wiwatuje tłum, gdzie okrzyki podziwu i uniesienia podwajają wigor i energię mięśni, nie tylko wtedy, gdy odzywa się osobista duma i pragnienie chwały. Milon nie był bohaterem wyłącznie w tradycyjnym sensie – pięknym, powiedzmy, jak z wystawy. Był również herosem, gdy ryzykował swoją siłę w obliczu niebezpieczeństwa, gdy w mgnieniu oka położył na szali cały splendor swojej siły fizycznej, wszystko, co było mu najdroższe, cały ten niezwykły dar, który mu ofiarowała natura, i który wspaniałym gestem, w chwili zbliżającej się śmierci, oddał, aby pomóc swojemu bliźniemu. Gest ten był jednocześnie wspaniały i szalony, gdyż Milon ani przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, czy jego ogromna, ale tylko ludzka siła wystarczy do udźwignięcia takiego ciężaru. Ten gest, bardziej charakterystyczny dla filozofa niż sportowca, mówi nam o ogromnej dyscyplinie pitagorejskiej, działającej jak wewnętrzny zegar, który nigdy się nie zatrzymuje. Precyzyjne palce wskazujące Milona ani przez chwilę nie odmówiły posłuszeństwa.

Mimowolnie przypomina nam się podobny, a raczej odwrotny epizod z Samsonem, gdy ów atleta użył swojej siły nie do ratowania innych, lecz do zniszczenia, zaspokajając swoje pragnienie zemsty na Filistynach. Siłą zawalił centralny filar, który podobnie podtrzymywał dach sali, w której byli zgromadzeni, spychając trzy tysiące ludzi w jego własną, mściwą ruinę.

Po raz kolejny Milon położył na szali swoją reputację. Uzbrojony jedynie w maczugę, niczym nowy Herkules, poprowadził armię Krotonu w wojnie przeciwko Sybaris¹⁷. Była to epoka, kiedy osobista odwaga i żywiołowa energia wciąż zachowywały wartość.

Musimy teraz zastanowić się przez chwilę nad bezradnością człowieka w obliczu najwyższej siły, jaką jest przemijanie. Kamień podlega erozji, woda wysy-

17 Autorka wprost nawiązuje do 6 księgi *Geografii* Strabona. Por. angielskie, pełne wydanie dzieła i odpowiedni fragment zlokalizowany w: *The Geography of Strabo (Book VI)*. With an English translation by H.L. Jones. Based in part upon the unfinished version of J.R. Sitlington Sterrett. Vol. 3. Heinemann, London 1917, s. 45.

cha, lód topnieje, dąb butwieje, ludzkie mięśnie starzeją się i tracą elastyczność. Siła przemijania działa mądrze i dyplomatycznie, nie uderza nagle, ale sączy się kropla po kropli, tak że sam człowiek nie odczuwa jej podstępności. Jak każdy pitagorejczyk Milon uwielbiał samotne spacerować. Tradycja głosi, że pewnego razu przechodził przez lasy masywu Sila, w tamtych czasach gęste, rozległe i zamieszkane przez bestie. Zobaczył wtedy drzewo, które ktoś już wcześniej zaczął ścinać. Klina białe w pień znańczyły rozpoczętą już pracę, ale ten ktoś nie miał siły, by ją dokończyć. Rozpórki tkwiły nadal osadzone w szczelinie drzewa, które okazało się zbyt wytrzymałe.

Milon postanowił rozplatać je własnymi rękami. Wepchnął dłonie w szczelinę i wyteżył siły, ale klina wyłamały się, a jego ręce utknęły w roślinnym imadle. Milon napotkał potężniejszą siłę. Siłę drzewa? Nie! Moc przemijania, która zwyciężyła władzę jego mięśni.

Oto tragiczny obraz. Trzydziestodwukrotny triumfator na igrzyskach, kondotier, który poprowadził na wojnę zwycięską armię, krotowski Samson, który na białym koniu przekroczył bramy miasta, ukoronowany gałązką oliwną. Jego pomnik z brązu, dzieło Damea, wznosił się w Herajonie obok pomnika Apolla o złotej głowie. Teraz, sam, w silańskim lesie nie może wydobyć się z uścisku drzewa¹⁸.

Na tarczy jego zegara, który nigdy się nie spóźniał, wskazówki się zatrzymały. Rozszarpały go wilki.

Tę tragiczną chwilę Puget przedstawia w swej genialnej rzeźbie, dziś przechowywanej w Luwrze. Milona nie rozszarpują wilki: pożera go lew, jakby chcąc powiedzieć, że tylko ta bestia, symbol zwierzęcej siły, może pokonać atletę, symbol mocy ludzkiej¹⁹.

18 Tak ujął to – w literackim obrazie – cytowany nieco wcześniej periegeta: „Podobno zginął od dzikich zwierząt. Napotkał mianowicie w okolicy Krotonu uschły pień drzewa. Klina, wewnątrz niego założone, z wolna pień rozszczepiały. Milon, dufny w swą siłę, wsunął ręce w środek drzewa (żeby je rozłupać do reszty). Klina wypadły spod rąk, a Milon znalazł się jak w potrzasku, w kleszczach drzewa. W ten sposób stał się łupem wilków, których w okolicach Krotonu żyje nieprzeliczone mnóstwo”. Por. *Na olimpijskiej bieżni i w boju. Z Pauzania „Wędrowki po Helladzie” księgi V, VI i IV*. Przełożyła z języka greckiego i oprac. J. Niemirska-Pliszczyńska. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1968, s. 171.

19 W ciekawy sposób oryginalny styl i geniusz rzeźbiarza definiuje historyk sztuki: „Jeden tylko wybitny artysta nie chciał popłynąć z prądem, a był nim najlepszy rzeźbiarz francuski XVII wieku, Pierre Puget (1620–1694). Skłonni byłibyśmy nawet przedstawić go jako współczesnego Poussina, Berniniego i Borrominiego, lecz na swoje nieszczęście urodził się o całe dwadzieścia lat później. Obdarzony niepokornym temperamentem, rozpoczynał mnóstwo prac, ale wielu z nich nie doprowadził do końca. W latach młodości wielkie wrażenie wywarł na nim włoski barok. Jego *Milon z Krotonu* (1682) jest wstrząsającym obrazem ludzkich cierpień i stoickiej odwagi. Ramię

Każdy człowiek w jakiś sposób rozlicza się ze swojej chwały. Również Milon zapłacił wysoką cenę!

Dzisiaj w barze Milone, w centrum Crotone, poznaliśmy nie tylko olimpijczyka, lecz także atletę-filozofa, siłacza-pitagorejczyka i z pewnością była to sympatyczna znajomość.

W DYMIE Z TRÓJNOGA

Po tych rozdziałach o Crotone pomyślisz, że jest to po prostu martwe miasto.

Rozmawialiśmy bowiem z cieniami; na podstawie zarysu kolumny zrekonstruowaliśmy całą świątynię, na podstawie kilku zdań odtworzyliśmy całą filozofię pitagorejską.

Tymczasem „Cotrone”²⁰ tętni życiem, jest jednym z najbardziej dynamicznych miast w Kalabrii i zdążyło już powrócić do swojej dawnej, zaszczytnej nazwy Crotone (Kroton).

Legenda rzuca pierwszy promień na początki miasta i jego nazwę. I nie jest to byle jaka, trzeciorzędna legenda, ale jedna z najstojniejszych, której bohaterem jawi się sam Herkules.

Przypomnijmy sobie woły Geriona. To jedna z dwunastu prac, które musiał wykonać bohater podczas oczyszczania ziemi z dzikich sił natury i złych ludzkich instynktów. Eurysteusz wysłał Herkulesa do krain, „gdzie słońce zachodzi”, aby odebrał Gerionowi, olbrzymowi o trzech zrosniętych ciałach, liczne stado czerwonych wołów, jego wielkie bogactwo. Kiedy Herkules po powrocie dotarł do przylądka, który później nazwano Capo Colonna, król Lacinius próbował odebrać mu woły. Jak widzimy, również w tej legendarnej epoce korzystano z prawa do pobierania myta. Wywiązała się walka. Król Lacinius miał zięcia, który go nienawidził, o imieniu Kroton. Ów rzucił się na pomoc Herkulesowi w ostatniej chwili, ale heros nie odczytał dobrze tych intencji. W szaleńczym zaślepieniu myślał, że nadchodzi kolejny wróg. Zabił więc Lacinius i Krotona.

bohatera uwięzło oto w pniu drzewa i na próżno usiłuje się on bronić przed atakiem lwa. Wyrazem namiętności, różnicowaniem ruchów, umiejętnością odtwarzania nabrzmiewających mięśni prace Pugeta nie ustępują w niczym dziełom Berniniego. Bernini jednak łagodził przeżycia swych bohaterów świętością ekstazy, podczas gdy Puget ukazuje i gloryfikuje walkę zaciekle, lecz bezna nadzieję”. Por. M.W. Alpatow: *Historia sztuki*. T. 3: *Renesans i Barok*. Tłum. M. Kurecka, W. Wirpsza. Arkady, Warszawa 1968, s. 239.

20 Rzeczywiście pod tą nazwą (Cotrone) miasto funkcjonowało od czasów średniowiecznych aż do roku 1928, kiedy to przywrócono dawną formę – Crotone.

Kiedy usłyszał, że ów przyszedł mu z pomocą, był bardzo wstrząśnięty i chciał w jakiś sposób wynagrodzić niewinną śmierć bohatera, który odważył się stanąć w obronie sprawiedliwości. Założył miasto, któremu nadał nazwę Kroton.

Inna legenda głosi, że pod przywództwem Myscellusa i Archiasa dwie grupy Greków wyemigrowały na zachód, posłuszne wyroczni z Delf, jedna w poszukiwaniu zdrowego, a druga bogatego miejsca. W ten sposób powstały dwa miasta: w Krotonie było zdrowe powietrze, w Syrakuzach – dobrze prosperujący rynek.

Oto pierwsze przebłyśki legendy²¹. Dziś historia wysiada z nami z eleganckiego autobusu i z przyjemnością zauważa, że Herkules i garbus Myscellus dotrzymali swoich obietnic.

Z pewnością jest to jedyny przypadek, w którym dwaj rywale wzajemnie się podziwiają i darzą szacunkiem. Historia zafascynowana jest mitologią i nadal we wszystkich swoich książkach odstępuje jej pierwsze miejsce, a dopiero potem zaczyna mówić o sobie. Składa hołd poetyckiemu apokryfowi.

Otacza cię nowoczesne miasto z szerokimi, prostymi ulicami, wokół których wyrastają imponujące kompleksy przemysłowe. Nad brzegiem morza, gdzie Pitagoras uwielbiał spacerować, rozmawiając ze swoimi uczniami, wznoszą się wielkie budynki o niepowtarzalnym wyglądzie, rozciągają się kilometry torów. Wszędzie można wyczuć aurę bogatego, rozwijającego się miasta, która kontrastuje z atmosferą rezygnacji i dekadencji, tak często spotykaną w innych aglomeracjach Południa. Statystyki mówią, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat liczba ludności wzrosła czterokrotnie.

Jeszcze raz Cotrone, które stało się na powrót Crotone, jest jednym z głównych miast Wielkiej Grecji. Jego port, który zapewniał już istotne znaczenie starożytnemu miastu, zyskał obecnie pozycję pierwszego w Kalabrii, drugiego w regionie Morza Jońskiego i wszystko wskazuje na to, że jest mu przeznaczony

21 Myscellus przeprowadził kolonię, która założyła Crotone w roku 710 p.n.e. Pomagał mu Archias, który udawał się w tym czasie na Sycylię. Kolonię wyprowadzono pod aprobatą wyroczni delfickiej, gdyż Myscellus odwiedził już wcześniej tę miejscowość. Był tak bardzo zadowolony z lokalizacji Sybaris, że po powrocie podjął nieudaną próbę przekonania boga delfickiego, aby pozwolił kolonistom wybrać gród Sybarytów na swoje miejsce osiedlenia. Według Owidiusza bóg Herkules ukazał się Myscellusowi we śnie i nakazał mu opuścić rodzinną Achaję i udać się na poszukiwanie „wód Esaro, wypełnionych kamieniami”. Myscellus przygotowywał się do wyjazdu pomimo praw zabraniających obywatelom opuszczania ojczyzny. Kiedy jego plan został odkryty przez innych mieszkańców miasta, a on sam postawiony przed sądem, modlił się do Herkulesa, aby przyszedł mu z pomocą. Bóg odpowiedział, zmieniając kolor kamyków, którymi mieszkańcy głosowali za skazaniem Myscellusa. Wyłynął i wkrótce dotarł do rzeki Esaro w południowo-wschodniej Italii. Za: W. Smith: *A Dictionary of Greek and Roman Biography and Mythology*. Little, Brown and Company, Boston 1867.

jeszcze większy rozwój, wraz ze wzrostem gospodarczym płaskowyżu Sila, który jest jego wyłącznym surowcowym zapleczem.

Mury miejskie wznoszą się tuż przy porcie. Tam, gdzie stał Akropol, ostrołukowe barbakany podtrzymują dwie piękne wieże. Starożytne fortyfikacje, które Don Pedro de Toledo wznosił na rozkaz Karola V wokół średniowiecznej osady, aby chronić ją przed atakami Turków, dziś nadal, między morzem a nowoczesnym miastem, przypominają nam, że były grobowcem całej ogromnej masy pozostałości architektonicznych greckiego *polis*, które do tamtej chwili w dużej mierze opierały się czasowi i ludziom. Zostały bezlitośnie zniszczone, aby mogły posłużyć jako materiał do budowy murów i zamku.

Przyjechaliśmy ledwie na kilka godzin, a zatrzymaliśmy się na kilka dni. Crotone wydawało nam się małe, a jednak urosło na naszych oczach w niesamowity sposób.

Starożytnym herbem miasta był trójnóg wyroczni delfickiej, co oznacza, że zostało ono założone z woli jednego z najpiękniejszych bogów: Apolla.

My także przysiedliśmy przy tym krotońskim trójnogu i w dymie wieków odczytaliśmy na nowo całą przeszłość: od cieni wołów Herkulesa i krowy Vitellii, poprzez Herę Karmicielkę, Pitagorasa, Alkmeona, Milona, Zeuksiego, aż do Don Pedra de Toledo, bizantyńskiej Madonny, nowoczesnego portu i zakładów Montecatini²².

W oparach unoszących się nad trójnogiem wyczytaliśmy także przyszłość Crotone. Ale nie ujawnimy jej, dopóki miasto dobrze nam nie zapłaci, gdyż wyrocznie we wszystkich epokach zawsze drogo kosztowały!

POD ZNAKIEM BLIŹNIĄT

Moja znajomość z Locri rozpoczęła się od dwóch doskonałych młodzieńców, których podziwiałam od pierwszego wejrzenia. Mieli klasyczne proporcje

22 Historia zakładu w Crotone sięga lat 30. XX wieku i związana jest z produkcją przemysłową, prowadzoną przez dwa przedsiębiorstwa: Pertusola Sud i Ammonia Meridionale. Ta ostatnia firma została z czasem przeniesiona do Montecatini i – tym samym – w 1966 roku włączona do koncernu Montedisona. Na początku lat 90. XX wieku, kiedy zakłady popadły w kryzys, połączyły swą działalność z Eni, wówczas firmą z udziałem skarbu państwa. Eni (obecnie Eni Rewind) pilotowała i przeprowadziła zamknięcie zakładów produkcyjnych w latach 1991–1999. Następnie rozpoczęła interwencje w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa i zainicjowania procesu rekultywacji na terenie, który później stał się obiektem o znaczeniu strategicznym: Crotone-Cassano-Cerchiara. Za: <https://www.eni.com/enirewind/it-IT/bonifiche/progetti-bonifica-crotone.html> [dostęp: 2.12.2024].

efebów, długie i elastyczne nogi, szerokie ramiona, okazałą klatkę piersiową i z wielką wprawą dzierżyli lejące narowistych rumaków.

Jak się później okazało, pochodzenie naszych bohaterów owiane było aurą skandalu. Ich ojciec uchodził za największego donżuana, jakiego kiedykolwiek znano w historii. Gdyby poddano go procesowi za bigamię, zostałby skazany na wieczną infamię. Obawiając się zazdrości żony, ojciec moich interesujących młodzieńców przybrał postać łabędzia; w ten sposób umiejętnie uwiódł Ledę.

Oto akt urodzenia moich dwóch znajomych.

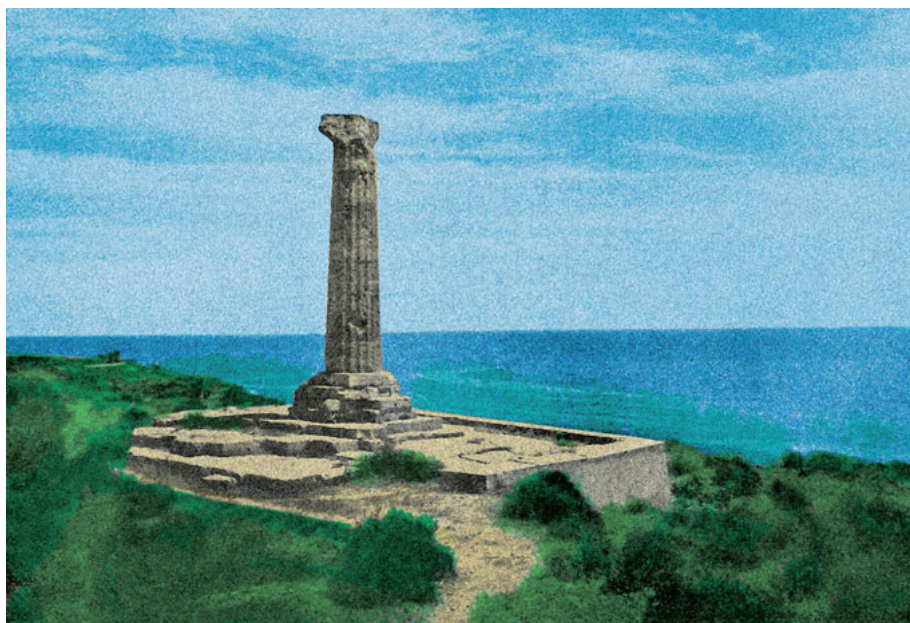
Spotkałam ich w muzeum, gdyż w moim życiu zachodzi dziwna prawidłowość; wszystkie najciekawsze znajomości zawsze nawiązuję w tym miejscu. Spotykam tam najbardziej intrygujących mężczyzn, najpiękniejsze kobiety, najbardziej czarujące dzieci.

Gdy spotykam ich potem na ulicy, w teatrze, w kościele, zawsze wydają mi się tylko stworzeniami cielesnymi, pozbawionymi jakichkolwiek indywidualnych cech.

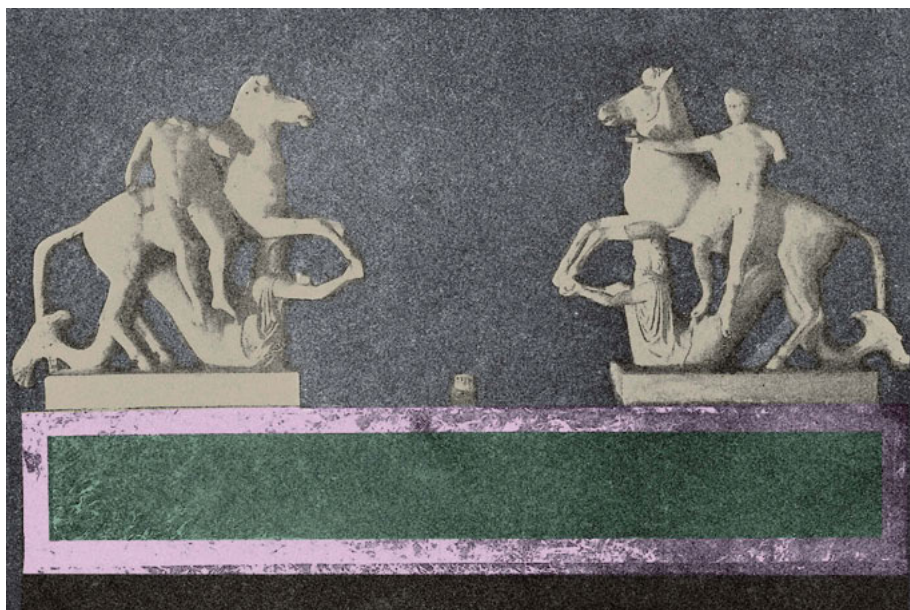
Przez swe dość skandaliczne urodzenie dwóch młodzieńców, którzy byli bliźniakami... z tego samego jaja, zostali nazwani Kastorem i Polluksem. Nosili nazwisko Dioskurowie, czyli „synowie boży”. Należeli do najwyborniejszej „elity” mitologicznej. Znaleźli się pod szczególną opieką Apolla z Delf, który wysłał ich na pola najcięższych bitew, tam gdzie bóg chciał odnieść zwycięstwo, gdyż posiadali oni zdolność bilokacji i uderzania jednocześnie w kluczowych momentach konfliktu. Stali się symbolem braterstwa: nigdy się nie rozdzielali.

Kiedy Lokrom (Locri) groziła wojna z Krotonem – wojna, której naturalnie miasto nie chciało, ponieważ spodziewało się, że ze swoją armią będzie zmuszone stawiać czoła armii dziesięć razy potężniejszej, a według niektórych historyków – trzynastokrotnie większej. Wysłało zatem posłanników do Sparty, jako swojej dawnej kolonii, z prośbą o wsparcie. Ta jednak nie chciała pomagać, gdyż Kroton był kolonią achajską i w ten sposób w Grecji mogłyby skomplikować się relacje między Dorami i Achajami. Poradziła, by o pomoc zwrócić się do Dioskurów, starożytnych opiekunów Dorów. Kiedy posłańcy przekazali wiadomość, że Sparta pozostanie neutralna, Lokry się zaniepokoiły, lecz w dziejach zawsze jest tak, że kiedy brakuje pomocy ziemskiej, człowiek szuka opieki boskiej. Posłańcy udali się do Apolla, do Delf. Wyrocznia zapewniła Lokrów, że nie muszą obawiać się nierównej batalii, gdyż Apollo wyśle na pomoc Dioskurów.

Posłańcy przygotowali dla dwóch wojowników miejsca na statku, a gdy przybili do brzegu, ogłosili, że z woli Apolla delfickiego Dioskurowie pomogą miastu w nadchodzącej walce. W ten sposób entuzjazm zajął miejsce rozpaczy.



Dlaczego pozostała ta jedna kolumna?



...dał życie dwóm grupom, w których tryton, koń i bóg w ludzkiej postaci
są połączeni w wiecznej sile i harmonii

Miliony razy wiara czyniła cuda na tym świecie. Podobnie w tej sytuacji. Rozegrała się wówczas bitwa nad rzeką Sagraś, słynna w całej starożytności. Dziecię tysięcy Lokryjczyków pokonało ponad sto tysięcy Krotończyków. To było coś niewiarygodnego, coś, co potem stanie się wręcz symbolem i pozostawi ślad w powiedzeniu: „To i tak prawdziwsze niż Sagraś”²³.

Moi młodzieńcy z Neapolu doskonale wypełnili swój obowiązek. Widziano ich podczas walki, ale jednocześnie w różnych punktach wdawali się w najniebezpieczniejsze pojedynki.

Wdzięczni Lokryjczycy wzniesli zatem świątynię jońską na chwałę Dioskurów, którzy osobiście nad nią czuwali. Grecka sztuka, chcąc oddać hołd tak doniosłemu wydarzeniu, zaangażowała tu wszystkie swe umiejętności.

Biały marmur dał życie dwóm grupom, w których tryton, koń i bóg w ludzkiej postaci są połączeni w wiecznej sile i harmonii. Jest w nich impet i żywiołowość młodości. Rzeźby przedstawiają bogów w chwili, gdy dobijają do brzegu Lokrów. Od razu widać, że ta dziwna kawalkada, która pokonała fale na trytonach, przybyła tu w jakimś nadzwyczajnym celu. Trytony, które znalazły się pod końmi, wzięły na siebie całą odpowiedzialność za sukces tej wyprawy. Zręcznie podtrzymują dwiema rękami przednie nogi konia, a plecami – stopy Dioskura. Użyły również swych ogonów, by podeprzeć koński zad. Czujemy fluidy krążące między tymi trzema ciałami, kilkakrotnie połączonymi ze sobą.

Słynny archeolog Paolo Orsi, który w swym życiu poświęcił wiele czasu na wykopaliska w Locri, wzbogacając księgę światowej archeologii o jedną z jej najslawniejszych stron, wydobyl na światło dzienne boskich bliźniaków i pokazał ich światu. Należą do najwspanialszych zabytków sztuki greckiej VI wieku, zdradzających wpływ ideału Fidiasza. Atletyczne modelowanie ciał, silna muskulatura, które w innych dziełach często zabijają młodzieńczość postaci, tutaj – przeciwnie, zdają się jeszcze bardziej ją podkreślać i podnosić na wyższy poziom²⁴.

Kiedy dziś przechadzamy się po starożytnych Lokrach, wśród drzew migdałowych, które już zaczynają wydawać pierwsze owoce, w wyobraźni tworzymy z ruin świątynię Dioskurów, chociaż pozostały z niej tylko kamienie podstawy. To pierwsze spotkanie w Neapolu zachęciło mnie szczególnie do odwiedzenia ruin w Locri.

23 Około 500 roku p.n.e. nad rzeką Sagraś rozegrała się bitwa pomiędzy Krotonem a Locri. Zwyciężyli Lokryjczycy; według legend, wygraną zawdzięczając przywództwu Dioskurów. Por. M. Korczyńska-Zdąbłarz: *Kyme 474 p.n.e.* Bellona, Warszawa 2010, s. 28.

24 Marmurowe posągi Dioskurów zdobiły pierwotnie zachodni fronton jońskiego sanktuarium Marasà (Tempio Ionico di Marasà), poświęconego Afrodydzie. Dziś rzeźby eksponowane są w Palazzo Piacentini w Reggio Calabria.

Kiedy zapadł już letni wieczór, szukamy na niebie konstelacji Kastora i Poluksa. Tam bowiem, w górze, zakończyła się ich kariera.

Po śmierci Kastora w bitwie pod Tajgetem zrozpaczony Polluks nie chciał żyć bez brata i poprosił Jowisza, by również mógł umrzeć. Bóg, litując się nad tak wielkim nieszczęściem, obydwu przemienił w gwiazdy i przeniósł do nieba. Dwa najjaśniejsze punkty z tej konstelacji, jeden tuż obok drugiego, stanowią głowy bliźniąt Dioskurów. Znaleźliśmy je nieopodal naszej „Kozy” niesionej przez „Woźnicę”.

Dwóm gwiazdowym głowom użyczamy za pomocą naszej fantazji dwa marmurowe ciała z muzeum w Neapolu. Tak właśnie ich widzimy, wysoko na czerwonym niebie.

To także są gwiazdy Wielkiej Grecji!

SPOTKANIE Z TŁUMEM

W Reggio napotkałam prawdziwy tłum Lokryjczyków, tak jakbym ujrzała go na agorze, przed jońskim sanktuarium, lub nieopodal świątyni Persefony, tam, za murami.

Kobiety, w peplosach drapowanych w fałdy, prezentowały się imponująco. Odkryte dekolty, ramiona wychylające się spośród szerokich rękawów lub czasem nagie, szkarłatne szale obficie marszczone lub zarzucone na biel sukien, profil, w którym linie czoła i nosa się łączą, wydatne usta, piękny i zaokrąglony zarys podbródka, niezliczone rodzaje fryzur. Czasami zebrane z niewielkich, mistrzowsko ułożonych loków, ocieniających całe czoło, zasłaniały uszy i przypominały peruki; inne – ułożone z długich falowanych włosów, rozpuszczonych na ramiona i na plecy, spiętych opaską dookoła głowy, albo z włosów przedzielonych na jej środku, ułożonych w pierścienie krótkich pętelek, lub też spiętych na karku w mocny węzeł, dopełniając profilu artystyczną linią.

Typy szlachetne i ludowe, arystokratyczne i plebejskie, sentymentalnie uśmiechnięte lub ozięble sarkastyczne, piękne lub zupełnie brzydkie, dostojne lub wulgarne; wyrazy twarzy tak rozmaite i jednocześnie tak doskonałe, że mogę po nich rozpoznać nie tylko sferę przynależności, lecz także charakter i predylekcje osobowościowe ich posiadacza.

Widzę w tym tłumie kobiety – młode, stare, dostojne matrony i panienki o naiwnym, ironicznym lub wystraszonego uśmiechu. Te, które były boginkami i odznaczały się charakterystycznym atrybutem jak kogut lub kłos, i te, które były nimfami, tancerkami lub prostymi gospodyniami. Są też mężczyźni: sędziwi,

ze sztucznie falowanymi brodami i lokami wokół czoła; młodzi, ogoleni, z taśmą wokół głowy, w powiewającej todze, przez którą prześwitywały kształty ciała. Ten styl w modzie nigdy nie krępował żadnych ruchów, przeciwnie: uwydatniał je, gdyż – jak mawiał Pliniusz – „jest grecką cechą niczego nie ukrywać”.

Cały ten tłum zatrzymał się, nagle znieruchomiał. Spotkałam się z nim w muzeum, w Reggio. Herosi i zwykli ludzie, wieszczki i służące, atleci i woźnice, filozofowie i efebowie. Wszyscy uwiecznieni w posągach z terakoty i na glinianych tabliczkach, którym nadawano funkcję wotów dziękczynnych. Podziękowali za otrzymane łaski, poprosili o te, które jeszcze nie zostały im dane, i błagali o jak najszybsze spełnienie nowych pragnień. Pinakes (tabliczki wotywnie) niezwykle piękne, na których zachowały się jeszcze delikatne odcienie polichromii, po tylu wiekach podziemnej egzystencji.

Z obrazem tej fali ludzkiej w pamięci – przybywam do Locri. I tu, w małym muzeum, tłum jeszcze bardziej się rozrasta. Zawieram nowe znajomości.

Marmurowa Nike, bliska ideałowi Fidiasza, w porównaniu do swej słynnej siostry w Luwrze robi umiarkowane – prawie żadne – wrażenie. Ta z Samotraki jest w pełnym ruchu; ta z Locri, gdy przyjrzymy się jej uważnie, sprawia wrażenie bardzo poważnej i spokojnej, naturalnie tylko w korpusie, bo nie ma już głowy. Stoi tak, jakby już wypełniła swoją misję, dumnie uniesiona jak ktoś, kto zakończył na dobre pewną ciężką walkę.

I właśnie z tego tłumu, który teraz widzę, spośród tego ludzkiego zbiorowiska, wyszli wyjątkowi ludzie, o których pamięć przetrwała wieki, chociaż od dawna ich miasta i domy obróciły się w ruinę. Mogę sobie ich wszystkich wyobrazić. Nie są już dla mnie cieniami ani zwykłymi imionami zapisanymi na kartach naukowych książek. Są żywymi osobami.

Na przykład słynna poetka Nossis, po której pozostał interesujący fragment utworu opisującego wojnę między Lokryjczykami i Bruttami. Jerace konturuje jej wizerunek w postaci marmurowego popiersia w zbyt ugrzecznionej formie²⁵. Ja wyobrażam sobie Nossis jako jedną z tych głów z terakoty, o lekko sarkastycznym uśmiechu i jednocześnie czole zajęтым jakąś głęboką myślą, pomimo faktu,

25 Strategia pisarska Nossis wydaje się dość osobliwa, przynajmniej jeśli chodzi o zachowane wiersze. Poezja Nossis spotkała się z przyjęciem diametralnie odmiennym od poezji Anyté: arkadyjską poetkę oskarżano o widomy brak kobiecości, natomiast w poezji twórczyni z Locri widać było coś przeciwnego – wpisanie w przesadnie zdeterminowaną i często źle rozumianą kobiecość. Inscenizacja przez Nossis kobiecego głosu narracyjnego wyraźnie odbiega od charakterystycznych dla jej czasów przykładów. Dlatego celebrując miłość, jak Safona, z kobiecego punktu widzenia, Nossis oferuje poetycką erotykę delikatności i absolutnej przyjemności. Miłość jest czystym i właściwym wyrazem słodczy – zapewnia poetka z Locri w swoich epigramach. Za: Ch. Cusset: *La poétesse et l'épigramme: les voix féminines d'Anyté et de Nossis*. „Annales de l'APLAE” 2016, no 3, s. 8–9.

że bezpośrednio na nim układa się fryzura utrzymana niemal w duchu rokoko, złożona z mocno skrzyęconych loków.

A inna poetka, Teano, również otoczona wielką sławą, czyż nie mogła być jak ta siedząca statuetka, lekko zmęczona myśleniem²⁶?

Timajos nie jest już dla mnie cieniem, którym był dotychczas, ani nie jest tytułem jednego z *Dialogów* Platona. Ten przenikliwy filozof i matematyk, osobisty przyjaciel Platona i – jak wieść niesie – także jego nauczyciel, jest jedną z osób, które widzę tutaj, umieszczonych na tabliczkach z terakoty. Z powodzeniem mógłby być Plutonem, który siedzi obok Persefony, z opaską pod trzema rzędami pukli włosów, a zamiast pucharu z olimpijską ambrozją mógłby równie dobrze dzierżyć księgę wypełnioną ambrozją duchową.

Spacerujemy wśród ruin. Wiatr przynosi nam głosy i tony komponujące się w wersy Ksenokryta, w śpiewnym języku starogreckim, który do dziś – wydobyty z dawnych tekstów – jest najbardziej melodyjnym językiem świata. Teraz już umiem sobie wyobrazić owego Ksenokryta²⁷.

Kiedy wiatr cichnie i oddaje głos ptakom, można ulec wrażeniu, że genialny cytarzysta Eunomos wziął swój instrument w objęcia i przygotowuje się do igrzysk pytyjskich. Gdzieś tu niedaleko wznosił się jego pomnik, ozdobiony symbolem cykady²⁸. Może teraz udamy się właśnie tam!

26 Oddajmy głos badaczce śladów tego, co można by nazwać starożytnym echem *vita femina*: „Najstarszą i zarazem najsłynniejszą pitagorejka była Teano (Theano). Jednak o jej życiu nie wiemy niczego pewnego, bowiem informacje, jakie przekazali nam starożytni pisarze, są rozbieżne. Według Porfiriusza była córką Pyt(h)anaktosa, ale anonimowy autor pisma o filozofii pitagorejkiej (cytowanego przez Focjusza) podaje, iż ojcem jej (i nauczycielem) był sam Pitagoras. W wykazie Jamblicha figuruje jako żona Brontiosa z Metapontu. Natomiast Diogenes Laertios, któremu również znany był ten przekaz, twierdzi, iż była żoną Pitagorasa (a więc nie jego córką), z którym miała dwoje dzieci: Teleugesa i córkę Myję; Porfiriusz dołącza jeszcze Arigonte. Teano była autorką licznych pism filozoficznych i poetyckich, jak podaje Klemens Aleksandryjski, cytujący Didymosa, »pierwszą kobietą, która uprawiała filozofię i pisała poematy«. To, co Teano pozostawiła po sobie oraz to, co się jej przypisuje, to 16 różnych fragmentów. Są wśród nich apoftegmaty o tematyce etycznej, w których porusza kwestię wierności i powinności małżeńskiej, komentarze filozoficzne oraz (sygnowane jej imieniem) listy: *Do Eubule*, *Do Eukleides*, *Do Eurydyki*, *Do Kallisto*, *Do Nikostrata*, *Do Rodope*, *Do Timareta*, *Do Timajonidesa*”. Cyt. za: A.Z. Zmorzanka: *Uznane kobiety w dobie przedchrześcijańskiej (poetki, filozofki, lekarki, alchemiczki)*. „Lubelski Rocznik Pedagogiczny” 2015, T. 1, s. 29–30.

27 Alberti wykazuje się świetną intuicją, łącząc Ksenokryta z tradycją meliczną. Ten niewiódmy od urodzenia aoida do wszak żyjący w VI wieku p.n.e. „kompozytor i autor tekstów pieśni chóralnych dla młodzieży spartańskiej”. Por. *Mała encyklopedia kultury antycznej...*, s. 395.

28 Wiele opowieści dotyczy lokryjskiego wirtuoza gry na cytrze – Eunomosa. Strabon oraz inni (późniejsi) autorzy greccy i łacińscy, którzy wspominają o jego biografii – podsumowują ją i zniekształcają na różne sposoby. Timaeus przypomina sobie rywalizację na Igrzyskach Pytyjskich,

Przestrzeń wypełnia się. Wśród ruin spotykamy tłum ludzi. Acrione i Parmenidesa, nauczyciela Zenona, Euthykratesa i Arystydesa, uroczą Doris, która nie spodziewała się, że zostanie żoną słynnego tyrana Syrakuz Dionizjusza Starszego²⁹. Przechadzają się tu dziesiątki poetów, zdolnych lekarzy, astronomów; Lokry bowiem były miejscem nie tylko bogatym, lecz także artystycznie nastroszonym – do tego stopnia, że zachwycony Platon, gdy napotkał podczas swej podróży po Wielkiej Grecji lokryjską kulturę, nazwał to miasto kwiatem Italii.

Dokładnie w tej chwili wrócił z Temesy Eutymos ze swą młodą żoną; tłum gromadzi się, by podziwiać tę postać, skazaną wcześniej na śmierć i z ust do ust krąży osobiwa historia Eutymosa. My także przystańmy na chwilę, by jej posłuchać.

Na terenie Temesy, za murami miasta, żył okrutny potwór, niszczący wszystko, co znalazł pod ręką. By go uspokoić, wyrocznia delficka poleciła każdego roku wybierać najpiękniejszą dziewczicę i poświęcać ją na ofiarę bestii. Naturalnie monstrum nie zaprzestało prześladowań, gdyż przyzwyczało się do corocznej daniny.

Eutymos przybył do Temesy dokładnie w dniu, w którym odbywał się ten makabryczny konkurs piękności. Oczywiście dostrzegł ogromne przerażenie w oczach owej „miss” wybranej jako ofiara dla potwora. I oczywiście jego serce zapłonęło miłością do tej biednej dziewczyny, toteż zaproponował mieszkańcom, by wstrzymali się ze złożeniem ofiary do czasu, aż on sam pójdzie stanąć oko w oko z bestią.

podczas których Eunomos z Locri pokonał Aristona z Reggio, chociaż ten ostatni początkowo zyskał przychyłność publiczności. Nic nie potwierdza, że zawody pytyjskie przed VI wiekiem miały charakter międzynarodowy. W nawiązaniu do tematu pieśni Eunomosa chodzi prawdopodobnie o V wiek p.n.e., kiedy często stawiane były posągi wotywnie zwycięzców igrzysk panhelleńskich. Za: A. Bellia: *Competizioni musicali di Greci d'Occidente: il caso della cicala di Locri*. „Rudiae” 2010–2011, s. 3–4.

29 Wedle ustaleń historyka starożytności Dionizjusz „pojął [...]”, co niezwykle w greckim świecie nieuznającym bigamii, dwie małżonki pochodzące z różnych *poleis*. Jedną była Doris z italskich Lokrów Epizefiryjskich. Drugą Syrakuzanka Aristomache, córka Hipparinosa, jednego z *philoí* tyrana. Liczne źródła przekazują informacje o bigamii Dionizjusza, lecz istnieje też rozbieżność pomiędzy nimi odnośnie do tego, czy małżeństwa zostały zawarte w tym samym czasie, czy też nie. Takie podwójne małżeństwo tłumaczyć można większą nadzieją na uzyskanie męskiego potomka, nie bez znaczenia jednak pozostaje także znaczenie polityczne tej decyzji. W owym czasie Lokry były jedynym miastem sprzyjającym Syrakuzom [...]. Małżeństwo to scementowało związek pomiędzy Syrakuzami oraz Lokrami, co poświadczono zostało w następnych latach zwiększaniem jego terytorium decyzjami tyrana kosztem Kaulonii, Hipponion oraz wreszcie samego Region w roku 386”. Cyt. za rękopisem rozprawy doktorskiej: R. Tokarczuk: *Philia a tyrani syrakuzkańscy (od Dejnomenidów do Agatoklesa)*, s. 110–111. Por. <https://ruj.uj.edu.pl/server/api/core/bitstreams/efe4d916-452b-439d-b90c-6b8194b21542/content> [dostęp: 29.11.2014].

Wszyscy mu to odradzali. To nieosiągalny wyczyn. Nikt nigdy nie będzie w stanie tego zrobić.

Lecz nie tylko wiara czyni cuda. Podobnie jest z miłością. Można się nawet spierać, która z nich jest źródłem większych dokonań. I tak oto Eutymos pokonał potwora. Wyobraźcie sobie ten powrót do miasta. Cóż za triumf! Cóż za entuzjazm wśród mieszkańców!

Wyraźnie widać wpływ legend o Heraklesie na wyobraźnię tego starożytnego ludu.

Całe miasto chce ofiarować Eutymosowi wszelki dar, jakiego tylko zapragnie. On skromnie prosi, by mógł poślubić ocaloną dziewczinę. Rozumiecie, jak wielka jest radość kobiety, która ma zostać wyrzucona za mury miasta w ofierze potworowi, a zamiast tego znajduje się w objęciach najślynniejszego i najpiękniejszego atlety swoich czasów, opiewanego w odach i utrwalonego w brązie przez najznakomitszych artystów?

Wyobrażam sobie, by nie powiedzieć: widzę, tę młodą parę wśród wiwatującego tłumu otaczającego ją z ciekawością.

Trochę dalej spotykamy słynnego pięściarza Agesydamosa³⁰, opiewanego przez Pindara w dziesiątej odzie olimpijskiej:

*Odczytajcie mi zwycięzcę olimpijskiego,
Syna Archestratosia³¹.*

Zdaje mi się, że znam już prawie wszystkich z tego tłumu. Poeta Charilaos i słynny lekarz Filistion³², znamienici ceramicy, którzy mają tutaj swe pracownie i zdobią naczynia, statuetki, płaskorzeźby, zamożni kupcy, zarządcy maga-

30 Forma „Agesydamos” – zgodna z lekcją zaproponowaną przez polskiego tłumacza poezji Pindara. Por. *Oda olimpijska dziesiąta. Na zwycięstwo Agesydamosa z Lokrów Epizefrefskich w pięściarstwie chłopców*. W: Pindar: *Ody zwycięskie, Olimpijskie, pytyjskie, nemejskie, istmijskie*. Przeł. M. Brożek. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 122 [przyp. tłum.].

31 Ibidem.

32 Informacje o Filistionie są czasami trudne do zrozumienia, czasami sprzeczne. Zapiski Diogenesa Laertiosa wyraźnie świadczą o obecności Filistiona w Syrakuzach, jako osobistego lekarza Dionizego II. Panuje bowiem jednomyślna opinia, że urodzony w Locri Filistion przeniósł się do Syrakuz. Tam był lekarzem Dionizego II (a może nawet wcześniej Dionizego I) i nawiązał kontakt z wieloma intelektualistami, którzy tam wówczas zamieszkiwali. Byli wśród nich Eudoksos i Chryzyp, ale przede wszystkim Platon, który udawszy się trzy razy do Syrakuz między 388 a 361 rokiem osobiście spotkał Filistona i złożył „raport” o jego teorii medycznej w *Timajosie*. Za: G. Squillace: *Da Locri a Siracusa: percorsi possibili per il medico Filistione*. „Ricerche di Storia Antica” 2014, s. 130.

zynów wojskowych, którzy przybyli z podporządkowanej Medmy, by składać raporty władzom republiki, kapłanom, urzędnikom.

Czuję się swobodnie w tym tłumie, do moich uszu docierają greckie słowa, niektóre z nich pamiętam ze szkoły, przyciągają mnie stroje, sandały, tuniki, drapowania fałd, efebowie przygotowujący się do występu chóru, z którym w zbiorowych tańcach i śpiewach będą świętować nadchodzące święta Persefony. Podoba mi się sposób, w jaki gestykulują, i ich melodyjny akcent.

Spędziłam wśród nich dwa pełne dni. Wcale nie wydawało mi się, by dzieliło nas... dwadzieścia pięć wieków!

GWIAZDA Z GRANITU

Wśród ruin Lokrów, na krótko przed zachodem słońca, znajdujemy mały granitowy blok. Podnosimy go i próbujemy pokruszyć, jednak kamień ten jest zbyt wytrzymały jak na siłę czworga naszych rąk.

Myślimy jak dzieci: „Może to fragment świętego głazu, który oderwał się od jakiejś gwiazdy i spadł na ziemię pod postacią meteorytu. Inne już się starły na proch, ten natomiast jest wciąż tak samo niewzruszony”.

Mój towarzysz poleca mi:

– Przyjrzyj się uważnie temu kamieniowi... To przecież Zaleukos!

Oglądam go.

– Dlaczego?

– Granit. Rzucił wyzwanie wiekom.

Zaczynamy przyglądać się ze wszystkich stron kamieniowi. Ma następujące cechy charakterystyczne. Na pierwszy rzut oka jest szary, wyblakły. Następnie, gdy przyrzeć mu się dłużej, przemienia się aż niewiarygodnie, zaczyna ukazywać delikatne srebrne żyły, odcienie stali, plamy błękitu. Zaczyna błyszczeć.

Dziś nadal, kiedy po wielu wiekach bierzemy do rąk kodeks Zaleukosa – pierwszy kodeks pisany, jak zapewnia nas Strabon – zdaje się nam wykuty w jednym kamiennym bloku: w granicie. Akapity są niezniszczalne. Wszystkie charakteryzuje ten sam rys: nieugiętość, brak kompromisów, bez choćby śladu przebaczenia.

Na początku jesteśmy tym kodeksem przytłoczeni. Potem, gdy zaczynamy zastanawiać się nad tą obrzydliwą bestią kryjącą się w człowieku, wchłaniającą tę resztkę dobroczynnego soku płynącego w ludzkich żyłach, odczuwamy satysfakcję, kiedy Zaleukos rozpoczyna swą bezlitosną walkę.

W Lokrach panowała anarchia i zepsucie, społeczeństwo buntowało się przeciw prawom, tak jak dzieje się w każdym państwie chroniącym indywidualistów. Jako że chaos przekroczył wszelkie limity, mieszkańcy – spragnieni zmian – wysłali posłańców do Apolla.

Bóg wydał polecenie lakoniczne, lecz jednocześnie doskonałe:

„Ustanówcie dobre prawa!”.

Jakże wspaniała wyrocznia!

Co to znaczy „dobre prawa”? Czyżby chodziło o „sprawiedliwe i rozsądne”? Świat pragnie ich od zarania cywilizacji, lecz jeśli dozwolone są nam dziś słowa krytyki, musimy dodać, że wyroczni zabrakło dalszego ciągu zdania, wyrażonego w bardziej dobitnym tonie:

...„I przestrzegajcie ich!”.

Czyżby ludzkość nie miała już wcześniej „dobrych praw” religijnych lub świeckich? Przeciwnie, było ich mnóstwo i to nawet nazbyt pięknych i rozsądnych. Moglibyśmy sporządzić długi spis prawodawców od Hammurabiego do Mojżesza, Solona, Drakona, Likurga, Pizystrata, Peryklesa, twórców dwunastu rzymskich tablic, Mahometa, aż do Napoleona, Lincolna i autorów wszystkich naszych nowoczesnych konstytucji. Wspaniały spis praw, świetlistych znaków i wskazujących kierunek ludzkości – busoli! Lecz któż owych zasad przestrzegał? Sam Zaleukos dał w tym względzie genialną definicję:

„Prawa są jak pajęczyna. Bogaci i możni, gdy w nią wpadną, zrywają ją i odlatują. Mali i biedni zaplątują się w nią bez nadziei ucieczki”.

W ten sposób prawa, zamiast nieść wolność, wbrew swym intencjom, dają asumpt do prześladowań i więzień. Oto jeden z najtragiczniejszych konfliktów ludzkości.

Kiedy posłannicy powrócili z taką odpowiedzią, Lokryjczycy powierzyli redakcję praw Zaleukosowi. Ten zaś wywiązał się z zadania tak wyśmienicie, że nie znajdzie się żaden starożytny historyk lub filozof, który nie byłby nim zachwycony.

Prawa Zaleukosa studiowali również Rzymianie przy sporządzaniu dwunastu tablic. Przetrwały w Lokrach przez dwa wieki.

Zaleukos był człowiekiem nieugiętym. Należał do granitowych postaci, których nic nie jest w stanie nawet w najmniejszym stopniu ukruszyć. Jako że dobrze znał ludzki charakter i pozostawał skromny, nie chciał być uważany za twórcę praw, których inspirację przypisał Atenie. Bogini, zrodzona z głowy Jowisza, nie mogłaby wydać niemądrych praw. Jako sprytny psycholog, Zaleukos trwał w cieniu, lecz jednocześnie oświecił swoje dzieło promieniem siły wyższej. Prawo odzwierciedlające wolę boską musiało być

bezwzględnie przestrzegane. Zależało mu na autorytecie prawa, nie na dumie prawodawcy.

Jego kodeks uważano za surowy i rygorystyczny. Lecz dzisiaj, ze świadomością, jakie plony moralne wypracowała ludzkość, trzeba przyznać, że Zaleukos dobrze znał zakamarki duszy ludzkiej. Wybierzmy jakiś paragraf, roztropny, choć niewygodny wobec instynktów człowieka.

„Zanim rozpocznie się sprawa sądowa między dwiema stronami, należy poszukać porozumienia”.

Jeśli zastanowimy się nad środkami, które ludzie poświęcili na bezużyteczne procesy, i nad liczbą osób zubożałych wskutek przeznaczenia wszystkich pieniędzy, i więcej – zadłużenia się, na sprawy sądowe, z szacunkiem przeczytamy ten paragraf.

„W posiedzeniu senatu nie wolno uczestniczyć uzbrojonym”.

Cóż za poszanowanie dyskusji, swobodnej wymiany poglądów! Tam, gdzie pracuje myśl, gdzie ludzie się naradzają, niech nie będzie broni. A jednak historia zaświadcza o wielu przypadkach przemocy w najbardziej szacownych parlamentach. Jako miłośniczka sprawiedliwości wciąż jestem zasmucona przemocą na ostatniej sesji polskiego parlamentu, która miała ratyfikować rozbiór Polski, która odbyła się w złowieszczym cieniu rosyjskich bagnietów. Pamiętam słynną postać Tadeusza Reytana, senatora protestującego przeciwko przemocy Katarzyny II. Rzucając się na ziemię i odślaniając gołą klatkę piersiową pokrytą bliznami, strasznym głosem krzyczy do ambasadora: „Po moim trupie!”. Możemy przypomnieć sobie wiele sesji parlamentarnych, które kończyły się gloryfikacją brutalnej siły najeźdźców przejmujących rząd.

Jedno z praw, mające utrzymywać stabilność gospodarki, brzmiało:

„Nikt nie może zbyć swojej własności, chyba że z powodu nieszczęścia uznanego przez opinię publiczną”.

Oto bezwzględne prawo uznaje przypadek wyjątkowy.

Widzimy zatem, jak Zaleukos przemyślał każdy paragraf.

Zastanówmy się, ile bogactwa przepadło tylko dlatego, że zostało rozparcelowane przez właściciela przyciśniętego potrzebą i instynktem „cieszenia się życiem”.

Oto z kolei jedno z najbardziej rewolucyjnych praw, ustanowione przez Zaleukosa dwadzieścia pięć wieków przed Abrahamem Lincolnem.

„Lokryjczycy nie będą mogli posiadać niewolników ani niewolnic”.

Biorąc pod uwagę fakt, że nawet dziś wiele społeczeństw stosuje nowoczesne formy niewolnictwa, w których ludzie pracują w strasznych warunkach, aby

jedna nacja mogła żyć lepiej – potrafimy docenić tego prawodawcę – buntownika z VII wieku p.n.e.

„Złodziej będzie skazany na śmierć”.

To wydało nam się potworne. Ale jeśli pomyślimy, jak wielki sukces w Skandynawii odniosło odcinanie złodziejowi prawej ręki, zwyczaj, który utrzymywał się przez kilka pokoleń... jeśli pomyślimy, że Skandynawia jest dziś terytorium, na którym kradzieże należą do rzadkości, niemal mimowolnie czujemy potrzebę zakrzyknięcia niczym starożytne tłumy: „Athai! Athai!... (bis! bis!)”.

Z pewnością nie napisałabym takich słów dziesięć lat temu. Ale po drugiej wojnie światowej, podczas której kradzież była podnoszona do poziomu praktyki państwa, kiedy oficjalne prawa pozbawiały ludzi ostatniej koszuli, i biorąc pod uwagę, że wciąż żyjemy w tym europejskim klimacie, w którym pospolita grabież przybrała niewinną nazwę współudziału, procentu, gratyfikacji... z przyjemnością czytam ten przepis prawny Zaleukosa.

Wśród wielu innych rzeczy Zaleukos mówi o potencjalnej zmianie przepisów i zaleca, aby ktoś, kto zamierza zaproponować radzie zmianę prawa, przybył na zgromadzenie już z pętlą na szyi, co oznaczałoby, że ma przed sobą dwie ścieżki: jeśli proponowane prawo będzie lepsze od obowiązującego, człowiek ten będzie mógł opuścić zgromadzenie jako triumfator; w przeciwnym razie zostanie uduszony zaciśniętą pętlą.

Okrutne, straszne prawo, ale przyglądając mu się bliżej, widzimy, że Zaleukos wymagał głębokiej analizy własnego myślenia i rozsądnie przewidywał wszystkie możliwe konsekwencje.

Na początku napisałam, że wyrocznia zapomniała dodać słowa: „i przestrzegajcie ich”. Pomyślał o tym sam Zaleukos i osobiście dał przykład, w jaki sposób prawa powinny być przestrzegane.

Przyjrzyjmy się dwóm wydarzeniom.

Jedno z praw nakazywało wyłupienie oczu cudzołożnikom. W tym miejscu rozegrała się szekspirowska tragedia. Syn Zaleukosa pogwałcił tę zasadę. Wyobraźmy sobie scenę w sądzie, wartą pędzla Dawida. Ojciec sam domagał się oślepienia syna. Oto prawo wyniesione ponad miłość ojcowską! Lecz sędziowie odmówili wydania takiego wyroku i postanowili o jednorazowym wyjątku, ze względu na Zaleukosa. Tak też się stało! Prawodawca uczynił wyjątek: jedno oko wyłupiono synowi, drugie – ojcu.

Gdyby syn Zaleukosa był złodziejem, na pewno zostałby skazany na śmierć.

Pamiętamy prawo zakazujące zbrojnych interwencji na wiecach.

Pewnego razu wybuchł spór. Zaleukos, zapomniawszy, że ma broń u boku, w pośpiechu, zaniepokojony wrzawą, pojawił się w senacie. Wszyscy wstali.

W tym momencie Zaleukos zrozumiał, że jest uzbrojony i natychmiast odebrał sobie życie.

Ta katastrofa Zaleukosa i inny dramat – śmierć Sokratesa – zwłaszcza epizod, w którym Kriton przedostał się do więzienia i zawiadomił, że wszystko jest gotowe do ucieczki, na co Sokrates odpowiedział spokojnie: „Nie, Kritonie! Obywatel Aten nie ucieka przed prawem, nawet jeśli wyrok jest niesprawiedliwy”. Te dwa starożytne przykłady z pewnością należą do najznamienszych przejawów szacunku wobec prawa.

Zaleukos, „gwiazda z granitu”, przetrwał i przetrwa wieki jak ten mały kamień z tego samego materiału, znaleziony przez nas dziś wśród ruin Lokrów.

WIELKIE IMIĘ I MAŁA STACJA

Historię zawsze piszą zwycięzcy. Przegrany – w najlepszym razie – jest zbyt zajęty odtwarzaniem na nowo potłuczonej całości. Pod warunkiem tylko, że zwycięzca nie będzie go stale zastraszał i prześladował w obawie, że mógłby się on otrząsnąć po porażce i dokonać zemsty.

Jest więc mało prawdopodobne, abyśmy znaleźli lud, który przegrał wojnę, zwłaszcza jeśli w jej wyniku wyginął, który ma, że tak powiem, „dobrą prasę” w dziennikarstwie historycznym. W narracjach przypisywano mu bezbożność, zepsucie, barbarzyństwo, deprawację. Zwycięzca natomiast zawsze kreował się na nieskazitelnego anioła, mściciela znieważonej moralności i cywilizacji.

Zdaniem Manzoni: „Ktoś, kogo pobito, był zawsze [...] co najmniej nierozważny; a już jeżeli padł ofiarą zabójstwa, na pewno była to jakaś ciemna postać”³³.

Wydaje się, jakby to było wczoraj. A w istocie to historia stara jak świat. Propaganda stawiała się zawsze bronią, za pomocą której zwycięzcy zrzucali kamień grobowy historii na pokonanych.

Te pola Wielkiej Grecji, które zakwitły na nowo po tylu wiekach w miejscu śmiertelności bagna, zakrywają swoim płaszczem tajemnicę nekropolii. Tylko jedno wielkie imię pozostało na tej małej stacji:

Sybaris!

Miasto cieszyło się już sławą wielkiej zachodnioeuropejskiej metropolii, kiedy cywilizacja znajdowała się jeszcze w powijkach. Od dwudziestu pięciu wieków jest martwe, znikło bez śladu. Przymiotnik „sybarycki” przetrwał jednak

33 A. Manzoni: *Narzeczeni*. Przeł. B. Sieroszevska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 23; cytowane rozważania prowadzone są przez postać don Abbondia [przyp. tłum.].

każdą epokę, kataklizmy, nigdy nie zmieniając swojego znaczenia. Krotońskie biuro propagandy najwyraźniej zadziało wzorowo, na całej linii, zupełnie jakby miało do dyspozycji najdoskonalszą sieć radiową i prasową. Tak jak w epoce Arystotelesa i Cyserona, słowo „sybarycki” zawiera w sobie znaczenie wszelkiego zepsucia i dekadencji. Niemniej przez wieki zachował się w tym przymiotniku także pewien odcień zazdrości i, kto wie, może posmak żalu. Dlatego „sybarycki” to także określenie człowieka wyrafinowanego, wytwornego, kogoś, kto umie korzystać z życia. Ten odcień znaczeniowy jest być może efektem kontragitacji, za pomocą której uchodźcy z Sybaris i ich sympatycy skutecznie przeciwstawili się niszczycielskiej krotońskiej propagandzie.

Trzydzieści cztery lata po założeniu Rzymu, w 720 roku p.n.e., grupa Achałów pochodzących z Agiry przybija do brzegów Italii. Należy do pierwszych fal emigracji, które zaprowadzą do włoskiego eldorado wszystkich, którzy chcieli opuścić przeludnione i niespokojne greckie miasta. Wcześniej powstały tylko Cumae i Lokry.

Zastane w nowym miejscu warunki nie wydają się sprzyjające. Kolonizatorzy z pewnością nie przybyli do ziemi obiecanej. Niski, podmokły teren między dwiema nieuregulowanymi rzekami. A jednak...

Is z Helike i liczni podążający za nim ludzie wzięli się od razu do pracy³⁴.

Dzięki wykonanym robotom ziemnym i melioracyjnym gleba została zrekultywowana. Na bagnistych terenach posadzono święte drzewa oliwne i winorośl, na skalę wystarczająco dużą, by rozpocząć masowy eksport. Potrzebni byli ludzie, a wskutek mądrej polityki obywatelstwo przyznawano każdemu Grekowi, który o nie poprosił. W ten sposób zajęte przez nich terytorium przesunęło się w głąb lądu, docierając do upragnionego Morza Tyrreńskiego.

34 Tajemnicze losy miasta Helike (starożytnej Atlantydy) ciekawie tropi Krzysztof Kęciek: „Miasto położone było na północnym Peloponezie, w odległości 12 stadiów (2 km) od Zatoki Koryńskiej, miało też swój port. Helike było najważniejszym ośrodkiem Związku Achajskiego, w skład którego wchodziło 12 achajskich *poleis*, czyli miast-państw. Pod przewodnictwem Helike Achajowie wzięli udział w wielkiej kolonizacji, założyli w Italii słynące z bogactw miasto Sybaris oraz Priene w Azji Mniejszej, które także stało się kwitnym grodem. Obywatele Helike z rozmachem uprawiali handel, który przynosił im ogromne zyski. Także rzesze pielgrzymów zostawiały w achajskiej stolicy złoto i srebro. W Helike bowiem znajdowała się sławna świątynia Posejdona, boga morza, ale także trzęsień ziemi. Żeglarze i kupcy wznosili w niej modły o pomyślny powrót z morskiej wyprawy, składali hojne ofiary. Zwłaszcza Grecy z ludu Jonów czcili Posejdona z Helike. Ale bóg morza wywoływał także trzęsienia ziemi, kiedy potężnie uderzał swym trójzębem. Starożytni uważali później, że Helike uległo zagładzie, ponieważ jego mieszkańcy rozgniewali boga [...]”. K. Kęciek: *Helike – prawdziwa Atlantyda*. „Tygodnik Przegląd”, 12.10.2008. Por. <https://www.tygodnikprzeglad.pl/helike-prawdziwa-atlantyda/> [dostęp: 15.12.2024]. Wedle *Geografii* Strabona pierwszej grupie kolonistów achajskich, zakładających Sybaris, przewodził Is z Helike.

Emigranci mieli wyjątkowe umiejętności. Skuteczni kolonizatorzy w rekordowym czasie wytyczyli żeglowne kanały, drogi i porty. Nad morzami: Tyrreńskim i Jońskim, rozkwitły liczne greckie kolonie, od Lampetei po Posejdonię, od Sybaris po Metaponto. W głębi lądu pokojowo usposobieni Enotrowie zostali zasymilowani. Sieć przejezdnych dróg, wiodących przez Campo Tenese, łączy dwa morza.

Sybaris staje się dobrze zarządzanym imperium handlowym. Łączy je ogromna przyjaźń z Miletą w basenie Morza Jońskiego i z Etruskami nad Morzem Tyrreńskim. Towary ze Wschodu wyładowywane były w Sybaris, następnie na grzbiecie muła lub rydwanem przemierzały terytorium, by ponownie trafić w Lao lub Scidro (dzisiejsze Sapri) na etruskie statki, zmierzające na zachód. Na wybrzeże tyrreńskie docierały z Etrurii transporty brązu, luster, a przede wszystkim cennej miedzi, zmierzające na wschód.

Pozwoliło to uniknąć niebezpiecznego i długiego szlaku morskiego, piratów kartagińskich i eolskich, zazdrości i nieufności innych greckich kolonii w cieśninie oraz statków etruskich.

Sybaris czerpie zyski ze wszystkiego. Przyznaje zwolnienia z podatków, wyznacza strefy wolnego handlu, udogodnienia celne. Zamienia się w permanentny jarmark między wschodem a zachodem Śródziemnomorza. Ze swojego terytorium eksportuje wino, skóry, olej, wosk, drewno, miód, smołę. Doskonałe drogi biegną przez ten obszar w każdym kierunku. Gęsta sieć kanałów transportowych pozwala sprawnie dystrybuować oliwę i wino do punktów załadunku. Wykwalifikowani rzemieślnicy, chronieni specjalnymi prawami, wspierają kwitnący przemysł. W epoce sławiącej bohaterskie czyny „wytworny sybaryta” potrafił stworzyć coś doskonalszego niż wszystkie inne ówczesne dzieła. Cztery nacje i dwadzieścia pięć rdzennych miast uznają zwierzchnictwo Sybaris. Miasto jest domem trzystu tysięcy wolnych mieszkańców, nie licząc niewolników, zaś pas jego murów ciągnie się na dziewięć kilometrów. Po ulicach i placach metropolii, która stała się największą na zachodzie, paraduje pięć tysięcy jeźdźców, w podwójnych kirysach i purpurowych płaszczach... Nawet Ateny za czasów swej największej świetności nie zdołają dorównać ćwierci tej liczby.

Z pewnością styl życia tych kilku pokoleń ludzi z VIII wieku p.n.e. daleki był od „sybaryckiego”.

• • • • •

Nadmierny luksus osłabia moralność; bogactwo czyni człowieka wyniosłym, pogarsza charakter i nie wzbudza w innych sympatii. Zazdrość i rywalizacja wieńczą dzieło.

Sybaris dostaje się pod rządy tyrana Telisa, brutalnego i okrutnego człowieka. Pięciuset dostojnych obywateli, wygnanych ze swojej ojczyzny, znajduje schronienie w Krotonie³⁵.

Kroton, drugie miasto Wielkiej Grecji, gdzie mieszkańcy chętnie oddają się ćwiczeniom ciała, przesiąknięte doktryną pitagorejską, zazdrośnie spogląda na swojego zamożnego sąsiada. Z przyjemnością aspirowałoby do przejęcia sukcesji, lecz obawia się przytłaczającej siły swojego zbyt mocnego rywala. Niemniej jednak miasto udziela gościny uchodźcom, a kiedy Telis albo z powodu pychy, albo mądrej polityki (dla żadnego rządu nie jest wygodne posiadanie tak wielu wpływowych banitów knujących u bram), żąda ich powrotu lub wydalenia, za radą Pitagorasa Kroton pozostaje wierny prawom gościnności i odrzuca żądania władcy. Jednakże by uspokoić gniew potężnego tyrana lub też może: by zachować twarz – rządzący Krotonem – przewidując, jak to się skończy, wysyłają trzydziestu ambasadorów do Sybaris, aby wyjaśnić powody odmowy.

Sybaryci nawet ich nie słuchają. Podrzucają im gardła i wyrzucają zwłoki poza mury. W tym momencie można postawić pytanie oficjalnej historii. Albo Telis jest brutalnym potworem i politycznym idiotą, a wszyscy Sybaryci zwariowali, żeby w tak podły sposób pogwałcić święte prawa chroniące posłańców i wykluczyć się z cywilizowanego świata, albo krotońskim ambasadorom, tak fatalnie przyjętym, przyświecał zgoła inny cel.

Lecz to nie Sybaryci napisali historię, która w tym przypadku jest dla nich wyjątkowo niekorzystna.

Narodził się „casus belli”. W ten sposób bogate Sybaris zostało wykluczone z całej cywilizacji helleńskiej. Miasto zostaje uznane winnym świętokradztwa. Kroton natomiast jest teraz samą ręką obrażonych bogów, tym, który ma za zadanie oczyścić ziemię z tego najpodlejszego zepsucia. Po swojej stronie zdołał skupić uwagę opinii publicznej i całej kasty kapłańskiej. Inscenizacja jest dobrze przygotowana. Zaczynają krążyć pogłoski, że Junona, patronka Sybaris we własnej osobie, pojawiła się wzburzona na miejskim forum i na znak pogardy wymiotowała czarną żółcią. Źródło krwi trysnęło w świątyni. Wyrocznia w Delfach, do której zwrócili się Sybaryci, odpowiedziała tylko klątwą...

35 Telis zapisał się na kartach historii jako tyran Sybaris. Pochodził z arystokratycznego rodu, był demagogiem, który doszedł do władzy dzięki zyskaniu poparcia ludu przeciwko rządzącej oligarchii. Wypędził z miasta 500 najbardziej uznanych obywateli i skonfiskował ich majątki, dzieląc je w obrębie gminy. Wygnańcy, znajdując azyl w Krotonie, spiskowali przeciwko Telisowi. Zawiazali sojusz z innymi wygnańcami wspieranymi przez Pitagorasa, przekonani co do konieczności interwencji militarnej. Telis został zabity, po czym nastąpiło całkowite zniszczenie Sybaris.

Miasto przygotowuje się do wojny. Z pewnością nie po to, by bronić tyrana Telisa, sprawcy świętokradztwa, ale dlatego, że stawką jest coś innego. Grupuje swoich wojowników i wspaniałą kawalerię. Po drugiej stronie sam Milon prowadzi sto tysięcy Krotończyków, którzy otrzymali pomoc od Spartan będących w drodze na Sycylię.

Na brzegach rzeki Trionto Krotończycy odwzajemniają się za potwarz. Niezależnie od tego, czy to Milon ze swą maczugą przedarł się przez szeregi wroga, czy też konie Sybarytów zazwyczaj używane do tańca, odpowiednio pobudzone przez krotońskich flecistów, narowiły się i swoim popłochem siały spustoszenie w szeregach ich armii, pewne jest, że Sybaryci ponieśli sromotną klęskę. Kolejną niesprzyjającą okolicznością pozostawał fakt, że mieszkańcy Sybaris, jak to zwykle bywa, zbuntowali się i zabili Telisa, którego obarczyli odpowiedzialnością za wywołanie wojny i w konsekwencji jej przegranie. Krotończycy nie poprzestali tylko na pomszczeniu zniewagi – uwalniając świat od świętokradców. Zapragnęli o wiele więcej.

Miasto zostało zdobyte. Mieszkańcy rozpieczętowali się. Największe budynki – zburzone. Mury rozebrane. Bieg rzeki Crati skierowano na ruiny, by zalać je i przemienić w bagno. Na miasto Sybaris rzucono przekleństwo, a klątwę na każdego, kto ośmieliłby się odbudować dawną metropolię.

W ciągu siedemdziesięciu dni chwalebne i udane dzieło dwóch wieków szczęśliwej kolonizacji zostało zniszczone. Miasto Kroton pomściło świętokradztwo, a przede wszystkim pozbyło się największego rywala. W tym samym czasie obaliło najsilniejszy filar hellenizmu na Zachodzie. Otworzyło niebezpieczną, niemożliwą do zasypania wyrwę w greckim układzie sił na Półwyspie Apenińskim. Zatrzymało proces dobrze zapowiadającego się podboju. Był to jeden z tych kluczowych momentów w historii ludzkości, kiedy zmienia ona swój bieg z winy wydarzeń lub ludzi.

Wody Crati, wraz z ruinami Sybaris, w istocie zatopiły możliwość, jaką miała Wielka Grecja, by zaznaczyć swoją obecność w dziejach.

„SYBARYTA NA POKAZ”

– Drogi przyjacielu, dzisiaj prawie nie zmrużyłem oka. Obudziłem się cały poobijany i obolały. Dopiero rano zdałem sobie sprawę, że pod prześcieradłem w łóżku leży zmięty płatek róży.

• • • • •

– Pojechałem moim wozem na przejażdżkę poza murami miasta. Tam, na polu był człowiek, który kopał motyką. Musiałem na niego krzyknąć, żeby przestał. Widok jego ruchów sprawił, że miałem skurcz mięśni.

– Nie mów o takich rzeczach, proszę cię. Na samą myśl zabolało mnie w boku!... –

.

Cały grecki świat śmiał się za pomocą podobnych żartów, z nieudolnie ukrywaną zazdrością, z wyrafinowania i bogactwa, które osiągnęli w niewiele ponad sto lat sybaryccy kolonizatorzy.

.

Między rzekami Sibari i Crati, dumne ze swego dostatku, rozciąga się zasobne miasto. Trzysta tysięcy wolnych mieszkańców i tłumy niewolników sprawiają, że jest ono ówczesnie największe w Europie.

Pięciuset jeźdźców w zdobionych zbrojach i szafranowych pelerynach wykonuje ewolucje na placach. Świat starożytny, zainspirowany ich wspaniałą postawą, ukuł powiedzenie „Sybaryta na pokaz”. Tłum, który ich otacza, nie jest zwykłym ludzkim skupiskiem jak w innych greckich miastach. Precyzyjnie ogoleni mężczyźni, ubrani w purpurę (wartą swojej wagi w srebrze) i wełnę z Miletu, najlepszą na świecie. Dzieci również odziane są w purpurowe szaty, a ich włosy ozdobione zostały siatkami z czystego złota. Kobiety w przezroczystych, zwiewnych jedwabnych szatach, które starożytny świat nazwałby „szklistymi”, pokazują swoje najsztudniejsze wdzięki. To wszystko w czasach, gdy Zaleukos – w niedalekich Lokrach – zabrania nosić nawet wełnianego odzienia, które uznaje za zbyt luksusowe, a Likurg zakazuje mężczyznom zakładania sandałów.

Przed nadmiernym upałem chronią unoszące się nad ulicami panele łączące dachy przeciwległych domów; coś w rodzaju Calle de las Serpes w Sewilli. Od tego pochodzi inne powiedzenie: „Sybaryta w cieniu”. Miasto rządzi się prawami, które wyprzedziły swoje czasy o wiele wieków. Hałaśliwe zawody są zakazane w centrum polis i przeniesione na peryferie; dotyczy to kowali, stolarzy itd. Nie wolno trzymać w mieście kogutów. Przestrzega się tutaj, dwadzieścia siedem wieków temu, jednej z fundamentalnych zasad niezbywalnej wolności, która nie potrzebowała usankcjonowania żadną *Kartą atlantycką*: „wolności od hałasu”.

To ludzie, którzy potrafili wynieść wyrafinowanie obyczajowe na poziom, którego już nikt nigdy nie osiągnie. Sam Gajusz Petroniusz jest wobec nich tylko

bladym cieniem, a *Uczta Trymalchiona*³⁶ to biesiada służących w wiejskiej gospodarstwie w porównaniu do bankietu Sybarytów.

Zwyczajowo zaproszenie powinno być wystosowane z rocznym wyprzedzeniem, aby goście i gospodarze mieli czas odpowiednio się przygotować. (Ileż telefonów z zaproszeniem w ostatniej chwili, gdy gospodyni odkryje, że przy stole będzie trzynaście osób!). Do zaproszenia dołączona jest lista gości i potraw. (Dziś – ileż niefortunnych spotkań i nietrafionych potraw!). Miasto stawia posagi i koronuje nie okrutnych wojowników o zaciętych twarzach czy spoconych sportowców, lecz tych, którzy wydali najlepsze uczyty, a tym bardziej kucharzy, którzy przygotowali najwyborniejsze rarytasy. I tak, podczas gdy w Rzymie wciąż nie było piekarzy, a najszlachetniejsze matrony same wypiekały chleb, w Sybaris narodził się pierwszy patent kulinarny w historii. Kucharz, który wymyślił sos, ma przez rok wyłączne prawo do jego produkowania. Powstają w ten sposób... kawior i sos z anchois.

Przy stole zabronione jest rozmawianie o poważnych lub nudnych sprawach. (Ostrzeżenie dla tych, którzy wykorzystują okazję, że jesteś obok przez całe przyjęcie, aby opowiedzieć ci o wszystkich rodzinnych nieszczęściach). Więcej – aby posiłek był przyjemniejszy, Sybaryci wymyślili „bajki” („coś dowcipnego – bajkę [...] sybarycką, którą słyszałeś w czasie uczyty”³⁷, zauważył Arystofanes w swoich *Osach*) i „koński cyrk”, organizując pokazy tańczących rumaków podczas bankietów.

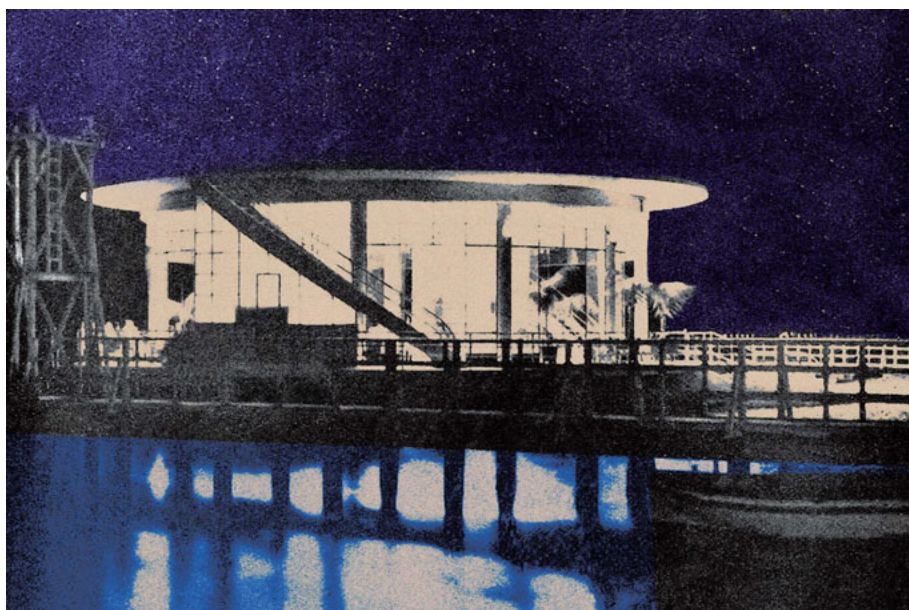
Jeśli latem dobrą praktyką pozostaje szukanie ochłody na wsi (oto przewaga letniska), gdzie w istocie każdy szanujący się sybaryta dysponuje specjalnie wydrążoną jaskinią, aby zachować chłód w najgorętszych godzinach dnia.

36 Oto szersza rekonstrukcja literackiego kontekstu: „*Uczta Trymalchiona* jest tworem zagadkowym. [...] Według Bena Perry’ego to najdziwniejszy zachowany antyczny tekst literacki, którego nie da się porównać z żadnym innym utworem. Jego gatunek można określić jako satyrę, parodię epiki, parodię greckiego romansu lub romans erotyczny we wczesnej fazie rozwoju tego gatunku. Najprościej jednak użyć szerokiego pojęcia »powieść«, w której pierwszoosobowy narrator relacjonuje swoje przygody, prozą i wierszem [...]. Uznaje się, że *Uczta Trymalchiona* jest dziełem Petroniusza, prokonsula Bitynii z roku 62, ale autorstwo tekstu długo budziło wątpliwości i polemiki. [...] Na Publiusa Petroniusza Nigra (Arbitra) jako autora *Satyrykonu* wskazują odkryte w 1946 roku tabliczki z Herkulanum oraz inskrypcja odsłonięta w roku 1989. W Polsce Petroniusz jest postacią dość dobrze rozpoznawalną – Henryk Sienkiewicz uczynił go jednym z głównych bohaterów *Quo vadis*, a w ostatniej ekranizacji powieści z roku 2001 w reżyserii Jerzego Kawalerowicza w jego rolę wcielił się popularny aktor Bogusław Linda”. Por. M. Krogulska: *Waga rzeźnikiem. Co w tym śmiesznego? Astrologiczny humor w „Uczcie Trymalchiona” Petroniusza*. „Colloquia Litteraria” 2024, nr 1, s. 59–60.

37 Arystofanes: *Osy*. W: Idem: *Komedie*. Przeł. J. Ławińska-Tyszkowska. T. 1. Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 321.



Promenada przypomina długą wstęgę, która oplata Reggio



Rotunda, cała ze szkła, jest tak lekka, że prawie nie czuć ciężaru...

Odwrotnie zimą – aby ograniczyć spadek temperatury w domach wyposażonych w perskie dywany, Sybaryta jako pierwszy wynajduje „piec”. Na kąpieli-skach wprowadził już zwyczaj zatrudniania „ratownika”, który czuwa nad bezpieczną kąpielą. I by uniknąć widoku śpieszących się ludzi (być może w obawie przed nadwyrężeniem mięśni), związał nogi ratownika krótką liną, aby zmusić go do powolnego i spokojnego poruszania się.

Dwadzieścia siedem wieków przed sędzią Lindsayem kobiety cieszą się równouprawnieniem. A na kobiecych spotkaniach słuchają, jak najstarsza uczy je, wiele wieków przed Owidiuszem, *ars amandi*. Możemy wymienić trzy zasady tej sztuki. „Ekspozycja”, czyli pokazywanie i ukrywanie swojej atrakcyjności i fizycznego piękna; „głód” – unikanie zbyt częstych zbliżeń, aby utrzymać pożądanie w mężczyznach; „wątpliwa zgoda”, czyli umiejętność obiecywania i odmawiania w ciągłym flircie.

Wiele wieków przed Pietro Aretino, Emission pisze swoje *Księgi sybaryckie*, o których mówi Owidiusz.

Tak jak na wielkich obrazach Veronesego³⁸, karły i maltańczyki zapełniają domy i bankiety Sybaryty. Jak papież Marcin IV, on również

...oczyszcza głodem

węgorze Bolseny i vernaccię³⁹

gdyż to jego ulubione danie. Do tego stopnia, że poławiacze i sprzedawcy węgorzy są zwolnieni z podatków.

38 Dzieło Paolo Veronesego *Uczta w domu Lewiego* (wł. *Convito in casa di Levi*) powstało w roku 1573 dla refektarza weneckiego klasztoru Santi Giovanni e Paolo. Zgodnie ze swoją manierą Veronese przedstawił ją według własnej interpretacji i według własnej maniery artystycznej. Wokół suto zastawionego stołu, niczym w domu sybaryty, umieścił wiele postaci, wszystkie ubrane zgodnie z ówczesną dworską modą. Wśród osób znalazły się postacie podejrzane: mężczyzna dłu-biący w zębach nożem, czarnoskórzy służący, karły oraz szwabscy żołnierze, czyli luteranie. Postać Chrystusa i tajemnica Ostatniej Wieczerzy jest zupełnie niezauważalna dla biesiadników, a prze-pych barokowych już dekoracji i mnogość postaci odciąga widza od tematu obrazu. Sposób przed-stawienia tematu wywołał oburzenie przedstawicieli Kościoła. Autorowi zarzucano zbyt śmiało i w rezultacie obraźliwe dla wiary podejście. Malarz został wezwany przez sąd inkwizycyjny w celu złożenia wyjaśnień. Proces odbył się 18 lipca 1573 w weneckiej kaplicy San Teodoro. Veronese sta-wił się na proces. Usprawiedliwiał się prawem do swobody wyobraźni. Sąd nie został do końca przekonany, ale by uniknąć niepotrzebnego rozgłosu, jego wyrok był łaskawy. Malarz miał prze-malować płótno. Veronese nie poddał się wyrokowi i jedynie zmienił tytuł na *Wieczera w domu Lewiego*, co również usatysfakcjonowało inkwizycję. Por. *Renesans w sztuce włoskiej. Architektura, rzeźba, malarstwo, rysunek*. Red. R. Toman. Wydawnictwo Konemann, Warszawa 2007.

39 Dante Alighieri: *Pieśń XXIV, Czyścić*. W: Idem: *Boska komedia*. Przeł. J. Mikołajewski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 337 [przyp. tłum.].

To i wiele innych udogodnień fiskalnych wskazywano w starożytnym świecie jako dowód zamiłowania Sybarytów do luksusu. Być może był to jednak tylko efekt rozważnej polityki ekonomicznej polegającej na zwalnianiu od podatku rzemieślników reprezentujących dziedziny, które mogą przynieść miastu największe korzyści. Sybaryci wiedzieli, jak marynować węgorze i przygotowywać je do transportu. A one stanowią jeden z najbardziej cenionych przysmaków. Przyznali takie samo zwolnienie farbiarzom purpury i z pewnością jeszcze innym artystom oraz rzemieślnikom. W ten sposób stworzyli przemysł zdolny do produkcji wspaniałych monet i szat, jak ta, w której Sybaryta Alcystenes oszałamia świat Greków, nosząc ją na uroczystej procesji na cześć Hery Lacinii, a następnie poświęcając ją bogini. Wspaniałe dzieło w kolorze purpury i złota. Skradzione półtora wieku później przez Dionizjusza z Syrakuz podczas plądrowania słynnej świątyni, zostało przez niego sprzedane Kartagińczykom, którzy jako dobrzy Semici oczywiście wiedzieli, jak wytargować 120 talentów, czyli kilkaset milionów dzisiejszych lirów!

Doskonale zorganizowawszy swoje życie, Sybaryta, podróżując wspaniałą siecią dróg w wygodnym powozie przez swe bogate terytorium, aby doglądać upraw i handlu, ma szczytny plan zestarzyć się w swoim własnym mieście i kpi z tych, którzy podróżują do odległych krain. Uśmiecha się na opowieść, w której pewien krajan został zaproszony na obiad do Sparty i musiał siedzieć w zbiorowej jadłodajni (nie jest to zwyczaj charakterystyczny wyłącznie dla jakiegoś współczesnego kraju) tego ludu, na prostej drewnianej ławce, jedząc podłą zupę z ciecierzycy; uciekł czym prędzej, oznajmiając, że woli śmierć. I nie dziwi go pogarda, z jaką Lakedajmon stawia czoła śmierci w bitwie. Życzliwie przyznaje, że z pewnością każdy Spartanin woli śmierć od swego jakże ciężkiego życia!

W ten sposób, siedem wieków przed Chrystusem, na wybrzeżu Morza Jońskiego największe miasto Europy dało światu niezrównany przykład sztuki życia.

Stulecie „bohaterskiego pokolenia” swoją pracą, przedsiębiorczością i umiejętnościami utorowało drogę kolejnej formacji: „szczęśliwemu pokoleniu”.

Jeszcze nigdy żadne miasto na świecie nie osiągnęło w tak krótkim czasie tak wiele i nie potrafiło tak dobrze korzystać z sukcesu. Huragan rozpętany przez innych ludzi zatrze wszelkie ślady tego dobrobytu.

I aby usprawiedliwić tak wielką zbrodnię, wszystko, co wywodzi się ze zniszczonego miasta, zostanie potępione. Mądra zasada higieniczna, która w obszarze dotkniętym malarią pomimo szeroko zakrojonych prac melioracyjnych napomina: „jeśli chcesz żyć długo w dobrym zdrowiu, nie powinieneś widzieć ani wschodu, ani zachodu słońca”, zamienia się w oznakę słabości. Pan oszczędza niewolnika, który skrył się w larach przodków, chociaż nie oszczędził go innym

razem, gdy ten schronił się w świątyni. Przykład synowskiego szacunku staje się przypadkiem bezbożności. Miasto, chcąc przyciągnąć do siebie tłumy, organizuje igrzyska sportowe tej samej rangi co olimpijskie, i jednocześnie zapewnia, pierwszy raz w historii, niezwykle wysokie nagrody pieniężne (wynalezione zostały w ten sposób medale sportowe – początkowo były to monety bite specjalnie na nagrody w igrzyskach). Doskonały przykład konkurencji turystyczno-handlowej i znakomita próba przeniesienia centrum starego świata do Wielkiej Grecji. Historia zawoła: „To świętokradztwo!”. Później Kroton powtórzy – bezskutecznie – tę samą próbę, nie wywołując niczyjego oburzenia.

I tysiąc innych oskarżeń, powtarzanych z monotonną natarczywością przez dwadzieścia pięć wieków, aż do chwili, gdy Niebuhr, jako pierwszy, pod koniec ubiegłego wieku, podał w wątpliwość wszystkie zarzuty i zaczął nadawać inną interpretację epizodom opisanym w tak złym świetle w XII księdze Atenajosa⁴⁰.

Jeśli wiele aspektów tamtego życia jawi nam się dziś jako wulgarne i skandaliczne, są to cechy wspólne dla całej ówczesnej cywilizacji. Jeśli można przyjąć jakieś konkretne oskarżenie dotyczące Sybarytów, to jest nim to, że „siedzieli na pełnym korcu”, jak mówili o nich starożytni, lub że „dorwali się do żłobu”, jak powiedzielibyśmy wulgarnie dzisiaj. Innymi słowy, że nadmiernie się wzbogacili.

W swojej *Pochwale lenistwa*, której tytuł wywołał tak wiele krytyki ze strony wszystkich najobłudniejszych tradycjonalistów, Bertrand Russell marzy o ludzkości, która pracuje trzy godziny dziennie i prowadzi wygodne życie. To, o czym Russell marzy, na papierze, jeszcze w XX wieku, w mieście Sybaris osiągnięto w najwyższym stopniu, siedem wieków przed Chrystusem.

Powiecie mi, że pracowali dla nich niewolnicy. Lecz czy dzisiaj ludzkość nie wykorzystuje automatycznych urządzeń?

40 W ujęciu skrótowym: „Atenajos urodził się w Naukratis [...], około drugiej połowy II wieku n.e. [...] Ze sposobu, w jaki Atenajos opisuje cesarza Kommodusa wnioskować można, że ten już nie żył, kiedy powstawała Księga XII [jego *Uczty mędrców* – przyp. Redaktorzy]. Dlatego też przyjmuje się, że Atenajos urodził się w czasach rządów Marka Aureliusza, a działał za panowania jego następców. Jedyna zachowana do naszych czasów praca Atenajosa składa się z piętnastu ksiąg. Jest to zbiór anegdot, fragmentów dzieł poetyckich, historycznych, dramatycznych, filozoficznych, oratorskich, medycznych, ale przede wszystkim gastronomicznych. Atenajos opowiada w nim swojemu przyjacielowi Timokratesowi przebieg wymaganego bankietu, który odbył się w domu bogatego Rzymianina Laurencjusza. [...] Utwór ma formę dialogu, a rozmowa biesiadników posłużyła za szkielet, w który autor wplótł ok. 10 tys. wersów należących do ponad 1250 autorów dzieł w większości niezachowanych do naszych czasów”. Por. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Atenajos> [dostęp: 15.12.2024]. Szerzej utwór omówiony w: M.A. Wesoły: *Uczta mędrców czy sofistów? Wokół antyfilozoficznej wymowy dialogu Atenajosa*. „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej” 2011, T. 56, s. 69–79.

KOPALNIA WIDMO

W 510 roku p.n.e., tym samym roku, w którym – na mocy dziwnego zbiegu okoliczności – Rzym wypędził Tarkwiniuszów, a Ateny Pizystratydów, największe miasto Zachodu przestało istnieć.

Możemy dobrze wyobrazić sobie tragedię biednych mieszkańców. Możemy zobaczyć, jak w błyskawicznym ataku, który nie dał im nawet czasu na przygotowanie się do nowej, tragicznej sytuacji, ich miasto zostaje zrównane z ziemią w ciągu zaledwie siedemdziesięciu dni, a cały ich świat i dotychczasowy dobrobyt – na zawsze zniszczone. Muszą przystosować się do życia na wygnaniu – ci, którzy szczycili się perspektywą starości we własnym mieście, muszą schronić się w mniej wyrafinowanych koloniach, przywyknąć do powrotu do stanu cywilizacji i poziomu życia, który jest z pewnością niższy niż ten, do którego byli przyzwyczajeni...

Nigdy się nie dostosują! Nostalgia za utraconą ojczyzną, pamięć o cywilizacji, którą sami zbudowali i którą się cieszyli, uniemożliwi im skuteczną koegzystencję i adaptację, będzie im towarzyszyć aż do ich całkowitego unicestwienia wraz z upadkiem trzeciego Sybaris, otwierającym drogę do kolejnej odbudowy miasta. Za wyniosłość zostanie uznane to, co w istocie jest niepokojem, niezadowolaniem, nostalgią, wieczną atawistyczną potrzebą kultywowanej przez nich estetyki życia, która stała się instynktowna, uniemożliwiając zejście na niższy poziom.

Nie minęło wiele czasu, zanim pojawiły się pierwsze efekty. Spokojny wiejski lud Enotrów, który miasto Sybaris przekonało do hellenizmu i włączyło do swojego terytorium, padł – zaledwie sześćdziesiąt lat po zniszczeniu miasta – ofiarą bardziej wojowniczych Lukanów. Presja ludów italskich na greckie kolonie na wybrzeżu zaczęła być niepokojąca.

Niemal w tym samym czasie, w 452 roku p.n.e., uchodźcy z Sybaris podjęli próbę wskrzeszenia swojego miasta. Tak rodzi się drugie Sybaris.

Lecz włodarze Krotonu czuwają i na mocy rzuconej klątwy zmuszeni są zniszczyć, sześć lat po założeniu, ów rdzeń, który miał zapewnić zburzonemu polis nowe życie.

Uchodźcy wpadli wówczas na genialny pomysł. Zwrócili się do Aten i Sparty, dwojga „wielkich” w tamtej epoce, i poprosili o wsparcie w obliczu ciężkich represji. Sparta nie jest zainteresowana. Ateny znajdują się pod rządami Peryklesa, którego „diva” Aspazja – pochodząca z Miletu – jest przychylna Sybaris. Ateny chcą wykorzystać sytuację i naturalnie próbują ubić dobry interes. I tak, zaczynają promować kolonię, do której zapraszają wszystkie greckie miasta. Kroton

nie może wystąpić przeciwko takiej grze interesów. W ten sposób nowa, silna kolonia pojawia się na wybrzeżu Morza Jońskiego.

Wszystkie greckie miasta mają w niej swoją reprezentację. Niedaleko ruin założono nową osadę. Aby jednak uniknąć klątwy rzuconej na miano Sybaris, nowe miasto będzie nazywało się Turioj. Zyska długie i dostatnie życie. Wśród jego mieszkańców znajdą się mówca Lizjasz czy historyk Herodot. Jego projekt stworzy sam Hippodamos z Miletu, największy architekt epoki. Twórcą jego praw będzie sam Charondas z Katany. Jeszcze Rzym, dostrzegając w mieście replikę kolonii, nazwie je Copia, wskazując na obfitość, niewątpliwy znak dobrobytu. W czasach późnego Cesarstwa Rzymskiego miasto wciąż jeszcze będzie kwitnąć.

Nigdy jednak nie będzie w stanie zająć miejsca zniszczonego miasta. Nigdy nie dorówna jego cywilizacji, bogactwu, komfortowi i luksusowi. Nigdy nie odziedziczy idealnej organizacji imperium handlowego. Przede wszystkim zaś nie odbuduje pozycji politycznej, ponieważ więzi, które łączyły wszystkie kolonie Sybaris na morzach: Jońskim i Tyrreńskim, z miastem macierzystym, wygasły.

Uchodźcy z Sybaris entuzjastycznie powitali greckich przyjaciół, którzy przybyli z pomocą, aby przywrócić im ojczyznę i zapewnić dach nad głową. Czekają jednak zwykłe rozczarowanie.

Osadnicy, nowi i starzy, muszą przystąpić do alokacji ziemi. Czyż przybysze zza morza nie mieli pomóc biednym Sybarytom odzyskać ojczyznę i położyć kres nienawistnym prześladowaniom? I czy dawni właściciele nie mają prawa do wyboru?

Biedni ludzie, pełni złudnych nadziei! Nowi przyjaciele z pewnością nie są lepsi od starych prześladowców. Wybuchają rozruchy... dawni Sybaryci, stanowiący mniejszość, znowu zostają wygnani. Historia jest już gotowa. Po raz kolejny to wyniosłość była przyczyną ich klęski. Wszystko, co pozostało uchodźcom, to próba założenia na własną rękę trzeciego Sybaris. I po stu latach wszyscy zginęli, walcząc z inwazją Bruttów. Do końca pozostają wierni przeznaczeniu, które historia wyznaczyła ich starożytnemu miastu.

Dzisiaj byk – jako symbol płodności pól – na wspaniałych sybaryckich staterach przypomina nam o dawnym mieście. Ziemia pochłonięta jego ruiny i zazdrośnie je ukrywa. „Źródło figowe”, starożytne „źródło Thuria”⁴¹, opowiada nam o antycznym mieście Turioj. Nic nie mówi o starożytnym Sybaris.

41 Ksenokryt i Lampone po przybyciu do Italii ustalili, że „źródło Thuria” to miejsce wyznaczone im przez wyrocznie Apolla i nadali nazwę nowemu miastu, która miała brzmieć Thuri. Za: F. Astone: *Poseidon e Poseidonia: le acque, il paesaggio, gli insediamenti, il culto, il nome della città*. „Annali Storici di Principato Citra” 2013, s. 47.

Na równinie, niegdyś królestwie malarii i bagien, która teraz zyskała nowe życie dzięki melioracji, w pewnych kopcach, nazywanych Timponi, odnaleziono złote laminety z inskrypcjami pogrzebowymi, zapisanymi w dziwnym dialekcie dorycko-attyckim i odnoszącymi się do rytuału eleuzyńskiego, z V wieku p.n.e., a więc z czasów Turioj.

Najwspanialsze miasto starożytnego Zachodu, którego jedna z kolonii, Paestum, wciąż ukazuje splendor swoich wspaniałych świątyń, zniszczone w rekordowym czasie, w ciągu zaledwie kilku dni, przez samego człowieka, nie pozostawiło po sobie niczego. Zachowały się zaledwie monety i opowieści, które przypominają o jego bogactwie. Archeolodzy nie potrafili wskazać nawet dokładnego miejsca, w którym znajdowało się miasto.

Z pewnością polis posadowione zostało między rzekami Crati i Sibari. Rzeka Crati nie zmieniła swej nazwy przez wieki, lecz kto wie, ile razy zmieniła swój bieg. A rzeka Sibari to dzisiejsza Coscile czy Fiumara di San Mauro? Tutaj również zdania archeologów są podzielone. Pod iloma metrami pokładów osadowych znajdują się – tyle że wywrócone – wspaniałe budynki, świątynie, kolumny, mury? Jakież nieprzebrane bogactwa kryje ten krajobraz, któremu rekultywacja przywróciła łagodny charakter?

Żadne ze starożytnych miast nie zostało zniszczone w siedemdziesiąt dni. Żadne z miast do czasu swego upadku nie osiągnęło takiej świetności. W którym miejscu przemierzanej właśnie przez nas spokojnej równiny kryje się kopalnia bogactw, jaką może sobie wymarzyć archeolog, w swoich szalonych mineralogicznych marzeniach?

Świątynie w Lokrach oddały swoje kolumny katedrze w Gerace. Te z Hipponium – katedrze w Milecie. Starożytny Kroton dostarczył materiału do budowy portu i murów Castello.

Urażona ogromną niesprawiedliwością, jaką wyrządziła jej ludzkość, Sybaris odmówiła ludziom swych marmurowych i kamiennych szczątków, nie chciała pozostawić im najmniejszej pamiątki; nawet po to, by wypełnić salę muzeum. Niczym mitologiczny bohater wyniesiony do boskości porzuciła swoje doczesne ciało. Ubolewając nad swym tragicznym końcem, wraz z całym bogactwem zapadła się w ziemi, której dała sławę i dobrobyt, a która dziś zazdrośnie strzeże jej grobu.

Pozostawiła po sobie wspaniałe monety, dowód umiejętności rodzimych artystów oraz przykład poziomu życia społecznego i dobrobytu, którego nigdy więcej nie osiągnięto i od którego ludzkość, w ciągu dwudziestu siedmiu wieków historii, bardziej się oddaliła niż do niego zbliżyła!

MITOLOGICZNE ARRASY W REGGIO

Przechadzając się ulicami Reggio, zwróciłam uwagę na nazwę: „Via Aschenez”.

Kim był ów Aschenez? Brzmienie nazwiska wskazywałoby na bankiera semickiej proveniencji.

Nie jest to dalekie od prawdy, ponieważ Aschenez był synem Gomara, wynalazcy łodzi wiosłowej, krewnym Noego i spryciarzem większym niż niejeden współczesny bankier. Przybył z Ziemi Obiecanej aż tutaj, gdzie gigantycznej mocy zjawisko telluryczne roztrzaskało góry i zrobiło miejsce wodzie.

Legenda głosi, że to właśnie Aschenez, doświadczony semicki kupiec, od pierwszej chwili zdał sobie sprawę z wartości tej osobliwej cieśniny i dobrze ocenił strategiczne znaczenie tego wodnego korytarza, zakładając tutaj załóżek miasta. Posiadanie takiego zakątka w swoich rękach i panowanie nad tranzytem oznaczało sławę i bogactwo.

Niewiele innych miast w Europie może pochwalić się taką genealogią. Reggio może być dumne ze swojego Ascheneza. Nie zapominajmy o tym kupieckim strategu, starszym niż wszyscy bohaterowie wojen trojańskich, którzy zakładali tutejsze miasta.

Miejsce to było jednak zbyt piękne, by kusić jedynie możliwościami nawigacyjnymi i potencjałem handlowym. Natychmiast włączyła się do działań poezja i zaczęła tkąć swoje mitologiczne arrasy.

Na sąsiednich wyspach rządził Eol, król wiatrów, którego autor *Kasandry*, Likofron z Chalkis, nazywa „najbardziej doświadczonym astronomem”⁴². Eol wysłał swojego syna Jokasta, który założył miasto nad brzegiem tej strategicznie położonej cieśniny. Jokast został przyjęty z wielkim szacunkiem, odpowiednim dla syna tak możnego króla. Wspaniały był ojcowski prezent na nową siedzibę. Eol osłonił Reggio przed wszystkimi uciążliwymi wiatrami, pozwalając dotrzeć tutaj tylko tym, które wieją przez cieśninę i orzeźwiają powietrze.

42 Likofron z Chalkis to grecki poeta, dramaturg i gramatyk żyjący w pierwszej połowie III wieku p.n.e., jeden z tzw. plejady aleksandryjskiej, dramatopisarzy tworzących tragedie na dworze pierwszych Ptolemeuszów. Związany był z Biblioteką Aleksandryjską, w której edytował i porządkował dzieła greckich dramatopisarzy. Sama twórczość Likofrona ocalała w ułamku i ogranicza się jedynie do tytułów tragedii oraz urywków dramatu satyrowego *Menedemos*. Ocalał natomiast przypisywany dotychczas Likofronowi utwór *Aleksandra* (*Kasandra*). To monolog, złożony z 1474 wersów jambicznych, napisany wyjątkowo aluzyjnym językiem pełnym zagadek; zawiera jedną z najwcześniejszych w literaturze antycznej aluzji do mitu o założeniu Rzymu. Por. J. Łanowski: *Literatura starogrecka*. W: *Dzieje literatur europejskich*. Red. W. Floryan. T. 1. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977, s. 108.

W ten sposób utworzył się w Reggio szczególny klimat, zapewniający rozkwit bogatej flory.

Jokast rządził długo i rozważnie. Został bohaterem jeszcze za życia. Umarł rozszarpany przez lwa. Grób władcy stał się miejscem kultu nie tylko dla lokalnych mieszkańców, lecz także dla wszystkich cudzoziemskich żeglarzy, którzy od początku świata zawsze dbali o protekcję króla wiatrów.

Cóż właściwie można powiedzieć o takim miejscu, gdzie tuż za cieśniną czyhała na żeglarzy Scylla, a pochłaniała ich Charybda? W tych okolicznościach dyplomatycznym postępowaniem było wzdychanie i modlenie się nad grobem syna, którego ojciec sprawował władzę nad wszystkimi wiatrami.

Już w czasach mitologicznych w mieście Rhegion znajdowały się słynne świątynie. Nie tylko ta poświęcona Jokastowi, o której wspominali Kallimach i Likofron, lecz także świątynie Apolla i Diany⁴³. Niedaleko świątyni Apolla rośnie święte drzewo, którego gałązki zrywają tylko ci, którzy udają się do Delf do wyroczni. W takim przypadku mają oni prawo zerwać gałązkę i zawieźć ją delfickiemu bogu.

W mitologicznych czasach pewnego dnia do Reggio przybył dziwny pielgrzym. Był to Orestes, oczyszczony w świątyni Prozerpiny w Hipponium i obmyty w lśniącej wodzie rzeki Metauro; już uzdrowiony i w pełni władz umysłowych, przybył tutaj, aby założyć dwie świątynie: Apolla i Diany. Sam przywiózł ich posągi z Hipponium.

Emigracja w tamtych czasach odbywała się z innych powodów niż dziś. Obecnie mieszkańcy starego świata skłaniają się ku emigracji ze względu na przeludnienie i nierówności ekonomiczne. Lecz w tamtej epoce – nazwijmy ją „początkami europejskiej kolonizacji” – ziemi było pod dostatkiem, a eksploratorów popychała do podróży gorączka poznawania nowych terenów. Byli przede

43 Diana Fascelide – czczona w Rhegion (Reggio Calabria) utożsamiana z kępami roślinnymi, trzcinami rosnącymi w pobliżu ujścia rzek; była przedmiotem kultu w Reggio od niepamiętnych czasów, jeszcze na długo przed przybyciem Greków. Ponadto na Punta Calamizzi, poza murami, stała duża świątynia poświęcona bogini. Ateńczycy, sojusznicy mieszkańców Reggio Calabria, za-trzymali się w pobliżu tej świątyni podczas drugiej wyprawy na Sycylię (w czasie trwania wojny peloponeskiej). Postać Diany Fascelide jest ściśle związana z przybyciem do Reggio św. Pawła, który rozpoczął swoje nauczanie właśnie w chwili, gdy we wnętrzu poświęconej jej świątyni odbywały się uroczystości ku czci bogini. Via Diana przypomina o istnieniu w Reggio, poświęconej jej świątyni w czasach, gdy miasto oddawało cześć pogańskim bogom. Po przybyciu na miejsce Pawła z Tar-su, który ewangelizował mieszkańców Reggio, nastąpiło masowe nawrócenie pogan na chrześcijaństwo. Nawiązuje do tych wydarzeń kolumna (z dawnej świątyni Diany), której fragment znajduje się we wnętrzu Katedry i który stał się symbolem zakończenia w Reggio kultu Diany. Por. W. Burkert: *Greek Religion*. Harvard University Press, Cambridge 1985.

wszystkim pełnymi ciekawości turystami, „globtroterami” lub ludźmi, którzy mieli jakieś rachunki do wyrównania. Tylko to łączyło starożytne i współczesne postaci emigrantów: energia, dynamiczny charakter, siła woli, decyzyjność oraz psychologiczna gotowość na przyjęcie życiowych ciosów.

To są właśnie czynniki, które zawsze tworzyły cywilizację. Żołnierz przybył i zniszczył. Lecz kolonizator przyjechał, prawie zawsze z niewielkimi, cudem zgromadzonymi środkami i, otoczony aurą ciekawości, zbudował cywilizację. Żołnierz, zanim stał się osadnikiem, zawsze był niszczycielem. Osadnik, zanim stał się żołnierzem, zawsze był budowniczym. Podporządkowywał sobie stałyczne ludy tubylcze i zaczynał rządzić, narzucał swój język, zwyczaje, religię.

Ten proces cywilizacyjny, jeden z najciekawszych, można zaobserwować w obu Amerykach, gdzie część południowa i północna rozwinęły się w sposób tak różny, w zależności od sił, które je sobie podporządkowały.

To samo zjawisko miało miejsce wiele wieków temu w południowych Włoszech lub – jak wolą niektórzy – Saturnii (poświęconej Saturnowi), Enotrii (krainie winorośli), a nawet Esperii (krainie Zachodu), która w tamtym czasie była Ameryką dla wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Siła kolonizacyjna wchłonęła tubylców i stworzyła własną cywilizację, jedną z najwspanialszych, jakie widział świat, cywilizację *par excellence* grecką, a ze względu na jej ogromną atrakcyjność zwaną Wielką Grecją.

Bitwa między historykami i znawcami, w walce o tak zwaną „rodzimą kulturę italską” w okresie greckim, jest skazana na przegraną, tak jak skazani na porażkę są dziś wszyscy ci, którzy mówią o kulturze amerykańskiej. Wszystko, co obecnie rozumie się pod nazwą cywilizacji amerykańskiej, było dotychczas kulturą europejską przeniesioną przez dynamiczną agresję kolonizacyjną. „Ameryka” zaczęła istnieć dopiero w ciągu ostatnich kilku dekad, z kolei wartości europejskie przetrwały długi czas, zanim się rozpadły, tak jak długo trwał rozpad kultury greckiej w południowych Włoszech.

Początki greckiej kolonizacji wiążą się z powstaniem we wszystkich miastach Wielkiej Grecji całej serii mitologicznych arrasów, przepełnionych obrazami idylli i – nierzadko – scenami heroicznymi. Arrasy z Reggio należą do najbardziej skandalicznych. W połowie VIII wieku Chalkidejczycy musieli być bardzo przywiązani do Apolla, ponieważ co dziesiąty powierzał się jego opiece w obliczu wyjazdu. Przyłączyli się do Nufenów z Peloponezu, którzy pozostawili po sobie haniebne wspomnienie, ponieważ kiedy Lacedemończycy wyruszyli na wojnę, oni wykorzystali ich najpiękniejsze dziewczęta. Zostali skazani na wysoką grzywnę, lecz uważali słusznie lub nie (nie będziemy o tym dyskutować), że za przyjemne rzeczy nie należą się żadne odszkodowania, woleli zatem nie płacić

i odejść. Połączyli się z Chalkidejczykami i wypłynęli na szeroki świat. Apollo, dążąc do uwolnienia od nich Grecji, musiał – w łagodny sposób – zachęcić ich do emigracji. Wyrocznia w Delfach pokazała obraz godny ich wrażliwości: mieli założyć miasto tam, gdzie napotkają piękną kobietę w objęciach mężczyzny. A kiedy na brzegu cieśniny ujrzeli wspaniałą winorośl połączoną z silnym wiązem, zrozumieli metaforę wyroczni i tam pozostali.

Wszystkie te legendy widziałam na mitologicznych królewskich arrasach w Reggio, zawieszonych w powietrzu i fantastycznie oświetlonych przez zachodzące słońce lub, w nocy, przez pochodnię Diany. Nie mogę tutaj podać ich dokładnych wymiarów. Ich długości, szerokości, liczby przedstawionych postaci, perspektyw i barw. Wszystko to zależy od spojrzenia tego, kto je ogląda.

Wciąż jeszcze widzę jeden z nich, zwiastujący rozpad tej cywilizacji. W Dziejach Apostolskich można przeczytać: „circumlegentes devenimus Rhegium”⁴⁴.

Święty Paweł, po dwóch latach więzienia w Cesarei, zaproszony przez prefekta Festusa do Rzymu, by poddać się osobistemu sądowi Nerona, pod eskortą centuriona Juliusza, podczas swej podróży pełnej przygód i cudów, po pobycie na Malcie zatrzymał się w Reggio.

Nieopodal plaży, na Lido dei Giunchi, wznosiła się słynna świątynia Diany. Tutaj św. Paweł począł wygłaszać kazania do pogan, ukazując im światło nowej wiary. Wielu zaczęło się nawracać, czemu władze nie były przychylne. Poproszony o zaprzestanie swojej działalności św. Paweł zażyczył sobie tylko, by wolno mu było mówić do chwili, gdy wypali się mała świeczka, którą zapali na szczycie kolumny. Mogło się to wydać wręcz humorystyczne, ponieważ krótki czas potrzebny do wypalenia się świeczki nie mógł rodzić obaw. Oferta została przyjęta. Zgromadził się ogromny tłum słuchaczy, w większości ironicznych lub sceptycznych. Święty Paweł osobiście umieścił zapaloną świeczkę na kolumnie i zaczął przemawiać. Historia uczy nas, jak niezwykle był on mówcą.

Świeczka wypaliła się bardzo szybko. I oto zaczyna płonąć, ku wielkiemu zdziwieniu tłumów, sama granitowa kolumna. Płonęła długo, a w jej tajemniczym świetle osoba św. Pawła zaczęła nabierać gigantycznych rozmiarów, jego słowa zaś – którym gorejący granit dodawał ognia – rozpalają serca i umysły najoporniejszych przeciwników. Spalona kolumna Diany, po której pozostała tylko garść popiołu, symbolizuje upadek starożytnego świata.

44 Przytoczmy tłumaczenie całego przywołanego fragmentu *Dziejów Apostolskich* 28,13: „Stąd płynąc wzdłuż wybrzeża przybyliśmy do Regium i po jednym dniu, gdy powiał wiatr południowy, nazajutrz przybyliśmy do Puteoli”.

Święty Paweł, zanim udał się w dalszą drogę, pozostawił w Reggio pierwszego biskupa, św. Stefana z Nicei, którego sam wyświęcił. Ów, podczas prawie dwudziestu lat swojej posługi, nawrócił całe terytorium Reggio.

Legenda mówiąca o kolumnie Diany spalonej przez św. Pawła wypełnia ostatnią scenę mitologicznych arrasów z Reggio, na których uwiecznione są dziesiątki bohaterów: od Ascheneza, Eola, Jokasta, Herkulesa, Rec⁴⁵, Charondasa, Ibykosa... po św. Pawła.

Intensywnie błękitne powietrze Reggio rzuca specjalne światło na te arras. By je zobaczyć, wystarczy, że zdejmiesz przyciemniane okulary podróżnika.

PRAWO, KTÓRE ŚPIEWA

Każde dziecko wie, że śpiewa się arie operowe i piosenki. Lecz z pewnością niewielu zdaje sobie sprawę, że wyśpiewywać można także suche paragrafy praw.

Starożytność natomiast znała podobny przypadek.

Prawa Charondasa z Katany zostały napisane poetycką prozą, do tego stopnia rytmiczną i melodyjną, że uczniowie w szkołach i mieszkańcy na zgromadzeniach deklamowali je i wyśpiewywali przy akompaniamencie instrumentów muzycznych⁴⁶.

W naszej epoce coś podobnego wydałoby się śmieszne. Z jednej strony współczesne konstytucje są napisane językiem twardszym od skały, tak zawiłym, że gdyby połknął je struś, dostałby z pewnością niestrawności. Z innej strony, każdy szanujący się współczesny obywatel marzy o tym, by uciec jak najdalej od prawa, a już na pewno nie nucić go w celu zapamiętania i upominania samego siebie.

Przestrzeganie prawa było tak restrykcyjne, że aby je zmienić, autor nowego projektu musiał stawić się przed zgromadzeniem ze sznurem na szyi, aby w przypadku odrzucenia nowego paragrafu mógł zostać nim natychmiast uduszony. Prawa nie były pisane lekkomyślnie, lecz stanowiły wynik dogłębnie przestudiowanych nauk społecznych i przygotowań filozoficznych: prawodawcy

45 W nowszej włoskiej edycji książki Kazimierza Alberti (por. wyd. Rubbettino z 2007 roku, ze wstępem Marty Petruszewicz) widnieje inna nazwa postaci: Ree.

46 Szerzej o Charondasie, jako prawodawcy i kodyfikatorze przepisów szczegółowych dla sycylijskiego miasta Katany, pisze Karl-Joachim Hölkeskamp w swym studium: *Schiedsrichter, Gesetzgeber und Gesetzgebung im archaischen Griechenland*. „Historia Einzelschriften” 1999, vol. 131, s. 130–144.

tacy jak Likurg i Solon, Timaratos z Caulonii, Zaleukos z Lokrów i wygnaniec z Katanii, który został z honorami powitany w Reggio, Charondas, byli powszechnie szanowani nie tylko w granicach swojego miasta, ale daleko poza nim. Ich chwała przeszła do historii, a najwięksi filozofowie i historycy, poeci i prozaicy wynieśli ich niemal do rangi bohaterów: Pindar i Demostenes, Heraklit i Cyceon, Atenajos i Polibiusz, Platon, Arystoteles, Plutarch. Poszukiwania wielu badaczy były nakierowane na to, czy Charondas, tak jak Zaleukos, byli postaciami mitycznymi zgodnie z zasadą antropomorficzną, czy też faktycznie istnieli. Arystoteles i Diodor gorliwie zapewniają nas, że naprawdę istnieli.

Założmy jednak odwrotny przypadek. Czy z tego względu kodeks Charondasa staje się mniej wartościowy?

Charondas, podobnie jak Zaleukos, opierał się na inspiracjach pitagorejskich. Żył niemal w tym samym czasie, istnieje wiele dyskusji na temat tego, czy prawodawca stworzył swój śpiewny kodeks w Reggio, w Katanii, swojej ojczyźnie, czy w Turioj, drugim domu Sybarytów. Wydaje się, że było to w Reggio i że Turioj później ów kodeks zaadoptowało, podobnie jak wiele innych miast na greckim wschodzie, w Azji Mniejszej i Kapadocji.

Reguły Charondasa do dziś budzą szacunek. Niektóre z nich wydają się wyprzedzać współczesne prawa o wiele wieków. Jedna z nich przychodziła mi na myśl w wielu kalabryjskich wioskach, gdzie tak często spotykałam się z analfabetyzmem.

Wszystkie dzieci obywateli mają prawo do nauki i każdy musi nauczyć się czytać i pisać na koszt państwa.

Oto paragraf, którego po długich wiekach nie udało nam się zrealizować, nawet w krainie wielowiekowej kultury włoskiej, gdzie to prawo powstało. Tak więc w epoce, w której marzymy o locie na Księżyc, z mleka wytwarzamy wełnę⁴⁷,

47 Tak – w skrócie – przedstawia się historia niezwyklego wynalazku (lanitalu) – tkaniny wytworzonej z mleka, tuż przed drugą wojną światową: „Odkrywcą lanitalu był genialny chemik włoski dr Antonio Ferretti. Zasłynął wieloma innowacjami w dziedzinie sztucznych tekstyliów i włókien. Największą sławę przyniosła mu syntetyczna wełna z kazeiny – proteiny znajdującej się w mleku i serze. Odkrycie Ferrettiego oznaczało niezwykle przełom we włoskim przemyśle włókienniczym, w którym wystąpiły poważne problemy z importem surowca, wywołane międzynarodowymi sankcjami nałożonymi na Włochy po zajęciu Etiopii. Lanital został okrzyknięty cudowną tkaniną. Jednocześnie jego produkcja umożliwiała zagospodarowanie nadwyżek mleczarskich. Materiał był moloodporny, ciepły i miękki jak naturalna wełna, co więcej, nie kurczył się po zamoczeniu. Jednak włókna były o wiele słabsze i podatne na działania bakterii. Ówczesni krawcy uskarżali się, że lanital niezbyt dobrze nadaje się do szycia i prasowania. – Rozchodzi się jak ser mozzarella – mówili. Pomimo stwierdzonych mankamentów firma SNIA Viscosa postanowiła upowszechnić lanital na całym świecie. Plany pokrzyżował wybuch wojny. W najlepszym okresie produkcja lanitalu

a z węgla nylon – panaceum kupieckie połowy XX wieku – w tej samej Kalabrii, w której narodziło się śpiewane prawo, wciąż istnieją ślepe, ciemne falangi, dla których alfabet jest nieosiągalną, niemal sensacyjną kabałą.

Zabronione jest prowadzenie interesów i przyjażnienie się ze złoczyńcami.

Przywodzi to na myśl rodzaj ostracyzmu. Nikczemnicy nie mogli liczyć na żaden kontakt ani przyjazną dłoń w razie potrzeby i byli skazani na życie poza społeczeństwem. Unikani przez wszystkich. (Dziś każdy marzy o zbliżeniu się do takich niegodziwców, bo to oni władają i rozporządzają bogactwami i biznesem).

Ktokolwiek podczas wojny lub bitwy opuści swoje pozycje lub uniknie wzięcia udziału w obronie swojego kraju, zostanie wystawiony na trzy dni, w damskim ubraniu, na placu publicznym.

Inne starożytne kodeksy przewidywały w takim przypadku karę śmierci. Charondas wydaje mi się pierwszym, który odważył się zastąpić okrucieństwo humorem. Jest doskonałym psychologiem. Wie, że ośmieszenie człowieka jest skuteczniejszą bronią niż najdoskonalsze tortury czy ciężka przymusowa praca. W tłumie na ulicy każdy wytyka palcem: „Patrz! Patrz! To on stał na placu przebrany za kobietę!”.

Ironiczny śmiech to kara, która prześladowa za każdym razem, gdy wychodzi się z domu. Zauważmy, jak daleko od idei Charondasa odeszli średniowieczni prawodawcy, zastępując ośmieszenie torturami.

Każdy, kto rozpowszechnił niesprawiedliwe oszczerstwa dotyczące jednego z obywateli lub fałszywie oskarżył go o przestępstwo, zostanie poprowadzony przez całe miasto w koronie z tamaryszku.

Kolejny przykład jurydycznego konceptu! Możemy sobie wyobrazić tę procesję przemierzającą ulice i place miasta, z pewnością jeszcze bardziej zatłoczone i gwarniejsze niż przy powitaniu jakiegoś celebryty. W tym koronacyjnym geście subtelność ironii osiągnęła najwyższy poziom.

Ten, kto daje mamkę swoim małoletnim dzieciom, musi zrzec się urzędu publicznego.

we Włoszech biła wszelkie rekordy. Rząd faszystowski dążył do samowystarczalności w przemyśle włókienniczym. W propagowanie nowego produktu włączyli się także znani futuryści. W 1938 roku Marinetti wydał tomik *Poema del vestito di latte* (*Poemat o mlecznej sukience*). Książka należała do literatury awangardowej, była ilustrowana kolażami fotograficznymi i kompozycjami graficznymi. Marinetti zajął się promocją lanitalu. Wydał również esej, który łączył poezję i modę z technologią. Poezja industrialna splatała się z eksperymentem plastycznym. Autor pokazywał niesamowitą drogę od płynnego mleka do kazeinowego włókna o nowej jakości. SNIA Viscosa sprzedała licencję na produkcję lanitalu m.in. Niemcom, Anglikom, Francuzom, Belgom. Krótco po wojnie lanital występował pod nazwą Merinova. Amerykański lanital był znany jako Aralac”. Por. <https://um.pabianice.pl/artukul/110/91/lanital-niespelnione-oczekiwania> [dostęp: 15.12.2024].

Jakże dokładnie psycholog Charondas musiał obserwować życie małżeńskie, aby dojść do tego wniosku.

Kto zwraca się do zgromadzenia z propozycją zmiany prawa, musi stawić się ze sznurem na szyi... Jeśli poprawka zostanie zaakceptowana, odejdzie w triumfie; jeśli nie, sznur zostanie zaciśnięty.

Historia przekazała kilka epizodów, w których widzimy bohatera zjawiającego się na zgromadzeniu ze sznurem na szyi. Wybierzemy dwa przypadki, najbardziej zabawne, i z pewnością będziemy się dziwić, z jakich powodów ludzie ryzykowali życie.

Prawo Charondasa było liberalne jak na swoje czasy. Kobiety mogły bardzo łatwo uzyskać rozwód.

Pewnego pięknego dnia stary mąż, którego żona poprosiła o rozwód, aby poślubić młodszego mężczyznę, pojawił się ze sznurem na szyi. Zażądał zmiany prawa. Jakiego?

Biedaczyna stwierdził, że to nie w porządku, by kobieta prosiła o rozwód tylko dlatego, że pragnie poślubić młodszego mężczyznę. Starość, jako dar i prawo natury, nie jest wadą. Z tego powodu małżeństwo nie powinno być rozwiązywane; gdyby każda kobieta nagle chciała mieć młodego męża, co stałoby się ze wszystkimi starymi mężczyznami? Będzie musiał zacisnąć sznur na szyi? A może jego protest zostanie wysłuchany?

Wywiązała się zażarta dyskusja. Starsi stwierdzili, że można udzielić rozwodu, ale kobieta nie może poślubić mężczyzny młodszego niż jej pierwszy mąż. Szanse były więc wyrównane. Odważny modyfikator prawa, któremu – jak widzimy – nie brakowało logicznych argumentów ani filozoficznego usposobienia, wyszedł ze zgromadzenia, triumfując. Po pierwsze dlatego, że wygrał w starciu z Charondasem, a po drugie – że odzyskał swoją kobietę, która nie mogąc poślubić młodszego mężczyzny i ujrzawszy, jak starzec ryzykuje dla niej życie, powróciła z odrodzoną czułością do domowych Larów.

(Autorka skromnie uważa, że z pewnością trzy czwarte członków zgromadzenia było w wieku patriarchalnym: widząc tak wymowny przykład, musieli obawiać się o swój małżeński los. Sam Charondas zapewne był w wieku, w którym można lękać się nieprzyjemnych komplikacji.)

Oto drugi przypadek, również dość wesoły. Tym razem młoda kobieta wykażała się przebiegłą interpretacją prawa. Pojawiła się, dumna ze swojego sznura niczym z diamentowego naszyjnika. Zobaczmy od razu, z jakiego powodu młodość ryzykuje życie.

Kodeks Charondasa, który faworyzował kobiety, stanowił, że jeśli bogata młoda niewiasta została osierocona, najbliższy krewny musiał ją poślubić. Jeśli

natomiast była biedna, najbliższy członek rodziny musiał zapewnić jej posag. Taki paragraf z pewnością stanowił szansę dla ubogiej dziewczyny. Ale nasza bohaterka nie wyrażała zadowolenia.

Wzięła swój sznur i poprosiła o zmianę. Dlaczego krewny miałby poślubić tylko bogatą? Ona sama rezygnuje z posagu, bo kto może ją zapewnić, że nawet wsparta rodzinnym majątkiem znajdzie potem męża? Ona chce... krewnego, a nie jego pieniędzy! Kuzyn, zamiast ją obdarować, powinien poślubić biedną sierotę!

I oto postawiona pod osąd wychodzi z triumfem i rzuca się w ramiona swojego krewnego, nawet nie pytając go o zgodę! Prawo jest po jej stronie! Ona osobiście wprowadziła poprawkę do tego przepisu!

(Autorka skromnie przypuszcza, że przebiegła sierotka nie tylko była zakochana w swoim najbliższym krewnym, ale także musiała być brzydka. Bo wyłącznie mało urodziwa zakochana kobieta może znaleźć odwagę, by walczyć nie tylko z Charondasem, lecz nawet z samym diabłem! I zawsze wygra!)

Możemy studiować prawa Charondasa z przekazów Stobajosa i Diodora, którzy je zreferowali i zinterpretowali⁴⁸.

Historyczny fakt, że w starożytności istniał kodeks napisany wierszem, tak melodyjny, że można go było śpiewać jak piosenkę, nakazuje respekt dla tego prawa i dla jego epoki. Nie chcecie chyba powiedzieć – mam nadzieję – że łatwo znaleźć zbiór paragrafów napisany na skrzypce i śpiewany z powagą oraz szacunkiem, jak jakiś hymn narodowy.

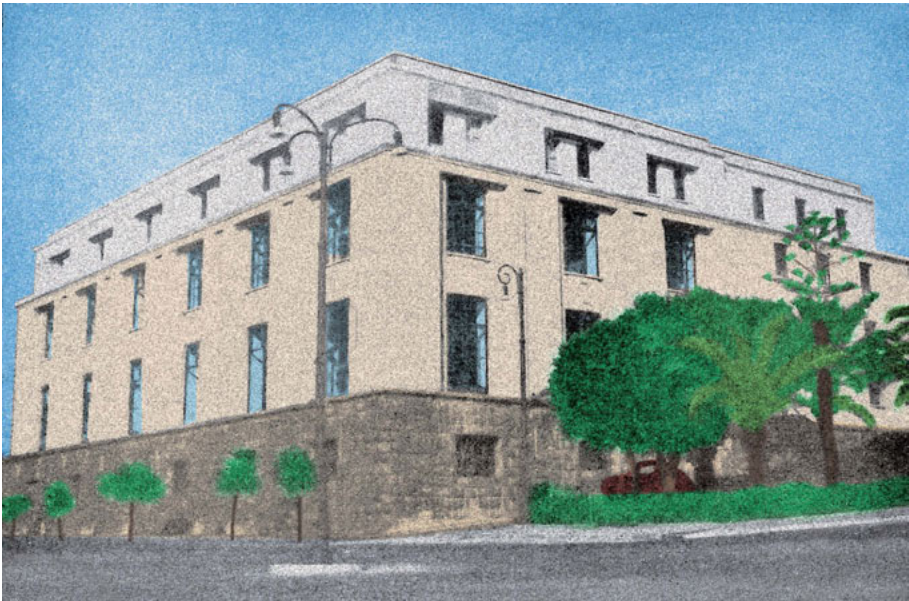
To także stanowi drobną część kalabryjskiej duszy!

NA VIA PALAMOLLA, KOŃ IBYKOSA

Już drugiego dnia po naszym przyjeździe do Reggio koń nie miał siły, aby wciągnąć nasz wynajęty wóz, w którym znajdowały się dwie osoby i dwie walizki, w górę via Palamolla. Postanowiliśmy więc wysiąść i kontynuować wspinaczkę pieszo, podczas gdy woźnica niósł walizki. Na środku ulicy w pełnym słońcu pozostał smutny koń, któremu ta mała wspinaczka z pewnością wydawała się jakimś szlakiem na Etnę i który, jako inteligentne stworzenie, widząc oddalających się ludzi i walizki niesione w ręku, z pewnością zdał sobie sprawę, że coś mu się nie udało.

48 Por. Diodor Sycylijski: *O Peryklesie i wojnie peloponeskiej*. (Biblioteka Historyczna XII). Red. naukowa S. Dworacki. Przekł. A. Skucińska. Komentarz L. Mrozewicz. Wydawnictwo Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2019, s. 23–33.

•
•
•
•
•



...muzeum, zbudowane wśród gorączkowych polemik,
jest z pewnością najpiękniejszym monumentalnym budynkiem w Reggio

•
•
•
•
•
•
•



Zamek jest klamrą, która łączy współczesność ze starożytnością

-
-
-
-
-
-
-

Ten krótki epizod przypominał nam, że jesteśmy w mieście jednego z największych greckich poetów – Ibykosa, którego koń w historii poezji był prawie tak sławny jak koń trojański w historii wojny.

Tylko, jak to często bywa na świecie, fortuna podróbki była większa niż sukces oryginału. Także tym razem koń trojański skończył otoczony chwałą, podczas gdy koń Ibykosa poniósł porażkę.

W ten nieco dziwny sposób naszym oczom ukazuje się Ibykos z Reggio, mistrz poezji lirycznej, porównywany do boskich Safony i Alkajosa, pochodzących z wyspy Lesbos.

Reprezentował tę samą gałąź liryki co Archiloch z Paros, Tyrteusz z Miletu, Kallinos z Efezu, Mimnermos z Kolofonu, Stezychor z Himery. To wręcz całe złote liryczne drzewo, którego siłę i niezwykle piękno możemy odtworzyć z kilkuset liści (dokładnie tak: liści!) papirusu zachowanych w suchej ziemi Egiptu. Jednak już na podstawie tej garści listowia potrafimy zrekonstruować kształt całego drzewa.

Ibykos, syn Certandosa, urodził się w Reggio, lecz dużo podróżował; jakiegoś rodzaju twórczy niepokój popychał go nieustannie i przenosił z miejsca na miejsce, w ciągłym poszukiwaniu czegoś nowego. Ibykos pozostaje ojcem poetów dworskich, gdyż to właśnie on zapoczątkował tę dynastię. Wcześniej poeci tworzyli bez żadnej protekcji, przy okazji świąt religijnych lub państwowych; postać Mecenasas była jeszcze nieznana. Ibykos znalazł się na dworze słynnego tyrana Polikratesa z Samos, podczas gdy przebywał tam również Anakreont, i – jako człowiek inteligentny – pojął, jak cudownie jest nie musieć troszczyć się o chleb powszedni, mieć zapewniony byt i móc beztrząsco rzucić się w ramiona muzy Euterpe.

W ten sposób stał się pierwszym poetą nadwornym.

Podczas gdy w Grecji kwitła w najlepsze poezja epicka, na Sycylii bardziej niż gdzie indziej szanowano poezję liryczną, a Stezychor, inna gwiazda, dorównująca sławą Ibykosowi, podejmował epickie tematy w lirycznych formach⁴⁹.

Ibykos powiedział, że ambrozja „jest dziewięć razy słodsza od miodu”. Ile razy bardziej ambrozja była słodsza od miodu, tyle razy miłosne słowa Ibykosa były bardziej płomienne niż sformułowania dziewięciu innych poetów, tak że Arystofanes stwierdził:

49 Stezychor (ur. ok. 632–629 r. p.n.e. w mieście Himera na Sycylii, zm. ok. 556–553 r. p.n.e. w Katanii) – grecki poeta liryczny. O ocalonych skrawkach twórczości Stezychora (odkrytych, dzięki badaniom Edgara Lobela przeprowadzonym w latach 60. XX wieku) pisze zajmując Jerzy Danilewicz. Por. Idem: *Wstęp. W: Liryka starożytnej Grecji*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1984, s. LXXXVIII.

„Kto opiewa miłość kobiety, powinien być elegancki jak Ibykos z Reggio”;

Cyceron zaś, w *Rozmowach tuskulańskich*, mówi o nim:

„Najbardziej zaś ze wszystkich płonął żądzą miłosną Ibikus z Regium, jak to widać z jego pism”;

podczas gdy sam Platon chwali go w swoim *Parmenidesie*⁵⁰.

Można uznać Ibykosa za poetę lirycznego i niemalże twórcę starożytnego języka *volgare*, gdyż w Wielkiej Grecji spełnił tę samą rolę, którą wiele wieków później Dante miał odegrać we Włoszech. Uczono się o nim we wszystkich starożytnych szkołach. Doprowadził poezję chóralną do mistrzowskiej formy i nadał stylowi największą różnorodność.

Pisał z okazji świąt ku czci bogów i bohaterów, chwalał Artemidę i Hefajstosa. Jego mitologiczne warianty, indywidualne wytwory jego niezwykle wyobraźni, zostały później zaadaptowane przez Ajschylosa, Symonidesa, Timajosa, Pindara. Opiewał zwycięskich sportowców na igrzyskach, słynną bitwę nad rzeką Sagras między Lokryjczykami i Krotończykami, wyprawę Argonautów po złote runo, Achillesa i Menelaosa, Diomedesa i Hektora, Ulissesa i Orestesa.

Grecy nie wyobrażali sobie poezji bez akompaniamentu na jakimś instrumencie. Bardzo popularna i lubiana była lira i stąd też bierze się nazwa poezji lirycznej, która dotarła do naszych czasów. Ibykos, którego poezja była wybitnie melodyjna, stworzył specjalną trójkątną cytrę oraz rodzaj liry „sambuca”, która miała tylko trzy struny, lecz której dźwięk był tak silny, że według legendy pewnego razu Rzymianie – przerażeni muzyką wygrywaną na lirze Ibykosa – wygrali bitwę⁵¹.

50 Tak wybrzmiewa kwestia, wypowiedana przez tytułowego bohatera późnego dialogu Platona: „Trzeba was posłuchać. Chociaż mam wrażenie, że tak mi jest, jak temu koniowi u Ibikosa. On tam siebie raz przyrównywa do konia wyścigowego, który już jest przystary, i kiedy go do wozu zaprzęgają, aby szedł na wyścigi, on drży przed tym, co ma być, bo ma doświadczenie – więc tak samo i on o sobie powiada, że w tak późnym wieku nie chce, ale musi iść w służbę Erosa”. Por. Platon: *Parmenides*. Przeł. W. Witwicki. Wydawnictwo Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2022, s. 45. Frazę Cycerona podajemy w tłumaczeniu Józefa Śmigaja. Za: Cyceron: *Rozmowy tuskulańskie. O starości, O przyjaźni, O wróżbiarstwie*. Przeł. J. Śmigaj, Z. Cierniakowa, W. Kornatowski. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 163.

51 Więcej o instrumencie, etymologii jego nazwy oraz właściwościach akustycznych – por. M.L. West: *Muzyka starożytnej Grecji*. Przeł. M. Kaziński, A. Maciejewska. Wydawnictwo Homini, Kraków 2003, s. 90–92. Przywołajmy początek fascynującej opowieści-rekonstrukcji, przeprowadzonej przez badacza: „Przechodzimy do instrumentu, który na ogół nazywa się *sambýkē* (po łacinie *sambuca*), ale w najwcześniejszych wzmiankach występuje jako *iambýkē*, a w dwóch późnych leksykonach jako *zambýkē*; warianty oznaczają prawdopodobnie różne sposoby zapisu obcego słowa, które zaczynało się głoską w rodzaju „ż”. Niektórzy hellenistyczni zbieracze starożytności przyjmowali, że *iambýkē* różniła się od *sambýkē*, i przypuszczali, że miała akompaniować

Widzimy, że często również muzy pomagały Aresowi.

Ibykos, poza tym, że był poetą historycznym i lirycznym, ze szczególnym upodobaniem do meliki chóralnej, był także doskonałym muzykiem.

Napisał ponad sześćdziesiąt utworów. Lecz podzieliły one los dzieł wszystkich wielkich greckich twórców: zagubiły się. Z dziewięćdziesięciu tragedii przypisywanych Ajschylosowi pozostało... siedem. Ze stu dwudziestu tragedii Sofoklesa podobnie – przetrwało siedem. Z siedemdziesięciu dzieł Eurypidesa znamy osiemnaście. Z czterdziestu komedii Arystofanesa – tylko dziesięć. Z siedemnastu tomów Pindara w całości znamy cztery (czterdzieści cztery ody na cześć zwycięzców igrzysk)⁵². Ibykos nie miał nawet tego drobnego szczęścia. Z tak wielu literackich dokonań pozostały tylko okruchy fragmentów, które następnie tłumacze posklejali, jak im się podobało.

Lecz również pośród tych okruchów dostrzec można klejnoty: eleganckie metafory i filozoficzne myśli.

Dzisiaj, zblazowani wskutek najdziwniejszych tras wytyczonych w ogrodzie Euterpe, możemy z przyjemnością przeczytać jeden z trudem odnalezionych fragmentów:

śpiewaniu jambów (*iamboi*), ale u Eupolisa jej konotacje są takie same, jak później *sambýkē*, i nie mają nic wspólnego z jambami. Instrument miał krótkie struny i wysoki rejestr. Mamy pojęcie o jego wyglądzie, ponieważ pewien rodzaj rzymskiej maszyny oblężniczej miał podobny kształt i był tak samo nazywany. Machina służyła do wdzierania się na mury tam, gdzie był dostęp z wody. Na rufach dwóch związanych okrętów montowano szeroką, osłoniętą drabinę, pochyloną do przodu, i podnoszono ją do właściwej pozycji linami, które przechodziły przez bloki wysoko na masztach, a ciągnięto je z tylnego pokładu. »A słusznie ta machina otrzymała swą nazwę, kiedy bowiem drabina podniesie się do góry, to okręt i drabina razem tworzą figurę podobną do sambyki« [cytat z *Dziejów* Polibiusza – przyp. Redaktorzy]. W takim razie *sambýkē* miała rezonator mniej więcej w kształcie łodzi i ramię, które wznosiło się z jego jednego końca pod kątem zbliżonym do pionu. Jej struny – niezależnie od tego czy liny okrętowe powiększały podobieństwo – musiały przebiegać skośnie od ramienia do czołowej płyty rezonatora” (ibidem, s. 90).

52 Do katalogu sporządzonego przez Alberti trzeba wprowadzić pewne korekty i uściślenia. Spuścizna artystyczna Ajschylosa obejmowała rzeczywiście mniej więcej 90 utworów – z tym, że było to około 70 tragedii i 20 dramatów satyrowych. Na imponujący dorobek Sofoklesa składały się – jeśli zaufamy autorytetowi tradycji – dokładnie 123 tragedie, a do naszych czasów zachowało się dodatkowo około 400 wersów dramatu satyrowego *Tropiciele*, odkrytego w Egipcie w 1907 roku. Eurypides dla odmiany napisał nie 70 a 90 utworów, z czego przetrwało do naszych czasów rzeczywiście 18 dzieł oryginalnych (17 tragedii i jeden dramat satyrowy). I wreszcie – z 44 utworów Arystofanesa zachowało się do dziś: 11. Por. W. Steffen, T. Batóg: *Ajschylos. Twórca tragedii greckiej*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa–Poznań 2000; A. Lesky: *Tragedia grecka*. Przeł. M. Weiner. Wydawnictwo Homini, Kraków 2006; J. de Romilly: *Tragedia grecka*. Przeł. I. Sławińska. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1994. O. Śmiechowicz: *Arystofanes*. Wydawnictwo Naukowe Sub Lupa, Warszawa 2015.

„...który płonął jak późną nocą migoczące gwiazdy...”

„Przez długi czas siedział niemy, z otępienia wykutego z lodu...”

Legenda głosi, że pewnego razu na hipodromie, gdy każdy prezentował swoje konie, wybrane spośród tysięcy, ów pojawił się, prowadząc starą szkapę. Wielu wybuchło śmiechem, lecz niektórzy pojęli głębszy filozoficzny sens.

Przypomina mi to inną scenę, w której Oscar Wilde, „King of Life”, w aksamitnym berecie, stojąc w otwartym powozie, przemierzał najbardziej uczęszczane ulice Londynu, w godzinie eleganckich przejażdżek, z ironicznym uśmiechem na twarzy, dzierżąc w wyciągniętym ręku długą białą lilię, zabarwioną na czarno.

Tłum nie zrozumiał, lecz znalazło się małe grono ludzi, którzy odczytali aluzję. Taka grupa osób znajdzie się zawsze, tak za czasów Ibykosa, jak w epoce Oscara Wilde’a. Swoją starą szkapą Ibykos przypominał rozpalonym tłumom pragnącym zwycięstwa, że każdy koń wieńczy swe życie tak jak ta chabeta, która już nie pobiegnie – nawet w obliczu najponętniejszej z pokus. Oscar Wilde po mistrzowsku zawarł w białej lili pomalowanej na czarno symbol hipokryzji epoki wiktoriańskiej.

Być może koń Ibykosa należy tylko do legendy, a czarna lilia Oscara Wilde’a to anegdota, lecz wyobrażone wydarzenia często okazują się bardziej atrakcyjne od prawdziwych. Nawet jeśli pojawienie się Ibykosa na hipodromie z wynędzniałą szkapą było legendą, pozostał w rzeczywistości fragment jego filozoficznego utworu, który pod tytułem *Koń Ibykosa* dotarł do naszych współczesnych uszu:

Znów tęskne spod ciemnych powiek

Rzuca mi Eros spojrzenia,

Tysiącem czarów zapędma mnie w sieci

Kiprydy niezmierzone.

A ja drzę, gdy on nadchodzi,

Tak jak rumak, co – niegdyś zwycięski –

Na starość niechętnie przy prędkim rydwanie

Staje, by ruszyć w zawody.⁵³

53 Współcześni tłumacze nie opatrują cytowanego przez Alberti bloku lirycznego tytułem: *Koń Ibykosa*. W przywołanej edycji także funkcjonuje proste oznaczenie numeryczne, porządkujące tekstowe drobiny, pozostałe po liryku z Rhégion: *Fragment 6*. Autorem wykorzystanego tłumaczenia jest Jerzy Danielewicz. Por. *Liryka starożytnej Grecji*. Oprac. J. Danielewicz. Przekł. W. Appel [et al.]. Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1987, s. 91–92.

Niejednokrotnie nad pamięcią o śmierci wielkich greckich poetów czuwały legendarne gołębie, które w swych dziobach niosły ją ku kolejnym epokom.

Podobnie nad śmiercią Ibykosa⁵⁴ czuwały tym razem żurawie. Nie miały wprawdzie siły, by go obronić, gdy został napadnięty przez rozbójników i zabity, lecz przyjęły na siebie zadanie pomszczenia jego śmierci, w dość osobliwy sposób.

Kiedy złodzieje mordowali Ibykosa, ten, na widok przelatujących żurawi, jedynych żywych istot w zasięgu wzroku, zwrócił się do nich donośnym głosem:

– Wy, którzy jesteście świadkami mojej niesprawiedliwej śmierci, pomścicie mnie!

Kiedy po jakimś czasie mordercy znaleźli się na zatłoczonym rynku, zauważyli przelatujące żurawie. Jeden z rozbójników zaśmiał się i oznajmił pozostałym:

– Oto żurawie Ibykosa.

Gdy tylko usłyszano to zdanie, zawiadomiono czym prędzej sędziów poszukujących zaginionego poetę. I tak, ujęto zbójów, ci zaś – przyciśnięci – przyznali się do winy i zapłacili za nią cenę. Ptaki pomściły wielkiego twórcę.

Stąd też powiedzenie „żurawie Ibykosa”, odwołujące się do szczegółów każdego procesu poszlakowego.

Wieczorem, kiedy walizki są już na miejscu, wychodzimy na balkon i w bardzo bliskiej odległości widzimy Cieśninę Mesyńską. Raz jeszcze przypominamy sobie o koniu Ibykosa, który nie zdołał dotrzeć do szczytu Via Palamolla.

• • • • •

54 Ibykos najlepszą część swego życia spędził na wyspie Samos, na dworze Polikratesa, około 540 roku p.n.e. *Księga Suda* błędnie umieszcza go dwadzieścia lat wcześniej, w czasach Krezusa i ojca Polikratesa. Nie zachowały się szczegółowe relacje o jego życiu – poza przywoływaną historią, dotyczącą okoliczności jego śmierci. Wedle przekazów, gdy podróżował przez ustronne miejsca w pobliżu Koryntu, miał zostać zaatakowany przez rabusiów i śmiertelnie ranny. Ale zanim umarł, wezwał stado żurawi, które przelatywały nad nim, aby pomściły jego śmierć. Wkrótce potem, gdy w pobliskim teatrze miejskim zebraли się mieszkańcy Koryntu, pojawiły się żurawie i gdy zawisły nad głowami widzów, jeden z obecnych tam morderców mimowolnie zawołał: „Oto mściciele Ibykosa”. I w ten „poszlakowy” sposób wykryto sprawców zbrodni. Jego poezja zawierała głównie wątki erotyczne i w dużej mierze odzwierciedlała porywczosć jego charakteru. Inne wiersze poety nosiły ślady inspiracji mitologicznych. W utworach, podejmujących tematykę heroiczną, zbliżał się do obrazowania Stezychora, swojego bezpośredniego poprzednika. W sposobie artykulacji poezji Ibykosa, odbija się mieszanka wpływów języka doryckiego i eolskiego. *Liber Suda* wspomina o siedmiu księgach jego wierszy lirycznych, z których obecnie zachowało się jedynie kilka fragmentów. Za: *A Dictionary of Greek and Roman biography and mythology*. <http://www.perseus.tufts.edu/hopper/text?doc=Perseus%3Atext%3A1999.04.0104%3Aentry%3Dibycus-bio-1> [dostęp: 8.12.2024].

A jeśli my, dumni, policzymy życie ludzkie na godziny, nie na lata, mamy jeszcze wystarczająco dużo czasu, by powtórzyć za Ibykosem:

*Jak stary rumak pod jarzmem, przyzwyczajony do wygrywania
Siłą zjeżdża szybkim rydwanem z hipodromu*

Przyjdzie ten moment dla nas wszystkich; nieprawdaż, o, chwalebny kochanku żyjący w VI wieku p.n.e.?

GRECKA LEKTURA W REGGIO

Reggio, miasto, które zaczęło swoją karierę z Apollem i laurem poetyckim, szybko zwróciło się w stronę Merkurego i Marsa. Bardziej realistycznych bogów. Drugi etap tej historii jest równie interesujący, jak mitologiczne arrasy.

Nie zapominajmy, że Cieśnina Mesyńska odgrywała w tamtej epoce rolę, która dzisiaj zarezerwowana jest dla Kanału Sueskiego. Była najkrótszą drogą łączącą dwa światy: stary Wschód i nowe zachodnie kolonie. Ten, kto tu zarządzał, bogacił się i zyskiwał władzę.

Reggio bardzo szybko się rozwinęło. Jego obszar rozciągał się od brzegu Morza Jońskiego – od Locri, które czasem jest przyjazne, innym razem wrogie, do wybrzeży Morza Tyrreńskiego – do Medmy i Hipponionu.

Znaleźć tu można świątynie i teatry, fora i nekropolie. Poza świątyniami Apolla i Diany, ufundowanymi przez Orestesa, napotkamy wiele innych: Wenery, Zeusa, Kastora i Polluksa, Hermesa. Esencja greckiej kultury płynie żyłami tego miasta, a wyjątkowe piękno krajobrazu wynosi na wyżyny wyobraźnię i wzmacnia geniusz tutejszych artystów.

Miasto ma swych słynnych rzeźbiarzy, jak Klearchos⁵⁵, Antrodomos i Pitagoras (był również muzykiem, ceramikiem i sztukatorem), który uwiecznił najsłynniejszych sportowców, gdyż jego mocny skalpel w modelach pragnął przede wszystkim siły. Pliniusz opowiada o grupie Laokoona, doskonałym wyrazie ludzkiego cierpienia. Widzimy zatem, że w starożytnym Rhegion narodził się pierwszy pomysł na tego typu wielopostaciową kompozycję i stał się zapewne inspiracją dla grupy watykańskiej.

55 Klearchos żył w VI wieku p.n.e. – był greckim rzeźbiarzem pochodzącym z Rhegium. Twórcą najstarszego zachowanego posągu Zeusa Hypatosa w Sparcie (wykonanego w brązie), co skrupulatnie odnotowuje Pauzaniusz.

Ośrodek ma swych filozofów, jak Glaukos, Arystokrates, Kleonimos. Działają tu także zbiegli pitagorejczycy, dla których Reggio otworzyło swe wrota po ich wygnaniu z Krotonu. Ma swych muzyków, jak Ippio i Theaitetos, a przede wszystkim Aryston, który miał odwagę rzucić wyzwanie najsłynniejszemu cytrzyście epoki, Eunomosowi, i byłby nawet wygrał, gdyby nie wsparcie muzycznego pomocnika – cykady, która natychmiast zajęła miejsce pękniętej struny instrumentu Eunomosa i przechyliła szalę na korzyść Lokryjczyka, o czym nas zapewnia legenda. (Być może cykady zemściły się za to, że nie mogły wybrzmieć na terytorium Reggio i posłały swą reprezentantkę, która pomogła pobić uzdolnionego mieszkańca tego miasta.)

Locri ma swą Nossis, poetkę, lecz Reggio ma swą filozofkę, słynną Vitalię, kuzynkę pitagorejki Teano. Ma swych znamienitych mieszkańców, patriotów, wodzów, i chwali się tradycyjną odwagą. Nie obawia się przeciwstawić nawet tyranowi, choć może się to wiązać z groźbą zniszczenia. Historia przekazała nam w tym miejscu kilka autentycznych opowieści.

Kiedy Dionizjos Starszy, tyran Syrakuz, jeden ze słynnych politycznych filarów, na których przez chwilę opierała się historia w tym zakątku ziemi, zażądał za żonę panny z Reggio ze szlacheckiego rodu, miasto ironicznie odpowiedziało, że tyran, który depcze wolność, nie znajdzie wybranki z Reggio. Co najwyżej można mu zaproponować za żonę córkę... kata!

Ta symboliczna propozycja połączenia słynnego tyrana z krwią kata miała pewne filozoficzne znaczenie. Dionizjos nigdy nie wybaczył miastu. Locri było o wiele bardziej dyplomatyczne, a na pewno bało się tyrana, gdyż od razu zaofiarowało mu swoją śliczną Doris. Locri zaczęło pławić się w słońcu łaski, podczas gdy pioruny, zwiastuny huraganu, zaczęły spadać na Reggio.

Miasto miało odwagę nie tylko odmówić władcy, lecz także ponieść tego konsekwencje. Broniło się jak dziki ogier, któremu na stepie nałożono uzdę. Jedenaście miesięcy trwało oblężenie, pełne bohaterskich epizodów. W końcu głód zmusił mieszkańców do poddania się. Niektórzy historycy twierdzą, że Dionizjos, po wkroczeniu do miasta, znalazł tam więcej szkieletów niż żywych ludzi. Dokonano potwornej rzezi. Kwitnące miasto zostało zniszczone, a ocaleni – wywiezieni i sprzedani na rynku jako niewolnicy. Ruiny podpalone. Nie ma bowiem nic gorszego niż tak zwany „tyran” (nie ma znaczenia, jak oficjalnie się nazywa) mszczący się za osobistą obrazę. Historia odnotowuje całą listę takich faktów.

Wiele wieków po Dionizjosie niemal identyczne wydarzenie powtórzyło się, gdy Napoleon chciał poślubić córkę cara, młodszą Katarzynę, siostrę Aleksandra. Jej matka, Elżbieta, wzór przebiegłości, oczywiście nie odmówiła

w sposób podobny do tego, jaki zastosowano w Reggio, lecz działając w białych rękawiczkach – użyła dyplomatycznego fortelu. Korespondencja w tej sprawie trwała miesiącami, bardzo zawiła, lecz równie interesująca. Raz Katarzyna jest za młoda, innym razem jest chora i nie może spotkać się z Napoleonem, by go poznać, za trzecim razem matka nie ukrywa, że „Katarzyna ma nieznosny charakter i cesarz nie będzie z nią szczęśliwy”. Paryż już po cichu plotkuje. Po każdym przybyciu posłańca z Rosji półśmiechy, szemrania witają Napoleona w przedsionku. Całe miasto, cała Francja, cały świat wie już, że „korsykański tyran” nie jest godny córki cara. W końcu, zirytowany do granic amant ostatni raz pyta krótko „Tak czy nie?”. A caryca odpowiada jeszcze krócej: „Nie!”.

Napoleon oczywiście i tak miał w swoich planach politycznych podbój Rosji, tak jak Dionizjos – zajęcie Reggio. Wyłącznym powodem tej wojny z pewnością nie była kobieta, lecz to ona stała się ostatnią kroplą, która przelała czarę goryczy. Tylko że jednemu los pozwolił dopełnić zemsty i ukarać wrogów; drugiemu – nie chciał dać takiej satysfakcji.

Dionizjos II młodszy, syn „Alastora, geniusza zła”, jak nazwał go historyk Timajos, i lokryjskiej Doris, chciał odbudować Reggio, dokąd przeprowadził się z Syrakuz i nazwał miasto „Febea”, stolica Słońca. Wzniósł tu wspaniały pałac i otoczył go drzewami, jakich Europa do tego czasu nie знаła: platanami.

Rozmaita była historia Reggio. Począwszy od znakomitego i mądrego tyrana Anaksylaosa, który położył podwaliny pod rozwój wspaniałego miasta, a skończywszy na jego spontanicznym sojuszu z Rzymem. Lecz zawsze, w czasach pomyślności lub w nieszczęściu, w rozkwicie lub ruinie, dyktując prawa lub poddając się woli agresora, Reggio było miastem wielkim i heroicznym.

Tutaj było miejsce, pod niebem Wielkiej Grecji, gdzie gwiazdy świeciły długo i jasno, a teraz, kiedy w sierpniowy wieczór spadają one gromadami do morza, w ich olśniewającym świetle mogą odczytać dawną architekturę i numizmatyczne inskrypcje, kodeksy i wiersze, prawa handlowe i filozofię, mitologię i historię.

I zapewniam Cię, mój Przyjacielu, że nie nudzę się przy tej starej greckiej lekturze.

AMERYKAŃSKIE ORZESZKI NA WYBRZEŻU REGGIO

*Comm. Giuseppe Romeo, Burmistrzowi Reggio*⁵⁶

Gwiazdy Wielkiej Grecji przestały świecić. Zniszczyły je wybujałe partykularystyczne ambicje. Brak umiejętności jednoczenia, jaką miał Rzym, ów brak, który przez wieki był dla Grecji tragedią, niefortunnie odziedziczyła Wielka Grecja, niepotrafiąca zagwarantować utrzymania wspólnoty. Gdyby znalazła ona jakiegoś genialnego wodza, zdolnego ją zjednoczyć, z pewnością historia Półwyspu Apenińskiego potoczyłaby się inaczej.

Mniej więcej to samo można powiedzieć o współczesnej Europie i jej nacjonalizmach. Pożerają się one nawzajem, tak jak kiedyś Locri i Crotone, Crotone i Sibari, Reggio i Locri... Ten sam proces rozpadu, tylko na większą skalę. Jesteśmy jeszcze zbyt niemądrzy i leniwi, by zrozumieć coś z lekcji, które nam dała historia.

Po wielu ogromnych i słynnych miastach Wielkiej Grecji nie pozostały nawet ruiny. Ich imiona zmieniały się tysiącrotnie. Tylko Reggio i Crotone pozostały przez wieki wierne swym nazwom. Kolebka innych miast zdryfowała na obcy grunt, została zalana przez rzeki; ale Reggio – od czasów legendarnego Ascheneza lub Jokasta aż do Garibaldiego i współczesnej Republiki – pozostało w tym samym klasycznym miejscu. W momencie tragedii z 1908 roku, która naprawdę mogła odebrać wszelki entuzjazm i chęć powrotu na miejsce potwornego zniszczenia, mieszkańcy dokładnie w tej samej lokalizacji rozpoczęli wspaniałe dzieło odbudowy. Zupełnie jakby nie chcieli opuścić tego bystrego strumienia, jakim bez wytchnienia płynęła tu historia. Jakby piękno krajobrazu, wyśmienite położenie, przyjazny klimat, tradycje handlowe i trzy tysiące lat kultury były silniejsze od jakiegokolwiek tragedii czy katastrofy.

I oto mamy przed sobą nowe Reggio. W swoim biurku dumnie przechowuje je suche wieńce z róż i laurów, którymi ozdobiło swoje greckie czoło; trzyma

56 Giuseppe Romeo (ur. 26 października 1904 roku w Reggio Calabria, zm. 15 kwietnia 1979 roku, tamże) był włoskim politykiem, burmistrzem Reggio di Calabria. W latach 1948–1949 stanął w obliczu pierwszego starcia o miano stolicy regionu, rywalizując z miastem Catanzaro. W kolejnych latach toczyły się rozmaite zmagania o lokalizację dyrekcji regionalnych urzędów państwowych, a przede wszystkim o umiejscowienie Sądu Apelacyjnego. Pomimo problemów budżetowych ograniczających działania administracyjne, Giuseppe Romeo zdołał zapewnić mieszkańcom miasta stabilność: zmierzył się z problemem zaopatrzenia w wodę, zrewitalizował centrum miasta, wzmocnił transport publiczny. Przyspieszył budowę szkół, mimo że liczba nowych uczniów rosła wykładniczo. Dlatego Romeo musiał stawić czoła sytuacjom kryzysowym, które doprowadziły do zaniedbania „planu generalnego” ze szkodą dla uporządkowanego rozwoju miasta zgodnie z precyzyjnym planem urbanistycznym. Por. <https://www.ilreggino.it/cultura/2023/03/13/reggio-lanassilaos-riscopre-la-figura-del-sindaco-giuseppe-romeo/> [dostęp: 10.06.2025].

artystyczne monety, dokumenty swoich buntów i podbojów; listy od swoich kochanków i wrogów. Któż z nas nie uwielbia zakradać się do czyjegoś biurka, wyciągać z niego różne cuda i oglądać je dokładnie w świetle? Reggio ma w swojej skrzyni rzymskie patenty, normańskie dekrety, nominacje andegaweńskie i aragońskie, listy i pieczęcie Karola V, korespondencję Garibaldiego.

Współczesne Reggio, choć po historycznych tragediach i kataklizmach przyrody nie zdołało zachować żadnych zabytków, z wyjątkiem majestatycznego zamku, jest ciekawym miastem – jednym z najbardziej fascynujących i tętniących życiem w południowych Włoszech. Ma swój wyjątkowy charakter, coś pomiędzy metropolią a eleganckim uzdrowiskiem.

Kiedy w chłodniejsze dni spacerujemy po Corso, czujemy smak miasta. Bogate i eleganckie pawilony, bary niemal obok siebie, aromat espresso, kioski z gazetami, kina, plakaty, neony, samochody, autobusy, motocykle. Miasto.

Lecz kiedy w upalne dni opuszczamy Corso i wychodzimy na nadmorską promenadę, czeka nas niespodzianka. Czy to jest miasto? Ależ nie! Wokół nas unosi się fascynujący zapach modnego uzdrowiska. To jakaś „Promenade des Anglais” lub „Croisette” – jej mniejsze, ale mimo to, a może właśnie dlatego, bardziej sugestywne wydanie. I tutaj zmienia się charakter Reggio.

Stoliki kawiarniane falami zalewają promenadę. Muzyka nabiera tu lżejszego, bardziej sentymentalnego charakteru. Na małej scenie amerykańska piosenka uwodzi i brata się z drugą, neapolitańską, która przybyła tu z Posillipo i Via Partenope. Ludzie również zapełniają szeroki asfalt, zawładnęli promenadą w sposób zupełny, tak że nie przepuszczają tu nawet zmotoryzowanych. Nikt nie wygląda na „statecznego obywatela”; wszyscy są na promenadzie dobrze i gustownie ubrani, do tego stopnia, że możemy nawet zaryzykować stwierdzenie o oryginalnej elegancji Reggio. Każdy wygląda na beztroskiego klienta, który przyjechał tu na sezon kąpielowy. Nikt się nie spieszy. Wszyscy chodzą powoli, śmieją się, głośno rozmawiają, wołają do siebie, nuca, i gdyby nie język włoski i ten ogromny tłum dzieci, można by pomyśleć, że w Reggio przebywają tylko obcokrajowcy.

Promenada przypomina długą wstęgę, która oplata Reggio od strony morza. Jest ona utkana z sześciu pasów. Pierwszy tworzą eleganckie, niskie budynki – jednopiętrowe, ze względu na niestabilność gruntu. Ta ograniczona wysokość, podyktowana potrzebą przewidywania katastrof i trzęsień ziemi, nadaje budynkom wygląd willi: marzenie współczesnego urbanizmu, który chce uciec od industrializacji. Dużo zieleni wylewającej się z okien, z balkonów, z tarasów, kwiaty, wazon, podcienia.

Poniżej tego pierwszego pasa, tuż przy jego granicy, ścieżka muzycznych rytmów i pieśni z akompaniamentem ludzkich kroków, chodnikiem i ulicą.

Natychmiast potem trzeci pas. Znajduje się w centrum promenady, cały w kolorze zielonym, od najjaśniejszego do najciemniejszego. Kwietniki.

Tak wspaniale rozwinięte figowce i magnolie niełatwo znaleźć. Palmy i sosny, oleandry i hibiskusy, egzotyczne dla mieszkańca północy, o kwiatach zmysłowych w kształcie i kolorze. Tam, poniżej, mocne pnie drzew są otoczone kwitającymi roślinami i kwiatami. Jest coś zmysłowego, bogatego, niemal erotycznego w tej mieszance różnych gatunków drzew i kwiatów. W dwóch miejscach pas ten nagle zanika: tam, gdzie znajdują się pozostałości jakiegoś starożytnego fundamentu. Kilka garści kości – ślad po wspaniałej architekturze Reggio – którym drzewa dają cień. Cały ten obszar jest czasami poprzecinany wijącymi się ścieżkami lub nagle ustępuje miejsca prześwitom, w których mkną ku górze pomniki, na złotych skrzydłach Zwycięstwa, jak na przykład dzieło Jerace, pełne wzlotów i powiedziałabym, że prawie eksplozji⁵⁷.

Czwarty pas jest szeroką ulicą, ograniczoną po bokach chodnikami, z rzędami ławek. Ów teren ma swój lokalny koloryt: orzeszki.

Jest coś charakterystycznego w dziesiątkach wózków, które uginają się pod ciężarem tych egzotycznych delicji. Co kilka kroków jeden wózek, otoczony chmurą kuszących propozycji, układających się niemal w melodyjny śpiew:

„Orzeszki! Dobrze wyprażone! Orzeszki! Dobrze wyprażone!...”

Związła to reklama, ozdobiona tylko dwoma określeniami. Lecz jednocześnie jakże atrakcyjna! I powiedz, istnieje jakiś szanujący się mieszkaniec Reggio, który przeszedłby obojętnie obok tych wózków? Na promenadzie każdy ma zatem taki sam smak w ustach: ten starszy pan, taszczący przed sobą ostentacyjnie swój brzuch *à la* Budda, z uwagą pilnując, by nie pękł; czternastoletnia gąska szukająca w tłumie swojego studenta; poważna mamusia, prowadząca swoją tróję, w oczekiwaniu na czwarte; nonszalancki bezrobotny, który marzy, by zostać sekretarzem u boku nieźle sytuowanej starszej pani! Każdy, kto tu przechodzi, kupuje, łuska, przeżuwa, smakuje „orzeszki dobrze wyprażone”. A gdy przebiegły młodzieniec, właściciel wózka i wagi (na widok której Sprawiedliwość

57 Pomnik Poległych Wielkiej Wojny w San Ferdinando (Reggio Calabria, Włochy) składa się z rzeźby wykonanej ze stopu miedzi, w latach 20. XX wieku przez Francesca Jerace (1853–1937), poświęconej pamięci podporucznika Vito Nunziante i poległych żołnierzy – uczestników Wielkiej Wojny. Pomnik stoi na wybrzeżu Falcomatà w Reggio Calabria. Został odsłonięty w maju 1930 roku w obecności króla Wiktora Emanuela III. Składa się z kolumny rostralnej, na szczycie której znajduje się posąg z brązu, wyposażony w skrzydła zwycięstwa i trzymający miecz w prawej ręce. U jego podstawy dwie postaci z brązu przedstawiają: starożytnego „wojownika Bruttiusa”, trzymającego w ramionach tarczę, oraz piechura wyposażonego w karabin i granat ręczny. Jest to dokładna replika uzbrojenia żołnierza piechoty. <https://www.treccani.it/enciclopedia/francesco-jerace/> [dostęp: 6.12.2024].

z oddali przymyka oko), z szybkością iluzjonisty tymże narzędziem odmierza ci półtora deka zamiast dwóch, ty również przymykasz oko, z godnością bojkotując precyzję przyrządów mierniczych. Tak jak właściciel, który dał ci przykład.

W Granadzie, Sewilli, Kordobie na promenadzie jadłam „patatas” smażone w oleju na oczach przechodniów. Pokrojone cienko jak bibuła, złote, różowawe, tłuste, słone kąski. Cała miseczka za „una perra corda”, czyli dziesięć centavos. Na hiszpańskiej promenadzie wszyscy czuli ten sam smak „patatas”. Począwszy od ministra, który wysiadł z samochodu, by kupić wielkie opakowanie, aż po tragarza, który posilał się smakowitym kąskiem, niosąc walizki. Każdy kraj ma swój typowy smak. W Konstantynopolu polubiłam „yoghurt”, sprzedawany w ogromnych kubkach, gęsty jak ser, krojony nożem. Pozwalał mi zawsze na wizytę w raju Allaha, gdzie alkohol zastępuje się mlekiem. Na wiedeńskim Praterze „Wienerwürstli” z musztardą zapewnił smak, który otworzył mi drzwi do poznania austriackiej mentalności.

W Reggio od razu się zorientowałam. Aby dobrze poznać czar promenady, trzeba tak jak inni mieszkańcy zjeść „orzeszki dobrze wyprażone”. Nie myśl, że ten komunizm smaku nie ma swoich konsekwencji. Jak każdy komunizm, również ten „orzeszkowy” tworzy niebezpieczne nacjonalizmy lub regionalizmy, albo raczej reggionalizmy, które wpłynęły również na moją międzynarodową psychę. I tak, ilekroć pojechałam do Mesyny i przechadzałam się tamtejszą promenadą, czegoś mi straszliwie brakowało. Od razu zrozumiałam czego: orzeszków!

Pewnego razu, na święto Matki Boskiej, 15 sierpnia, pojawiły się owe orzeszki! Kilka wózków. Po pięćdziesiąt lirów za deka! Wykrzywiłam z ironią usta.

– U nas, w Reggio, dwadzieścia lirów za deka i to każdego dnia, nie tylko w święto Matki Boskiej! A porcje tak duże, że nigdzie indziej takich nie ma, a nie takie mikroskopijne!

Byłam już prawdziwą mieszkanką Reggio, dumną z moich orzeszków na promenadzie. Oto jakże niebezpieczny „reggionalizm” stworzył we mnie ten komunistyczny smak.

Natychmiast po powrocie do Reggio, wieczorem, zanurzam się z nostalgią w zapachu orzeszków i rozkazuję:

– Trzy deka! Ale dobrze wyprażone!

Lecz sprzedawca jest pewien swych beniaminków i z godnością zapewnia:

– Tak, proszę pani. Dobrze wyprażone!

Zaraz poniżej tego traktu, pełnego ludzi i łupin po orzeszkach, rozpoczyna się piąty pas: tory pociągu łączącego Reggio z resztą świata. Wpadają one później w objęcia jednej z najpiękniejszych stacji, jakie widziałam w Europie. Możemy dostrzec, jak wspaniale został tu zrealizowany styl modernistyczny. Stacja

kolejowa w Reggio robi imponujące wrażenie: bogato i racjonalnie oświetlona, przestronna, godna wielkiej stolicy. Nawet jej groźna i piękna mesyńska rywalka nie potrafi jej osłabić.

Poniżej torów szósty pas: plaża i lido, którego mogą pozazdrościć Reggio najsłynniejsze nadmorskie kurorty nie tylko we Włoszech, ale i w Europie. Lido i plaża w Reggio są jeszcze dziewicze, nieodkryte przez masy turystów. Wyobrażam sobie jednak, co mogłoby się stać, gdyby tylko jakaś sprytna dłoń przeniosła punkt załadunkowy w cieśninie dziewięć kilometrów dalej.

Plaża w Reggio jest wyposażona nie tylko nowocześnie – jest tu teatr na otwartym powietrzu, tenis, trampolina, dancing, restauracja, park rozrywki itd. – lecz także poetycko. Aleje kwitnących oleandrów między kabinami, białe, różowe, czerwone kwiaty, przez które widać wiecznie poruszające się fale cieśniny, fioletowy odcień wody, znany już Homerowi, który celebduje to „fioletowe morze”; co nie jest mitem, ale rzeczywistością, która przychodzi na myśl w dni silnych wiatrów. Krajobraz Gór Pelorytańskich na drugim brzegu z Mesyną, białą i niemal afrykańską w swoim profilu; Etna zanurzona w chmurach: wszystko to tworzy miejsce wyjątkowo poetyczne, o charakterze świeżym, dalekim od przestarzałej i znormalizowanej scenerii typu Riwiery Francuskiej. Rotunda, cała ze szkła, jest tak lekka, że prawie nie czuć ciężaru jej bogatych marmurów. Wydaje się tak falista jak woda, po której sunie całą swoją istotą, dając przykład, jak należy się kąpać.

Wieczorem neon zamienia ją w jasno oświetloną feerię, oazę orzeźwienia po upalnym dniu, uroczy kiosk, w którym Reggio rozdaje darmowe przepisy na chwilę zapomnienia i ucieczki od powszedniości dnia.

Ja również otrzymałam ten pachnący jaśminem przepis. Co w nim było? Dowiesz się później.

Tylko kilka kroków dzieli rotundę od dancingu. Można tańczyć spokojnie, bo wieczór w Reggio jest zawsze chłodny, skropiony orzeźwiającą bryzą niczym perfumami. Tańczy się w objęciach róż i liści wspinających się po podpórkach, a jeśli jakiś poetycki płatek spadnie na włosy lub ramiona twojej damy, będziesz mógł go lekko usunąć... ustami. Jeśli nie, ten płatek będzie na nią patrzył do rana.

Po kilku tangach (już nie tak nowoczesnych, ale wciąż sugestywnych) można odpocząć na tarasie i ponownie odczytać swój przepis, tak jak ja deklamuję mój: „Opriż głowę na ramionach swojego towarzysza, a gwiazdy powiedzą Ci resztę”.

Przysięgam, że nie chcę nikogo namawiać do całowania się na tarasie rotundy. (Autorka jest wychowana w purytańskiej Polsce.) Ale jeśli będziesz miał szczęście i trafisz na moment, kiedy nikt nie będzie podglądał, to spróbuj! Zapewniam, że nie znajdziesz piękniejszego tła do twych pocałunków.

A jeśli masz w kieszeni jakieś orzeszki „dobrze wyprażone”, wrzuc je do morza, dla Neptuna. Jako podziękowanie – on też musi się wzmocnić.

MIĘDZY RZECZYWISTOŚCIĄ A FATAMORGANĄ

Reggio zbudowano na granicy między rzeczywistością a fatamorganą. Nie ma wielu takich miast na świecie. We Włoszech jest jedynym.

Zobaczmy, jak mieszają się tu rzeczywistość i fatamorgana. I jak wygląda pierwsza, a jak druga.

Na ruinach po katastrofie 1908 roku wyrosły początkowo drewniane baraki, pierwsze szpitale, pierwsze kaplice zaaranżowane byle jak, tak na szybko. A już dwadzieścia lat później mieściło się tu nowoczesne miasto, pełne powietrza i przestronne. Należy podziwiać cierpliwość i ciężką pracę, entuzjazm i miłość, z jaką mieszkańcy Reggio podnieśli się z ruin i zaczęli budować nowy dom. Siła i odporność kalabryjskiej rasy, zahartowanej przez huragany historii i katastrofalne skutki działania żywiołów, po raz kolejny doskonale zdała egzamin.

Dziś, spacerując ulicami i uliczkami Reggio, obserwując budynki, pełne smaku i nieprzeładowane stylistycznie, oraz nowe kościoły, widzimy już dojrzałe owoce kalabryjskiego charakteru. W Reggio, w jego nowoczesnym stylu, znajdują się budynki, które mogą nam się podobać lub nie: Katedra, Świątynia Zwycięstwa, kilka innych kościołów. Można dyskutować o niezwykłych wartościach lub błędach architektonicznych, ale każdy musi przyznać, że muzeum, zbudowane wśród gorączkowych polemik, jest z pewnością najpiękniejszym monumentalnym budynkiem w Reggio.

O architekcie Marcello Piacentinim, niezależnie od tego, jaką epokę polityczną reprezentuje, można powiedzieć, że pomimo rewolucyjnego modernizmu nie wyrzeka się klasycznej włoskiej tradycji, harmonii i estetyki.

Muzeum w Reggio to budynek, w którym architekt zdefiniował nowe prawa techniki strukturalnej, czystości formalnej i gry światła. Rezygnując z ciężaru stylistycznej ornamentyki, osiągnął jedność masy strukturalnej, syntetyczną siłę linii, zasadniczą logikę powierzchni. Ciepła złoto-żółta patyna trawertynu, sugestywna powaga niemal klasycznych form, interesujące medaliony, w których przedstawiono oryginalne rysunki najsztywniejszych monet Wielkiej Grecji, szara bazaltowa podstawa, dostojność centralnego portalu – wszystkie te elementy użyte zgodnie z prawami współczesnej techniki stworzyły jedno z najpiękniejszych muzeów we Włoszech. Dowodem tego piękna są gorące spory, krytyka i sprzeciw, wśród których wyrosło to dzieło. Gdyż o brzydkich rzeczach nie dyskutuje się wcale!

Wystarczy przypomnieć, że jego model, na Międzynarodowym Kongresie Muzeografii w Madrycie w 1934 roku, spotkał się z powszechnym entuzjazmem ze strony najbardziej uznanych ekspertów na świecie.

Niestety, nie widziałam zbiorów muzeum w całej okazałości (architekt zaplanował nawet zróżnicowane oświetlenie gablot w związku z potrzebą uzyskania maksymalnego efektu). Ręce wojny je zapakowały, a ręce pokoju jeszcze nie wyjęły ich ze skrzyń. Musimy życzyć Reggio, aby ta artystyczna uczta nadeszła jak najszybciej. Ale już to, co widziałam, daje obraz wyjątkowej kultury, która zagościła na tej ziemi. To logiczne, że kalabryjskie wykopaliska z dawnych epok powinny być zgromadzone w jednym ośrodku, a nie rozrzucone po małych miasteczkach i wioskach, do których dostęp może być utrudniony. Zrozumiałe jest, że takim ośrodkiem, ze względu na jego wielką rolę historyczną i artystyczną oraz położenie tak łatwo dostępne dla podróżnych, powinno być Reggio.

Muzeum powinno łączyć wszystkie bogactwa tych miast Wielkiej Grecji, które wyrosły już na kalabryjskiej ziemi. A jeśli współczesne czasy, które z konieczności będą zmuszone zrezygnować z drobnych regionalizmów, będą miały kiedyś szansę stworzyć centrum gromadzenia starożytności całej Wielkiej Grecji, a nie tylko tych z Kalabrii, to jasne jest, że można by stworzyć wspólny, kompletny obraz jednej z najstarszych kultur europejskich, działający jak silny magnes na każdego wykształconego turystę, któremu nowoczesne cztery tygodnie urlopu rocznie nie pozwalają na podróż przez małe miasteczka.

Wiemy jednakże z doświadczenia, że walki między dyrektorami muzeów o każdą statuetkę lub naczynie są bardziej krwawe od wojny trzydziestoletniej. W tym obszarze powinno zatem zadziałać rozważne rozporządzenie państwowe.

W muzeum w Reggio zgromadzono eksponaty z różnych epok, od czasów prehistorycznych do współczesności. Niemniej bezsprzecznie kultura Wielkiej Grecji jest tu „specjalnością domu”, która wzbudza największe zainteresowanie i największy podziw. Helleńska wiosna. Przejaw sztuki tak samo wyrafinowanej w pewnych dziedzinach (ceramika, monety), jak na Półwyspie Peloponeskim. Zbiory, jakich mogą pozazdrościć Reggio największe muzea świata⁵⁸.

58 Narodowe Muzeum Archeologiczne w Reggio Calabria zostało uznane za jedną z najbardziej prestiżowych archeologicznych instytucji muzealnych we Włoszech. Budynek, w którym się mieści, jest jednym z pierwszych w Italii zaprojektowanym wyłącznie na potrzeby ekspozycji muzealnych. Stworzony został przez Marcello Piacentiniego, jednego z największych architektów początku XX wieku, który zaprojektował go w sposób nowoczesny, po odwiedzeniu głównych muzeów Europy. Położony w samym sercu miasta obiekt jest ważnym elementem krajobrazu i życia mieszkańców Reggio. Z jednej strony wychodzi na centralny plac – Piazza De Nava, z drugiej na „I. Falcomatà”, ze wspólnym widokiem na cieśninę. W następstwie katastrofalnego trzęsienia ziemi w 1908 roku, które zniszczyło miasto, za namową archeologa z Trentino, Paolo

Fragmenty architektonicznych terakot, które zdobiły wcześniej frontony świątyń i były niemal tak trwałe jak metale, z refleksami barw, które przetrwały wieki, maski lwów, Sylenów, Gorgon, postaci kobiecych – wszystko to pochodzące z najstojniejszych świątyń: Hery Lacinii, Apolla Licejskiego w Metaponcie, Apolla Alejskiego w Cirò, z Hipponionu, Medmy, Reggio, Gioia Tauro. Możemy zobaczyć jedyny w swoim rodzaju słynny wizerunek nagiego efeba na koniu, podtrzymywanego przez sfinksa. Powstały w V wieku p.n.e. Będący prototypem słynnych Dioskurów lokryjskich.

Rzeźba, która w Wielkiej Grecji, prawdopodobnie z powodu braku dobrego marmuru, tworzona jest głównie z brązu, a reprezentowana przez kilka wspaniałych arcydzieł, takich jak głowa Apolla autorstwa Pitagorasa, pochodząca ze Świątyni Apolla Alejskiego w Cirò, popiersie ze Scalea, przypominające jakąś boginię, autorstwa Pasitelesa. Marmurowe reliefy i setki plastycznych terakot, figurki gliniane wydobyte w Medmie i w ofiarnym dole Persefonejonu w Locri. Tylko z tych dwóch miejsc ziemia ofiarowała już eksponaty do prawdziwego muzeum ceramiki.

Tysiące kształtów: ludzkie głowy, zwierzęta, ptaki. Oprócz figurek także gliniane tabliczki, „pinakes”, które, wydobyte na światło dzienne dzięki geniuszowi Paolo Orsiego, wzbudziły podziw nie tylko w świecie archeologów i miłośników sztuki, ale również u każdego laika, który miał przyjemność je zobaczyć. Z pewnością o pinakes można by napisać całą książkę, która nie byłaby mniej interesująca niż przygody Sherlocka Holmesa, ponieważ już samo ich odkrycie nie było codziennym, zwykłym zdarzeniem. Znaleźć się nagle w innym świecie, wśród ludzkich postaci z V lub VI wieku p.n.e., widzieć ich modę, stroje, fryzury, poznawać ich religię, rytuały, sposób życia – to już dość oryginalna przygoda.

Orsiego – zrodził się pomysł utworzenia w Reggio Calabria dużego, stałego Muzeum Narodowego poświęconego Wielkiej Grecji. Projekt nabrał konkretnego kształtu w 1954 roku, wraz z połączeniem zbiorów prywatnych ze zbiorami państwowymi. Główny „rdzeń zasobów” składał się z materiałów pochodzących z licznych i niezwykłych kampanii wykopaliskowych prowadzonych przez specjalistów i samego Orsiego na głównych stanowiskach archeologicznych w regionie. Nowa ekspozycja stała, która nabrała kształtu w wyniku przebudowy obiektu prowadzonej od 2009 roku, mieści się w 220 gablotach i jest rozłożona na czterech poziomach, które przedstawiają historię osadnictwa w Kalabrii od prehistorii do romanizacji, według kryterium chronologicznego i tematycznego. Zwiedzanie rozpoczyna się na drugim piętrze (poziom A – *Prehistoria i protohistoria; Epoka metalu*), kontynuować można je na pierwszym piętrze (poziom B – *Miasta i sanktuaria Wielkiej Grecji*), a także na antresoli (poziom C – *Nekropolia i życie codzienne Wielkiej Grecji: Sibari, Crotona, Hipponion, Kaulonia, Cirò i Laos; Lucani i Brettii*). Trasa kończy się na parterze (poziom D – *Reggio*), gdzie znajduje się, chyba najważniejsza ekspozycja, sala Riace Bronzes i Porticello. Piwnica (poziom E) przeznaczona jest na wystawy czasowe; znajduje się tu także lapidarium i niewielki obszar archeologiczny dotyczący części nekropolii odkrytej w 1932 roku podczas wykopów pod fundamenty budowli. Za: <https://www.museoarcheologicoreggiocalabria.it> [dostęp: 7.12.2024].

Lecz autorka pisze książkę o całej Kalabрії i niestety o pewnych rzeczach, nawet niezwykłych, może jedynie powiedzieć: „Zobaczcie je sami!”. I już musi uciekać z muzeum, ponieważ konstrukcja tej książki, w której pozwoliła już sobie na różne odskoki, mogłaby runąć jak podczas trzęsienia ziemi.

Ktoś inny opisze katedrę, ustawione przed nią potężne posągi autorstwa Jerace oraz grób biskupa Montalbettiego, który zginął podczas nalotu bombowego. Grób jest piękny, nowoczesny, a rzeźbiarz Monteleone umieścił na nim współczesne narzędzie męczeństwa: samolot⁵⁹.

Na widok tego pomnika przez głowę przebiegają dziwne myśli. Oto ślepe narzędzia, które bezpośrednio stykają się z ludzkim ciałem – włócznia, siekiera, koło, stos, sznur, ostrze gilotyny – zostały zastąpione przez anioła, który przemienił się w demona. Stał się zbyt elegancki i leniwy, by zabijać osobiście. Wysłał jedynie swojego posłańca, który z zimnym zamysłem precyzyjnie ukrytym w mechanizmie, nie zatrzymuje się nawet na chwilę i odlatuje. A współczesny anioł... Melozza da Forlì, którego słynne instrumenty muzyczne zamieniły się w błyskawice, by ćwiartować na kole, spalić na stosie, ścinać toporem – lecz wszystkie te środki są zbyt już przestarzałe i banalne. Ludzkość zrealizowała marzenie Ikara i natychmiast je skomercjalizowała, przeznaczając na służbę śmierci. Przytwierdziła do jego czoła piąte przykazanie swojego Dekalogu: „Zabijaj!”.

W albumie mody ludzkości pewne typy stały się śmieszne i dziecinne. Tak jak kat, niegdyś jakże efektowny w swoim czerwonym stroju, przed którym nawet Maria Antonina miała tyle szacunku, że powiedziała: „Przepraszam, panie kacie”, gdy przypadkowo go potrafiła, wchodząc na szafot, został dziś zastąpiony przez młodego osiłka odzianego w strój khaki, który jest niewidzialny i którego możemy sobie jedynie wyobrazić. Podobnie sztuka rezygnuje ze starych atrybutów. Na ścianach katedr zaczyna pojawiać się cień samolotu, który będzie

59 Urodzony w Radicena (obecnie Taurianova) w prowincji Reggio Calabria, Alessandro Monteleone był głównie rzeźbiarzem. Jako młody człowiek został przyjęty do pracowni Vincenzo Romeo, który przepowiedział mu świetlaną przyszłość. Po pierwszej wojnie światowej, w której brał udział, udał się do Rzymu, gdzie szybko znalazł uznanie najlepszych rzeźbiarzy. W ostatnich latach zajmował się także malarstwem, którym parał się już w młodości, malując ponad trzysta dzieł. Zaprojektowany w 1949 roku grób biskupa Montalbettiego, znajduje się w lewej nawie katedry w Reggio Calabria. Nad marmurowym grobowcem, przedstawiającym leżącego biskupa, znajduje się motto oraz nisza z posągami Dobrego Pasterza, otoczona sześcioma panelami z brązu, przedstawiającymi epizody z życia prałata w Reggio. Całość uzupełnia u góry herb biskupa wsparty na dwóch aniołach, także z brązu. Napis na nagrobnej tabliczce głosi: „Tutaj spoczywają szczątki Enrico Montalbettiego, arcybiskupa Reggini Iuliensi, pobożnego, pracowitego i uczynnego kapłana, który będąc pasterzem świętych obrzędów, złożył wizytę mieszkańcom wsi Annà, 31 stycznia 1943 roku. Zginął w straszny sposób, podczas nieprzyjacielskiego nalotu, w wyniku eksplozji bomby”. <http://www.cattedrale Reggio Calabria.it/la-cattedrale/monumento-funerario-di-mons-e-montalbetti> [dostęp: 6.12.2024].

tam żył tak długo, dopóki jego rywal na górze nie zemści się za to, że został sprowadzony na dół, i go nie zniszczy.

Zanim jednak wszyscy zostaniemy zgładzeni, mamy jeszcze... kilka godzin czasu. I możemy spacerować po ulicach Reggio. Są one tak pięknie i zmyślnie zaprojektowane, że co kilka kroków się zatrzymujemy i podziwiamy widok na morze. Żadna ulica w Reggio nie ma charakteru zamkniętego „tunelu”, w którym przechodzień dusi się, a najwyżej widzi tylko mały niebieski kawałek nieba nad swoją głową. Tutaj, co kilka kroków, morze wybucha między domami, zrywa się fala koloru indygo, statek, biały żagiel łodzi. Co trzy, cztery domy aleja nagle przerywa swój bieg, oddziela się, głęboko oddycha i wciąga w swoje płuca świeży wiatr z cieśniny, dar Eola dla Jokasta.

I tak, w Reggio, nawet w największym upale, nigdy się nie spociłam. Ulice, usłane kwitnącymi oleandrami, wydają się przypominać, że nie jesteśmy w mieście, lecz jedynie na wakacjach. Odkryłam też... las, w Reggio! W samym centrum, na Piazza Italia. W gęstej, wysokiej, dobrze przyciętej i jasnej kopule drzew śpiewają, o świcie i o zmierzchu, setki ptaków, jak w lesie. Tylko nie wiem, czy mieszkańcy Reggio, przechodząc tędy dziesięć razy dziennie, słuchają tego lasu!

Zamek jest klamrą, która łączy współczesność ze starożytnością. Jedyny antyczny klejnot, który zdobi Reggio. Jedyna rzeczywistość, która przetrwała wieki.

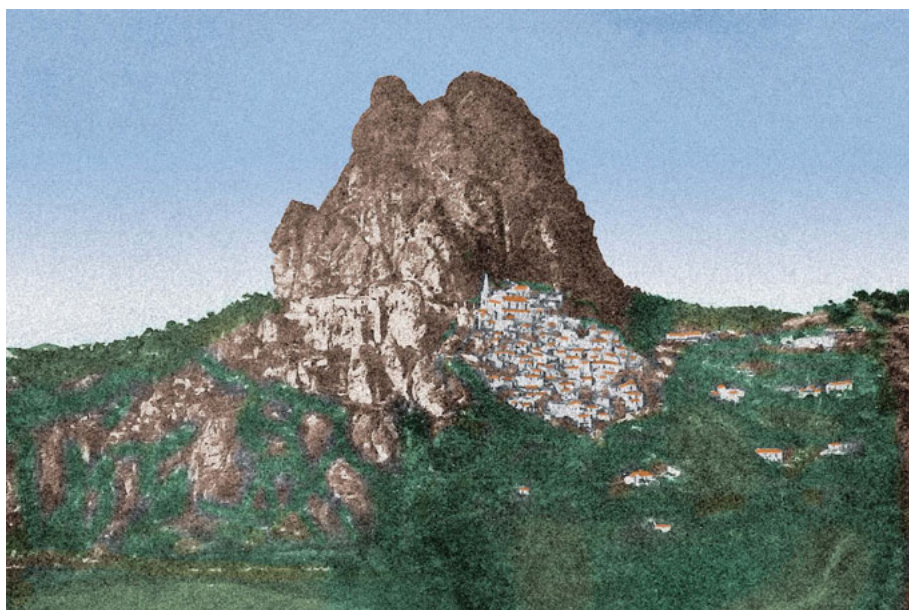
Widok na całą Cieśninę Mesyńską, od Etny aż po latarnię morską, to otwarta panorama najpiękniejszej cieśniny Europy. Wspominam te, które widziałam: Gibraltar, Bosfor, Skagerrak, Kattogat. Żadna z nich nie dorównuje temu prześmykowi pod względem piękna. Żadna nie ma białego wulkanu na horyzoncie.

Reggio to słynne miasto fatamorgany. Musi to być zdarzenie niezwykle, skoro potrafi je dostrzec nawet najbardziej prozaiczne oko. Fatamorgana to rzadkie zjawisko atmosferyczne! Nie można go utożsamiać z tym, które pojawia się na jeziorach i które jest faktem powszechnym. Fenomen optyczny, który niczym chimera tworzy na wodzie zamki, wieże, kolumnady, drzewa, domy, gigantyczne miasta, zależy – jak uczy nas encyklopedia – „od zmian współczynnika załamania światła w poziomych warstwach atmosfery”. Wielu poetów, którzy widzieli fatamorganę w Reggio, opiewało ją w odach, a wielu fizyków opisało ją w naukowych terminach.

Ja nie doświadczyłam tego zjawiska w Reggio. Lecz widziałam wschód i zachód słońca nad cieśniną; potężne huragany pełne fantastycznych błyskawic, gdy niebo jest rozdzielane przez tajemnicze znaki w najróżniejszych kształtach, a w cieśninie spadają kolumny ognia; nocne gwiazdy i letnie księżyce; statki, które ślizgają się w ciemnym cieniu niczym dziwne zjawy; krajobraz przeciwległego wybrzeża; góry i skały; drzewa i miasta; wszystko to stanowiło dla mnie fatamorganę w Reggio.



...zachód słońca nad cieśniną



Wzdłuż Morza Jońskiego

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

WZDŁUŻ MORZA JOŃSKIEGO

[illegible]

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

SIOSTRA BLIŹNIACZKA

Dziś w Rossano los nam nie sprzyja: Zatoka Tarencka, którą mieliśmy nadzieję podziwiać z deptaku Świętego Szczepana, skryła się za mgłą.

Nie żałujemy. W Rossano szukamy nie tylko pięknych widoków. Wzdłuż szlaku z San Demetrio Corone, prowadzącego tutaj przez Vaccarizzo i Corigliano, mieliśmy ich aż nadto: towarzyszyły nam nieustannie na drodze tysiąca zakrętów pokonywanej przez autobus. Dziś zaś wyruszamy na poszukiwanie bliźniaczej siostry Wielkiej Grecji, której stolicą i latarnią przez wiele stuleci było Rossano, wciąż pełne śladów jej dawnej świetności.

Siostry Wielkiej Grecji – zapytasz? – Czy jej gwiazdy nie zgasty przesłonięte skrzydłami rzymskich orłów? Czy ten zakątek Italii nie znajdował się, jak i wiele innych, pod panowaniem Imperium? A może przesadą jest nazywanie tej ziemi Wielką Grecją, skoro odcisnęło na niej swe piętno trwające setki lat Bizancjum?

A jednak...

Wydaje się, że nowe czasy naprawdę chcą połączyć oba światy: historię i teraźniejszość, i wybrać tę ziemię na siedzibę nowego hellenizmu, centrum ekspansji greckiej kultury na Zachodzie. Może zasiane tu niegdyś ziarno przetrwało i teraz swobodnie wykiełkuje wśród ruin? Może gwiazdy Wielkiej Grecji zatoczyły koło i wróciły, by świecić jasno na znajomym nieboskłonie?

Do VII wieku naszej ery ta część Kalabrii była łacińska i zamieszkiwały ją zlatynizowane ludy. Zachowała swoje powiązania z Bizancjum, ale język, instytucje, rytuały zawsze były rzymskie. Nawet Longobardowie nie dotarli za góry Sila. O regionie i jego mieszkańcach najlepiej świadczy obrządek religijny i wyznawana wiara. W 650 roku biskupi kalabryjscy uznali jurysdykcję papieża i wzięli udział w synodzie laterańskim¹, a w 680 roku zaszczylicili swą obecnością synod

1 Wskazanie Alberti błędne. Jak precyzyjnie zauważa monografista: „Synod Laterański odbył się w 649 roku, za pontyfikatu Marcina I (649–655), z udziałem około 100 biskupów z rzymskiej prowincji kościelnej, a nadto z udziałem licznych opatów ze Wschodu. [...] Synod był praktycznie dziełem greckich mnichów. Był dwujęzyczny, akta spisano po łacinie i po grecku, przy czym łacina była tylko słabym przekładem z greki. Synod potępił monoteletyzm, a także ogłosił, że nauka o dwóch wolach w Chrystusie jest konsekwencją chalcedońskiej nauki o dwóch naturach. Ekskomunikował konstantynopolitańskich patriarchów Sergiusza i Pawła”. Por. K. Schatz: *Sobory powszechne – punkty zwrotne w historii kościoła*. Przeł. J. Zakrzewski. Wydawnictwo WAM, Warszawa 2000, s. 78. Kwestie monoteletyzmu i zaangażowanie kościołów Zachodu w przygotowanie soboru na Lateranie śledzi także Jacek Wojda. Por. Idem: *La question monothélite et l'engagement*

rzymski. W 730 roku Leon Izauryjczyk skonfiskował dobra należące do Kościoła rzymskokatolickiego i podporządkował biskupów kalabryjskich patriarche Konstantynopola. W 787 roku episkopat Kalabrii udał się na sobór nicejski. Tylko Cosenza pozostała wierna obrządkowi łacińskiemu. W ciągu pięćdziesięciu lat pod panowaniem Bizancjum region o łacińskim rodowodzie zhellenizował obrządek, język i zwyczaje. W IX wieku był już w większości zamieszany przez Greków, a język Homera wyparł łacinę. Po raz drugi w swej historii Kalabria stała się grecka.

Co było przyczyną tego odrodzenia?

Nie zdecydowały o tym tylko względy religijne: mnisi uchodzący z Bizancjum przed prześladowaniami ikonoklazmu rzeczywiście odegrali znaczącą rolę w tej historii, ale największe piętno odcisnęli uciekinierzy ze Wschodu, napędzani nie duchem przygody czy pragnieniem podbicia nowych terenów, lecz przegnani trwogą przed arabską falą. Migracje przybrały rozmiary prawdziwej kolonizacji, a jej celem był zachód, głównie jońskie wybrzeże Kalabrii. Uchodźcy ciągnęli z Syrii, Palestyny, Egiptu i obszarów Cyrenajki – dawnych greckich prowincji, szukając schronienia w cesarstwie zachodniorzymskim. Część z nich dotarła aż do Rzymu, wielu schroniło się na Sycylii, która krótko cieszyła się wolnością: w 831 roku Arabowie zdobyli Palermo, w 902 roku Taorminę. Jedyne terytorium pozostającym w rękach Bizancjum była właśnie Kalabria. Nowi mieszkańcy narzucili regionowi swe tradycje i kulturę. Gwiazdy Wielkiej Grecji znów rozbłysły jasno nad brzegiem Morza Jońskiego.

Podobnie jak w starożytności, fala hellenizmu opanowała południowe regiony Półwyspu Apenińskiego, docierając do wybrzeży Morza Tyrreńskiego, Adriatyku i samego Rzymu. Związki między kulturą bizantyjską a Italią zostały wzmocnione; w trudnych dla Półwyspu Apenińskiego wiekach sztuka i kultura starożytnej Grecji ponownie odgrywały kluczową rolę.

Odrodzona Magna Graecia zhellenizowała także normańskich wojowników, Szwabów. Królowie, władcy i rozmaite ludy, nawet z dalekiej Brytanii, pragnęli zdobywać wiedzę od greckich nauczycieli, studiować greckie teksty. Dziećmi tej kultury byli prekursorzy renesansu: Barlaam z Seminary, mistrz Petrarki, i Leoncjusz Piłat. Jej zmierzch nastąpił dopiero w XIV wieku zabity bigoterią Andegawenów, a Kalabria weszła do kręgu kultury łacińskiej.

Tymczasem kultura Greków u wybrzeży morza kwitła. Nie tylko myśliciele zgłębiali filozoficzne zagadnienia; coraz częściej studiowali je z powodzeniem

zakonnicy. Na tle epoki wyróżnia się szczególnie dwóch uczonych, urodzonych organizatorów, polityków i piewców kultury: św. Nila z Rossano i św. Bartłomieja z Simeri.

O św. Nilu wiadomo, że jego okres młodości był dość burzliwy, po czym porzucił syna oraz kochankę i podążył za głosem powołania. Opuścił ojczyznę i oddał się śpiewaniu psalmów. Został przyjęty do klasztoru na Monte Mercurio, gdzie, podobnie jak to czynił Kasjodor, mnisi poświęcali trzy godziny dziennie na kopiowanie manuskryptów. Święty Nil również był kopistą i często udawał się do Rzymu w celu zakupu kodeksów. Z czasem został głową wspólnoty i był podejmowany z szacunkiem w klasztorze na Monte Cassino, gdzie przebywał przez długi czas. Otwarcie krytykował papieża Jana XVI i cesarza Ottona III, a pod koniec życia założył opactwo w Grottaferrata w pobliżu Rzymu, które do dziś jest pomnikiem i centrum hellenizmu na Zachodzie.

Bartłomiej z Simeri, pobożny pustelnik, nie zawahał się opuścić miejsca odosobnienia, gdy wraz z grupą młodych mężczyzn został wezwany do budowy „szkoły dusz”, okazując się przy tym urodzonym politykiem i organizatorem. Założył klasztor Najświętszej Maryi Panny tzw. Pathirion; rozpowszechniał obrządek bizantyjski na Zachodzie, pozostając w dobrych relacjach z papieżem, bizantyjskim dworem i Rogerem II, hrabią Sycylii. Do dziś na Sycylii i w Kalabrii istnieje wiele ośrodków (ponad sto) aktywności twórczej i intelektualnej, które zawdzięczają mu swoje istnienie. Pasja kopisty i pragnienie szerzenia kultury prowadziły go często do Konstantynopola, gdzie kupował manuskrypty do biblioteki w Pathirionie; zlecał wykonanie ich kopii mnichom, które rozpowszechniał na Zachodzie.

Obu im należy się uznanie za wstąpienie na ścieżkę Kasjodora i szerzenie dostępu do starożytnych tekstów kultury, za walkę z panującą ignorancją.

• • • • •

Wygodny autobus zabrał nas wczoraj w dalszą podróż z Corigliano do Pathirionu. Opactwo warto odwiedzić również ze względu na roztaczającą się z niego wspaniałą panoramę. Zabytkowa bazylika zachowała się w nienaruszonym stanie, jest trójnawowa i zdobią ją dwa portale. Mozaika na posadzce przywołuje marmurowe wzory z okresu starożytnej Grecji, a łaciński napis *hoc totum iussit fieri 1092* zlecony przez opata Blasiusa², centaur i inne zwierzęta z medalionów przypominają ogromną, wspaniałą katedrę w Otranto z tego samego okresu. Mury bazyliki widziały niejedno: były świadkami przybycia drogocennych waz

2 Łacińska formuła: „Blasius wszystko to zlecił, aby zostało zrobione”.

przywiezionych z Konstantynopola przez błogosławionego Bartłomieja, gdy jego statki przemierzały Morze Jońskie; widziały bunt przeciw reformie monastycyzmu wschodniego z 1579 roku, gdy dumne ze swoich przywilejów i niezależności opactwo odważyło się przeciwstawić władzy papieskiej.

Jednak sława Pathirionu tu w zaciszu Morza Jońskiego przeminęła. Rozchodziła się po szerokim świecie w miarę jak ręce kopistów mnożyły coraz to liczniejsze manuskrypty, które rozpraszały mroki niewiedzy. Wiele z jego dawnej świetności zniszczył czas, zaniedbanie i ignorancja. Do dziś w Bibliotece Watykańskiej przechowuje się blisko sto rękopisów pochodzących z Pathirionu, co świadczy o bogactwie zgromadzonych niegdyś zbiorów. Niejeden spragniony wiedzy znajdował odpowiedzi na pytania w bogatej klasztornej bibliotece u wybrzeży Morza Jońskiego. Część zachowanych do dziś manuskryptów pochodzi z Konstantynopola; być może znalazły się tu za sprawą Bartłomieja z Simeri, nowego Greka, posłańca z Rossano, który przywiózł je zza morza, z Bizancjum, z tą samą wiarą, z jaką wiele wieków wcześniej posłańcy z Locri i Crotone ponieśli mądrość wschodniego świata z Delf na Zachód.

GALERIA MINIATUR W ROSSANO

Łatwiej jest odwiedzić skarbiec Banku Angielskiego (zwłaszcza w jego obecnym kształcie) niż uzyskać dostęp do dumy Rossano, którą jest *Codex Purpureus Rossanensis*. Spróbuj, a usłyszysz nazwiska koronowanych głów, które nie dostały zaszczytu jego obejrzenia, stracisz godziny, by uzyskać niezbędne pozwolenie. Jeśli jesteś podróżnikiem, którego nie interesują ciekawe znaleziska ani nawet samba czy raspa, nie żałuj.

– To tylko zwykła książka – powiesz – owszem, stara, rzadka, godna szacunku i uwagi, ale koniec końców książka jak każda inna.

Doprawdy?

To wyjątkowy zabytek piśmiennictwa, pożądany przez tych, którzy rozumieją piękno i pasjonują się historią. Rękopis jest okazałych rozmiarów i zsyto go z arkuszy najcieńszego pergaminu barwionego purpurą. Gdybyś zmienił zdanie, Czytelniku, oto garść informacji: rękopis jest niekompletny i liczy sobie 188 arkuszy. Pochodzi z pierwszej połowy VI wieku n.e. i zawiera grecki tekst dwóch pierwszych ewangelii – św. Marka i św. Mateusza. Istnieje wcześniejsza wersja ewangeliarza, datowana na początek VI wieku n.e. tzw. księga *Genesis*, która znajduje się w Wiedniu; kolejny chronologicznie fragment to zapiski odnalezione w Sinope i przechowywane w Paryżu, składające się z 45 kart

i 5 miniatur³. Wszystkie rękopisy zostały ozdobione tą samą techniką, co pozwala przypuszczać, że są dziełem rąk iluminatorów należących do jednej szkoły. Szczegóły pozostawmy uczonym⁴ – dla nich purpurowy kodeks jest archeologiczno-bibliograficznym skarbem. Dla nas jest nim dwanaście zdobionych stron, które same w sobie są galerią sztuki w miniaturze. Obalają one całą naszą dotychczasową wiedzę na temat rozwoju malarstwa we wczesnych wiekach⁵.

3 Alberti ma na myśli zapewne *Codex Purpureus Vindobonensis*, obiekt przechowywany w Wiedniu w Österreichische Nationalbibliothek (jako Cod. Theol. gr. 31), a także słynny *Zwój paryski*: manuskrypt określany mianem *Codex Sinopensis*. Zachowane czterdzieści trzy karty kodeksu (tu wprowadzamy korektę do ustaleń pisarki) zdeponowane są aktualnie w zbiorach Bibliothèque Nationale de France w Paryżu (numer katalogowy: MS gr. 1286). Oba skarby kultury światowej, arcydzieła „bogato ilustrowane, wplecionymi w tekst scenami figuralnymi”, ciekawie charakteryzuje Elżbieta Jastrzębowska. Por. Eadem: *Sztuka wczesnochrześcijańska*. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1988, s. 253.

4 Powstanie manuskryptu datuje się na VI wiek n.e. Kodeks przechowywany jest obecnie w Muzeum Diecezjalnym, związanym z katedrą w Rossano. Ciekawa wydaje się współczesna ekspozycja dzieła: dokładnym zbliżeniom każdej z kart, ilustracji oraz samemu tekstowi przyglądamy się na obrazie padającym z rzutnika. W trosce o zachowanie trwałości eksponatu, w Muzeum przewracana jest tylko jedna karta (z ponad 300 stron) na rok. Kodeks nazywany jest „purpurowym” ze względu na kolor nasączonego pergaminu, wykonanego z jagnięcej skóry. W księdze zachował się pełny tekst *Ewangelii wg św. Mateusza* oraz niepełny (brakuje wersów: 15–20) *Ewangelii wg św. Marka*, obie księgi święte poprzedzone są 15 stronami, na których możemy podziwiać kolorowe miniatury, przedstawiające sceny z życia Jezusa. W ramach poszczególnych paginacji – tekst podzielony jest na dwie kolumny. Trzy początkowe wersy każdej z ewangelii pisane są złotem, natomiast reszta tekstu – srebrem. Ewangeliarz sporządzony został grecką uncją, bez zachowania przerw między poszczególnymi wyrazami i bez zastosowania znaków przestankowych (z wyjątkiem kropki na końcu zdania). Jak zauważa Dorota Muszytowska, powstanie kodeksu „wiąże się ze środowiskiem syryjskim, być może z samą Antiochią”. Autorka wspomina także o wyrafinowanej formie artystycznego przedstawienia: „Na zachowanych *folio* uwagę przyciąga wyjątkowa kompozycja ilustrowanych stron. Ich górna część zawiera proste ilustracje o charakterze narracyjnym i związana jest z dosłowną interpretacją tekstu, chociaż brak jakiegokolwiek tła i szczegółów okoliczności sugeruje rozumienie uniwersalnego przesłania tekstu. Dolna część strony zawiera natomiast wizerunki czterech podpisanych z imienia proroków trzymających rozwinięte zwoje, na których zostały umieszczone teksty mające zapowiadać wydarzenie przedstawiane w górnej części, zilustrowanej narracyjnie. Co ciekawe, narracyjne sceny odnoszą się także do tekstów Jezusowych przypowieści, np. o miłosiernym samarytaninie [...] lub pannach mądrych i głupich, a nie tylko do wydarzeń historycznych, jak w scenie z ostatniej wieczerzy [...]. Takie odniesienie narracji ewangelicznych do tekstów prorockich ma swoje uzasadnienie w typologii kręgów antiocheńskich”. Por. D. Muszytowska: *Interpretacja tekstu w obrazie – rola hermeneutyki w ilustrowaniu chrześcijańskich manuskryptów biblijnych*. „Kultura – Media – Teologia” 2015, nr 20, s. 136. Ciekawe informacje o Kodeksie znajdziemy także w: W.C. Loerke: *The Miniatures of the Trial in Rossano Gospels*, „Art Bulletin” 1961, no. 43, s. 171–195.

5 Por. G. Bachelard: *Miniatura*. Tłum. K. Mokry, T. Markiewka. „Literatura na Świecie” 1999, nr 9, s. 153–187; W. Bojda: *Historia miniatury*. W: *Miniatura i mikrologia literacka*. T. 1. Red. A. Nawarecki. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, s. 49–93.

Miniatury, ułożone według motywów, są najstarszym zbiorem ikonograficznym przedstawiającym epizody z *Nowego Testamentu*, które znamy dziś z późniejszych realizacji szkół wczesnośredniowiecznych.

Technika wykonania i plastyczność ilustracji zachwycają do tego stopnia, że ledwie dowierzamy umiejętnościom artysty. Przyzwyczajeni do oceniania sztuki obrazkowej pierwszych wieków chrześcijaństwa na podstawie naiwnych fresków z katakumb lub zimnych bizantyjskich mozaik, świadomi ograniczeń epoki, oglądamy dzieło artysty zdolnego do godnej podziwu ekspresji. W miniaturach, nierzadko pokrywających całą stronę, nie ma nic doniosłego, nic zimnego, nic bizantyjskiego. Ukazują one sceny pełne życia, jak wypędzenie kupców ze świątyni; sugestywnych jak ogród Getsemani; poważnych, jak scena, w której Chrystus staje przed Piłatem.

Niuanse sprawiają, że sceny są raz dynamiczne, raz wesołe, a raz pełne patosu i powagi: widzimy sługę zakrywającego nos płaszczem podczas wskrzeszenia Łazarza; dzieci wiwatujące z radości na cześć Odkupiciela wjeżdżającego do Jerozolimy; kupca walczącego z upartym barankiem podczas wypędzenia ze świątyni; Chrystusa budzącego apostołów w gwiazdzistą noc w ogrodzie Oliwnym; Judasza zwracającego trzydzieści srebrników i wieszającego się. Ubiór, kolor skóry przenoszą nas do malarskiej tradycji Rzymu (o czym świadczą stroje urzędników), a także do świata niezachodniego (garbate woły, zebu, grób Łazarza w jaskini). Nauka powie, że kodeks, podobnie jak pozostałe dwa wspomniane powyżej, należał do tej samej szkoły artystycznej, która wykonywała mozaiki i miała swoją siedzibę w regionie rzymskiego Wschodu (Syria, Azja Mniejsza, Egipt, Kapadocja), który w wiekach późniejszych ukształtował sztukę bizantyjską. Badacze dorzucają jeszcze, że miniatury zachowują podobieństwo do fresków, które widnieją w bazylice Świętego Anioła w Formis niedaleko Kapui, widoczne na kodeksowych przedstawieniach kolumny przypominają te z cyborium w Bazylice Świętego Marka w Wenecji. Można wskazać także pewną artystyczną zbieżność miniatur z mozaikami zachowanymi w bazylice Świętego Apolinarego w Rawennie.

W miniaturach dostrzec można logikę kompozycji, żywość kolorów i inkarnatów. Dzikie oblicze Barabasa na długo pozostaje w pamięci, tak samo jak dystygnowany i zimny Piłat, dobrotliwy Chrystus i zrozpaczony Judasz. Sceny i twarze są tak charakterystyczne, że, szerzej znane, śmiało mogłyby stanowić kanon postaci ewangelicznych.

Spoglądasz na kodeks (według badaczy jest on kopią wcześniejszego, niezachowanego tekstu) i zastanawiasz się, jak to możliwe, że znalazł się w Rossano? Czy to może pozostałość bogatej biblioteki Kasjodora? Może to jeden z ko-

deksów zakupionych w XI wieku w Konstantynopolu przez błogosławionego Bartłomieja? Podziw dla tego dzieła sztuki łączy się z szacunkiem dla zabytku dawnej i tajemniczej epoki. Szkoda tylko, że nie każdy może podziwiać tak wspaniałe dzieło. To wyjątkowa galeria sztuki, a jej piękno jest delikatne niczym kwiaty. Kto wie, może wykonanie wiernych reprodukcji miniatur w powiększonym formacie (a przy obecnej doskonałości sztuki fotograficznej nie powinno to być trudne) pozwoliłoby zorganizować ich wystawę, aby każdy mógł podziwiać klejnot w całym jego blasku. Idealnym miejscem dla ekspozycji byłby bez wątpienia bizantyjski kościół Świętego Marka, duma Rossano⁶.

Świątynia jest bliźniaczą wersją innego kalabryjskiego kościoła – bazyliki Cattolica di Stilo. Na zaledwie kilku metrach kwadratowych wzniesiono kompletną bazylikę z trzema nawami, pięcioma kopułami i trzema absydami. Kościół jest dobrym przykładem dojrzałej sztuki bizantyjskiej i pamięta czasy, gdy twierdza Rossano była stolicą drugiej Wielkiej Grecji. Podobne świątynie wznoszono też w Azji, ojczyźnie kodeksu. Kościół zbudowano na skalnym występie, w którym wydrążono pustelnicze groty z wejściami otwartymi ku dolinie – przypomina to jak żywo skaliste krajobrazy Armenii lub Gruzji.

We wnętrzu, pod kopułą, między czterema filarami dzielącymi je na trzy małe nawy, modlił się św. Nil. Czasem lubię myśleć, że w otoczeniu tych filarów wyglądałyby pięknie powiększone kopie kodeksowych miniatur; z pewnością duchy św. Nila i innych mnichów, którzy zbudowali ten mały kościółek i śpiewali w nim psalmy, cieszyłyby się na ten widok. Skarb, który przez wieki próbowali oni zachować jako dziedzictwo kultury i sztuki w niebezpiecznej, mrocznej epoce – ocalał. Promieniował wciąż błogosławieństwem pod małymi okrągłymi kopułami bazyliki.

PIĘKNO(ŚĆ) W LUSTRZE

Santa Severina, niczym piękna kobieta, nie pozwala odwrócić od siebie wzroku. Jesteśmy znów w podróży; autobus jedzie, pokonuje serpentyny, przecina

6 *Codex Purpureus Rossanensis*, przechowywany jest w szklanej muzealnej gablocie, w małej, zaciemnionej sali, w której panuje stała temperatura 18–20 stopni. Zwiedzanie rozpoczyna się krótkim filmem dokumentalnym, opowiadającym historię manuskryptu (od powstania aż do momentu przybycia na południe Italii). Prawdopodobnie został on przywieziony do Kalabрії w VIII wieku n.e. przez grupę mnichów uciekających przed inwazją arabską, chcących uchronić dokument od zniszczenia. W Rossano stał się on własnością miejscowego arcybiskupa. Muzeum Diecezjalne (Museo Diocesano di Arte Sacra di Rossano) zostało otwarte 18 października 1952 roku.

dolinę Neto we wszystkich kierunkach. Tysiące ciekawych, nowych krajobrazów aż prosi o jedno spojrzenie. Santa Severina domaga się jednak całej uwagi, w podzięcie zaś pochyla się zalotnie, niczym piękna kobieta przed lustrem, prezentując się z profilu, *en face* i z tyłu, nieustannie puszcza ci oko. Na trzydziestokilometrowym odcinku drogi autobus okrężną trasą wspina się na wzgórze; jesteś bez szans czytelniku, nie masz możliwości spojrzeć w innym kierunku.

Zdać się może, że to fatamorgana wyrasta na tle błękitnego nieba jak Angkor Wat, cud kmerskiej architektury. Wygląda szlachetnie niczym porcelanowa zastawa z Capodimonte lub Saksonii. Gdy podjedziesz bliżej, piękno miasteczka rozkwita: na tle nieba można rozróżnić zamek rodziny Carafów, katedrę, kościoły, drzewa. Miasteczko zachęca, by wsiąść, pokonać schody, prowadzące na górę, i spacerować po uliczkach spowitych ciszą oraz tajemnicą, wśród żywopłotów uformowanych z żarnowca i lentyszka.

Starożytna nazwa Siberene lub Severiana zachowała się w łacińskiej nazwie *vina Severiana*, które Pliniusz zaliczał do najlepszych we Włoszech (prawdę mówiąc, po degustacji przyznaję mu rację). Oprócz tego jedynie baptysterium pamięta tamte czasy: dawniej prawdopodobnie mieściła się tu świątynia Kybele, której kult był żywy.

Tuż przy wejściu na starówkę wita nas kościół św. Filomeny, z wysoką absydą i szesnastoma kolumnami podtrzymującymi kopułę, klejnot architektury bizantyjsko-normańskiej. Trzęsienia ziemi, jak wszędzie w Kalabrii, poważnie uszkodziły miejscowe zabytki. Santa Severina miała jednak więcej szczęścia: uchowało się tu wiele z dawnych budowli. Katedra św. Filomeny, którą Ruggero Stefanuzio zbudował w XIII wieku na ruinach greckiego kościoła, mimo współczesnych przeróbek, jest przykładem sztuki ostrołukowej. Wewnątrz katedry można podziwiać jeden z najważniejszych zabytków Santa Severina: baptysterium. Jest ono pozostałością po starożytnej świątyni bizantyjskiej, a swoim okrągłym kształtem i parasolową kopułą bardzo przypomina mi mauzoleum Boemonda przy katedrze w Canosa di Puglia, choć w jego uboższej wersji. Osiem trzonów starożytnych kolumn ze świątyni Kybele, o rozbudowanych kapitelach, z impostami zdobionymi motywami bizantyjskimi, to dzieło cenobitów z VIII wieku, równie wprawionych w modlitwie, co w sztuce budowlanej.

Nieco dalej od bramy znajduje się okazała twierdza, będąca również piętnastowieczną przebudową zamku normańskiego, wcześniej bizantyjskiego, którego mury wyrosły na fundamentach greckiej lub rzymskiej fortecy. Miejsce raz przeznaczone do użytku zachowuje tę funkcję na zawsze.

Jak już wspomniałam, najwięcej zabytków z epoki bizantyjskiej zachowało się w Kalabrii, w Santa Severina. Miasteczko, ponadto, zachęca też wyjątkową atmosferą. Wabiło nas z daleka, teraz zaprasza na długą wędrówkę cichymi, na wpół pustymi uliczkami, zamkniętymi zaułkami, nad którymi otwierają się skąpane w słońcu balkony. Gdzieś tam stoją opuszczone domy i zrujnowane kościoły. Z licznych bizantyjskich miast Kalabrii usytuowanych na stromych wzniesieniach Santa Severina jest najbardziej malownicza; wydaje się, jakby zatrzymał się tu czas. Bizantyjska aura wciąż unosi się na ulicach; atmosfera stuleci, w których życie toczyło się w małej społeczności i było intymne, tak jak to miasteczko jest prywatne i ustronne na swoim podniebnym wzniesieniu. Długo spacerujemy uliczkami, szczęśliwi, że na kilka godzin uciekliśmy od XX wieku.

I wreszcie, jak to często bywa w Kalabrii, znikąd pojawia się przed nami kolejna ważna dla historii postać: św. Zachariasz, papież w latach 741–752. To on jako pierwszy potwierdził wyższość władzy przedstawiciela Boga na ziemi: „koronę może nałożyć tylko ten, który rządzi, ale królewskość należy oddać temu, kto ma faktyczną władzę” – uznał papież Zachariasz, odbierając tym samym koronę Merowingom i przekazując prawo do niej Karolingom. Spór o inwestyturę, czyli cała historia średniowiecza, ma swojego inicjatora w tym synu zrodzonym na kalabryjskiej ziemi.

Autorytet św. Zachariasza umocnił trwale władzę biskupa Rzymu; był on bardzo aktywny politycznie, pertraktował z władcami Longobardów, z Liutprandem, kolejno z Ratchisem, negocjując zawieszenie działań wojennych i wiele innych korzyści dla stolicy papieskiej.

Wyróżniał się nie tylko na tym tle. Zaliczany jest do panteonu wielkich Kalabryjczyków, obok Kasjodora, św. Nila, błogosławionego Bartłomieja i opata Joachima, którzy mieli swoje zasługi w popularyzowaniu kultury. To pierwszy papież, który sam siebie zwał humanistą; za swojego pontyfikatu przetłumaczył na język grecki *Dialogi św. Grzegorza Wielkiego* i założył pierwszą bibliotekę Kościoła rzymskiego. Przyłożył także rękę do ewangelizacji pogańskiej Germanii; był opiekunem i wsparciem św. Bonifacego, apostoła tego narodu.

Opuszczając Santa Severina, wokół wzgórza widzimy wspaniałe uprawy gęsto rosnących drzew pomarańczowych. Jest kwiecień i wszystkie dojrzałe już owoce o charakterystycznym kolorze, pełne słodczy kalabryjskiej gleby, wyglądają przez liście jak ciekawskie dzieci. Z tej gęstwiny człowiek utkał ogromny zielono-pomarańczowy dywan wiodący ku Santa Severina, piękności odbitej w lustrze.

KOSZ CATANZARO

Wysiadając z pociągu w Santa Eufemia podziwiamy jasny, delikatny poranek, pełen uduchowionego światła jakby przeniesionego z pastelowych pejzaży Giuseppe Benassiego. Czeką nas przesiadka: opuszczamy nadmorską linię, która objeżdża wybrzeże, tworząc zieloną wstęgę opasującą Kalabrię, i wsiadamy do pociągu, który zawiezie nas do wnętrza lądu. Regionalna kolejka odwraca się z obojętnością od morza, jakby dając do zrozumienia, że jej trasa przez góry jest równie ważna i wspina się łagodnie, zdając się zapewniać pasażera o najlepszych chęciach, bezpiecznie wioząc nas do celu podróży. Wysiadamy w Sala, rozglądając się za Catanzaro, ale miasto jest wciąż dość daleko, skryte za mgłą.

Jesteśmy świadkami niezwykłego widoku – wysoko, nad naszą głową, miasto unosi się w powietrzu, niczym kosz o elipsoidalnym kształcie, wypełniony wieżami, domami, drzewami. Widok ten przywołuje na myśl dziecięce wizje: najmłodsi często wyobrażają sobie baśniowe miasta zawieszone w przestrzeni na niciach wyobraźni, bez żadnej rzeczywistej podstawy.

Tak, widziałam kremowo-złoty kosz pełen różowych punkcików unoszący się w powietrzu; było to całkiem realne, bardziej niż jakakolwiek materialna rzeczywistość. Delikatna mgła, przetykana opalem, ukrywa podstawę miasta, antyczną skałę zwaną Trivonà, na której zbudowane jest Catanzaro. Oto imponujący kosz zawieszony w ogromnej przestrzeni. To nie iluzja, lecz rzeczywistość zakłamaną kaprysem mgły. Jeszcze raz, jak to często ma miejsce w Kalabrii, brakuje mi pędzla, aby oddać urok tego zjawiska.

Wspinamy się na wzgórze, pod baldachimem z drzew o fioletowych odcieniach. Kwiecień macha nam barwną chustką na powitanie. Ponad wszystkim unosi się zapach miasta.

Kiedy, jakiś czas potem, pewnej niedzieli przesiaduję w jednym z miejskich ogrodów z pięknym widokiem na kalabryjski krajobraz, który potrzebuje raczej farb i płótna niżli słów, ogarnia mnie przyjemne wzruszenie. Czy to Szwajcaria? Tak i nie! Tkwi w tym pejzażu coś, co przypomina szwajcarskie miasteczka, położone wysoko w górach, ale to jednak coś więcej! To raczej ogromne okno otwarte na morze. Kiedy moje oczy prześlizgują się po dalekim horyzoncie, sięgającym aż do Capo Rizzuto i do Piccola Sila, nie widząc zielonego dna u moich stóp, zdaje mi się, że jestem w ogromnej kabinie kolejki, podtrzymywanej przez niewidzialną linę. I że za chwilę cały taras ogrodu ruszy i płynnie, powoli wleci w przestrzeń, ku tajemnicom gór Sila. Poleci z niezmiennym tłumem spacerowiczów, w pogodny poranek, z pomnikiem Fioren-

tino⁷, z moim dziecięcym pragnieniem. Brakuje tylko niewidzialnej ręki, która mogłaby włączyć przycisk i uruchomić maszynę. Uczucie jest całkowicie realne. Podobnie czułam się na tarasie w Palmi, gdy wydawało mi się, że żegluję na dziobie zielonego statku, który zatrzymał się na chwilę przed dalszą trasą. Nie zdziwiłabym się, gdyby dziób zaczął przecinać napierające fale, tak jak dziś nie byłoby dla mnie niczym niezwykłym, gdyby kabina kolejki ruszyła w przestrzeń. Tak wspaniale położone jest Catanzaro.

Kiedy później, podczas częstych wizyt widziałam je z różnych stron, już osadzone na solidnej kamiennej podstawie, której nie skrywa opalowa mgła, sprawiało wrażenie fortecy, o którą rozbijają się wiatry i nad którą brakuje tylko orłów. Catanzaro wygląda imponująco zwłaszcza od strony Tiriolo. Nawet powietrze jest tu niezwykle. Trudno je opisać, nie jest ani morskie, ani górskie. Niesie ze sobą aromat morskich fal i górskich stoków, zmieszanych w oryginalnym duecie, w którym oba elementy śpiewają jednym głosem pod energicznym akompaniamentem wiatru.

Położenie miasta uświadamia nam, że Catanzaro powstało w epoce bizantyjskiej; nawet dziś, po wiekach ma wygląd bizantyjskiej fortecy, jak w czasach Nicefora Fokasa. Tak miasto prezentuje się z oddali, a co znajdziemy w jego wnętrzu? Czy to naprawdę dziki zakątek Kalabrii? Mijamy ulice przypominające francuskie miasteczka. Jest tu mniej hałasu niż w innych centrach południowych Włoch. Więcej kultury, więcej dystansu. Catanzaro to przede wszystkim miasto urzędników – mają tu swoją siedzibę najważniejsze urzędy i instytucje. Nie ma tu majątnych kupców torujących sobie drogę w tłumie łokciami. Wielu mieszkańców ma wyższe wykształcenie, co nadaje temu miejscu godności i elegancji. To typowe miasto intelektualistów i to właśnie ta aura stworzyła własny, dominujący sposób życia. Tłum jest elegancki, kobiety urocze i delikatne, gustownie ubrane. Może brak upału i świeży wiatr od morza nadały ich ruchom lekkości. Ciężkość i powolność południa zostaje przesłonięta żywiołowością rodem z francuskiej prowincji.

Catanzaro nie skrywa żadnych niezwykłych zabytków, ale mimo to jest miastem, w którym dobrze się żyje ze względu na pielęgnowanie rytuałów codzienności. Tutaj kobieta nie wyjdzie na ulicę bez makijażu, zaniedbana czy źle ubrana – byłoby to poniżej jej godności. Architektura miasta temu sprzyja: każdego

7 Chodzi o Francesco Fiorentino (ur. Sambiasi, obecnie Lamezia Terme, 1834, zm. Neapol 1884) włoskiego filozofa i historyka idei, badacza związanego z uniwersytetami w Bolonii i Pizie. W ramach swojej działalności społeczno-politycznej Fiorentino dwukrotnie uzyskał mandat włoskiego parlamentu. Popiersie (obelisk) poświęcone filozofowi, będące dziełem braci Francesco i Vincenzo Ierace z Polisteny, stoi w centrum Catanzaro.

dnia należy się przejść kilka razy po głównej ulicy, nawet jeśli zmierza się w odwrotnym kierunku. Mieszkańcy widzą się kilka razy, wszyscy się znają, każdy wie, kto przechodzi ulicą i jak jest ubrany. To daje pewien rodzaj ekscytacji, by prezentować się nie tylko przyzwoicie i estetycznie, ale także modnie. Catanzaro ma jednak małomiasteczkowy charakter, przypomina mi raczej dzielnicę wielkiego miasta niż metropolię.

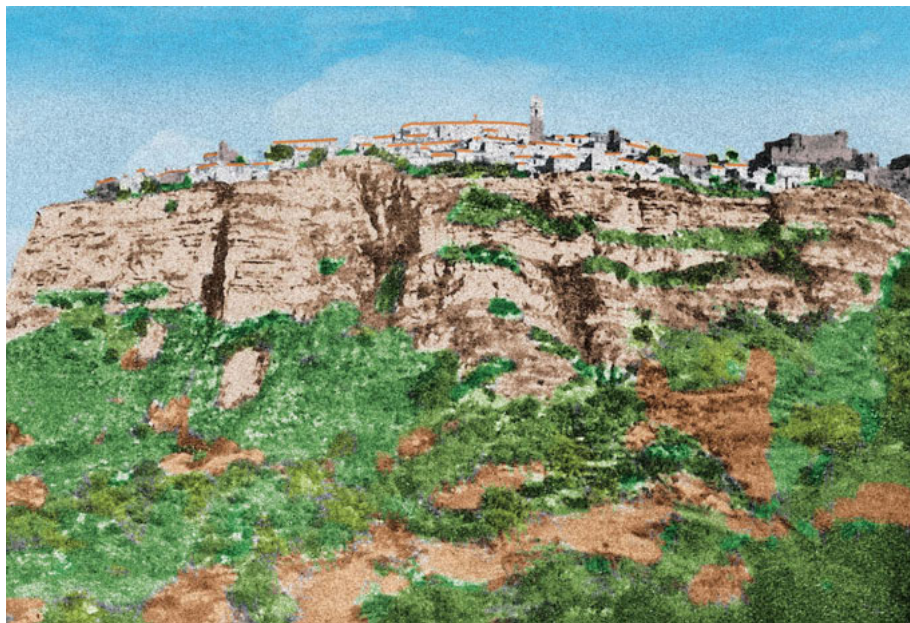
Kiedyś pewien sympatyczny burmistrz (a nie był to rządca Kalabrii) obraził się, ponieważ napisałam o jego mieście liczącym 50 tysięcy mieszkańców, że jest małe. Zaprzeczył temu stanowczo w przesłanym do mnie liście. Jeśli stwierdziłam, że Catanzaro robi wrażenie jedynie niewielkiej miejscowości, to taka była moja intencja. Uważam bowiem za znaczące ośrodki urbanistyczne tylko miasta tej miary, co Paryż, Wiedeń, Berlin, Budapeszt, Warszawa, Praga, Rzym czy Mediolan.

Jednak wielkość miasta i komfort, jaki oferuje mieszkańcom, nie zawsze idą w parze. Dla odmiany, Catanzaro to miejscowość nie tylko malowniczo położona, przypominająca owiany mgłą „kosz” zawieszony na skale, ale też miasteczko ciche, w którym życie płynie przyjemnie i leniwie, czego nie można powiedzieć o wielu innych.

SKARBIEC WIEKÓW

Z kabiny kolejki linowej jest tylko kilka kroków do Skarbca Wieków. Nazwa może mylić, ponieważ budynek jest w zasadzie niewielki: kryje on skromne muzeum, zaledwie dwie sale, bardziej przypominające prywatny dom o kameralnej i intymnej atmosferze. Nawet grecki hełm odkryty w Tiriolo, rzadki i cenny, żadna kopia nie wydaje się być artefaktem dawnych wojen. Dopóki nie zmieni się kształt ludzkiej głowy, a przede wszystkim kłębiące się w niej, zbrodnicze idee. Hełm zawsze będzie istnieć, podobnie jak jego forma.

Dziś przyszliśmy podziwiać monety. W muzeum przechowywana jest wspańska kolekcja egzemplarzy z różnych epok, wykonanych z drogocennych kruszców, co dało początek nazwie – Skarbiec Wieków. Zabytkowe numizmaty różnią się od współczesnych nam wzorem, kształtem, herbem, monogramem, inskrypcją... lecz ich przeznaczenie jest niezmiennie. Oto królestwo szatana, który na każdej monecie pozostawił swój ślad. Podziwiane przez nas okazy przechodziły przez różne ręce: ściskane w chciwej garści niewolnika, jego ostatnia deska ratunku, radośnie przelatujące przez dłonie bogacza. Monety kupców i żebraków, szlachty i marynarzy, kurtyzan i żołnierzy, bankierów i służących.



Zdać się może, że to fatamorgana wyrasta na tle błękitnego nieba jak Angkor Wat,
cud kmerskiej architektury



...baptysterium. Jest ono pozostałością po starożytnej świątyni bizantyjskiej

Jeden zdobywał je potem i krwią na galerach lub w legionach; inni liczyli je nieustannie, głaskali przez chwilę i znów wydawali. Demon chciwości, genialny reżyser, sugeruje uśmiechnięty: „Dalej, następną proszę!” Gdyby wyjąć je dziś z gabloty i złamać, jak to uczynił św. Franciszek z Paoli, może trysnęłaby z nich krew! Z niektórych zaś mogłoby popłynąć wino, ambrozja, słone łyż lub ogień.

Gdy człowiek osiągnął pewien poziom kultury i porzucił barter, wtedy demon chciwości sporządził bilans „winien” i „ma” oraz ustanowił prawo rządzące światem – prawo pieniądza, ważniejsze niż dekalog spisany na Synaju. Prawo, którego żaden filozof, żadna religia, żaden system polityczny nigdy nie mógł złamać, „Dalej, dalej, następny proszę!” Ziemia po wiekach zwróciła diabelskie skarby, a ludzie znów złożyli je w depozycie, tym razem muzealnym. Podziwiamy je niczym aktorów, którzy odegrali już swoje role.

Monety pozbawione społecznego kontekstu oferują złudny spokój. Ozdobione głowami ptaków, zwierząt, profilami znanych bogów i bohaterów, przypominają, że ktoś dla nich zabił, ktoś przez nie płakał, ktoś się cieszył i śmiał, ktoś kochał i całował, ktoś bluźnił, kradł, zdradzał; ktoś mógł stracić przez nie życie. Patrząc na nie, myślisz, przez ile przeszły rąk, do jakich miast trafiły, jakie pokonały drogi, w jakich domach były. Są całkowicie obojętne, jak Stwórca patrzący na wszystko z góry. Dziś pieniądz dziedziczy tę władzę. Może wypowiadać wojnę i zawierać pokój, może zrywać pakt, zaprzeczać słowem, może kupować chwałę, honor, szczęście, miłość... Królestwo tego świata należy do niego. Sztuka zawsze była na jego usługach, ofiarowała mu dar swojej wyobraźni, zaprojektowała go mistrzowsko, zapisała na nim poetyckie frazy lub uczone sentencje. To spadkobierca doskonały, dziedzic bez wad, który przejmuje wartości nadane mu w przeszłości.

Pieniądz przekraczał granice bez paszportu czy wiz. W muzeum monety z Syrii spotykają się ze znajomymi z Apolonii, monety z Sarmacji z dackimi krewiakami, te z Macedonii z sardyńskimi kuzynkami, natomiast tracie z perskimi sprzymierzeńcami, a iliryskie z braćmi z Mezji. Ogromna międzynarodowa rodzina, solidarna, żyjąca w idealnej harmonii, spotykała się przez wieki na wszystkich drogach świata, pozdrawiając się uprzejmie: „Dalej, następną proszę!...”.

W tej samej harmonii i solidarności rodzina spoczywa teraz zjednoczona w skarbcu w Catanzaro. Wiele egzemplarzy ze starożytnej Grecji, z górzystej Beocji, eleganckiej Attyki, romantycznej Arkadii, starożytnej Krety, tajemniczej Eleusis, Epiru, Elidy, Eubei, Chalkidyki... Tu znalazły swoich potomków i wnuki z obszaru Wielkiej Grecji. Są tu także przedstawiciele Smyrny, Judei, Kapadocji, Cylicji. Portret Kleopatry, wiernie odwzorowany na monecie, staje się symbolem

całej epoki, obnażając nagą prawdę: nawet najbardziej nieczuła kobieta dla miłości porzuci każdą polityczną rację.

Kartagińczycy i Rzymianie przelewali swoją krew, ale ich monety żyły w zgodzie. W skarbcu można ujrzeć cesarzy rzymskich i bizantyjskich, można odnaleźć wielkie republikańskie rody i neapolitańskie dynastie.

Monety normańskie, szwabskie, andegaweńskie, aragońskie, hiszpańskie, burbońskie, napoleońskie... Wspaniała kolekcja, wszelkie możliwe egzemplarze! Monety pokoju i wojny, porządku i chaosu, dobrobytu i zniszczenia. Przewijają się na nich herby i inskrypcje, profile władców i emblematy z brązu, miedzi, srebra, złota; artystycznie wykończone lub grubo ciosane, duże lub małe, okrągłe lub nie, grube lub cienkie, zużyte lub doskonale zachowane, w zależności od wydarzeń, huraganów, kataklizmów, które przypadły im w udziale.

Dziś nie mają już znaczenia, martwe spoczywają w wiekuistym pokoju i doskonałej obojętności pod szkłem gablot, inaczej niż wtedy, gdy były wielkimi aktorami, których uśmiechu pragnął każdy, od króla po niewolnika.

Przechodzę od jednej gabloty do drugiej. Martwe królestwo szatana i dziś emanuje smutkiem. Nie potrafię ominąć obojętnie tego skarbu. Ilu Judaszów zdradziło w historii za trzydzieści podobnych monet?

DWA KROSNA W CATANZARO

Zakładasz wieczorową, jedwabną suknię i dumnie wykrzykujesz: „To oryginał z Lyonu!”, lecz, być może nie wiesz, moja piękna, skąd się wziął we Francji. Zwykle tak bywa, że miejsca wyrobu znanych rzeczy owiane są tajemnicą. Mało kto pamięta, że to Catanzaro było kolebką produkcji jedwabiu w Europie i że właśnie tu powstało pierwsze krosno.

Słynny z wyrobu tkanin Wschód strzegł zazdrośnie swych brokatów, aksamitów i jedwabi. W Bizancjum ich bogactwo było tak zdumiewające, że gdy na Wschód przybyły wyprawy krzyżowe, wojownicy, widząc tak wspaniałe stroje, wystraszyli się przebranych w kolorowe fatałaszk „dzieci diabła”, a kobiety w adamaszkach i aksamitach uważano za kurtyzany. W tych czasach w Europie królował pokutny worek i ciężki czarny habit.

Po raz pierwszy jedwab zawitał do Europy za sprawą krawców przybywających z Bizancjum; ich statki przypłynęły do Catanzaro, mając na pokładzie cudowne, wielobarwne bele, które zawojowały Europę.

W Catanzaro około roku 1072, czyli w połowie epoki normańskiej, powstało pierwsze krosno do tkania jedwabiu i możemy sobie tylko wyobrazić, jak

wzbogacili się jego twórcy, wpadając na ten genialny pomysł. Tak jak za czasów Wielkiej Grecji Taranto słynęło z purpurowego barwnika uzyskiwanego z mięczaków, Sibari z bardzo jasnej wełny importowanej z Miletu, tak Catanzaro w średniowieczu uchodziło za centrum produkcji doskonałej jakości jedwabiu. Sprowadzony na Zachód jedwab szybko znalazł swych zwolenników i zawładnął włoskim stylem. Mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego porzucili zbyt ciężkie i bogate zdobienia Orientu na rzecz nowych, delikatniejszych, wręcz baśniowych wzorów. Nie tylko krawcy parali się tkackim rzemiosłem, także wielu mniichów i zakonników obdarzonych talentem malarskim, wyssanych na ziemi włoskiej z mlekiem matki, pracowało w ciszy klasztoru, projektując i komponując tkaniny z brokatu i adamaszku. Fantazja, poezja, wiedza o malarstwie, technika rysunku uczyniły tę dziedzinę nie tylko rzemiosłem, lecz także sztuką przez duże „S”, w której barwy, kunszt wykonania i oryginalność wzorów przewyższały dotychczas znane tkaniny.

Najmodniejszym kolorem była zieleń o wielu odcieniach, co odnotowują już dawne kroniki. Naiwnie myślę, że może właśnie natura posłużyła tu za wzór. Zieleń z Silano, nawet w największym upale, świeża, klarowna, intensywna, w jakiś tajemniczy sposób wybarwiała się na krosnach. Farbiarnia zawsze dążyła do uzyskania naturalnego odcienia. Tak więc kolor zielony, który zdaniem Oscara Wilde’a, noszącego w butonierce zielony goździk, „doceniają tylko ludzie o rozwiniętym guście artystycznym”, pobudzał modę Catanzaro już wiele wieków przed genialnym artystą.

Moda na jedwab przetoczyła się przez największe dwory Europy. Kunszt tkaczy z Catanzaro upowszechnił się także na Sycylii, we Florencji, w Wenecji, Genui i Lukce. Adamaszk i brokaty, aksamity i jedwabie zaczęły ozdabiać religijne i polityczne wiece. Jedwabne tkaniny widziały niejedną koronację i wystawne przyjęcie, brały udział w bankietach i turniejach, wzbogacając uroczystości szczytą prawdziwej sztuki, będąc dziełem najzdolniejszych artystów.

Ściany zdobione brokatami zastąpiły freski, zmuszone tym samym konkurować z nimi wzornictwem i kolorem. W 1470 roku zaproszono kalabryjskich mistrzów do Francji, aby tam promowali jedwabne materiały, co zapoczątkowało wielki przemysł w Tours i w Lyonie. Odtąd tkactwo nazywano zawodem kalabryjskim.

• • • • •

Jedwabie z Catanzaro były cenione nie tylko w Europie, lecz także na Wschodzie; przyplłynęły do Europy po cichu, teraz w nowej formie święcą sukcesy u wschodnich kupców. Miasto stało się bogate, a „krosno” jawi się jego oficjal-

nym symbolem. Władysław z Durazzo zwolnił tkaczy z wielu podatków, a cech w podzięce ofiarował mu zieloną, wyszywaną w złote gwiazdy szatę, tak ceną, że wzbudziła podziw całej Europy i przeszła do historii, podobnie jak słynny płaszcz utkany w starożytnej Grecji przez Alcystenesa⁸. Szatę z zielonego jedwabiu stworzono w 1396 roku, o czym wzmiankują kroniki. W 1519 roku Karol V, który otoczył swoich poddanych szczególną opieką, nadał cechowi tkaczy specjalne statuty, które przetrwały wieki. Catanzaro słynęło z targów jedwabnych tkanin; co piękniejsze egzemplarze wystawiano w kościele Świętej Klary przez okres dwóch tygodni. Do miasta ciągnęli kupcy ze wszystkich stron Włoch, Grecji, Holandii, Hiszpanii, zostawiając w miejskim skarbcu bogactwo, z którego Catanzaro żyło dostatnio. W ten sposób Europa okradziona przez barbarzyńców ze zbytków i luksusów została obdarowana wschodnim jedwabiem i zauroczyła się jego pięknem. W okresie renesansu niepozorna jedwabna bela rozrosła się do niebezpiecznej epidemii pożerającej całe bogactwa. W drugiej połowie XVII wieku jedna trzecia mieszkańców w piętnastotysięcznym Catanzaro zajmowała się tekstyliami, a w mieście pracowało tysiąc krosien. Jak na tamte czasy była to ogromna liczba. Kres tkactwu położyła zaraza, która zdziesiątkowała ludność miasteczka. Rzemiosło nie powróciło już do dawnej świetności.

Catanzaro słynęło nie tylko z krosien tkackich. W mieście (mówiąc metaforycznie) zaplatano też mocne nici w najszlachetniejszym gatunku. Skrzyżowały się tu wątki i osnowy nowej materii: patriotyzmu. Tak powstał ludzki substrat – „materiał” patriotów i bohaterów, słynnych w historii Włoch, zdobiony bogato krwistą purpurą, o blasku ognia, burzy i namiętności. Na przestrzeni stuleci miasto wydało znakomitych obywateli, przywódców czterech rewolucji skierowanych przeciw tyranii: pierwsza z nich miała miejsce w 1799 roku i skierowana była przeciw Burbonom, kolejna rebelia wybuchła w 1821 roku, później nadeszła Wiosna Ludów (1848) i na koniec lata 60. XIX wieku, kiedy to Catanzaro miało swój wkład w zjednoczenie Włoch. Nie da się tutaj wymienić ich wszystkich, lista jest naprawdę długa. Milczmy zatem, by nie urazić

8 Wystawny płaszcz sybaryty Alcystenesa był szatą (himationem) zdobioną i wzbogaconą drogimi kamieniami. Po założeniu go przez właściciela podczas uroczystości ku czci Hery, tenże poświęcił go bogini. W ten sposób cenny strój stał się częścią skarbu jej sanktuarium i od tego czasu był wielokrotnie pokazywany podczas corocznych świąt, zyskując sławę szczególnie cenniego artefaktu. Według arystotelesowskiego opisu, płaszcz był koloru fioletowego, mierzył 15 łokci długości (ponad 6,5 metra) i był ozdobiony z obu stron wizerunkami małych (tkanych techniką gobelinową) postaci, które przedstawiały m.in. długi szereg bóstw: Zeusa, Herę, Temidę, Atenę, Apolla, Afrodytę. Ciekawie temat przybliża (wraz ze wskazaniem źródłowych odesłań: Arystoteles, Plutarch) Angelo M. Piemontese. Por. Idem: *L'Atlante di seta*. „L'Uomo Società Tradizione Sviluppo” 1990, no. 2, s. 393.

bezimiennych tysięcy, zasłużonych dla sprawy. Ich miano jest bowiem wyjątkowe: Tkacze Wolności!

Herbem tych licznych, pozbawionych twarzy, bohaterów powinno być krosno, na którym krwistą purpurą i złotym ogniem poświęcenia utkano szatę wolności.

TAJEMNICZY KOŁOS NA JOŃSKIEJ PLAŻY

Droga wzdłuż doliny Fiumarella, prowadząca od Catanzaro aż do wybrzeża, odsłania nowe widoki morza i pól uprawnych. Po raz kolejny przed moimi oczami rozpościera się Morze Jońskie, wabiąc niepowtarzalnym kolorem przejrzystego akwamarynu.

Morze poetów, jedyne, które szczyci się tym, że użyczyło nazwy cywilizacji, stylowi architektonicznemu i poetyckiemu; morze, które często odwiedzałam we włoskiej części wybrzeża, od Santa Maria di Leuca i Gallipoli i dalej, stałe w swojej przezroczystości, jest królestwem plaż w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie sądzę, aby w całym basenie Morza Śródziemnego istniało europejskie wybrzeże tak bogate w drobny piasek i wygięte w delikatny łuk plaże.

Przez Włochów brzegi te są zaniedbane i uważane za zbyt suche i gorące. Jednakże, gdyby tylko poznali je turyści z Północy, zmuszeni do zadowalania się Ostendą i Scheveningen, Blanckenberge i Flissingen, Szczecinem i Gdynią, gdzie plaże otwierają się na szare, niemal białawe morza, z krajobrazem monotonnych wydm, gdzie najbardziej wyróżniającym się elementem pejzażu są eleganckie i kolorowe domki rozciągające się w niezliczonych rzędach jak okiem sięgnąć, wielobarwne parasole i bogato oświetlone dancingi, tym chętniej przybyliby na te otwarte, południowe, pełne słońca i drobnego piasku plaże!

Gdyby te tłumy znad Morza Północnego czy Bałtyku, drżące z zimna na wietrze nawet w sierpniu, korzystające zwykle z wątlęgo i mglistego światła, choć raz mogły doświadczyć czaru tych szerokich plaż, ostrego słońca leczącego nordycki reumatyzm, bogatej gamy kolorów, z pewnością odkryliby krainę marzeń wartą kilku dodatkowych godzin podróży pociągiem lub samolotem.

Z tym życzeniem rzucamy ostatnie spojrzenie na morze w przystani Catanzaro. W tych okolicach, na historycznym szlaku wzdłuż wybrzeża, czeka na nas jeszcze jedna z wielu niespodzianek. Mowa o ruinach Roccelletty, które rysują się w oddali na tle drzew oliwnych. Adriatyk ma swoją własną zagadkę architektoniczną, którą jest grobowiec Rotari na Monte Sant'Angelo w masywie Gargano; pomnik, którego twórca i przeznaczenie nie są znane. Podobną zagadkę

dla archeologów, historyków sztuki i pasjonatów skrywa Morze Jońskie, a są nią ruiny dawnego kościoła. Przeznaczenie tajemniczej budowli wydaje się jasne – pełniła ona funkcje sakralne, ale niezupełnie czytelne są nadane jej nazwy: Roccelletta, Santa Maria la Roccella, Roccella biskupa Squillace⁹... Jak, kiedy, przez kogo i dlaczego została wzniesiona tutaj, gdzie – jak okiem sięgnąć – rozciągają się gaje oliwne?

Czerwone ruiny majestatycznie kontrastują z otaczającą je zielenią. Cisza okalająca ich majestat sprawia, że wizyta na pewno nie zostanie zapomniana. Do dziś zachowały się ogromne wieże i wygięta absyda przecięta pojedynczymi ostrołukowymi oknami, ozdobiona blendami z ceglanyimi ramami. Ściana boczna oddzieliła się od absydy na skutek trzęsień ziemi, lecz ogromny mur czerwonych cegieł, przypominający rozmach rzymskich budowli, w dużej mierze oparł się atakom czasu, ludzi i natury.

Archeolodzy nie są zgodni co do czasu jego powstania. Niektórzy określają go na VI wiek, inni na XII wiek, wliczając w to epoki pośrednie. Detale architektoniczne wskazują na duże podobieństwo do świątyń arabsko-normańskich na Sycylii, co przybliżyła nas do czasów Rogera I, kiedy to dynastia normańska zapewniła pokój nieszczęsnej ludności, uciśnionej w wojnach między Arabami a Bizantyjczykami.

Ego architekta, który stworzył takie dzieło, odcisnęło piętno na całej konstrukcji i jej najdrobniejszych szczegółach – wielka to niesprawiedliwość, że czas ukrył na wieki jego imię.

Fascynuje nas zagadka tej ogromnej budowli znajdującej się w jednym z wielu dawnych obozów Hannibala w południowych Włoszech, w *Castra Hannibalis*. Kto wypełniał ławy podczas nabożeństw i obrzędów? Jeśli w pobliżu tętniło życiem miasto, jaki pomysł przyświecał budowniczym tak ogromnej

9 Squillace była dużą diecezją kalabryjską, leżącą w dobrach Roberta Guiscarda i Rogera I de Hauteville. Opactwo Santa Maria della Roccella zbudowano między końcem XI a pierwszą połową XII wieku na ruinach dawnego klasztoru bizantyjskiego, który z kolei powstał na pozostałościach rzymskiego miasta Scolacium. Wydaje się, że było to jedno z najbardziej efektownych opactw zbudowanych przez Normanów w Kalabrii. Odegrało ono dużą rolę w procesie latynizacji regionu. Budowlę wzniesiono w stylu romańskim z silnymi wpływami arabskimi i bizantyjskimi. W eleganckim wnętrzu udało się znaleźć równowagę pomiędzy typem architektury nawiązującej do grecko-stylowych budynków sakralnych a zachodnią funkcjonalnością. Opactwo wybudowano na planie trójapsydowego krzyża zakończonego bardzo długą kaplicą centralną. Kryptę i transept, wysunięte i podwyższone, nakryto sklepieniami krzyżowymi, natomiast dużą nawę przykryto drewnianymi kratownicami i oświetlono pięcioma oknami z każdej strony. Budynek został znacznie zniszczony przez gwałtowne trzęsienie ziemi w 1783 roku. Por. R. Spadea: *Da Skyllletion a Scolacium: il parco archeologico della Roccelletta*. Gangemi, Roma 1989.

świątyni w miejscu, gdzie pod jej sklepieniami mógł oddychać jedynie wiatr od morza i pól?

KUŹNIE KASJODORA

Nieco dalej, w sercu nieskazitelnej Zatoki Squillace, znajduje się chyba jedyne miejsce na całym wybrzeżu Morza Jońskiego, gdzie woda zbliżyła się do gór, zazwyczaj oddalonych od wybrzeża, tworząc malowniczy zakątek o długości pięciu kilometrów. To miejsce, z urzekającymi skałami i rafami, jest godne porównania do najpiękniejszych zakątków Riwiery Włoskiej, Riwiery Francuskiej i Zatoki Salerno.

Klif schodzący do morza sugestywnie porozrzucanymi skałami utworzył malownicze i doskonałe plaże. Droga wznosi się i pnie w górę, przypominając odcinek Via Aurelia niedaleko Alassio, choć brakuje tu sosen. Zamiast nich, rosną wszędzie kwitnące agawy i oleandry. Poniżej wybrzeża rozciągają się wąwozy, tajemnicze plaże niedostępne z lądu, kameralne zatoczki i ukryte jaskinie.

Dziś plaża Copanello wciąż czeka na odkrycie przez turystów. Morze Jońskie, w przeciwieństwie do innych mórz, jest świadkiem historii i doczekało się legend, o czym wspomina Wergiliusz w *Navifragum Scylaceum*. To właśnie tutaj zrodziły się dzieła i idee Marka Aureliusza Kasjodora, ostatniego wielkiego Rzymianina, który, wraz z Sewerynem Boecjuszem, zamyka epokę łacińskich filozofów i pisarzy. Kasjodor, pochodzący ze Squillace, pełnił wiele ważnych funkcji – był ministrem Odoakera, sekretarzem Teodoryka, kwestorem, prefektem pretorianów, patrycjuszem i konsulem rzymskim. Jako kanclerz barbarzyńskich władców – od Odoakera i Teodoryka po Atalaryka, Amalasuntę i Witigesę – Kasjodor miał dobry wpływ na wymienionych władców, godnie reprezentując majestat miasta Rzymu. Dzięki jego wysiłkom królestwo barbarzyńców weszło w orbitę oddziaływania cywilizacji rzymskiej, przez co ona sama uniknęła całkowitego zniszczenia.

Filozof, historyk, polityk, człowiek nauki i czynu kontynuował tradycje italskiej szkoły z Crotone, choć w innej już epoce, w VI wieku naszej ery. Nie wszystkie jego dzieła przetrwały do naszych czasów – te, które znamy, są największym skarbem epoki Gotów i późnego Rzymu. Jednak jego prawdziwe dziedzictwo, niezwykle istotne z historycznego punktu widzenia, nie tkwi w *Regolamenti* Teodoryka, *Edyktie* Atalaryka ani w XII księgach *Listów*¹⁰, które były

10 Najważniejsze dzieło Kasjodora Senatora (*Variae*) to „zbiór dokumentów królów ostrogockich, mający ukazać większość przejawów działania państwa, któremu Kasjodor służył. Zbiór

podstawą rządów w imieniu władców Gotów. Jego największą zasługą nie są również liczne dzieła historyczne, filozoficzne i literackie, ani nawet pomysły inżynierskie – stawy hodowlane, które jako współrządca Lukanii i Brezii¹¹ kazał utworzyć na brzegu morza, co do dziś upamiętnia nazwa jednej z lokalnych fontann.

Najcenniejszym darem Marka Aureliusza Kasjodora dla ludzkości jest ogromna ilość cennych dzieł greckich i łacińskich, skopiowanych w jego klasztorze i zachowanych w ten sposób dla cywilizacji i kultury. Umożliwiły mu to dwa założone przez niego klasztory Vivariense i Castellense, gdzie przyjął regułę św. Benedykta i pełnił funkcję pierwszego opata aż do swojej śmierci

ten został skompilowany najpewniej około 540 r. (jeszcze przed upadkiem państwa ostrogockiego), aby choć częściowo ukazać czas panowania Ostrogotów w pozytywnym świetle. Księgi I–V zawierają listy Teodoryka, VI–VII to *formulae*, dotyczą sprawowania różnych urzędów, księgi VIII–IX – panowania Atalaryka (lata 526–534), a księga X to listy redagowane w imieniu Amalasundy (odpowiadała ona też za listy pisane w imieniu małoletniego syna Atalaryka aż do jego śmierci), następnie są tam listy jej męża Teodahada (który ją zamordował), a także listy Witigisa, ostatniego ostrogockiego władcy Italii z dynastii Teodoryka”. Kompilacyjny charakter omawianego korpusu dokumentów – jak zauważa M. Wojcieszak – sprawia, że „Kasjodor nie przekazał nam wszystkich listów królewskich, a jedynie te, które uważał za najważniejsze i w jego opinii kształtujące obraz ostrogockiego państwa, ale mimo tego *Variae* stanowią bardzo cenne źródło do badań I poł. VI w. Są to listy z kancelarii królewskiej, a zatem każdy z nich wpisuje się w model dyplomacji stosowanej przez korespondujące ze sobą dwory. Z oczywistych względów listy te zawierają pewne stwierdzenia i toposy, które zaburzają prezentowany obraz, m.in. powtarzające się wymiany uprzejmości czy idealizacja Teodoryka. Są wszakże cennym źródłem z pogranicza późnego antyku i wczesnego średniowiecza, ukazującym realia gospodarcze, polityczne i społeczne świata rodzącego się na gruzach zachodniej części Cesarstwa Rzymskiego”. Por. M. Wojcieszak: *Kilka uwag na temat obrazu „idealnego władcy” Teodoryka Wielkiego w świetle „Variae” Kasjodora Senatora (część pierwsza)*. „Studia z Dziejów Średniowiecza” 2023, T. 26, s. 304–305. Monumentalną edycję dzieła otrzymał ostatnio polski czytelnik. Por. Kasjodor Senator: *Variae*. Tłum. A. Kołtunowska: Przedmowa i księgi I–V i IX oraz R. Sawa: księgi VI–VIII i X–XII. Rewizja przekładu i oprac. M. Ożóg, H. Pietras. Wydawnictwo WAM, Kraków 2017.

11 Może Alberti ma na myśli historyczną krainę w antycznej Italii znajdującą się w południowej części Półwyspu Apenińskiego, rozciągającą się wzdłuż Cieśniny Mesyńskiej, o nazwie Brutium (Brucjum)? Na wybrzeżach ziemia ta została silnie skolonizowana przez Greków i wraz z Lukanią, Kalabrią i Apulią stanowiła w antyku część tzw. Wielkiej Grecji. W kontekście aktywności Kasjodora postawienie takiej hipotezy graniczy z pewnością, gdyż już jego ojciec sprawował urząd prefekta tego obszaru: „Kasjodor Senator wywodził się z rodziny arystokratów, w której trudniono się służbą w administracji państwowej. Ojciec Kasjodora pracował dla Odoakera. Porzucił jednak tę służbę jeszcze przed porażką Odoakera, przechodząc na stronę ostrogocką. Niemniej zarówno za rządów Odoakera, jak i Teodoryka pełnił funkcję prefekta Brucjum i Lukanii, a następnie prefekta pretorium. Posiadał również zaszczytny tytuł patrycjusza”. Cyt. za: M. Wojcieszak: *Kilka uwag na temat obrazu „idealnego władcy” Teodoryka Wielkiego...*, s. 301–302.

w wieku 95 lat w 575 roku¹². Kasjodor nauczał swych braci, że praca kopistów podobna jest do „głoszenia słowa wierną ręką, mowy wiedzionej palcami i walki atramentu z oszustwami piekielnymi”. Wszystkie te zabiegi znakomicie ilustrują, jak ostatni z Rzymian, podobnie jak św. Benedykt, znalazł sposób na uratowanie dorobku intelektualnego Rzymu przed nacierającą falą barbarzyńców. A było nim zachowanie i przekazanie wiedzy.

Fundacje Kasjodora dały początek ogromnej bibliotece, która później została rozdzielona między mniejsze ośrodki i klasztory bazylikańskie. Wiele z tych zbiorów, wzbogacając całą historię średniowiecza, przetrwało do dziś.

Przeczytałam nie tak dawno, że w obliczu nadchodzącej inwazji – czy to barbarzyńskiej, czy atomowej – grupa amerykańskich naukowców postanowiła zebrać i przechować pod ziemią w bezpiecznym miejscu wszystko, co najlepsze w dorobku naszej cywilizacji, aby ocalić go dla przyszłych pokoleń. To współczesna wersja działań Kasjodora, model AD 1950. Jednak jaka jest różnica między tymi, którzy niegdyś wysiewali owocorodne nasiona w ludzkich duszach, by nieustannie kiełkowały i kształtowały je, a opancerzonymi i przeciwbombowymi schronami, w których przechowuje się wybrane elementy dziedzictwa współczesnej cywilizacji i kulturowego dorobku? Może ważniejsze jest wspieranie młodych talentów niż bezpieczne i zachowawcze ukrywanie ziaren jak w znanej ewangelicznej przypowieści.

12 Historyk zachodniej cywilizacji, Rémi Brague, powie: „[...] patrycjusz rzymski, Kasjodor, założył w Kalabrii szkołę-klasztór pod nazwą *Vivarium*. Łączenie pracy z liturgią godzin należało do tradycji życia pustelniczego. *Vivarium* wyróżniało się jednak tym, że centrum konwentu stanowiła biblioteka, a praca mnichów polegała przede wszystkim na kopiowaniu manuskryptów, poprawianiu [...], a niekiedy tłumaczeniu ich z greki. Celem było przechowanie literatury chrześcijańskiej, lecz także dzieł medycznych. Kasjodor naśladował pewien wzór – jak sam otwarcie przyznaje na początku swoich *Institutiones*, zainspirowała go szkoła w Nisibis, monastyczna szkoła syryjska, znajdująca się w miejscu, gdzie dziś przebiega granica Turcji i Syrii. Dzieło Kasjodora jest również jednym z rzadkich śladów pierwszej *translatio studiorum* między Środkowym Wschodem a Europą”. Za: R. Brague: *Przekazywanie dziedzictwa antyku*. Tłum. P. Mikulska. „Ethos” 2015, nr 1, s. 51. Topograficzne szczegóły miejsca i sposób zorganizowania fundacji przybliżył swego czasu Mikołaj Lohr: „Wydaje się, że klasztor *Vivarium* miał osobne mieszkania dla mnichów żyjących wspólnie, cenobitów (*coenobii*) i ta część klasztoru nazywała się właśnie *Vivarium* i w niewielkiej odległości osobne mieszkania, eremy, otoczone murem na górze *Castellum*, dla mnichów wewnętrznie urobionych, żyjących na sposób anachoretów (*anachoretarum*). Kasjodor wyraźnie wspomina (w swoim piśmie, zatytułowanym *Institutiones* – przyp. Redaktorów) o dwóch opatach, Chalcedoniuszu i Geroncjusz. Być może, że jeden z nich był opatem *Vivarium*, a drugi *Castellum*”. Cyt. za: M. Lohr: *Kasjodora klasztor Vivarium*. „Studia Warmińskie” 1965, nr 2, s. 375.

KWIAT Z KAMIENIA I MAGICZNA TRAWA CONSOLINO

Kto wie, czy widok góry o charakterystycznym kształcie, tak jak obserwujemy ją dziś wczesnym rankiem, kusił nielicznych mieszkańców ubogiej wioski obietnicą schronienia przed malarią i najazdami Saracenów. Głównie to zagrożenie sprawiło, że osadnicy starożytnego miasta Stilida przenieśli się wyżej na bezpieczniejsze tereny i założyli nowe osiedle, Stilo. Byli ostatnimi spadkobiercami chwalebnej nazwy Kaulonia, części cywilizacji Wielkiej Grecji. Kaulonia, położona między potężnymi rywalami, Locri i Crotone, podzieliła los typowy dla małych miast: wzbudziła zainteresowanie większych sąsiadów i została zniszczona podczas najazdu Dionizjusza Starszego z Syrakuz; później żyła zaś skromnie w cieniu Locri.

Autobus wspina się w skalistym krajobrazie i zatrzymuje u stóp największego syna tej ziemi, którego ślad przybyliśmy odkryć: ojca Tommaso Campanelli, uwiecznionego w rzeźbie z brązu autorstwa Ermeta Gizzeriego.

Na szczycie, wtopiony w górską ścianę, wyrósł najbardziej egzotyczny kwiat z kamienia, jaki można zobaczyć w Kalabrii: słynna bazylika Cattolica. Jej bryła to kamienny sześcián, ozdobiony urokliwym diademem z pięciu wieżyczek i kopuł. Od frontu, zawieszone nad przepaścią, wyrastają trzy absydy, inkrustowane wzorami na modłę arabską i kontrastujące z całością ozdobną cegłą. Pełnią one funkcję fasady, gdyż ta rzeczywista zwrócona jest ku ścianie góry. Wejście do skrywającego skarby wnętrza świątyni znajduje się z boku. Pozostaje zagadką, jak artysta na planie kwadratu o boku sześciu metrów zdołał zmieścić bazylikę z trzema nawami.

Cztery kolumny dzielące wnętrze świątyni były świadkami adoracji różnych bóstw; być może niektóre z nich pochodziły ze słynnego sanktuarium w Kaulonii. Prosta wiara pierwszych mieszkańców zaadaptowała je do nowego celu, wyrównując ich wysokość podstawą odwróconych kapiteli. Na jednej z kolumn nieznaną osobę wyryli wokół krzyża greckie wyznanie wiary: „Bóg jest Panem, który się nam objawił”.

Bazylika łudząco przypomina świątynię z Rossano, lecz jest pewna różnica: w Rossano zamiast kolumn, zbudowano filary. Dekoracja zewnętrzna jest tutaj bogatsza, rozwój techniki budowniczej pozwolił na zastosowanie nowatorskich łuków i kopuł. Jeszcze bardziej malownicze jest położenie kościoła na zboczu góry, a panorama, która się z niego roztacza, jest wspaniała.

Tak jak Rossano związane jest z postacią św. Nila, tak Stilo ma swego przedstawiciela w św. Giovannim Terestim, żniwiarzu.

W Stilo chcemy spędzić cały dzień. Planujemy wspiąć się śladami świętego do San Giovanni Vecchio, zabytkowego klasztoru, w którym żył, malowniczo położonego wśród gór.

Jednak gdy wychodzimy z bazyliki Cattolica, niebo niespodziewanie zaciąga się szarością, a grzmoty huczą w wąwozie imponującym echem. Huragan zaczyna szarpać niebieski płaszcz nieba. Przyspieszamy powrót, ograniczając się do podziwiania z dołu ruin średniowiecznego zamku zbudowanego na szczycie góry, zazdroszcząc wspaniałego widoku turystom, którzy się tam wspięli. Schodzimy szlakiem w podmuchach bliskiej już burzy. Nie mamy nawet czasu, aby zatrzymać się i poszukać magicznej trawy. Legenda głosi, że wśród skał Consolino rośnie zaczarowana trawa, obdarzająca niezwykłą mądrością. Kiedyś, przed wiekami, chłopiec imieniem Novello Glauco zjadł tę trawę i zdobył mądrość przewyższającą wszystkich ludzi. Słynął z dobrej pamięci i pięknie układał wiersze; gdy zmężniał, stworzył własną doktrynę, a jego dorosłe życie naznaczone było nieszczęściem. Świat znał go jako Tommasa Campanellę. Może to i dobrze, że burza uniemożliwiła nam znalezienie magicznej trawy; nadmiar mądrości może przynieść także wielkie cierpienia¹³.

ZAPALIŁEM ŚWIATŁO...

Narodziłem się, aby wykorzenić trzy skrajności

.....

Tyranię, sofizm, hipokryzję.

Głód, wojny, zaraza, zazdrość, oszustwo,

Niesprawiedliwość, rozpusta, lenistwo, pogarda,

Wszystko to posłuszne jest tym skrajnościom

Bo w ślepym samouwielbieniu, godnym synu

ignorancji, korzeń i pożywkę mają.

Zatem przybywam, by wykorzenić wszelką ignorancję.

W ten sposób Settimontano Squilla, mało znany poeta¹⁴, zapowiada doktrynę Campanelli, filozofa, polityka, socjologa, alchemika, maga i więźnia.

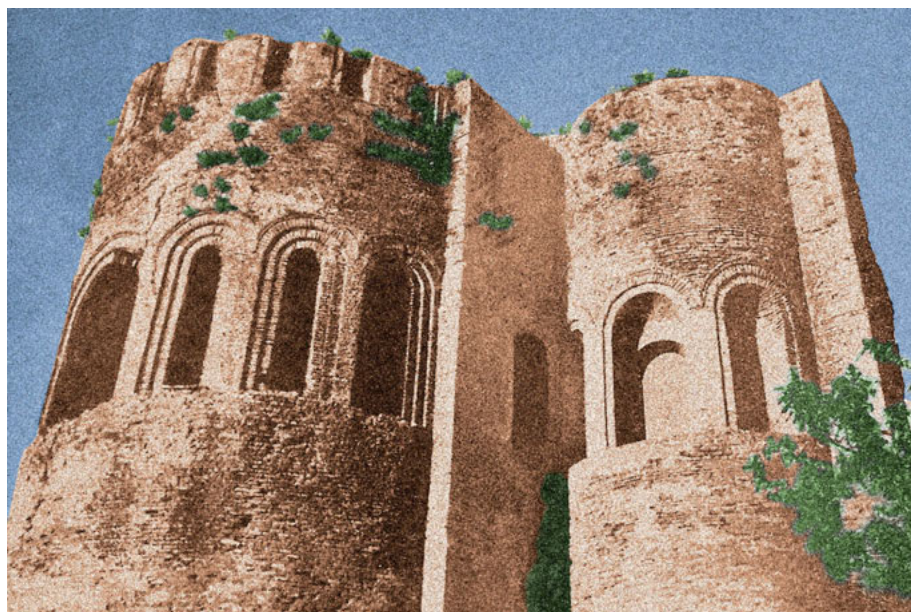
Górskie granity Kalabrii obdarzyły jego duszę niezłomną siłą, niezbędną do stawienia czoła nadchodzącym wyzwaniom. Dzwon, z napisem „Non tacebo” („nie zamilknę”), będzie przypominał o jego nieprzerwanym zobowiązaniu.

13 Nawiązanie do biblijnej *Księgi Koheleta*: „bo w wielkiej mądrości – wiele utrapienia, a kto przysparza wiedzy – przysparza i cierpień” (Koh 1,18).

14 Settimontano Squilla to oczywiście pseudonim samego Tommasa Campanelli.



...w jednym z miejskich ogrodów z pięknym widokiem na kalabryjski krajobraz



Czerwone ruiny majestatycznie kontrastują z otaczającą je zielenią

Jońskie *genius loci* odkryje przed nim dociekliwego ducha Pitagorasa, polityczną mądrość starego Kasjodora oraz umiejętności Zaleuco, surowego prawodawcy. Imię jego samo w sobie jest ostrzeżeniem.

Jako poprzednik Newtona i Locke'a oraz rywal Bacona, przybywa tutaj, w cień skalistego Monte Consolino, we wrześniu 1568 roku i, będąc już w dojrzałym wieku, rozpoczyna studia nad literaturą. Ułatwiło mu to wstąpienie w szeregi dominikanów i przybranie imienia Fra Tommaso.

Gdy stary Bernardino Telesio, który sprzeciwiał się doktrynie Arystotelesa i dominującemu *Ipse dixit*, zbliżał się do końca swoich dni, młody Campanella czuwał przy jego łożu śmierci. Telesio, jako jeden z pierwszych myślicieli, domagał się prawa do postrzegania świata takim, jakim się przed nim ukazywał. Po jego śmierci dziedzictwo to przejmie Campanella.

Młody mnich w Neapolu publikuje swoją pierwszą pracę, *Philosophia, sensibus demonstrata*:

Żyliśmy w mroku. Wielu pogrążonych
Było w Ignorancji; a oploteni muzycy
Ośladzali ten niegodziwy letarg.
Czujni rabowali zaszczyty
Majątek, krew i stawali się mężami
Każdego rodzaju i wyszydźali nieszczęśliwców.
Zapaliłem płomień.

Jednakże świat, który od wieków żyje w ciemności, nie toleruje tych, którzy przychodzą, by porazić blaskiem jego niewprawne oczy. Dlatego zakonnik, który zbyt mocno pragnie światła i posługuje się surowym językiem, w obliczu powszechnej niechęci musi zmienić otoczenie. W kolejnych latach spotykamy więc Campanellę w Rzymie, we Florencji i w Padwie.

Święta inkwizycja bacznie śledzi jego kroki. W Bolonii Campanella odkrywa, że z jego bagażu zniknęły rękopisy, które później odnajduje w aktach sądowych inkwizycji, wezwany przed jej oblicze. Jednak Trybunał okazuje się dla niego łaskawy, nakazując mu powrót do Stilo, gdzie łatwiej o nadzór nad niepokornym myślicielem. Dziś nazwalibyśmy to „repatriacją” z obowiązkowym nadzorem.

W tym czasie Królestwem Neapolu z miernym skutkiem rządzi Ferdinando Ruiz de Castro, hrabia Lemos, wicekról Filipa III, władcy Hiszpanii. Niezadowolenie z wysokich podatków i zaniedbania w stosunku do miejscowej ludności przyczyniły się do wzrostu społecznego gniewu. Zwłaszcza zubożała,

nękana najazdami Saracenów Kalabria znalazła się na skraju przepaści. W końcu zawiązała się intryga, w historii znana jako spisek hrabiego Lemos: wzięło w nim udział trzynastu zakonników, kilku biskupów oraz wielu baronów. Naturalnie, brat Tommaso ze Stilo, uznawany za inspiratora i pomysłodawcę tego przedsięwzięcia, zamierzał wykorzystać sytuację, by wprowadzić nowe porządki w niepodległej Kalabrii zgodnie z własną teorią wyłożoną w dziele *Miasto Słońca*.

Historycy, kiedy przychodzi im oceniać Tommasa Campanellę, dzielą się na dwa obozy, które spierają się niczym przekupki na targu. Dla niektórych jest on niewinnym jagnięciem, wpłatanym w intrygi przez zazdrosnych wrogów, podczas gdy inni widzą w nim czarny charakter, wichrzyciela, który nie waha się nawiązać sojuszu z barbarzyńcami, by wcielić w życie rewolucyjne idee i zaspokoić prywatne ambicje. Sądzę jednak, że człowiek pewny misji, potrafiący streścić własne życie w wersach, wierny zasadom publicznego porządku:

Lud to zwierzę próżne i wielkie,
Nie zna swej siły, jest zawsze w udręce.
Cierpi ciężary, kijami bity,
Chłopiec go wiedzie, co jest słabowity,
Lud łatwo może kres położyć męce.

...człowiek, który przez całe życie doradzał cesarzom, papieżom i królom, nie powinien być postrzegany jako pozbawiony możliwości wdrażania własnych wizji – pomysłów, mających na celu poprawę warunków życia lokalnej ojczyzny. Działał on wszak na rzecz wolności Kalabrii; układał się potajemnie z tureckim dowódcą Hassanem Cicalą, chrześcijańskim renegatem, wielkim wezyrem i dowódcą tureckiej floty, piratem, który wyrzekł się wiary. Kto wie, może chciał być Scanderbegiem na włoskiej ziemi. Można napisać o nim opasłą biografię, tak barwne i ciekawe było to życie. Interesujące są zwłaszcza pewne zbieżności między niekiedy naiwnymi zeznaniami świadków w neapolitańskim procesie a późniejszymi ideami przedstawionymi w *Mieście Słońca*.

Spisek zostaje ujawniony na skutek donosu dwóch członków tajnego stowarzyszenia Sędziego Cario Spinelli, przysłany specjalnie z Neapolu, oraz Luigi Xarava, śledczy z Catanzaro, stosując ówczesne metody przesłuchań: powieszenie, ćwiartowanie i inne brutalne tortury. Campanella wstrzymuje pracę nad tragedią o Marii Stuart i ucieka z miasta. Zostaje aresztowany we wrześniu 1599 roku i przewieziony w kajdanach do Neapolu. Tak zaczyna się jego tragiczna odyseja.

Oskarżony o herezję i skazany na dożywotnie więzienie mocą wyroku świętej inkwizycji Campanella spędza dni w więzieniu w Neapolu, oczekując na potwierdzenie ostatecznego wyroku w sprawie spisku. Sam napisze, że był wielokrotnie torturowany i przebywał w pięćdziesięciu różnych więzieniach.

Castel Nuovo, Castel Sant'Elmo, potem Castel dell'Uovo, przenoszony z miejsca na miejsce, z celi do celi. Raz doznaje ulgi, czasem zaś tortury przybierają na intensywności. Raz pozwalają mu nauczać, innym razem jest więziony w ciemnej, zalanej wodą piwnicy. Broni się, nie poddaje. Próbuje udawać szaleńca, widzi szatana we własnej celi. Przez cały ten czas zasypuje listami przyjaciół i wpływowych arystokratów. Chyba nie było w historii większego oryginała.

Jego proces nigdy się nie odbył. Miał wielu sprzymierzeńców nawet w randze wicekrólów, choćby księcia Osuny (który spiskował w celu uzyskania tronu Hiszpanii, kto wie czy nie zainspirowany rozmowami z Campanellą), który raz był mu przyjacielem, a raz wrogiem. Kiedy w 1620 roku podjęto działania mające na celu jego uwolnienie, okazało się, że jego akta zniknęły z kancelarii sądu! Z pewnością stał za tym ktoś wpływowy.

Dopiero wraz z objęciem tronu przez Filipa IV papież Urban VIII uwalnia skazańca i każe przyprowadzić go przez swoje oblicze. 15 maja 1626 roku Campanella opuszcza neapolitańskie więzienie. Spędził tam 27 lat!

Jeszcze przez trzy lata pozostawał więźniem rzymskiego zakładu, choć ten czas odosobnienia rekompensowała papieska przyjaźń. Doradzał on głowie kościoła w sprawach magii i przepowiadania przyszłości. Odzyskał on wolność po trzydziestu latach spędzonych w więzieniach i otrzymał rentę papieską.

Nie cieszy się długo spokojem. Jest zbyt ważny, zbyt niebezpieczny. W głowie buntownika pulsują rebelianckie idee, sam siebie nazywa Settimontano Squilla, poetą. Wiele jego dzieł, uchodzących za mniej kontrowersyjne, czytano w całej Europie. Znany ze swej bezkompromisowości – wziął w obronę Galileusza i głoszone prze niego idee. Papież, popierający teraz sprawę hiszpańską, nie potrzebuje już jego prorocत्व, zdaje się o nim zapominać. Wśród kardynałów krążą już głosy: „To nowy Kalwin, drugi Luter! Najgorsza ze zmił gnieździ się w naszym ciele!”.

Rzym leży zbyt blisko Neapolu, więc przyjaciele zaczynają poszukiwać dla niego bezpiecznego miejsca. Campanella trafił ostatecznie na francuski dwór, gdzie Richelieu z całą mocą zaangażowany był w antyhiszpańską politykę. Czy może istnieć lepsze schronienie dla człowieka tak bardzo znienawidzonego przez Hiszpanię?

I tak oto, pod koniec października 1634 roku, brat Lucio Bernardi, mnich z zakonu minimów, przybywa do Marsylii. To właśnie pod tym imieniem ukrywa się Campanella. Jeszcze jeden Kalabryczyk trafia na dwór Francji, witany

z wszelkimi honorami. 9 lutego 1635 roku Campanella zostaje przedstawiony królowi, który dwukrotnie obejmuje go na oczach całego dworu i bierze pod swoją opiekę. Sto pięćdziesiąt dwa lata wcześniej dwór francuski był świadkiem równie niezwykłej sceny w Tours, gdy król na kolanach przyjął innego syna tej ziemi – św. Franciszka z Paoli. Wówczas francuski władca składa hołd świętości Kalabrii; tak jak teraz czci jej mądrość.

Mądrość ta skrywa w sobie również tajemnicze moce. To ona przepowiada królowej – kobiecie dotkniętej niepłodnością – narodziny Ludwika XIV, ona również wskaże datę jego własnej śmierci.

Richelieu docenia polityczną przenikliwość swego gościa i często się z nim konsultuje. Campanella umiera 21 maja 1639 roku, lecz nawet po śmierci nie zazna spokoju. Jego szczątki zostaną zbezczeszczone podczas rewolucji.

Sporządzony naprędce rys biograficzny pokazuje, jak Campanella w swoich działaniach łączył moce intelektu z odruchem serca. Jego mądrość, filozoficzne dywagacje i nowe idee nie ograniczały się wyłącznie do sfery teoretycznej, lecz były przez niego realizowane, nawet kosztem potencjalnych ofiar. Od Pitagorasa do Campanelli można wytyczyć prostą linię – obaj nie potrafili zadowolić się wyłącznie teorią, lecz starali się nadać realną formę swoim ideom.

Podobnie jak Gioacchino da Fiore próbował realizować swoje wizje w zakonie florenckim, św. Franciszek z Paoli w Zakonie Minimitów, a Pitagoras w Syne-drionie, tak też Campanella próbuje spiskiem i rewoltą wywrócić do góry nogami porządek publiczny, zaczynając od Kalabrii.

Pomimo trudności, które napotkał, nie stracił wiary w misję i wizję sprawiedliwszego społeczeństwa. Jego życie i dzieła dowodzą, że nawet w najtrudniejszych okolicznościach prawdziwy upór może prowadzić do próby zmiany świata, choćby tym światem była tylko Kalabria. Ogromna siła ducha, wyjątkowa wytrzymałość fizyczna, upór w kwestiach, co do słuszności których był przekonany, niezłomność podczas najcięższych prób, przekonanie o wartości cierpienia w słusznej sprawie, odwaga w głoszeniu własnych idei, nawet tych najśmielszych – oto wspólne cechy, które łączą największych bohaterów Kalabrii.

Dziś, w spokojnym Stilo, posąg Campanelli rozświetla swym majestatem i miejsce jego urodzenia, i epokę, w której przyszło mu żyć. A także świat, który niczym naiwne dziecko marzy o *Mieście Słońca*, nie mając pojęcia, jak tam dotrzeć. Mając w pamięci tortury, które zniósł z kalabryjską hardością godną dantejskiego Kapaneusa, Campanella zachęca Cię, Czytelniku, tymi słowami: „Chciałbym tylko napomknąć jeszcze, że oni niezbitie dowodzą wolnej woli człowieka i twierdzą, że jeżeli czterdziestogodzinne potworne tortury, którym poddali pewnego cenionego wśród nich filozofa 155 wrogowie, nie zdołały

wymusić na nim ani słówka pożądanых zeznań, gdyż postanowił w duchu milczeć, zatem i gwiazdy, które wpływają z daleka i łagodnie, nie mogą zmusić nas do działania wbrew naszemu postanowieniu”¹⁵.

MATERIA WYBUCHOWA

Czy znajdzie się temat, którego Campanella nie poruszył w swoich pismach? Czy istnieje choćby jeden problem, dla którego nie zaproponowałby rozwiązania? Nawet dzisiaj świat daleki jest od realizacji choćby części koncepcji głoszonych przez niepokornego mnicha w tak mrocznych czasach. Minęły wieki, świat trząsł się w posadach, wywrócił kilkakrotnie do góry nogami, raz w dobrą a raz w złą stronę. Problemy, które dręczyły niegdyś umysły kilku wybrańców, przeniknęły do codziennego życia zwykłych ludzi i wprowadziły wiele nie wiadomych, dla których pilnie usiłujemy znaleźć rozwiązanie. Dzisiaj, w połowie XX wieku, rozpoznajemy w Campanelli nie tylko prekursora wielu współczesnych myśli, ale także propagatora przyszłości.

Campanella nie był jedynie teoretykiem. Nie zadawał wyłącznie pytań ani nie wyrażał tylko wątpliwości. Na jedne i drugie znajdował własne odpowiedzi i rozwiązania. Można dyskutować, w zależności od własnego osądu, o ich słuszności, jednak każdy musi przyznać, że były one logiczne – szkoda, że niektóre z nich przepadły w mroku dziejów. Być może było to niemożnością ich realizacji – dopóki człowiek nie zmieni mentalności, swojego sposobu patrzenia na życie, na siebie i na innych, dopóty pozostaną tylko teorią.

Utopia... Ludzkość jednym gestem odrzuciła takie marzenia. Utopie mogą być niebezpieczne. Dlatego postać Campanelli została sprowadzona do wąskiego kręgu uczonych, a jego myśl traktowana jako materiał wybuchowy, z którym należy obchodzić się ostrożnie. Jako filozof, polityk i duchowny, nie zdobył uznania i sławy, jakie zyskało wielu mniej godnych myślicieli. Groźne to zabawy odbezpieczonym zapalnikiem. Nie do pomyślenia, że w tak odległych czasach publikowano teksty o tak dużej sile rażenia.

Pozwoliłam sobie na kilka dygresji w powyższych rozważaniach, choć powinienam być zwięzła i powściągliwa. Gdybym miała jednak wiernie rekonstruować dziedzictwo myśli filozofa – musiałabym poświęcić autorowi *Miasta Słońca* całą książkę.

15 T. Campanella: *Miasto słońca*. Oprac. R. Brandwajn, przeł. L. i R. Brandwajnowie. Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1994, s. 101.

„Im więcej zakazów, tym grunt bardziej podatny na heretyków” – tak oto w czasach inkwizycji Campanella przeciwstawia się dogmatom. Według niego jedynym niepodważalnym pryncypium jest rozum. Z nim wszyscy się zgadzają.

Człowiek ma dwie boskie księgi przed sobą: świat i *Pismo Święte*. Jeśli poznanie natury zmusza, w imię postępu nauki, do odmiennej egzegezy, to dzieje się tak dlatego, że błędnie ją interpretowaliśmy i nie pozostaje nam nic innego, jak tylko uznać swój błąd. Dogmaty są bowiem tymczasowe, nie wieczne. Ustanowione w każdej epoce przez sobory, dostosowane do mentalności danego czasu, dostosowane do mentalności i postępu danej epoki.

Tak na początku XVII wieku, w okresie kontrreformacji, odważył się pisać człowiek prześladowany, więziony, torturowany. W 1616 roku opublikował *Obrońcę Galileusza*, w którym to dziele domagał się, by Kościół uzgodnił swe stanowisko doktrynalne z postępowaniem nauki. Być może z racji swego konciliacyjnego charakteru, Campanella przedstawia papieżowi Grzegorzowi XV projekt instytucji misyjnej, która później przerodzi się w Kongregację ds. Ewangelizacji Narodów.

W 1618 roku proponuje zwołanie powszechnego soboru głównych religii świata: chrześcijańskiej, żydowskiej, mahometańskiej, aby władcy „po złożeniu bestialskiego, wojennego oręża, oraz broni słownej właściwej sofistom, według boskiej i ludzkiej logiki, porozumieli się we wszystkich kwestiach”.

Zwróćmy uwagę na ponadnarodowe instytucje. Po trzech wiekach dzielących nas od śmierci Campanelli ziściło się marzenie cara Mikołaja II, które przybrało formę pięknego Pałacu Pokoju w Hadze¹⁶. Po raz pierwszy wojna

16 Rekonstruuąc kulisy utworzenia Stałego Trybunału Arbitrażowego – Konrad J. Marciniak napisze: „Car Rosji, Mikołaj II, skierował zaproszenie na konferencję międzynarodową w sprawie pokoju do 26 państw mających swoją reprezentację dyplomatyczną w Petersburgu, a także do Luksemburga, Czarnogóry i Tajlandii (Syjamu). Konferencja rozpoczęła się 18.5.1899 roku i uczestniczyli w niej przedstawiciele wskazanych 26 państw (z 59 istniejących wówczas) oraz, naturalnie, samej Rosji. W przeciwieństwie do dotychczasowych konferencji pokojowych, ta była zwołana nie w celu ustalenia sposobu (warunków) zakończenia konfliktu zbrojnego, ale raczej w celu niedopuszczenia do wybuchu kolejnych i/lub ograniczenia pewnych sposobów prowadzenia wojny i działań militarnych”. Cyt. za: K.J. Marciniak: *Arbitraż z perspektywy rozwoju historycznego prawa międzynarodowego*. W: *Arbitraż w prawie międzynarodowym*. Red. C. Mik. Wydawnictwo C.H.Beck, Warszawa 2014, s. 21. Paradoksalnie, marzenie o pokoju jednego z największych satrapów w Europie zaczęło przybierać realną postać. W roku 1907 zorganizowano w Hadze drugą konferencję, w ramach której zainicjowano także budowę siedziby Trybunału (Pałacu Pokoju). Uczestnicy spotkania mieli okazję obserwować ceremonię wmurowania kamienia węgielnego. Fundatorem inwestycji był amerykański przemysłowiec, milioner i filantrop – Andrew Carnegie. Uroczyste otwarcie pałacu z udziałem holenderskiej królowej Wilhelminy miało miejsce 28 sierpnia 1913 roku. Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał rozruch najważniejszej instytucji utrzymującej ład prawny na świecie. Dziś ten neorenesansowy budynek jest siedzibą Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości oraz Stałego Trybunału Arbitrażowego.

pokrzyżowała plany zaprowadzenia światowego ładu. Po raz wtóry nie udało się zapobiec katastrofie, czego symbolem jest nieukończony projekt Ligi Narodów w Genewie¹⁷. Organizacja Narodów Zjednoczonych buduje obecnie w Ameryce całe miasto¹⁸. Kiedy światu zagroziła broń atomowa – jedyną formą ratunku okazały się zabiegi polityczne: sofizmaty proceduralne, komitety i podkomitety, intrygi korytarzowe, weta...

W *Mowach do książąt włoskich* Campanelli kiełkuje idea zjednoczenia narodów. Każdy zrzeka się części swojej suwerenności, redukuje zbrojenia. Tworzy się wspólną armię, aby egzekwować decyzje rządu międzynarodowego. Podwójny uniwersalizm, rzymski i katolicki, znajduje w projekcie Campanelli swój wyraz. Wszystkie narody są, pod pewnym względem, „chrześcijańskie”, równe przed Bogiem, z identycznymi prawami i obowiązkami. Wszystkie wysiłki muszą dążyć do jedności, przezwyciężenia podziałów, różnic, niesprawiedliwości: do przywrócenia ludziom ideału zjednoczenia!

Wielkie idee nie odciągają go od pomniejszych kwestii. W pismach tego „siemdemnastowiecznego Leonarda” merytorycznie podchodzi się do magii i matematyki, fizyki i medycyny, ekonomii i religii, polityki i astronomii. Wskazuje on środki zaradcze przeciwko syfilisowi, rozprawia o głuchocie i przepuklinach. Daje doskonałe porady dotyczące państwowych wydatków; przedstawia też, na-

17 Jak czytamy na oficjalnej stronie Ośrodka Informacji ONZ w Warszawie: „Biuro Narodów Zjednoczonych w Genewie (Szwajcaria) mieści się w Palais de Nations. Gmach ten został zbudowany w latach 1929–1938 i służył jako siedziba główna Ligi Narodów – prekursora Organizacji Narodów Zjednoczonych. Palais de Nations znajduje się w Parku Ariana w pobliżu Jeziora Genewskiego i Alp, których widoki można podziwiać z okien gmachu. Biuro NZ w Genewie jest centrum konferencyjnym dla toczących się negocjacji dyplomatycznych oraz stanowi forum dyskusyjne w kwestiach rozbrojenia i praw człowieka. Jest drugą pod względem wielkości siedzibą ONZ na świecie i zatrudnia ponad 1600 pracowników. Biuro NZ w Genewie obsługuje ponad 8000 spotkań rocznie, co czyni je jednym z największych międzyrządowych centrów konferencyjnych na świecie oraz głównym ośrodkiem wielostronnej dyplomacji”. Cyt. za: https://www.unic.un.org/pl/poznaj_onz/siedziby2.php [dostęp: 23.09.2024].

18 Historię inwestycji przybliżyła nota: „W 1946 roku, Organizacja Narodów Zjednoczonych poszukiwała w Nowym Jorku miejsca na swoją nową siedzibę. Pierwotnie zamierzano wykorzystać tereny parku Flushing Meadow w dzielnicy Queens, gdzie w 1939 roku odbyła się Światowa Wystawa. W ostatniej chwili przed podjęciem decyzji John D. Rockefeller Jr. przekazał dar w wysokości 8,5 miliona USD na zakup gruntów przy First Avenue. 14 grudnia 1946 r. dar ten został przyjęty przez większość Zgromadzenia Ogólnego. Wówczas na terenie, gdzie miała zostać wybudowana siedziba główna ONZ, stały podupadające rzeźnie. Z jednej strony na First Avenue przetaczały się hałaśliwe ciężarówki, a z drugiej, na East River Drive (obecnie znana jako »FDR Drive« na cześć Franklina D. Roosevelta), wzdłuż wybrzeża pędziły samochody. 24 października 1949 roku Sekretarz Generalny ONZ Trygve Lie położył kamień węgielny pod gmach siedziby głównej”. Cyt. za: https://www.unic.un.org/pl/poznaj_onz/siedziby1.php [dostęp: 23.09.2024].

wet jeśli kierowany inną motywacją, najpiękniejszy projekt magazynów na zboże, pardon, „Spichlerzy Ludu”, jaki kiedykolwiek został opracowany. Udziela władcom Hiszpanii rad dotyczących dobrego rządzenia, które niestety nigdy nie zostały wprowadzone w życie. Jego najbardziej kompletnym projektem pozostaje utopijna wizja idealnego społeczeństwa opisana w *Mieście Słońca*.

KRÓTKA PODRÓŻ ZE STILO NA... CEJLON

Drogi Przyjacielu, nie dziw się temu tytułowi. Wiesz przecież, że, aby sprowadzić kogoś na manowce, trzeba użyć pięknych słów. Dotychczas podążaliśmy prostą ścieżką; raz na jakiś czas mamy prawo zbłądzić na manowce.

Właśnie przybył z Cejlonu wielki genueński admirał. Poprośmy go, by w drodze powrotnej zabrał nas ze sobą, bez paszportów i pieniędzy koniecznych na tak długą podróż!

Wobec braku biletu zostaje nam jednak książka z 1602 roku, która wciąż pozostaje aktualna. Lektura to nie byle jaka – to właściwie kompletna książka. Fotografie musisz dodać sam, Czytelniku, używając potęgi wyobraźni.

Jeśli jednak admirał, a nigdy nie miałam zaufania do marynarzy (w ich naturze leży zdrada), nie zabierze nas ze sobą, nie będziemy się tym martwić. Poeci mają własne środki transportu, sprawdzone przez wieki: najpewniejsze i najszybsze. Najbardziej doświadczony pilot może spowodować katastrofę, ale poeta, który dysponuje mocą podróżowania w czasie i przestrzeni – nie upadnie nigdy. Skorzystajmy zatem raz jeszcze z tego cudownego środka transportu i niesieni mocą dzieła Campanelli, udajmy się na Cejlon, do „Miasta Słońca”.

Zmęczeni wszystkim, co widziało nasze pokolenie, z wizją nowej katastrofy na horyzoncie, może tam odpoczniemy! Może tam czegoś się nauczymy. Mój drogi Przyjacielu, jak wygodny jest nasz wehikuł, żaden samolot mu nie dorówna!

Dotarliśmy! Wsiadamy. Mrugnięcie okiem i jesteśmy w mieście, które uleczyło smutki wszystkich ras, religii, cywilizacji, które wypełniło marzenia całej ludzkości. Turyści są tu rzadkością. Boją się tego miasta, zbyt niebezpiecznego, chociaż Campanella ich zaprasza i po miesiącu próby pozwala im pozostać na zawsze w charakterze obywateli.

Szukamy budynku, który jest symbolem każdej dojrzałej cywilizacji – banku. Lecz takiej instytucji tu nie ma. Banki nie istnieją. Obywatele otrzymują wszystko, czego potrzebują. Czy wszystkie dobra skoncentrowane są w jego rękach? Czy może on dysponować nimi wedle własnego uznania? Czy może dysponować

wszystkim według własnego uznania? Czy, roszcząc sobie prawo do własności, tak drogie każdemu człowiekowi, monopolizuje on władzę, podczas gdy obywatele zostają zepchnięci do roli niewolników, jak miało to miejsce w niektórych (z pozoru demokratycznych) krajach XX wieku? Skądże!

Rząd jest jedynie administratorem, stanowi tylko punkt dystrybucji, a każdy obywatel świadomie uczestniczy w konstruowaniu budżetu. Władza nie marnuje milionów na najniebezpieczniejszą chorobę ludzkości: wojnę; ponieważ Miasto Słońca staje w bojowej gotowości tylko wtedy, gdy zostanie zaatakowane lub gdy konieczne jest wsparcie innych w walce z tyranią. Architekt miasta, Campanella, studiował starożytny schemat pitagorejskiego synedrionu¹⁹ i organizację pierwszych gmin chrześcijańskich. Zdecydował, że bogactwo będzie wspólne, a banki zbędne.

W gruncie rzeczy projekt Campanelli pozostaje metodyczny w swym szaleństwie. Niektóre współczesne państwa zlikwidowały prawo własności. Tym samym popełniły ogromny błąd, który prędzej czy później będą musiały naprawić. Nadużyciem nie była sama zmiana prawa, ale jej skutek – władza przeistoczyła się w okrutnego wyzyskiwacza. Tak rodzą się rządy pozbawione opozycji, wykluczające krytykę, skupiające wszystko w swoich rękach – sprowadzające obywateli do roli żyjących w nędzy niewolników.

Szukamy innych budynków, bez których nie może obejść się nasza cywilizacja: więzień. Przypominam sobie książkę amerykańskiego pisarza, który podróżował swego czasu po Europie. Pisał w niej entuzjastycznie, że odwiedzone przez niego placówki penitencjarne to przykład doskonałej organizacji i komfortu oferowanego osadzonemu: wentylowane pomieszczenia, ogromny dziedziniec przeznaczony do spacerów, dobrze wyposażone łaźnie. Spodziewać by się już można tylko, że autor przedstawi nam serwowane więźniom bogate menu. Niestety milczał na ten temat i moja ciekawość pozostała niezaspoko-

19 Zastosowana przez Alberti zbitka „pitagorejski synedrion” odsyła zapewne do sposobu organizacji (gr. *synedrion* – rada, zgromadzenie) wzmiankowanej szkoły filozofów. Wedle tradycji – adept wspólnoty pitagorejskiej w pięcioleciu formacyjnym pozbawiony był własności prywatnej. Jak czytamy u Jamblicha: „Tę [...] zasadę [Pitagoras – przyp. Redaktorzy] najlepiej spośród [wszystkich] ludzi urzeczywistnił, eliminując ze sposobu życia to, co prywatne, powiększając natomiast [zakres] wspólnoty, [ogarniając nią – przyp. Redaktorzy] rzeczy najdrobniejsze będące przyczynami zamętu i niepokoju. Wszystko bowiem było wspólne dla wszystkich i nikt nie miał niczego własnego”. Zob. Por. Jamblich: *O życiu pitagorejskim*. Przeł. J. Gajda-Krynicka. Wydawnictwo Epsilon, Wrocław 1993, s. 87. Tryby regulujące zasady współżycia grupy po tym okresie – były różne: „Nakazał więc [Pitagoras – przyp. Redaktorzy], by dobra pitagorejczyków były wspólne i by pędzili wspólny żywot przez całe życie; natomiast pozostałym polecił, by każdy miał swój majątek, lecz by schodzili się razem dla wspólnych nauk”. Por. ibidem, s. 55.

jona. Lecz tym sposobem dowiedziałam się, że istnieją więzienia respektujące prawa człowieka.

W Mieście Słońca nie znalazłam tych „komfortowych” budynków, które wzniesiono podczas ostatniej wojny światowej, tych obozów, wyposażonych w najnowocześniejsze komory gazowe, w których umierało się masowo, wspólnie, jak na turystycznych rejsach, gdyż śmierć w pojedynkę była zwyczajnie nudna (*Naprzód! Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści!... Cholera! Naprzód! Sto, dwieście,... pięćset... Stop!* i po pół godziny: *Naprzód! Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści!... Cholera! Naprzód! Sto, dwieście,... pięćset... Stop!* Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu...).

Ludzki indywidualizm trzeba trzymać w karbach, niby konia spinanego ostrogami. Jeśli wina jest znaczna, w Mieście Słońca grzesznik otrzymuje należną mu odpłatę. Jeśli znikoma – przez pewien czas zostaje wykluczony ze społeczności.

Oczywiście każdy turysta szuka w nowym miejscu kasyna. Może dopisze mu szczęście i spłaci całą podróż. Wielu próbuje pójść na skróty – tak wygląda „sukces w ruletce”. Przypomina mi to pięknie oświetlone łodzie motorowe na jeziorze Lugano (*Odwiedź Campione! Odwiedź Campione! Odwiedź Campione!*²⁰), przypomina mi to taras Monte Carlo, gdzie wychodziło tylu „szczęśliwych”, nerwowo zapalając papierosa, przypomina mi to San Remo, Biarritz, San Sebastian, Ostendę. Lecz w Mieście Słońca nie ma kasyna! Karty, bilard, duma współczesnych czasów, poker, brydż, bakarar nie istnieją!

Zapytasz pewnie: do diaska, co zatem autorka znalazła w Mieście Słońca? Bank i giełda, nie! Więzienia, nie! Kasyno, nie! Wszystko, co ma w sobie dreszczyk emocji, grę instynktów, próbę losu, pokusę szczęścia, zderzenie charakterów, demoniczne emocje: nie, nie i nie! To miasto musi być diabelnie nudne! Czy to przypadkiem nie klasztor?!

Architekt pomyślał o rozrywce i o odpoczynku mieszkańców, nie o turystach. Wyposażył obywateli w boiska sportowe w czasach, gdy nikt nie myślał o tej aktywności. Kiedy największą przyjemnością było biesiadne upijanie się i obżeranie, dał im możliwość uprawiania sztuki i kultury – najdoskonalszą formę spędzania czasu wolnego, jaka kiedykolwiek istniała.

Tłum ludzi spaceruje po ulicach, placach, ogrodach. Nikt się nie spieszy, każdy idzie równym krokiem. Trudno dostrzec brudne, postrzępione, cerowane ubrania. Wszyscy noszą się schludnie na biało, przypominając pitagorejczyków i Lokrów Zaleukosa. Ubrania zmienia się cztery razy w roku, w zależności od

20 Casinò del Campione, kasyno nad jeziorem w Lugano (oryginalny przypis Autorki).

aury, a w chłodne dni nakłada się płaszcz w żywych kolorach. Ludzie zatrzymują się w grupach, dyskutują; wszystko to w godzinach, w których w naszych współczesnych miastach ludzie upchani jak sardynki wracają do domu – metrem, autobusem, tramwajem. Czyżby tu nikt nie pracował? – myślę ze zdziwieniem. I wdaję się w rozmowę. Bardzo chętnie odpowiadają, spokojni, uśmiechnięci, jakby to była rzecz naturalna. Szczęśliwi nie znają robaka propagandy, który toczy korzenie logiki, zdrowego rozsądku, krytyki.

– Pracujemy, ale tylko cztery godziny dziennie!

Rozpoczyna się między nami dyskusja. Przedstawiają swoje powody: zasadne, logiczne. Czy świat cierpi z powodu ograniczonej produkcji? A poza tym: dobrobyt i porządek zależą od mądrej administracji pracy, od rozumnych praw, których każdy musi przestrzegać, a nie od nadmiernego ludzkiego wysiłku. Jeśli aktywność zawodowa jest krótsza, jej efektywność się podwaja i w pełni zastępuje ośmiogodzinny dzień pracy.

Gdy człowiek jest wypoczęty, dobrze odżywiony, pozbawiony zmartwień, gdy nie jest traktowany jak niewolnik – pracuje lepiej, bardziej wydajnie, a przez to godniej, z oddaniem. A tutaj wysiłek fizyczny, ten największy, jest szanowany ponad wszystko inne.

Nagle ujrzałam bóstwo XX wieku. Umieszczone na cokole, nietykalne, idola w koronie z dogmatów. Miało spuszczoną głowę, mokre czoło, martwe oczy, zapadłe policzki, suche usta wykrzywione w gorzkim uśmiechu, liche mięśnie i żyłaki na nogach. Brak czasu dla siebie! Pracoholik! Przodownik pracy!

U stóp cokołu druga postać: kasjer składający idolowi daninę. Dziwne słowa opatrują ten dar: „Byle nie umrzeć!”.

Zawsze bałam się tego idola, wzniesionego na piedestał siłą tradycji, filozofii i społeczności. Spróbuj się przeciw niemu zbuntować – wysysa twoją siłę fizyczną, moralną, intelektualną; zniweczy radość życia i skradnie każdą wolną chwilę. Spróbuj się sprzeciwić! Natychmiast staniesz się społecznym anarchistą, bezwstydnikiem. Zostaniesz uznany za leniwego i wyklęty!

U stóp tego idola jeden z żyjących filozofów, obdarzony niezwykłym rozumem, w wyrafinowanej formie złożył anarchistyczny prezent: *Pochwałę lenistwa!*. Książka Bertranda Russella zdradza swoje pokrewieństwo z myślą Campanelli.

Praca źle organizuje świat. niesprawiedliwa dystrybucja surowców, podział ludzi na biednych i uprzywilejowanych, sztucznie stworzony i zazdrośnie utrzymywany przez bogatych, nierówność klas społecznych, rozrzutna gospodarka surowcami, nieustanne zbrojenia – wszystko to złożyło na słabych barkach człowieka ciężar ponad jego siły. Zakneblowano mu usta, by nie miał siły krzy-

czeń, zabrano mu wolny czas, by nie mógł spokojnie zastanowić się nad swoim losem. Współczesny schemat produkcji wykracza poza „system pracy na akord” czy „system przodowników pracy” – to świat usankcjonowanego niewolnictwa, którego strupy pudruje się cyniczną obietnicą „nieograniczonej wolności”. Człowiek wciągnięty w te tryby przypomina dzikusa, który przywdział tanie europejskie perkale, myśląc, że w ten sposób się ucywilizował.

Spaceruję po ulicach – zazdroszcząc przechodniom wolnego czasu, możliwości spędzenia go w przyjemny sposób, dziwiąc się rasie ludzkiej. Wiem, że włożyłam palec w otwartą ranę; niewiele brakowało, a krzyknąłbyś czytelniku: „To zabronione! To zabronione!”. Powiesz mi również, że to blef, z którego tak doskonale śmieje się Huxley w *Nowym wspaniętym świecie* i o którym Carrel mówi w książce *Człowiek, nieznana istota*.

Różnicę widzę tu gołym okiem. Tak jak rozpoznałabym na łące pełnej chabiet – konia czystej krwi.

Człowiek poprawił wszystko. Z ziemi pustynnej i jałowej, bagnistej i małyrycznej, skalistej i zalesionej stworzył żyzne pola. Zaszczepił rośliny, mistrzowsko skrzyżował kwiaty, drzewa, warzywa, owoce. Stworzył szlachetną rasę koni i krów, gołębi i królików, owiec i świń. Jest dumny ze swojego dzieła i ma ku temu dobre powody. Jednak nikomu nie przyszło do głowy, by nazwać pracę korygującą (która dała tak wspaniały rezultat) pracą „przeciw naturze”. Nikt nigdy nie powie, że człowiek, który stworzył zieloną oazę na pustyni, sprzeciwił się elementarnym prawom stworzenia, nikt nie zarzuci mu grzechu, gdy oczyści biblijną ziemię z kamieni i cierni; nikt nie powie, że pogwałcił elementarne prawa, gdy ujarzmi rzeki zalewające pola.

Istnieje ochrona drzew, ptaków, zwierząt, roślin, owoców; nie istnieje ochrona człowieka. Człowiek pomyślał o wszystkim. O sobie, nie. Ludzka dżungla może się rozrastać bez ograniczeń, jak chce i ile chce? Brudny i gwałtowny ludzki potok może zalewać nowe tereny i nikt go nie powstrzyma? Gdy filozof lub socjolog dotknie tego tematu, natychmiast zostaje nazwany anarchistą, niebezpiecznym podżegaczem, a opinia publiczna skazuje go na surowe potępienie. Staje się *persona non grata*.

Wszyscy mogą się rozmnażać. Syfilitycy i alkoholicy, gruźlicy i neuropaci, szaleńcy i głuchoniemi, epileptycy i bandyci. Każdy ma swoje „święte prawo”. Żadna instytucja społeczna nie ogranicza rozrostu ludzkiej dżungli, nie chroni przed dziedziczeniem chorób, przed potworami i koszmarami anormalności. Nie istnieje żadna „ochronka”. Statystyk pisze z dumą: „planeta Ziemia posiada dwa miliardy mieszkańców”. Lecz jacy są fizycznie, moralnie, intelektualnie? O tym nikt nie mówi. Nikt nie dba o mięso armatnie. Czy jest ono całkowicie

zdrowe, czy nadgniłe – to zupełnie bez znaczenia. Ważne jest, aby dostarczać je w obfitości. Po każdej wojnie, w której ginęły miliony i miliony ludzi, dzungła rozrasta się jeszcze bardziej. Każdy chce być... wieczny! Każdy chce przekazać nowym pokoleniom swoje choroby i swoje wady, zatrute myśli i rozgrzane do czerwoności idee. Bez żadnej troski o końcowy efekt! Wszyscy pracują dla ilości. Nikt nie myśli o jakości. A jeśli ktoś ma odwagę pisać lub mówić o tym, mówić o tym, podlega ostracyzmowi i staje się pisarzem niebezpiecznym, człowiekiem. Za podobną zuchwałość w myśleniu Campanella spędził trzydzieści lat w więzieniu.

Przyznaje się nagrody za hodowlę świń, ale eugenika jest zabroniona. Żaden ludzki potwór nie jest odpowiedzialny za produkcję innego potwora.

A co się zdarzy, gdy garstka ludzi zbuntuje się, jak Solarzy Campanelli, i odejdzie, szukając własnego Cejlonu? Narurota i Avan-ga-cua nie są jeszcze zamieszkane! Zdrowa, inteligentna, długowieczna, wyselekcjonowana rasa ludzka, pozbawiona chorób i wad, budzi we mnie w Mieście Słońca wszystkie złowieszcze myśli, którymi dzielę się z Tobą, Przyjacielu. Jeśli chcesz pozostać normalnym, szanowanym człowiekiem, wyrzuć je jak najszybciej z głowy!

W Mieście Słońca nie widziałam żadnego pomnika wzniesionego na cześć żyjącego człowieka. I wtedy przypominałam sobie wszystkie rzeźby, popiersia, głowy, reliefy, portrety tyranów XX wieku, cynicznie pozwalających na swoją deifikację, spowitych kadzidłem uwielbienia prostaczków. Jak Solarzy osiągnęli poziom tak wyrafinowanej egzystencji?

System okazał się bardzo prosty, choć ludzkość dotychczas nie chciała go stosować; wręcz odwrotnie – sprzeciwiała się mu wszelkimi możliwymi środkami.

Można wychować jednostkę w hipokryzji i kłamstwie, w nienawiści i nietolerancji, w egoizmie i nazizmie. Można jej wpoić idee, jak to udało się doskonale współczesnym dyktatorom z nazistowską wizją nadczłowieka na czele.

Oficjalna edukacja, ta szkolna i rodzinna, nigdy nie martwiła się o długofalowe skutki wychowania człowieka. Najważniejsze pozostawało umeblowanie jego głowy, i to w dość niewyrafinowany sposób. Świetnie sprawdza się tu porównanie człowieka do gąbki, która równie dobrze wchłania truciznę, jak i balsam, w zależności od substancji, w której jest zanurzona. Campanella zabronił używania „trucizny”. Dziecko zaczyna uczyć się już w wieku dwóch lat, a edukacja to kształtowanie zarówno intelektu, jak i charakteru. Kłamstwo i hipokryzja, duma i wola dominacji są karane. Przyjaźń, miłość bliźniego musi zastąpić zbyt bliskie więzi rodzinne. Istnieje cenzor każdej cnoty, którego zadaniem jest pilnowanie, aby była przestrzegana i praktykowana!

Dojrzały obywatel, bez względu na płeć, ma w parlamencie, który zbiera się dwa razy w miesiącu, pełne prawo do wyrażania krytyki i sprzeciwu.

Wiele pięknych rzeczy widziałam w Mieście Słońca. Miałam możliwość rozmawiania z władcami, spotkania z triumwiratem Pon-Sin-Mor (Potęga-Wiedza-Miłość). Sam najwyższy Hoh (Metafizyk) rozmawiał ze mną długo. Żaden z napotkanych sędziów nie był strzeżony przez specjalne straże przyboczne, ani nie był zbyt zajęty. To typ znany w Kalabrii, w całych Włoszech i na całym świecie – „Pan Bardzo Zajęty”, który zawsze ma zamknięte drzwi i otwiera je tylko swoim protegowanym. W Mieście Słońca nie ma dla niego miejsca.

Trudno mi wszystko opisać; o krótkiej podróży na Cejlon powinien przekształcić się w kompletną książkę o zupełnie innym charakterze niż turystyczny przewodnik po Kalabrii. Mimo wszystko uważam, że był on konieczny.

Ujmujące było spotkanie z architektem Miasta Słońca. Campanella skupił w sobie wszystkie najszlachetniejsze cechy kalabryjskiej duszy, najwyższe wartości kalabryjskiego intelektu. Okazał się ustawodawcą i strategiem, parlamentarzystą i filozofem, pedagogiem i ekonomistą, projektantem trendów i ich realizatorem, znawcą aeronautyki, mechanikiem, nawigatorem i wynalazcą statków bez żagli i wiosł, bakteriologiem, prekursorem Kocha, Pasteura, Behringa i Wassermann; eugenikiem i inżynierem. Gdyby Kalabrię zamieszkiwał choćby ten jeden człowiek, mogłaby ona aspirować do tytułu nowoczesnej cywilizacji.

Odwiedzenie Stilo, bez wspomnienia o Mieście Słońca (szczególnie dzisiaj, gdy ciemne chmury tak bardzo zasnuły to Słońce), byłoby grzechem. Nie chciałam go popełnić. Pragnęłam stworzyć syntetyczny portret Campanelli i jego kalabryjskiej duszy. Wielu współczesnych krytyków chce widzieć w nim prekursora komunizmu. Benedetto Croce uważa go raczej nie za prekursora, ale poetę komunizmu. Do obrazu Campanelli, który znam, nie pasuje ani miano „prekursora komunizmu”, ani tytuł jego poetyckiego piewcy.

Większość projektów komunizm zrealizował na opak. Więzienie to jedna z jego sztandarowych instytucji, które szybko zasiedlił lokatorami. Czterogodzinny dzień pracy zastąpiono „przodownictwem pracy”, co pochłania siły upodlonego obywatela. Prawo do krytyki i sprzeciwu nie istnieje. Przyjaźń zastąpiono szpiegostwem i donosicielstwem; wolność osobistą – ślepy strach przed milicją. Religię usunięto z przestrzeni publicznej, Boga zastąpiono Dyktatorem, którego wola nie podlega żadnej dyskusji, prawdziwych świętych – świętymi politycznymi, którzy już za życia zostają deifikowani. Rząd nie jest administratorem wspólnych bogactw, ale ich jedynym właścicielem. Podział na klasy społeczne ma się dobrze. Milicja, NKWD i Politbiuro to uprzywilejowane instytucje rządzące z okrucieństwem. O różnicach między Miastem Słońca

Campanelli a Miastem Strachu współczesnego bolszewizmu (nie mylić z filozoficznymi teoriami komunizmu) można by napisać całą książkę, co nie jest teraz moim celem.

Żegnając Miasto Słońca, dostrzegam najdziwniejszy pomnik, jaki ludzka kultura kiedykolwiek zbudowała. W ogrodzie, wśród gęstych roślin, coś błyszczy niczym promień słońca. Zbliżam się zaciekawiona. To... złoty szalet! (Uwaga! Lenin przewidział taką przyszłość dla złota, lecz w rzeczywistości setki tysięcy poszukiwaczy cennego kruszcu przeczesuje piaski syberyjskich rzek i wewnątrz Uralu, bynajmniej nie po to, by ozdobić Moskwę lub Leningrad podobnymi pomnikami).

Oto epilog kariery, którą architekt miasta przewidział dla tego lśniącego złotem boga: od korony królów do pospolitego klozetu!

Naprawdę niespodziewana wizja! Monumentalny, masywny, filozoficznie obojętny na metamorfozę swojego losu, dla mnie wydaje się być pomnikiem wolności. Błyszczy triumfalnie, bardziej niż piramidy, piękniej niż kopuła Hagi Sofii, Partenonu, Alkazaru... Także i ja zwiedziłam ten przybytek, a potem, lekka, uniesiona mocą wyobraźni pomknęłam do Stilo!

• • • • •

Wieczorem, w małym hotelu, wertując kalendarz, zorientowałam się, że to już wakacje. Bankier, zarządzający bogactwem połowy świata, poleci prywatnym samolotem, aby wyleczyć się z kamieni nerkowych. Przemysłowiec, w którego fabrykach pracują tysiące robotników, wyruszy jednym z firmowych parowców – Queen Mammouth, w podróż dookoła świata, by chłodno kalkulować możliwości dalszej ekspansji. Król prasy, właściciel ogromnej sieci medialnej, przygotowujący opinię publiczną na nową wojnę, wyjedzie rolls-royce'em, aby leczyć swoje delikatne serce („Nie jest ze mną dobrze” – mówi melancholijnie). Ślepy dyktator, z dwoma tuzinami adiutantów, poleci na radę, dumny z niezliczonych popleczników gotowych w każdej chwili, na jego rozkaz, biec z pieśnią na ustach w objęcia śmierci. Grupa admirałów spędzi wakacje na manewrach morskich (Towarzysze! Jesteśmy niezwyciężeni!). Generałowie sztabu wyjadą na ćwiczenia strzeleckie. Reżyser-wizjoner wyruszy na poszukiwanie pleneru, na tyle odpowiedniego, by oddać zuchwałość mordercy. Nowy gubernator uda się do zamorskiej kolonii, aby efektywniej ściągać z niej podatki – jego poprzednik stał się zbyt leniwy i został zdymisjonowany. Minister spraw zagranicznych, z tajnym planem nowej wojny, poleci na konferencję pokojową. Każdy z nich wyrusza, by coś uleczyć: siebie, finanse, ludzkość, pokój.

Skromna poetka nie będzie życzyć im „szerokiej drogi!”, ale może im doradzić, gdzie spędzić urlop. Trzymając w rękach projekt Campanelli, zaleca, by odbyć podróż do Miasta Słońca.

Może tam któryś z nich wyleczy zatwardziałe serce, rozluźni ręce skręcone artretyzmem, ściskające majątek; usunie złogi złych myśli. I może ujrzy złoty przybytek i poświęci mu chwilę zadumy.

GERACE, CÓRKA I MATKA LOCRI

Spoglądając w górę, odczytujemy ze starego kamienia na fasadzie ratusza napis: „Romae aeternae Locren ses...”. Obserwuje nas jeden z mieszkańców:

– To jest kamień z Locri. Ci z wybrzeża chcieli go zabrać. Twierdzą, że teraz Locri jest tam i że kamień należy do nich, lecz prawdziwe Locri jest tutaj! I ten głaz to udowadniał!

Wyraża się o kamieniu jakby był opiekuńczym duchem miasta, w którym tkwi siła Wielkiej Grecji. Z jego słów wypływa duma z pradawnych korzeni, żal z powodu utraconej wartości oraz pewna doza niechęci wobec „córk” na wybrzeżu, która wysysała życiodajne matczyne siły, a teraz chce jej odebrać także dawną szlachetność. Z triumfalnym tonem stwierdza, że „kamień z Locri” na zawsze pozostanie w Gerace, nadmorscy osadnicy przynajmniej tego nie zdołają zabrać.

Oto zaiste dziwnie tragiczna historia miasta, które przez wieki „podróżowało” tam i z powrotem!

Niejedno z miast w historii zmieniło swoje położenie, niejedno po pewnym czasie odbudowało się z ruin. To konkretne jednak przeniosło się wysoko w góry, gdzie trwało ponad dziesięć wieków, a później wróciło na wybrzeże. W czasach zagrożenia „ukrywało się” w górach pod przybraną nazwą; teraz, gdy minęło niebezpieczeństwo, z odwagą zajęło dawną siedzibę i nie zrzekło się honorowego imienia, które przez tak długi czas je chroniło. Dodatkowo przywróciło chwalebny emblemat swoich przodków i przyozdobiło się nim – wyzbyte zmartwienia, że w drzewie genealogicznym nie pominęło gałęzi o prawowitym rodowodzie.

Kiedy na wybrzeżu klimat stał się zbyt surowy, a Saraceni uprzykrzali życie mieszkańcom, Locri zmieniło się w *Hagia Kiriaki*, małą wioskę bez znaczenia, skazaną na zatracenie. Wtedy pojawił się jastrząb, *ierax*, który wskazał drogę ratunku i poprowadził mieszkańców na górę o urwistych ścianach. Tak powstało Gerace. Nazwa prawdopodobnie pochodzi od Świętej Dominiki,

Świętej Cyriaki, której kult był tam żywy, a z legendarnym jastrzębiem nie ma nic wspólnego²¹.

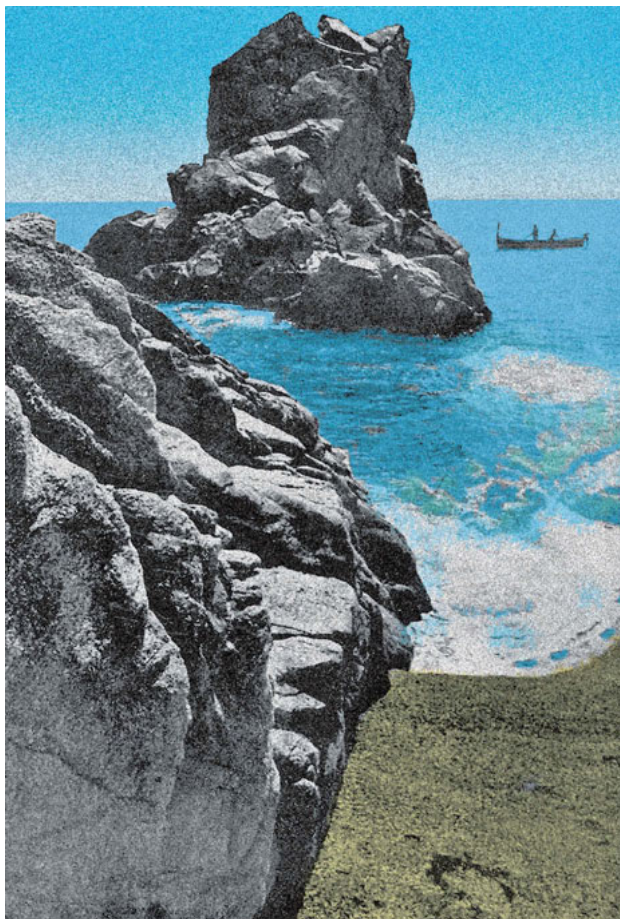
Okres świetności miasta związany jest z Normanami. To właśnie tutaj, dzięki pokojowi zawartemu między Rogerem i Robertem, w zgodnej opinii historyków, narodziło się Królestwo Obojga Sycylii proklamowane na zamku w Gerace²². Miejscowość stanowiła cenne dobro feudalne. Jedną z jego właścicielek była Elvira Cordova, żona Wielkiego Kapitana, w której władaniu znajdowało się też opactwo na Monte Sant'Angelo, położone na Półwyspie Gargano.

Połączenie kolejowe i system melioracyjny ułatwiły – stosunkowo niedawno – budowę drugiego miasta na wybrzeżu, Gerace Marina. Nadmorski klimat i powrót na ziemię przodków sprawiły, że miasto-córka odżyło, stając się w przeciągu zaledwie kilku lat jednym z najważniejszych ośrodków na wybrzeżu jońskim. I, jak to często bywa, Gerace Marina uszczupliło wagę Gerace. Odłączyło się od miasta-matki, wyemancypowało, stało się autonomiczne, potem zaś rozwinięte i dobrze prosperujące. Przywłaszczyło sobie rodzinny herb i ozdobiło się dawnym tytułem: Gerace Marina stało się na powrót Locri. W górach zaś pozostało Gerace Superiore, zwane po prostu Gerace, córka starożytnego Locri i zarazem matka nowego.

Przebyliśmy masyw Aspromonte, podążając z wybrzeża Morza Tyrreńskiego. Z Bagnary, przez gaje oliwne Taurianova i Cittanova, oraz przez buczyny i lasy kasztanowe Passo del Mercante, dotarliśmy do niezmiennie zachwycającego i dobrze nam znanego wybrzeża jońskiego.

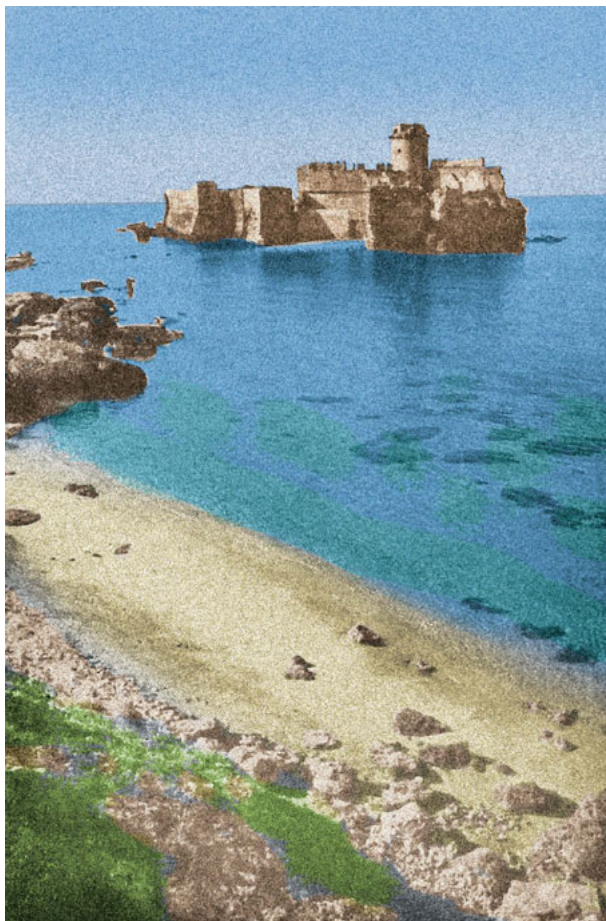
21 Nazwa pochodzi od greckiego słowa *Ierax*, krogulec lub jastrząb wróblarz. Legenda głosi, że uciekający w 915 przed Saracenami mieszkańcy wybrzeża Morza Jońskiego wyprowadzeni zostali na miejsce górujące nad okolicami Locri i tam założyli swoje miasto. Istnieją również poglądy, że nazwa miejscowości pochodzi od starobizantyjskiego imienia *Aghia Kiriaki* (św. Kiriak lub Cyriak) lub od *Jerà Akis* (święty szczyt).

22 Mamy tu do czynienia z nieuprawnioną *licentia poetica* („jak twierdzi znany historyk”), przypisującą proklamowanie w Gerace braterskiego sojuszu – będącego rzekomym fundamentem normańskiego podboju europejskiego Południa. W rzeczywistości bracia de Hauteville (starszy Robert i młodszy Roger – to o nich zapewne myśli Alberti) działali „ramię w ramię”, powiększając swoje wpływy w Apulii i Kalabrii już od połowy XI wieku. Przejęcie twierdzy Reggio di Calabria w roku 1060 otworzyło wspomnianym Normanom drogę do podboju Sycylii, od dwustu lat opowanej przez emiraty arabskie. Od zdobycia i ufortyfikowania Mesyny (1061) zdeterminowani kreniacy postępowali zgodnie (kiedy na początku lat siedemdziesiątych XI wieku zdobyli Palermo – Robert Guiskard udzielił nawet młodszemu bratu inwestytury, by ten – jako hrabia Sycylii – mógł już dalej samodzielnie dokonywać podboju wyspy) i nie potrzebowali zawierać żadnego dodatkowego „pokoju”... Dzieło ojca i stryja dopełnił wiele lat później syn Rogera Sycylijskiego – Roger II (koronowany na Króla Sycylii podczas świąt Bożego Narodzenia roku 1130). Por. D. Matthew: *The Norman Kingdom of Sicily*. Cambridge University Press, Cambridge 1992; M. Bohm: *Normański podbój Sycylii w XI wieku*. Wydawnictwo Napoleon V, Oświęcim 2014; P. Aubé: *Roger II. Twórca państwa Normanów włoskich*. Tłum. B. Biały. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2012.



Klif schodzący do morza sugestywnie porozrzucanymi skałami...

•
•
•
•
•
•
•



...na historycznym szlaku wzdłuż wybrzeża,
czeka na nas jeszcze jedna z wielu niespodzianek

•
•
•
•
•
•

Autokar turystyczny sprawnie przemierzał zakręty, przydając pasażerom emocji. Teraz śmiało próbuje pokonać również stromy wjazd prowadzący do Gerace. Jednak musi skapitulować i cofa ostrożnie, by nie utknąć żelaznym cielskiem w przesmyku. Wysadza nas na zakręcie, a my pieszo idziemy do bram miasta.

Górska twierdza zachowała swój dawny charakter. Przechodzimy przez kolejne bramy, wkraczając w zamknięty, intymny świat. Przemierzamy czyste, uporządkowane uliczki, zdać by się mogło, pałacu. Wspinając się powoli, stajemy przed wysokimi absydami katedry. Jak wspomniałam wcześniej, w kalabryjskim Rossano i Santa Severine najlepiej zachowały się bizantyjskie zabytki, Gerace zaś słynie z normańskiego dziedzictwa. Wysokie budynki wciąż robią na nas ogromne wrażenie.

Po wizytach w słynnych katedrach Apulii oraz po kilku miesiącach podróży po Kalabrii, nasze oczy przyzwyczyły się do podziwiania krajobrazów i odróżniania sztuki greckiej od bizantyjskiej, które zawsze unikały monumentalności; spotkanie z tak imponującą budowlą w zamkniętym, ciasnym mieście zaskakuje nas.

Stopniowo odkrywamy kolejne detale budynku. Fasadę odnajdujemy na jednym dziedzińcu, wejście na innym, a trzecią absydę na jeszcze kolejnym. Cały czas towarzyszy nam poczucie, że poruszamy się po wielkim pałacu, gdyż katedra nie posiada typowej dla budowli sakralnych atmosfery skupienia.

To największy kościół Kalabrii i jeden z najokazalszych w południowych Włoszech. W czystym powietrzu, pod promieniami słońca, lśni złotym blaskiem, godnym zabytku najwyższej klasy. Wchodzimy do środka.

W Otranto witały nas starożytne kolumny świątyni Minerwy, w Canosie coły ze świątyni Ateny, w Gerace zaś możemy podziwiać kolumny z Locri, pochodzące ze świątyni Persefony i innych starożytnych budowli. Stoją przed nami niczym eksponaty w najwspanialszych muzeach. Mieszkańcy, pragnąc oddać hołd swojemu bóstwu, przetransportowali tu z ruin starego miasta najpiękniejsze elementy architektoniczne.

Kolumny stoją w dwóch rzędach, jest ich dwadzieścia. Dzielą przestronne wnętrze na trzy nawy. Wykonano je z różnorodnych materiałów, są różnej długości, kształtów, mają inne kapitele – co jest świadectwem ogromnego bogactwa zabytków starożytnego Locri. Gdyby miały głos, opowiedziałyby swoją historię... wydarzenia, których były świadkami..., ludzi, których widziały... To byłaby świetna powieść, która niestety musi pozostać w sferze marzeń.

Schodzimy do krypty. Ona również przypomina nam krypty apulijskich kościołów, zwłaszcza tę z katedry w Otranto. W podziemiach zachowało się dwadzieścia sześć kolumn ze starożytnego Locri.

Wspinaczka po zboczach obok katedry kończy się szerokim tarasem z widokiem na Gerace. Z jednej strony charakterystyczne ruiny zamku, z wyróżniającym się murem – do dziś zachowała się głęboka fosa oddzielająca zamek od tarasu. Budowla z czterech stron otoczona jest urwiskiem. Brama wjazdowa to już tylko ruiny. Wśród nich gęsto rośnie oliwka, symbol pokoju. Wydaje się, że chce stłumić echo kroków bizantyjskich wojowników, którzy ją budowali. Mury zamku widziały niejedno: straszliwą klęskę z rąk Saracenów u stóp góry w 952 roku; Normanów, którzy tu walczyli i zawarli pokój; hiszpańskich żołnierzy Cardony, którzy po przegranej bitwie w 1500 roku schronili się w Gerace, aby przegrupować siły. To właśnie stąd pomaszerowali prosto do zwycięstwa odniesionego pod Seminarą nad armią francuską dowodzoną przez d'Aubigny'ego.

Piękny widok odrywa nas od bitewnych wspomnień. Przepelnieni spokojem schodzimy z powrotem do miasta.

Godzinami krążymy po ulicach. Gerace odkrywa przed nami swoje mniejsze skarby: kościół św. Franciszka z okazałym portalem, arabsko-normańskie rzeźbienia i ruiny klasztoru..., mały normański kościółek św. Giovanniello... kilka średniowiecznych domów, kilka biforiów...

Tu i ówdzie napotykamy typowe warsztaty garncarzy, dziwne połączenia domów z jaskiniami: wiele budynków w Gerace zostało wykutych w glinianej skale.

Mieszkańcy Locri, z „kamieniem” i kolumnami świątyń, przenieśli tutaj jeszcze jedno ze swoich bogactw: rzemiosło garncarskie, w którym byli biegli.

Dziś Gerace jest jednym z głównych centrów sztuki ceramicznej w Kalabrii. W okolicznych kopalniach wydobywa się glinę, z której wykonano pinaksy, tabliczki wotywne, i terakotowe figurki znalezione w Świątyni Persefony, będące teraz dumą muzeum w Reggio. W miejscowych pracowniach rzemieślniczych można podziwiać charakterystyczne gliniane dzbany z dwoma uchwyty, kolorowe talerze, gąsiorzy i latarnie. Ta piękna, oryginalna sztuka jest tu kontynuowana i wciąż czeka na czasy większej popularności.

Zachwycamy się tymi przedmiotami przez długi czas, z nadzieją, że marzenie o wznowieniu produkcji tradycyjnej kalabryjskiej ceramiki wkrótce się spełni. Może rzeczywiście „kamień” z Locri przyniesie szczęście Gerace, a sztuka odziedziczona po przodkach, zakorzeni się tu na stałe, przekształcając miasto w kwitnące centrum rzemiosła artystycznego, powstrzymując jego powolny upadek.

Z tą myślą schodzimy wąwozem do autobusu, który oczekuje nas u stóp niezdobytej góry. Liczba pasażerów wzrosła; w drodze powrotnej wieziemy ze sobą dzbany z Gerace pięknie wystawione na czerwonych, skórzanych siedzeniach.

Niektórzy nasi towarzysze nie mogli oprzeć się pokusie i zabierają do domu użyteczne, ale i eleganckie pamiątki. Często podziwialiśmy podobne dzbany w Andaluzji, które podczas gorącego lata doskonale utrzymywały świeżość wody; tam zwano je *poronco*. Jednak naczynia z Gerace to przedmioty o wyjątkowym rodowodzie: wywodzą się od klasycznych w formie *hydrie* i *askos*²³. Ich piękno oddaje najpełniej jeden z pinaksów ze szkoły Clearco²⁴ utworzonych z gliny pochodzącej z góry Gerace: tabliczka wotywna przedstawia kalabryjską kobietę czerpiącą dzbanem wodę ze źródła. Dziś, po wiekach, w drodze powrotnej na wybrzeże mijamy przy fontannie ten sam obrazek kobiet z kalabryjskim dzbanem w rękach.

BOGACTWO SMAKÓW W TIRIOLO

Dla Pana Caioli, Burmistrza Tiriolo

Podróż do Tiriolo okazała się uroczą przygodą, która przywołała wspomnienia szkolnych lat, ich bez troski i psot.

Rozkład jazdy autobusów nie był dogodny, a pociągów jeszcze gorszy. Czy jest coś lepszego niż zdanie się na łaskę losu – tym razem szczęście zdecyduje za nas! Zagraliśmy więc w grę zwaną autostopem. Wyszliśmy z Catanzaro wcześniej rano i, w znakomitych humorach, po ustaleniu strony, stanęliśmy pod baldachimem kwitnącego na złoto janowca niczym para aktorów. Uznaliśmy, że mamy dobry widok na drogę, więc podzieliliśmy role. Kto ma zamachać? Ja? Czy ty? I znów okazało się, że najcięższe zadania spoczywają na słabych barkach kobiety. Miałam złapać stopa. Dlaczego? Bo trudniej odmówić kobiecie!

Dumna ze swojej roli, wystawiłam kciuk – taki gest w Polsce zawsze przynosi szczęście. Nieraz to szczęście się do mnie uśmiechało, gdy nauczyciel krążył w dzienniku wokół mojego nazwiska – zapyta czy nie? Nie pytał. Mija nas ciężarówka pełna kamieni, bo w okolicach Fiumerella naprawiają drogę. Kolejna, załadowana piaskiem. Pozwalam im przejechać obojętnie, bez zainteresowania – nie chcę kusić losu. Nagle pojawia się trzecia, kapryśna. Z daleka widać, że jej kierowca jest dobrze podlany winem (zawsze miałam nieograniczone zaufanie do wina i kaprysu). Mocno prostuję kciuk, przywołuję uśmiech i macham ręką. I oto ciężarówka się zatrzymuje. Mały gest pokonał wielotonowy ciężar.

23 *Askos* – to rodzaj greckiego naczynia do nalewania niewielkich ilości płynów. *Hydria* – to dla odmiany duże naczynie do przenoszenia wody.

24 Por. przypis 47 w rozdziale pierwszym książki.

– Teraz ty – mówię do mojego towarzysza. Życzliwość kalabryjskiego ludu, dobrze nam znana, znów lśni pełnym blaskiem:

– Gdzie?

– Do Tiriolo.

– Z przyjemnością, ale na rozjeździe wysiadacie, bo jedziemy do Rosarno.

Dialog odbywa się w chmurze niebiańskiego zapachu. Wsiadamy. Jakie zakroczenie: witają nas kosze pełne pomarańczy. Głośno połykam ślinę, z trudem ukrywam pragnienie. Jeden z Kalabryjczyków wyciąga z kosza dwie ogromne pomarańcze i częstuje nimi.

Początek naszej podróży do Tiriolo jest obiecujący. Pod pomarańczowymi auspicjami. Czytelniku, czy kiedykolwiek jadłeś owoce z Rosarno? Jeśli nie, poskapiłeś podniebieniu niezrównanej rozkoszy. Napraw ten błąd jak najszybciej.

Zjadłam w życiu wiele pomarańczy. Dorodne owoce palestyńskie, małe hiszpańskie z Walencji, delikatnie kwaśnawe, słynne sycylijskie, bardzo słodkie, ale żadne nie mogą się równać z tymi z Rosarno. Sam kolor, pomarańczowy aż do głębi, zapowiada niebiańską ucztę. Zdzieramy skórkę i sok tryska, gęsty niczym likier, a czerwony miąższ, pewny swojego sukcesu, zachęca: No dalej, spróbuj! Smak podobny do aperitivo serwowanego przez barmankę z Natury.

Zaczyna kropić, a do Tiriolo jeździ się głównie podziwiać piękną panoramę. W ogóle nas to nie martwi, podróż pod znakiem pomarańczy z Rosarno musi skończyć się sukcesem. Jadąc nie widzimy nic. Kiedy wysiadamy na skrzyżowaniu, gdzie jedna z dróg wiedzie do Reggio a druga do Cosenzy, mgła jest już bardzo gęsta, gęstsza niż w Alpach.

Otrzymujemy serdeczne zaproszenie do Rosarno. Dzielimy się papierosami i wytypowana w autostopowej ruletce ciężarówka znika w pomarańczowym obłoku.

Wspinamy się. Nic nie widać. Silny wiatr, jak na górskiej przełęczy, utrudnia nam oddychanie. Szkoda, ale wrócimy tu jeszcze.

Nagle Tiriolo zaczyna zrzucać z siebie woale, niczym orientalna tancerka. To tak nieoczekiwane zjawisko, że zatrzymujemy się, podziwiając poetyckie wychodzenie z mgły, dopóki nie ujrzymy miasteczka w pełnej krasie na zboczu góry oświetlonej przez słońce.

Niedawna pustka zaczyna nabierać kształtu i stopniowo staje się coraz bardziej realna, jest dla nas niczym obserwowanie narodzin. Coś powstaje z niczego! Gdy Tiriolo wyłania się przed nami, możemy docenić wyjątkowość jego położenia. Zwrócili na to już uwagę pierwsi osadnicy – ludzie pierwotni. Z pewnością byli równie wrażliwi na piękno natury jak my dzisiaj, skoro wybrali to

miejsce na stałe schronienie. Ziemia przechowała tu po nich wiele neolitycznych pamiątek.

Miasta, w przeciwieństwie do ludzi, nie kryją się ze swymi aktami urodzenia. Tiriolo może być dumne i nie musi wcale dodawać sobie lat. Jego starożytne pochodzenie jest historycznie udokumentowane, potwierdzone stosownymi pieczęciami. Pierwotnie było małą osadą usytuowaną w najwyższym punkcie ważnego szlaku komunikacyjnego, który prowadził przez półwysep od Morza Jońskiego do Morza Tyrreńskiego. Nie ma piękniejszego miejsca niż to miasteczko łączące góry z morzem, Wschód z Zachodem. Tu krzyżowały się również wpływy różnych kultur. Kalabria w tym miejscu jest wąska i ma tylko trzydzieści kilometrów szerokości. Biegła tędy najkrótsza droga, którą podążali kupcy i wojsko.

Grecki hełm z brązu, srebrny wieniec z rozetami i jeźdźcami, które podziwialiśmy w muzeum w Catanzaro, oraz dwie egzotyczne figurki z muzeum w Reggio: Selene trzymająca fragment nieboskłonu i Hermes w podróży, z manierką, hełmem i dyskiem, gotowy do pobierania wszystkich podatków świata, to cenne pamiątki z tamtej epoki. Nie brak tu rzymskich artefaktów, z których część mogłaby równie dobrze znaleźć się w galerii kuriozów. Ziemia zwróciła po latach tablice z brązu z zachowaną uchwałą senatu z 186 roku p.n.e. zakazującą świąt ku czci Bachusa.

Bachanaliala, bo o nich mowa, pierwotnie miały charakter religijny, który z czasem się zatracił. Kult boga wina był rytem tajemnym, dlatego przyciągał ludzi podejrzanych, szpiegów, indywidua moralnie zdeprawowane. W atmosferze tajemnicy łatwo można było knuć.

Rzeczywiście, zawiązał się spisek, a sposób, w jaki go odkryto, mógłby być motywem filmu sensacyjnego – jak zwykle w takich sytuacjach zdradziła kobieta. Hispana Facennia – to o niej mowa – jawnogrzesznica, której imię uwiecznił Liwiusz, ratując kochanka od zejścia na złą drogę. Zdradziła tajemnice sekty, mimo groźby zemsty. Tablica, potwierdzająca autentyczność tych wydarzeń, odnaleziona w 1640 roku, znajduje się teraz w Muzeum w Wiedniu²⁵.

25 W sprawie najszlachetniejszej rzymskiej kurtyzany Hispani Faeceni, starożytnego historyka Liwiusza i tajemniczych kamiennych tablic Danuta Musiał pisze tak: „W odniesieniu do wydarzeń z początków II w. p.n.e. rzadko dysponujemy większą liczbą świadectw i do tego innych niż literackie. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że w przypadku wspomnianego *senatus consultum* przekaz Liwiusza możemy skonfrontować z napisem pochodzącym z brązowej tablicy znalezionej w 1640 r. w okolicach Tiriolo (Calabria). Naukową edycję inskrypcji zawdzięczamy T. Mommsenowi, który opublikował ją jako *Epistula consulum ad Teuranos de Bacchanalibus*, ponieważ ma ona formę listu informującego władze lokalne o uchwale senatu rzymskiego dotyczącej praktykowania kultu dionizyjskiego. Z porównania obydwu tekstów wynika, że Liwiusz nie tylko

Ziemia zadbała o reputację Tiriolo i przedstawiła przed trybunałem historii mocne argumenty świadczące o starożytnym rodowodzie miasta. Jednak my przyjechaliśmy dzisiaj nie po to, by konfrontować Tiriolo z historią, ale by przeżyć przygodę i zobaczyć dwa morza! Ta przyjemność wymaga szczególnej oprawy i nie przydarza się pierwszemu lepszemu turyście. Wydaje się nam, że siedzimy na wysokiej przełęczy i żałujemy tylko, że nie jesteśmy gigantami, ponieważ wtedy moglibyśmy zanurzyć obie ręce w dwóch akwenach jednocześnie i sprawdzić, który jest cieplejszy.

Morze Jońskie jest dziś przejrzyste, otwarte na światło, igra z kolorem niezapominajki. Morze Tyrreńskie przypomina głęboki lapis lazuli. Wiatr nad Morzem Jońskim ucichł i ułożył powierzchnię w gładki aksamit. Morze Tyrreńskie dla odmiany oddycha szybko, zapisując rytm w szerokie fale.

Obejmujemy wzrokiem dwa różne akweny o odmiennych barwach. Pomiędzy nimi rozciąga się pasmo gór wewnętrznych, zbudowane z granitu i marmuru, które dają życie nie tylko Kalabrii, ale całym Włochom. Te góry, pokryte malachitowym płaszczem drzew, skrywają kamienny surowiec, który urzeczywistniał marzenia i projekty artystów i rzeźbiarzy. Rzeki Corace i Amato żłobią swoje koryta, zmierzając ku przeznaczeniu. Tutaj zaczyna się świat Gór Serra, sięgający 1200 metrów: Grande Serra, Serra di San Bruno i Serra di Vibo Valentia.

Odwiedzamy burmistrza, który osobiście oferuje się jako przewodnik. Zaczyna naszą podróż od uciech podniebienia, z likierem na czele. Raz jeszcze konfrontuję z rzeczywistością moją teorię, że wszystko w życiu chodzi parami. Nieszczęście i szczęście. Pomarańcze z Rosarno rozpoczęły szczęśliwą drogę ku kulinarnym wyżynom.

Jeśli chodzi o alkohol – burmistrz chowa w zanadrzu banalną dykteryjkę. Twierdzi, że po jednym kieliszku człowiek traci równowagę, ponieważ stoi na jednej nodze, i aby ją odzyskać, trzeba wychylić drugi kieliszek, by stanąć na nogach dwóch. Czy kiedykolwiek widzieliście istotę marzącą bardziej niż poeta? Z pełnym zaufaniem przyjmujemy poczęstunek.

Dumą miasta są stroje, tak charakterystyczne dla Tiriolo. Mieliśmy szczęście oglądać te codzienne, używane w pracy, ale stroje galowe, bankietowe, suknie ślubne czy te zakładane podczas religijnych świąt, to rzeczy zupełnie wyjątkowe. Burmistrz prezentuje nam jej piękno, które zasługuje na osobny rozdział.

oddął w pełni »ducha« ustawy, lecz także jej prawne zawiłości”. Por. D. Musiał: *Kilka uwag o sprawie tzw. Bakchanaliów w Rzymie w 186 r. p.n.e.* „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia” 1996, nr 29, s. 51.

Zostaliśmy zaproszeni na obiad. Wykorzystujemy tę pierwszą i jedyną okazję, by usiąść przy kalabryjskim stole. Bogactwo smaków tej kuchni godne jest uwiecznienia.

Wiele razy podziwialiśmy tutejsze drzewa oliwne; teraz degustujemy ich pyszne owoce. Kosztujemy wszystkiego, co ziemia i sztuka kulinarna mogą zaoferować: lokalne salami, wino (już nas nie dziwi mocna głowa Kalabryjczyków), skórki wieprzowe oraz wiele innych rzeczy – a wśród nich na szczególną uwagę zasługuje przysmak z Cosenzy. Gdy tam byłam, w jednym z ogrodów, widziałam chłopca z małymi rybkami. Wzbudziło to we mnie ciekawość i zapytałam, gdzie mogłabym je kupić. Odpowiedział mi, że to lokalny przysmak przyrządzany w domach.

Dziś rybki leżą przede mną na stole, na ogromnym talerzu. Małe sardele, oliwki i inne dobra. Powiem Ci, Czytelniku, że w życiu moje podniebienie doznało wielu kulinarnych rozkoszy. W Szwecji jadłam szynkę z renifera, w Strasburgu pasztet z gęsi, na Węgrzech gulasz z papryką, w Hiszpanii *arroz con leche*, w Pradze knedle, w Turcji baraninę z fasolą w sosie słodko-kwaśnym. Zapewniam Cię jednak, że sardele z pieca były nie mniejszą przyjemnością.

Wejść do kalabryjskiego domu jest bardzo trudno, trochę jak w kulturze arabskiej. Lecz wyjść z niego jest jeszcze trudniej. Z zaskoczeniem stwierdzamy, że teoria burmistrza dotycząca alkoholu nie jest prawdziwa, ponieważ nasza równowaga, zachwiana kilkoma toastami, staje się bardzo wątpliwa. Oczywiście nie można powiedzieć, że to twierdzenie jest z gruntu wadliwe, ponieważ sam Einstein uważa, że równowaga to rzecz względna. Kroniki notują, że na zamku księcia Cicala w Tiriolo znajdował się monolityczny kamienny stół bankietowy o długości czterech metrów, szerokości 1,65 metra i grubości ośmiu centymetrów. Nie jedliśmy na podobnym stole, ale jestem pewna, że było równie pysznie, jak na bankietach księcia Cicala.

Po obiedzie idziemy jeszcze zwiedzić ruiny zamku. Tiriolo u naszych stóp wygląda jak ogromne gniazdo na przełęczy ze zboczami opadającymi w stronę dwóch mórz. Nie bylibyśmy w Kalabrii, gdybyśmy na koniec nie skosztowali dobrej czarnej kawy. Tak kończy się doświadczenie smaków i zmysłów. Ostatnie z nich czeka na nas przed opuszczeniem miasta – panorama widziana do góry nogami. To nie gra słów, ale próba, którą polecamy każdemu odwiedzającemu Tiriolo! Widok miasta na przełęczy, wyrastającego prosto z nieba, jest naprawdę wyjątkowy, bajeczny. I nie sądzicie, że musicie stawać na głowie. Wystarczy, że ze zręcznością cyrkowca wsadzicie ją pod pachę, niemal jak kury. Spróbujcie! Zwłaszcza jeśli piliście trochę dobrego wina z Tiriolo, na pewno wam się uda, co będzie niezbitym dowodem na niezawodny zmysł równowagi.

Popołudnie dobiega końca, a do Catanzaro droga daleka. Próbuje po-
nownie złapać stopa. Teoria rzeczy, co chadza parami, nie zawodzi. Pierwszy
samochód, Fiat Topolino, zatrzymuje się przed nami. Tym razem trafiło nam
się dwóch wyczynowców, więc pojazd mknął chyżo po zakrętach (autorka nie-
śmiało sugeruje, że młodzieńcy spieszyli się na jakieś miłe spotkanie, gdyż męż-
czyźni zwykle zachowują się brawurowo z powodu kobiety, za nic mając zakręty
i przeпаście). Dotarliśmy do Catanzaro, ciesząc się, że mamy drogę za sobą.

Mieliśmy szczęście – spróbowaliśmy nowych smaków: estetycznych, kraj-
obrazowych, kulinarnych, historycznych, folklorystycznych, a także sportowych.

MODA W TIRIOLO

Jednym z grzechów industrializacji, przynajmniej tak twierdzą artyści, jest
śmierć narodowych strojów. Dawniej Europa była kolorowa; dziś stała się sza-
ra. Kemal Pasza jednym podpisem zrujnował egzotykę Turcji, modernizując kraj.
Zaskutkowało to spadkiem liczby turystów. Turecka kobieta, uroczą bohaterka
powieści Pierre’a Lotiego, pozbawiona skrzypiącego dźwięku sandałów „ciarf”
i szerokich spodni; turecki mężczyzna bez czerwonego fezu i szerokiego pasa –
przestali być interesujący. Do krajów, które nadal zachowały swoje charakte-
rystyczne folklory, należą Słowacja, Czarnogóra, południowa Serbia i Podole
w Polsce oraz wiele zakątków Bułgarii i Rumunii.

We Włoszech to właśnie Kalabria przyciąga egzotyką i pięknem strojów.
Nie istnieje ściśle określony wzorzec „folkloru kalabryjskiego”, ponieważ ży-
cie w górach przez wieki podlegało regułom patriarchalnej organizacji. Kolejni
najeźdźcy zalewali te góry jak fale, po czym wycofywali się, po nich napływały
kolejne fale, które również przemijały. Rdzenni mieszkańcy trwali i byli wierni
tradycjom, zwyczajom, pieśniom i tańcom.

Góry utrudniały komunikację, ludzie żyli w osobnych skupiskach. Najdalej
udawali się na pielgrzymki do znanych sanktuariów albo na pobliski targ. Dzie-
ki tej doskonałej izolacji niemal każdy zakątek Kalabrii, a precyzyjniej: każda jej
wioska, miała swój unikalny strój i charakterystyczny styl, który był ściśle prze-
strzegany. Moda ta nie zmieniała się tak szybko jak dziś, kiedy napędza ją prze-
mysł, trwała przez wieki. Mijały pokolenia, a ręcznie haftowany gorset i tkana
w domu spódnica były przekazywane z matki na córkę, z babci na wnuczkę. Rę-
kodzieło dalekie od tandety – nie traciło koloru wystawione na słońce, nie kur-
czyło się po pierwszym praniu. Wszystko wykonane z doskonałej wełny, delikat-
nego lnu, jedwabiu, aksamitu i tiulu. Jakość przyczyniała się do trwałości mody.

Kalabria była znana w całej Europie z produkcji brokatów i jedwabiu. Zwyczaj ludowe znalazły tutaj doskonałe warunki do rozkwitu, a lokalne krawiectwo czerpało z bogactwa różnorodnych tkanin i najbardziej artystycznych haftów. Pod koniec XIX wieku konkurencja maszyn, szybkość produkcji fabrycznej, rozpowszechnianie się tkanin, częste emigracje, rozwój środków transportu łączących małe osady z większymi centrami, wszystko to przyczyniło się do zaniku ręcznego rzemiosła.

Ten sam proces miał miejsce nie tylko w Kalabrii, ale w całej Europie. Noszenie narodowego stroju oznaczało przynależność do konkretnej grupy, a ludzie unikali takiej stygmatyzacji. Jako pierwsi porzucili strój mężczyźni. Kobiety, jak zawsze bardziej związane z tradycją, porzucały go stopniowo i z pewnym żalem. Innym przyczyn tego stanu rzeczy można szukać w kobiecym uwielbieniu teatru, spektaklu, maskarady. Szybko zrozumiały, że to, co może im zaoferować zindustrializowana epoka, jest szare, pospolite, zbyt ustandaryzowane w porównaniu z tym, co tracą. Sprawilo to, że zachowały swój żywy, teatralny wygląd na dłużej. I do dziś, mimo że sztuka folklorystyczna jest w odwrocie, spotykamy w Kalabrii stroje ludowe, zakładane nie tylko od święta, ale i na co dzień, do pracy; męskie zaś niemal zniknęły.

W Tiriolo zobaczyłam jeden z najpiękniejszych strojów, który nawet w porównaniu z albańskimi wzorami, pozostawał uczcią dla oczu. W malowniczej scenerii, na tle gór, wśród domów, spontanicznie i bez prób odbywa się pokaz lokalnej mody; kobiety w strojach ludowych wykonują codzienne prace: chodzą po wodę, niosą ciężary na głowie, jeżdżą na osiołkach z niezwykłą gracją, zamiatają przed domem, obierają groszek i karmią dzieci. Wszystkie te czynności, choć na pierwszy rzut oka prozaiczne, nabierają teatralnego charakteru dzięki wyjątkowym ubiorom. Każda z kobiet przypomina aktorkę w galowej kreacji. To sprawia, że życie w Tiriolo wydaje się niezwykcyjne i niemal egzotyczne w porównaniu do innych miejsc.

Jestem w innym świecie, w innej epoce i czuję, że to wszystko zawdzięczam obrazkom, które przesuwały się przed moimi oczami. Każda kobieta wydaje się interesująca, nawet ta mniej atrakcyjna. Ubrane niczym na paradę lub widowisko, bez makijażu, poruszają się elegancko, ponieważ noszony strój jest dla nich naturalny. W tym ubiorze z równą godnością poruszała się ich matka, babcia. Wiedzą, jak go nosić, tak jak wielka aktorka wie, jak nosić tren.

Strój z Tiriolo przypomina karnawałowy kostium, wydaje się lekki, mimo że ma dwie spódnice, jedną opadającą na całą długość, z falbanami, i drugą złożoną, zawiązaną w oryginalny węzeł w kształcie pawiego ogona, opadającego na plecy. Talia jest ciasna, dekolt swobodny i atrakcyjny, szerokie bufiaste rękawy

koszuli nadają ramionom wysoką, podniesioną linię. Tu bez wątpienia widoczny jest wpływ renesansu. Krótkie i wygodne rękawy ułatwiają gestykulację. Wielką ozdobą pozostaje długi i wąski fartuch, bogato haftowany kwiatami, w żywych kolorach. Na ramiona, w chłodniejsze dni, zakłada się powłóczysty i wąski wełniany szal w paski.

Uprzejmy burmistrz chce nam pokazać strój galowy.

Z dumą oglądamy, jak młoda, pełna gracji dziewczyna prezentuje się w świątecznym stroju, który zachwyca nie tylko karnawałowym krojem, ale i kontrastującymi kolorami, tworząc wyjątkowy efekt estetyczny. Jej ozdoby są przepiękne – żal, że nie ma z nami reżysera, który mógłby uchwycić tę folklorystyczną scenę. Możemy tylko wyobrazić sobie, jak wygląda wesele lub wielka uroczystość w Tiriolo; nie będzie dane nam zobaczyć tego na żywo. Ten przegląd codziennej mody ujawnia także gust Kalabryjczyków. Pomimo gęstej mgły, która nam towarzyszyła, dzisiejszy dzień obfitował w kolory i radość.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

WŚRÓD JODEŁ I BERGAMOTEK

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•



zatrzymujemy się, podziwiając poetyckie wychodzenie z mgły,
dopóki nie ujrzymy miasteczka w pełnej krasie na zboczu góry oświetlonej przez słońce



Węższe drogi kierują nas w stronę Croce di Megara

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

HUMORZASTY PATRIOTA¹

Nie przepadam za humorzastymi patriotami, zawsze działali mi na nerwy. Na tego jednego nie mogę się jednak złościć.

To dziwny osobnik.

Obiecano mu, że pojedzie w świat. Uśmiechnął się i nie sprzeciwiał.

Zabrali go do Ameryki Północnej. „Zostań tutaj – próbowali go przekonać – to słynny kraj! Washington, Lincoln, Edison, Rockefeller, Wilson... Staniesz się bogaty. Wszyscy są szczęśliwi w Ameryce!”. Spróbował, ale nie spodobało mu się wśród „Babbittów”².

1 W oryginale tytuł brzmi *Unikatowy nazista*. Słowo „nazista” powtarza się przez cały rozdział. Rodzi to oczywiście negatywne skojarzenia, stąd decyzja o zamianie „nazisty” na „patriotę” [uwaga tłum.]. Zastosowany (i ponawiany!) przez pisarkę „chwyt” wymaga pewnego komentarza. Zauważmy, iż dla czytelnika modelowego, dobrze zorientowanego w realiach przed- i powojennej Europy „bergamotkowy ślad” prowadzi na salony... zbytku i luksusu. Skojarzenie kalabryjskiej rośliny i najbardziej wpływowej projektantki mody (Coco Chanel) – wydaje się z naszej (współczesnej) perspektywy nieco dziwne. W optyce Alberti – stanowi dość ponury żart, czytelny i oczywisty dla jej pokolenia: rozkwit modowego imperium Chanel, pokrywał się wszak w czasie z rozkwitem innego dominium – nazistowskiego, niemieckiego „imperium zła”. Jak poświadcza Hal Vaughan: „[...] pomiędzy 1931 a 1935 rokiem Dom Mody Chanel prosperował świetnie – interes niemal się podwoił, w 1931 roku zatrudniał 2440 kobiet, a w 1935 prawie 4000, tamtego roku w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Ameryce sprzedano 28 tysięcy sukien”. Przygodny i rozłączny rozwój tych dwóch sił (mody i polityki) w latach 30., zyskuje zupełnie inny wymiar w czasie wojennej zawieruchy. Otóż uważa się dość powszechnie, iż Coco Chanel kolaborowała z rządem III Rzeszy, była szpiegiem nazistowskiego reżimu (figurującą „w berlińskim rejestrze jako agentka F-712A, pseudonim Westminster”) i zdeklarowaną antysemitką. Ten ostatni fakt stanowił tajemnicę poliszynela europejskiego salonu. Wszak jeszcze w latach 30. Gabrielle Chanel finansowała jawnie antyżydowskie pismo „Le Témoin”. Później, już po zdobyciu przez Niemców Paryża, próbowała pozbawić praw własności swoich żydowskich współudziałowców (zbiegłych do USA braci Wertheimerów) i przejąć pełną kontrolę nad Société des Parfums Chanel – na fali „aryzacji” firm i przedsiębiorstw. Por. H. Vaughan: *Coco Chanel. Sympiając z wrogiem*. Przeł. H. Pawlikowska-Gannon. Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2013, s. 89, 113–115, 198–199. I tu puenta: najsłynniejszy jej top produkt Chanel nr 5 (wprowadzony na rynek jeszcze w 1922 roku) ma w „nucie głowy” dwa główne składniki – bergamotkę i cytrynę! Widać zatem, że „niewinna” roślina posiada – w ironicznej alegorii Alberti – głęboko ukryte polityczne, „unikatowe” korzenie...

2 Książka autorstwa Sinclaira Lewisa o tytule *Babbitt* (1922) – satyryczna powieść o amerykańskiej kulturze, która krytykuje tamtejszą klasę średnią. Autor, lewicowy intelektualista, kreśli portret społeczny, dekonstruuje bogaty zestaw klisz i stereotypów. Tytułowy Babbitt (sprzedawca nieruchomości) to skupiony na sobie, pozbawiony ogłady i szerszych horyzontów – obcesowy ignorant. Jest wzorowym uosobieniem – jak zauważa wybitny polski znawca literatury angloamerykańskiej – „zestandaryzowanej codzienności”. Por. S. Helsztyński: *Plon pisarski Sinclaira Lewisa*. „Odrodzenie” 1946, nr 32, s. 2.

Zaprosili go do Ameryki Południowej. Opłacili mu luksusową podróż, zadba-
li, by się nie przeziębził, by wiatr mu nie dokuczał. Obiecali mu obywatelstwo.
„Posłuchasz argentyńskiego tanga – kusili go – Kobiety tutaj szaleją na punkcie
perfum. Każda pachnie na kilometr!”

Pozwolił się tam zabrać. Obejrzał. Spróbował. A pewnego pięknego dnia po-
rzucił wspaniałą karierę i w tajemnicy wrócił do domu.

„No to co ci się tam nie podobało?!”. „Nic. Nic mi się nie podobało – odpowie-
dział z grymasem – Chcę żyć tutaj!”

Zaczęli się zastanawiać nad jego tęsknotą. Dlaczego tak cierpi?! Może tęskni
za widokiem Etny! Czy nie można zastąpić Etny?

Pokazali mu Japonię: „Spójrz! Czy Fudzi nie jest jak Etna, a nawet piękniej-
sza? Gejsze uwielbiają perfumy. Będziesz tu królem! Niejeden Hokusai cię spor-
tretuje... A jeśli zatęsknisz za trzęsieniem ziemi, to i jego doświadczysz! Będziesz
ich tu miał pod dostatkiem!”

Spróbował. I wrócił!

Stał się zagadką dla antropologów. Jak to możliwe? Ma wszystkie cechy po-
chodzenia orientального. Jego przodkowie żyli w Indochinach i południowych
Chinach, a on nie może żyć na wschodzie? Jego dziwna tęsknota za Reggio zain-
teresowała... psychiatrów.

Skierowano go do lekarzy. Cały jego organizm poddano dokładnym bada-
niom. Jak oddycha? Jakie powietrze mu służy? Jaki wiatr mu odpowiada? Ilu
godzin słońca dziennie potrzebuje? Co pije? Naukowcy zaczęli zastanawiać się
nad patriotyczną skłonnością Pana Bergamotki.

Dlaczego nie może żyć w innym miejscu? – dziwiono się. Gdy przenoszono
go na drugą stronę Cieśniny Mesyńskiej, całkiem blisko Reggio, gdzie wybrzeże
skąpane jest w tym samym słońcu i w tym samym wietrze, i gdzie ziemia posia-
da podobną żyzność, odmawiał pobytu. Czy naprawdę robi mu tak wielką różni-
cę to, że Etna jest po lewej, a nie po prawej stronie?

Jednak maniakalnego patrioty, najbardziej osobliwego spośród wszystkich,
których zna historia, nie skusiła gwarancja otrzymania wizy wjazdowej do Ame-
ryki ani nie dał się porwać argentyńskiemu tangu, nie przekonała go też per-
spektywa zakorzenienia się na zboczach Fudzi-jamy, ani też nie dał się zwabić
japońskim gejszom. Pan Bergamotka wygrał swoją wojenkę.

A była to batalia niemal humorystyczna. Patriota, uparty i humorzasty, poko-
nał wielu sprytnych, międzynarodowych przemysłowców. niespotykana rzecz
w historii branży perfumeryjnej!

„Chcecie owocu mojej pracy? Dobrze, ale musicie przyjechać do Reggio. Nie
obchodzi mnie, czy będziecie musieli zapłacić podatek od zbytku!”

Z rodziną poszło gładko, wszyscy dali się przekupić: hrabina Pomarańcza, markiz Cytryna, baron Cedr, nawet elegancka młoda Mandarynka. Wszyscy chcieli ekspansji i bogactwa. Jedynie proletariusz Bergamotek pozostał na swoich trzech tysiącach hektarów. To niewiele, lecz wybrał je w najpiękniejszym rejonie Kalabrii, w łagodnym pobłogosławionym przez Eola klimacie, wzdłuż Cieśniny, w pasie między Brancaleone a Villa San Giovanni. Nie obchodzi go, że ziemia ma miliony kilometrów kwadratowych. On nie chce wychylać nosa poza swoje królestwo. Tu, gdzie jest, żyje mu się świetnie, a jego praca jest doceniana. Nikt nie może go zastąpić, nic nie ma takiej wartości.

Zadomowił się tutaj dwa wieki temu. Zanim odkryto jego walory, był tylko ciekawostką. W drugiej połowie XVIII wieku naukowcy zaczęli go badać i doszli do zaskakującego wniosku: esencja z jego skórki ma dziwną właściwość, mianowicie potrafi utrwalać każdy zapach. To rodzaj dyplomatycznego pośrednika, który pomaga aromatom przenikać się nawzajem, harmonizować i stabilizować. Jego skórka wydziela tłusty olejek o subtelnym, charakterystycznym zapachu, który współgra z każdym innym aromatem.

Tak rozpoczęła się chwalebna droga bergamotki, niepozabawiona wybojów. Kiedy stało się jasne, że uparciuch nie chciał żyć w żadnym innym miejscu, zaczęto go bojkotować. Wiecie, co to znaczy bojkot ze strony wielkiego przemysłu, który ma do dyspozycji najprzebieglejsze służby?

„Taki z niego gagatek, ale my go zastąpimy ekstraktem o tych samych właściwościach!” – powiedzieli. Laboratoria chemiczne zaczęły pracować nad stworzeniem syntetycznego substytutu. Czyżby im się nie udało? Nic podobnego! Na rynku perfumeryjnym zaczęły pojawiać się różnorodne, kuszące i chronione patentami ekstrakty, promowane przez głośną i kosztowną reklamę. Kryzys bergamotki był przerażający, a listonosz zauważył katastrofalny brak eleganckich kopert z zamówieniami od wielkich firm.

Tak nadeszła tragiczna epoka. Zaczęto wycinać bergamotki i zastępować pomarańczą i cytryną. Esencja zaległa w najciemniejszym zakątku magazynu, zawstydzona. Każdy ją odrzucał, każdy patrzył na nią krzywo, jak na konia czempiona, który nagle przestał docierać do mety.

W tym trudnym okresie swojego życia Pan Bergamotka nieśmiało – jak się wydaje – przeproszał za swój upór, choć nigdy wcześniej jego owoce nie były tak obfite, a kora tak bogata w olej. Bronił się: „Czekajcie, miejcie cierpliwość! Może wszystko, co piszą o moich fałszywych konkurentach, okaże się prawdą”. Bohatersko stawiał czoła złemu losowi jak każdy prawdziwy kalabryjski patriota.

Okazało się, że reklama, choć wspaniała, głośna i droga, nie wystarczy. Syntetyczni konkurenci nie przeszli próby. I oto listonosz w Reggio ponownie zaczął

doręczać eleganckie koperty z etykietą wielkich producentów perfum: Hutchinson, Elizabeth Arden, Guerlain, Eau de Cologne... wszyscy przypomnieli sobie o Panu Bergamotce, a cały porzucony i lekceważony zapas w magazynie powrócił wkrótce na salony świata.

Bergamotka ma jeszcze jednego wielkiego wroga w osobie samego Boga. Zawsze gdy Mars zaczyna się panoszyć i zamykają granice, Pan Bergamotka jest w kryzysie. Zapach krwi jest silniejszy niż perfumy. Teatr życia potrzebuje wtedy przynajmniej aromatu skromnej zupy, a nie wyrafinowanego *tout pour toi*. W takich chwilach dostawa znów pozostaje w Reggio. Po pierwszej wojnie światowej zaczęto wycinać bergamotki, ponieważ cena za esencję spadła do 20 lirów za kilogram i nawet wtedy nie znajdowała nabywców. Po wojnie nastąpił wzrost sprzedaży, a potem ponownie kryzys w 1930 roku. Tak więc kariera bergamotki ma swoje jasne i ciemne strony.

Produkcja wynosi obecnie 340 tysięcy kwintali owoców, z których skórki uzyskuje się 170 tysięcy kilogramów niezastąpionej esencji. 90% wolumenu, czyli 150 tysięcy kilogramów, idzie na eksport, przynosząc Włochom rocznie ponad sześćset milionów lirów³.

Owoc bergamotki przypomina cytrynę, ale jest mniejszy, wielkości mandarynki i doskonale kulisty. Ma delikatny zielony kolor, który w słońcu prawie zlewa się z liśćmi, i uprawiany jest w dwóch odmianach: Bergamotto vulgaris i Melarosa⁴. Nic się nie marnuje, każda część owocu jest wykorzystywana. Oczywiście najcenniejsza jest skórka, która dostarcza niezastąpionego utrwalacza do perfum, harmonizującego najbardziej egzotyczne mieszanki. Do uzyskania kilograma esencji potrzeba od 2000 do 2400 sztuk.

3 *Valuta pregiata* oddano jako: „włoskie liry” [uwaga tłum.].

4 Trzeba wprowadzić korektę do taksonomicznych uwag Alberti. Roślina, o której mowa w tekście, to oczywiście: *Citrus bergamium*. Autorka wymienia jednak tylko dwie najpopularniejsze wersje (odmiany) gatunkowe. Należałoby jednak w tym miejscu – gwoli ścisłości – wskazać aż cztery formy odmian. To: bergamotka zwyczajna (postać najpopularniejsza, najbardziej rozpowszechniona), Melarosa (wersja o owocach nieco spłaszczonych), Torulosa (typ o owocach prążkowanych) i Piccola (odmiany karłowate). Zasadniczo tylko bergamotka pospolita (zwyczajna) jest uprawiana komercyjnie dla opisywanych (różnorakich) walorów esencjonalnego olejku – w trzech dominantach: Castagnaro, Femminello i Inserto (jest jeszcze Fantasio – jej owoce różnią się nieco kształtem od odmiany Femminello). Wyszczególniona odmiana bergamotki kalabryjskiej stanowi przedmiot zabiegów pielęgnacyjnych głównie w prowincji Reggio Calabria. Wegetuje ona na stosunkowo niewielkim, ograniczonym terytorialnie obszarze, ciągnącym się wzdłuż nadmorskiego pasa ziemi – na długości około 150 kilometrów: od Villa San Giovanni, po Monasterace. Por. także: C.T. Federici, M.L. Roose, R.W. Scora: *RFLP Analysis of the Origin of Citrus Bergamia, Citrus Jambhiri, and Citrus Limonia*. „Acta Horticulturae” 2000, no. 535, s. 55–64.

Z niedojrzałych owoców uzyskuje się tak zwany destylat, który znajduje szerokie zastosowanie w produkcji mydeł. Otrzymuje się z niego linalol, podczas gdy miąższ owoców stanowi surowiec dla innych produktów pochodnych. Nawet liście są cenne, ponieważ otrzymuje się z nich petitgrain, olejek eteryczny, podobnie jak z liści gorzkich pomarańczy.

Istnieją jeszcze inne zastosowania owocu bergamotki. Po wyciśnięciu uzyskuje się sok, który w wyniku fermentacji daje alkohol etylowy i cytrynian wapnia, z którego można uzyskać kwas cytrynowy. Proces ten ma dużą wartość w produkcji konfitur i esencji alkoholowych.

Po odcisnięciu soku miąższ wykorzystuje się do karmienia bydła oraz ekstrakcji pektyny. Szczegółowe dane przedstawiają się następująco: owoc składa się w 25–32% z zielonej skórki, kryjącej tak wiele sekretów; 67% to miąższ, a 1,4% to nasiona. Można z niego uzyskać pięcioprocentowy kwas cytrynowy ($C_6H_8O_7$).

Nie wiem, czy moje drogie czytelniczki wiedzą, że perfumy znanych marek zawierają esencję Pana Bergamotki. Przynajmniej raz na świecie przydał się jakiś zadziorny patriota, który zamiast dzielić, łączy, harmonizuje i ostatecznie utrwała każde, nawet najbardziej ekstrawaganckie połączenie. Dziwna jest Natura! Z jednej strony ofiarowała nam roślinny utrwalacz, pochodzący z jednego z najpiękniejszych zakątków świata, z poetyckiego drzewa, o doskonałym aromacie, który sam w sobie jest jak perfumy. Z drugiej strony, stworzyła najważniejszy utrwalacz pochodzenia zwierzęcego, tłuszcz o charakterystycznym zapachu, sekret gruczołu zwierzęcia z afrykańskich lasów, nienawidzącego światła, wyglądającego niewiele bardziej szlachetnie niż hiena⁵.

5 Autorka ma na myśli z całą pewnością cywetę afrykańską (*Civettictis civetta*). To gatunek drapieżnego ssaka z rodziny wiwerowatych. Zamieszkuje on obszar położony na południe od pustyni Sahara. Zasiedla tereny pokryte lasami deszczowymi oraz sawanny. Poluje i poszukuje pokarmu głównie w nocy, jest organizmem wszystkożernym. Z gruczołów okołoodbytniczych tego zwierzęcia pozyskuje się cywet – ekstrakt stosowany w przemyśle perfumeryjnym, jako stabilizator zapachów (fiksator). Stąd też przywoływana najczęściej etymologia nazwy gatunkowej (por. arabskie *zabbad*: „perfumy uzyskane z małego kota”). O sposobach otrzymywania substancji i jej walorach wyzyskiwanych w produkcji pisze Tomasz Kuszej: „Jeśli jednak chcemy pozyskać cywet z wyciętych gruczołów, to w takim wypadku należy najpierw dobrze je wysuszyć, a następnie rozdrobnić i macerować w alkoholu etylowym, w celu uzyskania jednolitej tinktury. Którą destyluje się przy pomocy eteru naftowego i etanolu. Na szczęście, w dzisiejszych czasach odchodzi się już od pozyskiwania naturalnego cywetu, a jego miejsce zajmują syntetyczne substytuty. Ale czemu właściwie składnik ten jest aż tak pożądany? Oczywiście ze względu na swój aromat. W czystej postaci cywet posiada intensywną, fekalną woń. Wynika ona z obecności w jego składzie skatolu. Jednak pod wpływem alkoholu zmienia się diametralnie. Staje się kwiatowo-pudrowa. A przy tym ciężka i zmysłowa. I to właśnie z tego względu jest tak ceniona w przemyśle

Jeśli interesuje Cię chemia, Czytelniku, pozwól mi na krótki wykład. Mamy tu limonen, dipenten, bergapten, kamforę bergamotową i octanu linalilu (bergamiolu), który jest jej głównym składnikiem.

Ostatnio nasz rodzynek znalazł mecenasa, który patronuje jego pracy, zapewnia mu istnienie, uprawia go, wysyła na cały świat, reguluje cenę, dba o dobrą opinię, prezentuje w eleganckim opakowaniu na wystawach, a przede wszystkim, gdy od czasu do czasu pojawia się nieuczciwa konkurencja, gwarantuje jego czystość i oryginalność. Tym mecenasem jest Konsorcjum Bergamoto z Reggio Calabria, jedyna w swoim rodzaju instytucja, która sprzedaje unikatowy, nieznanym w świecie produkt⁶.

Czy nie tak powinna brzmieć definicja „wyjątkowości”?

WACHLARZ ASPROMONTE

Upał panujący na wybrzeżu tyrreńskim wygnał nas w góry. A są to wzniesienia nie byle jakie: ich najwyższy szczyt, Monte Alto, sięga prawie 2000 metrów.

Jesteśmy w Aspromonte!

Przypominają mi się wędrówki po Karpatach, Bałkanach, Wogezach, Kraśsie, górach Sierra w Hiszpanii, Karkonoszach, Jurze, górach Harzu. Wiele z tych masywów przewyższało Aspromonte wysokością i rozległością łańcuchów górskich.

perfumeryjnym”. Por. T. Kuszej: *Olfaktoryczna anatomia – od fekaliów po kwiatowy puder, czyli dwa oblicza cywetu*. Blog „Agar i Piżmo”. <https://www.agaripizmo.pl/blog/cywet> [dostęp: 28.11.2024]. A także: A. Kaliniak-Dziura, P. Skąlecki, M. Florek [et al.]: *Surowce zwierzęce wykorzystywane w kosmetyce*. W: *Wybrane aspekty biokosmetologii*. Red. M. Chwil, B. Denisow. Wydawnictwo Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, Lublin 2021, s. 157–158.

6 Idea konsorcjum narodziła się, aby wybrnąć z kłopotów, jakie przyniosły kryzysy handlowe pierwszych trzydziestu lat XX wieku, spowodowane wahaniami w produkcji i brakiem stabilizacji cen. W 1931 roku utworzono Konsorcjum Producentów Bergamotki (Consortio Produttori Bergamoto), którego prawnym sukcesorem pozostaje współczesna instytucja, z siedzibą w Reggio Calabria (Consortio del Bergamoto). Głównym celem, dla którego powołano do życia, na osiem lat przed drugą wojną światową, kalabryjskie konsorcjum było odpowiednie zarządzanie przechowywaniem esencji bergamotki i ochrona produktu, a także gwarancja czystości ekstraktu. Obecnie Konsorcjum pomaga w opracowaniu strategii i planów rozwoju dla firm produkcyjnych, uruchamia inicjatywy techniczno-naukowe mające na celu poprawę upraw, promuje stowarzyszania producentów i wspiera badania na rzecz doskonalenia procesów technologicznych przetwarzania bergamotki. Prowadzi także działalność w zakresie pomocy technicznej dla firm i osób fizycznych uprawiających tę roślinę oraz szkolenia zawodowe dla pracowników całej branży. Por. <https://bergamotoconsorzio.it/index.php/consorzio/> [dostęp: 29.11.2024].

Zachmurzone Bałkany wzbudzały lęk i szacunek swoim majestatem. Na lodowcach Alp czułam się jak mała mrówka i to wrażenie często odbierało mi sens istnienia. Upalny Kras wywoływał niepokój i nieustanne pragnienie. Wogezy były zbyt niskie, niemal dziecinne, by móc się w nich zgubić. Po Karkonoszach można było biegać wzdłuż i wszerz.

Tak bywało, ale góry te pozbawione były waloru, który oferuje Aspromonte: widoku na morze. Źle mówię! Na trzy morza jednocześnie. Nigdzie w Europie tego nie spotkasz, Czytelniku. Owszem, z Mont Vinaigre na Esterel widać morze aż po Elbę, podobnie z Alp Nadmorskich. Z Sierra Nevada, gdy zjeżdżałam w dół do Malagi, również widziałam morze, lecz zawsze było to jedno morze. A wulkany majaczyły daleko. Tutaj podziwiam widok na trzy morza i dwa wulkany jednocześnie. Z tego powodu Aspromonte jest wyjątkowym masywem, oferującym widoki, jakich w świecie nie znajdziesz. Dwie godziny jazdy autobusem z Reggio do Gambarie i świat się zmienia: krajobraz, roślinność, klimat, nawet stroje.

Wyruszyliśmy o czwartej, w upale, w pełnym słońcu, w cienkich koszulach, a już o szóstej w Gambarie chłodny wiatr zmusza nas do założenia swetrów. Z poziomu morza nagle znaleźliśmy się na wysokości 1300 metrów. Upał pozostał na dole, otulony mlecznymi chmurami, a z gór spływa świeżość, oddech wiatru i przyjemny chłód. Zmieniliśmy koszule na swetry, a ogrody pomarańczy, cytryn i bananowców na balsamiczne lasy sosnowe, dębowe i bukowe.

Droga była urozmaicona. Przejechaliśmy przez dwie rzeki okresowe: Annunziatę i Torbido w pobliżu Archi, i znaleźliśmy się na lewym brzegu rzeki Gallico⁷.

7 Wymienione przez Alberti rzeki reprezentują, mimo sugerowanego przez pisarkę odmiennego charakteru potamicznego (być może wrażenie ludzkiego „poskromienia” koryta Gallico należy przypisać majowej porze oglądu!), dosyć jednorodne pod względem morfologicznym typy cieków wodnych właściwych dla Kalabrii. Wszystkie wymienione „geograficzne obiekty” Włosi dość zgodnie określają mianem „fiumare”. Stanowią one zwykle puste, najczęściej kamieniste koryta rzeczne, wypełnione wodą jedynie w porze deszczowej albo tuż po znacznych opadach deszczu. Niosą wtedy dużo materiału osadowego i stanowią wielkie zagrożenie powodziowe. Tak charakteryzują owe okresowe (efemeryczne) rzeki południa Włoch hydrologdy: „In Calabria (southern Italy), characterized by mountainous morphology, the areas suitable for agriculture and urban development are represented by thin river and coastal plains. The hum an utilization of these areas is often hard fought with rivers: floods cause periodic damage to agricultural activities, embankments, roads, rural settlements and sometimes, to people. The main river network is made up of ephemeral streams, locally called fillmara, and widely observed in southern Italy. In plain sectors their beds are often in excess of thousands of metres. They are completely dry for almost the entire summer season, and affected during the winter by severe flash floods characterized by huge sediment load. Because of the migration of river channel through the wide river bed, discharge data are unavailable. Then, the study of the effects of historical floods can be used to roughly assess flood magnitude of different flood events that have occurred in the past”. Por. O. Petrucci,

Rzeka okresowa jest zjawiskiem typowym dla Kalabrii. To ogromne i długie koryto wypełnione kamieniami, którego brzegi stanowią naturalne siedlisko oleandrów. Od kwietnia do listopada rzeki okresowe są suche, a jedynie dno sugeruje, że w innych porach roku spływa tędy woda z gór.

Rzeka Gallico ma inny charakter. Tutaj ludzka zaradność krok po kroku odbierała przestrzeń wodzie, przekształcając kamienie w ogród cytrusowy. Zmiany wprowadzono w głównym korycie i w dopływach. Dla wody pozostawiono jedynie wąski przesmyk, który o tej porze roku wygląda jak dziecięca ścieżka biegnąca wśród scenicznej zieleni przez arkadyjski ogród. W tym miejscu piękno natury i użyteczność idą w parze, ale to wyjątek; inne rzeki okresowe na wybrzeżu jońskim nie zostały jeszcze przekształcone ludzką ręką; baśniowe oleandry bujnie kwitną na ich brzegach, tworząc niezwykle wzory.

Most przenosi nas na prawy brzeg Gallico. Dla tej betonowej bestii to igraszka. Przejeżdżamy przez Laganadi, Sant'Alessio, a potem Santo Stefano. Widać tu dobrze działalność człowieka: każdy nadający się do uprawy teren został przekształcony i wykorzystany w sensie materialnym i estetycznym. Kalabryjczycy w dbałości o naturę wykazują się wrodzonym wyczuciem, odziedziczonym po dalekich przodkach. Na zboczach wzgórz pomarańczowe gaje tworzą starannie nawadniane ogrody, zamknięte niczym kamieniołomy odseparowane od świata. Wyżej na tarasach pokrywających stoki rosną zgodnie drzewa oliwne w towarzystwie spektakularnych kasztanowców. Bez kasztanowców można żyć, ale jak sobie radzić bez oliwy? Drzewko oliwne jest bowiem niezastąpione.

Od czasu do czasu, na zakrętach, odwracamy głowę i obserwujemy mijane wzniesienia, które wydają się dziecięcym rysunkiem, podczas gdy Cieśnina Mesyńska za każdym razem zmienia swoje oblicze.

Dotarliśmy!

Czym jest Gambarie?

To wciąż niewiele, ale jednocześnie całkiem dużo. To projekt utworzenia stacji klimatycznej, który dotąd nie został zarzucony. Gambarie ma prawdziwą wartość. Nie było tu nigdy wsi, której charakter ktoś chciał zmienić. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zmiana przeznaczenia danego miejsca.

Gambarie od samego początku rozwija się jako miejscowość uzdrowiskowa. Jest to wyjątkowo piękne miejsce o willowej zabudowie. Nie ma tu rdzennych mieszkańców, których dziwiłby widok szortów, strojów kąpielowych czy dam-

skich spodni. Bywają tu tylko letnicy i każdy może nawet chodzić na rękach – rzecz nieakceptowalna, gdy oceniający wyrasta z mentalności małej wioski, z której nie może się już uwolnić. Zawsze pozostanie jakieś mało zaściankowe przedmieście, które nie ma żadnego związku ani z architekturą, ani z obyczajem życia, ani z turystycznym charakterem miejsca.

Znajdujemy się więc w wachlarzu Aspromonte. Mimo olbrzymiej przestrzeni, którą zajmuje, działa mechanicznie i doskonale. Porusza masami powietrza, chłodzi ciało, nerwy, mózg, zmęczone nadgarstki. Nigdy nie odpoczywa. Pracuje dzień i noc.

Wieczorem z naszego balkonu widzimy mieniącą się złotem taflę Cieśniny Mesyńskiej, otoczoną gęstymi, błyszczącymi światłami. Jakaś niewidzialna ręka wycięła z purpurowego aksamitu ćwiartkę księżycy i umieściła ją wysoko nad przesmykiem. Ludzie przesądnie mówią, że czerwony księżyc, zanurzony we krwi, nie wróży niczego dobrego. My jednak wiemy, że złe rzeczy zawsze pochodzą od ludzi.

Gdzieś słychać akordeon. Kiedyś grał mi kujawiaka, węgierskie czardasze, andaluzyjskie tanga. Dziś przygrywa kalabryjską tarantelę⁸.

Rytm biegnie gwałtownie, niemal z zadyszką, pełen zalotnego uśmiechu, erotycznej uwodzicielskości, gorącego pulsowania, słodkiej obietnicy, namiętnej miłości, odważnej czupurności. Nuta zapętla się, raz uderza w wysokie tony, zostaje tu przez chwilę i powtarza się uparcie, by potem spaść niżej. Strofa za strofą, niemal identyczne, niemal bliźniacze, nigdy nienużące swoją powtarzalnością.

Wystawiam twarz na orzeźwiający powiew spływający z wachlarza Aspromonte. Patrzę na czerwony sierp księżycy, słucham taranteli. Pijemy wino i upajamy się podwójnie! Winem i świeżą bryzą.

8 Najstarsze ze świadectw składa Athanasius Kircher (1601–1680) w odniesieniu do zjawiska tarantyzmu na Sycylii. Traktuje on tarantyzm jako bezpośrednie „przełożenie” między ukąszeniem pajaków ptaszników występujących we wsiach, w Kalabrii, Apulii i na Sycylii, a rymującą się rytmicznie frazą, zwany oktawą sycylijską, która jest podstawowym budulcem taranteli. Istota pieśni nie leży w fizycznym ukąszeniu, które w wielu przypadkach mogło mieć miejsce właściwie realnie, ale w możliwościach, jakie oferuje ta konkretna dynamika rytualna – oparta na terapeutycznym autorytecie muzyki i tańca – tak aby zrekonstruować początek „kryzysu” w pozytywny sposób, by przejść z poziomu rzeczywistości na poziom wyobraźni. Znamienne jest jednak to, że w zależności od różnych epok i ideologii tarantyzmu, próbuje się odpowiedzieć na odwieczne pytanie: czy muzyka może uzdrowić człowieka ukąszonego przez jadowite zwierzę? Muzyka w zasadzie wpisuje się już w archaiczny horyzont mityczno-rytualny obecny w helleńskiej myśli filozoficznej (począwszy od Platona) i kontynuowany współcześnie w wymiarze popularno-tradycyjnym. Chorobie „dysharmonii” można zaradzić dzięki regularnej zgodności rytmu i melodii. I tak działa transowa moc taranteli. Por. S. Bonanzinga: *Il tarantismo in Sicilia. Declinazioni locali di un fenomeno culturale euromediterraneo*. „AM. Rivista della Società Italiana di Antropologia Medica” 2016, s. 64–66.

OKRUCHY SZCZĘŚCIA W GAMBARIE

Goethe powiedział, że szczęścia nie można znaleźć w dużym kawałku, lecz tylko w drobnych okrucach. I to człowiekowi przypada zadanie, by te okrucy zebrać w całość.

To niełatwe. Wielu ludzi nie ma do tego ani talentu, ani cierpliwości. I to właśnie oni sceptycznie powtarzają, że szczęście nie istnieje.

Czasami wystarczy rzucić garść piasku w oczy poety, by napełnić go najgłębszym smutkiem; często jednak najmniejsza drobinka sprawia, że czuje się on nieskończenie szczęśliwy.

W Gambarie znalazłam okrucy szczęścia i dzięki nim przeżyłam piękną niedzielę. Nie dlatego, że odbywał się zlot samochodowy i przybył niesamowicie długi korowód aut z Mesyny i Reggio. I nie dlatego, że po południu zorganizowano tańce z prawdziwą muzyką w sali, w której było tak ciasno, że nikt nie mógł się ruszyć. Ani też nie dlatego, że wieczorem w hotelu Salus dostaliśmy ogromny kawałek pysznego ciasta, na który patrzyłam z zachwytem, wiedząc, że wypieki to rarytas na kalabryjskim stole, na którym zamiast wszelkich słodkości podaje się owoce. I nie dlatego, że panorama tego dnia była naprawdę fantastyczna.

Okrucy szczęścia odnalazłam w trakcie trzech wizyt. Wszystkie trzy dotyczyły dzieci. Dzieci „drzewnych”, dzieci „ludzkich” i dzieci „kwietnych”.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, gdzie zaczyna się las. Zawsze widziałam go już jako ogromną, drzewną populację, która żyje i walczy, cieszy się i cierpi, zupełnie jak ludzka.

Nikt na świecie nie ma głębszej miłości i szacunku dla lasu i drzew niż Słowianie. Rasa rzymska całą swoją kulturę zapisała w marmurze i kamieniu, Słowianie zaś w drewnie. Zbudowali niegdyś z pni całe miasta, a ruiny Biskupina, odkryte w Polsce, wciąż budzą podziw archeologów. Niezliczone kapliczki przy drogach, kościółki... są dziećmi drzew. Z pachnącej polskiej lipy postawiono krzyże na rozdrożach, rzeźby świętych, prymitywne figury Madonny, całą sztukę ludową, świeżą, niezdegenerowaną. Polichromowane tryptyki, stalle, chóry, ambony, ławki. Można powiedzieć, że religia od początku w Polsce była drewniana, we Włoszech marmurowa. Od łyżek po krzesła – wszystko rzeźbione. Polak jest związany z drzewem, a las pozostaje jego drugim domem, tak jak brzeg morza jest drugim ukochanym miejscem dla mieszkańców regionu śródziemnomorskiego.

W Aspromonte nie czułam się jak w Kalabrii, lecz jakbym była w moim drugim domu, który wzrasta na moich oczach.

Pojechaliśmy z Gambarie kilka kilometrów do szkółki leśnej Cucullaro. Jest to czwarta co do wielkości uprawa we Włoszech i rozciąga się na wielu hektarach. Na zboczach gór długie prostokątne grządki tworzą przestrzeń, w której ogromna populacja drzew wyrasta z nasion i dojrzewa. Widzimy, ile kosztuje uprawa i praca, zanim te „drzewne dzieci” staną się dorosłe, nim rozpoczną samodzielne życie w leśnej społeczności. Zaczynają jako niemowlęta, które jeszcze nie okrzepły – jasne, aksamitne, bezbronne, ale już widać, jak natura nadała im własny kształt mimo ich drobnej postury. Czasami wydają się jedynie maleńkimi, wyrwanymi z ziemi listkami, które nie nadawałyby się nawet do ozdobienia bukietu fiołków; ale już są podzielone na rodziny, klasy i gromady.

Sama natura decyduje o ich przynależności do określonej szerokości geograficznej i gleby, zgodnie z potrzebami każdego z nich. Jedne będą żyć wysoko, inne nisko. Jedne w suchym miejscu, inne w wilgotnym. Wiele z nich umrze młodo, gwałtowną śmiercią. Niektóre zostaną wyrwane przez huragan, inne powalone przez piorun. Są też takie, które dożyją późnej starości. Niektóre będą zdrowe, inne chore. Szczepną lub będą pożarte przez robaki. Zupełnie jak ludzie!

Drzewa w szkółce, które dopiero przygotowują się do życia, nic o nim jeszcze nie wiedzą. Nie mają żadnych przeczuć, są niewinne, radosne, uśmiechnięte. Bliżej im do płatków kwiatów. W przyszłości wyrosną, tworząc bogactwo, z którego będzie korzystać człowiek: Las.

Aspromonte od zarania dziejów przyciągało różne ludy. Tutaj, drzewa sięgające niebotycznej wysokości stanowiły gotowy surowiec służący do budowy statków. Drzewo bowiem, podobnie jak kamień, stanowiło od zawsze budulec ludzkiej kultury i pomagało człowiekowi rozwijać cywilizację. I mimo że ostatni wojenny huragan zniszczył wiele lasów, w Kalabrii rosną wciąż nowe zielone pokolenia, ucząc się oddychać, nabierając kształtu i siły, rozwijając charakter.

Przyglądam się uważnie dużym prostokątnym grządkom. Wszystkie drzewka są niemal identyczne, bez żadnych szczególnych cech. W rzeczywistości każde z nich jest inne, oryginalne, nie ma dwóch takich samych, tak jak nie ma dwóch identycznych osób, zwierząt czy ptaków. Każde cieszy się ochroną natury i równymi prawami.

Z tym obrazem zielonego życia w oczach idziemy do dziecięcej kolonii.

Nie ma znaczenia, co historia napisze o epoce przed drugą wojną światową. Czy pozbawi ją szacunku, czy też postawi wysoko na piedestale chwały. Każdy uczciwy i obiektywny krytyk musi przyznać jedno: kolonie dla dzieci były wtedy w stanie rozkwitu. Dziś zwiedzamy jedną z nich, położoną kilka kilometrów od Gambarie. Przypomina zamek z dziecięcych snów, zaprojektowany ultranowocześnie, malowniczo położony. Monumentalne wejście, sala widowiskowa,

ogromny plac pełen kwiatów, na którym rosną białe stokrotki, szklane ściany, duże sale. Powietrze. Światło. Zdrowie. Wojna (a właściwie wojenne hieny) oszczędziły pałac dzieciństwa, który ostał się na rozdrożu nieba, gór i wody jako symbol spełniających się marzeń. To inny rodzaj szkółki, tej ludzkiej. Młode drzewka rosną, zielenieją, nabierają sił. W kolejnych latach to edukacja zdecyduje, do jakich celów przeznaczyć młody las, gdy dojrzeje, jaką drogą pójdzie kolejne pokolenie. Wszystko w naszych rękach: z tej szkoły nie wychodzą istoty nieludzkie, obcy z innych planet, lecz młodzi-dorośli. Jesteśmy odpowiedzialni za ich kształcenie, a potem dziwimy się, gdy nadchodzi kolejny 1939 rok. Dziś tutaj, w Gambarie, w tej wzorcowej szkole, słuchając radosnego śmiechu, patrząc na zachodzące słońce, Etnę na horyzoncie oraz kwiaty i drzewa wokół nas, chcę wierzyć, że rosną tutaj nowi ludzie, przeznaczeni do życia w pokoju, zgodzie i porządku. Ludzie, którzy pozwolą innym ludziom żyć obok siebie⁹.

Niech ta atmosfera, łóżko obok łóżka, talerz obok talerza przy tym samym stole, w jakiś tajemniczy sposób się utrwali; i jak dziś nalewają sobie nawzajem wody z tego samego dzbanka, tak może w przyszłości, gdy dorosną, nie będą mieli odwagi wlewać sobie nawzajem trucizny. Bardzo, bardzo chcę w to wierzyć i jestem pewna, że wszyscy tego pragniemy.

Z kolonii jedziemy jeszcze dalej. Przed nami kolejna szkółka, tym razem kwiatowa. Eksperymentalna stacja esencji zapachowych. Tutaj, na długich prostokątnych grządkach, rośnie lawenda o oszałamiającym zapachu. Wiele trzeba pracy, by kwiatowy aromat w kroplach znalazł się w eleganckiej buteleczce z atrakcyjną etykietą!

Delikatna lawenda, zapach naszych babć. Aromat, który przenikał romantyzm, ten romantyzm, którego już nie potrafimy zrozumieć i który wydaje się nam trochę śmieszny jak koronkowe mankiety i naiwna pielgrzymka. Stara lawenda babci (pamiętasz ją może?), która pachniała sekretnymi szufladami, po-

9 Mamy tu do czynienia z ciekawym efektem kontaminacji semantycznej. Autorka zestawia ze sobą trzy „porządki edukacyjne”, które zachodzą na siebie, wzajemnie się przenikają i finalnie tworzą intrygujący efekt palimpsestowy. Figuracja dendrologiczna („szkółka roślin”) prześwituje w tle obrazu współczesnej, powojennej szkoły. A historia miejsca – wywołuje złowroźnie ducha nieodległej przeszłości. Użyta na początku akapitu fraza („idziemy do dziecięcej kolonii”) we włoskim oryginale przywodzi niepokojące konotacje. Określenie *colonie per l'infanzia* to słowny emblemat rozlicznych ośrodków państwa totalitarnego, odpowiedzialnych za indoktrynację młodzieży. Nie są to więc reminiscencje zjawisk pozytywnych (jak polski „wyjazd na kolonie” czy „kolonie dziecięce”), a raczej powidoki narzędzi manipulacji wykorzystywanych przez siły *ancien régime'u*. Powołały one wszak do życia instytucję, by kształcić dzieci w duchu faszystowsko-nacjonalistycznym. O wspomnianych praktykach przeczytamy więcej w: *Colonie per l'infanzia nel ventennio fascista. Un progetto di pedagogia del regime*. A cura di R. Mira e S. Salustri. Longo, Ravenna 2018.

zółkłymi listami, wyblakłymi dagerotypami i krochmaloną bielizną. Skromna, powściągliwa, ale zawsze świeża lawenda, symbol epoki romantyzmu, została wyparta przez wulgarny zapach wampów o ekscentrycznych nazwach, jak „Moment zapomnienia” czy „Filipińska noc”. Lawenda, która teraz na Aspromonte kłania mi się do stóp na długich grządkach ze swoim staroświeckim wyglądem, jest zbyt zwyczajna, w prostym, liliowym odcieniu, nieskomplikowana. Nie obiecuje więcej niż może dać, nie potrafi kłamać, uwodzić, upajać. Jest prosta, naturalna, świeża; można powiedzieć, jeśli żaden krytyk nie nazwie tego zbyt dosadnym, że nie jest „umalowana”. Po raz pierwszy widzę ją w takiej ilości i wydaje mi się, że dziś u stóp gór, w zdrowym powietrzu, w świetle, które już prawie gaśnie, nie jest to już zwykła lawenda, lecz symbol pewnej epoki, ulubiony zapach Chopina, George Sand, Alfreda de Musseta. To Madame de Staël używa jej na wygnaniu, to Liszt moczy w niej chusteczkę podczas koncertu, sam poważny Schiller pisze do swojego przyjaciela, że ból głowy ustępuje, gdy smaruje skronie lawendą.

Zaraz po powrocie z Gambarie zrobię coś okropnego. Kupię sobie buteleczkę staroświeckiej, uczciwej lawendy. Reggio, oprócz innych zalet, jest także ważnym ośrodkiem przemysłu perfumeryjnego. A wśród tych zapachów istotne miejsce zajmuje lawenda naszych babć, która bujnie rośnie na Aspromonte.

Takie to drobne okruchy szczęścia zebrałam: drzewa, kwiaty i ludzi na początku własnej drogi. Czuję, że to właśnie miał na myśli Goethe.

DROGA MŁODEGO PSA

Dla Nero Silano

Droga z Catanzaro do Villaggio Mancuso to jeden z najbardziej niezwykłych szlaków w masywie Sila. Czterdzieści cztery kilometry trasy tworzą prawdziwy kalejdoskop krajobrazów, film pełen niepowtarzalnych scen, z którego żadnej nie można by wyciąć bez uszczerbku dla całości. Każdy zakręt odkrywa przed nami nowy, odmienny widok, zupełnie różny od tego, który chwilę wcześniej podziwialiśmy. Takich serpentyn jest tu setki. Zaczynają się tuż za Catanzaro, otwierając panoramę doliny Alli i wzgórze Pentone, przecinają urokliwe wioski, ocierają się o zbocza pokryte złocistymi kwiatami janowca, nasiakają zapachem kwitnących drzew i sosnowej żywicy. Cofają się czasem przed potężną górą, by potem chytrze i z rozmysłem ją okrążyć. Wydaje się, że wspinają się na jej szczyt, gdy niespodziewanie zmieniają kierunek. Raz w prawo, raz w lewo – miętka w liniach droga od początku odrzuca proste rozwiązania.

Wszystko ma swój cel, do którego nasza trasa zmierza w kapryśny sposób, jakby śmiała się i kpiła z zasad geometrii. Nasza droga przypomina szaleńczą przygodę młodego psa, który odzyskał wolność: biegnie wariacko, kręci się, krąży, wiruje, zawraca, nigdy nie zmierza wprost do celu. Pies biegnie radosny, szczęśliwy, upojony wolnością. Miałam wiele psów, które towarzyszyły mi w górskich wędrówkach. Na każde moje dziesięć kilometrów one pokonywały co najmniej trzydzieści!

Droga z Catanzaro do Villaggio Mancuso przypomina mi zdyszanaą psią ścieżkę, pełną ucieczek i niekończących się powrotów. „Osiągnę swój cel, zobaczysz. Poczekaj jeszcze chwilę! Jeszcze kilka kroków w prawo, jeszcze kilometr w lewo. Jeszcze jeden skok w górę, jeszcze raz...”. I znów zeskakujemy z trampoliny w dół! Spójrz, jak tu pięknie!

Co Ty na to? Bądź pewny, że gdy pies biegnie po górskich szlakach, wyniucha to, co najpiękniejsze, bo nie szczędzi energii. Ma równie doskonały nos do odkrywania piękna, jak do znajdowania kości.

Jedziemy w kierunku Villaggio Mancuso, mijając Pentone i Tavernę. Na ostatnich siedmiu kilometrach wdychamy powietrze nasycone zapachem ogrzanej słońcem sosnowej żywicy, który odurza nas niczym alkohol. Docieramy na miejsce i od razu padamy na ziemię jak pies bez tchu. Nie jesteśmy zmęczeni, co to to nie; chcemy poczuć górski szlak, ciepły i ukwiecony, i wciąż pusty o tej porze roku. Jest dopiero koniec kwietnia i sezon jeszcze się nie rozpoczął.

To nasze pierwsze góry w tym roku, tak inne od zeszłorocznych szwajcarskich wojaży!

Z oddali, z doliny, dociera do nas rytmiczny dźwięk piły – tartak pracuje. Domy są jeszcze zamknięte, a werandy opustoszałe.

Nie ma charakterystycznej architektury drewnianej w Villaggio, które rozrosło się spontanicznie wśród gór. Dowodzi to, że każdy Włoch, w tym również każdy Kalabryczyk, jest przede wszystkim spadkobiercą wielowiekowej tradycji budowlanej, opartej na kamieniu, marmurze i cegle. Drewno wydaje się dla niego materiałem zbyt miękkim, zbyt nietrwałym. Z tego powodu Villaggio nie pretenduje do miana eksperymentalnej stacji architektury drewnianej w górach Sila – i absolutnie tego nie obiecuje. To, co widać na pierwszy rzut oka, bardziej przypomina kioski postawione na jeden letni sezon.

Styl gór Sila nie może się równać z piękną architekturą drewnianych szwajcarskich schronisk, które w każdym kantonie są inne, a w Emmental, Schwyz i Berner Oberland osiągnęły formy tak zachwycające, że zapierają dech w piersiach.



W Tiriolo zobaczyłam jeden z najpiękniejszych strojów

•
•
•
•
•
•
•



kobiety w strojach ludowych wykonują codzienne prace: chodzą po wodę

•
•
•
•
•
•
•

Nie sposób go również porównać z urokiem bawarskich Bauerhäuschen, ani z artystycznym stylem podhalańskim po polskiej stronie Tatr, czy też z drewnianymi domami w dolinach Orawy i Liptowa po stronie słowackiej.

Architektura Sili wywołała we mnie wrażenie czegoś radosnego, niemal beztroskiego jak dziecięce domki-zabawki. Przyjeżdża się tutaj na dwa, trzy miesiące, by całe dnie spędzać na świeżym powietrzu, pod słońcem. Poza jednym większym hotelem, który próbuje naśladować styl górski, wszystkie inne budynki przypominają drewniane namioty. Dla Włochów, przyzwyczajonych do trwałego kamienia, to również musi być coś zaskakująco oryginalnego.

My zaś chcemy nasycić się powietrzem, krajobrazem, kwietniową świeżością, zapachem sosen, ciepłem ziemi, wiosennym niebem – wszystkim tym, co układa w duszy młodego poety wersy, upewniając go, że jako pierwszy odkrywa piękno świata.

Łany dzikich kwiatów – fiołków o złotożółtych i niebiesko-fioletowych barwach – pokrywają łąki, rosnąc swobodnie i naturalnie. Ich kępki tworzą misterny wzór na zielonym gobelinie, świeżo utkanym przez kwietniową przyrodę. Purpurowe dzikie tuberozy subtelnie dopełniają obrazu.

Zbieramy bukiety. To pierwsze górskie kwiaty, które widzimy w tym roku. Choć nie wydzielają zapachu, przesiąknięte są delikatną słodyczą i poezją kwietnia, stanowiąc najlepsze witaminy piękna, lepsze niż najdroższe perfumy.

Zbliża się południe, gdy syrena tartaku przerywa ciszę. Odnajdujemy właściciela zamkniętego sklepu: mortadela, ser i chleb są tu tak zwyczajne jak powietrze. I oczywiście wino. Z wilczym apetytem rzucamy się na przysmaki. Nie wiadomo skąd przybiega do nas czarny pies. Rzucamy mu pierwszy kęs na znak naszej przyjaźni. Przyjmuje go z godnością i już przezornie trzyma się nas. To zwierzę, które najbardziej ceni sobie przyjaźń z człowiekiem. Zastanawiamy się, jak go nazwać. „Nero” z powodu jego wyglądu, czy „Silano”¹⁰ ze względu na pochodzenie? Zobaczymy, na które z tych imion będzie reagował i które lepiej zrozumie. Od razu widać, że podoba mu się zarówno jedno, jak i drugie. Odpowiada na oba, ponieważ należy do rasy istot, które zawsze reagują na każde dobre słowo ze zrozumieniem. W przeciwieństwie do rasy ludzkiej, która tak często na chleb odpowiada kamieniem.

Dziś ten chleb dzielimy równo na trzy części, co jeszcze bardziej zaostrza nasze apetyty.

Nasz Nero zmienia się teraz w przewodnika. Nie do wiary! Najadł się i mógł iść, gdzie go łapy poniosą, tak jak to zwykle czynią ludzie. Wyraźnie jednak chce

10 Nero – oznacza: ‘czarny’. Silano – tyle, co: ‘z gór Sila’ [przyp. tłum.].

się nam odwdziżyć. Biegnie przed nami, a my za nim podążamy. On szczeka, a my śpiewamy. Nie możemy powiedzieć, że się najedliśmy, ale przynajmniej nie czujemy już głodu. A kto nie odczuwa głodu na tym świecie, ten ma święte prawo do śpiewu.

W końcu nadjeżdża auto z lekarzem, który zmierza do kliniki na konsultację. Dalej pojedziemy samochodem.

Nero Silano stoi nieruchomo, jak przystało na strażnika. Kiedy ruszamy, zaczyna szczekać. Jak już tysiące razy w życiu, żałuję, że nie mogę odczytać impulsywnej i szybkiej psiej stenografii. Jestem pewna, że gdy Nero położy się na słońcu i będzie rozmyślać o swoim psim życiu, być może wspomni o nas. Z ludzi i psów to człowiek najszybciej zapomina.

Auto znowu rusza krętą drogą, tym razem zwożąc nas z wysokości tysiąca dwustu metrów. Widoki zapamiętane podczas wspinaczki wyglądają zupełnie inaczej, gdy zjeżdża się w dół. Dlatego nie można nigdy powiedzieć, że „wraca się tą samą drogą”. Ta „sama droga” zawsze jest inna.

Teraz jedziemy jeszcze szybciej. Często niemal ocieramy się o krzewy jałowca i pochylone drzewa. Woda z gór Sila, z tajemniczym składem procentowym, podróżuje z nami. Pilnujemy, żeby się nie rozlała. Zakręty mijają szybko – na prawo, na lewo, kolejny zygzak, kolejny miękki skręt. I oto zmienia się wygląd odległych wiosek, które na Sili zawsze tulą się do zbocza góry. Wydaje się, że zaraz spadną, ale niewidzialna ręka powstrzymuje ten upadek. Czasem jakiś uparty dom, który próbuje uciec od zbiorowego towarzystwa, odważnie wspina się wyżej, jakby chciał być o kilka metrów bliżej nieba. Nawet te kilka metrów zawsze ma znaczenie. W końcu, z daleka, dostrzegamy Catanzaro. Mówi się, że pierwsze wrażenie i pierwsza rozmowa często decydują o całej znajomości. Nasz wstępny dialog z górami Sila zdecydował o wiecznej przyjaźni.

Wieczorem podsumowujemy dzień. Co tak niezwykłego kryło się w tym pierwszym spotkaniu? Nie byliśmy na wieczorku tanecznym w hotelu, nie spotkaliśmy żadnych letników, nie poznaliśmy tegorocznych modowych trendów, nie jedliśmy obiadu w szacownym towarzystwie. A jednak czuliśmy wyjątkowość sytuacji. Wiatr z gór grał dla nas, tartak rytmicznie odmierzał czas, a my jedliśmy przy stole ozdobionym fiołkami i dzikimi orchideami, gdzie Nero pełnił honory gospodarza. Kundelek jakich wiele, cechowała go wierność większa niż niejednego człowieka. A kręta droga niczym „rozmerdana” psia ścieżka wiodła nas do celu – doznanie, którego nie każdy może doświadczyć.

Zapisujemy w dzienniku podróżny: „Pierwsza rozmowa z Silą była zaskakująco fascynująca”.

TEATR PRETIEGO W TAVERNIE

Niewiele małych miast, podobnych do Taverny, ma tyle szczęścia, by poszczycić się artystą o tak znakomitym dorobku.

Życie twórcy rzadko bywa spokojne. Często jak liść niesiony wiatrem, przemieszcza się z miasta do miasta, z kraju do kraju, a teraz, w dobie globalizacji, z kontynentu na kontynent. To nie tylko cecha jego niespokojnej natury, która wymaga zmian i podróży, ale także chęć odkrywania nowych miejsc.

Wielu ludzi sztuki nie miało w sobie żyłki wędrowca, zwykle migrowali do większych ośrodków z miejsc swojego urodzenia. Małe miasta nie były w stanie zadbać o ich odpowiednie wykształcenie ani rozwój artystyczny... nie miały też możliwości zapewnienia utrzymania. Dlatego ludzie wyruszali w świat – najpierw, by się uczyć, a potem, by znaleźć mecenasa, który pozwoli im tworzyć. Często marzyli o powrocie do miejsca, gdzie spędzili dzieciństwo i narodziły się ich pierwsze marzenia, lecz rzadko było to możliwe. Ich dzieła pozostawały w odległych miejscach.

Mattia Preti, wybitny siedemnastowieczny artysta włoskiego baroku, miał w sobie nie tylko odpowiednią energię, ale także głęboką determinację, typową dla kalabryjskich twórców związanych ze swą małą ojczyzną. Jego dzieła można podziwiać w wielu miastach – w Wiedniu, Dreźnie, Moskwie, Mediolanie, Rzymie, Bolonii, Neapolu, Modenie, przede wszystkim na Malcie – wśród tego towarzystwa i Taverna może pochwalić się pokaźną kolekcją, którą Preti osobiście zostawił w miasteczku.

Zatrzymujemy się na chwilę na krętej, „rozmerdanej” drodze młodego psa i podziwiamy wyjątkowy krajobraz miasteczka. Jego oryginalność łączy siłę z melancholią, powagę z subtelną nutą mistycyzmu.

Według legendy Taverna, podobnie jak starożytna grecka Trischene, a później rzymska Tres Tabernae¹¹, położona w dolinie Litrello, czekała wieki na

11 Legenda głosi, że Taverna, dawniej zwana Trischene, powstała w czasach greckiej dominacji na południowych krańcach Półwyspu Apenińskiego. Wedle jednej z wersji mitologicznych, kiedy Astyoche, Etilia i Medicastena, trzy siostry króla Priama, które przeżyły zniszczenie Troi, wylądowały w Urii – zbudowały tam miasto. Trischene etymologicznie oznacza „trzy miejsca” lub – wedle innych wykładni – również: „trzy pokolenia ludzi”. O greckim pochodzeniu świadczą odkrycia ludzkich szczątków i starożytnych monet, wybitych z wizerunkiem Minotaura. Trischene między VIII a VII wiekiem p.n.e. znajdowało się pod panowaniem Krotonu, a następnie – w latach kolejnych – oddało się pod ochronę Rzymu, aby uzyskać protekcję przed armiami Bruttów i Kartagińczyków. Nazwa Tres Tabernae lub Taberna wskazuje – jak się wydaje – na późniejszą, rzymską dominację, kiedy to miasto stanowiło ważny punkt tranzytowy szlaków handlowych i miejsce odpoczynku na drogach wiodących przez płaskowyż Sila. Por. G. Canino: *Taverna, tra Mito, Storia e Civiltà*. Calabria Letteraria Editrice, Soveria Mannelli 2002.

moment chwały. Cierpliwość miasteczka została w końcu wynagrodzona. Oddało ono dziedzictwo jednemu ze swoich synów, który godnie je reprezentował. Mattia Preti, bo o nim mowa, wdzięczny syn, powrócił do Taverny, aby podzielić się wiedzą zdobytą w świecie. Każda świątynia stała się wkrótce muzeum Pretiego, zwłaszcza kościół Dominikanów. Kiedy Preti wrócił w rodzinne progi, miał już ponad trzydzieści lat i tytuł kawalera maltańskiego, a jego oczy widziały największych artystów epoki. Duma miasteczka musiała być ogromna, gdy ten niegdyś nieznanym młodzieniec zaprezentował wspaniałe obrazy, w tym autoportret. Preti wzbudzał podziw stylem i bogatymi strojami, podobnie jak dzisiejsi Kalabryjczycy powracający z Ameryki w jedwabnych piżamach i z imponującymi walizkami ozdobionymi etykietą „TWA”¹², do kalabryjskich miasteczek na wakacje, by na nowo odkryć ich urok i pokazać siebie światu.

Jeśli ktoś nie miałby okazji zobaczyć innych dzieł Mattii Pretiego, same obrazy w Tavernie wystarczyłyby, aby uchwycić ogrom jego talentu. Preti spędził tu dwa lata, między 1642 a 1644 rokiem, a prace z tego okresu w pełni oddają jego artystyczne mistrzostwo.

Na płótnach pojawiają się oryginalne, jak na ówczesny styl w malarstwie, postaci: są to ludzie surowi, szorstcy, dalecy od elegancji cenionej w tamtych czasach, niemal pierwotni, pełni siły i odpowiedzialności za swoje działania. Widać tam całą galerię ludzkich emocji – od nastrojowego milczenia św. Sebastiana, przez wyciszony spokój św. Michała Archanioła, mądrość i dobroć św. Mikołaja. A także dramatyczny Sąd Ostateczny, w którym dziesiątki postaci kotłują się w pełnej gamie emocji – od ekstazy po najgłębszą rozpacz.

To majestatyczny dramat, w którym Mattia Preti, mimo wyraźnych wpływów Michała Anioła, staje się mistrzem odpowiedzialnym za każdą postać. W Sądzie Ostatecznym tłum pogrąża się w chaotycznym wirze, ale Preti, niczym doskonały reżyser, zręcznie kieruje tym zamieszaniem, uzyskując pełny efekt swojej wizji. Jego umiejętność rozdzielania ról sprawia, że każda postać emanuje

12 Trans World Airlines (TWA) – amerykańskie linie lotnicze, prowadzące działalność komercyjną w latach 1930–2001. Na początku XXI wieku (9 kwietnia 2001 roku) majątek firmy został przejęty w całości przez innego potentata rynku lotniczego – American Airlines. W latach następujących bezpośrednio po drugiej wojnie światowej TWA szybko zdobyły pozycję jednego z liderów rynku lotniczego w USA. Dzięki inwestycjom, innowacjom technicznym i nowoczesnej flocie stały się przewoźnikiem, który oferował loty pasażerskie pomiędzy najważniejszymi amerykańskimi miastami (np. na trasie Nowy Jork–Los Angeles). Oprócz tego linie posiadały w tamtym czasie pionierską i szeroko rozwiniętą sieć połączeń z Europą i Bliskim Wschodem. Więcej o historii korporacji znajdziemy w opracowaniach: R.E.G. Davies: *Airlines of the United States Since 1914*. Smithsonian Institution Press, Washington 1982 oraz T.A. Heppenheimer: *Turbulent Skies: The History of Commercial Aviation*. John Wiley & Sons, New York 1995.

dynamiką i życiem. Dzięki temu Preti z powodzeniem podejmuje się tak ambitnego tematu. W teatrze ludzkich pasji jest wybitnym dramaturgiem, który z surową precyzją rodem z rodzinnych stron tworzy niezapomniane dzieła.

Genialny mistrz ludzkiego teatru niemal całkowicie rezygnuje z efektów scenicznych, które były modne w jego epoce. Malarstwo to opiera się na rzeczywistości i naturalnej autentyczności. Każde jego dzieło to esencja życia okraszona minimalną sztucznością, co czyni ten teatr jednocześnie pięknym i głęboko prawdziwym. Ten spektakl emocji i tragicznych konfliktów, gdzie każdy bohater wypełnia swoją rolę: św. Franciszek, św. Michał Archanioł, św. Sebastian czy św. Jan. Preti uwiecznia dramaty w kulminacyjnym momencie – w epilogu, podczas koronacji i w finale, jak w przypadkach św. Piotra, św. Franciszka, martwego Chrystusa, Patroklesa czy św. Barbary. Prologi zdają się go nie interesować. Jednakże jego obrazy pełne są także delikatności, łagodności i idealizmu, jak *Madonna della Purità* w kościele św. Mikołaja. Postacie Pretiego mają w sobie siłę górskich drzew, twardość i wytrzymałość marmuru. Artysta operuje światłem, traktując je niczym reflektor sceniczny, który wydobywa postacie z ciemności i nadaje im monumentalną moc. Światło u Pretiego jest esencją, w której zanurza bohaterów, umieszczając ich na ciemnych tłach, aby podkreślić kontrast. Mistrzostwo w technice światłocienia i wyjątkowa wrażliwość malarska sprawiły, że porównywano go do Rembrandta.

Jeśli nie masz, drogi Czytelniku, możliwości podziwiania fresków Pretiego w Modenie, na Malcie czy w rzymskim kościele Sant'Andrea della Valle, i nie możesz obejrzeć takich dzieł jak *Rebeka*, *Zapłata podatku*, *Niedowierzanie św. Tomasza*, *Wskrzeszenie Łazarza* lub *Ofiara Izaaka*, Taverna oferuje Ci jego warsztat. W tej małej mieścinie ludzkie idee przekształcają się w dramatyczne obrazy, a postacie stają się aktorami, którzy cierpią dla idei lub uciekają na inne planety unoszeni ich mocą.

KALABRYJSKI PORTOS

*Dla Alfonsa Frangipane*¹³

W niektórych współczesnych filmach reżyser pojawia się dyskretnie w końcowej scenie, anonimowo wmieszany w tłum statystów – to nienachalny podpis

13 Alfonso Frangipane (ur. 1881 w Catanzaro, zm. 1970 w Reggio Calabria) był malarzem, projektantem, dekoratorem, eseistą i znawcą sztuki włoskiej, zajmującym się dziedzictwem artystycznym Kalabrii.

twórcy, tradycja zapoczątkowana, jak mniemam, przez Pabsta. Przyszło mi to do głowy, gdy ujrzałam autoportret Pretiego w *Kazaniu Świętego Jana* w Tavernie. Nie dziwi mnie, że namalował siebie właśnie tutaj – w kaplicy, którą ufundował dla swojej rodziny, obok wyrytego w drewnie herbu. Jednak to, co mnie zaskakuje, to sposób, w jaki postanowił przedstawić się przyszłym pokoleniom. Nie jest to obraz pobożnego człowieka klęczącego przed świętym ani skromnego artysty ukrytego w tłumie, jak na *Parnasie* czy w *Szkole ateńskiej*. Zamiast tego widzimy dumnego siedemnastowiecznego kawalera, w maltańskiej tunice, z odważnym spojrzeniem i wąsami *à la* muszkieter. W ręku trzyma nagi miecz, ale tuż obok spoczywa pędzel – symbol jego drugiej tożsamości.

Gdybym nie wiedziała, że patrzę na portret jednego z najważniejszych malarzy swojej epoki, mogłabym przysiąc, że to jeden z muszkieterów Dumasa – mocna sylwetka, duma w oczach – wypisz wymaluj dobroduszny Portos. Któż z nas nie pamięta jego przygód? Któż nie śledził z zaciekawieniem jego perypetii? Któż nie polubił tego szczodrego olbrzyma, zawsze gotowego na ucztę, dobre wino i bohaterski czyn? Tak jak go sobie wyobrażałam, tak widzę go teraz w tym kościółku. Może właśnie kimś podobnym inspirował się Dumas, tworząc postać jednego z muszkieterów.

Zaciekał mnie życiorys Pretiego. Zastanawiało mnie, dlaczego znany jest przede wszystkim jako „kalabryjski kawaler”. Zaczęłam więc wertować stare książki, gdzie niekiedy kryją się najciekawsze historie. Chciałam odkryć nie tylko artystę, o którym tyle już powiedziano, ale przede wszystkim człowieka.

W ten sposób trafiłam na książkę, która zapewne pozostaje mało znana szerszemu gronu. Wydana w Neapolu w 1742 roku, „za zgodą przełożonych” przez drukarnię Ricciardiego, nosi tytuł *O malarzach, rzeźbiarzach i artystach Królestwa Neapolu*, a jej autorem jest Bernardo de Dominici. Bez wątpienia obszerne, wielotomowe dzieło zasługuje na ponowną publikację. Na jego kartach, pomiędzy nazwiskami takimi jak Salvator Rosa, Domenichino, Marco Kalabryczyk (Marco Cardisco, wspominany przez Vasarięgo) oraz Francesco Cozza (przyjaciół Campanelli, który przekazał nam jego portret), natrafiłam na Mattię Pretiego.

Bernardo de Dominici z zapałem opowiada historię szlacheckiej rodziny de Presbiteris. Nie zamierzam tutaj relacjonować całej opowieści – polecam lekturę oryginału, pełną barokowego patosu. Pragnę jedynie nakreślić krótki, ale wyrazisty profil niezwykłego artysty.

Młody Mattia Preti, jak na Kalabryjczyka przystało, jest zdecydowany, by opuścić rodzinne miasteczko i stać się kimś wielkim. Wyjeżdża do Rzymu, gdzie czeka na niego starszy brat Gregorio, malarz o pewnej renomie. Wyrusza z żelazną wolą sukcesu, niezwykłym talentem i ambicją, a także z posturą, która

w tamtych czasach dodawała mu autorytetu – wysoki, krzepki, pewny siebie, z mieczem w ręku.

Jego kariera rozwija się szybko dzięki połączeniu ciężkiej pracy i talentu do nauki. Studiuje u największych mistrzów epoki, chłonąc różnorodne style, ale nigdy nie zatracą oryginalności. Uczniom powtarzał: „Kto nie jest oryginalny, zawsze będzie tylko czyjaś kopia. Prawdziwy artysta czerpie z własnej maniery”. Preti potrafił przekształcić inspiracje w coś unikalnego, co stało się jego artystycznym podpisem.

Ambicja prowadzi go do poszukiwania wpływowych mecenasów, bez których w tamtej epoce sukces był niemożliwy. Dzięki wsparciu brata i szczególnej prezencji szybko znajduje się pod opieką kardynała Rospigliosiego i zdobywa względy potężnej Olimpii Aldobrandini. To otwiera mu drzwi do świata wielkich zaszczytów i wpływów, utrwalać jego pozycję w artystycznym środowisku. (Historia, oczywiście, mówi jedynie o mecenacie; ale pozwólcie mi na ploteczki: osobiście wierzę, że ogniste spojrzenie przystojnego kawalera nie było obojętne księżniczce z Rossano, wdowie po Don Paolu Borghese).

Tak rozpoczyna się międzynarodowa kariera przystojnego Kalabryjczyka. Dzięki księżniczce, bliskiej przyjaciółce papieża Urbana VIII, Mattia Preti zostaje wprowadzony na papieski dwór, gdzie otrzymuje swój pierwszy tytuł – Kawalera Złamanych Lanc.

Od tej chwili jego życie przypomina podróż artysty wzbogacaną spotkaniami z mistrzami epoki. Preti doskonali umiejętności, ucząc się od Guercina, Domenichina, Guido Reniego, Correggia, Veronesego i Rubensa. Wędruje przez Bolonię, Parmę, Wenecję, Paryż i Antwerpię, zdobywając doświadczenie, które kształtuje jego unikalny styl.

W Antwerpii miało miejsce ważne zdarzenie. Podczas mszy Mattia nie jest w stanie skupić się na modlitwie, oczarowany wpatruje się w wiszący nad ołtarzem obraz autorstwa Rubensa. Po zakończeniu liturgii nadal kontempluje w zachwycie dzieło, wtem podchodzi do niego elegancki szlachcic, otoczony służbą. Zaintrygowany zachowaniem artysty, pyta go o opinię na temat obrazu. Mattia z pasją podkreśla jego wielkość, mimo krytyki ze strony nieznanego. Zakochany w twórczości Rubensa, wyraża pragnienie spotkania z nim. Szlachcic, zaintrygowany gorliwością młodego artysty, oferuje, że osobiście przedstawi go mistrzowi.

I tak, młody Mattia i tajemniczy szlachcic wyruszają w towarzystwie świty. Docierają do książęcego pałacu, gdzie błyszczą obrazy Rubensa. W salonie, otoczeni arcydziełami mistrza, kontynuują ożywioną dyskusję rozpoczętą w kościele. Mattia, pełen entuzjazmu, broni obrazów, podczas gdy szlachcic pozostaje

krytyczny. Kulminacyjny moment następuje, gdy szlachcic odśladania swoje prawdziwe oblicze – okazuje się być samym Rubensem. Wdzięczny za szczere uznanie młodego artysty, flamandzki malarz obdarowuje go jednym ze swoich dzieł i proponuje przyjaźń.

Ta scena przypomina inne historyczne wydarzenie – spotkanie pomiędzy Sanchezem Coello a królem Filipem V, gdy nieznany i zrozpaczony malarz staje się obiektem królewskiego zainteresowania.

Po osiągnięciu artystycznej dojrzałości Mattia wraca do Rzymu, gdzie czeka na niego kolejny zaszczyt. Olimpia Aldobrandini, z osobistym wsparciem papieża, który przyspiesza formalności, nadaje mu tytuł Kawalera Posłuszeństwa Suwerennego i Wojskowego Zakonu Maltańskiego¹⁴.

Oto początek historii Kawalera!

Pewnego razu do Rzymu przybywa słynny niemiecki szermierz, mistrz fechtunku na cesarskim dworze, którego pewność siebie dorównuje umiejętnościom. Publicznie kpi z włoskich szermierzy i wyzywa na pojedynek każdego chętnego.

Więści o nim szybko docierają do pani Olimpii, która widzi w tym potencjalnym starciu naszego Portosa. Malarz zostaje więc wyznaczony do obrony honoru włoskiej szermierki.

Pojedynek, przypominający słynne „wyzwanie Barletty”¹⁵, odbywa się w rzymskim teatrze, przyciągając uwagę dam i arystokracji. To znakomita okazja, aby zdobyć sławę.

Mattia, pełen pasji i determinacji, walczy na śmierć i życie, lecz nie dla widowiska. Używając ostrej broni, rani niemieckiego szermierza w ramię i okłada go do nieprzytomności, dopóki nieszczęśnika nie zniosą z podium w opłakanym stanie. Cała scena przypomina dramatyczne pojedynki Cyrana de Bergerac rodem z teatralnych przedstawień, wszak mowa o XVII wieku.

Upokorzony niemiecki szermierz wzbudza wściekłość cesarskiego ambasadora, który wysyła ludzi z rozkazem przyprowadzenia malarza żywego lub

14 Wymieniony przez Alberti tytuł (Cavaliere d'Obbedienza del Sovrano e Militare Ordine di Matla) nie figuruje w dostępnych katalogach, porządkujących kategorie, stopnie i klasy zakonne. Zob. Z. Stachura: *Zakon Kawalerów Maltańskich*. „Ars Regia” 1993, nr 1–2, s. 153–154.

15 Miasto Barletta położone jest na wschodnim wybrzeżu Włoch i rozciąga się wzdłuż Morza Adriatyckiego. Zamieszkuje je około 95 tysięcy osób. W starożytności nosiło nazwę Barduli i kilkakrotnie stanowiło arenę rozmaitych bitew. W XVI wieku zasłynęło, podczas walk francusko-włoskich, z tzw. *Disfida di Barletta* (Wyzwanie Barletty), w wyniku którego doszło do starcia pomiędzy 13 francuskimi oraz 13 włoskimi rycerzami. Wynik spotkania okazał się korzystny dla Włoch, na skutek czego miasto przez następne stulecia było symbolem zwycięstwa rycerskiego ducha i triumfu wojskowego rzemiosła. Por. *La Disfida di Barletta. Storia, fortuna, rappresentazione*. A cura di F. Delle Donne e V. Rivera Magos. Viella, Roma 2017.

martwego. Donna Olimpia interweniuje u papieża, w konsekwencji czego Mattia znajduje schronienie w Watykanie. Stamtąd zostaje szybko ewakuowany do Livorno, gdzie wsiada na statek odpływający na Malte, unikając w ten sposób zemsty cesarza.

Uciekinier rozpoczyna nowe życie na wyspie, gdzie poświęca się malarstwu. Jednocześnie służy na okrętach Zakonu Maltańskiego, które patrolują Morze Śródziemne, chroniąc je przed piratami. Niepokorny charakter nie pozwala Mattii być zbyt długo w jednym miejscu.

Napotkany podczas jednej z wypraw nieznajomy szlachcic szydzi z malarza-wojownika, twierdząc, że te dwie, przypisywane mu, profesje są ze sobą sprzeczne. Mattia postanawia udowodnić mu, że jest inaczej. W pojedynku okazuje się lepszy, rani oponenta i tym samym narusza dyscyplinę zakonu.

Wielki Mistrz wzywa Mattię na rozmowę, ale ten, obawiając się surowych konsekwencji, decyduje się na ucieczkę. Opuszcza Malte, przybywa do Livorno, a stamtąd udaje się do Hiszpanii, aby przeczekać trudne chwile.

Wtedy też umiera papież Urban VIII, jeden z mecenasów malarza. Jego śmierć, jak się okazuje, dziwnie splata się z życiem innego wielkiego Kalabryjczyka – Tommasa Campanelli. Po otrzymaniu zapewnień od przyjaciół, że sprawa z niemieckim szermierzem została załagodzona, Mattia postanawia wrócić do Rzymu.

Nasz bohater w tym okresie tworzy liczne obrazy. Wydaje się, że ostatecznie pędzel wygrał z mieczem. Maluje z takim rozmachem, że wydaje się, jakby „grał na bębnie”, wypełniając świątynie Rzymu wspaniałymi płótnami. Zawisać i konflikt w świecie artystów są jednak nieuniknione.

Jeden z jego rywali zbyt surowo krytykuje freski w kościele Sant'Andrea della Valle. Urażony Mattia rzuca pędzel i chwyta za miecz. Pojedynek kończy się dramatycznie – rywal leży ciężko ranny, jest bliski śmierci. Protegowany papieża znowu zawiódł. Preti, świadom konsekwencji, bez zwłoki wsiada na statek płynący do Neapolu.

Na miejscu czekają go nowe problemy: szaleje dżuma, jest rok 1656¹⁶.

16 Dorota Karwacka-Pastor tak pisze o falach epidemii dżumy we Włoszech: „Pomiędzy 1349 a 1537 rokiem czarna śmierć zbierała żniwo w Italii mniej więcej co dwa lata. W XV wieku Neapol przeszedł dziewięć fal epidemii, a Mediolan aż osiemnaście w XVI wieku. W XVII wieku przez Italię przetoczyły się dwie fale epidemii – w latach 1630 i 1665. Ostatnia, największa pojawiła się w Messynie na Sycylii i w Reggio Calabria w 1749 roku. Gdziekolwiek pojawiały się ogniska dżumy, powstawał chaos, ludzie w popłochu ewakuowali się z miast. Choroba budziła przerażenie, bo nie znano jej przyczyn. Dzisiejsza medycyna informuje, że dżuma jest chorobą zakaźną o podłożu bakteryjnym, wywoływaną przez bakterie gram-ujemne *Yersinia pestis* z rodziny *Enterobacteriaceae*. Pałeczki dżumy są przenoszone ze zwierzęcia na człowieka przez pchły. W odmianie

Z czasem sytuacja powoli się uspokaja, ale miasto jest spustoszone, otoczone kordonem sanitarnym. Wicekrólewskie rozporządzenia grożą surowymi karami za złamanie kwarantanny. Mattia, nieświadomy panujących zasad i pozbawiony dokumentów, wpada z deszczu pod rynnę.

Przy bramie miasta natrafia na dwóch uzbrojonych strażników, którzy każą mu się zatrzymać. Wpada w panikę i próbuje uciekać. Strażnicy ruszają w pościg. Malarz jest przekonany, że ścigają go ze względu na ranionego przezeń w Rzymie rywala, którego zostawił na granicy śmierci. Instynkt podpowiada mu, że musi się bronić. Znów dobywa miecza. Jednym, gwałtownym cięciem śmiertelnie rani pierwszego strażnika. Drugi, gotowy do strzału z arkebuzą, również nie ma szans – zostaje rozbrojony. Na dźwięk walki przybywa jednak oddział miejskiej straży. Mattia zostaje pojmany i doprowadzony do więzienia, gdzie jego sytuacja wydaje się beznadziejna, wszak zabił strażnika na służbie, a za takie przestępstwo grozi kara śmierci.

Ratuje go talent. Wieść o tym, że zatrzymany jest wybitnym artystą, dociera do samego wicekróla Neapolu Don Garcii d'Avellaneda y Haro, hrabiego Castrillo. Zasiadający w Radzie Kolegialnej władca, niczym mądry sędzia ze starożytnych czasów, wydaje niezwykle wyrok: „*Excellens in arte non debet mori!*” („Mistrz w sztuce nie powinien umierać!”). Mattia nie uniknie jednak pokuty. W ramach odkupienia win zobowiązuje się do wykonania monumentalnych fresków na siedmiu bramach Neapolu, przedstawiających sceny z ostatniej zarazy, w podziękę za ustanie plagi.

Malarz natychmiast przystępuje do pracy. Niestety jego arcydzieła zniszczyli ludzie i czas. Jedynym zachowanym freskiem jest ten na Porta San Gennaro, który jednak okrywa się kurzem. Freski bramne tak bardzo spodobały się włodarzom miasta, że Mattia otrzymał za swą pracę trzysta dukatów.

Spędza jeszcze kilka lat w Neapolu, jednak niezadowolony z atmosfery panującej w mieście, decyduje się wrócić na Maltę, gdzie pozostaje do końca życia. Z wiekiem jego młodzieńcza pasja zanika, rośnie zaś poświęcenie w służbie Zakonowi Maltańskiemu. Przez kolejne 25 lat oddaje całą swoją twórczość na chwałę wyspy.

Jego działalność obejmuje nie tylko malarstwo – Preti jest też architektem, kieruje budową kilku bastionów. Jednak to w kościele św. Jana objawia się

płucnej dżuma może przenosić się także drogą kropelkową. Yersinia pestis najpierw atakuje węzły chłonne, a potem z krwią rozsiewa się po całym organizmie. Czarna śmierć pojawiała się pod różnymi postaciami: dżumy dymienicznej (dymienicy, *pestis bubonica*) z obrzękiem węzłów limfatycznych, płucnej (*pestis pneumonica*) i septycznej (*pestis septica*) o przebiegu piorunującym”. Cyt. za: D. Karwacka-Pastor: *Dżuma w Italii. O zapomnianym traktacie „Della Peste” Angela Antonia Frari*. „Scripta Neophilologica Posnaniensia” 2021, T. 21, s. 322.

w pełni jego geniusz. Dzięki włożonej pracy świątynia staje się prawdziwym arcydziełem sztuki, noszącym jego niepowtarzalny ślad. Mattia nie jest już tym samym porywczym szermierzem, którym był w czasach Rzymu i Neapolu. Stał się świętym człowiekiem, szanowanym przez wszystkich. Owoce swojej pracy przeznacza na wspieranie ubogich panien na wydaniu i niesienie pomocy sierotom.

Maluje aż do późnej starości, zachęca biednych, którzy licznie gromadzą się u jego drzwi, słowami: „Moje dzieci, módlcie się za mnie, bo maluję dla was, nie mając żadnych osobistych potrzeb”. Przemiana z gorliwego wojownika w dobroczyńcę przypomina scenę z życia Don Juana Tenorio z obrazu Valdésa Leala, ukazującego nawróconego bohatera w zaciszu kościoła Santa Caridad w Sewilli¹⁷.

Mattia Preti umiera w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, w roku 1699, z pędzlem w ręku. Dwa lata wcześniej zaczęło się jego cierpienie – gangrena, która wynikała z pozornie niewinnego cięcia brodawki na twarzy, rozwinęła się w coś, czego nawet ten wielki malarz-wojownik nie był w stanie pokonać. „Ars longa, vita brevis!” – miał powiedzieć na łożu śmierci, nawiązując do słów Hipokratesa.

Tak pożegnał się z tym światem Kalabryjski Kawaler – nasz Portos-malarz.

• • • • •

Na każdym pięknym obrazie muszą w końcu pojawić się rysy. Na świecie są bowiem ludzie, których główną misją wydaje się odzieranie wszystkiego z uroku.

17 „Przemieniony” Don Juan sportretowany przez artystę mocno kontrastuje z radykalnym malarstwem vanitatywnym Leala prezentowanym w sewilskiej świątyni. Wedle świadectwa specjalisty: „Za dwa *Hieroglify śmierci*, ukończone w 1672 r., zapłacono Valdésowi Lealowi 5740 realów. Zawieszono je pod chórem świątyni, tuż przy wejściu. Po stronie ewangelii znalazło się pierwsze z malowideł, zatytułowane *In ictu oculi* [...] przypominające, iż śmierć nadejdzie w momencie, w którym się najmniej jej spodziewamy, przybędzie ona »w mgnieniu oka«. Tytuł płótna zaczerpnięto z *Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian* (1 Kor 15,52). [...] Wydaje się, że jest to typowe wyobrażenie śmierci, o popularnym znaczeniu symbolicznym gaszenia płonącej świecy, jednak zastosowanie obydwu tych motywów razem, wraz z mottem, jest na wskroś oryginalne. Aby ukazać marność – *vanitas* – życia i dóbr doczesnych oraz by zachęcić braci do ich porzucenia, Valdés Leal ukazuje szereg atrybutów doczesnych. [...] Po stronie epistoły, pod chórem świątyni, zawieszono drugie płótno, jeszcze bardziej makabryczne i gwałtowne niż poprzednie: *Finis gloriae mundi* [...]. *Koniec sławy światowej*, ukazuje właśnie taką kryptę, do której prowadzą schody widoczne w tle, gdzie pojawiają się sowa i nietoperz. W podziemiu znajduje się kilka otwartych butwiejących trumien: na pierwszym planie widoczne jest zżerane przez robactwo, rozkładające się ciało biskupa, obok leży trumna ze zwłokami rycerza Calatravy, pochowanego w stroju zakonnym, w głębi z kolei majaczy pograżona w cieniu trumna z ciałem w stanie głębokiego rozkładu oraz liczne kości i czaszki, które potęgują makabryczną treść przedstawienia”. Por. A. Witko: *Juan de Valdés Leal i jego „Hieroglify śmierci”*. „Roczniki Humanistyczne” 2020, z. 4, s. 17–19.

Zwą się historykami. I jakże nudnym zajęciem jest ich wieczne mierzenie nosa Kleopatry albo liczenie słoni, które Hannibal przeprawił przez Alpy! Nic więc dziwnego, że także życie kalabryjskiego Portosa, rodem z powieści płaszcza i szpady, zaczęli poddawać żmudnej analizie. Jakby chcieli stłumić iskrę przygody, która nas wszystkich rozpala.

Z jednej strony mamy historyków z Kalabrii. Może dla nich burzliwe życie kawalera było zbyt skandaliczne, a może chcieli po prostu swojego rodaka widzieć w lepszym, bardziej powściągliwym świetle. Tak czy owak, zaczęli przedstawiać go jako spokojnego, zrównoważonego ojca rodziny, całkowicie oddanego sztuce, religii i ojczyźnie. Brzmi to jak nudna opowieść o człowieku, który od rana do wieczora siedział przy sztaludze.

Z drugiej strony mamy Capasso, historyka z XIX wieku, który postanawia zagłębić się w stare rejestry sądowe, archiwa hiszpańskie epoki wicekrólów, spisy statków cumujących w porcie w Neapolu, dokumenty, których pewnie nikt przed nim nie miał ochoty przeglądać. I co tam znajduje? Uchwałę z 27 listopada 1656 roku, wydaną przez elektorów miasta Neapolu. Dokument ten mówi, że Mattia Preti ma namalować freski na bramach miasta za – uwaga! – 1500 dukatów. Capasso, dumny z tego swojego „Eureka!”, chce nam wmówić, że oto rozwiązał zagadkę życia Pretiego, że wybitny artysta „zarabiał na życie” malowaniem.

Ile jest prawdy w tym, co mówił De Dominici? Ten przecież znał Pretiego osobiście! Słuchał jego opowieści i z ust samego mistrza czerpał fascynujące szczegóły, których żadne archiwa nie mogą podważyć. Czy naprawdę warto zagłębiać się w rejestry, kiedy prawdziwe życie kryje się w opowieści?

Pozwólcie, mnie poetce, pominąć szczegółowe badania Capassa oraz szlachetne, choć dla mnie zbędne, wysiłki innych moralizujących historyków. Autoportret mistrza z Taverny oraz życie opisane przez De Dominiciego są dla siebie nawzajem niczym lustro: jedno jest bezpośrednim odzwierciedleniem drugiego.

A jeśli czasami, gdy opowiadał o swoim życiu synowi swojego ucznia, wymknęły mu się jakieś ozdobniki, to tylko dlatego, że taka właśnie była jego wola. Tak a nie inaczej pragnął być zapamiętany przez potomnych, tak samo jak chciał być podziwiany na obrazie: w zwiewnej tunice Kawalerów Maltańskich, z pędzlem i nagim mieczem w ręku. Dzięki temu pragnieniu ukazuje się nam nie tylko jako malarz i rycerz, ale też wrażliwy artysta. I dla mnie, poetki, ten mało znany aspekt jego osobowości czyni go jeszcze bardziej fascynującym. Może nie przystaje to do skrupulatnych badań historyków, ale dla mnie zawsze pozostanie dokładnie takim, jakim sam chciał być.

SIŁA W DWÓCH TOMACH

Pomyślisz zapewne: „W dwóch tomach?! No tak! Mamy przecież Sila Grande i Sila Piccola!”.

Nic z tych rzeczy! Nie dzielę Sili na dużą i małą, ani tym bardziej na grecką i klasztorną. Dla mnie istnieje tylko jedna Siła. Nie można powiedzieć, że „Duża” jest bardziej majestatyczna i imponująca, a „Mała” bardziej intymna i urokliwa – to powszechnie panujące opinie. W rzeczywistości „Duża” ma wiele urokliwych zakątków, a „Mała” – majestatycznych, i *vice versa*. Siła, stworzona ręką natury, nie została podzielona na dużą i małą tak, jakby na którąś miało zabraknąć materiału.

Niemniej jednak Siła ma dwa oblicza i można je opisać w osobnych rozdziałach.

Sila na święto i na co dzień.

Sila piękna i Siła użyteczna.

Sila poetycka i Siła epicka.

Sila romantyczna i Siła prozaiczna.

Sila pierwsza i Siła druga.

Pierwsza, dla turystów, podróżników, poetów, malarzy, sportowców, myśliwych, letników, wędrowców, którzy przybywają tu, by znaleźć inspirację, odechnąć świeżym powietrzem lub odpocząć po pracy.

Druga, dla leśników, geologów, farmaceutów i ogrodników, hydraulików i elektrotechników, lekarzy i przemysłowców.

Natura stworzyła ją, by odgrywała dwie role. Nie wiadomo jednak, która z nich jest ważniejsza.

TOM PIERWSZY

Sila turystyczna to bez dwóch zdań miejsce wyjątkowe. Nie ma sensu próbować dostrzegać w niej analogii do Alp – to błędne obserwacje. Mówi się o „dzikości” Sili niemal jak o truizmie, ale to słowo, choć efektowne, wrosło w jej wizerunek bezrefleksyjnie. Być może świeżość natury, nienaruszonej przez turystyczną monotonię, mylona jest z „dzikością”. Ci, którzy znają góry, przynajmniej te położone w Europie, nigdy nie nazwaliby Sili dziką.

Znam prawdziwie dzikie miejsca – szwajcarską przełęcz Julierpass, norweskie fiordy, Hercegowinę, Czarnogórę – to, co oferuje Siła, jest inne. Jej delikatność, poezja płaskowyzu, rozległe, wspaniałe zalesione widoki, niemal tropikalna roślinność u stóp oraz bogate lasy iglaste na szczytach, a także doliny rozchodzące się promieniście, w których dojrzewają kasztany i czereśnie, nie pasują do obrazu dzikości. Delikatny klimat, wzbogacony bliskością dwóch

mórz, oraz jasność, której brakuje często zachmurzonym Alpom, tworzą atmosferę spokoju. Dzikość zazwyczaj onieśmiela i budzi strach – w szwajcarskich lodowcach czy przepaściach Czarnogóry czułam dreszcz przerażenia, jakbym była małą łupinką spadającą w dół. Sila wita mnie przyjaznymi ramionami, w których nie czuję strachu ani przed szczytami, ani przed nocą; nawet przepaście wydają mi się jedynie ozdobą krajobrazu. Sila ma niezwykle delikatny profil, „romańską” linię, jak ją nazywam, i formę napiętego łuku. Brak w niej przerażającego gotyku czy rozdartych linii kataklizmu, który gwałtownie poszarpał skały i zastygł na wieki. Tutaj ziemia, wznosząc się ponad poziom morza, stabilizowała się w sposób artystyczny, troszcząc się o szeroką, harmonijną płaszczyznę – bez poszarpanych brzegów i sterczących skał.

Oba pasma, duże i małe, oddzieliły się od siebie dość łagodnie; nie ma tu przerażających przepaści i wąwozów, jak to często bywa w Alpach, Czarnogórze czy górach Albanii. W Sili góry wznoszą się szerokimi, falistymi liniami, przypominając czasami hiszpański masyw Sierra Nevada. Zamiast wysokich, granitowych wież, które wykrzykują swoją potęgę, Sila wznosi się niemal równa jak stół, z łagodnymi, zaczarowanymi trawersami, upojona blaskiem nieba, tworząc nieskończony płaskowyż. Taka jest jej fizyczna linia, tak też ją pojęłam, gdy ją ujrzałam po raz pierwszy.

Najbliższe wzniesienia przypominają mi spokojne, zielone Wogezy, a płaskowyż w Camigliatello, pełen świeżości lasów, przywodzi na myśl Karpaty.

Wędrowałam po Sili wiosną, w długie majowe dni, kiedy kwitły jabłonie i czereśnie. W dolinach, na południowych stokach, pomarańcze, jak gęsto rozświetlone lampiony, lśniły w promieniach zachodzącego słońca, jakby wykonane z ognistego szkła. Było to wrażenie realne – gdybym zerwała jedną i ścisnęła w dłoni, mogłabym się skaleczyć.

To, co szczególnie urzekło mnie w Sili, to sposób, w jaki została zagospodarowana. Pracowity i pełen estetycznego wyczucia Kalabryjczyk uprawia swoje góry z wielką starannością. Zbocza przyciął na tarasy, aby drzewa owocowe mogły rosnąć swobodnie, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Nawodnił je małymi kanałami, doliny obsadził drzewami owocowymi, wykorzystując każdy dostępny skrawek ziemi. Jeśli spotkasz miejsce, które leży odłogiem, to nie dlatego, że Kalabryjcykowi zabrakło zapалу czy wyobraźni, lecz dlatego, że natura lub cudy egoizm dotąd mu to uniemożliwiały.

Turysta, który przybywa w te strony, szuka szczytów. I znajduje je bez trudu. Nie musi wspinać się na linie wzdłuż skalnych ścian, pokonywać przepaści ani kaleczyć rąk. Kilka godzin marszu, często trzy lub cztery, wystarczą, by dotrzeć na szczyt i podziwiać rozległe widoki. Jednak ten, kto szuka ryzyka lub dresz-

czu emocji, może czuć się rozczarowany. Romantyk, poeta, który nie zdobywa gór dla sportowej ambicji czy prestiżu, fotograf z aparatem w dłoni, odnajdzie tu święte góry. Z ich wierchołków ujrzy magicznie pofałdowaną krainę, pełną inspiracji. Poecie Siła oferuje najdelikatniejszy materiał liryczny – tysiące liści, których nazwanie bez pomocy botanika będzie niemożliwe. Znajdzie on gobeliny utkane z niezliczonych odcieni złota, wodę szumiącą tak melodyjnie, że w jej dźwięku usłyszysz rytmy jambów, trochejów i daktyli. Wielbiciel prozy zaś zachwyci się prostym, zdrowym ludem, o patriarchalnych tradycjach, który przez wieki spisywał arystokratyczną historię swoich rodów. Ta społeczność o artystycznej duszy wciąż czeka na genialnego pisarza, który, jak polski Reymont w *Chłopach*, opowie światu jego historię i zdobędzie za to uznanie.

O ile mi wiadomo, współczesna literatura włoska nie interesowała się do tychczas życiem kalabryjskich górali.

Malarz odkryje w Sili niezwykle światło. Sosny, tak charakterystyczne i niepowtarzalne, tworzące osobną rodzinę o nazwie: sosna sylijska, nasycają krajobraz swoim unikalnym odcieniem zieleni. Nie tylko one przyciągną uwagę artysty – każde drzewo w tej krainie ma swoją własną, wyjątkową barwę, która dodaje pejzażowi niesamowitej różnorodności i harmonii.

Lekkie powietrze Sili sprawia, że każde, nawet najdelikatniejsze światło, przesącza się, podkreślając kontrasty. Subtelne odcienie i intensywność promieni słonecznych, tak rzadko spotykane w innych górach, ożywiają tu wschody i zachody słońca, które trudno porównać z czymkolwiek innym.

Letnicy, którzy przyjeżdżają tu na dwa tygodnie, często zostają dwa miesiące, zwłaszcza ci przybyli z gorących wybrzeży, spragnieni odpoczynku od upałów. Tutaj chłoną balsam natury – najczystsze powietrze. Działa tu apteka bez opłat, oferująca leki tysiącom pacjentów. Wśród ciszy, przerywanej jedynie delikatnym dźwiękiem owczych dzwoneczków, odnajdują spokój i wytchnienie od miejskiego zgiełku. W kraju, gdzie krzyki są na porządku dziennym, Siła pozostaje oazą ciszy, lekiem na zszargane nerwy.

A zakochani? Dla nich Siła układa się w idealne tło miłości – pocałunki smakują tu jak świeże, różowe truskawki. Spróbuj, a zapragniesz więcej. I nawet cukiernik staje się zbędnym, tak słodka jest ich natura.

Łąki, polany i pastwiska Sili to odrębne, urokliwe światy. Tysiące owiec na rozległych przestrzeniach stanowią nieodłączny element tutejszego krajobrazu. Owca to zwierzę mało skomplikowane, gromadzi się w wielkie stada i łatwo rozprasza. Jej sylwetka ma w sobie coś z arkadyjskiej elegancji. Arystokratka wśród górskich stworzeń, ulubiona modelka pejzażystów, takich jak Michetti, nosi na swoich barkach bogatą, chwalebną historię: była ofiarą Kaina i Abrahama,

wybraną, by uśmierzyć gniew Jahwe. To ona, wraz z wołem i osłem, ogrzała w stajence Dzieciątko Jezus. Dla jej wełny toczono wojny. Owca, starsza nawet od konia, towarzyszyła człowiekowi niemal od początku dziejów, a jej powaga i dostojność są niezaprzeczalne. Pozostaje symbolem niewinności i ofiary – „Baranek Boży” – noszony na ramionach przez Chrystusa. Przetrwała tysiąclecia w krajobrazie Sili, dostarczając człowiekowi wełny, mięsa i mleka, będąc podstawą jego egzystencji. Czy bez tego zwierzęcia człowiek zdołałby zbudować cywilizację? Dźwięk owczych dzwonek to najstarsza muzyka na ziemi, tak wiekowa jak same góry i drzewa.

Sila, ta pierwotna i artystyczna, pełna miasteczek, w których pobrzmiwa nadal dawna Bruzja, jest także miejscem, w którym zachowało się wiele kościołów. Pomimo niszczycielskich trzęsień ziemi wciąż kryją one w sobie bezcenne skarby – srebrne relikwiarze, drewniane krucyfiksy, rzeźbione stalle, kamienne portale i mozaikowe posadzki. Każdy z tych zabytków mógłby doczekać się osobnej monografii, a ich wartość dla sztuki i historii jest nie do przecenienia.

Sila to miejsce, w którym zakwitła róża bizantyjska, a w domach podczas długich zimowych miesięcy rozbrzmiewa cichy śpiew wrzeciona, przypominając o jednym z najstarszych atrybutów tego regionu – krosnach tkackich. To miejsce, gdzie w kącie izby cierpliwie czeka piec, gotowy, by wypalić delikatną formę ceramiczną, w zgodzie z rzemieślniczą tradycją. Tej Sili nie da się odkryć w ciągu kilku dni czy tygodni. Zwykły turysta jej nie pojmie – otwiera ona swoje sekrety jedynie przed tymi, którzy przybywają tu z sercem pełnym pasji, gotowi poświęcić czas i trochę cierpliwości.

W pierwszej odsłonie Sili obserwujemy jeszcze drogi, które śmiało można nazwać rajem dla kierowców. Pisałam już o jednej – tej prowadzącej z Catanzaro do Villaggio Mancuso. Teraz dodam jej godną rywalkę: trasę z Cosenzy, przez malownicze Camigliatello, San Giovanni in Fiore, aż po Santa Severina i dalej do Crotone. Jest i trzecia droga: z Crotone przez Cotronei, wzdłuż dwóch jezior – Ampollino i Arvo. A jest jeszcze i czwarta, piąta... Odłóż pieniądze, bez paliwa daleko nie zajedziesz, Czytelniku!

Tak kończy się szkic o pierwszej Sili i tym samym pierwsza część.

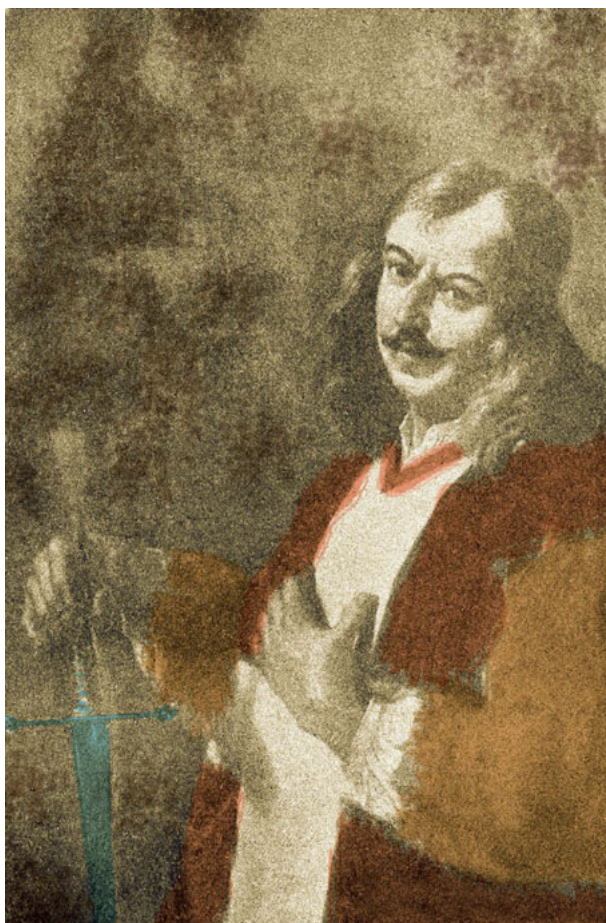
TOM DRUGI

Sila widziana z innej perspektywy to kraina o wielu twarzach: przyciąga leśników, ogrodników, geologów, hydrologów, elektrotechników, farmaceutów, lekarzy i przemysłowców – każdy z nich dostrzega tę drugą, użyteczną, codzienną Silę, mniej romantyczną, nie mniej majestatyczną niż ta pierwsza, być może nawet ważniejszą. Obie Sile wzajemnie się uzupełniają.



...każda postać emanuje dynamiką i życiem. Oto św. Sebastian

•
•
•
•
•
•
•



...widzimy dumnego siedemnastowiecznego kawalera, w maltańskiej tunice,
z odważnym spojrzeniem i wąsami *à la* muszkieter

•
•
•
•
•

Pierwsza Siła olśniewa pięknem; druga, jej przeciwieństwo, zachwyca przepychem. Bogactwo dawnej Sili było tak imponujące, że Rzymianie nazwali ją „Silva”, rezygnując z terminu „Nemus”, jakim zwykli nazywać lasy. Siła przez wieki była niewyczerpanym źródłem drewna: stąd pozyskiwano budulec na dachy rzymskich bazylik i tu ścinano pnie do budowy rzymskich i bizantyjskich statków. Drewno służyło też artystom: rzeźbiono z niego stalle chóralne, portale, zakrystie, baptysteria, posągi, ambony, pulpity, krucyfiksy; na drewnianych deskach malowano obrazy. Tysiące artystów korzystało z darów tej krainy, realizując swoje wizje i projekty.

Sztuka rzeźbienia w drewnie rozwijała się szczególnie w czasach renesansu i baroku. Cosenza, Tropea i Vibo Valentia były jej najważniejszymi ośrodkami. Można by wymienić setki nazwisk artystów, którzy wzniesli ją na wyższy poziom, tworząc prawdziwe dzieła. Słynne krucyfiksy Fra Diego da Carrera¹⁸ i Fra Giovanniego da Catanzaro ukazują duchowe wizerunki Chrystusa, napełnione spokojem górskich krajobrazów. W prowincji Cosenza trudno znaleźć kościół, który nie skrywałby rzeźbionego arcydzieła.

Przez wieki dębina z Sili była wykorzystywana do produkcji mebli zdobitych książęce pałace i szlacheckie dwory. Drewno, które przetrwało wiele huraganów, było niemal niezniszczalne. W promieniach słońca powstawały beczki napełniane dionizyjską ambrozją. Niestety, lasy doznały trwałego uszczerbku. Piraci pustoszyli je, zostawiając po sobie zgliszcza. Gdyby Siła była lepiej chroniona, dziś mielibyśmy na Półwyspie Apenińskim wspaniały las, który mógłby równać się z polską Puszczą Białowieską.

Ostatnia wojna zadała Sili głębokie rany, które nie zagoją się szybko: las rośnie powoli. Nawet laik, który dziś przemierza Siłę, odczuwa bunt wobec

18 Skupmy uwagę na pierwszym z artystów, franciszkańskim rzeźbiarzu Diego da Carrera (da Careri): artyście żyjącym w latach 1606–1661. Miejscowi poświadczają, że da Carrera żył wiarą i ciężką pracą, kochał wszystkich, ale nikogo konkretnego. Nie ujawniał żadnych egzystencjalnych żali. Z radością oddawał się wraz z braćmi zakonnymi czynnościom codziennym, odnajdując sens w zwykłych wysiłkach. Pewnego dnia chwycił za dłuto i przyniósł kłodę drewna. Zaczął rzeźbić, szlifować formy, a potem drewno wybarwiać. Przełożeni dostrzegli jego talent i wysłali go do Akademii Sztuk Pięknych w Catanzaro. Następnie da Carrera podróżował po Kalabrii, prawdopodobnie podziwiając podczas swoich wędrówek dzieła Antonello Gagini o słodko-renesansowych rysach, które bardziej odpowiadały jego duszy niż mroczne, modne wówczas, przedstawienia hiszpańskie. Wyczuwał niejako już barokowy powiew, który przeniósł w swoim lekkim dotyku i radości, która promieniuje z jego dzieł. Nawet jego umierający Chrystus nie jest postacią tragiczną – jest opanowany (choć cierpi), skłania do refleksji i nie budzi grozy. Por. G.F. Perri: *Il saio e lo scalpello. Vita e opere di frate Diego da Careri, scultore francescano del XVII secolo*. Laruffa, Reggio Calabria 2009.

zniszczeń, jakich ten teren doświadczył podczas ostatniego konfliktu. Całe zboża są nagie, a jedynym śladem dawnych czasów są kikuty drzew. Mogę sobie tylko wyobrazić, co czuje ktoś, kto widzi taki dramatyczny krajobraz. Z samego obszaru San Giovanni in Fiore podczas okupacji anglo-amerykańskiej wywieziono ponad półtora miliona metrów sześciennych drewna!

Mądra administracja szwajcarska pokazała światu, jak wielkie bogactwo stanowią lasy – aby ściąć jedno drzewo, trzeba tam uzyskać specjalne pozwolenie. W ten sposób las, starannie chroniony, wspierany długofalową polityką państwa, może mieć ogromny wpływ na bilans ekonomiczny kraju. Niestety, w Sili nadal działają spekulanci, posiadający pierwsze, drugie, a nawet trzecie niezbędne ministerialne zezwolenie, zdobyte z pewnością nielegalnie. W ten sposób niszczy się nie tylko krajobraz Sili, ale także ograbia się Kalabrię z jej naturalnych bogactw, które, odpowiednio zarządzane, mogłyby przyczynić się do ekonomicznego odrodzenia regionu.

Aryokratyczne dęby, szlachetne jodły, radosne kasztanowce, poetyckie modrzewie, wrzuszające topole, buki o jasnych pniach, a przede wszystkim charakterystyczne dla Sili sosny – to mieszkańcy tych lasów, żyjący w harmonii, w mieszanych lub odizolowanych rodzinach. Przechodzący leśnik spogląda na to bogactwo i widzi żywicę, kalafonię, alkohol metylowy, węgiel drzewny i kwas solny. Architekt dostrzega doskonały materiał budowlany, przemysłowiec widzi tartaki, a stolarz meble. To drzewna Sila, najbogatsza część prowincji Cosenza.

Istnieje jeszcze Sila marmurowa i skalista, która przez wieki służyła architekturze i rzeźbie. Przechodzący geolog, architekt, rzeźbiarz zauważają porfir z Cosenzy i Catanzaro, sienit, granit, amfibolit, marmur z Monte Corica, chinzigit z Acri oraz oryginalny marmur „verde di Gimigliano”¹⁹. Kamienie, skały i mar-

19 Prawie całe terytorium Kalabрії należy do struktury geologicznej zwanej Arco Calabro Peloritano. Łuk ten został zidentyfikowany przez geologów jako fragment łańcucha alpejskiego, który różni się od innych jednostek południowych Apeninów tym, że jest zbudowany z jednostek tektonicznych, które nie są wapienne, ale metamorficzne lub krystaliczne. Interpretacja geologii Kalabрії zawsze stanowiła jeden z najciekawszych problemów geologii Morza Śródziemnego. Łuk Pelorytanu Kalabрії oddzielony od północy linią Sangineto i od południa linią Taorminy, który – przełamany i oddzielony od bloku sardyńsko-korsykańskiego w miocenie – obracał się i migrował w kierunku południowo-wschodnim w górę do swojego obecnego położenia. Blok kalabryjski, klinowany od północy przez Apeniny, a od południa przez Sycylię, zaczyna się fałdować, w wyniku czego pojawiają się uskoki, zagłębienia i rowki, spowodowane postępującą krzywizną łuku. Za: P. Guarnieri, S. Carbone: *Assetto geologico e lineamenti morfostrutturali dei bacini plio-quadernari del Tirreno Meridionale*. „Bollettino della Società Geologica Italiana” 2003, vol. 122, s. 382.

mury Sili, wykorzystywane w różnych epokach, wzbogacały świątynie i wieże, baptysteria i zamki, pałace i kolumny, kapitele i portale, bastiony i barbakany, ołtarze, loggie i krużganki. Siła epicka, realistyczna, ale też użytkowa, codzienna, kształtowała reliefy i grobowce, odciskając swoje piętno na dziejach sztuki i architektury.

Przechodzący przez Siłę lekarz wdycha powietrze nasycone ozonem, wolne od pyłu i spalin, wypełnione żywicznymi balsamami i aromatami kwiatów. Pije wodę, której zdrowotne właściwości wciąż czekają na pełne wykorzystanie w medycynie. Dostrzega zakątki odcięte od świata, pełne ciszy i spokoju, i odkrywa Siłę jako miejsce uzdrowienia. W jego oczach to idealna przestrzeń na duże sanatorium, z wodami leczniczymi, stworzone dla chorych, rekonwalescentów, zmęczonych i znerwicowanych. To bogactwo, które czeka na swoje wykorzystanie.

Przechodzący przez Siłę farmaceuta od razu dostrzega, jak idealne jest to miejsce dla roślin leczniczych. Zlicza dzikie gatunki: wilcza jagoda, paproć samcza, kozłek lekarski, naparstnica, mydlnica. W dalszych zakątkach napotyka oregano, tymianek, mirt i rozmaryn...

Jednak może najważniejszy z nich wszystkich jest inżynier elektrotechnik. Podziwia dwa górskie zbiorniki wodne – sztuczne jeziora Arvo i Ampollino. Zauważa góry poorane prostymi liniami rurociągów, dostrzega odpowietrzniki elektrowni, pajęczyny przewodów i długie anteny linii wysokiego napięcia, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Oblicza pojemność zbiorników, moc w kilowatach, ilość produkowanego prądu i przede wszystkim, jak wielkie bogactwo energii wodnej Siła dostarcza południowym regionom i całemu krajowi. Szacuje, ile jeszcze można wybudować zbiorników, ile elektrowni, jakie niewykorzystane zasoby kryją łagodne doliny Sili.

Drugi tom tej opowieści nie jest jeszcze zamknięty. Agronom, kolejarz, przemysłowiec, a także badacz nauk społecznych mają swoje rozdziały do napisania. Ja, tylko w skrócie, starałam się naszkicować siliański potencjał.

CIEŃ DAWNYCH DNI W CAMIGLIATELLO

Jeśli droga z Catanzaro do Villaggio Mancuso należała do młodego psa, to ta z Cosenzy do Crotone, przez Camigliatello, należy bez wątpienia do orła. Bieg nie płaskowyżem i krętymi łukami, wspina się wysoko, szepcząc: „Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Wyżej! To łatwizna! Tam, na szczycie, odpoczniesz!” I rzeczywiście, na szczycie przerwa, jak na orła przystało. Zanurzony w powietrzu

tak czystym, że wydaje się, jakby niebo było na wyciągnięcie ręki, pewny, że może cieszyć się nieograniczoną perspektywą, dopiero na tej wysokości czuje się naprawdę u siebie. Tutaj, gdzie nawet benzyna – rywalka krwi, zimna heroina XX wieku, zwyciężczyni każdej wojny – traci moc, niezdolna skazić atmosfery swym zapachem; tutaj, gdzie powietrze pachnie igłami sosny, liśćmi i wonią kwiatów, orzeł przysiada na chwilę w zadumie. A potem, znów ciekaw tego, co w dole, zatacza krąg i spada w przepaść, mijając po drodze ukochane miejsca, które tak dobrze zna: San Giovanni in Fiore, Caccuri, Casino, Santa Severina...

Orli szlak przecina rozmaite piętra roślinności. Na dole rosną agawy i winorośla, gaje oliwne i sady, osłonięte od wiatru pola kasztanowców, wyżej dominują jodły, topole, sosny w kołderce z paproci. W chłodnym cieniu brzóz i dębów orzeł odnajduje wytchnienie. Na samym szczycie góry wznosi się Camigliatello.

Daleko mu do światowego kurortu, gdzie latem zjeżdżają elity. To coś zupełnie odwrotnego. Tutaj spotykają się Spokój, Tęsknota za górami i Pragnienie długich spacerów, powietrza, aromatów, kwiatów. Znajdziesz tu kilka prymitywnych chat i niewiele lepiej wyposażonych domów. Najlepszy hotel, Hôtel Meranda, w którym mamy przyjemność gościć, jest czysty i przytulny; ma niezwykle uprzejmych właścicieli oddanych w pełni temu urokliwemu zakątkowi. Przed wejściem rosną dwie wspaniałe, kwitnące jabłonie, a gdy wychylamy się przez okno, widzimy tysiące różowych, kwiecistych płatków, które puszcza nam oczko. Wiezorami i nocą, śpiąc przy otwartym oknie, pozwalamy majowi wypełniać płuca świeżym powietrzem. Słyszymy delikatny szelest liści jabłoni, któremu wtóruje pobliski las, i zaczynamy rozumieć, jak łatwo symfonia Camigliatello, z wiatrem – doświadczonym dyrygentem, może wyprzeć dźwięki jazzu modnych stacji radiowych.

Czym więc jest Camigliatello, w którym znajduje się zaledwie garść domków, a całość wydaje się raczej załączkiem miejscowości turystycznej niż luksusowym kurortem? To orle gniazdo, z którego orzeł wzbija się, by obserwować rozległy płaskowyż. Nieprawdopodobnie kręte drogi o szerszych i węższych ramionach krzyżują się w tym miejscu: jedna prowadzi do starożytnej stolicy Brucjów, Cosenzy, inna opada ku morzu, do Crotone. Kolejne, poprzez Longobucco, wiodą aż do Aciri, San Demetrio Corone czy Rossano.

Węższe drogi kierują nas w stronę Croce di Megara i do szkółki leśnej w Fossiata w sosnowym gaju. Niektóre z nich, między lasami i łąkami, prowadzą do Fago del Soldato lub do wąwozu Mucone, gdzie trwają prace przy budowie nowej imponującej zapory, która dostarczy 80 tysięcy kilowoltoamperów energii elektrycznej oraz będzie dla Camigliatello nową atrakcją: ogromne sztuczne jezioro Cecita, z ponad 100 milionami metrów sześciennych wody w zbiorniku.

W ten sposób po raz kolejny w Sili użyteczność i piękno połączą siły, tworząc trzecie „alpejskie jezioro”.

Drogi nie kończą się na płaskowyżu. Orzeł wzbija się wyżej, szukając szczytów, gdzie łagodne kopuły Monte Botte Donato i Monte Curcio rysują się na horyzoncie, przysłaniając szeroki widok na górski świat. Choć oba szczyty nie przekraczają dwóch tysięcy metrów, ich centralne położenie oferuje panoramę, która obejmuje zielony płaskowyż, historyczne doliny Crati i Savuto, a także Apeniny, prowadzące ku stromym szczytom Pollino.

Jest maj i natura dopiero się obudziła. Nic jeszcze nie jest zmęczone; kwiaty, liście, paprocie – wszystko świeże i pełne życia. Rozpoczyna się kolejny cykl, który doprowadzi ponownie do przemijania i wędnięcia. Natura zacznie znów o tym myśleć dopiero pod koniec września, gdy poczuje pierwsze chłody, podobnie jak człowiek.

Jednak dzisiaj w Camigliatello wszystko rozkwita i wydaje się, że tak już zostanie na zawsze. Nasza młodość dawno minęła, a jednak codziennie wracamy do hotelu z naręczem narcyzów o oszałamiającym zapachu, bez skrupułów zajmując nimi wszystkie wazony w hotelu. Śpimy otoczeni wonią kwiatów i wbrew wszelkim obawom, nie budzimy się z bólem głowy – przeciwnie, ich zapach działa na nas kojąco.

Narcyzy z Sili wykazują zadziwiającą wytrzymałość. Towarzyszą nam przez kilka dni, wieczorami zanurzone w wodzie, trwają niezmiennie, mimo trudów podróży. Oddychają w zatłoczonym autobusie, wyciągane z wody o czwartej nad ranem, spędzają cały dzień bez podlewania, a mimo to zachowują pełnię swojego piękna – tak jak za czasów młodości.

Wędrujemy przez lasy. Zaopatrujemy się rano w konserwy, mortadelę, wino i ruszamy w góry. Pastwiska pełne owiec, świeża woda spływająca po zboczach, aromat sosen – wszystko to przypomina mi Karpaty. Jednak tutaj niebo błyszczy jak witryna jubilera, przypominając, że jesteśmy wiele kilometrów dalej na południe. Tu i ówdzie, pod sosnami, pojawiają się pierwsze odważne truskawki, które z uśmiechem sprawdzają, czy powietrze jest już wystarczająco ciepłe.

Ogarnia nas przedziwny stan: czujemy, że głęboko w nas drzemią pierwotne instynkty. W naszej najgłębszej istocie jesteśmy zwierzętami, na których skórze cywilizacja postawiła kilka pieczęci – „Mechanizacja”, „Urbanizm”, „Wielkie miasto”, „Industrializacja”, „Wieżowiec”, „Metro” – które odreagowujemy weekendami, uprawiając sport, wyjeżdżając na wakacje, tworząc miasta-ogrody, wyjeżdżając na kempingi i korzystając z innych form ucieczki. W rzeczywistości jednak, w środku, czujemy się naprawdę komfortowo tylko wtedy, gdy możemy przytulić głowę i twarz do dziewiczej ziemi, tak jak teraz; kiedy bosa stopy mogą

poczuć chłód górskiego strumienia, kiedy nie myślimy o tym, czy włosy przyklepane brylantyną rozczochrają się na wietrze, czy paznokcie nie złamią się na kamieniu. Słodki gen pierwotnej natury, który potajemnie krąży we krwi, przypomina nam o czasach, gdy nasi przodkowie byli pasterzami, wędrującymi ze stadami po szerokim świecie w poszukiwaniu pożywienia, kierując się nieomylnym, gwiazdnym drogowskazem.

I byli bliżej... pojęcia tajemnicy Einsteina niż niejeden współczesny zwolennik teorii względności.

Oto słodkie, dziewicze dni w Camigliatello, w których życie pulsuje i tętno przyspiesza!

A jeśli wychyliłeś się choćby tylko o miesiąc poza próg młodości, czy ma to dla Ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

BICIE SERCA W SAN GIOVANNI IN FIORE

Z szacunkiem i powagą zwiedzam San Giovanni in Fiore, które niezwykle mnie intryguje, ponieważ zapisało jedną z najjaśniejszych kart w kulturze Kalabrii. To właśnie tutaj intelekt i czyste ludzkie uczucia połączyły się na wieczność, tworząc prawdziwy, piękny „Kwiat”. Miasteczko Sila zapisało się w dziejach jako symbol intelektualnego wyrafinowania, wysokiej kultury i emocji, które łączą się w jedną całość.

Podniosły nastrój ulatuje natychmiast, gdy moim oczom ukazuje się radosna, niemal komiczna scena. Tuż przed miastem, w pobliżu pierwszych domów, na drodze pełnej kałuż, w których odbija się światło, zbliża się ku nam spokojne stado owiec pilnowane przez dwa psy. Nagle, z szeroko otwartej bramy pobliskiego podwórza, wybiegają trzy ogromne, tłuste świnię. Zamiast podążać swoją drogą, natychmiast wpadają w stado owiec.

Żałuj, że tego nie widziałeś: szybko przejmują dowodzenie – rozpychają się ryjami, kwiczą głośno, obwieszczając swoje przywództwo. Pełne energii, dynamiczne i bezczelne, zaczynają popychać owce w błoto i rozpraszać całe stado. Działają jak zgrany zespół: jedna prowadzi, druga zajmuje środek, a trzecia zamyka pochód. Nikt nie protestuje, nie słysząc ani jednego „beee”. Trzeba zobaczyć, jak posłuszne i pokorne owce poddają się rozkazom świń, brnąc jedna za drugą w błoto, brudząc wełnę, podczas gdy świnię omijają szerokim łukiem kałuże i nadjeżdżający autobus.

Nawet psy ustępują miejsca świńskiemu triumwiratowi, patrząc na to bez zdziwienia, posłuszne. „Popatrz, co się dzieje” – mówię do mojego towarzysza.

Śmiejemy się głośno, bo ten obraz przywodzi nam na myśl coś znajomego. Rozwiązanie tej niewinnej zagadki pozostawiam jednak Tobie, by nikt nie powiedział, że autorka jest zbyt dosłowna. Kiedy docieramy do miasta, spotykamy ekipę, która właśnie zakończyła prace nad filmem o Sili. Dziś organizowany jest obiad, a aktorki, ubrane w świąteczne stroje typowe dla miasteczka San Giovanni in Fiore, wcielają się w role mieszkanek miasta. W zamian za to miejscowe kobiety, czując się wyróżnione, same stają się aktorkami. Ta sytuacja nie wywiera na nas szczególnego wrażenia, choć ma swój pozytywny aspekt. Z okazji uroczystego obiadu mają pojawić się władze i na wielu balkonach powiewają wielobarwne, ręcznie tkane koce i dywany. Dziesiątki kolorowych kwiatów lśnią w słońcu, mieniając się paletą barw. San Giovanni prezentuje swój artystyczny smak. Od wieków kobiety z tego regionu zajmują się tkactwem, przekazując krosno z pokolenia na pokolenie, z matki na córkę. Dzięki tej okazji mogliśmy zobaczyć efekty ich pracy – tkaniny oryginalne, odważne w kolorach, zachowujące tradycyjne wzory.

Następnie przyglądamy się strojom, ponieważ w San Giovanni in Fiore tradycyjny ubiór jest nieodłącznym elementem codziennego życia. Z całą pewnością nie można go nazwać pięknym, bo sprawia, że kobieta wygląda w nim jak kolos ważący sto kilogramów. Strój diametralnie zmienia naturalną sylwetkę, przekształcając nawet młode kobiety w matrony. Klatka piersiowa jest wypchnięta do przodu i opada aż do brzucha, a biodra zaokrąglone niczym wałek.

Przyjęło się powszechne, choć nieco banalne, przekonanie zarówno wśród znawców, jak i laików, że ten strój przypomina habit zakonny. Mam jednak ochotę zakwestionować tę opinię, opiera się jedynie na monochromatycznym wrażeniu – czarnym kolorze i białym nakryciu głowy.

Owszem, może on narzucać zakonne skojarzenia, jednak nie tylko kolor tworzy styl. Habity mogły wszak być również fioletowe, białe, brązowe, ciemnoszare czy granatowe. Styl mniszy dąży do jak najlepszego ukrycia ciała i zatarcia jego formy, a nie do jej podkreślania. Dlatego jego krój był zazwyczaj wąski w ramionach, płaski w klatce piersiowej, luźny w talii i szeroki na dole, aby zasłonić stopy. Białe nakrycie głowy ukrywało zgolone włosy, a także uszy, sięgało aż do policzków i szczelnie zakrywało szyję – co widać i dziś, ponieważ maniera ta nie zmieniła się przez wieki.

Strój z San Giovanni in Fiore nie przejął żadnej z tych cech. Zamiast ascetycznego, monastycznego charakteru, wywołuje zupełnie inne wrażenie. To kreacja niezwykle ... – erotyczna!

Biała, długa i wąska chusta, opadająca na plecy, wcale nie przypomina zakonnego nakrycia głowy, jak twierdzą przewodniki. Wręcz przeciwnie –

odstłania włosy splecione w warkocze, które zalotnie opadają na skronie i twarz. Ukazuje również duże kolczyki, a przypięta złotą broszką chusta swobodnie powiewa na wietrze. Ani skronie, ani policzki, ani szyja, ani uszy nie są zakryte. Strój zakonny nie dopuszcza dekolców, ukrywa biust i eliminuje wszystko, co mogłoby wzbudzać „nieczyste myśli”. Tutaj mamy kwadratowy dekolt, odstłaniający szyję i część piersi, przesadnie wypchany przyciąga uwagę i wzbudza pożądanie. Na pierwszy rzut oka nikt nie zastanawia się, czy jest naturalny, czy nie. Cały ten skomplikowany rytuał uwydatniania biustu został nam objaśniony przez sympatycznego urzędnika. Byliśmy oczarowani szczegółowymi informacjami – zagadką pozostanie, skąd zdobył wiedzę o tajemnych i niebezpiecznych praktykach.

Strój zakonny sięga ziemi, natomiast strój z San Giovanni odstłania stopy, kostki, a nawet część łydek, co, jak na czasy jego powstania, musiało być prawdziwą rewolucją. Mówi się, że ubiór jest przekazywany z pokolenia na pokolenie bez przeróbek. Rozmyślałam długo nad filozoficznym uzasadnieniem tej mody. Etnografowie porównywali ją do zakonnej, choć jest to kreacja, jak wspomniałam, dość frywolna. Zadowala mnie moje własne tłumaczenie – oczywiście można z nim dyskutować. Nic na tym świecie nie dzieje się bez przyczyny. Nawet moda, choć uważana za jedną z najbardziej kapryśnych form sztuki, ma swoją logikę i odpowiada potrzebom danego miejsca. W czasie drugiej wojny światowej popularne były czarne kobiece kostiumy nie dlatego, że miały symbolizować żałobę, ale dlatego, że mężowie w wojskowych mundurach zostawili w domach smokingi i eleganckie stroje wizytowe. Tego typu ubrania nie znalazłyby nabywców nawet na czarnym rynku, dlatego kobiety, nie mając innego materiału, przerabiały je na kostiumy. Z tego samego powodu pożądane stały się długie, szare marynarki o męskim kroju. Nie znaczy to, że wedle gustu epoki chodziło o upodobnienie się kobiety do mężczyzn. Panie, zwłaszcza na północy, często zakładały spodnie mężów, aby ochronić się przed zimą, co było praktycznym rozwiązaniem. Były to logiczne ustępstwa mody, podyktowane koniecznością chwili. Widzimy więc, że władza dyktatorów mody jest bardziej racjonalna i trwała niż niektóre rządy, które zmieniają się częściej niż ona.

Pisze to wielka entuzjastka damskiej galanterii, choć nie wszyscy muszą się z tym zgodzić. Moda w San Giovanni in Fiore również miała swoje głębokie znaczenie. Przeglądając stare kroniki, wydaje mi się, że już wiem dlaczego.

Przez wiele wieków opactwo założone przez brata Joachima stanowiło jedyny budynek na bezludziu. Dopiero na początku XVI wieku uformowała się pobliska wieś, której historia jest niezwykle oryginalna. Osada została zasied-

lona przez wyjętych spod prawa i uciekających przed władzą baronów wyrzutków, którzy chronili się w górach Kalabrii. Neapolitański patrycjusz Salvatore Rota, opat klasztoru San Giovanni in Fiore, za zgodą wicekróla Don Pedra de Toledo, w 1536 roku założył tutaj azyl dla zbiegów uciekających spod władzy feudalnej, pod patronatem błogosławionego Joachima. Łatwo sobie wyobrazić, że pierwsi osadnicy z pewnością nie przypominali łagodnych jagniąt ani niewinnych gołębi. Byli raczej jak lisy, które sprzeciwiały się prawu, a ich życie z pewnością nie zawsze zgodne było z *Dekalogiem*. Trudno podejrzewać, że reprezentowali jakiekolwiek zakonne wartości; wręcz przeciwnie! Byli zapewne frywolni, a kobiety ubierały się tak, jak podobało się mężczyznom. Prawda stara jak świat!

Zimą, w górach przykrytych śniegiem, wśród podmuchów surowego wiatru i w niemal zupełnej izolacji od świata, mężczyźni czerpali przyjemność z widoku tak ubranych kobiet. Już sam ich wygląd mógł ich rozgrzać. Tym bardziej że pierwsi uciekinierzy, emigranci z regionów o bardziej konserwatywnych tradycjach, z pewnością doceniali odkrytą szyję, głębię dekoltu, odsłonięte po łokcie ręce oraz spódnice, które dzisiaj wydają się nam przyzwoite, lecz w tamtych czasach, gdy widoczny był jedynie czubek buta, musiały być prawdziwym zjawiskiem.

Pierwotny gust osadników przetrwał do dziś, co mogliśmy zaobserwować podczas wizyty u miejskiego urzędnika. Kiedy porównałam stroje z powszechną opinią o ich „monastycznym” charakterze, zastanawiałam się z uśmiechem, gdzie krytycy dostrzegli ten „zakonny” wpływ.

Udaliśmy się na zwiedzanie opactwa. To wciąż interesujący zabytek, zubożały relikw przeszości, który nie zachował w pełni pierwotnego wyglądu. Klasztor, poważnie zniszczony przez wojska kardynała Ruffo, nigdy nie podniósł się z ruin, mimo prób odbudowy. Jednak jak na zniszczonej kobiecej twarzy można dostrzec ślady dawnej urody, tak i tutaj widoczne są pozostałości architektonicznego rozmachu.

Wielki gotycki łuk, solidne przypory, surowa rozeta, a przede wszystkim majestatyczna, oryginalna krypta – wszystko to budzi szacunek i przywołuje wspomnienie dawnej świetności. Krypta zrobiła na nas ogromne wrażenie, ponieważ tutaj, w skromnym sarkofagu, bez ozdób, bez płaskorzeźb, spoczywa opat Joachim z Fiore, jeden z tych, którzy mieli siłę, by unieść duszę Kalabrii.

Spośród wielu wspaniałych grobów, które widziałam, ten, bez kwiatów, bez wstęg, bez flag, tylko z dantejskim napisem – zrobił na mnie szczególne wrażenie:

a obok rwie oczy
 Duch Joachima, Kalabrii opata
 Co mowę pełną miał mocy proroczej²⁰.

Opat Joachim powiedział: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”. Skarb San Giovanni in Fiore z pewnością spoczywa w tym miejscu.

Gdy z szacunkiem pochylamy głowy, wydaje się, że w doskonałej ciszy krypty wciąż słychać ciche „tik-tak, tik-tak”. Jesteśmy pewni, że nawet po upływie wielu wieków, gdy ktoś odwiedzi to miejsce, nadal usłyszy to samo „tik-tak”. Natura stworzyła nie wiele, lecz dziesiątki, setki serc bijących nieustannie.

A teraz Ty mi odpowiedz: Czy to możliwe, by obraz, który ukazał nam się w San Giovanni in Fiore, ulotnił się?

ŚWIĘTY BEZ OFICJALNEJ AUREOLI

Dziwni ludzie rodzą się w Kalabrii! Piękny, materialny świat Kalabrii wydał naprawdę oryginalne osobowości! Wystarczy wskazać cały ród reformatorów, prekursorów, poetów i buntowników, którzy sprzeciwili się oficjalnemu porządkowi, uczynili z mowy najostrzejszą broń, a z życia doskonały przykład człowieczeństwa.

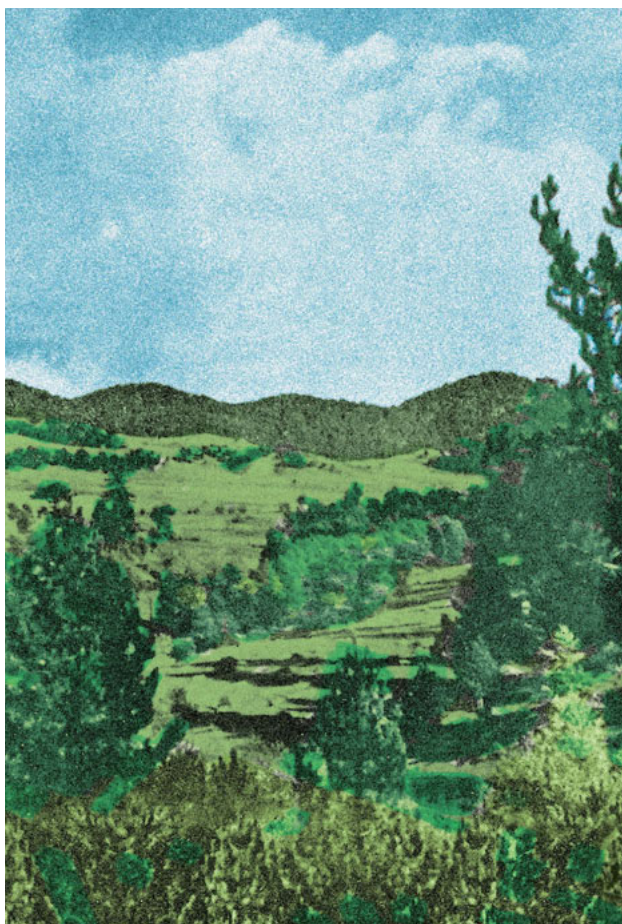
Można ich nazwać geniuszami duchowej medycyny, którzy, zamiast ograniczać się do stawiania diagnoz, przepisywali recepty na choroby ludzkości. Wpadli przez to w pułapkę pajęczej sieci utkanej przez tradycję, hipokryzję, lenistwo i bezwład. Postawili na szali swoje myśli, dobre imię i osobistą wolność, doświadczyli ekskomuniki i więzienia. Ich książki uznano za siejące niezgodę.

Jednym z członków tej rodziny jest opat Joachim. Campanella uznany został za niebezpiecznego buntownika i szaleńca, zaś Joachim za heretyka i fanatycznego psychopatę. Obaj wyprzedzili swoją epokę i byli prekursorami nowatorskich idei.

Kim jest wspomniany Joachim?

Czy to jeden z tych uczonych mnichów, jakich setki znała Kalabria, a tysiące cała Italia, którzy uciekli od świata, zamknęli się w klasztorze i poświęcili wierze oraz nauce? Takie kryterium oceny tej postaci byłoby jednak mylące. Jak więc można go określić? Świętym? Heretykiem? Filozofem? Błogosławionym? Prorokiem? Reformatorem? Poetą?

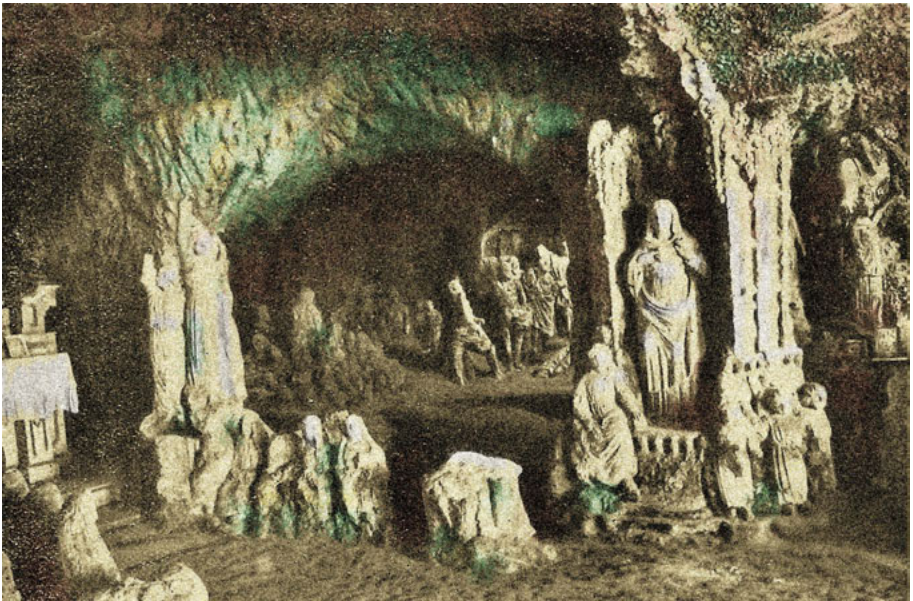
20 D. Alighieri: *Boska komedia*. Tłum. E. Porębowicz. Cz. III: *Raj*, księga XII, w. 139–141. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959, s. 388–389.



Romantyk... ujrzy magicznie pożądaną krainę, pełną inspiracji

•
•
•
•
•
•
•

-
-
-
-
-



Sila epicka, realistyczna, ale też użytkowa, codzienna...

-
-
-
-
-
-
-

W rzeczywistości wszystkie przywołane określenia pasują do tej postaci, choć w pełni jej nie opisują. W jego osobie można dostrzec polityka, który rozumiał swoją epokę, marzyciela, który pragnął ją ulepszyć, lekarza, który postawił diagnozę, oraz fanatyka, który wierzył w jej skuteczność.

Opat Joachim nie został oficjalnie uznany za świętego, a jego proces kanonizacyjny pozostał niedokończony. Niemniej jednak, Dante umieszcza go w Raju, i to w doborowym towarzystwie – między św. Tomaszem a św. Bonawenturą. Kronikarze i historycy tamtych czasów, nawet z odległej Anglii, interesowali się jego osobą; zwłaszcza oryginalny styl poezji inspirował trubadurów i rycerzy Okrągłego Stołu, a także liryków włoskich aż do XVII wieku. Wspomina go św. Bernardyn ze Sieny; być może inspirował się nim sam Henrik Ibsen, co zauważa Gastone Manacorda. Mimo to pył pokrywający nieliczne kości, zamknięte w źle oświetlonym szklanym pudełku, zatarł jego imię w pamięci. Jak to często bywa, nieufność i nieprzychylność władców wystarczyły, by zepchnąć w cień postać tak pełną światła.

Całkiem niedawno nastąpił rozwój badań nad biografią Joachima, która przypomina nieco życiorysy innych znanych Kalabryjczyków. Urodził się w Celico w ubogiej rodzinie i został paziem króla Rogera. W kolejnych latach w jego głowie zaczęły kiełkować nowatorskie idee. Wyruszył z pielgrzymką do Ziemi Świętej, a następnie długo przebywał na Wschodzie, gdzie zebrał wiele cennych doświadczeń. Po powrocie wstąpił do zakonu i został opatem w klasztorze w Corazzo²¹.

Po jakimś czasie opuścił klasztor i udał się do pustelni, by rozmawiać z Bogiem, jak czynił to św. Nil przed nim, a potem św. Franciszek z Paoli. Joachim

21 W ustaleniach Kazimierzy Alberti pojawiła się pomyłka. Joachim rozpoczął służbę na dworze króla sycylijskiego Rogera II, a nie jak podaje pisarka: Rogera I. Jan Grzeszczak ciekawie opisuje tajemnicze losy Joachima z Fiore: „Pewne kontrowersje wśród historyków budził również charakter formacji intelektualnej opata z Fiore. Jego rodzinna Kalabria była jeszcze w XII wieku środowiskiem, w którym zaznaczała swoją obecność tradycja wschodniego chrześcijaństwa kultywowana w klasztorach bazylikańskich. Wschodni cenobityzm oraz żywoty świętych pustelników, takich jak Nil z Rossano, stały się w latach dwudziestych i trzydziestych naszego stulecia podstawą do stworzenia przez niektórych autorów, głównie francuskich, niemal legendarnej wizji średniowiecznej Kalabrii jako oazy ducha i fascynującego miejsca spotkania dwóch wielkich tradycji chrześcijaństwa. [...] Fakty, co do których panuje zgodność wśród historyków, to wstąpienie Joachima do klasztoru cystersów Santa Maria della Sambucina około roku 1153, przyjęcie święceń kapłańskich i pobyt w kalabryjskim klasztorze cystersów w Corazzo, gdzie w roku 1177 jest wzmiankowany jako opat tamtejszej wspólnoty. Na lata 1182–83 przypada pobyt Joachima w leżącym w stosunkowo niewielkiej odległości od Rzymu cysterskim opactwie Casamari, gdzie powstały jego trzy najważniejsze dzieła: *Concordia Novi ac Veteris Testamenti*, *Expositio in Apocalypsim* i *Psalterium Decem Chordarum*”. Za: J. Grzeszczak: *Współczesne badania nad Joachimem z Fiore*. „Poznańskie Studia Teologiczne” 2000, T. 9, s. 279–281.

został w ten sposób przymuszony przez młodych przyciągniętych jego osobowością do nadania realnego kształtu ideom, które w nim dojrzewały. W ten sposób, w najdłuższym zakątku Sili powstało opactwo, a zwolennicy Joachima rozeszli się po Kalabрії z apostolskim posłannictwem. Sama reguła rozkwitała przez kilka wieków, aż do połączenia z zakonem cystersów, z którego się wywodziła. Resztę życia Joachim poświęcił interpretacji Starego i Nowego Testamentu.

Gdzie kryje się wartość nauki Joachima z Fiore? W przesłaniu, które niesie ludzkości, w nadziei, którą głosi, i w dążeniu do odnowy społeczeństwa, które wyraża. Jego czasy były wyjątkowo trudne. W świecie, który dopiero co otrząsnął się z milenijnych lęków, ponownie zapanowały przemoc, terror i korupcja. Wszędzie, a zwłaszcza w doświadczonej przez los Kalabрії, wojny i zniszczenia były na porządku dziennym.

Joachim, interpretując święte teksty, dyktuje je bratu Luce, późniejszemu biskupowi Cosenzy (lub bratu Leonowi, który miał świetną pamięć!). Zapowiada w nich nową Apokalipsę, przemianę społeczeństwa i zjednoczenie tajemnicy boskiego życia z tajemnicą życia ludzkiego. Ogłasza nadejście „trzeciego stanu”!

„Pierwszy stan świata to stan niewolników; drugi to stan wolnych, a trzeci będzie wspólnotą przyjaciół”.

„Pierwszy stan był panowaniem starych, drugi młodych, a trzeci będzie należał do dzieci”.

„Pierwszy stan był królestwem Ojca, stwórcy Wszechświata; drugi królestwem Syna, który uniżył się, aby przyjąć nasze grzeszne ciało; trzeci będzie królestwem Ducha Świętego”.

(Słynny pisarz i filozof polski Limanowski, który przed pierwszą wojną światową stworzył w Polsce ruch o nazwie „Eleusis”, czerpał inspirację z nauki Joachima²²).

22 Alberti błędnie wprowadza nazwisko „Limanowski” (ani Bolesław – filozof i działacz polityczny, ani jego syn Mieczysław – geolog, nie byli twórcami wskazanej instytucji). Stowarzyszenie Patriotyczno-Religijne „Eleusis” to organizacja młodzieżowa założona w 1902 roku w Krakowie przez Wincentego Lutosławskiego. Organem Stowarzyszenia było „Eleusis: czasopismo Elsów”. Jak wskazuje sam założyciel, organizacja nawiązywała do tradycji eleuzyjskiej: „W attyckiej świątyni w Eleusis, trzy tysiące lat temu, nauczano nieśmiertelności duszy i wyższości ducha nad ciałem. Misteria Eleuzyńskie wtajemniczały wybranych, za wykluczeniem bezbożników, i uczyły ich czystością zasłużyć na lepszy żywot niż doczesny. Miały one charakter narodowy: obcych tu nie dopuszczano, tylko Attyckich obywateli. Na pamiątkę tego najdawniejszego w Europie ogniska religijnego i narodowego odrodzenia, nowe towarzystwo przyjęło starodawną grecką nazwę”. Za: W. Lutosławski: *Obiektywne wiadomości o towarzystwach i bractwach wynikających ze Sprawy „Eleusis. Czasopismo Elsów” 1903, T. 1, s. 290–291. Nazwa organizacji Eleusis jest akronimem od greckiego motta „Eleutheroi laon soterēs” (‘wolni wyzwolicielemi ludów’). W celu realizacji tych*

„Nie można swobodnie chwalić Boga, gdy serce jest obciążone widmami materialnych trosk świata. Tam, gdzie skarb twój, tam serce twój!”.

„Na ziemi możesz uważać się za błogosławionego, kiedy nauczysz się chwalić swojego Boga pracą, nauką, świętowaniem hymnem i radością poezji!”²³.

Tak kształtuje się obraz „trzeciego stanu” – poprzez religijną odnowę ludzkości, reformę Kościoła i głęboką przemianę serc oraz sumień. Kilka lat później inny wielki Włoch, św. Franciszek z Asyżu, spróbuje ożywić tę nadzieję. A tutaj, na górzystych terenach Sili, spotykamy jego poprzednika.

Joachim umiera w 1202 roku w wieku 90 lat – w tych latach Franciszek Bernardone jest wciąż więźniem świata i, dosłownie, aresztantem jednego z zakładów w Perugii. To właśnie proroctwa pokornego brata Joachima przygotowały grunt pod rozwój idei franciszkańskich. Radykalne oddanie ubóstwu, wyrzeczenia, nawracanie świeckich, autonomia od władzy kościelnej, ewangeliczna krucjata oparta na pokoju – to wszystko łączy wizję „trzeciego stanu” Joachima z przesłaniem św. Franciszka.

Jednak w konfrontacji z Kościołem Joachim doznał porażki. Jego *dzieło Contra Petrum Lombardum*, skierowane przeciwko Piotrowi Lombardowi, znanemu teologowi i biskupowi Paryża, który – niezwykłym zrządzeniem losu – został pochowany w opactwie Sambucina, niedaleko Luzzi, gdzie Joachim przyjął habit zakonny, zostało potępione przez sobór laterański²⁴. Zarówno on, jak i jego zakon uniknęły większych konsekwencji tylko dlatego, że przed śmiercią Joachim

założeń praktykowano przede wszystkim poczwórną wstrzeźliwość (powstrzymanie się od spożywania alkoholu, palenia tytoniu, uprawiania hazardu oraz ulegania rozpucie), którą Lutosławski uznawał za nowoczesną formę ślubów zakonnych, drogę do Boga i jednocześnie podstawę tworzenia nowych więzi społecznych.

23 Przywołane zdania stanowią zapewne parafrazy, mające swe źródła w Joachimowym tryptyku: *Zgodność Nowego i Starego Testamentu (Concordia Novi ac Veteris Testamenti)*, *Wykład Apokalipsy (Expositio in Apocalypsim)* oraz *Dziesięciostrunne psalterium (Psalterium decem cordarum)*. Jak zauważa Jan Grzeszczak: „Pisma te, powstałe w wyniku tego, co Gian Luca Potestà określa mianem długoletniej *scrutatio Scripturarum*, stają się stopniowo dostępne dla szerszego grona czytelników dzięki wysiłkom niemieckich mediewistów, których owocem są krytyczne edycje, pojawiające się pięćset lat po pierwszych drukowanych wydaniach tych intrygujących dzieł, które ujrzęły światło dzienne w Wenecji w czasie, gdy na północ od morskiej Republiki rodziła się Reformacja, a na wschodzie trwał nieubłagany pochód turecki, zagrażający imperium Habsburgów, a wraz z nim całej Europie”. Cyt. za: J. Grzeszczak: *Objawienie a historia. Zachęta do Joachima z Fiore*. „Teologia Polityczna” 2019. <https://teologiapolityczna.pl/ks-prof-jan-grzeszczak-objawienie-a-historia-zacheta-do-joachima-z-fiore> [dostęp: 20.12.2024].

24 Sobór laterański IV miał miejsce w 1215 roku w Rzymie, na Lateranie. Uroczyste rozpoczęcie odbyło się 1 listopada. Sobór przeprowadził trzy posiedzenia w dniach: 11, 20, 30 listopada i uchwalił przeszło 70 dekrétów, z czego 59 weszło do zbioru prawa kościelnego. Owocem soborowych ustaleń było m.in. potępienie herezji Joachima z Fiore.

wyraził gotowość wyrzeczenia się błędów, które mógł nieświadomie popełnić w swych egzegezach. Mimo to jakaś nieufność zaciążyła na pamięci o nim i położyła się cieniem na recepcji jego licznych dzieł.

Joachim słynął z daru przepowiadania. Część z prorocत्व była prawdziwa, część mu tylko przypisywano. Podobnie jak św. Franciszek z Paoli, nie bał się wypowiadać trudnej prawdy ani sprzeciwiać możliwym. Przewidział niepowodzenie krucjaty Tankreda w 1190 roku, sprzeciwiał się małżeństwu Konstancji z Henrykiem VI, które popierał zarówno cesarz, jak i papież, a także z odwagą przepowiedział nieszczęścia, jakie miały spotkać cesarza.

W XII wieku, gdy ludzkość żyła w niespokojnych czasach, tracąc wszelką radość i pokój, Joachim z Fiore, zaczytany w pismach w górach Sila, dostrzegł zarys nowej ery.

„Siódmy anioł zadmie w trąbę i wraz z nim spełnią się tajemnice, a era pokoju zagości na ziemi”.

Minęło osiem stuleci.

Tak jak w XII wieku, wojny, dewastacje, ambicje, grabieże i chciwość wstrząsają światem. Ludzkość wciąż nie nauczyła się „chwalić Boga pracą, nauką i świętem...”, a pokój ducha nie nawiedza człowieka. „Trzeci stan”, który Joachim przewidywał, zdaje się być dzisiaj bardziej odległy niż w jego czasach.

Jednak wszyscy chcemy wierzyć, że wkrótce przyjdzie siódmy herold, obiecany zwiastun ery pokoju i wspólnoty, o anielskiej twarzy cherubina z fresków Melozzo da Forlì²⁵.

NA WŁOSKICH BAŁKANACH

Kto nie zna Włoch dobrze, może być zaskoczony istnieniem na Półwyspie Apenińskim miejsca przypominającego Bałkany. Jak to możliwe? Skąd się wzięły we Włoszech tamtejsze wpływy?

25 Ze Stolicą Apostolską i nazwiskiem rodziny Della Rovere wiąże się także najstynniejsze dzieło Melozzo da Forlì, z którego niestety zachowało się tylko kilka fragmentów: fresk w absydzie kościoła Świętych Apostołów. Tak opisuje to malowidło Gerardo de Simone: „Lewitujący na niebie Chrystus, w otoczeniu muzykujących aniołów, które obracają się wokół różnych osi, poniżej apostołowie zaskoczeni i spoglądający w górę, patrzący na to niezwykle wydarzenie”. Za: G. De Simone: *Melozzo e Roma*. In: *Melozzo da Forlì. L'umana bellezza tra Piero della Francesca e Raffaello*. Ed. D. Benati, M. Natale, A. Paolucci. Silvana Editoriale, Milano 2011, s. 44. Kiedy na początku XVIII wieku rozebrano rozpadającą się absydę, fresk uległ znacznemu zniszczeniu, a ocalały jedynie znane nam dzisiaj fragmenty: figura Chrystusa, dwie grupy aniołów, w sumie osiem postaci cherubinów.

Pobyt w San Demetrio, a także wycieczki po okolicy, przywołały wspomnienia z licznych podróży po Bułgarii, którą tak bardzo pokochałam. Zastanawiam się, dlaczego wraca to do mnie właśnie teraz. Może rzeczywiście odnajduję tu coś z tamtej kultury. Nie chodzi mi o prymitywne skojarzenia – tylko osoby niewykształcone mogą sądzić, że Bałkany to niski poziom życia. Wręcz przeciwnie, ich historia, sztuka, kultura i architektura świadczą o czymś zupełnie przeciwnym.

Czym zatem jest ów „bałkański pierwiastek”? Nie chodzi z pewnością o zachowany obrządek grecki ani nabożeństwa, które przypominają mi te z Rile, Baczkowa, Monastynu czy Ochrydy. Bałkany odnalazłam w gościnności, która jest daleka od stereotypów – spontaniczna i szczerą. Esencja gościnności, która zadomowiła się tu wieki temu, pozostała nietknięta, a albańskie wioski w Kalabrii są jej najlepszym wyrazem.

Każdy naród uważa się za bardzo gościnny i czuje się dotknięty, gdy ktoś stwierdzi, że wcale taki nie jest. Jednak prawdziwą wartość gościnności dostrzega nie miejscowy, który często patrzy na świat przez pryzmat lokalnego patriotyzmu. Prawdziwą gościnność dostrzec może tylko obcokrajowiec, który posiada szerszą perspektywę i doświadczenie pozwalające na porównanie. W tej kwestii w Europie prym wiodą Skandynawowie oraz ludy Południa.

Na Bałkanach rozmowa często zaczyna się od rytualnej filiżanki tureckiej kawy, a w prywatnych domach od słodkiego poczęstunku, zwanego *slatko*. W bułgarskich klasztorach początkowo częstowano mnie kostką cukru na znak życzliwości, a zaraz potem serwowano lokalne potrawy i specjały.

Nie potrafię zliczyć poczęstunków w San Demetrio. Tutaj turecką kawę zastąpiło włoskie espresso, lecz gościnność pozostała równie ważna. To coś więcej niż tylko zaserwowanie kawy czy obiadu. To głęboka, serdeczna troska o gościa. Gospodarz martwi się, czy gość dobrze spał, czy nie jest mu za zimno, za gorąco, czy smakuje mu jedzenie, czy jest zadowolony z pobytu. Każdy stara się, by przybysz czuł się jak w domu, rezygnuje z własnych planów, od razu zaprasza do swojego domu, do domu kuzyna, wujka, przyjaciela.

Gospodarz znajdzie zawsze coś ciekawego do pokazania – bibliotekę, stroje czy obrazy – nieczęsto się to zdarza w zachodnich kulturach. Bałkańska otwartość oznacza również chęć wprowadzenia gościa w krąg interesujących osób i przedstawienie mu lokalnych atrakcji. To właśnie ten głęboki, autentyczny duch gościnności poczułam w albańskich miasteczkach, a szczególnie w San Demetrio.

Gdy piszę o tym, przypomina mi się pewna zabawna sytuacja. Biorąc pod uwagę ważną lokalną gałąź przemysłu, jaką jest produkcja esencji kwiatowych

w Reggio, postanowiłam poświęcić temu zagadnieniu rozdział w mojej książce. Skontaktowaliśmy się z jednym z czołowych producentów w regionie, który zaproponował nam pomoc; dyrektor zaoferował swój samochód, który miał nas zawieźć na plantacje, gdzie trwały zbiory; obiecał nam pokazać wszystko osobiście i wyjaśnić szczegóły, jako ekspert w tej dziedzinie.

Spotkanie zostało umówione na następny dzień rano o siódmej. Była niedziela, więc zrezygnowaliśmy z innych planów. Gdy o ustalonej godzinie nie zastaliśmy samochodu, nasze zaskoczenie było ogromne. Zapukaliśmy do drzwi domu, które otworzyła służąca, zdziwiona, że nic jej na ten temat nie wiadomo, a kierowca nie otrzymał żadnych poleceń. Pomimo humorystycznego charakteru sytuacji, każdemu szanującemu się dziennikarzowi nie przyszłoby do głowy ponowić wizyty. Jednak incydent tak mnie rozbawił, że niepokromiony duch ciekawości nakazał mi spróbować ponownie. I nie raz, i nie dwa, ale kilka razy. Wciąż słyszeliśmy od bardzo uprzejmego sekretarza, że dyrektor z przyjemnością z nami porozmawia. Zawsze jednak odpowiedzi były wymijające, a on „bardzo zajęty”, mimo że sam ustalił termin spotkania. Mógłby przynajmniej mieć odwagę, by nas grzecznie odprawić! Tak oto miejscowe kwiaty zwiędły na łodygach. To był przypadek wielkiej „niegościnnosci”.

W San Demetrio Corone, mimo że nie zawsze mogliśmy być punktualni z powodu licznych przystanków na naszej trasie, wszyscy to rozumieli i cierpliwie nam wybaczała. To jest część prawdziwej gościnności.

Prowadzenie rozmów w San Demetrio też ma bałkański charakter. Włosi, podobnie jak Francuzi, są doskonałymi mówcami, ale prawdziwa konwersacja na południu Włoch często przybiera karykaturalny wyraz: każdy mówi do siebie, więc jeśli w grupie jest sześć lub więcej osób, nikt nie słucha tego, co mówi ktoś inny. To raczej „monolog” niż „rozmowa”. Na południu ludzie są zbyt impulsywni i namiętni, by pozwolić komuś spokojnie wyrazić swoje myśli. Przerywają, atakują i kończą za ciebie zdanie, zupełnie inaczej niż chciałeś.

W San Demetrio miałam okazję uczestniczyć w kilku błyskotliwych rozmowach, które sprawiły mi ogromną przyjemność. Przypomniały mi one Bałkany, gdzie znane jest powiedzenie, że „mówi się tam z nożem w zębach”, co oznacza twardą wymianę zdań. Miejscowi Albańczycy, mimo że dobrze się zaaklimatyzowali, zachowali swoją pierwotną mentalność i świeżość, które w połączeniu z włoskimi realiami przyniosły unikalne owoce²⁶.

26 Adriana Loidice tak streszcza długą historię Arboreszów: „Kultura Arboreszów, która narodziła się z trwającej osmozy między populacjami wschodniego wybrzeża Adriatyku oraz

Wiele niezapomnianych chwil spędziłam w San Demetrio.

Miasteczko słynie nie tylko z kolegium, ale też z dobrze wykształconych mieszkańców (większość osób posiada przynajmniej średnie wykształcenie), ale także z opactwa św. Adriana. To historyczne miejsce, zabytek narodowy, który przez wiele lat cieszył się specjalnym statusem. Kiedy Kalabria była nękana najazdami Saracenów, emir Palermo wydał specjalny edykt, aby nie niszczyć świątyni.

Opactwo może pochwalić się bogatą historią zarówno hagiograficzną, jak i artystyczną. Hagiograficzną, ponieważ zostało zbudowane przez jednego z najbardziej czczonych świętych Kalabrii – św. Nila. Nie jest to całkowicie jego dzieło; pierwotnie znajdowały się tu ruiny bizantyjskiego kościoła, na których zbudowano nową świątynię. W opisie życia świętego znalazła się taka oto wzmianka (i nie jest to legenda!): Nicefor namawiał św. Nila do zbudowania większego i bardziej okazałego kościoła, mówiąc: „Nie mogę znieść widoku tego przybytku z gliny”, na co św. Nil odpowiedział: „W takim razie nie możesz patrzeć na mnie, bo i ja jestem ulepiony z gliny”. Ta historia odzwierciedla wyznawane wartości i poczucie skromności patriarchy.

Święty Nil, który mieszkał w pobliskiej grocie i siedział pod rosnącym tu wiązem, miał zatem powód do dumy z tego, co udało mu się stworzyć, mimo że rozkaz emira (który niestety nie zdążył uratować całego opactwa) nie w pełni został wykonany.

regionów centralnej i południowej części Włoch, jest doskonałym przykładem na zaprezentowanie złożoności Półwyspu Apenińskiego. Wspólnota Arboreszów (znanych też jako Italo-Albańczycy) we Włoszech była najliczniejsza w drugiej połowie XV wieku. Napływ tej grupy etnicznej trwał aż do początku XVIII wieku i był rezultatem masowych ucieczek z Albanii przed okupacją turecką. Albańczycy, podobnie jak wszystkie narody bałkańskie, przeżywali konflikt o charakterze tożsamościowym i poszukiwali własnego miejsca w Europie – część znalazła je właśnie we Włoszech. Wojna między Turkami i Albańczykami w 1400 roku odpowiadała zderzeniu dwóch cywilizacji, ale także motywowała do dokonania wyboru. Pod koniec XIV wieku Albańczycy reprezentowali ostoję chrześcijaństwa. Obrona religii przed Turkami i sprzeciw wobec islamizacji kraju były motorem napędowym konfliktu zbrojnego. [...] Arboresze pilnie strzegli swojej odrębności, zachowując tradycje, często bardzo różne od obyczajów panujących we Włoszech, ale zawsze czuli dumę z bycia innymi, ponieważ to łączyło ich z utraconą ojczyzną. Przybycie nowej fali uchodźców z Albanii na wybrzeże wywołało paradoksalny efekt odrzucenia. Zamiast wzmacniać poczucie pochodzenia, Italo-Albańczycy prawie wstydzili się tych ludzi, którzy mówili podobnym językiem, ale, jak stwierdził dyrektor Museo Etnico Arbëreshë (Muzeum Etniczne Arboreszów) Emanuele Pisarra, nie chcieli być wykształceni, chcieli najwyżej trochę informacji o tym, jak w kapitalizmie najszybciej dojść do pieniędzy”. Za: *Adaptacje III. Implementacje, konwergencje, dziedziczenie*. Red. W. Hajduk-Gawron, K. Pospiszil. Biblioteka Postscriptum Polonistycznego. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2018, s. 159–162.

Kompleks klasztorny ma ciekawą historię architektoniczną; nie są znane daty powstania kolumn, okien, ostrołuku i innych elementów zabudowy. Poetycka „głina” uległa zniszczeniu, lecz nie całkowicie. Rozkaz emira został przynajmniej częściowo uszanowany. Święty Nil przewidział ten upadek, tak jak i całej Kalabrii. Jednak to miejsce u stóp Monte Alto, z widokiem na dolinę rzeki Crati i wysokie Apeniny z gotycką sylwetką Pollino w tle, miało szczególny urok i je ocaliło.

Trzydzieści lat później, około 980 roku inny bazylianin, św. Witalis, odbudował greckie opactwo, które w XII wieku osiągnęło szczyt swojej świetności.

Z upływem czasu nadszedł zmierzch greckich świętych, tak jak zmieniały się style w architekturze, malarstwie czy muzyce. Obrządek grecki zaczął być latynizowany, a bizantyjskie klasztory przekształcane w kościoły. Opactwo św. Adriana również nie uniknęło tego procesu, tracąc wiele z pierwotnego charakteru. Od XV wieku każda kolejna epoka odbudowywała świątynię według swoich własnych upodobań, stopniowo niszcząc oryginalne elementy. Piękne zabytki są jak utalentowane aktorki – zmieniają swoje oblicze zgodnie z modą i gustami czasów. Nowi „reżyserzy” dodają im długi nos, wypychają biust, narzucają perukę wysoką jak kopuła, zakrywają piękne nogi, zmieniają rolę. Ginie w tym pierwotne piękno, ale ślad dawnej świetności wciąż pozostaje.

Dziś opactwo św. Adriana stanowi bez wątpienia jedną z pereł Kalabrii. Nie ma mowy o prymitywnych formach; są to już rozwinięte, pewne siebie i dynamiczne linie, które wchłonęły wpływy romańskie i normańskie. Świątynia nadal zachowuje dawny charakter. Obecnie nie prowadzi się tu żadnych prac, choć w przeszłości klasztor przeszedł liczne rekonstrukcje. Nie wielką trójnawową bazylikę zbudowano w stylu normańsko-romańskim; wejście do niej znajduje się od strony dziedzińca. Prace renowacyjne nie zostały jeszcze ukończone: bizantyjskie freski wciąż oczekują na powrót do dawnej świetności.

Próżno szukać dziś w świątyni elementów, które by szpeciły jej wygląd. Dwie kolumny i kilka filarów dzielą bazylikę na trzy nawy: środkową (wyższą), oraz dwie boczne, niższe. Kapitele dwóch kolumn cechuje wyjątkowa uroda: pierwszy z nich jest bizantyjski, a krytycy twierdzą, że to jeden z rzadkich przykładów sztuki wschodniej na tych ziemiach; drugi jest jeszcze starszy. Według szacunków podaje się, że bogato rzeźbiona głowica koryncka pamięta czasy pogańskie; prawdopodobnie pochodzi (jedni mówią „z pewnością”, inni „może”) z miasta Sybaris. Trzony podtrzymujące kapitele pamiętają czasy starożytne.

Kolumny z afrykańskiego marmuru pochodzą z Turioj²⁷. Trzecia kolumna nie ma zwieńczenia; z pewnością zostało uszkodzone podczas jednej z licznych katastrof. Obecnie pełni funkcję kropielnicy, stojąc na godnej siebie posadzce, która sama w sobie jest ciekawa; z pewnością to przykład mozaiki we wzory zwierzęce, przypominającej dywan, w której układaniu Bizantyńczycy byli mistrzami.

Podobne posadzki widziałam w Otranto i w Santa Maria del Patire. Podłoga oglądana przez nas w opactwie została utrzymana w żywych kolorach, ułożona w technice *opus sectile*, robi wrażenie przede wszystkim poprzez wyrazistość i żywotność zwierząt, zwłaszcza pantery, przedstawionej w medalionach.

Chciałabym napisać jeszcze kilka zdań o albańskich strojach. Dzielią się one na te noszone na co dzień oraz te przeznaczone na wielkie okazje. Zachowały one styl sprzed tureckiego podboju i nie uległy wpływom zewnętrznym – są unikalne i indywidualne. Po podboju Albanii przez Turków tamtejszy ubiór uległ dużym zmianom, jednak ten, który przetrwał i został przewieziony przez Adriatyk, pieczołowicie strzeżony przez pokolenia, pozostaje oryginalny. Dzięki temu możemy wyobrazić sobie, jak wyglądała Albania przed rokiem 1470. Bałkany słyną z najwspanialszych strojów ludowych w Europie – nawet dziś, a przynajmniej do czasów drugiej wojny światowej, stanowiły one niewyczerpane źródło egzotyki.

Stroje z południowej Serbii, Bułgarii, Albanii i Czarnogóry można uznać za „albumy” mody ludowej w Europie. To zadziwiające! Na Bałkanach chłopi

27 Jednym z największych znawców Turioj jest obecnie archeolog, który prowadził wykopaliska na tym terenie – Emanuele Greco. W starożytnym greckim mieście potwierdza on pewną rozbieżność między Sibari i Turioj na podstawie wyników wykopalisk archeologicznych. Obszar Turioj nie pokrywa się całkowicie z przestrzenią miejską Sibari. Organizacja miejska Turioj, co dokumentują źródła starożytne, a także w świetle tego, co wynikało z wykopalisk w kolonii *Magna Grecia*, każe przypuszczać, że zostało ono zaprojektowane przez samego Hipodamusa. Kolejną cechą, która czyni tę kolonię wyjątkową i osobiłą, dotyczy jego tak zwanego „panhellenizmu”: w historii założenia miasta pojawia się zaangażowanie grup etnicznych z różnych części Grecji. Wydawałoby się, że Turioj powstał wprawdzie z inicjatywy ateńskiej, ale przy pomocy delegacji z różnych polis. „Mieszane” pochodzenie tego ośrodka miejskiego – wśród ojców założycieli znajdują się m.in. Achajowie, Tesalowie i Trezenii, położyło podwaliny pod stan „niejednorodności etnicznej”, który według Arystotelesa będzie przyczyną niepowodzenia życia w społecznej harmonii nie tylko w Sibari, ale także w samym Turioj. Sibari ponadto stanowi nie tylko chronologiczny, ale także historyczny i kulturowy poprzednik Turioj. Inspirację do powstania kolonii ateńskiej stanowiła prośba Sybarytów, którzy byli kilkakrotnie wypędzani ze swej ojczyzny przez mieszkańców pobliskiego Krotonu. Por. S.A. Brioschi: *Turi: una polis magnogreca tra tradizioni storiografiche e modelli politico-urbanistici*. <https://iris.unipv.it/retrieve/e1f104fb9f3d8c6ee0531005fe0aa0dd/Turi%20una%20polis%20magnogreca%20tra%20tradizioni%20storiografiche%20e%20modelli%20politicourbanistici.pdf> [dostęp: 21.11.2024].

ubierali się jak szlachta, a kobiety przypominały księżniczki. Podobny styl wielkiej gali prezentują albańskie stroje w Kalabrii. Są one liczne i zróżnicowane, ale najbardziej charakterystyczne pochodzą z Lungro, Castrovillari, Spezzano i San Demetrio.

Stroje mają w sobie coś naprawdę „szlachetnego” (choć to słowo wyszło już z użycia). Pełne złota, ciężkich ręcznych haftów i najwyższej jakości brokatu, są reprezentacyjne i stanowią zwierciadło epoki, w której nie było równości w ubiorze. Moda pozostawała wtedy indywidualna, oryginalna i niemożliwa do podrobienia. Nie jest to styl lekki, kokieteryjny, wesoły, niemal karnawałowy, jak w Tiriolo, balansujący między teatralnym przebraniem, a tanecznym kostiumem. Albańska moda jest uroczysta, pełna dumy, a nawet więcej – pełna godności. Spośród wszystkich albańskich strojów, jakie widziałam, ten z San Demetrio Corone jest najbardziej wytworny. Ubiór z Castrovillari, na przykład, ma już w sobie coś bardziej ludowego.

Oglądane przez nas suknie kosztują dziś pewnie około pół miliona lirów za sztukę. Niewiele kreacji z metką Patou czy Worth osiąga taką cenę.

Dni spędzone w San Demetrio Corone i okolicznych albańskich miasteczkach, niezwykła historia ludzi o dwóch ojczyznach, ich gościnność, głęboka inteligencja oraz wierność tradycji widoczna w sposobie bycia, języku, zwyczajach, strojach i obrządku religijnym, w tym wszystkim odnalazłam Bałkany!

W CIENIU WIEKOWEGO WIĄZU

Dla profesorów Collegio Italo-Albanese di Sant'Adriano

Nie wiem dlaczego, ale za każdym razem, gdy wracam w mury starego kolegium, ogarnia mnie wzruszające ciepło; podobnie czuję się na koncertach czy oglądając wystawę wybitnego malarza. Zawsze będę z przyjemnością wspominać te kilka dni spędzonych w gościnnych murach Kolegium Italo-Albańskiego w San Demetrio Corone²⁸, kolacje w towarzystwie fascynujących profesorów, rozmowy, widok z okna na migoczące między chmurami gwiazdy i odległe Apeniny, uczniów grających w piłkę nożną na boisku, oraz szkolny pejzaż na tle kwitnących drzew i beztroskiej młodości. W tym otoczeniu karty dorosłej egzystencji zapisane ciężką ręką wydają się wyrwane z księgi życia.

28 Collegio Italo-Albanese di Sant'Adriano to włosko-albańskie kolegium znajdujące się we Włoszech, w San Demetrio Corone. Jest to jedna z instytucji związanych z albańską diasporą we Włoszech, której początki sięgają XV wieku, kiedy Albańczycy uciekali przed osmańską inwazją. Zob. <https://fondoambiente.it/luoghi/collegio-italo-albanese-di-sant-adriano> [przyp. tłum.].

Czym tak naprawdę jest wspomniane kolegium? Czy to uczelnia jak każda inna? Młodym szkolne mury wydają się więzieniem, oddzielającym od prawdziwego świata, który z biegiem czasu nabiera zupełnie innego wyglądu i blasku. Prawie wszyscy żegnamy budynek szkoły bez żalu, z ulgą: „Nareszcie!” Nie robimy żadnych podsumowań. Nadszedł nasz czas, przed nami całe życie! Dzień, który trwa 48 godzin! Nasz cień na drodze życia jest jeszcze tak długi! Z czasem, gdy zbliżamy się do wieku profesorów, którzy torturowali nas prawem Archimidesa, jabłkiem Wilhelma Tella, kamieniami paleontologicznymi, logarytmami i oktawami Tassa, cień zaczyna się powoli skracać..., a dzień oferuje jedynie dwadzieścia cztery godziny. Wtedy myślenie o szkole nabiera nowego wymiaru.

Wspominamy ze wzruszeniem „wrogie” kolegium! Jak bardzo się zmieniło! Stało się podpowiadaczem, który szepcze imię filozofa, datę historyczną, nazwę egzotycznego kwiatu, zasadę fizyczną czy starożytną legendę. „Wróg” stał się wewnętrzną encyklopedią, zamkniętą w szafie naszego mózgu – może bardzo skromną, ale zawsze użyteczną. Nagromadziło się tam sporo wiedzy. Jeśli życie nie pokryło jeszcze popiołem gwiazdozbiorów zodiakalnych, twierdzeń Euklidesa czy pierwszych wersów *Iliady*, których nauczyliśmy się na pamięć, jeśli nadal pamiętasz coś o barometrze Torricellego, erotycznym Anakreonie, stosie Jana Husa, skrzypcach Stradivariusa, odkryciu Wenus z Milo czy sterowcu Zepelina, jeśli wciąż pamiętasz przygody Cyda, demona z Darkestville, anegdoty o Newtonie, latarnię Diogenesa, baterię Volty lub *Etykę* Spinozy, to z pewnością była to zasługa szkoły – grupy nauczycieli, którzy walczyli z tobą na wszelkie możliwe sposoby.

Mieli do dyspozycji tysiące tortur: kazali ci pić sokratyczną cykutę, kłuli cię zastrzykami Kocha, podkładali pod ciebie dynamit Nobla, a gdy chciałeś spać, puszczały gramofon Edisona. Straszili cię głową Meduzy, dusili węzami Laokoo-na, grzebali w katakumbach.

Byłeś żołnierzem, musiałeś walczyć we wszystkich wojnach świata: przeciw Dariuszom, Kambyzesom, Cyrusom, faraonom; najpierw broniłeś Europy przed Azją, potem rasy łaćńskiej przed semicką, przed Wandalami, Gotami, Hunami, Saracenami i Turkami. Walczyłeś nawet we śnie. Ubierano cię w najrozmaitsze zbroje, zależnie od epoki. Byłeś pod Termopilami i pod Salaminą, pod Kannami i nad Rubikonem, pod Lepanto i w Wiedniu, pod Piramidami i w Moskwie.

Nauczyciele, których nie mogłeś znieść, których nienawidziłeś, bo każdy z nich miał niewybaczalny zestaw wad: jeden śmiesznie wiązał krawat, inny nadmiernie gestykulował, a trzeci cierpiał na nerwowy tik. Wszyscy oni wygrali wojnę... przeciwko tobie. Zamknęli w twojej szafie encyklopedyczną wiedzę,

która, choć przez lata przyblakła, czasami pozwala ci wyciągnąć potrzebną tęczkę. Dziwisz się, bo słuchałeś jednym uchem, a drugim wypuszczałeś, marzyłeś tylko o wakacjach, pierwszych listach miłosnych, pocałunkach i rozgrywkach sportowych, a mimo wszystko informacje pozostały w głowie. Może zakurzone, może zniekształcone... ale są!

To interesujące, jak w każdej szkole walczą ze sobą dwa światy: ignorancji i wiedzy, lenistwa i dyscypliny. Wzruszają mnie stare szkolne mury, przez które na przestrzeni lat przesuwają się cienie uczniów walczących z nauczycielami, pokolenie za pokoleniem.

Nawet dzisiaj, jadąc z Cosenzy do San Demetrio Corone drogą pełną serpentyń wspinających się ku górze, między małymi wioseczkami, poetycko przycupniętymi na zboczach, pośród strumieni i kwitnących akacji, na widok kościoła św. Adriana i starych murów kolegium ogarnia mnie wzruszenie. Tuż obok świątyni znajduje się boisko, a kiedy przyjeżdżamy, uczniowie z włoską werwą kopią piłkę, z pewnością wkładając w to więcej energii niż w zakuwanie ulokowanych na globusie państw. W istocie to właśnie gumowa piłka mieści w sobie całą pasję i temperament młodości.

Kolegium św. Adriana jest interesujące pod wieloma względami.

To jedno z najstarszych kolegiów we Włoszech i najstarsze w Kalabrii. W 1732 roku papież Klemens XII powołał je do istnienia specjalną bullą jako szkołę nazwaną na jego cześć „Corsini” w celu nauczania literatury i teologii „pueri et adolescentes ex Epiro inque Regni terris citra Pharrum” („Chłopców i młodzieńców z Epiru oraz z ziem Królestwa po tej stronie Cieśniny Mesyńskiej”) i hojnie wyposażył ją z własnych funduszy. Tak rozpoczęła się chwalebna historia tego miejsca, które miało swoją siedzibę w San Benedetto Ullano.

Szkoła cieszyła się zainteresowaniem władców. W 1794 roku Ferdynand IV przeniósł ją z San Benedetto do San Demetrio Corone, przekazując instytucji majątek i siedzibę dawnego opactwa św. Adriana.

Z pewnością nawet Ferdynand nie był świadomy, jak urokliwe było to miejsce. Położone wysoko, u stóp doliny rzeki Crati, wśród bujnej zieleni nieopodal morza, na którego sierpowaty łuk – z jednej strony – otwierało się zbrocze góry. Z drugiej strony zamykał je odległy horyzont z widocznym w tle Pollino, którego poszarpana apenińska sylwetka wyraźnie odróżniała się od łagodniejszych linii płaskowyżu Sili.

Od momentu przenosin do San Demetrio rozpoczęła się laicyzacja szkoły, która zakończyła się pod rządami Joachima Murata zaangażowanego w świecki rozwój ośrodka.

Wraz z nastaniem Burbonów kolegium przeżyło jeden z najchwalebniejszych momentów swojej wielowiekowej historii. Dwukrotnie groziło mu zamknięcie z powodu zbyt liberalnego kursu, jaki obrało. Obserwowano je podejrzliwie i poddano nadzorowi biskupa Rossano. Z pewnością zostałyby zlikwidowane, gdyby nie nadejście garybaldczyków. Trudno nie odczuwać emocji, czytając pierwsze zdanie dekretu z 1860 roku, dotyczącego szkoły, wydanego przez dyktatora południowych Włoch Giuseppe Garibaldiego: „W uznaniu zasług oddanych sprawie narodowej przez dzielnych Albańczyków...”.

Później, ze względu na swój specyficzny charakter, kolegium mocno odczuło zawirowania włoskiej polityki. Rozkwitło w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, upadło w 1919 roku, a przed drugą wojną światową przeżyło odrodzenie. Dziś, w obliczu aktualnych wydarzeń, znów weszło w czas kryzysu.

Rola latarni kultury oraz intelektualnego pomostu między dwoma narodami, które łączy wspólna historia, predysponują je do ponownego odrodzenia. Do tego dochodzi przepiękna siedziba, społeczność, która w pełni przyjęła reguły kraju, w którym żyje, ale jednocześnie pozostaje głęboko związana z ojczyzną przodków – oraz miłość i pasja, z jakimi jest zarządzane. Wystarczy odrobina dobrej woli tych, którzy mają możliwość działania, aby szkoła, most łączący albańską społeczność żyjącą we Włoszech i tę zza Adriatyku, została zachowana dla przyszłych pokoleń.

Przed dawnym budynkiem rozpościera się wyjątkowe drzewo, które zapewnia upragnione schronienie przed słońcem. To wiąz św. Nila, posadzony – jak głosi tradycja – przez samego świętego, a jego wiek liczy z pewnością wiele stuleci. Imponująca sieć korzeni rozchodzących się wokół przypomina roślinną rzekę, symbolizującą nieprzerwany przepływ pokoleń, które po zdobyciu wiedzy i ukształtowaniu charakteru rozproszyły się po całym świecie. Korona drzewa, choć niemal całkowicie przycięta kilka dekad temu, znów zaczyna rzucać swój cień – jak kolegium, które nieustannie odradza się po każdej burzy i każdym kryzysie.

Wieczorem, pod rozgwieżdżonym niebem, siadam w cieniu majestatycznego wiazu, myśląc o tysiącach uczniów, którzy na przestrzeni wieków opuścili to miejsce. Są niczym młode listki pączkujące na wiosnę, pełne młodzieńczej siły i energii – rozkwitają i rozwijają się, by jesienią żółknąć, opaść i odejść w niepamięć. Na szczęście co roku pojawiają się nowe, młode liście, które zastępują puście miejsca po tych, które zwiędły. Nie ma powodów do rozpacz: wiąz kultury w tym zakątku Kalabrii wiecznie się będzie zielenić.

LUDZIE DWÓCH OJCZYZN

Podczas naszej podróży przez miasta albańskojęzycznej Kalabrii, w kawiarniach i prywatnych domach na honorowym miejscu wita nas orli nos i przenikliwe spojrzenie Skanderbega.

Wszyscy, bez wyjątku, go znają – „rycerza bez skazy i strachu”, ostatniego obrońcę chrześcijaństwa na Bałkanach. Mówią o nim z miłością i szacunkiem, jakby dopiero wczoraj opuścił ten świat, jakby każdy był gotów na jego rozkaz odnowić przysięgę złożoną w Alessio i wyruszyć do walki na chwałę narodu albańskiego.

Albańczycy to tajemniczy europejski naród o mitologicznych korzeniach, jedyny, który przetrwał od czasów plemion iliryskich. Co ciekawe, najstarsze tradycje zachowali nie mieszkańcy Bałkanów, lecz ci bytujący po drugiej stronie Adriatyku na kalabryjskiej ziemi. Naród albański we Włoszech zitalianizował się, przyswoił sobie nową kulturę i tożsamość etniczną, jednocześnie zachowując zwyczaje dawnej ojczyzny. To jak dwie dusze w tym samym ciele, dwie ojczyzny w jednym sercu.

Dusza Kalabrii odkrywa przed nami kolejną tajemnicę. Jerzy Kastriota, Skanderbeg – to klucz do jej zrozumienia. Jego historia jest dobrze znana. Książę Kruji, wychowany na dworze sułtana jako zakładnik, 2 marca 1444 roku w Alessio zdołał zjednoczyć Albańczyków pod własnym sztandarem i zmobilizować do walki. Zwycięstwo pod Torviolo cztery miesiące później zapoczątkowało wyzwolenie ojczyzny. Stoczył dwadzieścia dwie bitwy w ciągu dwudziestu trzech lat, niemal wszystkie zwycięskie. Nie zrezygnował z walki nawet po upadku Konstantynopola; walczył, dopóki Mahomet II, z armią liczącą 200 tysięcy żołnierzy, nie najechał Albanii. Zginął śmiercią bohatera 17 stycznia 1468 roku w Alessio, a upadek zamku w Kruji przypieczętował koniec Albanii.

Wcześniej, bo w 1272 roku, na króla Albanii został koronowany Karol Andegaweński; prawo to przysługiwało mu dzięki Manfredowi, który poprzez zawarte małżeństwo z właścicielką niemal całej środkowej i południowej Albanii, zyskał wspomniany tytuł. Władcy aragońscy sprzyjali Skanderbegowi i wspierali go na wszelkie możliwe sposoby. Związane to było z pewnym wydarzeniem: Jan Andegaweński oblegał w Barlecie wojska syna Alfonsa Aragońskiego – Ferrante. Wykorzystując rozejm w wojnie z Turkami, Jerzy Kastriota przeprowadził przez Adriatyk pięć tysięcy wojowników, uwolnił króla Ferrante z oblężenia i pokonał Andegawńczyka w bitwie pod Orsarą i Troją, umacniając hiszpańską władzę nad królestwem. W zamian otrzymał nadania w postaci lenna w Trani, Siponto, Monte Sant'Angelo i San Giovanni Rotondo, a także przyjaźń i wdzięczność króla Aragonii.



dwa górskie zbiorniki wodne – sztuczne jeziora Arvo i Ampollino

-
-
-
-
-
-



Węższe drogi kierują nas w stronę... szkółki leśnej... w sosnowym gaju

•
•
•
•
•
•
•

W trudnych czasach syn Skanderbega – Jan, przeprawił się przez Adriatyk, szukając schronienia. Król Ferrante przyjął go z wielkim szacunkiem, co zapoczątkowało powstanie albańskich kolonii we Włoszech. W 1448 roku bałkańscy żołnierze pod dowództwem Demetriusza Reresa przybyli do Kalabrii, aby wspierać Alfonsa Aragońskiego w stłumieniu buntu. Wielu z nich osiadło we Włoszech, w kolejnych latach zaczęli zamieszkiwać tereny wokół Sybaris, w dolinie rzeki Crati i na wzgórzach Presila, zakładając pierwsze osady takie jak San Demetrio, Vaccarizzo, San Giorgio i Spezzano.

W latach 1481–1492 przybyła nowa grupa ze Szkodry; po wyzwoleniu Koroni spod tureckiego oblężenia przez armię Don Pedro de Toledo imigranci pod dowództwem Marco Militano zasilili albańską społeczność na terenie Kalabrii. Pod panowaniem Filipa IV do Włoch napłynęła kolejna fala uchodźców z Mainerii, a dwa wieki później, za panowania Karola III, przybyli mieszkańcy Pichierni w regionie Gór Ceraunijskich.

Słynna kawaleria tzw. stradiotto walcząca w służbie Hiszpanii miała albańskie pochodzenie. Regiment „Real Macedone”, który od czasów Ferdynanda IV dostarczał żołnierzy Królestwu Neapolu, również pochodził z tych terenów. Byli to Koronejczycy, Epirotowie i Słowianie, którzy osiedlili się w różnych częściach dawnego królestwa, a najwięcej z nich zamieszkało w Kalabrii, gdzie dołączyli do istniejących już społeczności albańskich.

Nowi osadnicy musieli zadowolić się terenami państwowymi, kościelnymi i tymi leżącymi odłogiem. Dzięki ciężkiej pracy udało im się jednak przekształcić te okolice w żyzne obszary. Sądząc po bogato zdobionych strojach, wytwornej poezji i długiej historii, trudno uwierzyć, że byli to zwykli chłopi, którzy wybrali wygnanie. Uniknęli w ten sposób wyrzeczenia się wiary i niewoli. Chłop zazwyczaj przywiązuje się do ziemi, nie do ojczyzny.

Migracja nie była bardzo liczna. Według spisu z 1542 roku, w Kalabrii powstało 45 osad albańskich, 5775 mieszkańców mówiło w języku albańskim i wyznawało religię przodków. Ostatecznie liczba uchodźców nie przekroczyła 6000. Natomiast spis z 1842 roku wykazał 40 gmin i 32 269 mieszkańców mówiących we wskazanym języku.

Język albański na płaskowyżu Sila jest czystszy niż w Górach Dynarskich czy Malakastrze. Złote, hieratyczne stroje mieszkańców Kalabrii dziwnie kontrastują z ubogimi ubiorami współczesnych Albańczyków. Pieśni, które rozbrzmiewają w ciepłe letnie noce, wciąż opowiadają o bohaterskich czynach Kastrioty. Zwyczaje, obrządk i tradycje pozostają niezmiennie od stuleci.

Wieczorem, słuchając pełnych tęsknoty pieśni o ziemiach nigdy niepoznanych, o ojczyźnie zawsze obecnej, choć nigdy niewidzianej, śpiewanych przez

ludzi, którzy są jednocześnie Włochami i Albańczykami zakorzenionymi we włoskiej kulturze, odczuwamy dziwne wzruszenie. Trudno to opisać: w lustrze widzę podwójne odbicie tej samej osoby, głównie piękne i romantyczne. Trudno stwierdzić, co jest bardziej godne podziwu: przywiązanie i charakter ludzi, którzy przez tyle pokoleń potrafili przekazywać sobie wierność wobec utraconej ojczyzny, czy też przychylność prawna kraju, który ich ugościł.

Włochy, mimo zawirowań politycznych, potrafiły uszanować niezależność tego narodu i jednocześnie uczynić z niego lojalnych obywateli, pozwalając im wznieść w sercach miłość do dwóch ojczyzn.

Gdy w kawiarni ucinam sobie sympatyczną pogawędkę z grupą albańskich przyjaciół, a Jerzy Kastriota patrzy na nas z portretu, w mojej głowie pojawia się inny obraz. W 1620 roku, po słynnej bitwie na Białej Górze²⁹, Czechy straciły niepodległość i szlachecki stan. Trzydzieści tysięcy osób, należących do ruchu braci czeskich, wyemigrowało do Polski. Podano im tam pomocną dłoń, doświadczyli polskiej tolerancji i została im ofiarowana ziemia uprawna na Wołyniu. Przez wieki zachowali swój język, obyczaje i religię. Sprowadzili do Polski uprawę chmielu, „czeską winnicę” i techniki produkcji piwa. Pomnażali tu swoje majątki i żyli w dostatku.

W zimie 1946 roku, gdy pył drugiej wojny światowej jeszcze nie opadł, byłam w Pradze, gdzie wielkie nagłówki gazet przyciągnęły moją uwagę: „Czesi zza granicy wracają do domu”, „Dzieci wracają na łono matki” i tym podobne. Ciekawość zaprowadziła mnie na stację, gdzie pociągi pełne „obywateli zza granicy” przyjeżdżały jeden za drugim, dniem i nocą. Dźwięk znajomego języka skłonił mnie do rozmowy z nimi.

29 Tak konsekwencje bitwy opisuje w swym znakomitym reportażu, miłośnik i znawca kultury czeskiej, Mariusz Szczygieł: „W 1620 roku w bitwie pod Białą Górą czeska protestancka szlachta została pokonana przez Habsburgów i był to początek długotrwałego upadku Czech. Cesarz Ferdynand II, uczeń szkół jezuickich, był przekonany – w przeciwieństwie do cesarza i zarazem króla czeskiego Rudolfa II – że wszelka ugoda z protestantami jest obrazą dla Pana Boga. Postanowił, że pozbędzie się niebezpiecznego dla Habsburgów ewangelickiego królestwa w samym sercu Europy. W 1621 roku na praskim rynku ścięto dwudziestu siedmiu czeskich szlachciców, którzy organizowali powstanie przeciw cesarzowi. Przygotowano widowisko śmierci ze sceną na podwyższeniu, pod którą leżały puste trumny, czekające na swoją zawartość. Kat odcinał głowy panów mieczem i zaraz nasadzał na kije, które wystawiano z wieży na moście Karola. Potem włożono je do košy i wisiały tam jeszcze kilka lat. Jednemu ze szlachciców [...] najpierw odcięto język i musiał jakiś czas czekać na swoją śmierć. Po odcięciu mu głowy ciało poćwiartowano, a kawałki nasadzono na pale, które ustawiane były w różnych częściach miasta. Nawet miejskiego urzędnika za to, że przywitał jednego z arystokratów przy wjeździe do Pragi, dla przykładu na godzinę przybito do szubienicy za język. Widowisko miało dać wrogom cesarstwa nauczkę na zawsze”. M. Szczygieł: *Zrób sobie raj*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s. 142–143.

Byli to ci sami Czesi, którzy „wracali do ojczyzny” z Wołynia, leżącego teraz poza linią Curzona na terytorium Zachodniej Ukrainy. Wracali na nieznaną ziemię, z której ich przodkowie wyemigrowali wiele pokoleń temu.

Zrozpaczeni płakali, mimo ciepłego przyjęcia – powiewających flag, orkiestry, powitalnego komitetu w narodowych strojach i girland kwiatów. Po 326 latach wychodźstwa każdy z nich mógł zabrać jedynie symboliczne dwadzieścia kilogramów bagażu.

W STOLICY BRUTTÓW

Kolejny chwalebny syn Kalabrii uwieczniony w rzeźbie Achille Orsiego wita nas przy wyjściu ze stacji w Cosenzy. Bernardino Telesio, bo o nim mowa, to godny przedstawiciel miasta i regionu, którego życiorys zasługuje na osobną monografię lub przynajmniej obszerny rozdział książki. Niestety, z przyczyn ode mnie niezależnych, nie mogę poświęcić mu teraz więcej uwagi.

Bacon nazywał go wybitnym filozofem eklektycznym, poszukiwaczem prawdy, jeden z tych, którzy wytyczali szlaki w naukach spekulatywnych. To właśnie Telesio jako pierwszy zdobył się na odwagę, by przeciwstawić się dominującemu arystotelizmowi, w czasach, gdy popularność była tak szeroka, że w Niemczech, zamiast Ewangelii, w kościołach w niedzielę czytano fragmenty dzieł Arystotelesa, wyniesionego do rangi bóstwa.

W dziełach, począwszy od *De rerum natura iuxta propria principia* wydanym w Rzymie w 1565 roku, aż po *De somno*, *De mari*, *De coloribus*, *De saporibus* i innych, Telesio, wyzwolony wreszcie z okowów arystotelizmu, zdaje się zachłannie zgłębiać wszystko i postrzega rzeczywistość własnymi oczami jak dziecko, które wreszcie wyszło z domu bez opiekuna. Początkowo miał jedynie zamiar sprzeciwić się arystotelizmowi, lecz z czasem stworzył własny system filozoficzny.

Cosenza to miasto zupełnie inne niż pozostałe. Leży w szerokiej dolinie, otoczone górami, pełne świeżego powietrza i przestrzeni. Nowoczesna część miasta położona jest na płaskim terenie i rozciąga się w kierunku otwartej doliny, gdzie szerokie aleje wiodą na rogatki. Zabytkowa starówka przeciwnie – wznosi się wzdłuż strumienia, zwęża w wąwozie i wspina na wzgórza, gdzie widok, nie wiedzieć czemu, przypomina mi la Pigna w San Remo.

Atmosfera miasta jest jedyna w swoim rodzaju. Ośrodek był stolicą wrogiego Wielkiej Grecji – Bruttium. Nie świeciły tu jej gwiazdy. Górskie plemiona zasiedlające te tereny jednoczyły się, by stawić opór greckim koloniom na wybrzeżu. Tak przynajmniej twierdzą Pliniusz i Strabon. Bizantyjski wpływ był tu

znikomy ze względu na zbyt silne oddziaływania longobardzkie z Benewentu. Dzięki temu miasto rozwinęło swój własny, niezależny charakter – handlowy i intelektualny, odmienny od reszty Kalabrii.

Przekraczamy rzekę Busento i dajemy nura w uliczki Starego Miasta. Jest wczesny ranek, wąskie przejścia tętnią życiem. Wkraczamy w labirynt zaułków, celowo starając się w nich zgubić. Schody, wąskie, tajemnicze przejścia – wszystko to przypomina mi San Remo, brakuje jedynie zapachu morza, by dopełnić obrazek. W najmniej spodziewanych miejscach napotykamy zabytki z różnych epok, a przede wszystkim ciekawe architektonicznie i niekiedy dziwaczne dawne portale. W końcu docieramy na wzgórze, skąd roztacza się widok na mury zamku.

Forteca ma wyjątkową historię – jej początki sięgają 970 roku. Zbudował ją saraceński dowódca Cedit-Sati, aby trzymać w szachu mieszkańców Cosenzy. Zamek został później zniszczony przez trzęsienie ziemi, ale Normanowie podjęli się jego odbudowy. Najwięcej pracy włożył w niego Fryderyk II – do dziś możemy podziwiać charakterystyczną ośmiokątną wieżę, przeniesioną z jego ukochanego Castel del Monte w Apulii. Ostateczne prace wykonali Andegawenowie, którzy, jak zwykle, przypisali sobie całość zasług, umieszczając na murach herb z lilią i kratą³⁰.

Jak przystało na każdy szanujący się zamek, stąd także roztacza się rozległa panorama. Miasto, dolina, odległe wioski i otaczające je wzgórza tworzą pejzaż, który nieustannie zachwyca, jakby Kalabria codziennie chciała nas olśniewać nowymi widokami. W porannym, rześkim powietrzu suchość kamienistych koryt rzek ostro kontrastuje z zielenią wzgórz, a ciężkie chmury, wiszące nad masywem Pollino i szczytami płaskowyżu, czynią krajobraz prawie nierealnym.

30 Castel del Monte znajduje się we włoskiej Apulii, w odległości 25 km do Barletty. Zamek został zbudowany w 1240 roku przez Fryderyka II Hohenstaufa. Uznany został za jedno z największych dzieł architektonicznych średniowiecza, a w 1996 roku wpisany na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. Castel del Monte to jeden z najbardziej charakterystycznych zamków włoskich. Niewątpliwie jest najciekawszą budowlą, jaką pozostawił po sobie Fryderyk II. Zamek został wzniesiony na planie ośmioboku z ośmioma wieżyczkami na każdym z rogów i z ośmiobocznym dziedzińcem wewnątrz. Architektura zamku w pełni oddaje średniowieczne zamięłowanie do symboliki liczb, harmonii i symetrii, choć – jak przyznają historycy – sam plan ośmioboku jest niespotykany nigdzie indziej. Możliwe, że Fryderyk II był zainspirowany architekturą Bliskiego Wschodu, z którą miał styczność podczas wypraw krzyżowych. Castel del Monte usytuowany jest na niskim wzgórzu na wysokości 540 m n.p.m. Znajduje się na odludnym, prawie idealnie płaskim terenie, dlatego też przy dobrej pogodzie widoczny jest już z dużej odległości. Został zbudowany w miejscu wcześniejszej warowni, jednak nie posiada on murów obronnych i fosi oraz jakiegokolwiek innej formy zabezpieczającej przed atakiem. Jedyną ochroną były grube na ponad dwa i pół metra ściany.

Schodzimy z powrotem do centrum, kierując się w stronę katedry. W przeciwieństwie do wielu innych miast Kalabrii, Cosenza zachowała liczne zabytki historii. Może trzęsienia ziemi były tu mniej niszczycielskie, a mieszkańcy mniej gwałtowni. Dzięki temu można śmiało nazwać ją monumentalną, przynajmniej w porównaniu z innymi ośrodkami. Pewne jest, że Cosenza cieszy się mianem miasta kultury głównie ze względu na Akademię założoną przez Giana Parrasiosa³¹ i rozwiniętą sztukę drukarską.

Wejđmy do katedry. Ostatnia renowacja przywróciła jej oryginalny charakter, usuwając chybione przeróbki, których dokonano na przestrzeni wieków. Katedra jest zbudowana w stylu romańsko-normańskim: ma czyste linie, ostrołukowe drzwi, trzy portale zwieńczone fryzem i dekorowane liśćmi akantu; nad nimi znajduje się duże okrągłe okno. Możemy odnaleźć w niej także elementy gotyckie, jak choćby absydy z przyporami i liczne pomniejsze detale, które przypominają gotycki styl katedry w Lucera z czasów Andegawenów.

Katedra, odbudowana po trzydziestu latach od zawalenia się poprzedniej budowli, została poświęcona 12 marca 1224 roku w obecności Fryderyka II. Jak we wszystkich świątyniach z tego okresu i tu widzimy jego wpływ: w skarbcu znajduje się cenna stauroteka, złoty relikwiarz w kształcie krzyża, ozdobiony emalią, kamieniami szlachetnymi i filigranami, będący arcydziełem sztuki bizantyjskiej z IX lub X wieku. Legenda głosi, że Fryderyk przywiózł ją z krucjaty i ofiarował katedrze.

Sklepienie opiera się na imponujących gotyckich łukach. Ostatnie prace konserwatorskie pozwoliły odkryć szlachetne piękno tej architektury i pozbyć się przeróbek oraz zbędnych elementów. Nic nie zakłóca harmonii i spokoju wysokich naw ani kontemplacji wyróżniających się barwą fresków, autorstwa Domenica Morelliego i jego ucznia Paolo Vietriego, pokrywających ściany absydy.

Malowidła, choć współczesne, doskonale współgrają z średniowieczną atmosferą katedry: nadają jej lekkości, charakterystycznej dla dzieł neapolitańskiego mistrza. Niemal młodzieńcza Madonna, unosząca się nad grobem pełnym lilii w błękitno-różowej szacie, stoi w otoczeniu dwunastu apostołów. Każdy z nich ma taką samą aureolę; wielu stoi boso, niektórzy noszą wschodnie sandały,

31 Złatynizował swoje nazwisko z Giovan Paolo Parisio na Aulo Giano Parrasio. Jak wielu humanistów wiódł wędrowne życie. Po wyjeździe na Korfu wrócił do ojczyzny, gdzie utworzył szkołę. Przez pewien czas przebywał w Rzymie, a następnie w 1499 roku przeniósł się do Mediolanu, gdzie poślubił córkę greckiego humanisty Demetriusza Kalkondili. W Mediolanie pozostał do 1506 roku; po pobycie w Vicenzy, Padwie i Wenecji, w 1511 powrócił do Cosenzy, gdzie założył Akademię Cosentina. Udał się do Rzymu w 1513 roku na zaproszenie papieża. W Rzymie pozostał aż do śmierci Leona X (1521), po czym powrócił definitywnie do Cosenzy.

a wszyscy przywdziewają szaty w kontrastujących kolorach. Szczególnie wyróżnia się spokojne, filozoficzne oblicze Pawła, uwagę zwracają tajemnicze oczy Jana oraz ożywione rysy Filipa, a także kompozycja rozłożonych dłoni.

Katedra przez wieki zmieniała się w muzeum, choć wiele cennych artefaktów rozgrabiono lub wywieziono. Postanowienia Soboru Trydenckiego doprowadziły do usunięcia grobowca Henryka Hohenstaufa, zbuntowanego syna Fryderyka II, który w tych stronach popełnił samobójstwo³². Dawne zaniedbania spowodowały zaginięcie marmurowej urny Ludwika III Andegaweńskiego, który zmarł tutaj na malarię. Na szczęście – dla ekspozycji muzealnej – odnaleziono i zrekonstruowano również pomnik żony Filipa III Śmiałego, która przebywała w Cosenzy pod nieobecność męża, wyruszającego na krucjatę do Tunisu z ojcem, Ludwikiem IX. Gdy zmierzała na spotkanie z powracającym mężem, spadła z konia przy brodzie na rzece Savuto, poroniła i umarła. Teraz spoczywa obok męża w krypcie francuskiej bazyliki Saint-Denis. W Cosenzy pozostał jej pomnik: królowa z martwym spojrzeniem, uformowana z odlewu pośmiertnego, oraz królewski małżonek klęczący przed Dziewicą z Dzieciątkiem. To typowe dzieło średniowiecznej sztuki francuskiej, mimo wszelkich kontrowersji, wyraźnie ukazuje wpływy tej samej szkoły rzeźbiarskiej, która stworzyła liczne arcydzieła, które podziwiałam w Saint-Denis.

Planowaliśmy dwudniowy pobyt w Cosenzy – podobnie jak kiedyś w Crotonie – ale minęło wiele czasu, zanim zdecydowaliśmy się stąd wyjechać. Cosenza to miejsce, w którym zawsze warto się zatrzymać, łatwiej stąd dotrzeć do najodleglejszych zakątków rozległej prowincji. To centrum, z którego rozchodzi się gęsta sieć połączeń.

W Cosenzy spotykają się czasami odległe światy.

Pewnego dnia weszliśmy do urzędu publicznego. Dyrektor rozmawiał z pewną parą. Na nasz widok krzyknął: „Szwedzcy dziennikarze!”

Dyrektor zna nas dobrze i wie, jakiej jesteśmy narodowości, więc określenie „szwedzcy dziennikarze” musiało odnosić się do drugiej pary. Były to eleganckie, dystyngowane osoby o ciemniejszej karnacji, dość niskie o typowym południowym wyglądzie. Z radością, jaką zawsze odczuwam, gdy mogę porozmawiać z ludźmi z dalekich krajów, zaczynam:

32 Po przegranej rebelii przeciw ojcu życie odebrał sobie syn Fryderyka II Hohenstaufa. Cesarz rozgłaszał jednak, że to on sam kazał go zgładzić. Według jednej z wersji, pozbył się życia, wyskakując z okna. Według innej relacji skoczył z mostu do rzeki, gdy strażnicy na moment stracili czujność podczas transportu dostojnego więźnia. Opowieść miała różne wersje, aby ukryć prawdę o śmierci nieszczęsnego następcy tronu. Dla cesarza Fryderyka nawet opowieść, wedle której to on sam kazał zadusić syna w więzieniu, wydawała się mniej hańbiąca.

– Sprechen Sie deutsch?

Zaprzeczenie. Mój towarzysz kontynuuje:

– Do you speak english?

Znów kiwają głowami na znak zaprzeczenia.

– Parlez-vous français?

Odpowiadają:

– Niestety nie! Tylko hiszpański!

Szwed, który mówi tylko po hiszpańsku? Dziwne! Mężczyzna kontynuuje perfekcyjnym włoskim:

– ...i oczywiście włoski! Jestem z Ameryki Południowej, ale urodziłem się w Kalabrii. Moja żona też stamtąd pochodzi.

Spoglądamy na siebie. Więc Szwedzi to my? Tajemnica tej dziwnej prezentacji nigdy nie zostanie rozwiązana. Para okazuje się sympatyczna: on jest malarzem, przybywa z Andów, by spojrzeć na góry swojego dzieciństwa, i na miasto położone u stóp Pollino. Chce przedstawić żonę rodzinie, pokazać jej ojczyznę, poszukać inspiracji do obrazów, podziwiać na powrót pejzaże Kalabrii i przypomnieć sobie jej zwyczaje.

Nie pierwszy raz spotykamy się z takim przywiązaniem; za każdym razem wzrusza nas ono głęboko. Musi mieć coś w sobie Kalabria, że tęsknią i śnią o niej emigranci w najodleglejszych zakątkach globu.

STAROŻYTNA BALLADA

Woda nocą lśni w blasku księżyca. U zbiegu z Busento, Crati przekształca się z potoku w rzekę, choć o tej porze roku szerokie koryto nie jest całkowicie wypełnione wodą. Z mostu w Cosenzy spoglądam, jak dwa wodne organizmy splatają swoje losy, by wspólnie kontynuować podróż przez dolinę i historię.

Melioracje zmieniły wygląd równiny. Po tysiącletnich walki ze strasliwym wrogiem – malarią, osuszono bagna i obsiano pola. Mimo to ogromna dolina wciąż świadczy o potędze panującej tu niegdyś rzeki, która dziś, ujarzmiona, podporządkowała się woli człowieka.

Ile legend i historii opowiada szmer tych wód! Czy możemy wskazać miejsce, gdzie pod ziemią śpi wspaniała, legendarna Sybaris?³³

33 Prace archeologiczne podejmowane przez rząd włoski w latach 1879 i 1887 nie doprowadziły do ustalenia lokalizacji Sybaris. Odkryto jedynie rozległą nekropolię z czasów końca epoki brązu, około 15 kilometrów na zachód od zbiegu obu rzek oraz drugą, datowaną na około 400 r. p.n.e. złożoną z kurhanów.

Ile ofiar pochłonęła ta dolina na przestrzeni wieków, iluż ludzi, którzy odważyli się tu osiedlić. Od Aleksandra I, króla Epiru i wuja Aleksandra Wielkiego, który w 355 r. p.n.e. przegrał tu wojnę z Bruttami, nie zdoławszy dorównać czynom bratanka³⁴; po Ibrahima II, który w 902 roku przybył tutaj z rodzinnej Arabii, by zapłacić krwawą daninę, a także Henryka I Hohenstaufa, i Henryka VII, zbuntowanego syna Fryderyka II, który zginął w 1242 roku, słodką Izabelę Aragońską zmarłą w 1271 roku i Ludwika III Andegaweńskiego, który zmarł na malarie w 1434 roku, męża Małgorzaty Sabaudzkiej i adoptowanego syna Joanny II Neapolitańskiej.

Woda płynie powoli, niemal dostojnie, w blasku księżyca. W nocnej ciszy, gdy Cosenza pogrążona jest we śnie, gdzieniegdzie na powierzchni wody połyskują refleksy. Przypominają tajemnicze światelka, które spływają korytem rzeki....

W uszach zaczynają mi brzmieć wersy słynnej ballady *Platena Przy Busento*, które najlepiej zacytować w tłumaczeniu Carducciego:

Ciemne pieśni w nocy brzmią,

• • • • •

Alaryka Goci opłakują,

Wielkiego zmarłego ich ludu³⁵.

Oto jeszcze jedna ofiara tej ziemi, jeszcze jeden pilnie strzeżony skarb: Alaryk, „zdobywca miasta”.

Po splądrowaniu Rzymu, co było wielkim świętokradztwem (choć nie brakowało też scen tragicomicznych, jak słynna procesja do skarbca św. Piotra)

34 Neoptolemos I rządził wraz ze swoim bratem Aribbą. Kiedy Neoptolemos zmarł w 357 roku p.n.e., jego syn Aleksander był jeszcze dzieckiem, a Aribba został jedynym prawowitym królem. W 350 roku p.n.e. Aleksander został przekazany pod opiekę Filipa II Macedońskiego w celu zapewnienia mu ochrony. W roku 343 p.n.e., mając dwadzieścia kilka lat, Filip mianował go królem Epiru po zdetronizowaniu swojego wuja Aribby. Aleksander zawarł sojusz z Filipem, zgadzając się poślubić jego córkę Kleopatrę. Podczas ślubu, w roku 336 p.n.e., Aleksandra I Epiru z Kleopatrą, zginął Filip II, a tron Macedonii przypadł jego synowi – Aleksandrowi Wielkiemu, noszącemu imię Aleksander III. Aleksander I Epirota przybył do Italii w 334 roku p.n.e., aby pomóc miastu Taranto, położonemu w Wielkiej Grecji; wdał się wtedy w konflikt z Lucańczykami, Bruttami, Japygami i Samnitami, próbując stworzyć jednolite państwo. Choć udało mu się podbić miasta Brentesion, Siponto, Heraclę, Cosentę i Paestum, jego projektu nie udało się zrealizować. Został pokonany w bitwie i zdradziecko zabity w Pandozji w 330 roku p.n.e. Por.: L. Braccisi: *Alessandro al bivio: I Macedoni tra Europa, Asia e Cartagine*. Salerno Editrice, Napoli 2020.

35 Alberti odsyła zapewne do wydania: G. Carducci: *Libro VIII – La tomba del Busento*. August von Platen. In: Idem: *Poesie di Giosuè Carducci*. Zanichelli, Bologna 1906.

oraz po nieudanej próbie inwazji na Sycylię król Gotów, wraz ze swoim ludem, dotarł do Cosenzy. W tłumie honorowych jeńców znajdowali się św. Paulin, biskup Noli, oraz Galla Placydia, piękna siostra cesarza Honoriusza. Góry Kalabrii były świadkiem rozwijającego się romansu między Gotem, wciąż zmagającym się z wewnętrznymi konfliktami, a więzioną cesarską krewną³⁶. Jednak dolina Crati, wroga dla najeźdźców, stała się mścicielką Rzymu. Alaryk nie zdążył nacieszyć się łupami wywiezionymi z Wiecznego Miasta – zmarł niespodziewanie w 410 roku.

Wersety Pawła Diakona przekazują taką oto wersję zdarzeń. Zgodnie z gockim obyczajem, ciało Alaryka, wraz z rzymskim łupem, zostało pochowane w korycie rzeki, której tymczasowo zmieniono bieg. Gdy ceremonia dobiegła końca, wody powróciły na swoje miejsce. I tak oto kolejna tajemnica spoczęła w nurcie rzeki, nad którym rozciąga się żałobna zasłona natury. W tym miejscu, od wieków, skarby Rzymu strzegą szczątków swego zdobywcy³⁷.

Skarb o tak wielkiej wartości materialnej i historycznej był wielokrotnie poszukiwany; w 1937 roku użyto nawet radiestezji, by go odnaleźć. Jednak wody rzeki płynącej w dolinie dobrze strzegą powierzonych tajemnic. Zdobywca miasta wciąż spoczywa wśród nienaruszonych skarbów, ukołysany nieustannym szumem wody nad głową.

36 Wedle ustaleń Artura Kosmali: „Zdobycie Rzymu było dla współczesnych na pewno ogromnym szokiem [...]. Niemniej jednak z perspektywy czasu, na co zwraca uwagę brytyjski historyk Peter Brown, owe 3 dni i noce były najbardziej cywilizowaną grabieżą, jaką kiedykolwiek przeżyło którekolwiek miasto na świecie. Miasto zostało poddane, dlatego Goci nie szukali odwetu na obrońcach, umożliwiając im schronienie w wyznaczonych kościołach (z pragmatycznego punktu widzenia, aby nie przeszkadzano im w rabowaniu). Głównym celem agresorów były łupy. Z Łate-ranu zrabowali ważące dwa tysiące dwieście pięć funtów srebrne cyborium, dar cesarza Konstantyna”. Por. A. Kosmala: *Samozdobycie Rzymu w roku 410*. Por. https://www.histurion.pl/historia/starozytnosc/art/samozdobycie_rzymu_w_roku_410.html [dostęp: 14.04.2025]. Ciekawie wydarzenie opisuje także Philip Matyszak w przedostatnim rozdziale swej interesującej książki: *Wizygota Alaryk: barbarzyńca u bram*. Por. Idem: *Wrogowie Rzymu*. Przeł. U. Ruzik-Kulińska. Bellona, Warszawa 2007, s. 229–231. W swej powieści *Aecjusz. Ostatni Rzymianin* Teodor Parnicki przedstawił losy tytułowego młodzieńca, obserwującego haniebne uprowadzenie przez Gotów z Rzymu Galii Placydii – córki cesarza Teodozjusza Wielkiego.

37 Rzeczywiście, Alaryk, po splądrowaniu Rzymu, wyruszył na południe półwyspu z zamiarem udania się do Afryki. Jednak gwałtowna burza, która rozszalała się w Cieśninie Mesyńskiej, pokrzyżowała mu plany. Wizygoci stracili swą flotę i zmuszeni do odwrotu – ruszyli z powrotem na północ. Podczas wędrówki Alaryk niespodziewanie umiera (w roku 410). Wedle przekazów – zostaje pochowany w korycie rzeki Bucentius (niedaleko Cosenzy). W „rzecznym grobie” złożono także złupione kosztowności. Por. P. Matyszak: *Wrogowie Rzymu...*, s. 231 i N. Davies: *Zaginione królestwa*. Przeł. B. Pietrzyk, J. Rumińska-Pietrzyk, E. Tabakowska. Wydawnictwo Znak, Kraków 2010, s. 22–23.

Tajemnicze odmęty posiadają własną, nieuchwytną siłę, która mści się na wszystkich władcach, którzy ośmielili się najechać te ziemie. Szum rzeki skrywa i chroni niedokończone historie.

Nagle w oddali rozbrzmiewa gwizd lokomotywy. Ten współczesny dźwięk przerywa „gocką balladę” nuconą w ciszy nocnej na brzegu rzeki.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

EPILOG

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•



Od wieków kobiety z tego regionu zajmują się tkactwem



Albańska moda jest uroczysta, pełna dumy, a nawet więcej – pełna godności



Sądząc po bogato zdobionych strojach... trudno uwierzyć, że byli to zwykli chłopci

•
•
•
•
•
•
•



Dziś przygrywa kalabryjską tarantelę

•
•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

BABCINY KUFEREK

Wielu z nas posiada pudełko lub szkatułkę, w której przechowuje skarby, a jedynie w chwilach zaufania i wzruszenia z dumą pokazuje je przyjacielowi. Każda babcia ma kufer, który czasami otwiera przed wnukami, choć ci często nie rozumieją jego wartości. Wyjmuje wtedy wyblakłą fotografię, chusteczkę z inicjałami, które nie należały do dziadka, złamany wachlarz pamiętający burzliwy moment życia, list ze starymi znaczkami, suchy kwiat, dawny klejnot. Bibeloty wspomnień – to prawdziwy targ emocji, pełen na pozór bezużytecznych, lecz bezcennych drobiazgów.

Gdy dobiegły końca nasze wędrówki po terenach Wielkiej Grecji i tajemniczej krainie Bruttów, nestorka Kalabria – jedna z najstarszych we włoskiej rodzinie, z rodowodem sięgającym ponoć Noego, a także pierwsza, która nosiła imię „Italia” – pewnego dnia, wzruszona naszym wyjazdem, postanowiła otworzyć przed nami sekretny kufer.

– Spójrzcie sami, może znajdziecie coś, co was zaintryguje, może nawet coś całkiem użytecznego.

I odeszła z gracją i elegancją, szeleszcząc brokatami.

Jakie tam były skarby! Rzuciliśmy się na nie jak dzieci na pudełko czekoladek, wyciągając, zupełnie bez ładu i składu, małe cuda. Kalabria, która otrzymała bogaty posąg od matki, Wielkiej Grecji, i ojca, surowego Brutta, musiała być bardzo zamożna. Odkryliśmy prastare monety, niektóre aż z VI wieku p.n.e., wykonane przez mistrzów sztuki grawerskiej tamtych czasów, z przedstawieniami nimf, bogów, gryfów, lwów, byków, personifikacjami rzek. Nieprzebrane ilości monet, małe dzieła sztuki, rzadkie i cenne, wykonane z metali szlachetnych. Każda z nich starannie opisana z nazwą miasta, które ją biło, i epoką, w której była w obiegu.

Dalej odnaleźliśmy pierścienie, srebrne figurki, diademy, kolczyki oraz małe naczynia – flakony i amfory na balsamy i perfumy. Turkusowe, o barwie przypominającej szkło z Murano, pochodzące z nekropolii w Locri, pomniki minionych czasów, ślady świetności regionu. Przedmioty użytkowe, luksusowe, dekoracyjne. Złoto, srebro, kość słoniowa, żelazo, szkło, terakota, alabaster. Filizanki, brązowe lustra z tajemniczymi uchwytyami. Ogromny grecki spadek oryginalnego pochodzenia, odziedziczony po matce – Wielkiej Grecji. Odłożyliśmy wszystko na bok, jedno po drugim, z bijącym mocno sercem; pochłanialiśmy skarby

wzrokiem, a wyobraźnia pracowała. Artefakty tworzyły grecką mozaikę, następnie rzymską, a jeszcze później bizantyjską.

Czego tam nie było w tym kufrze! Odkryliśmy stare ryciny, dagerotypy, miniatury – kolekcję zatytułowaną „Przodkowie i moje dzieci”. Myśleliśmy, że znamy niemal wszystkich, a jednak pojawiły się dziesiątki nowych zachwycających portretów. Ujrzelśmy twarze pełne charyzmy, głębokich przemyśleń, uczuć i pasji. Filozofowie, prawnicy, literaci, kompozytorzy, rzeźbiarze, malarze, politycy i mężowie stanu – oto przejrane przez nas konterfekty. Każda twarz, każda data, każde dzieło miało swoją historię.

Przyjrzelśmy się Pasqualemu Galluppiemu z Tropei¹, Giovanniemu Vincenzo Gravinie z Roggiano², prekursorowi Rousseau i autorowi *Porządku społecznego*, Francescowi Acriemu z Taverny³, Francescowi Fiorentinie z Sambiasi⁴, Pomponiuszowi Letusowi, filozofowi i humaniście, założycielowi Akademii Rzymskiej⁵.

1 Pasquale Galluppi (ur. 2 kwietnia 1770, zm. 13 grudnia 1846) – urodzony w Tropei włoski filozof i nauczyciel akademicki. Pochodził z rodziny patrycjuszowskiej. Od 1831 roku (aż do śmierci) zajmował stanowisko profesora na Uniwersytecie w Neapolu. W swej doktrynie: eklektyczny – dyskutował z filozofią Kartezjusza, Immanuela Kanta oraz szkocką szkołą Thomasa Reida (Scottish School of Common Sense).

2 Giovanni Vincenzo Gravina (ur. 20 stycznia 1664, zm. 6 stycznia 1718) – włoski pisarz i prawnik. Urodził się w Roggiano Gravina, małym miasteczku niedaleko Cosenzy. Pobierał nauki w zakresie poezji, filozofii, prawa kanonicznego. Studiował w Neapolu. Pomysłodawca i współzałożyciel słynnej rzymskiej Akademii Arkadyjskiej (1690) – instytucji, której program literacko-estetyczny (dość wrogo traktujący antyklasyczną tradycję europejskiego baroku) zakładał strukturalną „renowację” literatury, w szczególności poezji, poprzez zwrot do jej źródeł – lokowanych przede wszystkim w greckim antyku. Wśród uczniów Graviny był wybitny poeta Pietro Metastasio, którego objął mentorską opieką i zapewnił doskonałe wykształcenie literackie. Neoklasycystyczny czar arkadyjskiej akademii przyciągnął uwagę także wielu polskich twórców i intelektualistów. Jej członkami byli: I. Chodźko, A.K. Czartoryski, S. Konarski, T.K. Węgierski. Por. L. Gambacorta: „*Arkadia*”. *Model włoskiej kultury arkadyjskiej a polska kultura literacka*. Przeł. J. Łukaszewicz. „Pamiętnik Literacki” 1991, z. 3, s. 3–14 oraz W. Roszkowska: *Polacy w rzymskiej „Arkadii” (1699–1766)*. „Pamiętnik Literacki” 1965, z. 3, s. 33–78.

3 Francesco Aciri (ur. 19 marca 1834, zm. 21 listopada 1913) – urodzony w Catanzaro, włoski filozof, historyk filozofii i tłumacz. Po ukończeniu studiów prawnych w Neapolu w 1857 roku i filozoficznych w Berlinie (pod kierunkiem F. A. Trendelenburga) został nauczycielem historii filozofii, najpierw na uniwersytecie w Palermo, a następnie (od 1871 roku) na uniwersytecie w Bolonii, gdzie przebywał do roku 1911. Do jego najważniejszych dokonań naukowych należy przekład *Dialogów* Platona i komentarz dodany do tej edycji (trzy tomy wydane w latach 1913–1915).

4 Por. przypis 7 w rozdziale *Kosz Catanzaro*.

5 Juliusz Pomponiusz Letus (1428–1498) – słynny i wpływowy włoski humanista, znany właściwie jako Giulio Pomponio Leto. Propagator literatury i kultury antycznej, inicjator Akademii Rzymskiej, o której Małgorzata Kowalewska pisze: „szkoła humanistyczna, jedna z licznych wspólnot uczonych, rodzaj towarzystwa naukowego, założona w XV wieku przez Piotra z Kalabrii [...], stanowiła jeden z wielu kręgów uczonych epoki humanizmu, nawiązujących do filozofii Platona,

Dotykaliśmy sztuki różnych epok, od bitewnych scen Andrei Cefaly’ego po arkadyjskie i delikatne obrazy Giuseppe Benassai czy Marca Calabrese, zwanego Cardisco, którego tak chwalił Vasari. Odkryliśmy również dzieła Domenica Angimeliego z Palmi i oryginalnego stylisty Rubensa Santoro⁶.

Z ciekawością przeglądaliśmy zwoje zapisane nutami – od Giorgia Miceliego po Nunzia Marituriego, od Alessandra Longo z Amantei po Leonarda Vinci ze Strongoli, reformatora melodramatu i prekursora Glucka, którego podziwiał Haendel⁷.

W kufrze znalazły się również projekty architektoniczne Fortunata Morano oraz długie listy dzieł zapisane na wytrzymałych pergaminach. Na każdej stronie odkrywaliśmy papieży, humanistów, literatów i klasyków, aż po współczesnych poetów.

Gdyby próbować opisać choćby mały fragment spuścizny, musiałabym napisać trzy tomy *Duszy Kalabrii*.

Wśród skarbów w kuferku znalazł się tomik, który szczególnie przyciągnął naszą uwagę: mowa o książce *Adamo caduto* autorstwa franciszkanina Serafina della Salandry, wydanej w Cosenzy w 1647 roku. To niezwykle rzadki egzemplarz w dzisiejszych czasach⁸. Wygląda na to, że tom wpadł w ręce Francesca

neoplatonizmu i pitagoreizmu. Była drugim, obok wspólnoty utworzonej wokół Gemistosa Pletona, kręgiem propagatorów platonizmu antychrześcijańskiego (nawiązującego do tradycji pogańskich). Propagowała tzw. studia humaniora oraz studia historyczne, ujmowane w duchu encyklopedyzmu. Akademię stanowili m.in. Piotr z Kalabrii, Bartolomeus Sacchi (Platina), Kallimach (Filip Buonaccorsi) oraz uczeń Ficina – Conrad Celtes”. Cyt. za: M. Kowalewska: *Akademia Rzymska Platońska*. W: *Powszechna encyklopedia filozofii*. <https://www.ptta.pl/pef/pdf/a/akademiarzyskapiat.pdf> [dostęp: 6.12.2024].

6 Szczegółowe portrety wymienionych artystów, wraz z charakterystyką ich najważniejszych dzieł i faz twórczej ewolucji, przynosi znakomita monografia Uga Campisani. Por. Idem: *Artisti calabresi. Ottocento e Novecento. Pittori – Scultori – Storia – Opere*. Luigi Pellegrini Editore, Cosenza 2005. Alberti błędnie podaje nazwisko jednego z artystów, urodzonego w Palmi – malarza figuratywnego i portrecisty: Domenica Augimeriego.

7 Alberti słusznie wyróżnia z kręgu przywołanych artystów Leonarda Vinci (1690–1730) – wybitnego twórcę muzyki operowej epoki późnego baroku, prominentnego kompozytora szkoły neapolitańskiej. Jak pisze Aneta Markuszewska, „jednego z najbardziej utalentowanych i cenionych przedstawicieli stylu *galant*. O randze artysty świadczy inna wzmianka wspomnianej autorki: „Pod jego wpływem pozostawali zarówno starsi mistrzowie, jak Antonio Vivaldi czy Georg F. Händel, ale też przedstawiciele kolejnej generacji kompozytorów – Johann A. Hasse i Pergolesi”. Por. A. Markuszewska: *Neapolitańscy muzycy komponują dla Sobieskiej – Nicola Porpora i Leonardo Vinci*. https://www.wilanow-palac.pl/neapolitanscy_muzycy_komponuja_dla_sobieskiej_nicola_porpora_i_leonardo_vinci.html [dostęp: 6.12.2024].

8 Alberti korzysta z edycji premierowej i stamtąd pochodzą wszystkie przytoczone przez nią cytaty. Por. S. della Salandra: *Adamo caduto*. Moio e Rodella, Cosenza 1647.

Zicariego, kalabryjskiego badacza, który w 1845 roku napisał traktat zatytułowany *O odkryciu włoskiego oryginału, z którego Milton czerpał inspirację do swojego „Raju utraconego”*⁹.

Jak to możliwe? Tego *Raju utraconego* Milтона?

Angielski poeta zaczął pracować nad dziełem w 1654 roku, a opublikował je w 1667 roku. Wiadomo, że inspirował się włoskimi autorami, takimi jak Sannazaro, Ariosto, Guarino, Boiardo, Tasso czy Marini, ale to było coś więcej. Tematyka, postacie, struktura, sekwencje scen, opisy – wszystko to wydaje się zaczerpnięte z dzieła skromnego kalabryjskiego zakonnika.

Przejrzyjmy kilka fragmentów oryginału i angielskiego odpowiednika:

„[...] Whom shall we find Sufficient?”¹⁰

“[...] this enterprise None shall partake with me”¹¹.

(MILTON)

„A chi basterà l'anima di voi? certo che quest'affare

A la mia man s'aspetta”.

(DELLA SALANDRA, s. 64)

„Seduce them to our party, that their God

May prove their foe [...]”¹².

(MILTON)

„Facciamo Acciò, che l'uom divenga

A Dio nemico...”

(DELLA SALANDRA, s. 52)

„and earth be changed to heaven, and heaven [to earth]”¹³

(MILTON)

9 Tytuł włoskiego oryginału: *Sulla scoperta dell'originale italiano da cui Milton trasse il suo poema del „Paradiso perduto”*. Alberti błędnie określa datę powstania woluminu. Znamy pierwotną edycję sygnowaną znakiem drukarni Nunzio Pasca (Neapol 1832) oraz późniejsze wydanie Borela i Bomparda (Neapol 1844).

10 J. Milton: *Paradise Lost*. Introduced by P. Pullman. Oxford University Press, Oxford 2005, s. 56.

11 Ibidem, s. 58.

12 Ibidem, s. 55.

13 Ibidem, s. 203.

„[...] inclino il cielo
Giù nella terra, e questa al cielo innalzo”.
(DELLA SALANDRA, s. 242)

To tylko garść przykładów.

Gdyby można było porównać oba poematy w całości!

Patrzmy na siebie oszołomieni. W życiu wszystko zależy od szczęścia. Mała książeczka nieznanego mnicha kurzyła się w kalabryjskim kufrze, a *Raj utracony* odbył wspaniałą podróż po świecie.

Przysięgam, że ani Zicari nie był zaciętym nacionalistą, ani ja nie aspiruję do rywalizowania z encyklopedystami, którzy próbowali udowodnić, że Rosjanin Popow wynalazł tramwaj elektryczny! To właśnie Anglik, Douglas, w swojej książce *Old Calabria*, wydanej w Londynie w 1915 roku, szczegółowo zbadał tę „inspirację” i po dokładnej analizie doszedł do wniosku, że „oczywiście, bez książki della Salandry nie istniałby *Raj utracony* przynajmniej nie w formie, jaką znamy”. Zdumiewał się również swobodą, z jaką Milton chwalił się:

„Things unattempted yet in prose or rhyme”¹⁴

co jest dosłownym tłumaczeniem wersetu Ariosta¹⁵:

„Cosa non detta in prosa mai, né in rima”
„Czegoście dotąd w prozie i w rymie nie mieli”¹⁶.

Oprócz tego, w kuferku odkryliśmy okazałą kolekcję jedwabi, ręcznych haf-tów, adamaszków i brokatów. Były tam fragmenty gobelinów, tkanin i słynnych szat liturgicznych z Longobucco, ozdobionych kwiatowymi i geometrycznymi wzorami, charakterystycznymi dla XVIII wieku, złotej ery tkactwa, kiedy w mieście działało aż tysiąc warsztatów.

Znaleźliśmy również adamaszki, którymi udekorowano Cosenzę podczas triumfalnego przejazdu Karola V. Nie zabrakło materiałów z Scilli, skrywających pilnie strzeżony sekret farbiarstwa. Kolory uzyskiwano z różnych surowców: drewna, ziemi, popiołu, kwiatów, kasztanów i minerałów, tworząc mieszanki zapewniające bogatą i zróżnicowaną paletę odcieni, które nie traciły intensywności.

14 Ibidem, s. 18.

15 Por. L. Ariosto: *L' Orlando furioso*. Vol. 1. Presso Giuseppe Molini, Firenze 1823, s. 1.

16 L. Ariosto: *Orland szalony*. Przekł. P. Kochanowski. T. 1. Wydał J. Czubek. Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków 1905, s. 2.

Do Scilli przybywali rękodzielnicy z Apulii, Lukanii, Sycylii i Neapolu, dzięki czemu powstała tam szkoła farbiarzy, a nazwiska takich artystów jak Ferdinando Anastasi zapisały się w historii kalabryjskiego rzemiosła. Jednym z ciekawszych artefaktów pozostaje tkanina rodziny Caracciolo sprzed 1908 roku.

Na widok bogactwa materiałów pochodzących z dziesiątek miast, z trzech prowincji, patrzyliśmy na siebie w oszołomieniu, od dyskusji aż zaschło nam w ustach. Z kufra Kalabrii wyłonił się prawdziwy skarb, ukazując całą historię regionu. Przed nami leżały najróżniejsze przedmioty – od starożytnych tkanin po zestawienia statystyczne, od ręcznie haftowanych jedwabi po dawne monety.

Podczas przeszukań natrafiiliśmy na książeczkę, której nie rozumieliśmy – był to oryginalny słownik sporządzony w dialekcie kalabryjskim, zawierający setki nazw kolorów, stylów, wzorów i rodzajów tkanin. Odkryliśmy, jak głęboko Kalabria była zakorzeniona w sztuce dekoracyjnej, przekraczając granice regionu i przekazując innym swoje sekrety.

Nigdy nie przepadałam za statystykami. Wydawały mi się nudne i często pomijałam je podczas czytania książek podróżniczych. Tym razem jednak przeglądałam je z zaciekawieniem. Dowiedziałam się, że Kalabria zajmuje wyjątkowe miejsce w produkcji esencji z bergamotki oraz że jest druga, po Trydencie, w przemyśle drzewnym. Tutejsze wina, takie jak Mantónico, Greco, Passito Nustrano i Cirò, mogą śmiało konkurować z tokańskimi, tymi z Castelli Romani i Kampanii. Odkryłam, że winnice zajmują 63 tysiące hektarów terytorium regionu. Kalabria zajmuje także drugie miejsce, zaraz po Sycylii, w produkcji cytrusów, a pomarańcze z San Giuseppe, według analiz chemicznych, uznawane są za najbardziej aromatyczne na świecie. Region pozostaje także liderem w uprawie kasztanów we Włoszech; drzewa te uwielbiają tutejszą glebę i rosną tu niemal spontanicznie. Kalabria zajmuje drugie miejsce w produkcji oliwy, zaraz po Apulii, a jej wody obfitują w różnorodne gatunki ryb, w tym w mieczniki.

Przepuszczona przez pryzmat folkloru Kalabria pozostaje regionem, którego wciąż nie objęła pełna modernizacja. Zachowały się tu tradycyjne stroje i zwyczaje. Dowiedzieliśmy się również, że hodowla jedwabników, zwłaszcza w prowincji Catanzaro, nadal cieszy się popularnością, a esencje kwiatowe i cytrusowe z Reggio Calabria mogą konkurować z tymi z Riwiery. Kalabryjskie rzemiosło zajmuje istotne miejsce na włoskim rynku – lokalni rzemieślnicy doskonale radzą sobie z obróbką marmuru, mozaiką, drewnem, tkaninami, srebrem i żelazem, a także tworzą kompozycje z owoców i kwiatów.

Siedząc na podłodze, pokryci kurzem, z wyschniętymi gardłami patrzyliśmy na sterty zgromadzonych wokół nas przedmiotów. Nie czuliśmy ani głodu, ani zmęczenia. Jak bogaty i różnorodny był skarb starej Kalabrii.

Wśród stosów zwojów, pergaminowych ksiąg i spisów oryginalnych dzieł wyłaniały się listy setek prac przetłumaczonych i skopiowanych przez mnichów bazyliańskich. Były tam plany miast, rysunki greckich świątyń, zabytki świeckie i religijne z różnych epok, kroniki, biżuteria – wszystko to powiększało górę skarbów. Zaglądaliśmy w kufer, ale wciąż nie widzieliśmy dna. W rogu, drwiąc z nas, domagały się większej uwagi niedawno wykonane zielone ceramiki z Seminara, małe flakoniki perfum z Reggio oraz tradycyjne przepisy kulinarne. Z drugiej strony – dawne chóralne pieśni z setkami utworów, nieznanych w innych regionach Włoch, reprodukcje zanikających strojów oraz instrumenty, które zakończyły swoją muzyczną misję setki lat temu.

Byliśmy spoceni i oszołomieni, nie patrzyliśmy na zegarek.

Nagle zjawiła się babcia. Mimo wieku, wysoka, wyprostowana. Przez całe życie chodziła wyprostowana, niosąc dzban na głowie. Jej profil był grecki, jak na jednej z monet, które trzymaliśmy w rękach, w uszach błyszczały bizantyjskie kolczyki, a na palcach lśniły normańskie pierścienie. Ubrana była w brokat z Cantanzaro i pachniała lawendą oraz bergamotką.

„Wystarczy” – powiedziała z uśmiechem – „Życia wam braknie!”

I odeszła.

Później, na pokładzie statku Eolo, podczas podróży jedną z mitycznych tras wiodących przez Morze Śródziemne, gdy przed naszymi oczami przesuwały się baśniowe Wyspy Eolskie – bo to właśnie one zapoczątkowały naszą nową wyprawę – ujrzelśmy ją raz jeszcze w oddali. Otulona mglistą legendą stała we wspaniałej, starożytnej pozie.

Spróbuj pokochać ją także! Może i Tobie otworzy swój magiczny kufer!

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

INDEKS

NAZW GEOGRAFICZNYCH*

A

Acquaro (miejscowość) 79
 Acri 314, 316
 Agira 175
 Agrigento 49, 145
 Akragas 142
 Alassio 240
 Albania 333
 Aleksandria 81
 Alessio 338
 Alicudi (wyspa) 88
 Alli (dolina) 291
 Alpy 306
 Altis 156
 Amalfi 51, 90
 Amato (rzeka) 270
 Ampollino (jezioro) 310, 315, 339
 Andaluzja 84, 267
 Angor-Vat Angkor-Wat 228–233
 Anjou 63
 Ankona 100
 Annunziata (rzeka) 285
 Apeniny 315, 317, 332, 335
 Apolonia 334
 Apulia 13, 31, 32, 34, 36, 50, 82, 89, 94,
 242, 262, 265, 266, 287, 344, 362

Archi 285
 Arkadia 234
 Arles 70
 Armenia 227
 Arvo (jezioro) 310, 315, 339
 Arycja 87
 Aspromonte 43, 87, 94, 106, 133, 284, 285,
 287, 289, 291
 Asyż 125, 327
 Ateny 176, 185, 186, 265
 Athos (także: Święta Góra) 65
 Attyka 115
 Avan-ga-cua 258
 Azja Mniejsza 226

B

Bagnara (dawn. Medua, Balnearia) 65, 67,
 68, 69, 71–84, 103, 106, 262
 Bałkany 285, 328, 329, 331, 333, 334
 Barletta 302
 Bauerhäuschen 295
 Bawaria 105, 295
 Beocja 61, 234
 Berg 104
 Bergamo 82
 Berlin 232, 279, 259

* Z powodu dużej częstotliwości występowania – indeks nie zawiera odesłań do nazw niektórych krajów, państw, regionów. Takich jak: Kalabria, Włochy, Italia, Europa.

Berner Oberland 293
 Biała Góra 342
 Biarritz 255
 Biskupin 289
 Bizancjum 112, 114, 221, 222, 224,
 235, 236
 Blanckenberge 238
 Bolonia 123, 232, 246, 297, 301,
 359
 Bosfor 216
 Brancalone 281
 Broglie 66
 Brugia 64
 Bruttium (także: Brucja) 50, 344
 Brytania 222
 Budapeszt 232
 Bułgaria 126, 272, 329, 333
 Busento (łac. Bucentius), (rzeka) 344,
 347–349

C

Caccuri 316
 Camigliatello 308, 310, 316–318
 Campo Tenese 176
 Canosa di Puglia 228
 Capitanata (region) 105
 Capo Colonna 134, 135, 146, 153,
 159
 Capo Palinuro 111
 Capo Rizzuto 231
 Capo Vaticano 66, 79, 87
 Capri 51
 Carrara 97
 Casino 316
 Cassano 162
 Castel del Monte 334, 345

Castrovillari 334
 Catanzaro 39, 85, 97, 208, 230–232,
 235–239, 248, 267, 269, 272, 291, 292,
 296, 300, 310, 313, 314, 316, 359, 363
 Catona 118
 Cecita (jezioro) 112, 317
 Cejlon 253, 255, 257–259
 Celico 325
 Cerchiara 162
 Chalkidiki 235
 Chalkis 188, 189
 Chianalea 63–65, 67
 Cieśnina Mesyńska 26, 59, 66, 72, 74, 77,
 81, 85, 126, 203, 204, 211, 216, 244, 280,
 286, 287, 350
 Cirò 214, 215, 362
 Cittanova 94, 97, 262
 Consolino 243, 244, 246, 247, 249
 Copanello (plaża) 240
 Corace (rzeka) 270
 Corigliano 221, 223
 Coscile (rzeka) 187
 Cosenza 85, 222, 313, 314, 343, 345, 348,
 359, 360
 Cotronei 310
 Crati (dolina) 349
 Crati (rzeka) 178, 179, 187, 317, 332, 337,
 341, 347
 Croce di Megara 278, 317
 Crotone (także: Kroton, Cortone) 25, 37,
 50, 133, 134, 137, 144–146, 152–155,
 159–162, 207, 215, 224, 241, 243, 310,
 316, 317, 346
 Cylicja 235
 Cyrenajka 222
 Czarnogóra 251, 272, 308, 333

D

Dalmacja 84
 Delfy (świątynia) 62, 160, 162, 163, 168,
 177, 189, 191, 224
 Drezno 297
 Durazzo 237

E

Efez 150, 199
 Egipt 90, 199, 222, 226
 Elba 285
 Eleusis 235, 326
 Elida 235
 Emmental 293
 Enna 90
 Epir 90, 115, 234, 336, 341, 348
 Esaro (rzeka) 161
 Etna 211, 280
 Etruria 176
 Eubei 235
 Eufrat 138

F

Fago del Soldato 316
 Favazzina 68, 71, 72
 Filicudi (wyspa) 65, 87, 89
 Fiumara di San Mauro 187
 Fiumerella 267
 Flissingen 238
 Florencja 96, 100, 104, 116, 123, 236,
 246
 Floryda 76
 Fossiata 317
 Francja 67, 102, 120, 206, 235, 237,
 249
 Fudzi 280

G

Gaeta 83
 Gallico (rzeka) 285, 286
 Gallipoli 238
 Gambarie 285–291
 Gargano (masyw) 239
 Gargano (półwysep) 262
 Gaskonia 105
 Gdańsk 34, 81, 137, 200
 Gdynia 238
 Genewa 155, 252
 Genua 10, 236
 Gerace 86, 187, 261, 262, 265–267
 Gibraltar 216
 Gioia Tauro 43, 78, 86, 87, 94, 214
 Gironde (rzeka) 66
 Góra Horeb 66
 Góra św. Eliasza (wł. Monte Sant'Elia) 65,
 66, 77, 84, 86, 89, 90, 92–94, 97, 98, 106,
 111
 Góry Ceraunijskie 341
 Góry Dynarskie 342
 Góry Pelorytańskie (wł. Monti Peloritani)
 55, 56, 86, 211, 315
 Góry Serra 43, 270
 Góry Sierra 66, 284, 308
 Granada 210
 Grande Serra 270
 Grecja 65, 132, 146
 Grottaferrata 223
 Gruzja 227

H

Haga 251, 252
 Harz 284
 Helike 175, 176

Heraklea 149, 150
 Hercegowina 308
 Herkulanum 181
 Himera 199, 200
 Hipponion 106, 107, 113–115, 169, 204,
 214, 215
 Hiszpania 66, 151, 237, 247–249, 253,
 271, 284, 303, 341
 Holandia 237

I

Isca (potok) 126, 127

J

Jerozolima 90
 Judea 235
 Julierpass 307
 Jura 284

K

Kampania 13, 31, 34, 36, 100, 362
 Kanny 335
 Kapadocja 193, 226, 235
 Kapua 226
 Karkonosze 284–285
 Karpaty 284, 308, 317
 Katana 186, 192
 Katania 193, 200
 Kattegat 216
 Kaulonia (kolonia achajska) 169, 215,
 243
 Knidos 143, 150
 Kolofon (miasto) 62, 151, 199
 Konstantynopol 90, 210, 222–224, 227,
 338
 Kordoba 210
 Koronia 341
 Korynt 85, 175, 203

Kraków 16, 20, 21, 56, 57, 114, 326
 Kras (masyw) 284, 285
 Kruji 338
 Kume (także: Kyme, łac. Cumae) 63
 Kytnos 150

L

Labastide-Murat (dawn. Labastide-Fortu-
 nière) 105
 Laganadi 286
 Laos (miejscowość) 50
 Lateran 221, 327, 328, 349
 Leningrad 260
 Lepanto 336
 Lido dei Giunchi 191
 Lipari (wyspa) 65, 87–89
 Litrello 297
 Livorno 303
 Lizbona 58, 60, 80
 Locri (także: Lokry, Lokry Epizefiryjskie)
 50, 85, 86, 107–109, 112, 161, 162,
 164–168, 170, 204, 205, 207, 224, 243,
 261, 262, 264–267, 358
 Longobucco 317, 361
 Los Angeles 299
 Lucera 345
 Lugano (jezioro) 255, 256
 Lukania 50, 143, 241, 242, 362
 Lukka 236
 Luksemburg 251
 Lungro 334
 Luzzi 327
 Lyon 123, 235, 237

M

Macedonia 234, 349
 Madonna del Rosario (klasztor na Monte
 Mario) 119

Maina 341
 Majella (także: Maiella) 103, 104
 Malaga 285
 Malta 303, 304
 Manduria 114
 Marturano (cypel) 76
 Mediolan 16, 100–104, 232, 297, 304, 346
 Medma 112, 132, 170, 204, 214
 Megara 145, 277, 317
 Melfi 82
 Mesyna (wł. Messina) 211
 Metaponto 50, 132, 176
 Mezja 234
 Mezopotamia 70
 Miami 76
 Międzyzdroje 107
 Milazzo 83
 Milet 176, 179, 186, 199, 236
 Mileto 108, 115
 Modena 297, 299
 Molossja 114, 115
 Monasterace 283
 Montagna Grande 56
 Montalto 106
 Mont Blanc 66
 Mont Vinaigre 285
 Monte Alto 284, 332
 Monte Botte Donato 317
 Montecatini 161, 162
 Monte Consolino 246
 Monte Corica 314
 Monte Curcio 317
 Monteleone 115, 215
 Monte Mercurio 223
 Monte Sant'Angelo 239, 262, 339

Morze Bałtyckie 238
 Morze Jońskie 50, 131, 137, 145, 146, 160, 176, 183, 186, 204, 218, 219, 222, 224, 238–240, 242, 262, 269, 270
 Morze Północne 238
 Morze Śródziemne 238, 303, 315, 363
 Morze Tyrreńskie 50, 65, 69, 72, 86, 88, 92, 131, 132, 175, 177, 186, 204, 222, 262, 269, 270
 Moskwa 100, 260, 297, 336
 Możajsk 106

N

Narurota 258
 Naukratis (kolonia grecka w Egipcie) 184
 Neapol 15, 16, 23, 49, 50, 66, 96, 99, 100–106, 115, 116, 119, 120, 164, 165, 246–249, 300, 303–306, 321, 341, 358, 360, 362
 Nervia (strumień) 12, 42
 Neto (dolina) 228
 Nicastro 111
 Nicea 192
 Nil 138
 Nowy York 299
 Numidia 108

O

Ocean Spokojny (Pacyfik) 72
 Olimpia 156
 Orawa 295
 Orsara 338
 Ostenda 238, 255
 Osuna 248
 Oświęcim 64, 262
 Otranto 223, 265, 333

P

Padwa 112, 246
 Paestum (Posejdonia) 145, 338
 Palermo 90, 102
 Palestyna 90, 222
 Palmi 72, 79, 86, 87, 91, 94–102, 106, 231, 359
 Panarea (wyspa) 65, 87, 88
 Pandozja 348
 Paola (miejscowość) 42, 124, 125
 Paros 199
 Paryż 104, 105, 206, 224, 225, 232, 279, 301, 327
 Passo del Mercante 262
 Pekin 85
 Pellegrina 84, 359
 Peloponez 90, 145, 175, 190
 Penteskufia 85
 Pentone (wzgórze) 191, 192
 Persja 90
 Perugia 327
 Petrace (dawn. Metauro; rzeka) 86
 Piccola Sila 230
 Pichiernia 341
 Pietrenere 97
 Pireneje 149
 Pizzo 103–105, 111
 Podole 272
 Pollino 317, 332, 336, 339, 344, 347
 Polska 16, 21, 111, 123, 172, 342
 Pont 143
 Porto Rovaglioso (dawn. Porto Oreste) 97
 Posillipio 208
 Półwysep Apeniński 27, 125
 Półwysep Peloponeski 213
 Praga 232, 342
 Presila 341
 Priene 175

Princeton 107

Promunturium Lacinium (cypel) 134

Puszcza Białowieska 313

R

Radicens (obecnie Taurianova) 215
 Rawenna 226
 Reggio di Calabria (pot. Reggio, Reggio Calabria, dawn. Region, Rhégium, Rhégion) 25, 27, 29, 207, 262
 Riwiera Francuska 84, 94, 211, 240
 Riwiera Włoska 84, 94, 240
 Roggiano Gravina 358
 Rosarno 268, 270
 Rosja 104, 206, 251, 361
 Rossano 92, 112, 221, 223–227, 243, 265, 301, 316, 337
 Rovereto 112
 Rubikon 335
 Rumunia 272
 Rzym 33, 64, 88, 95, 96, 116, 132, 151, 186, 201, 208, 226, 228, 239–241, 269, 358

S

Sagras (rzeka) 164, 200
 Saint-Denis 346
 Saintz 123
 Salamanka 139
 Salamina 156, 335
 Salina (wyspa) 88
 Saline (także: Aulinas, Salinas) 89, 90
 Saloniki (także: Tesaloniki) 90
 Sambiase 358
 Samos (wyspa) 135, 138, 203
 Samotraka (wyspa) 166
 San Benedetto 336
 San Biase 111

- San Demetrio Corone 221, 316, 329–331, 334, 336, 341
- San Giorgio 341
- San Giovanni Rotondo 338
- San Giuseppe 362
- San Remo 255, 343, 344
- San Sebastian 255
- San Severino 106
- Sandomierz 69
- Santa Eufemia 230
- Sant'Alessio 286
- Santa Maria del Patire (opactwo) 112, 333
- Santa Maria di Leuca 238
- Santo Stefano 286
- Sapri (dawn. Scidro) 176
- Sarmacja 234
- Sarno 104
- Savuto (dolina) 317
- Savuto (rzeka) 346
- Scalea 214
- Scheveningen 238
- Schwyz 292
- Scilla 27, 46, 55, 60, 61, 63, 65–69, 71, 72, 74, 77, 79, 81, 86, 103, 106, 361, 362
- Scinà 97
- Segesta 145
- Selinunt 145
- Seminara 94, 222, 266, 363
- Serbia 272, 333
- Serra di San Bruno 270
- Serra di Vibo Valentia 270
- Serre (masyw górski) 112, 114, 115
- Serra San Bruno 43
- Sewilla 179
- Sibari (rzeka) 179
- Siderno 96
- Siena
- Sierra Nevada 66, 285, 308
- Sila (masyw górski) 43, 133, 158, 291, 292, 296, 328
- Sila (park narodowy) 112, 313–316
- Sila (płaskowyż) 112, 161, 297, 341
- Sila Grande 106, 307–310
- Sila Piccola 230, 307–310
- Silano 236
- Simeria 223, 224
- Sinope 224
- Siponto 338, 348
- Skagerrak 216
- Słowacja 272
- Smoleńsk 105
- Smyrna 234
- Soriano Calabro (miejscowość) 79
- Sorrento (dialekt. Surriento) 49, 51, 56
- Sparta 162, 185
- Spezzano 334, 341
- Stilida (miasto) 243
- Stefanaconi (miejscowość) 112
- Strasburg 271
- Stromboli 65, 80, 87, 88
- Strongoli 359
- Sybaris (także: Sibari, Sibaris) 131, 157, 160, 174–178, 180, 184–187, 332, 341, 347
- Sycylia 16, 49, 55, 56, 63, 81–87, 90, 92, 104–106, 112, 114, 118, 142, 145, 178, 189, 196, 199, 222, 223, 236, 239, 262, 268, 287, 303, 325, 349, 362
- Syrakuzy 49, 106, 112–114, 160, 168–169, 183, 205, 206, 243
- Syria 90, 226
- Szczecin 238
- Szkodra 341
- Szwajcaria 15, 19, 51, 123, 230, 252, 292, 307, 308, 314

T

- Tajget (szczyt górski) 165
 Tajlandia (Syjam) 251
 Taormina (syc. Taurmina) 51, 90, 222, 314
 Tarent (wł. Taranto, łac. Tarentum) 81, 143, 221
 Tars 189
 Tauriana (także: Taureana, łac. Taurianum) 95, 97, 131, 215
 Taurianova 215, 262
 Tauryda 87
 Taverna (dawn. Trischene, Tres Tabernae) 292, 297–300, 306, 358
 Temesa (łac. Tempa) 168
 Terina (miejscowość) 50
 Termopile 335
 Tiriolo 106, 232, 267–274, 293, 334
 Torbido (rzeka) 285
 Torviolo 338
 Tours 120, 121, 123, 126, 236, 249
 Trani 338
 Trionto (rzeka) 178
 Troja 119, 150
 Tropea 27, 313, 358
 Trydent 112, 346
 Tulon 104, 285
 Tunis 346
 Turioj (łac. Copia albo Thurium) 186, 187, 193, 333
 Turyn 16
 Tyrol Południowy 112

U

- Ural 260
 Uri 297

V

- Vaccarizzo 221, 341
 Varazze 103
 Vibo Valentia (dawn. Hipponion, Veip, Veib) 106, 107, 114–116, 270, 313
 Vicenza 345
 Villaggio Mancuso 291, 292, 310, 315
 Villanueva de Sigena 154
 Villa San Giovanni 281, 282
 Ville-d'Avray 66
 Viterbo 82
 Vulcano (wyspa) 65, 87, 88

W

- Warszawa 10, 15, 16, 21, 25, 232, 252
 Waterloo 104, 105
 Watykan 118, 303
 Wenecja 64, 96, 100, 226, 236, 301, 327, 345
 Wiedeń 18, 100, 210, 232
 Wielka Grecja (także: Magna Graecia, Magna Grecia) 11, 24–26, 31, 49, 50, 60, 63, 108, 129, 131–134, 136, 138, 140, 142–144, 146, 150, 152, 154, 156, 158, 164–166, 168, 170, 175–177, 184, 190, 207
 Wogezy 284, 285, 308
 Wrocław 118
 Wyspa Świętej Heleny 105
 Wyspy Eolskie (także: Wyspy Liparyjskie) 65, 66, 87, 176, 203, 363

Z

- Zatoka Bagnary 103
 Zatoka Gioia 79
 Zatoka Koryncka 175

Zatoka Neapolitańska 49, 66, 84
 Zatoka Salerno 240
 Zatoka Sant'Eufemia 79, 111, 112
 Zatoka Squillace 240

Zatoka Tarencka 221
 Ziemia Święta 82
 Złoty Róg (zatoka) 83
 Zwolle 74

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

INDEKS OSOBOWY

A

- Abraham, patriarcha 309
Abramowiczówna Zofia 61
Acanfora Nicola 104
Aceti Tommaso 97
Achilles 103, 153, 200
Acri Francesco 358
Acrione 168
Adrian, święty 331
Afrodyta 145, 150–151, 165, 238
Agatokles z Syrakuz 114
Agesydamos 169
Ajschylos 200–201
Alaryk 114, 348–349
Alatri Goffredo, da 82
Allah 210
Alberti Kazimiera 9–36, 39–41, 55, 62, 66,
74, 82, 88–89, 92, 95–96, 100, 102, 115,
135, 143, 145, 156, 167, 192, 201–202,
221, 241, 254, 262, 279, 282, 285, 302,
348, 359–360
Alcystenes 183, 237
Aldobrandini Olimpia 301–303
Aleksander I Romanow 205
Aleksander I z Epiru (także: Aleksander I
Epirota lub Aleksander z Molossji)
114, 348
Aleksander Wielki 150, 348
Alfons V Aragoński 119, 338, 341
Alkajos z Mityleny 199
Alkmeon z Krotonu 153–155
Ałpatow Michaił W. 159
Amalasunta 239
Amendola Giovanni Battista 104
Amfitryta 62
Amicis Edmond, de 24
Anakreont 335
Anaksagoras 62
Anastasi Ferdinando 362
Andegaweński Jan 338
Andegaweński Karol I 82, 338
Andegaweński Ludwik III 346, 348
Andrzejewski Jerzy 21
Anioł Michał (właśc. Michelangelo di
Lodovico Buonarroti Simoni) 298
Antedon 61
Antrodomos 204
Anyté 166
Apelles z Kolofonu 150–151
Apollo 62, 113, 153, 158, 171, 189, 191,
204, 237
Apollo Alejski 214
Apollo Licejski 214
Apollodor (także: Apollodoros z Aten,
zwany Skiagrafem) 149
Appel Włodzimierz 202
Appian z Aleksandrii 81
Aragońska Izabela 348

Archelaos I Macedoński 151
 Archias 160
 Archiloch z Paros 199
 Archimedes 335
 Archytas z Tarentu 143
 Ares 201
 Aretino Pietro (ur. jako Pietro Bacci) 182
 Ariosto Ludovico 360–361
 Aristomache z Syrakuz 168
 Arriba 348
 Artemida 200
 Arystofanes 180, 199, 201
 Arystokrates 205
 Aryston (także: Ariston z Reggio) 168, 205
 Arystoteles 143, 175, 193, 237, 246, 333, 343
 Arystydes 168
 Aschenez 188, 192
 Aspazja z Miletu 185
 Astydamia 90
 Atalaryk 240–241
 Atenajos 184, 193
 Attis 69
 Attyk Tytus Pomponiusz 115
 Aube Pierre 262
 Augimeri Domenico 96, 359
 Autaris 114
 Avellaneda y Haro García, de 304

B

Bachelard Gaston 225
 Bacon Francis 246, 343
 Banot Aleksandra E. 21
 Barabasz 226
 Baran Bogdan 28
 Barbara, święta 299
 Barlaam z Seminary 222
 Bartłomiej, błogosławiony 224, 227, 229
 Bartłomiej z Simeri, święty 223–224
 Barwik Mirosław 150
 Basile Antonio 94
 Batóg Tadeusz 201
 Bąk Wojciech 15
 Behring Emil Adolf, von 154, 259
 Bellerofont 90
 Bellia Angela 168
 Bellini Vincenzo 102
 Benassai Giuseppe 230, 359
 Benati Daniele 328
 Benedykt z Nursji, święty 241–242
 Benjamin Walter 28
 Beomond 228
 Bergerac Cyrano de 302
 Bernard Claude 154
 Bernardyn ze Sieny, święty 325
 Bernini Giovanni Lorenzo 158–159
 Bettalli Marco 50
 Białecki Bernard 82
 Biały Beata 262
 Bielecki Robert 105
 Bieńczyk Marek 79
 Binnebeke Xavier, van 74
 Blasius, opat 223
 Bodnarski Mitrofan Stefanovič 95
 Boecjusz (właśc. Anicius Manlius Severinus Boëthius) 240
 Bogumił Izabela 90
 Bohm Marcin 262
 Boiardo Matteo Maria 360
 Bojda Wioletta 225
 Bonanzinga Sergio 287
 Bonaparte Karolina 105
 Bonaparte Napoléon 99, 105, 171, 205–206
 Bonawentura, święty 325

Bonifacy, święty 229
 Borghese Don Paolo 301
 Borowski Andrzej 107
 Borowski Tadeusz 15
 Borrello Manuela Maria 86
 Borromini Francesco (właśc. Francesco
 Castelli) 158
 Botton Alain, de 12
 Bourdichon Jean 122–123
 Braccesi Lorenzo 348
 Brague Rémi 242
 Brakoniecki Kazimierz 32
 Brandwajn Luba 250
 Brandwajn Rachmiel 250
 Brillowski Wojciech 64
 Brioschi Serena 333
 Bronarska Maria 88
 Brontios z Metapontu 167
 Brown Peter 349
 Brożek Mieczysław 169
 Brumfiel Geoff 85
 Budda (właśc. Siddhartha Gautama) 140,
 209
 Buffon Georges 66
 Bunsch Adam 16
 Burkert Walter 189
 Burrini Gian Antonio 90
 Burzyk Mateusz 13

C

Cadoudal Georges 104
 Calasso Roberto 33
 Campanella Tommaso (właśc. Novello
 Glauco; pseud. Settimontano Squilla)
 50, 243–244, 246–261, 300, 303, 322
 Campisani Ugo 359
 Canino Giovanni 297
 Capasso Bartolommeo 306
 Capua Paola de 74
 Carbone Serafina 314
 Cardisco Marco (Marek Kalabryjczyk)
 300, 359
 Carducci Giosuè 348
 Caridi Giuseppe 119
 Carnegie Andrew 251
 Carrel Alexis 257
 Carrera Fra Diego da 313
 Caruso Enrico 101
 Casson Lionel 64
 Castro Ferdinando Ruiz, de 246
 Catanzaro Fra Giovanni, da 313
 Cefaly Andrea 359
 Celestyn III, papież 82
 Celsi Giuseppe 145
 Celtes Konrad 359
 Certandos, ojciec Ibykosa z Reggio 199
 Cervantes y Saavedra Miguel, de 104
 Cezar Gajusz Juliusz 115
 Chalcedoniusz 242
 Chanel Coco 279
 Charilaos 169
 Charondas z Katany 186, 192–196
 Chiron 153
 Chłędowski Walenty 136
 Chodźko Ignacy 358
 Chopin Fryderyk 291
 Choromański Michał 15
 Chrystus zob. Jezus Chrystus
 Chryzyp z Soloi 169
 Chwil Mirosława 284
 Chwistek Leon 15
 Cicala Hassan 247, 271
 Cierniakowa Zofia 200
 Cieśla-Korytowska Maria 107

Cilea Francesco 94, 100–103
 Cocola Alfonso (Alfo) 9, 14, 16–17, 20,
 23, 26–29, 35, 39–40, 55
 Cocola Wirginia 17
 Coello Sanchez 302
 Connolly Peter 64
 Conrad Joseph (właśc. Józef Teodor
 Konrad Korzeniowski) 10
 Cordova Elvira 262
 Correggio (właśc. Antonio Allegri) 301
 Coverley Merlin 32
 Cozza Francesco 300
 Croce Benedetto 96, 259
 Cusset Christophe 166
 Cyceron (właśc. Marcus Tullius Cicero)
 114–115, 175, 193, 200
 Cyriaka, święta 262
 Czapski Józef 15
 Czartoryski Adam Kazimierz 358
 Czubek Jan 361

D

Damajos 62
 Danielewicz Robert 199
 Danielewicz Jerzy 199, 202
 Daniell Trevor 286
 Dante Alighieri 39, 182, 200, 322,
 325
 Danti Ignazio 118–119
 D'Agata Anna Lucia 50
 D'Atri Maurizio 74
 D'Aubigny Bérault Stuart 266
 Daudet Alphonse 100
 Davies Norman 349
 Davies Ron 298
 Debord Guy 32
 De Curtis Ernesto 49
 De Curtis Giambattista 49
 De Luca Giuseppe 101
 De Rensis Raffaello 103
 De Rosa Nicola 94
 Delle Donne Fulvio 302
 Dembińska-Siury Dobrochna 138
 Demochares 81
 Demokryt z Abdery 139
 Demostenes 193
 Demuth Siegfried 286
 De Nava Gutierre 63
 Denisow Bożena 284
 Derdowska Joanna 30
 Dezetter Alain 286
 Diakon Paweł 349
 Diana 87, 113
 Diana Fascelide 189, 191
 Diderot Denis 80
 Didymos 167
 Diodor Sycylijski 106, 193, 196
 Diogenes Laertios 143, 153, 167, 169
 Diogenes z Synopy 335
 Diomedes 200
 Dionizjos II 169, 206
 Dionizjos Starszy 106, 114, 168–169, 183,
 205–206, 243
 Dionizos (Bachus) 56, 133, 269
 Di Teodoro Francesco T. 115
 Domenichino (właśc. Domenico Zampieri)
 300–301
 Dominici Bernardo, de 300, 306
 Dominika, święta 261
 Donadio Giovanni Francesco 115
 Doris z Lokrów Epizefiryjskich 168, 205–
 206
 Douglas Norman 112, 361
 Drakon 171
 Drzewiecka Ewelina 65
 Dukaj Jacek 10

Dumas Aleksander 300

Dworacki Sylwester 196

E

Edison Thomas 279, 335

Einstein Albert 271, 318

Eliasz, święty, prorok 65–66, 89

Eliasz z Enna, święty (także: Eliasz Sycylijski lub Eliasz Młodszy, właśc. Giovanni Rachete) 89–90, 92–93

Empedokles z Akragas 142

Eneasz 50

Eol 216

Erichthonios 68–69

Eros 200

Eskulap (Asklepios) 153, 155

Esposito Roberto 13

Eudoksos z Knidos 143, 169

Euklides 335

Eunomos 167–168, 205

Eurypides 201

Eurysteusz 159

Euthykrates 168

F

Facennia Hispala 269

Fanzago Cosimo 115

Favorinus 153

Federici Claire 282

Fedra 90

Ferdynand I Aragoński (Ferrante d'Aragona) 119, 124, 338, 341

Ferdynand II Aragoński 83, 342

Ferdynand IV 336, 341

Ferretti Antonio 193

Ferretti Giovanni Maria Mastai (papież Pius IX) 75

Ferretti Jacopo 99

Festus, prefekt 191

Ficino Marsilio 359

Fidiasz 164, 166

Filip, przeor 83

Filip III Śmiały 246, 346

Filip IV 248, 341

Filip V 302

Filip II Macedoński 348

Filipowicz Stanisław 114

Filistion 169

Filolaos z Krotonu 143

Filomena, święta 228

Fiorentino Francesco 230–231, 358

Fiorillo Maria 63

Fischer-Wollpert Rudolf 82

Florek Mariusz 284

Florimo Francesco 102

Floryan Władysław 188

Focjusz 167

Fokas Nicefor 230, 331

Forli Melozzo, da 215, 328

Foti Giandomenico 86

France Anatole (właśc. Jacques-Anatole-François Thibault) 75

Franciszek z Asyżu (właśc. Francesco Bernardone) 124, 299, 327

Franciszek z Paoli, święty 50, 116–127, 147, 234, 249, 266, 325, 328

Frangipane Alfonso 299

Frari Angelo Antonio 304

Fresnel Augustin Jean 66

Fryderyk II Hohenstauf 82–83, 115–116, 344–346, 348

Fryne 150

G

Gagini Antonello 313

Gaja 69

- Gajda Janina zob. Gajda-Krynica Janina
 Gajda-Krynica Janina 138, 254
 Gajusz Petroniusz (Gaius Petronius, Gaius Petronius Arbiter) 179–180
 Galileusz 251
 Galluppi Pasquale 358
 Gałczyński Konstanty Ildefons 21, 76
 Gambacorta Lucio 358
 Gandolfi Ubaldo 122–123
 Garibaldi Giuseppe 50, 116, 207–208, 337
 Gautier Théophile 24–25
 Gazda Daniel 81
 Gelon z Syrakuz 113
 Gemito Vincenzo 96
 Gentileschi Artemisia 90
 Geroncjusz 242
 Ghio Pierre François Joseph, generał 116
 Giangiulio Maurizio 50
 Gioffrè Antonino 75
 Giordano Luca 115
 Giovanniello, święty 266
 Gizzeri Ermet 243
 Glaukos 61–64
 Gluck Christoph Willibald 359
 Goethe Johann Wolfgang, von 60, 291
 Gogh Vincent, van 43, 70
 Golgi Bartolomeo Camillo 154
 Golias Marian 95
 Gołubiew Antoni 15
 Gomar 188
 Gorłowski Tomasz 92
 Górska Bożena 88
 Grabowiecka Maria 10, 15–16, 18, 22
 Gravina Giovanni Vincenzo 358
 Greco Emanuele 333
 Grimal Pierre 88
 Grzegorz I Wielki, papież, święty 229
 Grzegorz XIII, papież 118
 Grzegorz XV, papież 251
 Grzeszczak Jan 325, 327
 Guarino z Werony 360
 Guarnieri Pierpaolo 314
 Guercino (właśc. Giovanni Francesco Barbieri) 301
 Guerrisi Michele 95–96
 Guiscard Robert (także: Hauteville Robert de) 63, 239, 262
- ## H
- Hajduk-Gawron Wioletta 331
 Hammurabi 171
 Hannibal 149, 151, 239, 306
 Händel Georg Friedrich 359
 Hasse Johann A. 359
 Hefajstos 66, 69, 200
 Hektor 200
 Helsztyński Stanisław 279
 Henryk VI 328
 Henryk VII 348
 Heppenheimer Thomas A. 298
 Hera 144–146, 149–151, 183, 214, 237
 Heraklit z Efezu 139, 193
 Heraklides z Pontu 143
 Herkules 153, 157, 159–161, 192
 Herling-Grudziński Gustaw 15
 Herman Maurycy Saski 101
 Hermes 204, 269
 Herodot 135, 186
 Herschel John Frederick William 66
 Hipokrates 305
 Hipolit (Hippolytos) 90
 Hipparinos 168
 Hippodamos z Miletu (także: Hippodamus) 186, 333
 Hobsbawm Eric 105
 Hodrová Daniela 30

Hohenstauf Henryk 346, 348
 Holland McAllister Marian 107
 Homer 61, 115, 211, 222
 Honoriusz, cesarz 349
 Honoriusz IV, papież 82
 Hölkeskamp Karl-Joachim 192
 Hus Jan 335, 342
 Huxley Aldous 257

I

Ibsen Henrik 325
 Ibrahim II 348
 Ibykos z Region 192, 196, 199–204
 Innocenty III, papież 82
 Ippio 205
 Irzykowski Karol 15
 Is z Helike 175
 Italo Greco Giovanni 84
 Iwasiów Inga 21
 Iwaszkiewicz Jarosław 15, 23

J

Jahwe 65, 310
 Jamblich 167, 254
 Jan, arcybiskup Messyny 83
 Jan XVI 223
 Janas Joanna 11, 41, 386
 Jastrzębowska Elżbieta 225
 Jenner Edward 154
 Jerace (Ierace) Francesco 209, 231
 Jerace (Ierace) Vincenzo 231
 Jezus Chrystus 140, 145, 182–184, 221, 225–226, 299, 310, 313
 Joachim, opat 229
 Joachim z Fiore (Giacchino da Fiore) 249, 320–322, 325–326, 328
 Jokast 189, 192, 207, 216
 Jones Horace Leonard 157

Jowisz 67–69, 88, 171
 Józef, biblijny rządcą Egiptu 90
 Judasz 226
 Juliusz, centurion 191

K

Kadłubek Zbigniew 31
 Kain 309
 Kaliniak-Dziura Agnieszka 284
 Kalkondila Demetriusz 345
 Kallimach (właśc. Filip Buonaccorsi) 189, 359
 Kallinos z Efezu 199
 Kalwin Jan 248
 Kalwizjusz Sabinus 81
 Kant Immanuel 67, 358
 Kartezjusz (właśc. René Descartes) 358
 Karol III 341
 Karol V 161, 208, 237, 361
 Karol z Anjou 63
 Karwacka-Pastor Dorota 303–304
 Kasjodor Marek Aureliusz 223, 226, 229, 240–242, 246
 Kasperowicz-Stępień Alicja 114
 Kastor 162, 165, 204
 Katarzyna II Wielka 172
 Katarzyna Romanowa, królowa Wirtembergii 205–206
 Kawalerowicz Jerzy 180
 Kaziński Maciej 200
 Kasproicz Jan 15
 Kästner Erich 60
 Kekrops, król 69
 Kęciek Krzysztof 175
 Kiersnowski Ryszard 82
 Kircher Athanasius 287
 Kirke 61–63
 Klaudian Klaudiusz 107

- Klearchos 204
 Klemens Aleksandryjski 167
 Klemens XII, papież 336
 Kleonymos 205
 Kleopatra 306
 Klitajmestra 86
 Koburg Maria, księżna sabaudzka 96
 Koch Robert 154, 259, 335
 Kochanowski Piotr 361
 Kolumb Krzysztof 139
 Kołtunowska Anna 241
 Kommodus (właśc. Lucius Aurelius Com-
 modus) 184
 Konarski Stanisław 358
 Konieczny Jacek 34
 Koniński Karol Ludwik 15
 Konończuk Elżbieta 32
 Konstantyn, cesarz 349
 Kopernik Mikołaj 143
 Korczyńska-Zdąbłarz Marta 134, 164
 Kornatowski Wiktor 200
 Korolko Mirosław 61
 Kosmala Artur 349
 Kossak Zofia 16
 Kowalewska Małgorzata 358–359
 Kratais 61
 Krezus 203
 Krogulska Miłostawa 180
 Krońska Irena 153
 Krukowska Aleksandra 21
 Krupa Andrzej 64
 Ksenofanes 62
 Ksenokryt 167, 186
 Kuczyńska Marzanna 65
 Kumaniecki Kazimierz 149
 Kuncze Aleksandra 31
 Kurecka Maria 159
 Kuszej Tomasz 283–284
 Kwaterko Mateusz 24
 Kwintus Fulwiusz Flakkus (właśc. Quintus
 Fulvius Flaccus) 151
 Kybele 228

 L
 Lacquaniti Luigi 94
 Lakedajmon (także: Lacedemon, król
 Sparty) 183
 Lamarck Jean Baptiste de 79
 Landowski Zbigniew 61
 Laplace Pierre Simon de 67
 Leal Valdés 305
 Lecouvreux Adriana (właśc. Adrienne
 Couvreux) 101–102
 Legouvé Ernest 100
 Lenin Włodzimierz 260
 Leon VI Filozof, cesarz 90
 Leon X, papież 345
 Leon III Izauryjczyk, cesarz 222
 Lesky Albin 201
 Leśniak Kazimierz 153
 Letus Pomponiusz Juliusz 358
 Lewis Norman 15
 Lewis Sinclair 279
 Libera Antoni 90
 Liberi Pietro 90
 Lie Trygve Halvdan 252
 Likofron z Chalkis 188–189
 Likurg 171, 179, 193
 Limanowski Bolesław 326
 Limanowski Mieczysław 326
 Lincoln Abraham 171–172, 279
 Linda Bogusław 180
 Liszt Franciszek 118, 291
 Liutprand, król 229
 Liwiusz Tytus 151, 269
 Lizjasz 186

Lobel Edgar 199
 Locke John 246
 Loerke William C. 225
 Lohr Mikołaj 242
 Loiodice Adriana 330
 Longinus, biskup 97
 Longo Alessandro 359
 Lotie Pierre 272
 Ludwik IX 346
 Ludwik XI 120–122
 Ludwik XIV 249
 Ludwik XVI 104
 Luter Marcin (Martin) 248
 Lutosławski Wincenty 326

Ł

Łanowski Jerzy 61, 88, 188
 Ławińska-Tyszkowska Janina 180
 Łazarz 226
 Łoposzko Tadeusz 81
 Łukasiewicz Małgorzata 35
 Łukaszewicz Justyna 358
 Łysiak Waldemar 106

M

MacDonald William L. 107
 Macdonell Archibald Gordon 106
 Macfarlan Robert 34
 Machiavelli Niccolò di Bernardo, dei 114
 Maciejewska Anna 200
 Magnosto Anna 50
 Mahomet, prorok 171
 Mahomet II 338
 Makuszyński Kornel 15
 Manacorda Gastone 325
 Manfroce Nicola 99–100
 Manzoni Alessandro 174
 Marcin I 221
 Marcin IV, papież 182
 Marciniak Konrad 251
 Marcofaba Matteo 115
 Marek Aureliusz (własc. Marcus Annus Aurelius Verus) 184
 Markiewka Tomasz 225
 Maria Antonina, królowa 215
 Marinetti Filippo Tommaso 194
 Marek, święty 224–225
 Marenco Leopoldo 100
 Marino (Marini) Giambattista 360
 Marituri Nunzio 359
 Markuszevska Aneta 359
 Mars 204, 282
 Mateusz, święty 224–225
 Matthew Donald 262
 Matyszak Philip 349
 Meinel Julius 56
 Melozzo da Forli 215, 328
 Menelaos 200
 Menodoros 81
 Merkury 204
 Messiaen Olivier Eugène 118
 Metastasio Pietro 358
 Metternich Klemens Lothar Wenzel Fürst von 105
 Mezzetti Guglielmo 77
 Miceli Giorgio 359
 Michetti Francesco Paolo 309
 Mickiewicz Adam 10, 65, 107, 124, 196
 Militano Marco 341
 Milon z Krotonu 126, 155–159, 161, 178
 Milton John 360–361
 Mik Cezary 251
 Mikołaj II Romanow 251
 Mikołajewski Jarosław 182
 Mikulska Patrycja 242
 Mimnermos z Kolofonu 199

Minerwa 63, 153
 Mira Roberta 290
 Mojżesz 126, 171
 Mokry Katarzyna 225
 Molini Giuseppe 361
 Mommsen Theodor 269
 Monet Claude 43, 80
 Montalbeti Enrico 215
 Monteleone Alessandro 215
 Morano Fortunat 359
 Morelli Domenico 345
 Morgagni Giambattista 154
 Mrozewicz Leszek 196
 Murat Joachim (właśc. Joachim-Napoléon Murat) 50, 103–105, 113, 116, 336
 Murillo Bartolomé Esteban 90, 123
 Musiał Dorota 260–270
 Musset Alfred, de 291
 Muszytowska Dorota 225
 Myscellus 160

N
 Napoletano Gaetano 133
 Natale M. 328
 Nauzykaa 106
 Nawarecki Aleksander 225
 Neapolitańska Joanna II 348
 Neoptolemos I 348
 Nereus 62
 Neron (właśc. Lucius Domitius Ahenobarbus) 191
 Nerval Gérard, de 25
 Newton Isaac 140, 246, 335
 Niebuhr Barthold Georg 184
 Niedzielski Grzegorz 69
 Niemirska-Pliszczyńska Janina 156, 158
 Nieuważny Andrzej 106
 Nikander z Kolofonu (starszy) 62

Nikander z Kolofonu (młodszy) 62
 Nil z Rossano, święty 223, 227, 229, 243, 325, 331–332, 337
 Nobel Alfred 335
 Noe 188
 Nossis 166, 205
 Nunziantie Vito 209
 Nycz Ryszard 21

O

Ocellus Lucanus 142–143
 Odoaker 240–241
 Okeanos 62
 Oktawian August (właśc. Gaius Octavius Thurinus) 81, 114
 Orestes 51, 53, 86–87, 89, 113, 115, 189, 200
 Orsi Achille 343
 Orsi Paolo 111–112, 164, 213–214
 Otton III, cesarz 223
 Owidiusz (właśc. Publiusz Owidiusz Nazo) 160, 182
 Ożóg Monika 241

P

Pabst Georg Wilhelm 300
 Pandolfini Angelica 101
 Pandora 66
 Pankaspe 150
 Pankracy, święty 63
 Paolucci Antonio 328
 Parandowski Jan 69, 87
 Parnicki Teodor 349
 Parrasio Aulo Giano 345
 Parrasjos z Efezu 149, 345
 Pasca Nunzio 360
 Pasiteles 214
 Pasqua Angela Aurora 286

- Pasteur Louis 154, 259
 Pasza Kemal 272
 Patrokles 299
 Pauzanasz 156, 158, 204
 Paweł, patriarcha 221
 Paweł z Tarsu, święty 189, 191–192
 Pawlikowska-Gannon Hanna 279
 Pawłowski Tadeusz 66
 Peleus 90
 Parmenides z Elei 168
 Pergolesi Giovanni Battista (właśc. Giovanni Battista Draghi) 359
 Perri Giulia 313
 Peruzzi Baldassare 115
 Perry Ben 180
 Perykles 171, 185, 196
 Pestalozzi Johann Heinrich 123
 Petrarca (Petrarka) Francesco 222
 Petrucci Olga 285
 Petruszewicz Marta 22, 192
 Petry Martyna 107
 Piacentini Marcello 212–213
 Pianko Gabriela 115
 Picardi Nicola 126
 Picasso Pablo Ruiz 86
 Piemontese Angelo Michele 237
 Pietras Henryk 241
 Pietrzyk Bartłomiej 349
 Piłat Leoncjusz 222
 Piłat Poncjusz 226
 Pindar 155, 169, 193, 200–201
 Piotr Lombard 327
 Piotr z Kalabrii 358–359
 Piotr z Majelli, święty (właśc. Pietro Angeleri da Morone) 100, 102–103
 Piotrowicz Ludwig 81
 Pisarra Emanuele 331
 Piszczek Zdzisław 64, 69, 143
 Pitagoras z Samos 133–143, 153, 156, 161, 167, 177, 204, 214, 246, 249, 254
 Pizystrat 171
 Placydia Galla 349
 Platin (właśc. Bartolomeus Sacchi) 359
 Platon 143, 167–169, 193, 200, 358
 Pleton Gemistos 359
 Plezia Marian 115
 Pliniusz 150, 166, 204, 228, 343
 Plutarch 193, 237
 Pluton 107–108, 111
 Płaszczewska Olga 60
 Polemio Maurizio 286
 Polibiusz (właśc. Polybios z Megalopolis) 74, 193, 201
 Polikrates z Samos 135–136, 138, 199, 203
 Polluks 162, 165, 204
 Popow Aleksander 361
 Porfiriusz 167
 Porębowicz Edward 322
 Pospiszil Karolina 21, 331
 Pospiszyl Michał 105
 Poświatowska Halina 31
 Potestà Gian Luca 327
 Poussin Nicolas 158
 Praksyteles 150
 Preti Gregorio 300
 Preti Mattia 108, 297–304
 Priam 297
 Prokop-Janiec Eugenia 21
 Prozerpina 85, 106–108, 111, 113, 115–116, 189
 Puget Pierre 158–159
 Pulcher Publiusz Klodiusz 114
 Pullman Philip 360
 Puntorieri Pierfabrizio 86
 Pustuła Hanna 12

Putyfar 90

Pyrrus 114, 151

Pyt(h)anaktos 167

R

Raba Bogusław 118

Rafalski Tomasz 50

Ratchis, król 229

Ree (Rec) 192

Reid Thomas 358

Rembrandt Harmenszoon van Rijn 90,
154, 299

Reni Guido 90, 301

Rèpaci Leonida 94

Reres Demetriusz 341

Reymont Władysław 309

Reytan Tadeusz 172

Richelieu Armand-Jean du Plessis de
248–249

Richter Charles Francis 79

Rivera Magos Victor 302

Rivière Charles François Riffardeau de
104

Rockefeller John Davison Jr. 252, 279

Roger I (także: Roger I de Hauteville) 81–
82, 239, 262, 325

Roger II (także: Roger II de Hauteville)
75, 81–82, 108, 223, 262, 325

Romanowa Elżbieta, cesarzowa 205

Romeo Giuseppe 207

Romeo Vincenzo 215

Romilly Jacqueline, de 201

Roose Mikeal 282

Roosevelt Franklin Delano 252

Rosa Salvator 300

Rosner Edmund 15–16

Rospigliosi Giacomo 301

Rossi Gaetano 99

Roszkowska Wanda 358

Rota Salvatore 321

Rousseau Jean-Jacques 79, 358

Ruau André-François 32

Rubens Peter Paul 301–302

Rudolf II 342

Ruffo Paolo 63

Ruffo, kardynał 321

Rumińska-Pietrzyk Joanna 349

Russell Bertrand 184, 256

Ruszkowski Janusz 15

Rutkowski Feliks 106

Ruzik-Kulińska Urszula 349

S

Sabaudzka Małgorzata 348

Safona 199

Salandra Serafin, della 359–361

Salustri Simona 290

Santoro Rubens 359

Salwa Mateusz 25

Samson 157

Sand George 291

Sannazaro Jacopo 360

Santacroce Francesco di Simone, da 115

Sanzotta Valerio 74

Saturn 190

Sawa Robert 241

Schatz Klaus 221

Schiller Friedrich 135–136, 291

Schmidt Giovanni 99

Scora Rainer 282

Scribe Augustin Eugène 100–101

Scylla 61, 189

Sebald Winfried Georg 35

Sebastian, święty 298–299, 311

Sekstus Pompejusz 81, 114

Selene 269

Sergiusz, patriarcha 221
 Servat Éric 286
 Servet Miguel (także: Michał Serwet)
 154
 Sforza Caterina 75
 Shakespeare William 76
 Sidoruk Elżbieta 32
 Siemieński Julian 61
 Sienkiewicz Henryk 180
 Sieroszevska Barbara 174
 Simone Gerardo de 328
 Sitlington Sterrett John Robert 157
 Skąlecki Piotr 284
 Skanderbeg Jan 341
 Skanderbeg (Scanderbeg) Jerzy Kastriot
 247, 338, 341–342
 Skriabin Aleksandr Nikołajewicz 118
 Skucińska Anna 196
 Sławek Tadeusz 13, 29, 31
 Sławińska Irena 201
 Smith William 160
 Sofokles 201
 Sokalska Małgorzata 107
 Sokołowska Zofia 25
 Sokrates 174
 Solon 171, 193
 Sołtysiak Sławomir 95
 Sonzogno Edoardo 103
 Squillace Giuseppe 169
 Spadea Roberto 112, 239
 Spinelli Carlo 247
 Spinoza Baruch 335
 Stachura Zofia 302
 Staël Madame, de 291
 Stanzione Massimo 115
 Stefanuzio Ruggero 228
 Stefan z Nicei, święty 192
 Stefan VI, papież 90

Steffen Wiktor 201
 Steneboja 90
 Stezychor z Himery 199, 203
 Stillwell Richard 107
 Strabon 74, 157, 167, 170, 175, 343
 Stuart Maria 247
 Stobajos 196
 Stradivarius (właśc. Antonio Stradivari)
 335
 Stróżyński Mateusz 90
 Surma-Gawłowska Monika 13
 Sybilla Kumańska (także: Sybilla z Cumae
 lub Kume) 62
 Sykstus IV, papież 120
 Symonides 200
 Szalewska Katarzyna 31–32
 Szarypkin Sergiusz 95
 Szczepara Norbert 88
 Szczucki Lech 154
 Szczygieł Mariusz 342
 Szekspir Wiliam zob. Shakespeare Wil-
 liam
 Sztobryn Sławomir 123
 Szulżycka Alina 30

Ś

Śmiechowicz Olga 201
 Śmigaj Józef 200
 Śnieżewski Stanisław 151
 Świerkosz Monika 21

T

Tabakowska Elżbieta 349
 Tales z Miletu 139
 Talia Antonio 25
 Tankred z Hauteville 328
 Tasso Torquato 335, 360
 Teano 167, 205

Telesio Bernardino 246, 343
 Teliga Leonid 64
 Telis, tyran Sybaris 177–178
 Tell Wilhelm 335
 Tenorio Don Juan 305
 Teodahad 241
 Teodoryk 240–241
 Teodozjusz Wielki, cesarz 349
 Teofrast z Eresos 59
 Teresti Giovanni, święty 243
 Tetyda 62
 Tezeusz 153
 Theaitetos 205
 Timajos 206
 Timajos z Lokrów 143, 200
 Timantes z Kytnos 149
 Timaratos z Caulonii 193
 Timaeus 167
 Timokrates 184
 Tintoretto Jacopo 90
 Tokarczuk Ryszard 168
 Toledo Don Pedro de 321, 341
 Toman Rolf 182
 Tomasz z Akwinu, święty 325
 Torricelli Evangelista 335
 Toscanini Arturo 102
 Tournemire Charles 118
 Trendelenburg Friedrich Adolf 358
 Tylusińska-Kowalska Anna 25
 Tyrteusz z Miletu 199
 Tytus Pompejusz Mela 95

U

Uffindell Andrew 106
 Ugniewska Joanna 33
 Ulisses 50, 53, 61, 200
 Umberto Sabaudzki (Humbert II) 96

Urban VIII, papież 248, 301, 303
 Urry John 30

W

Walas Teresa 21
 Wallis Mieczysław 66
 Washington George 279
 Wassermann August Paul, von 154, 259
 Weiner Magdalena 201
 Wenera 204
 Wergiliusz 59, 61, 240
 Wesoły Marian Andrzej 184
 West Martin Litchfield 200
 Węgierski Tomasz Kajetan 358
 White Kenneth 32
 Wiktor Emanuel III, król 209
 Wilde Oscar 202, 236
 Wilhelmina Orańska-Nassau, królowa
 251
 Wilson Woodrow 279
 Wirpsza Witold 159
 Witalis, święty 332
 Witczak Krzysztof Tomasz 62, 95
 Witiges 240–141
 Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy)
 16
 Witko Andrzej 305
 Witwicki Władysław 200
 Władysław z Durazzo 237
 Wodnicki Adam 28
 Wojcieszak Maciej 241
 Wojda Jacek 221
 Woś Krystyna 61

V

Vasari Giorgio 300, 359
 Vaughan Hal 279

Veronese Paolo 182, 301
 Victors Jan 90
 Vietri Paolo 345
 Vignali Jacopo 122–123
 Vinci Leonardo, da (właśc. Leonardo
 di ser Piero da Vinci) 359
 Vitalia 205
 Vitrioli Diego 74
 Vivaldi Antonio 359
 Vlassopoulos Kostas 50
 Volta Alessandro 335
 Voltaire (Wolter) (właśc. François-Marie
 Arouet) 79
 Vorozhka Hanna 92

X

Xarava Luigi 247

Z

Zachariasz, święty 229
 Zakrzewski Jerzy 221
 Zaleukos z Lokrów 170, 172–174, 179,
 193, 246, 255
 Zawiszewska Agata 21
 Zenon z Elei 168
 Zeuksis z Heraklei 149–151, 161
 Zeus 204–205, 237
 Zicari Francesco 360–361
 Zmorzanka Anna Z. 167
 Zulejka 90

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

KAZIMIERA ALBERTI

THE SOUL OF CALABRIA

S u m m a r y

This monograph is part of a scholarly edition of a literary text translated into Polish – a travel reportage by Kazimiera Alberti. The Soul of Calabria remains a component of the extensive textual corpus originally constituting a set of four separate Italian-language publications that make up Alberti's reportorial tetralogy. Its original parts are *L'anima della Calabria*. Napoli 1950; *Segreti di Puglia*. Napoli 1951; *Magia Ligure*. Napoli 1952; *Campania, gran teatro*. Napoli 1953. The set of listed travellogues can be given (according to the author's intention) a working title: *Secrets of Italy*.

The work has been completed as part of a task carried out in accordance with the timetable of the "Universalia 2.2" project – remaining in the grant pool of the National Programme for the Development of the Humanities. As we can read on the website of the sponsoring institution, the programme provides funding for "original research projects carried out in Poland, comprising scientific critical editions (translations into Polish together with scientific editing, including philological, bibliographical, historical and interpretative editing, etc.) of the most important works belonging to world culture in order to include them in the circulation of Polish scientific humanities".

The volume was originally written in French (perhaps also in Polish?) and then translated into Italian by Alberti's husband Alfo Cocola, a lawyer and journalist with whom she did her Italian travels. Information about this fact appears on the first page of the 1950 original edition: 'Traduzione di Alfo Cocola'. About forty black-and-white photographs by the author have been added to the volume and form an integral part of this literary "rambling tale". Alberti's project situates itself on the side of a mature philosophical reflection related to the definition of the place of post-war man in culture and "shattered" space. Alberti remains in the absolute European avant-garde here – combining meditation on the landscape, observations of people and heritage objects with historiographical reflection and a poetic sensibility of diagnosis. The study also constitutes a highly erudite "rally" through the territories holding the "memory and trace" of the Great Greek tradition. It thus goes beyond the circle of reader's expectations and associations – forcing us to associate the writer's creative activity with the period before the Second World War, and to narrow down the social circle to the salon run in Biała Krakowska or the artists associated with "Harenda".

As a rich and critically acclaimed inter-war literary output of Kazimiera Alberti (critics of such calibre as Karol Wiktor Zawodziński, Ignacy Fik, Leon Piwiński, Stanisław Czernik wrote about her seven volumes of poetry published between 1927 and 1939), it also attracts the interest of eminent literary scholars today (cf. Eugenia Prokop-Janiec's studies on Alberti's prose, included in the circle of research on the ethnographic novel - or texts devoted to the problems of the 'New Woman' – e.g. dissertations by Ewa Kraskowska, Monika Świerkosz, Aleksandra Banot). However, the post-war – outstanding reportage work of the writer – has been excluded from wider scholarly circulation and forgotten. This edition attempts to remedy this situation and fill the gap.

KAZIMIERA ALBERTI

L'ANIMA DELLA CALABRIA

Riassunto

La presente monografia costituisce parte integrante dell'edizione scientifica del testo letterario tradotto in lingua polacca: un reportage di viaggio scritto da Kazimiera Alberti. L'anima della Calabria rientra in un ampio corpus testuale originariamente articolato in quattro pubblicazioni distinte, in lingua italiana, che compongono la tetralogia cronistica dell'autrice. Le opere originali sono: *L'anima della Calabria*. Napoli 1950; *Segreti di Puglia*. Napoli 1951; *Magia Ligure*. Napoli 1952; *Campania, gran teatro*. Napoli 1953. Questa raccolta di travelogues può essere intitolata – secondo l'intenzione stessa dell'autrice – con il titolo provvisorio: *I segreti d'Italia*.

Il lavoro è stato realizzato nell'ambito del progetto “Uniwersalia 2.2”, secondo il calendario stabilito, e fa parte della linea di finanziamento del Programma Nazionale per lo Sviluppo delle Scienze Umanistiche. Come indicato nel sito dell'ente promotore, tale programma sostiene “progetti di ricerca originali condotti in Polonia, volti alle pubblicazioni scientifiche critiche (compresa la traduzione in lingua polacca e l'elaborazione editoriale: filologica, bibliografica, storica, interpretativa, ecc.) delle opere più significative del patrimonio culturale mondiale, con l'obiettivo di integrarle nel circuito della scienza umanistica polacca”.

Il volume fu originariamente redatto in francese (forse anche in polacco?) e successivamente tradotto in italiano dal marito dell'autrice, Alfo Cocola, giurista e giornalista, con cui Alberti compì i suoi viaggi attraverso l'Italia. L'informazione relativa a questa traduzione è riportata nella prima pagina dell'edizione originale del 1950: “Traduzione di Alfo Cocola”. Al volume sono state aggiunte oltre quaranta fotografie in bianco e nero realizzate dall'autrice stessa, che costituiscono parte integrante di questo “racconto errante”. Il progetto di Alberti si colloca nell'ambito di una riflessione filosofica matura, volta a definire il posto dell'uomo del dopoguerra nella cultura e nello spazio “distretto”. In questo contesto, Alberti si inserisce pienamente nell'avanguardia europea, coniugando la meditazione sul paesaggio, l'osservazione delle persone e dei beni culturali con una riflessione storiografica e una sensibilità poetica nella diagnosi del reale. Lo studio costituisce inoltre un “viaggio” di straordinaria erudizione attraverso territori che conservano la “memoria e le tracce” della tradizione della Magna Grecia. Esso va così ben oltre il consueto orizzonte di aspettative e associazioni del lettore che tenderebbe a collegare l'attività creativa della scrittrice esclusivamente al periodo antecedente la Seconda guerra mondiale, e a restringere il suo ambito relazionale al salotto letterario di Biała Krakowska o agli ambienti artistici legati a “Harenda”.

Il ricco e apprezzato lascito letterario dell'autrice nel periodo tra le due guerre (celebrato da critici di primo piano come Karol Wiktor Zawodziński, Ignacy Fik, Leon Piwiński, Stanisław Czerwik, in relazione ai suoi sette volumi poetici pubblicati tra il 1927 e il 1939) continua ancora oggi a suscitare l'interesse di eminenti studiosi di letteratura (si vedano, ad esempio, gli studi di Eugenia Prokop-Janiec sulla prosa di Alberti, inseriti nel contesto delle ricerche sulla narrativa etnografica, o i testi dedicati alla figura della “Nuova Donna”, come i saggi di Ewa Kraskowska, Monika Świerkosz e Aleksandra Banot). La straordinaria produzione giornalistica del secondo dopoguerra, tuttavia, è stata a lungo esclusa dal dibattito scientifico e dimenticata. Con la presente edizione, si intende correggere questa situazione e colmare tale lacuna.

Redaktor KATARZYNA WIĘCKOWSKA

Projekt okładki i obwoluty ANNA KRASNODEBSKA-OKRĘGLICKA

Fotografia Kazimierzy Alberti wykorzystana na okładce książki pochodzi z prywatnego albumu pisarki. Zdjęcie publikujemy dzięki uprzejmości Pana Domenico Cocoli – spadkobiercy spuścizny po Kazimierze Alberti, który scedował prawa do wykorzystania materiałów po pisarce na rzecz prof. Janiny Janas – współredaktorki niniejszego tomu

Projekt układu typograficznego oraz łamanie PAULINA DUBIEL

Retusz i koloryzacja zdjęć TOMASZ TOMCZUK

Korekta MARZENA MARCZYK

Redaktor inicjujący MARCIN BUCZYŃSKI

Copyright © 2025 by Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone



Publikacja dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (CC BY-SA 4.0)

<https://orcid.org/0000-0003-3994-6728>

 <https://orcid.org/0000-0002-0671-6355>

<https://orcid.org/0000-0003-4488-6061>

<https://orcid.org/0000-0001-5948-698X>

<https://orcid.org/0000-0003-3787-752X>

<https://orcid.org/0000-0002-6117-3840>

<https://doi.org/10.31261/PN.4279>

Alberti, Kazimiera

Dusza Kalabrii / Kazimiera Alberti ; przekład

Sandra Strugała, Małgorzata Ślarzyńska ;

tłumaczenie przejrzał Marcin Wyrembelski ;

wstęp, przypisy, indeksy osobowe oraz indeksy

nazw geograficznych Mariusz Jochemczyk,

Miłosz Piotrowiak ; przy współudziale Janiny

Janas. – Wydanie I. – Katowice : Wydawnictwo

Uniwersytetu Śląskiego, 2025

ISBN 978-83-226-4540-6

(wersja drukowana)

ISBN 978-83-226-4543-7

(wersja elektroniczna)

Wydawca

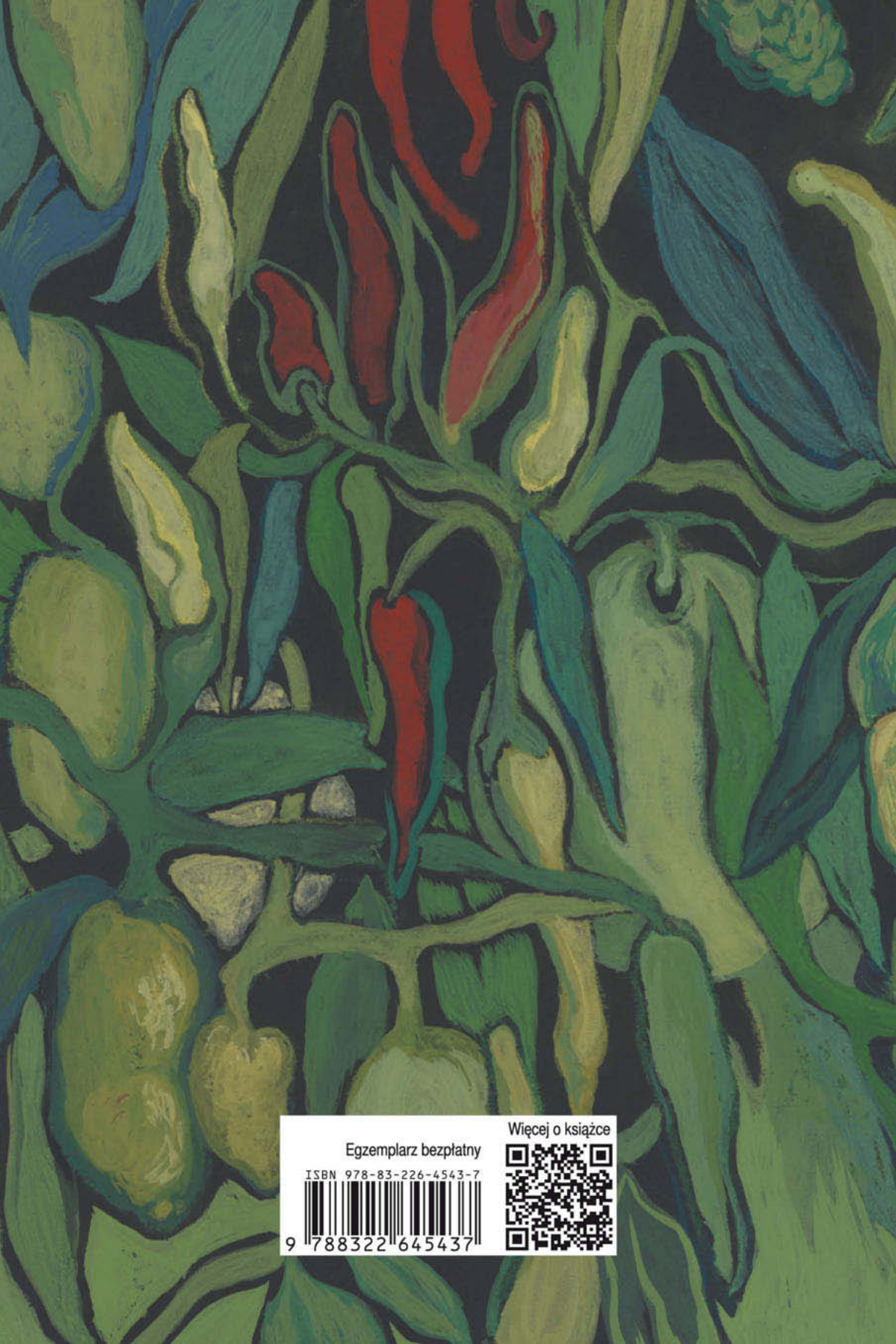
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO

ul. Jordana 18, 40-043 Katowice

<https://wydawnictwo.us.edu.pl>

e-mail: wydawnictwo@us.edu.pl

Wydanie I. Liczba arkuszy drukarskich: 24,5. Liczba arkuszy wydawniczych: 26,0. PN 4279. Egzemplarz bezpłatny. Publikację wydrukowano na Munken Polar 100 g, vol. 1.3. Do składu użyto krojów pisma Karmina, Karmina Sans (autorstwa Veroniki Burian & José Scaglione / Type-Together). Druk i oprawę wykonano w drukarni volumina.pl Sp. z o.o. (ul. Księcia Witolda 7–9, 71-063 Szczecin)



Egzemplarz bezpłatny

ISBN 978-83-226-4543-7



9 788322 645437

Więcej o książce

